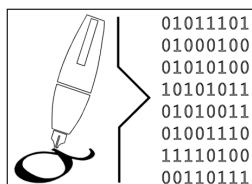


DAVID I LEIGH EDDINGS

ODKUPIENIE ALTHALUSA

Tłumaczyła: Anna Bańkowska



Tytuł oryginału:

ALTHALUS

Data wydania polskiego: 2002 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 2000 r.

*Siostron Lori i Linette, Które tak bardzo uprzyjemniły nam życie.
Dziękujemy, dziękujemy, dziękujemy, dziękujemy!!!*

PROLOG

Otóż przed Początkiem nie istniał Czas i wszystko było Chaosem i Ciemnością. Ale Deiwos, bóg Nieba, obudził się i wraz z jego przebudzeniem rozpoczął się Czas jako taki. A kiedy Deiwos wejrzał na Chaos i Ciemność, wielka tęsknota wypełniła mu serce. Wstał więc, aby stworzyć wszystko, co jest stworzone, a w trakcie owego tworzenia w próżnię jego brata, demona Daevy, wtargnęło Światło. Po pewnym czasie jednak Deiwos zmęczył się swymi dziełami i wyszukał sobie miejsce na odpoczynek. Na granicy Światła i Ciemności oraz stref Czasu i Bezczasu utworzył z jednej myśli wysoką wieżę. Następnie ową straszliwą granicę zaznaczył linią ognia, aby przestrzec wszystkich ludzi przed otchłanią Daevy. I leżąc Deiwos na swej wieży, i pograżył się w studiowaniu Księgi. A Czas kontynuował swój miarowy marsz.

Wówczas demon Daeva rozsierdził się srodze na Deiwosa za pogwałcenie granic swojej mrocznej dziedziny. W duszy jego zrodziła się wieczna nienawiść do brata, gdyż Światło sprawiało Daevie ból, a miarowy postęp Czasu był dlań źródłem straszliwej udreki. Wycofał się więc Daeva na swój zimny tron w głuchej i ciemnej próżni, gdzie nie rozchodzi się echo. Tam też zaprzysiągł zemstę swemu bratu, Światłu oraz Czasowi.

A ich siostra obserwowała to wszystko, ale nie powiedziała ani słowa.

Z księgi „Niebo i otchłań. Mitologia starożytnego Medyo”

W obronie Althalusa należałoby zaznaczyć, że kiedy podejmował się on kradzieży Księgi, znajdował się w fatalnej sytuacji finansowej, a przy tym był nieźle wstawiony. Gdyby nie te okoliczności, zadałby może więcej pytań na temat Domu na Końcu Świata, a już na pewno na temat właściciela Księgi.

Ukrywanie prawdziwej natury Althalusa byłoby czystą głupotą, gdyż jego wady zdążyły już obrosnąć legendą. Jak powszechnie wiadomo, jest to złodziej, łgarz, sporadyczny morderca oraz obrzydliwy bufon, wyzuty z choćby krztyny honoru. Co więcej — pije na umór, obżera się bez umiaru i nie stroni od pań, które prowadzą się gorzej, niż powinny.

Trzeba jednak przyznać, że ów łotr spod ciemnej gwiazdy potrafi być wyjątkowo ujmujący, błyskotliwy i dowcipny. W pewnych kręgach mówi się wręcz, że

gdyby Althalus się uparł, swymi żartami nawet drzewa i góry doprowadziłyby do serdecznego śmiechu.

Zwinnymi palcami potrafi wszakże poruszać jeszcze szybciej, niż sypać anegdotkami, toteż człek rozważny zawsze trzyma sakiewkę w garści, kiedy śmieje się z żartów tego bystrego złodzieja.

Althalus — odkąd pamięta — zawsze trudnił się kradzieżą. Nigdy nie poznał swego ojca, imię matki zdarza mu się przekręcać, a dorastał wśród złodziei na surowych przygranicznych terenach. Dzięki swemu poczuciu humoru szybko zdobył popularność w środowisku mężczyzn, którzy zarabiają na życie, przejmując prawa własności do cennych przedmiotów. On sam wykorzystywał jako źródło utrzymania żarty i anegdotki, gdyż wdzięczni za nie złodzieje nie tylko go karmili, ale także ćwiczyli w swym rzemiośle.

Miał dość rozumu, by szybko się zorientować w ograniczeniach każdego ze swoich mentorów. Wielcy, potężnie zbudowani mężczyźni brali, co się im podobało, wyłącznie przy użyciu siły, natomiast drobniejsi kradli po cichu, tak by nikt ich nie zauważył. Wchodząc w wiek męski, Althalus wiedział, że nigdy nie będzie olbrzymem. Najwyraźniej nie odziedziczył po przodkach dużej masy ciała. Pojął też, że gdy stanie się całkowicie dorosły, nie będzie mógł już wkręcać się chyłkiem przez małe otwory do miejsc, gdzie trzymano interesujące go przedmioty. Będzie mężczyzną średniej budowy, ale nigdy — poprzysiągł to sobie — nie zostanie miernotą. Zauważył, że bystry rozum jest znacznie ważniejszy od takich przymiotów jak potężna postura czy mysia zwinność, toteż postanowił wybrać właśnie drogę rozumu.

W górach i lasach, ciągnących się wzdłuż zewnętrznej granicy cywilizowanego świata, od początku cieszył się pewnym rozgłosem. Inni złodzieje podziwiali go za spryt. Jak ujął to pewien bywalec złodziejskiej oberży w Hule: „Przysiągłbym, że ten mały Althalus potrafiłby namówić pszczoły, by przynosiły mu miód, a ptaki, by składały mu jajka wprost na talerz przy śniadaniu. Zapamiętajcie, bracia, moje słowa: ten chłopak daleko zajdzie”.

I rzeczywiście Althalus daleko zaszedł. Z natury nie lubił osiadłego życia, za to jego błogosławieństwem (a może przekleństwem) była niewyczerpana ciekawość tego, co kryje się po drugiej stronie każdej góry czy rzeki, jakie napotkał na swej drodze. Ciekawość ta nie dotyczyła jednak tylko kwestii geograficznych, gdyż Althalusa interesowało także to, co ludzie osiadli trzymają w domach i co noszą w sakiewkach. Te dwie bliźniacze ciekawości utrzymywały go w nieustannym ruchu, tym bardziej że instynktownie wiedział, kiedy powinien opuścić miejsce, w którym przebywał.

Dlatego to właśnie zwiedził i prerie Plakandu, i okrągłe wzgórze Ansu, i góry Kagwheru, a także Arum i Kweron, zapuszczając się niekiedy aż do Regwos i południowego Nekwerosu, na przekór wszelkim historiom o potwornościach, jakie czyhają w górach po drugiej stronie granicy.

Tym, co jeszcze bardziej różniło Althalusa od innych złodziei, było jego zadziwiający szczęście. Wygrywał w kości za każdym razem, gdy tylko wziął je do ręki, i bez względu na to, do jakiej ziemi go zanosło, nieodmiennie sprzyjała mu fortuna. Jakieś przypadkowe spotkanie czy rozmowa niemal zawsze doprowadzały go prosto do najlepiej prosperującego i najmniej podejrzliwego człowieka w danym środowisku, a potem tak się składało, że każdy, nawet przypadkowo wybrany trop następczał okazję, której próżno wyglądali inni złodzieje. W gruncie rzeczy Althalus słynął bardziej ze swego szczęścia niż rozumu czy zdolności.

Po pewnym czasie nauczył się na swym szczęściu polegać. Fortuna zdawała się go wręcz kochać, toteż i on darzył ją bezwarunkowym zaufaniem. Uwierzył nawet skrycie, że w głębokiej ciszy umysłu słyszy czasem jej głos. Leciutkie drgnienie, które mówiło mu, że pora się wynosić — i to szybko — z danego towarzystwa, uważał za milczącą przestrożę, iż na horyzoncie pojawiło się jakieś zagrożenie.

Kombinacja rozumu, zdolności i szczęścia zapewniała mu sukcesy, ale gdy sytuacja tego wymagała, potrafił biegać łączy niczym jeleni.

Zawodowy złodziej, jeśli chce jadać regularnie, musi spędzać mnóstwo czasu w gospodach, słuchając, o czym ludzie gadają, gdyż informacja jest podstawą jego sztuki. Okradanie biednych nie daje wielkiego zysku. Althalus lubił wychylić kielich dobrego miodu tak samo jak inni, ale rzadko dopuszczał, by napitek wziął nad nim górę. Zawiany facet popełnia błędy, a złodziej, który popełnia błędy, na ogół nie żyje zbyt długo. Althalus znakomicie potrafił wybrać w każdej oberży tego jednego gościa, który mógł być w posiadaniu użytecznej informacji, po czym za pomocą żartów i szczodrych poczęstunków nakłaniał go do wyjawienia sekretu. Stawianie trunków gadatliwym opojom należało do swego rodzaju inwestycji. Althalus zawsze pilnował, by opróżnić swój kielich jednocześnie z przygodnym kompanem, ale z jakiegoś powodu większość miodu złodzieja łądowała nie w jego brzuchu, tylko na podłodze.

Przenosił się z miejsca na miejsce, sypał dowcipami, stawiał ludziom miód — i tak przez kilka dni. Potem, kiedy już namierzył miejscowych bogaczy, składał im około północy wizytę, a rankiem był już o parę mil dalej, w drodze do innej przygranicznej osady.

Interesowały go głównie lokalne plotki, ale w gospodach opowiadano sobie także inne historie — na przykład o miastach na równinach Equero, Treborea i Perquaine, cywilizowanych ziemiach leżących na południu. Słuchał tego z głębokim sceptycyzmem. Przecież nikt nie jest na tyle głupi, by brukować złotem ulice swego rodzinnego miasta, a fontanny tryskające diamentami mogą być ładne, ale w gruncie rzeczy nie służą żadnemu konkretnemu celowi.

Historie te jednak zawsze poruszały jego wyobraźnię, toteż obiecał sobie, że kiedyś, kiedyś wybierze się do owych miast, by obejrzeć je sobie na własne oczy.

W przygranicznych osadach domy wznoszono przeważnie z bali, ale miasta na

południu były ponoć zbudowane z kamienia. Już to samo mogło stanowić dobry powód do wyprawy, lecz Althalus w zasadzie nie interesował się architekturą, toteż ciągle odkładał decyzję.

A jednak ostatecznie zmienił zdanie. Przyczyniła się do tego śmieszna historyjka o upadku Imperium Deikańskiego zasłyszana w kagwherskiej oberży. Głównym powodem upadku okazał się tak kolosalny błąd, że Althalusowi wydało się niemożliwe, by ktoś przy zdrowych zmysłach mógł go popełnić choćby raz, a cóż dopiero trzy razy.

— Niech wypadną mi wszystkie zęby, jeśli łżę — zapewnił go rozmówca. — Mieszkańcy Deiki są tak strasznie zarozumiali, że kiedy dotarła do nich wieść o odkryciu złota w Kagwherze, uznali to za błąd boga. Przecież tak naprawdę musiał przeznaczyć je dla nich i przez zwykłą pomyłkę dar nie trafił do Deiki, gdzie wystarczyłoby się po niego schylić. Poczuli się nawet nieco urażeni, ale byli na tyle sprytni, że nie nawymyślali bogu, tylko wysłali wojsko w góry Kagwheru, by nas, głupich dzikusów, nie dopuścić do złota, które bóg im zesłał. No i kiedy wojsko tu dotarło i zaczęło przysłuchiwać się opowieściom, ile to niby złota znajduje się w okolicy, żołnierze jak jeden mąż uznali, że życie w armii przestało im odpowiadać, i rozbiegli się po okolicy, by kopać na własną rękę.

— Co za szybki sposób na utratę armii! — zaśmiał się Althalus.

— Fakt, nie ma szybszego — zgodził się rozmówca. — Ale to jeszcze nie koniec. Senat, który manipuluje rządem Deiki, poczuł się tak zawiedziony, że natychmiast wysłał w pościg drugą armię, by wymierzyła tej pierwszej karę za lekceważenie obowiązków.

— Nie mówisz chyba poważnie! — wykrzyknął Althalus.

— Ależ tak! To właśnie zrobili. No i żołnierze z tej drugiej armii, nie chcąc okazać się głupszymi od tamtych, odwiesili swe miecze i mundury, po czym także ruszyli na poszukiwanie złota.

Althalus ryknął śmiechem.

— To najlepsza historia, jaką kiedykolwiek słyszałem!

— Dalej jest jeszcze ciekawiej. Senat imperium po prostu nie mógł uwierzyć, że dwie armie do tego stopnia zlekcewały swe obowiązki. W końcu żołnierze biorą całego miedziaka za każdy dzień służby, prawda? Senatorowie poty wygłaszali do siebie mowy, aż im mózgi zasnęły, i wtedy właśnie puścili wodze głupoty zupełnie, gdyż zdecydowali się wysłać trzecią armię, żeby sprawdziła, co się stało z poprzednimi.

— On to mówi na serio? — spytał Althalus drugiego bywalca oberży.

— Tak mniej więcej to wyglądało, cudzoziemcze. Mogę przysiąc, bo sam byłem sierżantem w tej drugiej armii. Państwo-miasto Deika sprawowało dotąd rządy nad całym cywilizowanym światem, ale odkąd wysłali trzy armie w góry Kagwheru, nie starczyło im oddziałów wojska nawet do patrolowania własnych ulic, a cóż dopiero innych krain. Nasz senat nadal wydaje prawa, które mają obowią-

zywać w innych krainach, ale nikt ich już nie słucha. Do senatorów jakoś to nie dociera, więc ogłaszają coraz to nowe prawa podatkowe i inne, a ludzie spokojnie je ignorują. Nasze prześwietne imperium obróciło się w najświetniejszy dowcip.

— Może zbyt długo zwlekałem z wycieczką do cywilizowanego świata — mruknął Althalus. — Skoro mieszkańcy Deiki są aż tak głupi, człowiek mojej profesji po prostu musi złożyć im wizytę.

— Ach tak? — zainteresował się były żołnierz. — Wolnoż wiedzieć, jaka to profesja?

— Jestem złodziejem. A dla naprawdę dobrego złodzieja miasto pełne głupich bogaczy to miejsce najbardziej upragnione po raju.

— A więc wszystkiego najlepszego, przyjacielu! Nigdy nie przepadałem za senatorami, którzy nie mają nic lepszego do roboty, jak obmyślać nowe sposoby zadania mi śmierci. Ale mimo wszystko radzę uważać. Senatorzy kupują miejsca w tym boskim gremium, a to oznacza, że są bogaci. Bogaci senatorzy ustanawiają prawa chroniące bogaczy, a nie zwykłych ludzi. Jeśli cię w Deice złapią na kradzieży, marny twój los.

— Nigdy jeszcze nie dałem się złapać, sierżancie — zapewnił go Althalus. — Jestem bowiem najlepszym złodziejem na świecie, a na dodatek największym szczęściarzem. Jeśli choćby połowa tego, co tu słyszałem, jest prawdą, Imperium Deikańskiemu fortuna ostatnio nie sprzyja, a dla mnie jest coraz łaskawsza. Gdyby zaś przypadkiem ktoś chciał się założyć o wynik mojej wizyty, możesz śmiało na mnie stawiać, bo w takiej sytuacji po prostu nie mogę przegrać.

To rzekłszy, opróżnił kielich do dna, skłonił się w pas współbiesiadnikom i dziarskim krokiem ruszył oglądać na własne oczy cuda cywilizacji.

CZEŚĆ I
DOM NA KOŃCU ŚWIATA

Rozdział 1

Złodziej Althalus spędził dziesięć dni w drodze do imperialnego miasta Deika. Już u podnóża gór Kagwheru natrafił na kamieniołom wapienia, gdzie wynędniali niewolnicy ciężkimi piłami z brązu cięli w mozole bloczki budowlane. Althalus słyszał oczywiście o niewolnictwie, ale teraz dopiero zobaczył po raz pierwszy prawdziwych niewolników. Zmierzając ku równinom Equero, szepnął parę sugestywnych słów fortunie; jeśli naprawdę go kocha, to zrobi wszystko, by uchronić swego podopiecznego od tak parszywego losu.

Miasto Deika leżało na południowym końcu wielkiego jeziora w północnym Equero i było jeszcze bardziej imponujące, niż głosiły opowieści. Otaczał je wysoki mur z bloków wapienia, z takich samych wzniesiono wszystkie budynki.

Szerokie ulice Deiki były wybrukowane kamieniami, a gmachy publiczne pięły się pod samo niebo. Wszyscy znacniejsi mieszkańcy nosili wspaniałe lniane opończe. Prywatne domy rozpoznawało się po posągu właściciela, przeważnie tak pochlebnym, że tylko przez czysty przypadek dawało się go zidentyfikować.

Althalus miał na sobie strój stosowny na terenach przygranicznych, toteż kiedy podziwiał cuda miasta, przechodnie obrzucali go raz po raz pogardliwymi spojrzzeniami. Wkrótce miał tego dość, więc wyszukał inną dzielnicę, gdzie ludzie nosili skromniejszą odzież i nie zachowywali się tak wyniośle.

Wreszcie udało mu się zlokalizować rybacką tawernę nad jeziorem. Zatrzymał się tam, by posłuchać rozmów, gdyż wiedział, że rybacki ludek uwielbia gadać. Usiadł sobie z kielichem kwaśnego wina, starając się nie rzucać w oczy upartym smolą mężczyznom, którym gęby się nie zamykały.

— Nie przypominam sobie, bym cię tu kiedyś widział — zwrócił się do niego jeden z bywalców.

— Nie jestem tutejszy.

— Tak? A skąd przybywasz?

— Z gór. Przyszedłem popatrzeć sobie na cywilizowany świat.

— No i co sądzisz o naszym mieście?

— Robi wrażenie. Jestem niemal tak zachwycony, jak niektórzy wasi bogacze sobą.

Jakiś rybak zaśmiał się cynicznie.

— Widzę, że przechodziłeś przez forum.
— Jeśli mówisz o placu, gdzie stoją te draczne budynki, to tak. Jak dla mnie, możesz je sobie zabrać.
— Nie podoba ci się nasze bogactwo?
— Na pewno nie tak jak im. Ludzie tacy jak my powinni za wszelką cenę unikać bogaczy. Wcześniej czy później zaczynamy kłuć ich w oczy.
— Jak to? — wtrącił się inny rybak.
— Cóż... Faceci, co snują się po forum w śmiesznych szlafrokach, wciąż krzywo na mnie patrzą. A człowiek, który ciągle krzywo patrzy, dostaje w końcu zeza.

Towarzystwo ryknęło śmiechem i atmosfera w tawernie zaraz stała się bardziej swobodna i przyjacielska. Althalus zręcznie skierował rozmowę na drogi swemu sercu temat i całe popołudnie upłynęło na pogwarkach o zamożnych mieszkańcach Deiki. Wieczorem Althalus mógł już odnotować w pamięci kilka imion. W ciągu kolejnych dni zawęzał swą listę, by ostatecznie zdecydować się na handlarza solą, niejakiego Kweso. Udał się na targ, odwiedził wyłożone marmurem publiczne łaźnie, wreszcie sięgnął do sakiewki, by kupić trochę ubrań bardziej dostosowanych do aktualnej deikańskiej mody. Z oczywistych powodów kluczowym określeniem dla złodzieja wybierającego strój do celów roboczych jest „nie dający się opisać”. Kilka następnych dni i nocy Althalus spędził w dzielnicy bogaczy, obserwując obwarowany murem dom kupca Kweso. Sam Kweso był łysym grubaskiem o różowych policzkach i czymś w rodzaju życzliwego uśmiechu na twarzy. Althalusowi udało się przy kilku okazjach podejść na tyle blisko niego, aby usłyszeć, co mówi. Zdążył nawet polubić owego tłuszczoszka, no, ale to się w końcu zdarza. W gruncie rzeczy wilk także czuje pewną sympatię do jelenia.

Althalus dowiedział się imienia jednego z najbliższych sąsiadów Kweso i pewnego ranka, przybrawszy stosowną urzędową minę, zapukał do jego drzwi. Po chwili zjawił się służący.

— Tak? — zapytał.
— Chciałbym się widzieć z panem Melgorem — powiedział uprzejmie Althalus. — Chodzi o interesy.
— Niestety, pomylił pan adres. Melgor mieszka dwa domy dalej.
Althalus klepnął się w czoło.

— Ależ jestem głupi! Najmocniej przepraszam, że przeszkodziłem — kajał się, podczas gdy jego oczy pracowały na najwyższych obrotach. Zatrzask nie należał do skomplikowanych, a z korytarza w głąb domu prowadziło kilkoro drzwi. Althalus ściszył głos: — Mam nadzieję, że ten łomot nie obudził waszego pana.

Służący uśmiechnął się przelotnie.

— Nie sądź. Sypialnia pana znajduje się na górze, w tylnej części domu. Zresztą mój pan zwykle o tej porze i tak jest już na nogach.

— Co za szczęście! — przedłużał rozmowę Althalus, nie dając oczom ani chwili spoczynku. — Powiadasz, że pan Melgor mieszka dwa domy dalej?

— Tak jest. — Służący wychylił się przez próg. — O, tam, to ten dom z niebieskimi drzwiami. Nie można go nie zauważyć.

— Serdeczne dzięki, przyjacielu. Raz jeszcze przepraszam za najście.

Althalus zawrócił na ulicę, uśmiechając się od ucha do ucha. Szczęście nadal tuliło go do piersi. Rzekoma pomyłka dostarczyła mu więcej informacji, niż się spodziewał. Dzięki swemu szczęściu wyciągnął ze służącego te wszystkie ciekawostki. Nadal było jeszcze bardzo wcześnie, więc jeśli Kweso zwykł wstawać o tej godzinie, zapewne wcześnie się kładzie. O północy powinien już spać jak zabity. W starym ogrodzie wokół domu rosną duże drzewa i bujnie kwitnące krzewy, jest więc gdzie się schronić. Przedostanie się do domu to drobnostka, a teraz Althalus już wiedział, gdzie jest sypialnia Kwesa. Pozostaje tylko wślizgnąć się do środka około północy, pójść prosto do sypialni i za pomocą przytkniętego do szyi noża namówić Kwesa do współpracy. Cała sprawa nie powinna zająć wiele czasu.

Niestety, stało się inaczej. Handlarz solą wyraźnie pod pocziwą facjatą ukrywał znacznie bystrzejszy umysł, niżby się zdawało. Niedługo po północy sprytny złodziej pokonał mur i przemknął się przez ogród do domu. W środku panowała cisza, zakłócana tylko chrapaniem dobiegającym z kwater służby. Cicho jak cień Althalus dotarł do podnóża schodów i rozpoczął wędrówkę na górę.

W tym właśnie momencie rozpętało się istne piekło. Trzy psy miały rozmiary sporych cielaków, a od ich basowego szczekania dom aż się zatrzęsł w posadach.

Althalus błyskawicznie zmienił plany. Świeże nocne powietrze na ulicy wydało mu się nagle niezwykle pociągające. Psy u podnóża schodów nie zamierzały jednak rezygnować. Ruszyły w stronę intruza, obnażając szokująco wielkie kły.

Na górze rozległy się krzyki i ktoś zaczął zapalać świece. Althalus czekał w napięciu, póki psy omal go nie dopadły. Wówczas z akrobatyczną zręcznością, o którą dotąd nawet siebie nie podejrzewał, przeskoczył przez zwierzaki, sturlał się na sam dół i wybiegł na zewnątrz.

Kiedy pędził przez ogród, ścigany przez psy, usłyszał koło lewego ucha charakterystyczny świst. Ktoś z domu — albo rzekomy pocziwiec Kweso, albo jeden z jego prostodusznych służących — musiał być nadzwyczaj zręcznym łucznikiem.

Gdy Althalus wdrapywał się na mur, psy gryzły go już po nogach. Z tyłu sypały się kolejne strzały, trafiając w kamienie, których odpryski wbijały mu się w twarz. Przeturlał się na drugą stronę i opadł na ulicę. Ledwie dotknął nogami bruku, a już gnał przed siebie. Nie tak sobie to zaplanował. Po karkołomnym skoku na schodach zostały mu liczne zadrapania i siniaki, w dodatku przy forsowaniu muru skreślił nogę. Teraz musiał kuśtykać, klnąc przy tym ile wlezie.

Nagle w domu Kwesa ktoś otworzył bramkę i psy wypadły na ulicę.

Althalus poczuł, że tego już za wiele. Uznał przecież swą porażkę, biorąc nogi

za pas, ale Kwesa wyraźnie nie satysfakcjonowało samo zwycięstwo — łaknął jeszcze krwi.

Złodziej długo kluczył po zaułkach, wspinając się od czasu do czasu na ogrodzenia, aż wreszcie udało mu się zgubić napastników. Przewędrował potem przez całe miasto, jak najdalej od ekscytujących wrażeń, i usadowił się na wygodnej ławce, by pomyśleć. Cywilizowani ludzie wcale nie okazali się tacy łagodni, jak można by sądzić z pozorów, toteż uznał, że zobaczył już w mieście Deika wszystko, na czym mu zależało. Nadal jednak intrygowała go kwestia szczęścia. Dlaczego nie ostrzegło go przed psami? Może zasnęło? Już on sobie z nim pogada.

Kiedy tak siedział w ciemnościach obok tawerny w lepszej części miasta, był naprawdę w parszywym nastroju i pewnie dlatego zachował się dość brutalnie wobec dwóch dobrze ubranych gości, którzy akurat wytoczyli się na ulicę. Namówił ich mianowicie do odbycia małej drzemki, i to w bardzo stanowczy sposób: zdziełił ich w tył głowy ciężką rękojeścią swego krótkiego miecza. Potem przetransferował na siebie prawo do ich sakiewek, kilku pierścieni i niebrzydkiej bransolety, by wreszcie zostawić ofiary w pobliskim rynsztoku, pogążone w spokojnym śnie.

Napastowanie pijaków na ulicy nie było wprawdzie w jego stylu, ale teraz potrzebował pieniędzy na drogę. Ci dwaj napatoczyli się jako pierwsi, poza tym wszystko poszło zgodnie z rutyną i wiele nie ryzykował. Postanowił jednak unikać takich okazji, póki nie odbędzie długiej pogawędki ze swym szczęściem.

Po drodze ku bramom miasta zważył w rękach obie sakiewki. Były dość ciężkie i to go zachęciło do podjęcia kroku, jaki normalnie nie przeszedłby mu nawet przez myśl. Opuściwszy granice miasta, kuśtykał aż do świtu. Wreszcie napotkał zamożne z wyglądu gospodarstwo, gdzie nabył — za pieniądze — konia. Było to wbrew wszelkim zasadom, ale przed rozmową ze szczęściem wołał nie ryzykować.

Wsiadł na konia i nie oglądając się za siebie ani razu, natychmiast odjechał na zachód. Im prędzej zostawi za sobą Equero i Imperium Deikańskie, tym lepiej. Po drodze tłukło mu się po głowie pytanie: Czy geografia może mieć jakiś wpływ na ludzkie szczęście? Ta wysoce nieprzyjemna myśl nie dawała mu spokoju. Jechał posępnie zadumany.

Dwa dni później dotarł do miasta Kanthon w Treborei. Zatrzymał się przed bramami, aby się upewnić, czy osławiona — i wyraźnie ciągnąca się w nieskończoność — wojna między Kanthonem a Osthosem nie przybrała akurat na sile. Nie widząc jednak na miejscu machin oblężniczych, zdecydował się na wjazd.

Forum Kanthonu przypominało deikańskie, ale zamożni mieszkańcy, którzy przychodzili tu posłuchać przemówień, nie obnosili się z tak wyniosłymi minami,

jak arystokraci Equero, toteż Althalus nie czuł się bynajmniej urażony samą ich obecnością i raz nawet się do nich przyłączył. Mowy jednakże dotyczyły głównie oskarżeń pod adresem państwa-miasta Osthos w południowej Treborei albo narzekań na podwyżki podatków, słowem — nic ciekawego.

Potem zaczął przemierzać skromniejsze dzielnice w poszukiwaniu gospody. Zaledwie przekroczył progi nieco zrujnowanego budynku, wiedział, że jego szczęście znów zwyżkuje. Dwóch gości kłóciło się akurat zawzięcie o to, kto jest najbogatszym człowiekiem w Kanthonie.

— Omeso bije Weikora na głowę! — krzyczał jeden. — Ma tyle pieniędzy, że nawet nie potrafi ich zliczyć!

— Jasne, że nie potrafi, kretynie! Omeso nie umie zliczyć dalej niż do dziesięciu, chyba że zdejmie buty. Cały swój majątek odziedziczył po wuju, sam nigdy nie zarobił nawet miedziaka. A Weikor przebijał się w górę od samego dna, już on wie, jak się zarabia pieniądze, a nie tylko nadstawia łapę, kiedy je przynoszą na tacy. Od Omesa pieniądze uciekają tak szybko, jak tylko jest w stanie je wydawać, ale do Weikora płyną nieprzerwanym strumieniem. Za dziesięć lat Weikor będzie mógł wykupić sobie Omesa na własność, choć nigdy nie pojmę, czemu miałoby mu na tym zależeć.

Althalus zrobił w tył zwrot i wyszedł, nie zamówiwszy nawet jednego kieliicha. Usłyszał dokładnie to, czego potrzebował; najwyraźniej fortuna znów się doń uśmiechnęła. Kto wie, czy geografia rzeczywiście nie odegrała tu jakiejś roli.

Przez kilka następnych dni pilnie węszył po całym Kanthonie, wypyując o Omesa i Weikora. Ostatecznie na czoło listy wysunął się Omeso, gdyż Weikor miał reputację człowieka, który umie chronić swój ciężko zapracowany majątek. Althalus zaś stanowczo nie miał ochoty na kolejne spotkanie z rozjuszonymi brytanami.

Znów odstawił numer z pomyłonym adresem, co dało mu okazję przyjrzeć się bliżej zatraskowi frontowych drzwi Omesa. Śledząc swą ofiarę przez parę kolejnych wieczorów, wykrył, że Omeso z reguły wraca do domu dopiero o świcie, i to w stanie takiego upojenia, iż nie zauważyłby nawet pożaru. Służący znali oczywiście zwyczaj chlebobdawcy, więc także spędzali całe noce na mieście, a zatem o zachodzie słońca dom niemal zawsze świecił pustkami.

Althalus prawie natychmiast zobaczył coś, co wydało mu się zgoła niewiarygodne. Otóż dom Omesa, imponujący z zewnątrz, w środku miał stare, połamane krzesła o splewiatych obiciach i stoły, których wstydziliby się nawet nędzarze. Draperie przypominały szmaty, dywany były poprzecierane, a najlepsze świeczniki wykonane z zaśniedziałego mosiądzu. Całe wyposażenie domu krzychało głośniejsz niż słowa, że nie mieszka tu żaden bogacz. Omeso najwyraźniej przepuścił już cały spadek.

Złodziej jednak nie ustawał w wysiłkach i dopiero po skrupulatnym przeszkaniu wszystkich pokojów ostatecznie dał za wygraną, opuszczając z obrzydze-

niem dom, w którym nie było ani jednego przedmiotu wartego kradzieży.

Nadal miał pieniądze w sakiewce, więc włóczył się po Kanthonie jeszcze przez kilka dni i wtedy, przez czysty przypadek, trafił do oberży odwiedzanej przez rzemieślników. Jak zwykle na nizinach, nie podawano tam miodu i Althalus musiał się znów zadowolić kwaśnym winem. Rozejrzał się uważnie. Rzemieślnikom nie brak na ogół okazji do odwiedzin w bogatych domach, więc po chwili uznał, że warto zabrać głos:

— Może któryś z panów zechce mnie oświecić. Pewnego dnia wpadłem w interesach do domu niejakiego Omesa. Wszyscy w mieście opowiadali, jaki to z niego bogacz, ale po przekroczeniu progu nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Zobaczyłem tam krzesła o zaledwie trzech nogach i stoły tak rozchwiane, że można by je rozwalić jednym uderzeniem pięści.

— To najnowsza kanthońska moda, przyjacielu — wyjaśnił poplamiony gliną garncarz. — Nie sposób już sprzedać jednego porządnego garnka, dzbana czy gąsiora, bo każdy chce tylko wyszczerbionych albo z obtłuczonymi uchami.

— Jeśli cię to tak dziwi, zajrzyj do mojego warsztatu — odezwał się stolarz. — Miałem tam cały stos połamanych mebli, ale odkąd wprowadzili nowe podatki, nie mogę sprzedać nic nowego, a ludzie są gotowi zapłacić każdą cenę za stare rupiecie.

— Nic nie rozumiem — wyznał Althalus.

— Nie ma w tym nic skomplikowanego, cudzoziemcze — rzekł piekarz. — Nasz stary aryo opierał swe rządy na podatku od chleba. Każdy, kto jadł, pomagał państwu. Ale w zeszłym roku aryo zmarł, a tron objął jego syn, młodzieniec gruntownie wykształcony. Nauczyciele — sami filozofowie o dziwnych poglądach — wmówili mu, że podatek od zysku jest sprawiedliwszy od tamtego, bo biedni ludzie kupują głównie chleb, natomiast bogacze mają wygórowane zyski.

— A co mają do tego stare graty?

— Te graty, przyjacielu, są tylko na pokaz — wyjaśnił pochlapany zaprawą murarz. — Nasi bogacze próbują w ten sposób przekonać poborców podatkowych, że nie posiadają żadnego majątku. Poborcy oczywiście w to nie wierzą i urządzają im w domach niespodziewane rewizje. Jeśli jakiś kanthoński bogacz okaże się na tyle głupi, by mieć choćby jeden elegancki mebel, poborcy natychmiast zarządzają w jego domu zrywanie podłóg.

— Zrywanie podłóg? Po co?

— Bo to ulubione miejsce na chowanie pieniędzy. Ludzie, uważasz, upatrują sobie w posadzce parę kamieni, wykopują pod nimi dziurę i wykładają ją cegłami. Potem zamurują tam wszystkie pieniądze, których niby nie mają. Ale robią to tak nieudolnie, że każdy dureń zauważy ślady, gdy tylko wejdzie do pokoju. Co do mnie, to zbijam teraz więcej kasy, ucząc ludzi mieszać zaprawę, niż wznosząc mury. Dopiero co sam musiałem zrobić sobie taką skrytkę, bo tyle już uciulałem.

— Czemu wasi bogacze robią to sami? Nie mogą nająć sobie fachowców?

— Ależ najmowali, przynajmniej na początku, ale poborcy okazali się cwańsi. Zaczęli rozdawać nagrody każdemu, kto wskaże świeżo zamurowane miejsce. — Tu murarz zaśmiał się cynicznie. — W końcu to coś w rodzaju patriotycznego obowiązku, a i nagroda jest warta zachodu. Teraz wszyscy kanthońscy bogacze są murarzami amatorami, ale tak się dziwnie składa, że ani jeden z moich uczniów nie ma imienia, po którym mógłbym go rozpoznać. Wszyscy noszą imiona związane z przyzwoitymi zawodami. Chyba się boją, że gdyby podali mi prawdziwe, mógłbym ich wydać poborcom.

Althalus długo obracał w myślach te strzępki informacji. Prawo podatkowe filozoficznie nastawionego arya Kanthonu w większym lub mniejszym stopniu szkodziło jego interesom. Jeśli ktoś jest na tyle sprytny, by ukryć pieniądze przed poborcą podatkowym i jego doskonale wyposażoną ekipą do demolowania podłóg, to jaką szansę może mieć uczciwy złodziej? Dostać się do domu bogacza to pestka, ale perspektywa chodzenia wśród tych paskudnych gratów, kiedy w dodatku się wie o majątku ukrytym zaledwie tuż pod stopami, może przyprawić o zimny dreszcz. Co gorsza, budynki bogaczy stoją tak blisko siebie, że jeden krzyk obudzi całą okolicę. Potajemna kradzież się nie powiedzie, podobnie jak groźba użycia siły. Świadomość, że bogactwo jest tak blisko, a jednocześnie tak daleko, nie dawała Althalusowi spokoju. Uznał, że lepiej będzie natychmiast uciekać, zanim pokusa weźmie nad nim górę i zmusi do pozostania. Kanthon okazał się jeszcze gorszy od Deiki.

Althalus wyjechał następnego ranka, w wyjątkowo kiepskim nastroju kontynuując wędrowkę na zachód poprzez żyzne pola Treborei ku Perquaine. Owszem, cywilizowany świat posiada dóbr bez liku, ale ci, którzy dzięki własnej chytrności je zgromadzili, potrafią równie chytrze dbać o ich ochronę. Althalus zaczynał już tęsknić za pograniczem. Szkoda, że w ogóle kiedykolwiek usłyszał słowo „cywilizacja”.

Przeprawił się przez rzekę do Perquaine, legendarnej nizinnej krainy, gdzie — jak powiadano — ziemia jest tak żyzna, że nawet nie wymaga uprawy. Tutejsi gospodarze muszą jedynie wyjść wiosną w pole w swych odświętnych ubraniach i powiedzieć: „Pszenicę proszę!” albo: „Jęczmień, jeśli łaska!”, a potem wrócić do ciepłych łóżek. Althalus wprawdzie uważał te pogłoski za mocno przesadzone, ale w końcu nie znał się na gospodarstwie, więc może tkwiło w nich jakieś ziarenko prawdy.

W przeciwieństwie do reszty świata, Perquaińczycy czcili żeńskie bóstwo. Większości ludzi — i to po obu stronach granicy — wydawało się to głęboko nienaturalne, a jednak była w tym jakaś myśl. Cała kultura Perquaine opierała się na uprawie rozległych pól i tutejsi mieszkańcy mieli absolutną obsesję na punkcie urodzajności. W mieście Maghu największym i najwspanialszym budynkiem była świątynia Dwei, bogini płodności. Althalus zatrzymał się na chwilę, by zajrzeć do środka, i widok gigantycznego posągu niemal zwałił go z nóg. Rzeźbiarz,

który wykonał owo monstrum, musiał być kompletnym wariatem albo działać w religijnej ekstazie. Althalus przyznał jednak niechętnie, że twórca kierował się czymś w rodzaju spaczonej logiki. Płodność to macierzyństwo, a macierzyństwo to karmienie piersią. Figura wyraźnie sugerowała, iż bogini Dweia była w stanie wykarmić setki dzieci naraz.

Kraina Perquaine została zasiedlona później niż Treborea czy Equero, a jej mieszkańcy wciąż jeszcze nie wyzbyli się pewnej rubaszości, dzięki której mieli więcej wspólnego z ludnością pogranicza niż z nadętymi mieszcuchami ze wschodu. Gospody w zaniedbanych dzielnicach Maghu okazały się bardziej hałaśliwe niż w podobnych miejscach Deiki czy Kanthonu, ale tym akurat Althalus się nie przejmował. Krążył po mieście, póki nie znalazł takiej, w której goście woleli gadać, niż wszczynać burdy. Zaszył się w kącie i nadstawił ucha.

— Z kasy Druigora pieniądz aż się wylewa — opowiadał jeden bywalec druigiemu. — Zatrzymałem się kiedyś przy jego biurze i widziałem. Kasa była otwarta i tak pełna, że nie mogli docisnąć wieka.

— To całkiem zrozumiałe — odparł jego towarzysz przy stole. — Druigor bardzo śrubuje ceny. Zawsze znajdzie sposób, żeby utargować więcej od innych.

— Słyszałem, że przymierza się do senatu — wtrącił jakiś chudzielec.

— Chyba rozum stracił! Przecież się nie nadaje, nie ma żadnego tytułu.

Chudzielec wzruszył ramionami.

— Kupi go sobie. Wszędzie aż roi się od szlachetnie urodzonych, którzy w sakiewkach nie mają nic prócz tytułu.

Potem rozmowa zesłała na inne tematy, więc Althalus wstał i chyłkiem opuścił lokal. Szedł jakiś czas wąską brukowaną uliczką, póki nie napotkał znakomicie ubranego przechodnia.

— Przepraszam — zagadnął go uprzejmie — szukam biura niejakiego Druigora. Przypadkiem nie wie pan, gdzie to jest?

— Wszyscy w Maghu wiedzą, gdzie jest przedsiębiorstwo Druigora.

— Jestem tu obcy.

— No tak, to wszystko wyjaśnia. Druigor ma swój magazyn przy zachodniej bramie. Każdy w okolicy pokaże panu ten budynek.

Althalus podziękował i poszedł dalej.

Teren w pobliżu zachodniej bramy zdominowały podobne do kurników magazyny. Usłużny przechodzień wskazał Althalusowi ten, który należał do Druigora. Panował tam wielki ruch. Ludzie wchodzili i wychodzili frontowymi drzwiami, w pobliżu stały wozy z wypchanymi workami w oczekiwaniu na miejsce przy rampie ładunkowej. Althalus obserwował przez chwilę. Nieustanny strumień wchodzących i wychodzących świadczył o sporym ruchu w interesie, a to zawsze dobrze rokuje.

Althalus minął budynek i wszedł do następnego, znacznie spokojniejszego magazynu. Spocony tragarz ciągnął właśnie po podłodze ciężkie worki i ustawiał

je pod ścianą.

— Przepraszam — rzekł złodziej. — Do kogo należy ten magazyn?

— Do Garwina, ale teraz go tu nie ma.

— Ach... Szkoda, że go nie zastałem. Przyjdę później.

Althalus zawrócił do baraku Druigora i przyłączył się do oczekujących na rozmowę z właścicielem.

Kiedy nadeszła jego kolej, znalazł się w obskurnym pokoju, gdzie przy stoliku siedział mężczyzna o twardym spojrzeniu.

— Tak? — zapytał.

— Widzę, że jest pan bardzo zajęтым człowiekiem — zagaił Althalus, omiatając wzrokiem pomieszczenie.

— Owszem, więc proszę do rzeczy.

Althalus zdążył już dostrzec to, na czym mu zależało. W kącie pokoju stała pękata spizowa kasa ze skomplikowanym zatrzaskiem.

— Powiedziano mi, że porządny z pana gość, panie Garwin — oświadczył najbardziej przypochlebnym tonem, nadal bacznie rozglądając się po wnętrzu.

— Źle pan trafił. Nazywam się Druigor. Przedsiębiorstwo Garwina jest kilka domów dalej.

Althalus wyrzucił obie ręce w górę.

— Nie powinienem wierzyć temu pijakowi! Przecież kiedy mi mówił, że to tutaj, ledwie trzymał się na nogach. Chyba wrócę i dam mu w pysk. Najmocniej przepraszam, panie Druigor, odpłacę draniowi za nas obu.

— Chce się pan widzieć z Garwinem w interesach? — spytał zaciekawiony Druigor. — Mogę dać panu lepsze ceny niemal na wszystko.

— Bardzo mi przykro, ale tym razem mam związane ręce. Ten idiota, mój brat, poczynił Garwinowi pewne obietnice i w żaden sposób nie mogę się z nich wykręcić. Będę musiał po powrocie zamurować braciszкови gębę. A kiedy znów zawitam do Maghu, możemy odbyć małą pogawędkę.

— Będę na pana czekał, panie... .

— Kweso — rzucił bez zastanowienia Althalus.

— Nie jest pan czasem krewnym tego handlarza soli z Deiki?

— To kuzyn mojego ojca, ale od lat z sobą nie rozmawiają. Takie tam rodzinne niesnaski. No cóż, jest pan zajęty, panie Druigor, zatem pozwoli pan, że pójde zamienić parę słów z owym pijakiem. Potem odszukam pana Garwina i dowiem się, ile rodzinnych aktywów przepułał mój brat, ten półgłówek.

— A więc do następnego razu, tak?

— Może pan na mnie liczyć, panie Druigor.

Althalus skłonił się lekko i wyszedł.

Było już dobrze po północy, gdy sforsował drzwi od strony rampy załadow-

czej. Przez pachnący zbożem magazyn przemknął cichaczem do pokoju, w którym uprzednio rozmawiał z Druigorem. Drzwi były zamknięte na klucz, ale to nie stanowiło przeszkody. Znalazłszy się w środku, szybko skrzesał ognia i zapalił świecę na stoliku. Następnie poddał starannym oględzinom zatrask od wieka kasy. Jak zwykle zaprojektowano go tak, by odstraszyć ewentualnych ciekawskich, ale Althalus, który znał tę konstrukcję, poradził sobie w kilka minut.

Kiedy sięgał do środka, palce drżały mu z niecierpliwości.

Nie znalazł tam jednak monet. Kasa wypełniona była po brzegi kawałkami papieru. Althalus wyjął garść i bacznie im się przyjrzał. Na każdej kartce widniał jakiś obrazek, ale złodziej nie widział w nich żadnego sensu. Rzucił je na podłogę i wyciągnął następny plik. Znowu te same obrazki!

Rozpaczliwie szperał w kasie, ale nie trafił na nic, co przypominałoby pieniądze.

To w ogóle nie miało sensu! Po co ktoś przechowuje bezwartościowe papierki?

Po kwadransie dał za wygraną. Przez chwilę miał ochotę ułożyć wszystkie papierki w stos i podpalić, ale natychmiast porzucił tę myśl. Ogień mógłby się rozprzestrzenić, a płonący magazyn zwróci na siebie uwagę. Althalus wymamrotał parę soczystych przekleństw i wyszedł.

Przez jakiś czas zastanawiał się, czy nie wrócić do tawerny, którą odwiedził pierwszego dnia. Może warto zamienić parę słów z tym wałkoniem, który tak błyskotliwie opowiadał o zawartości kasy Druigora? Po namyśle jednak zrezygnował. Ciągłe porażki, jakie prześladowały go tego lata, pozbawiły go resztek cierpliwości, toteż nie mógłby dać głowy, czy będzie w stanie powstrzymać się od spuszczenia komuś łomotu. A w jego obecnym stanie ducha doszłoby do tego, co pewne kręgi nazywają morderstwem.

W kwaśnym humorze wrócił do gospody, w której trzymał konia. Resztę nocy przesiedział na łóżku, popatrując ze złością na pojedynczy paperek z kasy Druigora. Całkiem niezłe te obrazki. Po co Druigor zamykał je w kasie? Doczekawszy się ranka, Althalus obudził właściciela i uregulował rachunek. Potem sięgnął do kieszeni.

— Ach — rzekł — właśnie coś sobie przypomniałem. Znalazłem to na ulicy. Może przypadkiem wie pan, co to może znaczyć?

— Jasne, że wiem — odparł zagadnięty. — To pieniądze.

— Pieniądze? Nic nie rozumiem. Pieniądze robi się ze złota albo srebra, czasem ostatecznie z miedzi czy mosiądzu. A taki zwykły papier? Przecież to nie może być nic warte!

— Jeśli zanieś to pan do skarbcza przy senacie, wypłacą panu srebrną monetę.

— Dlaczego?

— Jest na nim pieczęć senatu, dlatego jest wart tyle samo co prawdziwe sre-

bro. Nigdy pan nie widział papierowych pieniędzy?

Althalus włókł się do stajni w poczuciu całkowitej klęski. To najgorsze lato w jego życiu. Szczęście opuściło go na dobre, najwyraźniej nie chce, by przebywał w tych stronach. W nizinnych miastach znalazł wprost niezmierzone bogactwa, ale chociaż dosłownie wychodził ze skóry, wciąż mu się wymykały z rąk. Wsiadając na konia, poprawił się jednak w myśli — przecież poprzedniej nocy miał w ręku więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek jeszcze zobaczy, ale po prostu je zostawił, bo nie wiedział, że to są pieniądze.

Nie, zdecydowanie nie ma czego tu szukać. Jego miejsce jest z powrotem na granicy. Tutaj sprawy zanadto się pokomplikowały.

W smętnym nastroju skierował konia w stronę targu, żeby przehandlować cywilizowany strój na taki, który bardziej pasuje do przygranicznych rejonów.

Handlarz go oszukał, ale tego należało się spodziewać. Tutaj biednemu złodziejowi nic nie mogło się powieść.

Nie zdziwiło go nawet, kiedy po wyjściu ze sklepu okazało się, że ktoś ukradł mu konia.

ROZDZIAŁ 2

Poczucie klęski sprawiło, że Althalus zachował się dość obcesowo wobec pierwszego człowieka, który następnej nocy przechodził koło jego kryjówki. Złodziej wynurzył się z cienia, złapał od tyłu zaskoczonego przechodnia za tunikę, a potem rąbnął z całej siły jego głową o mur. Ofiara zwisiała bezwładnie Althalusowi w rękach, co go jeszcze bardziej zdenerwowało, z niejasnych bowiem powodów spodziewał się czegoś w rodzaju walki. Wrzucił nieprzytomnego człowieka do rynsztoka i szybko zwinął mu sakiewkę. Potem — nie wiedząc czemu — zawlókł ciało w ciemne miejsce i obrabował je z całego ubrania.

Wędrując przez mroczne ulice, doszedł do wniosku, że postąpił głupio, chociaż do pewnego stopnia słusznie, gdyż w ten sposób wyraził swą opinię o cywilizacji.

Szedł dalej, ale po pewnym czasie absurdalność całego zdarzenia z jakiegoś powodu poprawiła mu humor. Ponieważ węzełek z rzeczami zaczął mu przeszkadzać, wyrzucił go, nie sprawdzwszy nawet, czy coś na niego pasuje.

Na szczęście bramy miasta były otwarte, więc Althalus opuścił Maghu, nie zwracając sobie głowy choćby jednym słowem pożegnania. Dzięki pełni księżyca miał doskonałą widoczność i ruszył prosto na północ, z każdym krokiem czując się lepiej. Do świtu zrobił kilka mil i wkrótce na horyzoncie zamajaczyły ośnieżone szczyty Arum połyskujące różowo w świetle wschodzącego słońca.

Z Maghu do podnóża gór był szmat drogi, lecz Althalus nie ustawał w marszu. Chciał czym prędzej zostawić za sobą cywilizację. Cały pomysł wyprawy na niziny okazał się kompletnie poroniony, i to wcale nie dlatego, że nie przyniósł zysku; Althalus i tak przepuszczał każdego miedziaka, jaki wpadł mu w ręce. Tym, co bolało go najwięcej, był kompletny rozbrat z własnym szczęściem. Bo tylko szczęście się liczy, pieniądze nic nie znaczą.

U schyłku lata znalazł się wreszcie na pogórzu i w pewne złociste popołudnie zatrzymał się w obskurnej przydrożnej gospodzie, bynajmniej nie z powodu wielkiego pragnienia, tylko z potrzeby rozmowy z ludźmi, których mógł zrozumieć.

— Nie uwierzyłybyś, jaki z niego tłuścioch — mówił nieźle wstawiony gość do właściciela. — Jasne, że stać go na dobre żarcie, przecież trzyma w swym skarbcu połowę bogactw Arum.

Złodziej natychmiast nadstawił uszu. Usadowił się blisko pijaka, w nadziei że usłyszy więcej.

Szynkarz przyjrzał mu się badawczo.

— Co zamawiasz, łaskawco?

— Miód — rzekł Althalus, który od miesiący nie miał w ustach ulubionego trunku, gdyż mieszkańcy nizin nie potrafili go sycić.

— Już się robi — odparł szynkarz, wracając za brudny bar.

— Nie chciałem wam przeszkadzać — zwrócił się Althalus do zawianego gościa.

— Bez urazy. Właśnie opowiadałem Arekowi o pewnym bogatym wodzu klanu na północy. Ma w swym forcie tyle monet, że nie sposób ich nawet zliczyć, bo takiej liczby jeszcze nie wynaleziono.

Gość miał czerwoną twarz i fioletowy nos zdeklarowanego pijaka, lecz Althalus nie interesował w tej chwili kolor jego gęby, tylko tunika ze skóry wilka. Ten, kto ją szył, z niewiadomych powodów zostawił uszy, które zdobiły teraz kaptur. Althalus uznał, że wygląda to wprost przepięknie.

— Jak ma na imię ów wódz, bo nie dostyszałem? — spytał.

— Gosti Pasibrzuch. Prawdopodobnie dlatego, że jedynym ćwiczeniem, jakie praktykuje, jest poruszanie szczękami. Je bez przerwy, od rana do wieczora.

— Mówiłeś, zdaje się, że go na to stać.

Pijak zaczął rozwodzić się szeroko na temat majątku grubasa, Althalus zaś udawał wielkie zainteresowanie, pilnując zarazem, by w kielichu rozmówcy nie pokazało się dno. Nim zaszło słońce, facet był zalany w trupa, a przy krześle Althalusa widniała spora kałuża miodu.

W gospodzie pojawili się tymczasem inni goście i w miarę zapadania ciemności robiło się coraz głośniejsze.

— Nie wiem, jak tam z tobą, przyjacielu — rzekł przymilnie Althalus — ale do mnie cały ten miód zaczyna już gadać. Może byśmy poszli rzucić okiem na gwiazdy?

Pijak zamrugnął mętnymi oczkami.

— To do-dos-konały pomysł — wybełkotał. — Mój miód podpowiada mi słowo w słowo to samo.

Ruszyli zgodnie do wyjścia, przy czym Althalus musiał prowadzić nowego znajomego pod ramię.

— Ostrożnie, przyjacielu... O, tu będzie w sam raz — mówił, wskazując pobliską kępę sosen.

Pijak mruknął coś na znak zgody i słaniając się na nogach, postąpił kilka kroków. Potem przystanął, dysząc ciężko, i oparł się o drzewo. Głowa opadła mu na piersi.

— Trochę mnie zamroczyło — wymamrotał.

Althalus wyciągnął zza pasa krótki miecz i chwycił go za ostrze.

— Przyjacielu. . .

Pijak podniósł ku niemu twarz. Miał głupią minę i mętne oczy.

— He?

Dostał cios w czoło ciężką rękojęcią z brązu. Odbił się od drzewa i padł twarzą na ziemię, inkasując jeszcze jeden cios, tym razem w potylicę. Althalus ukląkł i potrząsnął nim lekko, ale odpowiedziało mu tylko chrapanie.

— No, gotów — mruknął do siebie.

Odłożył miecz i zabrał się do pracy. Zdjął ofierze wilczurę i sięgnął po sakiewkę. Nie była specjalnie ciężka, za to buty prezentowały się niezgorzej. Po długiej pieszej wędrówce obuwiu niemal mu się rozpadło, więc zmiana bardzo się przydała. Wyciągnął też pijakowi zza pasa prawie nowy sztylet, czyli w sumie afera okazała się dość opłacalna. Zawlókł nieprzytomnego pijaka w ciemne miejsce, a sam włożył nową tunikę i buty.

— I tyle z tych niezmiernych bogactw — westchnął, przyglądając się z żalem swej ofierze. — Cóż, przyjdzie znowu kraść łachy i buty. . . — Wzruszył ramionami. — Ale skoro moje szczęście tak sobie życzy, mogę się i tym zadowolić.

Machnął ręką chrapiącemu pijakowi i odszedł, wprowadzając nie w euforii, ale przynajmniej w znacznie lepszym humorze niż na nizinach.

Od razu ruszył w dalszą drogę, gdyż chciał znaleźć się na ziemiach innego klanu, zanim poprzedni właściciel tuniki oprzytomnieje. Jeszcze przed południem uznał, że może już bezpiecznie zatrzymać się w wiejskiej oberży, by uczcić ewidentną odmianę losu. Tunika z wilczymi uszami nie dawała się wprowadzić porównać z nierozpoznanym bogactwem w kasie Druigora, jednak był to jakiś początek.

Właśnie w tej oberży usłyszał po raz drugi o Gostim Pasibrzuchu.

— To i owo o nim już mi się obito o uszy — oświadczył zgromadzonym obibokom. — Ale wciąż nie mogę pojąć, dlaczego przywódca klanu pozwala się tak nazywać.

— Bo go nie znasz — odparł ktoś. — To prawda, że większość wodzów mogłaby się czuć urażona, ale Gosti jest bardzo dumny ze swego brzuszyska. Często sam głośno się śmieje, że przez całe lata nie widzi własnych stóp.

— Powiadają, że jest bogaty — zagadnął Althalus, kierując rozmowę na najbardziej interesujący dla siebie temat.

— O tak, to prawda — potwierdził inny gość.

— Czyżby jego klan trafił na żyłę złota?

— Tak jakby. Kiedy wskutek niesnasek klanowych zginął jego ojciec, Gosti został przywódcą, mimo że większość członków nie miała o nim zbyt wysokiego mniemania, głównie z powodu tej tuszy. Znam zresztą jego kuzyna, niejakiego Galbaka, który ma posturę niedźwiedzia i jest groźniejszy niż wąż. Gosti postanowił wybudować most nad rzeką, uznał bowiem, że to ułatwi mu drogę na spotkania

z innymi przywódcami klanów. Most jest wprawdzie dość kiepski i tak rozklekotany, że strach nim przechodzić, ale co z tego? Rzeki nie da się pokonać w bród, bo nurt jest tak bystry, że nim się obejrzysz, wyrzuci twego trupa pół mili dalej, a ponieważ następne przeprawy oddalone są o pięć dni żmudnej drogi w każdym kierunku, ten rupieć jest wart tyle co żyła złota. Strzeże go kuzyn Gostiego i zdziera za przejście jak za zboże. Nikt przy zdrowych zmysłach nie odważy mu się sprzeciwić i w taki to sposób Gosti ściąga do swego fortu pieniądze z całego Arum.

— Ciekawe — mruknął Althalus. — Baaardzo ciekawe.

Każdy teren wymaga odrębnego podejścia. Tutaj, w górach, standardowy plan ataku polegał na wkradaniu się w łaski możnych i bogatych za pomocą zabawnych historyjek i bezczelnych żartów. Sposób ten jednak na pewno by nie podziałał w zatłoczonych miastach na nizinach, gdzie żarty i śmiech uznawano za sprzeczne z prawem.

Althalus wiedział, że historyjki, jakie opowiadano sobie po gospodach, były z reguły wyolbrzymione, ale te o bogactwie Gostiego sugerowały, że grubas ma w swym forcie przynajmniej tyle pieniędzy, by warto było podjąć trud podróży. Na miejscu się okaże, co dalej.

Idąc wciąż na północ, ku wyższym partiom gór Arum, słyszał od czasu do czasu z tyłu coś w rodzaju skowytu. Nie potrafił od razu określić, jakie zwierzę robi tyle hałasu, bo znajdowało się dostatecznie daleko. Nocą jednak zdarzało się, że głos dobiegał z bliższej odległości, i Althalus czuł lekki niepokój.

Kiedy dotarł do owego chwiejnego mostu, zatrzymał go krzepki poborca myta. Niechlujnie odziany, na ramionach miał wytatuowane znaki klanu Gostiego. Althalus omal się nie zakrztusił, kiedy usłyszał cenę za przejście, ale potraktował to jak inwestycję i zapłacił.

— Fajny masz kubraczek, przyjacielu — zauważył poborca, spoglądając z pewną zazdrością na wilczą tunikę.

— Dobrze chroni od zimna — odparł Althalus niedbale.

— Gdzieżeś to zdobył?

— W Hule. Przypadkiem spotkałem na drodze wilka. Już miał mi skoczyć do gardła i zrobić sobie ze mnie kolację, ale widzisz, chociaż w zasadzie lubię wilki, bo tak pięknie śpiewają, nie lubię ich na tyle, by dać się zjeść. Zwłaszcza gdy mam stanowić główne danie. Na szczęście miałem przy sobie kości, więc namówiłem wilka na partyjkę. W końcu to lepsze niż tarzanie się po ziemi i krwawa jatka. Ustaliliśmy stawkę i zaczęliśmy grę.

— Jaka to była stawka?

— To oczywiste: mój trup przeciw jego skórze.

Poborca parsknął śmiechem. Althalus rozwijał dalej swą historię:

— Tak się składa, że jestem najlepszym graczem na świecie. Grałiśmy moimi kośćmi, a swego czasu włożyłem wiele starań, żeby je należycie wyćwiczyć.

Teraz robią dokładnie to, czego od nich oczekuję. Krótko mówiąc, wilk miał złą passę i dlatego ja noszę jego skórę, on zaś trzęsie się z zimna w lesie Hule, bo został zupełnie goły.

Poborca rechotał na całe gardło.

— Widziałeś kiedy gołego wilka z gęsią skórą? — spytał Althalus, przybierając współczujący wyraz twarzy. — Cóż za żaloszny widok! Było mi go serdecznie żal, ale mimo wszystko zakład to zakład, a wilk przegrał. Postąpiłbym nieetycznie, gdybym oddał mu skórę, mam rację?

Poborca dosłownie wył ze śmiechu.

— Tak, tak, było mi naprawdę żal biedaka, może też czułem się nieco winny. Wiesz co, przyjacielu, będę z tobą szczerzy. Tak naprawdę to ja go oszukiwałem. I właśnie dlatego pozwoliłem mu zachować ogon. Z czystej uczciwości.

— Ach, cóż za niezwykła historia! — rechotał poborca, klepiąc Althalusa po plecach. — Gosti musi to usłyszeć!

I uparł się, że sam przeprowadzi Althalusa przez rozklekotany most i zaniebaną wioskę do górującego nad spienioną rzeką drewnianego fortu.

Weszli do zadymionej sali. Althalus odwiedził swego czasu wiele klanowych siedzib w górach Arum, więc nie dziwiło go relatywne podejście do kwestii porządku, ale sala Gostiego wyniosła niechlujstwo na wyżyny godne dzieła sztuki. Jak w większości takich pomieszczeń, w samym środku znajdował się dołek na palenisko. Brudną podłogę pokrywało sitowie, niezmieniane od co najmniej dziesięciu lat. W kątach gniły kości i inne odpadki, tu i tam drzemały psy i świnie. Althalus jeszcze nigdy nie widział, żeby świnie traktowano na równi z domowymi ulubieńcami. Z przodu sali stał stół z surowych, nieoheblowanych desek, przy nim zaś siedział najgrubszy mężczyzna, jakiego Althalus kiedykolwiek widział, i obiema rękami wpychał sobie do ust jedzenie. Nietrudno było go zidentyfikować, bo też Gosti uczciwie zasłużył na swoje przezwisko. Miał małe, świńskie oczka, a dolna warga wisiała mu aż do podbródka. Pożywił się właśnie upieczoną w całości wieprzową nogą, od której odrywał palcami wielkie kawały. Tuż za nim stał potężnie zbudowany mężczyzna o twardym, nieprzyjaznym spojrzeniu.

— Czyżbyśmy przeszkodzili w obiedzie? — mruknął Althalus do swego przewodnika.

Wytatuowany tylko się zaśmiał.

— Niezupełnie. Z Gostim nigdy nie wiadomo, jaki posiłek akurat spożywa, bo jeden następuje tuż po drugim. Gosti, uważasz, je przez cały czas. Wprawdzie nigdy tego nie widziałem, ale niektórzy przysięgają, że je nawet podczas snu. Chodź, przedstawię cię i jemu, i jego kuzynowi Galbakowi.

Podeszli obaj do stołu.

— Hej, Gosti! — zawołał wytatuowany, próbując zwrócić uwagę gospodarza. — To jest Althalus. Niech ci opowie, skąd ma tę piękną tunikę z wilczymi uszami.

— Dobra — huknął Gosti grzmiącym basem, upijając łyk miodu z rogu i zerka-
jąc z ukosa na przybysza. — Nie masz chyba nic przeciwko temu, że będę przy
tym jadł?

— Ależ skąd. Przecież widzę, że masz głodową plamkę pod paznokciem le-
wego kciuka. Na pewno nie chciałbym, żebyś zaczął się kurczyć na moich oczach.

Gosti zamrugał, po czym ryknął śmiechem, opluwając cały stół wieprzowym
tłuszczem. Galbakowi jednak nawet nie drgnęły usta.

Althalus rozdmuchał historyjkę o partii kości z wilkiem do rozmiarów epopei.
Nim zapadła noc, siedział jak przyrośnięty na krześle obok tłuszciocha, przedtem
jednak powtarzał liczne wersje opowieści, ku uciesze wielu odzianych w futra
mężczyzn, którzy pojawiali się w sali. Wymyślił też na oczekaniu kilka innych
historyjek, budzących takie same salwy wesołości. Ale choć nie ustawał w wysił-
kach, nie udało mu się wywołać choćby cienia uśmiechu na ustach olbrzymiego
Galbaka.

Całą zimę spędził, jedząc i pijąc przy stole Gostiego, a ponieważ wymyślał
coraz to nowe anegdotki, od których brzuszysko jego gospodarza trzęsło się ze
śmiechu, traktowano go z wylewną serdecznością. Wtrącane niekiedy historyjki
samego Gostiego wyraźnie nudziły jego rodaków, gdyż ograniczały się do prze-
chwałek, ile to złota trzyma w swym sejfie. Członkowie klanu znali je już chyba
na pamięć, lecz Althalus uważał, że są wręcz fascynujące.

Zima długo nie dawała za wygraną, ale wreszcie nadeszła wiosna, a do tego
czasu Althalus znał już każdy kąt siedziby Pasibrzucha.

Odnalezienie skarbcza nie nastęrczało trudności, gdyż był pilnie strzeżony.
W drugim końcu korytarza, tego samego, przy którym znajdowała się sala jadalna,
trzy schodki prowadziły do ciężkich drzwi. Masywna zasuwą z brązu sugerowała,
że w środku są prawdziwe skarby.

Althalus zauważył, że nocna zmiana nie traktuje swych obowiązków zbyt se-
rio. Do północy wszyscy strażnicy zwykle smacznie spali, co nie powinno budzić
zdziwienia po licznych dzbanach mocnego miodu.

Pozostawało już tylko czekać, aż śnieg stopnieje, i dbać o dobre stosunki za-
równo z samym Gostim, jak i z jego ponurym kuzynem. Jeśli wszystko pójdzie
gładko, trzeba będzie się śpieszyć z ucieczką. Galbak miał bardzo długie nogi,
więc gdyby złodziej ugrzązł po drodze w śniegu, olbrzym z łatwością by go do-
gonił.

Althalus zaczął teraz często wychodzić na dziedziniec, żeby sprawdzić, czy
nie nadciąga wiosenna odwilż. Kiedy ostatnia plama śniegu zniknęła z pobliskiej
przełęczy, uznał, że i na niego przyszła pora.

Skarbiec Gostiego okazał się wcale nie tak trudny do sforsowania, jak spo-
dziewał się jego właściciel. Pewnej nocy, kiedy ogień w głównej sali wypalił się
do cna, a Gosti i jego krewniacy chrapali po kątach w pijackim zamroczeniu,
Althalus przemknął się obok śpiących strażników, otworzył prostą zasuwę i wśli-

zgnął się do środka, żeby dokonać częściowego transferu prawa własności. Stał tam prymitywny stół i mocna ławka, w kącie zaś leżał stos skórzanych worków, które wyglądały na ciężkie. Althalus wziął jeden z nich i usiadł przy stole, żeby policzyć swój nowo zdobyty majątek.

Worek wielkości ludzkiej głowy był zawiązany dość luźno. Althalus niecierpliwie sięgnął do środka i wyciągnął garść monet.

Kiedy im się przyjrzał, serce mu zamarło. Wszystkie były miedziane! Sięgnął raz jeszcze i tym razem znalazło się kilka złotych krążków, ale mosiężnych, nie złotych. Wysypał na stół całą zawartość worka. . . Ani śladu złota!

Podniósł pochodnię i oświetlił wszystkie kąty — może złoto trzymane jest oddzielnie? Ale nie, stos był tylko jeden. Althalus opróżnił dwa następne worki. Teraz cały stół zasypany był miedzią, w której przebłyskiwało gdzieś trochę mosiądzu.

Drżącymi palcami otwierał kolejne worki, lecz nie znalazł ani jednej złotej monety. Więc Gosti go oszukał! Podobnie zresztą jak wszystkich mieszkańców Arum.

Althalus zaczął kłąć. Całą zimę zmarnował, towarzysząc tłuściochowi przy jedzeniu! Co gorsza, uwierzył w jego łgarstwa. Przez chwilę go kusiło, by wrócić do sali i rozplatać Gostiemu brzuch sztyletem. Opanował się, usiadł przy stole i zaczął wyławiać mosiężne krążki ze stosu miedzianych monet. Wiedział, że nie znajdzie ich tyle, by zrekompensować sobie stratę czasu, ale lepsze to niż nic.

Kiedy wyłuskał już cały mosiądz, wstał, przechylił stół i pogardliwie zsywał resztę monet na podłogę. Wściekły na cały świat, opuścił skarbiec.

Przeszedłszy przez salę, wy dostał się na zabłocony dziedziniec, a stamtąd na ulicę. Wędrując przez zapuszczoną wioskę, kłął ile wlezie własną naiwność. Dlaczego nie zajrzał przedtem do skarbcza i nie sprawdził, czy grubas mówi prawdę? Jak mógł popełnić taki błąd?

Fortuna, ta najbardziej zmienna z bogiń, raz jeszcze go wykołowała. Szczęście wcale się nie odmieniło.

Mimo gorzkiego rozczarowania rażno maszerował naprzód. Nie zostawił skarbcza Gostiego w porządku i tylko patrzeć, jak grubas się zorientuje, że go okradzione. Wprawdzie niewielki ten łup, jednak lepiej przekroczyć granice terytorium klanu — tak będzie bezpieczniej. Galbak nie wyglądał na faceta, który wzrusza ramionami, gdy mu się nadeptnie na odcisk, i Althalus zdecydowanie wołał zejść mu z drogi.

Po kilku dniach uciążliwej wędrówki uznał, że może już sobie pozwolić na uczciwy posiłek w oberży. Jak wszyscy na pograniczu nosił procę i posługiwał się nią z wielką zręcznością. Mógł łatwo trafić królika czy wiewiórkę, ale tym razem miał chęć na coś porządnego.

Był już przy wejściu do obskurnej gospody, kiedy dobiegł go strzęp rozmowy: — . . . tunika z wilczej skóry z uszami.

Cofnął się szybko, ale słuchał dalej.

— Gosti Pasibrzuch mało nie pękł ze złości — ciągnął ten sam głos. — Wychodzi, że ten Althalus jadł u niego przez całą zimę, pił jego miód, a potem z wdzięczności włamał się do skarbcza i zwinął dwa worki złota.

— Bezczelność! Mówiłeś, że jak ten złodziej wygląda?

— Podobno jest średniego wzrostu i ma czarną brodę. Rysopis pasuje do połowy mieszkańców Arum, ale facet wpadnie przez ową wilczurę. Kuzyn Gostiego, Galbak, daje olbrzymią nagrodę za jego głowę, chociaż jak dla mnie, może ją sobie schować. Co innego dwa worki złota... Dlatego właśnie wysłedzę złodzieja, wspomnisz moje słowa. Zamierzam go przedstawić końcowi mej włóczni i nawet nie będę się trudził odsyłaniem jego głowy Galbakowi. — Z gospody dobiegł cyniczny śmiech. — Nie jestem specjalnie chciwy. Dwa worki złota zupełnie mnie zadowolą.

Althalus stanął pod ścianą, klnąc z cicha. Najbardziej dopiekła mu ironia losu. Gosti rozpaczliwie pragnął, by wszyscy w Arum wierzyli w jego bogactwo, a absurdalnie wysoka nagroda miała tylko potwierdzić owe przechwałki. Gosti, wciąż jedząc obiema rękami, prawdopodobnie zaśmiewa się teraz do łez. Althalus zaś, który ukradł nie więcej niż garść mosiężnych monet, musi uciekać co sił w nogach. Gosti zyskał sławę, a Althalus cenę na swoją głowę. Depcze mu teraz po piętach zarówno sam Galbak, jak i każdy mieszkaniec Arum.

Oczywiście będzie musiał pozbyć się swej wspaniałej tuniki — to naprawdę bolesny cios. Wrócił do drzwi i zajrzał do środka, chcąc zidentyfikować człowieka, który dopiero co go opisał. Wprawdzie Gosti jest wszystkiemu winien, ale ponieważ nie ma go pod ręką, zastąpi go ów gadatliwy gość.

Althalus wrył sobie w pamięć rysy wroga, po czym zaczął się na niego zaraz za wioską.

Zmierzch już zapadał nad górami Arum, kiedy gość wynurzył się wreszcie z gospody i chwiejnym krokiem ruszył w stronę głównej drogi, pogwizdując z cicha. Miał przy sobie krótką włócznię z szerokim ostrzem.

Gwizdanie ucichło nagle, bo Althalus powalił go na ziemię, potem zawlókł nieprzytomnego w krzaki i odwrócił twarzą do góry.

— Chyba szukałeś mnie, przyjacielu — rzekł z ironicznym uśmiechem. — Chciałeś może coś przedyskutować?

Zerwał ze swego niedoszłego mordercy dzianą kapotę i nie bez żalu narzucił mu na twarz wilczą tunikę. Przebrał się w jego łachy, zabierając przy okazji sakiewkę i włócznię, po czym ruszył w dalszą drogę.

Nie miał wysokiego mniemania o obrabowanym. Był święcie przekonany, że taki głupiec nie omieszka nosić wilczury i dzięki temu skutecznie zmaci wodę. Ponieważ w rysopisie wspomiano o czarnej brodzie, Althalus zaraz po wschodzie słońca zatrzymał się przy leśnym jeziorku i z bólem serca zgolił sztyletem zarost.

Po tym zabiegu uznał, że roztropniej będzie kontynuować wędrówkę na północ raczej granią niż kanionami. Wprawdzie nie zwróci na siebie uwagi tych, którzy szukają człowieka w wilczej tunice i z czarną brodą, ale zimą przez dwór Gostiego przewinęło się tyle gości, że część z nich z pewnością bierze udział w pościgu i potrafi go rozpoznać. A jeśli nawet nie oni, to Galbak. Althalus znał dobrze Arum i wiedział, że pościg ograniczy się do kanionów, gdyż wspinaczka na grań jest ogromnie trudna, poza tym na szczytach prawie nie ma gospod, gdzie można by się wzmocnić i odpocząć. Prawdziwi Arumczycy nie oddalają się na więcej niż milę od najbliższej gospody.

Piął się więc pod górę, ale wciąż nie mógł się wyzbyć rozgoryczenia. Oczywiście nie ma mowy, by dał się złapać, jest na to za sprytny. Dręczyła go świadomość, że swą ucieczką potwierdził tylko przechwałki Gostiego: oto najchytrzejszy złodziej świata podejmuje uciążliwą podróż do Arum specjalnie po to, aby okraść ich największego bogacza. Althalus pomyślał z żalem, że pech jakoś nie chce się od niego odczepić.

Na grani leżały jeszcze resztki śniegu i trzeba było zwolnić kroku, mimo to Althalus nie ustawał w marszu. Ponieważ rzadko kiedy udawało się coś upolować, musiał nieraz obywać się po kilka dni bez jedzenia.

Z nosem na kwintę brnął uparcie na północ, kiedy znów dobiegł go ów dziwny skowyt, który słyszał jesienią w drodze do Gostiego. Najwyraźniej coś czaiło się w pobliżu. Zaczął się zastanawiać, czy czasem nie jest śledzony. Cokolwiek to było, robiło za dużo hałasu. Jękliwe wrzaski, spotęgowane przez górskie echo, porządnie działały mu na nerwy.

Był pewien, że to nie wilk. Wilki wędrują stadami, a to stworzenie było samotnikiem. W jego głosie dźwięczało coś w rodzaju rozpachy. Może ten gatunek ma teraz porę godów, a żalosne, głuche jęki stanowią sygnał, że zwierzę na gwałt potrzebuje towarzyszki. Althalus jednak zdecydowanie wolał, by szukało jej w innych stronach.

ROZDZIAŁ 3

Althalus ze smutkiem w sercu kontynuował mozolny marsz granią Arum. Oczywiście już przedtem zdarzały mu się wpadki, nikt nie wygrywa za każdym razem, lecz dawniej szczęście nie dawało długo czekać na swój powrót, a teraz... Wszystko, czego się dotknął, kończyło się klęską. Szczęście nie tylko go opuściło, ale wręcz mu szkodzi, udaremniając każde zamierzenie. Czy zrobił coś, co zmieniło miłość w nienawiść? Ta ponura myśl go prześladowała, nawet kiedy już schodził z gór w gęste lasy Hule.

Hule to miejsce w sam raz dla ofiar przeróżnych nieporozumień z sąsiednich krain. Usłużni ludzie, którzy chcieli „tylko zapewnić twemu koniowi trochę ruchu” albo zabrali czyjeś srebrne monety, „żeby je porządnie wypolerować”, zawsze znajdowali w Hule azyl. Nie było tam nic, co przypominałoby choć trochę jakiś rząd czy prawo, a gdzie brakuje prawa, nie ma też takich, co je łamią.

Althalus dotarł do Hule w bardzo podłym nastroju. Czuł ogromną potrzebę towarzystwa ludzi swego pokroju, wobec których mógłby sobie pozwolić na absolutną szczerłość, więc szybkim krokiem zmierzał przez las prosto do obozowiska niejakiego Nabjora. Człowiek ten sycił dobry miód i sprzedawał go za godziwą cenę. Miał też na podorędziu kilka młodych, pulchnych dziewczek i chętnie udostępniał je samotnym, spragnionym pociechy wędrowcom.

O przepastnych lasach Hule krążyła po cichu pewna pogłoska. Mówiono, że drzewa owej północnej krainy są olbrzymami, a podróżny może całymi dniami wędrować pod ich niezmiernym sklepieniem, nie oglądając słońca. Warstwa igliwia tworzy na ziemi gruby, wilgotny dywan tłumiący wszelkie kroki. W Hule nie ma żadnych przetartych szlaków, gdyż z drzew ustawicznie sypią się igły, zacierając zarówno ludzkie, jak zwierzęce ślady.

Obóz Nabjora leżał na małej polance, u brzegu strumyczka szemrzącego wesoło wśród brunatnych skał. Althalus musiał zachować pewną ostrożność; człowiek, który podobno dźwiga dwa worki złota, nie pcha się przecież tak od razu na widok publiczny. Zanim podszedł bliżej, obserwował przez jakiś czas obóz zza zwalonego drzewa. Dopiero kiedy się upewnił, że w pobliżu nie ma nikogo z Arum, podniósł się i wyszedł z cienia.

— Hej ho, Nabjorze! — zawołał. — To ja, Althalus. Nie denerwuj się, nad-

chodzę!

Gospodarz tego obozowiska zawsze miał pod ręką ciężki topór z brązu, który służył mu do utrzymywania porządku i pomagał w dyskusjach ze zbyt ciekawymi intruzami, więc niespodzianki nie były wskazane.

— Witaj, Althalusie — zagrział Nabjor. — Już myślałem, że Equerosi albo Treboreanie powiesili cię na jakimś drzewie.

— Nie, nie. Jakoś trzymam się ziemi, chociaż wiele nie brakowało. Czy twój miód już dojrzał? Bo ostatnio był ździebko nieustały.

— Sam spróbuj. Ostatnia partia jest całkiem, całkiem.

Althalus wszedł na polanę i przyjrzał się staremu przyjacielowi. Nabjor był krępkim chłopem o brązowych włosach i brodzie. Miał wielki, bulwiasty nochał, chytre oczka i nosił tunikę z baraniej skóry kudłami na wierzch. Robił doskonałe interesy na sprzedaży miodu i udostępnianiu dziewczek. Kupował też różne rzeczy, nie stawiając zbędnych pytań ciężko pracującym złodziejom.

Uścisnęli sobie ręce.

— Siadaj, przyjacielu — zapraszał Nabjor. — Zaraz przyniosę miodek i opowiesz mi o cudach cywilizacji.

Kiedy nalewał do glinianych kubków spieniony trunek, Althalus przysiadł na balu przy ognisku, na którym skwierczał udziec leśnego bizona.

— Jak ci tam poszło? — spytał Nabjor, wręczając mu kubek.

— Parszywie.

— Aż tak źle? — zdziwił się gospodarz, zajmując miejsce po drugiej stronie ognia.

— A nawet gorzej. Nie sądzę, by ktoś znał słowo, które mogłoby odmalować stan rzeczy. Rzeczywiście udał ci się ten miód.

— Wiedziałem, że będzie ci smakował.

— Wciąż masz te same ceny?

— Nie martw się dziś o cenę. To przyjacielski poczęstunek.

Althalus podniósł kubek.

— Za przyjaźń! — zawołał, upijając spory łyk. — W całej cywilizacji nikt nie robi miodu. W gospodach podają tylko kwaśne wińsko.

Nabjor pokręcił głową z niedowierzaniem.

— I to ma być cywilizacja?

— Jak tam interesy? — zmienił temat Althalus.

— Nie najgorzej. To miejsce zaczyna nabierać rozgłosu. Prawie wszyscy w Hule wiedzą, że nigdzie nie ma takiego miodu po rozsądnej cenie jak u Nabjora. Jeśli kto życzy sobie towarzystwa pięknej pani, także je tu znajdzie. A gdyby przypadkiem miał przy sobie jakiś cenny przedmiot i chciał go upłynnić bez krępujących pytań, chętnie podejmę dyskusję.

— Nieźle się zabawisz i umrzesz bogaty, Nabjorze.

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym bogato żyć. No dobra, żyję tu na odludziu, więc opowiadaj, co słyhać na nizinach. Nie widziałem cię ponad rok, więc pewnie masz co opowiadać.

— Lepiej zbierz siły, Nabjorze — ostrzegł go Althalus. — To nie będzie przyjemna historia.

Po czym opisał mu swe przygody w Equero, Treborei i Perquaine, co zabrało mu sporo czasu.

— Straszne! — rzekł Nabjor. — Czy absolutnie nic ci się nie powiodło?

— Nie. Doszło do tego, że musiałem stuknąć w łeb gościa wychodzącego z oberży, by mieć na następny posiłek. Szczęście się na mnie wypięło, przyjacielu. Od półtora roku wszystko, czego się dotknę, obraca się przeciw mnie. Z początku myślałem, że po prostu szczęście nie poszło ze mną na niziny, ale w Arum także nie było lepiej.

I opowiedział, co go spotkało na dworze Gostiego.

— Faktycznie masz problem — zauważył Nabjor. — A przecież właśnie szczęście przyniosło ci taką sławę. Pomyśl, w jaki sposób znów je przeciągnąć na swoją stronę.

— O niczym innym nie marzę, ale nie mam pojęcia, jak tego dokonać. Dotąd zawsze los mi sprzyjał bez żadnych wysiłków z mojej strony. Gdyby szczęście miało gdzieś świątynię, ukradłbym kozła i złożyłbym go w ofierze na ołtarzu, chociaż przy moim obecnym pechu zwierzak by mnie skopał, zanim poderznąłbym mu gardło.

— Ach, rozchmurz się, Althalusie! Przecież musi ci się w końcu odmienić na lepsze.

— Też mam taką nadzieję. Bo gorzej już być nie może.

I w tym momencie Althalus znowu usłyszał zza drzew w tyle ów rozpaczliwy skowyt.

— Nie wiesz, co to może być za zwierzę? — spytał.

Nabjor przechylił głowę i zaczął pilnie słuchać.

— Nie jestem pewien. Może niedźwiedź?

— Nie, nie przypuszczam. Niedźwiedzie nie wyją tak, krążąc w kółko po lesie. A ta bestia nie przestaje za mną wyc od Arum.

— Może słyszała kłamstwa Gostiego i teraz czyha na twoje złoto?

— Bardzo śmieszne — mruknął z sarkazmem Althalus.

Nabjor uśmiechnął się z przymusem. Potem zabrał oba kubki i napełnił je ponownie.

— Masz — powiedział, wracając do ognia. — Zalej robaka i nie przejmuj się zwierzętami. One boją się ognia, więc cokolwiek wyje za drzewami, na pewno tu nie przyjdzie.

Wypili jeszcze parę kubków. Złodziej zauważył, że po obozie kręci się nowa dziewczka o figlarnych oczach i prowokacyjnych ruchach. Uznał, że warto poznać

ją nieco bliżej, bo bardzo teraz potrzebował towarzystwa.

Został więc u Nabjora na jakiś czas, by nacieszyć się oferowanymi tu rozrywkami. Miodu było, ile dusza zapagnie, na różnie zawsze obracał się udziec z leśnego bizona, na wypadek gdyby kogo morzył głód, a dziewczyna o figlarnych oczach okazała się nadzwyczaj utalentowana. Poza tym od czasu do czasu pojawiali się inni złodzieje — z reguły starzy znajomi — więc wszyscy razem spędzali rozkoszne godziny przy napitku, pogawędkach i towarzyskich partyjkach kości. Po zeszłorocznych porażkach Althalus naprawdę był spragniony odrobiny relaksu. Musiał koniecznie ukoić jakoś nerwy i odzyskać dobry humor. Jego wkładem do puli zawsze bywały dowcipy i anegdota, a ponurakom żarty na ogół kiepsko wychodzą.

Skromny zasób miedzianych monet powoli się kończył, sakiewka stawała się coraz lżejsza i Althalus z żalem myślał, że należy wziąć się do roboty.

I oto pod koniec lata, w pewien wietrzny dzień, kiedy rozpędzone chmury coraz to przysłaniały słońce, w obozie Nabjora pojawił się podróżny o głęboko osadzonych oczach i czarnych ulizanych włosach, na kudłatym szarym koniu. Zeskoczył z wytartego siodła i podszedł do ognia, by ogrzać sobie ręce.

— Miodu! — warknął.

— Nie znam cię, przyjacielu — rzekł podejrzliwie Nabjor, przebijając znacząco palcami po swym toporze. — Najpierw muszę zobaczyć pieniądze.

Obcemu stwardniał wzrok. Bez słowa potrząsnął ciężkim skórzanym mieszkiem.

Althalus przyglądał mu się z ukosa. Przybysz nosił na głowie coś w rodzaju hełmu, sięgającego mu z tyłu aż po ramiona. Na czarnym skórzanym kubraku miał przyszyte grube plakietki z brązu, a całą postać okrywał długi czarny płaszcz z kapturem. Althalusowi zaświeciły się oczy. Płaszcz na pewno pasowałby na niego, szczególnie gdyby obcy wypił za dużo miodu i potem zasnął... Miał zresztą jeszcze za pasem ciężki miecz i wąski sztylet.

Rysy przybysza sprawiały dziwne, archaiczne wrażenie; twarz wydawała się jak z gruba ciosana. Althalus jednak nie zwracał większej uwagi na twarz, interesował go raczej ewentualny tatuaż klanu z Arum, gdyż w tym akurat czasie wolał nie spotykać na swej drodze żadnych Arumczyków. Ale obcy nie miał wytatuowanych rąk, więc złodziej odetchnął z ulgą.

Czarnowłosa przybysz siedział samotnie na balu po przeciwnej stronie paleńska i przyglądał się Althalusowi badawczo. Może z powodu jakiejś gry światła tańczące płomienie odbijały się w jego oczach, co złodzieja wytrącało nieco z równowagi. Nie co dzień spotyka się człowieka o tak ognistym spojrzeniu.

— Widzę, że wreszcie cię znalazłem — odezwał się przybysz głosem o dziwnym akcencie.

Wyraźnie nie zwykł owijać niczego w bawełnę.

— Szukałeś mnie? — spytał Althalus, starając się, by zabrzmiało to jak najspokojniej; w końcu na jego głowę wyznaczono w Arum nagrodę, a rozmawiał z człowiekiem uzbrojonym po zęby.

Przesunął swój miecz tak, by rękojeść miec tuż przy dłoni.

— Od jakiegoś czasu — odparł przybysz. — Namierzyłem cię jeszcze w De-ice. Dotąd tam sobie opowiadają, jak szybko biegasz, gdy gonią cię psy. Śledziłem cię do Kanthonu w Treborei, a potem do Maghu w Perquaine. Druigor wciąż jeszcze się zastanawia, czemu wysypałeś wszystkie pieniądze na podłogę i nic nie zabrałeś.

Althalus się skrzywił.

— Nie wiedziałeś, że to są pieniądze, prawda? — zauważył przybysz chytrze. — Jechałem za tobą aż do Arum. Jest tam pewien grubas, któremu zależy na tobie jeszcze bardziej niż mnie.

— Wątpię — rzekł Althalus. — Gosti chce, żeby ludzie wierzyli w jego bogactwo, a ja jestem jedynym człowiekiem w okolicy, który wie, że w jego skarbcu nie ma nic prócz miedziaków.

Przybysz wybuchnął śmiechem.

— Tak myślałem. Te lamenty po rzekomym rabunku brzmiały nieco fałszywie.

— A właściwie dlaczego mnie szukasz? — wrócił do tematu Althalus. — Ubierasz się jak mieszkańcy Nekwerosu, a ja nie byłem tam od lat i z całą pewnością niczego ci nie ukradłem.

— Uspokój się, Althalusie, i przesun miecz tak, żeby nie uwierał cię w zębra. Nie zamierzam oddać twojej głowy Gostiemu. Co byś powiedział na mały interes?

— To zależy.

— Nazywam się Ghend i potrzebuję obrotnego złodzieja. Czy słyszałeś kiedy o krainie Kagwher?

— Byłem tam kilka razy. Oni uważają, że każdy przybysz kombinuje tylko, jak by tu się dostać do ich kopalni złota i napchać sobie kabzę. Czy miałbym dla ciebie kraść złoto? Wyglądasz mi na faceta, który takie sprawy załatwia we własnym zakresie, więc czemu chcesz płacić?

— Nie tylko na twoją głowę wyznaczono cenę, Althalusie — odparł Ghend z bolesną miną. — Jestem pewien, że gdybym akurat teraz wjechał do Kagwheru, nie zachwyciłoby mnie powitanie. Tak czy inaczej jest w Nekwerosie ktoś, kto trzyma mnie w szachu i nie należy do osób, które chciałbym rozczarować. Ten ktoś kazał mi wydostać z Kagwheru pewną rzecz. To stawia mnie w ciężkiej sytuacji, rozumiesz. Ty też znalazłbyś się w opałach, gdyby ci kazano udać się po coś do Arum, prawda?

— No tak, rozumiem. Ale muszę cię ostrzec, moje usługi nie są tanie.

— Wcale tego nie oczekiwałem, Althalusie. Rzecz, której pragnie mój przyjaciel, jest dość duża i ciężka. Jeśli ją dla mnie ukradniesz, zapłacę ci w złocie tyle,

ile waży.

— Właśnie zdobyłeś moją niepodzielną uwagę.

Błyszczące oczy Ghenda zaświeciły się jeszcze mocniej.

— Czy rzeczywiście jesteś tak dobrym złodziejem, jak powiadają?

— Jestem najlepszy — odparł Althalus, wzruszając ramionami.

— On ma rację, cudzoziemcze — wtrącił się Nabjor, stawiając przed Althalusem nowy kubek miodu. — Potrafi ukraść dosłownie wszystko, co ma dwa końce albo wierzch i dno.

— To może być lekka przesada — zastrzegł się Althalus. — Na przykład rzeka ma dwa końce, jezioro zaś wierzch i dno, a nie ukradłem dotąd ani jednego, ani drugiego. Czegóż to tak bardzo pożąda ten gość z Nekwerosu? Chodzi o jakiś klejnot czy coś w tym rodzaju?

— Nie, to nie jest klejnot — odrzekł Ghend, w którego oczach błysnęła chciwość. — On chce pewnej księgi i za nią gotów jest płacić złotem.

— Znów wymówiłeś ów magiczny wyraz: „złoto”. Mógłbym tego słuchać przez cały dzień, ale teraz dochodzimy do sedna sprawy. Co to, u licha, jest księga?

Ghend rzucił mu ostre spojrzenie. Błysk płomieni znów rozjarzył mu oczy czerwoną poświatą.

— Więc dlatego wysypałeś pieniądze Druigora na podłogę! Nie wiedziałeś, że to banknoty, bo nie umiesz czytać, tak?

— Czytanie jest dobre dla kapłanów, mój Ghendzie, a tych staram się unikać jak zarazy. Każdy obiecuje mi miejsce przy stole swego boga, jeśli tylko oddam mu zawartość sakiewki. No cóż, jadalnie bogów to z pewnością miłe miejsca, tylko żeby się tam dostać, trzeba najpierw umrzeć, a ja na razie nie jestem aż tak głodny.

Ghend zmarszczył brwi.

— To może nieco skomplikować sprawę. Księga jest zbiorem stron, które ludzie czytają.

— Nie muszę umieć czytać, żeby ją ukraść. Chcę tylko wiedzieć, jak wygląda i gdzie się znajduje.

— Może masz rację — mruknął Ghend jakby do siebie. — Przypadkiem mam przy sobie jedną księgę. Pokażę ci, żebyś wiedział, czego szukać.

— No właśnie. Dawaj no ją tutaj, to sobie obejrzę. Przecież nie muszę wiedzieć, co w niej jest.

— Nie, wcale nie musisz — zgodził się Ghend.

Podszedł do konia, z juków wyjął duży prostokątny przedmiot i przyniósł do ognia.

— Jest większa, niż myślałem — zauważył Althalus. — To po prostu pudło.

— Ważne jest to, co w środku — wyjaśnił Ghend, podnosząc wieko. Wyciągnął szeleszczący arkusz jakby wysuszonej skóry i podał Althalusowi. — Tak oto

wygląda pismo. Jeśli kiedy znajdziesz podobne pudło, powinienes je otworzyć i sprawdzić, czy zawiera takie arkusze, a nie guziki czy narzędzia.

Althalus podniósł kartę w górę i oglądał ją uważnie.

— Co za zwierzę ma tak cienką skórę?

— Biorą kawałek krowiej skóry i tną ją nożem na cienkie płyty, a potem rozprasowują i suszą. Jak jest już całkiem sztywna, można na niej pisać, żeby inni mogli to przeczytać.

— Już kapłani wiedzą, jak komplikować sprawy — westchnął Althalus, przypatrując się linijkom starannego pisma. — To jakiś rodzaj obrazków, no nie?

— One nazywają się „pismo”. — Ghend wziął patyk i nakreślił na ziemi krzywą linię. — Patrz, to znaczy „krowa”. Ta linia przypomina krowi róg.

— Myślałem, że trudno jest nauczyć się czytać. Tymczasem rozmawiamy za ledwie od kilku minut i proszę, już umiem!

— Pod warunkiem że chcesz czytać tylko o krowach — burknął pod nosem Ghend.

— Na tej stronie nie ma nic o krowach — zauważył Althalus.

— Trzymasz ją do góry nogami.

— Ach! — Althalus odwrócił arkusz i studiował go pilnie przez chwilę. Z całkiem niezrozumiałego powodu kilka ze starannie nakreślonych symboli przyparowało go o zimny dreszcz. — Nic z tego nie rozumiem — przyznał — ale to w końcu nieważne. Dość mi wiedzieć, że mam szukać czarnego pudła z arkuszami skóry w środku.

— Tamto pudło jest białe i trochę większe od tego. — Ghend podniósł swą księgę. Na wieku widniały czerwone symbole, takie same jak te, które zmroziły Althalusa.

— O ile większe?

— Jest długości i szerokości mniej więcej twojego przedramienia. I grube na długość twojej stopy. — Ghend wyjął mu z rąk arkusz i z pietyzmem schował z powrotem do pudła. — No jak? Interesuje cię moja propozycja?

— Jeszcze kilka szczegółów. Gdzie dokładnie znajduje się ta księga i jak pilnie jest strzeżona?

— Jest w Kagwherze, w Domu na Końcu Świata.

— Wiem, gdzie leży Kagwher, ale nie miałem pojęcia, że świat się tam kończy. W jakim kierunku mam iść?

— Na północ. To ta część, gdzie zimą nie widzi się słońca, a latem nie ma nocy.

— Dziwne miejsce do zamieszkania.

— To prawda. Właściciel księgi nie mieszka tam od wielu lat, więc nikt ci nie przeszkodzi w kradzieży.

— Bardzo wygodnie. Mógłbyś mi podać kilka punktów orientacyjnych? Szybciej się idzie, kiedy zna się teren.

— Idź po prostu wzdłuż Krawędzi Świata. Jak zobaczysz dom, będziesz wiedział, że jesteś na miejscu. To jedyny budynek w okolicy.

Althalus napił się miodu.

— Wygląda to dość prosto. A kiedy już ukradnę księgę, gdzie mam cię szukać, żebyś mi zapłacił?

— Sam cię znajdę, Althalusie. — Płonące oczy Ghenda rozjarzyły się jeszcze bardziej. — Możesz mi wierzyć, znajdę cię.

— Przemyślę to sobie.

— Więc się decydujesz?

— Powiedziałem, że muszę pomyśleć. A teraz napijmy się jeszcze miodu... w końcu ty stawiasz.

Rano Althalus nie czuł się zbyt dobrze, ale po kilku kubkach udało mu się pozbyć drżenia rąk i ugasić ogień w brzuchu.

— Nie będzie mnie przez jakiś czas, Nabjorze — zawiadomił przyjaciela. — Pożegnaj ode mnie tę dziewczkę, co strzela oczami, i powiedz jej, że jeszcze wrócę.

— Więc jednak to zrobisz? Ukradniesz księgę dla Ghenda?

— Podstuchiwałeś!

— Oczywiście. Jesteś pewien, że masz na to ochotę? Ghend wciąż gada o złocie, ale nie przypominam sobie, żeby ci pokazał choć jedną sztukę. Łatwo powiedzieć „złoto”, trudniej udowodnić, że się je ma.

Althalus wzruszył ramionami.

— Jak nie zapłaci, nie dam mu księgi. — Spojrzał na skulonego pod eleganckim płaszczem Ghenda. — Kiedy się obudzi, powiedz mu, że przyjmuję robotę i jestem już w drodze.

— Naprawdę tak mu ufasz?

— Tak mu ufam, że mam chęć go rąbać — zaśmiał się cynicznie Althalus. — Sądząc z ceny, jaką mi obiecał, po skończonej robocie mogę spodziewać się zbiorów z długimi nożami. Poza tym z reguły przedmiot kradzieży jest wart dziesięć razy więcej niż proponowana cena. Nie, Nabjorze, absolutnie nie ufam Ghendowi. Wczoraj w nocy uchwyciłem kilka razy jego wzrok. Zauważyłem wówczas, że choć ogień dawno wygasł, oczy nadal mu płonęły czerwonym blaskiem. I jeszcze ten arkusz... Większość obrazków wydawała się całkiem zwyczajna, ale kilka błyszczało czerwienią tak jak oczy Ghenda. Niby miały oznaczać jakieś słowa, ale wołałbym nigdy takich słów nie słyszeć.

— Więc czemu się zgodziłeś?

Althalus westchnął.

— Normalnie nigdy bym na to nie poszedł. Nie ufam facetowi i wcale go nie lubię. Ale ostatnio szczęście traktuje mnie podle, więc muszę brać, co dają, póki znów mnie nie pokocha. Robota wygląda dość prosto, mam tylko udać się

do Kagwheru, odnaleźć pusty dom i ukraść białe skórzane pudło. Każdy głupi to potrafi, ale Ghend złożył ofertę właśnie mnie i zamierzam z niej skorzystać. Łatwa praca, dobra płaca, więc jeśli wyjdę z tego cało, fortuna może zmienić zdanie i znacznie mnie uwielbiać, jak przedtem.

— Wyznajesz bardzo dziwną religię, Althalusie.

Złodziej wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Ta religia pracuje dla mnie, Nabjorze. Nie potrzebuję nawet kapłana, który by za mną orędownął i pobierał za to połowę moich dochodów. — Obejrzał się na Ghenda. — Jakież jestem bezmyślny! O mało co zapomniałbym zabrać mój nowy płaszcz! — Podszedł do śpiącego, ostrożnie zdjął zeń czarną wełnianą opończę i narzucił sobie na ramiona. — Co o tym myślisz? — zapytał Nabjora, przybierając stosowną pozę.

— Jak na ciebie szyta — zachichotał tamten.

— Bo pewnie była. Ghend musiał mi ją skraść, kiedy zajmowałem się czymś innym. — Althalus cofnął się o parę kroków, wygrzebał z kieszeni kilka mosiężnych monet i wręczył je Nabjorowi. — Wyświadczyć mi przysługę, dobrze? Ghend wypił wczoraj sporo miodu. Zauważyłem, że źle znosi trunek, więc pewnie po przebudzeniu będzie się kiepsko czuł. Daj mu tyle lekarstwa, ile zdoła wypić, a jeśli jutro znowu będzie niezdrowy, powtórz kurację. Gdyby pytał, co się stało z płaszczem, zmień temat rozmowy.

— Czy konia także mu zabierzesz? Lepiej jechać, niż iść pieszo.

— Kiedy doszczętnie osłabnę, zacznę żebrać przy drodze. Koń tylko by mi przeszkadzał. Utrzymuj Ghenda przez tydzień pod gazem, jeśli zdołasz. Zanim wytrzeźwieje, chcę być już daleko w górach Kagwheru.

— Mówił, że boi się tam jechać.

— Nie chce mi się w to wierzyć. Przypuszczam, że nie boi się całego Kagwheru, tylko tego domu, do którego mnie wysyła. Zna zresztą drogę, więc wolę, żeby nie wylazł nagle z krzaków, kiedy będę stamtąd wychodził z księgą pod pachą. Dlatego opiekuj się nim tak, żeby nie miał ochoty stąd wyjeżdżać.

— Po to tu jestem, Althalusie. Wszyscy spragnieni i chorzy mają we mnie przyjaciela, a mój miód to najlepsze lekarstwo na świecie. Potrafi uleczyć nawet deszczowy dzień i pewnie wskrzesiłby nieboszczyka, gdybym namówił go do przełknięcia paru łyków.

— Ładnie powiedziane — rzekł Althalus z podziwem.

— Jak sam zawsze powiadasz, mam swoje sposoby na słowa.

— Podobnie jak na miód. Bądź przyjacielem Ghenda, Nabjorze, i nie dopuść, żeby mnie śledził. Nie cierpię, kiedy mnie kto śledzi przy robocie, więc lepiej niech pije u ciebie na zdrowie, żeby nie musiał go uciszyć na zawsze gdzieś w górach.

ROZDZIAŁ 4

W gęstych lasach Hule była już pełnia lata, dzięki czemu Althalus mógł wędrować szybciej niż w mniej przyjemnych porach roku. Ogromne drzewa utrzymywały na ziemi stały mrok, a gruby dywan igieł utrudniał rozrost poszycia.

Althalus zawsze miał się w Hule na baczności, ale tym razem przemierzał lesne ostępy ze zdwojoną ostrożnością. Człowiek, od którego odwróciło się szczęście, musi naprawdę bardzo uważać. Chociaż inni wędrowcy także należeli do bractwa banitów, starał się ich unikać. Wprawdzie w Hule nie istniało prawo, ale obowiązywały pewne zasady postępowania, których lekceważenie mogło się źle odbić na zdrowiu. Jeśli uzbrojony mężczyzna nie życzył sobie towarzystwa, lepiej było się nie narzucać.

Niedaleko zachodniej granicy z Kagwherem Althalus zetknął się jednak z innymi mieszkańcami lasu, którzy zapewnili mu trochę mocnych przeżyć. Na jego trop wpadła bowiem wataha potężnych wilków. Althalus nigdy tak naprawdę nie rozumiał wilczej natury. Większość zwierząt nie traci czasu na coś, co trudno jest upolować i zjeść, natomiast wilki gustują w wyzwaniach. Potrafią gonić ofiarę przez wiele dni dla samej przyjemności pościgu. Althalus mógł sobie dowcipkować na ich temat, ale czuł, że wilki z Hule raczej nie znają się na żartach.

Dlatego z niejaką ulgą powitał góry Kagwheru, gdzie drzewa rosły na tyle rzadko, że wataha wydała pożegnalny zew i zawróciła.

Jak powszechnie wiadomo, w Kagwherze jest złoto, co sprawia, że z tamtejszymi mieszkańcami trudno wytrzymać. Złoto, jak zauważył Althalus, przedziwne rzeczy wyprawia z ludźmi. Facet z paroma miedziakami w kieszeni może być najweselszym kompanem w świecie, ale niech no tylko zdobędzie trochę złota, zaraz staje się podejrzliwy, nieprzyjazny i potrafi myśleć tylko o złodziejach.

Kagwherczycy wynaleźli urocze w swej prostocie środki, mające odstraszyć przechodniów od ich kopalń i owych strumieni, gdzie gładkie, okrągłe samородki leżały między zwykłymi otoczakami tuż pod powierzchnią wody. Ilekroć podróżny trafia na słupek zwieńczony czaszką, wie, że wstąpił na teren zakazany. Wśród czaszek zdarzały się zwierzęce, ale w większości należały do ludzi, więc przesłanie było zupełnie jasne.

Ze strony Althalusa kopalniom Kagwheru nic nie zagrażało. Z wydobywaniem

złota w górach wiązało się mnóstwo morderczej pracy i inni ludzie nadawali się do niej znacznie lepiej. On był złodziejem, więc święcie wierzył, że zarabianie na życie pracą jest nieetyczne.

Wskazówki Ghenda okazały się niezbyt ścisłe, lecz Althalus wiedział, że jego pierwsze zadanie polega na odszukaniu Krawędzi Świata. Niestety, nie miał pojęcia, jak owa krawędź wygląda. Może to jakiś mglisty obszar, gdzie nieprzeczuwający niczego podróżny wpada zniemacka do królestwa gwiazd i wszelki ślad po nim ginie? Jednakże słowo „krawędź” sugerowałoby raczej coś w rodzaju ostrego brzegu — na przykład linii wyraźnie oddzielającej ziemię od gwiazd albo solidnego muru czy schodów ciągnących się aż do tronu jakiegoś kagwherskiego boga.

Althalus nie miał żadnego konkretnego systemu wiary. Wiedział, że jest dzieckiem fortuny i nawet jeśli ostatnio rozminęli się z sobą nieco, ufał, że niedługo znów do niej przylgnie. Władca wszechświata był jednak dość oddalony. Bez względu na to, jakie imię nosi, powinien się skupić na dyrygowaniu wschodami i zachodami słońca, porami roku i fazami księżyca, a nie ulegać sugestiom. Krótko mówiąc, Althalus i bóg pozostawali w całkiem poprawnych stosunkach i nie wchodzili sobie nawzajem w paradę.

Ghend mówił, że Krawędź Świata leży na północy, więc kiedy Althalus dotarł do Kagwheru, wybrał drogę w lewo, zamiast tej prowadzącej w góry, gdzie mieściły się kopalnie złota pilnowane przez zaborczych mieszkańców.

Kilku skromnie odzianych brodatych mężczyzn, których napotkał podczas wędrówki, nie chciało rozmawiać o Krawędzi Świata. Najwyraźniej był to jeden z omijanych tematów. Althalus zetknął się z tym dziwactwem już wcześniej i zawsze go irytowało. Przecież rzecz nie zniknie, jeśli nie będzie się o niej mówić i nie pomogą tu nawet największe słowne akrobacje.

W miarę marszu na północ robiło się coraz zimniej. Coraz rzadziej też rozsiane były wioski, aż wreszcie skończyły się na dobre i Althalus znalazł się sam na kompletnym pustkowiu. Pewnej nocy siedział przy dogasającym ognisku, ciasno owinięty nową opończą, kiedy nagle zauważył coś, co pozwoliło mu sądzić, że zbliża się do celu. Góry na wschodzie ledwie zaczynał okrywać zmierzch, lecz ku północy, gdzie było już zupełnie ciemno, niebo stało w ogniu.

Wyglądało to jak wyczarowana na poczekaniu tęcza, ale nie w kształcie zwykłego łuku, tylko rozmigotanej kurtyny pulsującego, wielobarwnego światła, które przesuwało się po niebie falami. Althalus nie był specjalnie przesądny, lecz pożaru na niebie nie da się skwitować wzruszeniem ramion.

Z miejsca dokonał korekty swych planów. Ghend wprawdzie mówił mu o Krawędzi Świata, ale nie zająknął się ani słowem na temat nieba w ogniu. Coś go w tych stronach przerażało, chociaż nie wyglądał na człowieka, który łatwo daje się zastraszyć. Althalus postanowił kontynuować poszukiwanie. W grę wchodziło

złoto, a co ważniejsze, istniała szansa pozbycia się pecha towarzyszącego mu od ponad roku. Ten ogień jednak uruchomił w jego głowie wielki dzwon: najwyższa pora, żeby zacząć się mieć na baczności i rozglądać uważnie dookoła. Jeśli wydarzy się więcej niecodziennych zjawisk, trzeba będzie poszukać innej roboty — może w Ansu, a może na południowych nizinach Plakandu.

Tuż przed wschodem słońca obudził go ludzki głos. Althalus wyczołgał się spod płaszcza, sięgając po włócznie. Wprawdzie słyszał tylko pojedynczy głos, ale ten, kto mówił, zdawał się prowadzić rozmowę. Zadawał pytania i wyraźnie oczekiwał odpowiedzi.

Mówiący okazał się zgiętym wpół staruszką wspartym na kiju. Miał brudne siwe włosy i brodę, mizerną, porytą zmarszczkami twarz i oczy szaleńca. Ubrany był niechlujnie w nadgniłe strzępy futra powiązane postronkami ze ścięgien czy też skręconych jelit. Gestykułował zawzięcie, rzucając od czasu do czasu trwożne spojrzenia na bezbarwne już niebo.

Althalus odetchnął z ulgą. Ten człowiek nie stanowił zagrożenia, a w jego stanie nie było nic niezwykłego. Ludzie na ogół żyją, ile trzeba, ale jeśli ktoś przypadkiem minie wyznaczony termin śmierci, z jego umysłem zaczynają się dziać dziwne rzeczy. Przydarza się to zwykle zgrzybiałym staruszkom, choć młodzi także nie zawsze przestrzegają terminu. Niektórzy uważają, że owi szaleńcy są opanowani przez demony, jednak sprawa była znacznie bardziej złożona. Althalus wolał własną teorię: to są zwykli ludzie, którzy żyją za długo. Szwendanie się po świecie, kiedy dawno powinno się leżeć w grobie, każdego przyprawiłoby o szaleństwo. Dlatego właśnie mówią do nieistniejących ludzi czy rzeczy i widzą to, czego nie widzi nikt inny. Nie są groźni, toteż zwykle zostawiał ich w spokoju. Ci, którzy nie potrafią zadbać o własne interesy, zawsze wściekają się na szaleńców, on jednak uważał, że większość ludzi na świecie jest stuknięta, więc wszystkich traktował mniej więcej podobnie.

— Hej, ty! — zawołał do staruszka. — Nie zrobię ci krzywdy, nie obawiaj się!

— Kto tu? — zapytał szaleniec, chwytając oburącz za kij i potrząsając nim gniewnie.

— Podróżny. Chyba zgubiłem drogę.

Starzec opuścił łagę.

— Nie widuję tu zbyt wielu podróżnych. Nie podoba się im nasze niebo.

— Zauważyłem je ubiegłej nocy. Z czego to się bierze?

— To jest krawędź wszystkiego. Ognista kurtyna stanowi kres świata. Ta strona jest już gotowa, są tu góry, drzewa, ptaki, ludzie, zwierzęta. A za kurtyną zaczyna się nicość.

— Nicość?

— Tak, wędrowcze, tylko nicość. Bóg jeszcze niczego tam nie stworzył, więc nic nie ma.

— A więc mimo wszystko nie zgubiłem drogi. Właśnie szukam Krawędzi Świata.

— Po co?

— Chcę ją zobaczyć. Słyszałem o niej, a teraz chcę zobaczyć na własne oczy.

— Nie ma tam nic do oglądania.

— A ty już to widziałeś?

— Mnóstwo razy. Mieszkam tu, a do Krawędzi Świata dochodzę, kiedy wędruję na północ.

— Jak się tam dostać?

Starzec wskazał kijem kierunek.

— Idź tą drogą mniej więcej przez pół dnia.

— A łatwo rozpoznam Krawędź Świata?

— Nie możesz jej minąć. . . przynajmniej lepiej, żebyś nie minął. — Szaleniec zachichotał. — Tam trzeba uważać. Jeden fałszywy krok. . . i twoja podróż potrwa dużo dłużej niż pół dnia. Jeśli tak ci zależy, idź przez tę łąkę, a potem przełęczą między tamtymi wzgórzami. Na szczycie zobaczysz uschłe drzewo. Ono stoi dokładnie na Krawędzi Świata, więc dalej nie pójdziesz. . . chyba że wyrosną ci skrzydła.

— No cóż, skoro jestem tak blisko, rzucę tam okiem.

— Twoja sprawa, wędrowcze. Ja mam lepsze zajęcia niż oglądać nicość.

— Z kim rozmawiałeś przed chwilą?

— Z bogiem. Cały czas gawędzimy.

— Naprawdę? To pozdrów go ode mnie następnym razem.

— Zrobię to. . . jeśli będę pamiętał.

I starzec powlókł się przed siebie, kontynuując swą rozmowę z powietrzem.

Althalus wrócił do swego obozu, spakował się i ruszył przez skalistą łąkę ku dwóm okrągłym wzgórzom. Słońce już wzeszło i pięło się teraz w górę nad ośnieżonymi szczytami Kagwheru. Nocny chłód zdawał się ustępować.

Wzgórza były porośnięte gęstym lasem. Dzieliła je wąska przełęcz zdeptana kopytami jeleni i bizonów. Althalus szedł bardzo ostrożnie, z uwagą przyglądając się ścieżce i przystając przy każdym podejrzanym śladzie. To dość osobliwe miejsce i mogły tu żyć różne niezwykle stwory. A niezwykle stwory lubią czasem odżywiać się w niezwykle sposób, więc tym bardziej trzeba się mieć na baczności.

Szedł naprzód, zatrzymując się niekiedy, by popatrzeć wokół i nadstawić uszu, ale słyszał tylko śpiew ptaków i niemrawe pobrzękiwanie owadów zaczynających ożywać po nocnym chłodzie.

Kiedy dotarł na szczyt przełęcz, zrobił dłuższy postój, by spojrzeć na północ. Nie, żeby zobaczył tam coś godnego uwagi; przeciwnie, nie było tam nic. Tropy zwierząt prowadziły przez wąski skrawek trawy do uschłego drzewa, o którym wspominał szaleniec, a potem się urywały. Za drzewem nie było nic zupełnie — ani odległych górskich szczytów, ani chmur. Tylko samo niebo.

Drzewo o białym niczym naga kość pniu wyciągało poskręcane konary ku obojętnemu niebu jakby w niemym błaganu. Było w tym coś przerażającego i Althalus zaniepokoił się jeszcze bardziej. Krok po kroku przemierzał pasek trawy, oglądając się często za siebie i trzymając włócznię w pogotowiu. Jak dotąd nie zauważył nic groźnego, ale w tak dziwnym miejscu wołał niczego nie zaniedbywać.

Doszedłszy do drzewa, oparł się ręką o pień, by zebrać siły, a potem wychylił się ostrożnie przez krawędź czegoś, co wyglądało na przepaść.

Nie zobaczył tam nic poza chmurami.

Często wędrował po górach i zdarzało mu się już bywać w miejscach położonych nad pułapem chmur, więc ów widok nie stanowił dlań niczego niezwykłego. Te chmury jednak ciągnęły się ku północy bez jednej przerwy. Jak okiem sięgnąć, nie sterczał z nich ani jeden górski szczyt. Świat wyraźnie się tu kończył i dalej nie było już nic oprócz chmur.

Althalus cofnął się od drzewa i rozejrzał dookoła. Z rozrzuconych po ziemi odłamków skał wybrał jeden, wielkości swojej głowy, i cisnął go w przepaść, jak tylko mógł najdalej. Zaczął nasłuchiwać.

Stał nieruchomo dłuższą chwilę, ale nic nie usłyszał.

— No dobra — mruknął do siebie. — To chyba tu.

Zachowując stosowny dystans do Krawędzi Świata, ruszył dalej na północ. Niekiedy z pobliskich zboczy staczały się kamienie, które spadały poza krawędź. Althalus zastanawiał się leniwie, czy taka nagła lawina może spłoszyć gwiazdy. Ta myśl nie wiadomo czemu wydała mu się zabawna. Wizja gwiazd pierzchających w popłochu jak stadko kuropatw rozśmieszyła go niemal do łez. Lodowata obojętność gwiazd czasem go irytowała.

Pod wieczór wyjął procę i w suchym łożysku strumienia wyszukał kilka okrągłych kamyczków. W okolicy były zające i świstaki o borsucznych pyszczkach, a porcja świeżego mięsa mogła stanowić miłe urozmaicenie po twardych skrawkach suszonej dziczyzny, którą trzymał w sakwie u pasa.

Uwinał się z tym raz-dwa. Świstaki to dziwne zwierzęta; wystają na tylnych łapkach obok swych jamek, obserwując podróźnych. Althalus miał dobre oko, a procą posługiwał się bardzo zręcznie.

Na postój wybrał zagajnik karłowatych sosen. Rozpalił ogień i upiekł świstaka na rożnie. Po jedzeniu siedział sobie w cieple, obserwując tęczyowy blask bożego ognia na północnym nieboskłonie.

Nagle, tuż po wschodzie księżyca, jakiś dziwny impuls kazał mu opuścić obóz i podejść do Krawędzi Świata.

Księżyc delikatnie pieścił mgliste wierzchołki chmur w dole, rozświetlając je promienistym blaskiem. Althalus widywał to już wcześniej, ale tutaj wyglądało to całkiem inaczej. Księżyc w swej nocnej wędrówce spija wprawdzie wszystkie barwy ziemi i morza, lecz nie jest w stanie wessać koloru bożego ognia, toteż pul-

sujące fale tęczowego światła także rozpały wierzchołki chmur. Wyglądało to, jakby igrały pośród obłoków z księżycowym blaskiem, który budził w nich miłosne zapały. Oszołomiony migotliwą grą kolorowego światła, które zdawało się go niemal całkowicie spowijać, Althalus leżał na miękkiej murawie z podbródkiem wspartym na dłoniach i obserwował zaloty księżycy do bożego ognia.

Nagle od strony poszarpanych szczytów Kagwheru dobiegł go znów ten sam skowyt, który wcześniej słyszał w Arum, a potem w pobliżu obozowiska Nabjora. Zaklął szpetnie, zerwał się na równe nogi i czym prędzej wrócił do ogniska. Cokolwiek to było, z całą pewnością śledziło każdy jego krok.

Źle spał tej nocy. Boży ogień i wycie nakładały się w jakiś sposób na siebie, a z ich połączenia coś wynikało. Co? Tego mimo wszelkich starań Althalus nie potrafił pojąć. Dopiero tuż przed świtem skowyt i ogień zniknęły, wyparte przez inny sen.

Miała włosy koloru jesieni, a widok jej perfekcyjnie toczonych ramion i łydek wywoływał w jego sercu bolesny skurcz. Odziana była w krótką antyczną tunikę. Jej głowę zdobiły kunsztowne sploty, a twarz tchnęła idealnym spokojem jak nie z tego świata. Podczas ostatniej wyprawy do cywilizowanych krain na południu Althalus oglądał starożytne posągi i to z nimi właśnie, a nie ze współczesnymi kobietami kojarzyła mu się owa senna zjawa. Jej wysokie czoło tak samo łączyło się bez żadnego załamania z linią nosa, zmysłowe wargi były pięknie wykrojone i pełne niczym dojrzałe wiśnie. Duże oczy o barwie czystej zieleni przenikały do głębi jego duszy.

Na ustach zjawy igrał lekki uśmiech.

— Pójdź — powiedziała łagodnie, wyciągając rękę. — Pójdź ze mną. Będę się tobą opiekować.

— Gdybym tylko mógł — usłyszał swój głos Althalus i natychmiast sklął się w duchu. — Poszedłbym, czemu nie, ale tak trudno mi się wyrwać...

— Jeśli pójdziesz ze mną, nigdy nie wrócisz. Będziemy się przechadzać wśród gwiazd i szczęście już cię nie opuści. Twoje dni będą wypełnione słońcem, a noce miłością. Pójdź ze mną, ukochany, a ja się tobą zaopiekuję.

To rzekłszy, skinęła dłonią i odwróciła się, by go poprowadzić.

On zaś, kompletnie oszołomiony, podążył jej śladem. Wstąpili między chmury, a księżyc i boży ogień witały ich radośnie, błogosławiąc ich miłość.

Po przebudzeniu Althalus czuł w sobie cierpką pustkę, a cały świat wydał mu się okropnie gorzki.

Przez kilka następnych dni kontynuował swą wędrówkę na północ. Niemal wierzył, że dojrzy wreszcie szczyt górski albo chociaż cień niziny wyłaniający się z wiecznej chmury poza Krawędzią Świata i będzie to dowód, że jednak nie wszystko tam się kończy. Ale nic takiego nie zobaczył, więc musiał niechętnie przyznać, iż ostry występ, wzdłuż którego wędrował, rzeczywiście jest Krawędzią Świata i dalej nie ma już nic oprócz pustki.

Dnie stawały się coraz krótsze, a noce chłodniejsze i wkrótce Althalusowi zaczęła zaglądać w oczy bardzo nieprzyjemna zima. Jeśli szybko nie dojdzie do owego domu, będzie musiał zawrócić, wyszukać sobie jakieś schronienie i zgromadzić zapas żywności. Zdecydował, że zrobi to, gdy tylko poczuje na twarzy pierwsze płatki śniegu, lecz już teraz zaczął kierować wzrok na południe, w nadziei że wypatrzy jakiś wyłom w łańcuchu gór.

Być może dlatego, że musiał zwracać uwagę na wiele spraw, o mały włos nie przeoczył celu swej podróży. Dom zbudowany był z kamienia, co na pograniczu było dość niezwykle, gdyż większość budynków wznoszono tam z bali albo ociosanych konarów. W cywilizowanym świecie Althalus widywał także domy z wapienia. Ten jednak miał ściany z bloków granitowych, na których połamałaby zęby większość brązowych pił używanych przez niewolników do cięcia wapiennych skał.

Althalus nigdy dotąd nie widział takiego domu. Granitowy gmach na Krawędzi Świata przewyższał ogromem nawet fort Gostiego w Arum i świątynię Apwosa w Deice. Mógł też rywalizować śmiało z kilkoma pobliskimi naturalnymi iglicami. Właściwie dopiero kiedy Althalus zobaczył okna, uznał, że ma przed sobą dzieło ludzkich rąk. Bo przecież wśród skalnych formacji także trafiają się wielkie kanciaste bloki, ale żeby okna? To raczej nieprawdopodobne.

Zauważył dom około południa krótkiego, jesiennego dnia. Zbliżał się do niego ostrożnie; chociaż Ghend zapewniał, że nikt tam nie mieszka, nie można mu było wierzyć. Prawdopodobnie nigdy nie widział domu na własne oczy, gdyż zdaniem Althalusa po prostu się go bał.

Samotny dom stał na wystającym z Krawędzi Świata cyplu. Jedyna droga do niego wiodła przez zwodzony most nad głęboką rozpadliną, która oddzielała budynek od wąskiego, graniczącego z otchłanią płaskowyżu. Jeśli naprawdę był pusty, właściciel zapewne znał jakiś sposób podniesienia mostu po swym wyjeździe. A jednak teraz most był opuszczony i niemal zapraszał do przejścia. Wyglądało to całkiem nieprawdopodobnie, więc Althalus przycupnął za omszałym głazem i gryząc paznokcie, rozważał różne możliwości.

Dzień chylił się ku wieczorowi i złodziej musiał się na coś zdecydować: iść dalej, czy zaczekać do nocy? Wprawdzie noc to naturalny sprzymierzeniec wszystkich złodziei, ale w tej sytuacji może bezpieczniej będzie przepawić się przez most za dnia? Nie znał tego domu; jeśli w środku są jednak ludzie, w nocy będą się mieli na bacności. Na pewno wiedzą, gdzie najlepiej zacząć się na intruza. Więc może lepiej pójść tam za dnia i nawet krzyknąć zawczasu kilka powitalnych słów? To mogłoby ich przekonać, że nie zjawia się tu w złych zamiarach, a potem... już on potrafi ich na tyle szybko zagadać, by nie wrzucili go natychmiast do przepaści.

— No dobra — mruknął. — Warto spróbować. Jeśli naprawdę nikogo tam nie ma, co najwyżej pozdziera trochę gardło na próżno, natomiast nocna wyprawa to

najprostsza droga do tego, by ktoś mu je poderżnął. Tak, niewinna demonstracja życzliwości wydaje się na razie najlepszym sposobem.

Wziął włócznię i nie próbując się ukrywać, wkroczył śmiało na most. Gdyby ktoś z domu patrzył, musiałby go zobaczyć, a odgłos pewnych kroków głośniejszy niż ewentualne wołanie oznajmiał brak złych zamiarów.

Most prowadził pod potężny łuk, za którym znajdował się otwarty plac wybrukowany płaskimi, dopasowanymi kamieniami. Z ciasnych szczelin między nimi przebijały się chwasty. Althalus zebrał odwagę i zacisnąwszy dłoń na włóczni, krzyknął:

— Hej!

Przez chwilę pilnie słuchał, ale nie doczekał się odzewu.

— Jest tam kto?

Nie odpowiedział mu nikt.

Althalus uderzył kilka razy włócznią w masywne drzwi. Raz odezwał mu się w głowie ostrzegawczy dzwon. Gdyby dom stał pusty tak długo, jak sugerował Ghend, drzwi zdążyłyby już spróchnieć. Tutaj jednak wyraźnie nie obowiązywały żadne normalne zasady. Złodziej złapał przymocowane do drzwi ciężkie kółko i pociągnął, aż ustąpiły.

— Jest tam kto? — powtórzył pytanie.

Znów brak odpowiedzi.

W głąb domu prowadził szeroki korytarz, od którego w regularnych odstępach odchodziły następne, każdy z licznymi drzwiami. Zanosiło się, że poszukiwanie książki zajmie więcej czasu, niż się Althalus spodziewał.

Tymczasem w domu robiło się coraz ciemniej. Światło dnia wyraźnie gasło i w szybkim tempie zapadał wieczór. Zgodnie z pierwszą zasadą obowiązującą w branży, należało rozejrzeć się za bezpiecznym miejscem na nocleg. Przeszukiwanie domu można odłożyć do jutra.

Zajrzawszy do jednego z bocznych korytarzy, Althalus zauważył na końcu zaokrągloną ścianę, co ewidentnie oznaczało wieżę. Izdebka na wieży, kombinował złodziej, jest znacznie bezpieczniejsza niż dolne komnaty, a bezpieczeństwo to teraz rzecz najwyższej wagi.

Przeszedł szybko korytarzem i zatrzymał się przed drzwiami nieco większymi od tych, które mijał po drodze. Zastukał w nie ręką i zawołał:

— Hej! Jest tam kto?

Oczywiście znów nikt nie odpowiedział.

Drzwi były zabezpieczone sztabą z brązu, której koniec wpuszczono do wypukłego w kamiennej framudze otworu. Althalus poty walił wierzchem miecza w wypukłość, aż wypchnął zasuwę z otworu. Następnie podważył czubkiem ostrza krawędź, a kiedy usłyszał trzask, odskoczył na bok z mieczem i włócznią w ręku.

Ale za drzwiami nikt się nie krył, za to były tam schody na górę.

Szansa, że te schody przypadkiem znajdą się za drzwiami, które przypadkiem Althalus zauważył po drodze, wydawała się naprawdę znikoma. Sprytny złodziej z reguły odnosi się do takich przypadków z głęboką nieufnością. Przypadek niemal zawsze oznacza pułapkę, a jeśli w tym domu jest pułapka, to musi być też ktoś, kto ją zastawił.

Światła dziennego zostało już jednak bardzo niewiele, a Althalus naprawdę nie miał ochoty spotkać tego kogoś pod osłoną nocy. Wziął głęboki oddech i postukał w pierwszy schodek czubkiem włóczni, żeby się przekonać, czy automatycznie nie spadnie mu na głowę coś ciężkiego. Badając w ten sam sposób każdy następny stopień, piął się wolno na górę. Fakt, że dziesięć pierwszych okazało się bezpiecznych, o niczym nie świadczył, gdyż jedenasty mógł się okazać zabójczym, a szczęście ostatnio tak się zachowywało, że lepiej było mieć się na baczności.

W końcu dotarł do drzwi na szczycie, ale tym razem postanowił nie pukać. Wetknął miecz pod pachę i powoli wypychał sztabę z kamiennej framugi. Kiedy zupełnie się wysunęła, ujął ponownie miecz i kolaniem otworzył drzwi.

Znalazł się w dużym, okrągłym pokoju o błyszczącej jak lód podłodze. Wprawdzie cały dom był dziwny, ale ten pokój wydawał się jeszcze bardziej osobliwy. Gładkie, wypolerowane ściany zbiegały się nad głową w kopułę. Mistrzostwo budowniczego tej komnaty przewyższało wszystko, co Althalus dotąd widział.

Jako następną rzecz zauważył, że w pokoju jest bardzo ciepło. Rozejrzał się uważnie, lecz nie dostrzegł żadnego paleniska. Nie potrzebował tu nosić płaszcza.

Rozum podpowiadał mu, że przy braku paleniska i czterech wielkich nieoszlonych oknach powinien tam panować przejmujący chłód, a jednak było ciepło. To sprzeczne z naturą. Zbliża się zima, powietrze na zewnątrz jest lodowate, ale z niewiadomych powodów nie przenika do środka.

Althalus stał w progu, uważnie badając wzrokiem każdy szczegół pokoju pod kopułą. Pod przeciwległą ścianą stało coś w rodzaju kamiennego łoża okrytego futrami z bizonów. Na środku był kamienny piedestał ze stołem, wypolerowanym tak samo jak ściany i podłoga. Obok ustawiono bogato rzeźbioną kamienną ławę.

Na stole, na samym środku błyszczącego blatu, leżała księga.

Althalus ostrożnie podszedł bliżej. Z nastawioną włócznią i mieczem w garści wyciągnął powoli lewą rękę. Pamiętał, że Ghend obchodził się ze swym czarnym pudłem bardzo delikatnie i jemu radził to samo. Ledwie jednak Althalus musnął białą skórę pudła, usłyszał cichy szmer. Cofnął czym prędzej rękę i chwycił za włócznię.

Było to coś w rodzaju cichego, pełnego ukontentowania pomruku, który dobiegał od strony łoża. Dźwięk ów niekiedy się rwał, czasem też zmieniał ton, wydobywając się miarowo niczym wdech i wydech.

Zanim Althalus zdołał zbadać, co to za odgłos, zauważył coś, co natychmiast przykuło całą jego uwagę. Chociaż mrok za oknami się pogłębiał, w pokoju wca-

le nie robiło się ciemniej. Zdumiony złodziej spojrział w górę. Kopuła nad jego głową rozbłysła i w miarę jak na zewnątrz gęstniały ciemności, robiła się coraz jaśniejsza. Jedyne źródłem światła poza słońcem, księżycem i migoczącą tęczywą kurtyną na Krawędzi Świata mógł być tylko ogień, a kopuła wcale nie stała w ogniu.

Szmer stawał się coraz głośniejszy, a kiedy dzięki rozświetlonej kopule Althalus wreszcie wytropił jego źródło, omal nie parsknął śmiechem. Dźwięk wydobywał się z gardła kota.

Zwierzątko było całe czarne i tak ściśle wtopione w tło z bizonich skór, że pewnie dlatego Althalus nie zauważył go zaraz po wejściu. Leżało z zamkniętymi ślepiami, choć głowę miało podniesioną. Wyciągniętymi do przodu łapami wykonywało nieznaczne ugniatające ruchy. Dźwiękiem, który tak zaskoczył Althalusa, było zwykłe mruczenie.

Nagle kot otworzył oczy. Większość znanych Althalusowi kotów miała żółte ślepią, ale ten spoglądał na niego oczami w kolorze połyskliwej zieleni.

Wstał, ziewnął rozdzierająco, po czym się przeciągnął, wyginając grzbiet i ogon. Następnie usiadł i spojrział Althalusowi w twarz tak przenikliwie, jakby go znał całe życie.

— Niespecjalnie ci się tu śpieszyło — odezwał się kobiecym głosem. — Cemu zostawiłeś otwarte na oścież drzwi? Wpuszczasz zimno, a ja nie cierpię chłodu.

ROZDZIAŁ 5

Althalus wytrzeszczył oczy z niedowierzaniem. Potem westchnął żałośnie i opadł ciężko na ławę, kompletnie zdruzgotany. Szczęściu wyraźnie mało było dotychczasowych sukcesów, więc postanowiło jeszcze mu dołożyć. I dlatego Ghend wynajął sobie złodzieja, zamiast samemu ukraść księgę. Dom na Końcu Świata nie potrzebował do ochrony ani straży, ani wymyślnych pułapek. Sam bronił siebie i księgi, każdego intruza doprowadzając do utraty zmysłów. Althalus westchnął ponownie i spojrział z wyrzutem na kocicę.

— No? — spytała z denerwująco wyniosłą miną, charakterystyczną dla wszystkich kotów. — Słyszałeś?

— Nie musisz już tego ciągnąć. Ty i ten dom wykonaliście kawał dobrej roboty. Jestem kompletnym wariatem.

— O co ci chodzi, u licha?

— Koty nie mówią. To niemożliwe. Ty wcale do mnie nie mówisz i nawet dochodzę do wniosku, że nie istniejesz. Widzę cię i słyszę tylko dlatego, że zwariowałem.

— Śmieszny jesteś, wiesz?

— Bo wariaci są śmieszni. Spotkałem jednego po drodze; gadał z bogiem. Mnóstwo ludzi gada do boga, ale ten facet wierzył, że bóg mu odpowiada. — Althalus znowu westchnął. — Teraz już szybko pójdzie. Skoro zwariowałem, to pewnie niedługo rzucę się z okna i będę tak spadał między gwiazdami przez całą wieczność. Wariaci często tak kończą.

— Dlaczego miałbyś spadać przez całą wieczność?

— Ten dom jest dokładnie na końcu świata, prawda? Jeśli wyskoczę przez okno, to będę spadał i spadał w nicość bez dna.

— Co ci nasunęło tę śmieszna myśl, że tu jest koniec świata?

— Wszyscy tak powiadają. A Kagwherczycy nie chcą nawet poruszać tego tematu, bo się boją. Wyjrzałem za krawędź i widziałem na własne oczy. Tam nie ma nic oprócz chmur. Chmury zaś są częścią nieba, więc to znaczy, że za krawędzią kończy się świat, a zaczyna niebo, no nie?

— Nie — odparła, liżąc z roztargnieniem łapę i myjąc sobie pyszczek. — To wcale tego nie oznacza. Tam w dole coś jest, daleko, ale jest.

- A co?
- Woda. To, co widziałeś za krawędzią, Althalusie, to mgła. Mgła i chmury są mniej więcej tym samym, ale mgła bardziej trzyma się ziemi.
- Znasz moje imię? — spytał zaskoczony.
- Oczywiście, że znam, głuptasie. Przysłano mnie tu, żebym się z tobą spotkała.
- Ach tak? Kto cię przysłał?
- Masz już dość kłopotów z utrzymaniem się przy zdrowych zmysłach. Lepiej nie przeciągać struny i nie wpychać ci na siłę do głowy rzeczy, których i tak nie zrozumiesz. Musisz się do mnie przyzwyczaić, Althalusie, bo spędzimy razem dużo, dużo czasu.
- On jednak zdążył się już otrząsnąć z przygnębienia.
- Nie — odparł z mocą. — Mam dość. Bardzo miło mi się z tobą gawędzi, ale teraz, jeśli pozwolisz, zabieram księgę i znikam. Chętnie bym jeszcze trochę został, jednak idzie zima i jeśli nie ruszę zaraz, gotowa powyrywać mi z kupra wszystkie pióra.
- A jak zamierzasz stąd wyjść?
- Obrócił się błyskawicznie. Drzwi, przez które tu wszedł, nie było.
- Jak to zrobiłaś?
- Nie będą nam już potrzebne... przynajmniej na razie. No i to zimne powietrze... Nie chciało ci się zamknąć drzwi po wejściu, więc...
- Panika ścisnęła złodzieja za gardło. Był w pułapce. Księga zwabiła go w to miejsce, a teraz kocica trzyma go w szachu. Nie ma stąd wyjścia.
- Chyba się zabiję — szepnął smętnie.
- Nie, wcale się nie zabijesz — stwierdziła kotka, wylizując brzusek. — Jak chcesz, to próbuj, ale nic z tego nie będzie. Nie możesz stąd wyjść, nie możesz wyskoczyć przez okno, nie możesz przebić się mieczem, włócznią czy nożem. Nie pozostaje ci nic innego, jak przywyknąć, Althalusie. Zostaniesz ze mną tutaj, póki nie wypełnimy naszego zadania.
- A potem będę mógł wyjść?
- Zostaniesz do tego zmuszony. Mamy tu pewne rzeczy do wykonania, ale są jeszcze inne, które trzeba zrobić gdzie indziej, i będziesz musiał się tym zająć.
- A co mamy zrobić?
- Będę cię uczyła, a ty będziesz przykładał się do nauki.
- Uczyć się? Czego?
- Księgi.
- Mam się nauczyć czytać, tak?
- Między innymi. — Zaczęła myć sobie ogon, przytrzymując go łapką. — A kiedy już będziesz umiał czytać, nauczysz się posługiwać Księgą.
- Jak to?
- Dojdziemy do tego w swoim czasie. Na razie masz dość innych kłopotów.

— Wiesz, co ci powiem?! — wykrzyknął z oburzeniem. — Nie zamierzam spełniać rozkazów kota!

— Owszem, będziesz je spełniał. Potrzebujesz trochę czasu, żeby zmienić zdanie, lecz akurat czasu mamy pod dostatkiem. — Przeciągnęła się i ziewnęła, potem przyjrzała się sobie krytycznie. — No, wszystko łśni — stwierdziła z zadowoleniem i znów ziewnęła. — Masz jeszcze na podorzędziu jakieś głupie oświadczenia? Bo ja już powiedziałam wszystko.

Światło w kopule zaczęło przygasać.

— Co się dzieje? — spytał ostro Althalus.

— Teraz, kiedy już doprowadziłam całe futro do porządku, zamierzam uciąć sobie drzemkę.

— Dopiero co się obudziłaś.

— I co z tego? Nie masz ochoty robić tego, czego się od ciebie oczekuje, no to mogę się przespać. Obudź mnie, jak zmienisz zdanie, to zaczniemy.

Umościła się z powrotem na bizonich futrach i zamknęła oczy.

Althalus mamrotał coś do siebie, lecz kotce nawet ucho nie drgnęło. Owinął się więc płaszczem, usiadł pod ścianą w tym miejscu, gdzie przedtem były drzwi, i także zapadł w sen.

Przez kilka dni jakoś się trzymał, ale że z racji swego zawodu był dość pobudliwy, wymuszona bezczynność w zamkniętym pomieszczeniu zaczęła mu w końcu działać na nerwy. Okrążył kilka razy pokój i wyrzał przez okno. Odkrył, że może bez trudu wysunąć na zewnątrz głowę albo rękę, lecz kiedy próbował się wychylić, przeszkadzało mu coś niewidzialnego, co także powstrzymywało napływ chłodnego powietrza. Tak wiele rzeczy związanych z tym pokojem domagało się wyjaśnienia, że w końcu ciekawość zwyciężyła i dał za wygraną.

— W porządku — powiedział kotce pewnego ranka, gdy tylko niebo zaczęło szarzeć. — Poddaję się. Wygrałaś.

— Oczywiście, że wygrałam — odrzekła, otwierając zielone ślepia. — Ja zawsze wygrywam. — Ziewnęła i wygięła grzbiet w kabłąk. — Podejdz, to pogadamy.

— Mogę mówić i stąd.

Wolał nie zbliżać się do niej zbyt blisko. To jasne, że potrafi wiele rzeczy, o których on nie ma pojęcia, więc lepiej niech nie zaczyna. . .

Uszy jej lekko zadrgały i znów się wyciągnęła na łóżku.

— Daj mi znać, jak zmienisz zdanie — mruknęła i zamknęła oczy.

Burknął pod nosem kilka doborowych przekleństw, ale przesiadł się z ławy przy stole na łóżko. Wyciągnął ostrożnie rękę i dotknął futrzanego grzbietu, jakby chciał się upewnić, że kotka naprawdę istnieje.

— Co za tempo!

Otworzyła oczy i zaczęła mruczeć.

— Nie ma sensu się upierać — stwierdził Althalus. — Najwyraźniej ty tu rządysz. Chciałaś pogadać?

Szturchnęła go nosem w rękę.

— Cieszę się, że rozumiałaś — powiedziała, ani na chwilę nie przestając mruczeć. — Nie komenderowałam tobą, żeby cię denerwować. Jestem teraz kotem, a koty potrzebują głaskania. Muszę mieć cię blisko siebie, kiedy rozmawiamy.

— Więc nie zawsze byłaś kotką?

— Jak wiele znasz mówiących kotów?

— No cóż... nie pamiętam, kiedy ostatnio się z takim widziałem.

Niemal się zaśmiała, co dało mu pewną satysfakcję. Jeśli potrafi ją rozśmieszyć, to znaczy, że kotka nie w pełni panuje nad sytuacją.

— Nie tak trudno ze mną wytrzymać, Althalusie. Trzeba mnie od czasu do czasu popieścić, podrapać za uszami i wszystko będzie dobrze. A ty potrzebujesz czegoś?

— Niedługo będę musiał udać się na polowanie — powiedział, starając się, by zabrzmiało to zdawkowo.

— Jesteś głodny?

— Jeszcze nie, ale na pewno zgłodnieję.

— Jak zgłodniejesz, dopilnuję, żebyś dostał jeść. — Zerknęła na niego z ukosa. — Chyba nie sądziłeś, że tak łatwo się wymkniesz?

Wyszczerzył się w uśmiechu i wziął ją na rękę.

— Co mi szkodzi spróbować?

— Nigdzie beze mnie nie pójdziesz, Althalusie. Powinieneś pogodzić się z myślą, że zostanę przy tobie do końca życia. A będziesz żył długo, bardzo długo. Zostałeś wybrany do pewnych zadań, ja zaś mam dopilnować, byś się z nich wywiązał. Łatwiej ci będzie, jeśli to zrozumiesz.

— Jak zostaliśmy wybrani? Kto dokonał wyboru?

Wyciągnęła łapkę i poklepała go po policzku.

— Wrócimy do tego później. Z początku byłoby ci trudno to zaakceptować. No, może już zaczniemy?

Podeszła do stołu. Bez najmniejszego wysiłku wskoczyła na wypolerowany blat i usiadła.

— Do roboty, skarbie. Usiądź tutaj, będę uczyła cię czytać.

„Czytanie” polegało właściwie na tłumaczeniu stylizowanych obrazków, jakie widział w księdze Ghenda. Z konkretnymi słowami, jak na przykład „drzewo”, „skała”, „świnia”, poszło mu dość łatwo. Znacznie trudniejsze okazały się symbole idei, jak „prawda”, „piękno” czy „uczciwość”.

Dość szybko dostosowywał się do sytuacji — zawód złodzieja tego wymagał — ale teraz potraffało to nieco dłużej. Kiedy czuł głód, jedzenie po prostu zjawiało

się na stole. Z początku go to deprymowało, później nie zwracał już uwagi. Nawet cuda stają się czymś zwyczajnym, jeśli dzieją się dostatecznie często.

Nadeszła zima, słońce znikło i nastąpiła wieczna noc. Kotka cierpliwie objaśniała, dlaczego tak się dzieje, lecz Althalus niewiele rozumiał. Owszem, przyjmował to do wiadomości, ale wciąż mu się wydawało, że Słońce kręci się wokół Ziemi, a nie Ziemia wokół Słońca. Wraz z nadejściem ciągłej nocy zapomniał o istnieniu dni. Uznał, że na dobrą sprawę żadnych dni już nie ma. Przestał też patrzeć w okna. Niemal bez przerwy padał śnieg, a białe płatki zawsze wprawiały go w przygnębienie.

Poczynił za to pewne postępy w sztuce czytania. Kiedy dostatecznie często widział jakiś obrazek, potem automatycznie go rozpoznawał. Słowa całkowicie skupiły na sobie jego uwagę.

— Nie zawsze byłaś kotką, prawda? — zapytał swą towarzyszkę, kiedy leżeli po posiłku na łóżku.

— Zdaje się, że już ci to mówiłam.

— Czym byłaś przedtem?

Popatrzyła na niego przeciągle.

— Nie jesteś jeszcze przygotowany na odpowiedź, Althalusie. Całkiem nieźle się tu zadomowiłeś i nie chciałabym, żebyś znów zaczął wywalać ściany, jak na początku.

— Czy zanim zostałeś kotką, miałeś jakieś imię?

— Tak, ale chyba nie potrafisz go wymówić. Dlaczego o to pytasz?

— Po prostu nie wydaje mi się właściwe, że cały czas nazywam cię „kotką”. Zupełnie jakbym mówił „ośle” czy „kurczaku”. Czy nie sprawię ci przykrości, gdy nadam ci jakieś imię?

— Nie, jeśli będzie ładne. Niektóre słowa, których używasz, myśląc, że śpię, wcale mi się nie podobają, wolałabym coś innego.

— Może Esmeralda? To znaczy „szmaragd”, a ty masz takie zielone oczy.

— Całkiem znośnie, niech będzie. Miałam kiedyś bardzo ładny szmaragd... zanim tu trafiłam. Lubiłam trzymać go pod światło i patrzeć, jak pięknie błyszczy.

— Ach, więc miałaś wtedy ręce — zauważył chytrze.

— Tak, w rzeczy samej. Teraz pewnie będziesz próbował zgadywać, ile ich miałam i skąd wyrastały. — Rzuciła mu figlarne spojrzenie. — Przestań kluczyć, Althalusie. Pewnego dnia odkryjesz, kim naprawdę jestem, i chyba cię to zaskoczy, ale w tej chwili nie musisz tego wiedzieć.

— Może i nie. Lecz czasem ci się coś wypśnie, a ja cały czas zbieram te strzępki do kupy. Ani się obejrzyysz, jak dojdę prawdy.

— Nie dojdiesz, jeśli nie uznasz, że jesteś gotów. Potrzebujesz teraz koncentracji, a gdybym ukazała ci się w mojej właściwej postaci, nie mógłbyś się już skupić.

— Aż tak źle?

Zwinęła się przy nim w kłębek i zaczęła mruczeć.

— Zobaczysz, skarbie. Sam się przekonasz.

Mimo dość wyniosłego zachowania Esmeralda okazała się uczuciowym stworzeniem, które pragnie nieustannej bliskości fizycznej. Kiedy spał na wysłanym futrami łożu, kotka zawsze zwijała się tuż przy nim, mruczając z zadowoleniem. Na samym początku wcale mu na tym nie zależało, więc nadal otulał się płaszczem, zaciskając go szczelnie przy szyi. Esmeralda obserwowała go wtedy ze spokojem, przycupnięta w nogach łóżka. Dopiero gdy zaczynał zapadać w sen i siłą rzeczy zwalniał chwyt, podpełzała chyłkiem do wezgłowia i wtulała wilgotny, zimny nos w jego kark. Althalus odruchowo się cofał, a Esmeralda tylko na to czekała, żeby wśliznąć się pod płaszcz. Jej mruczenie działało tak kojąco, że Althalus już nie próbował protestować. Z czasem owa swoista gra zaczęła wyraźnie kotkę bawić, więc nadal zaciskał płaszcz wokół szyi, specjalnie żeby jej sprawić przyjemność. Nic go to w końcu nie kosztowało, a skoro ją cieszyło. . .

Miała jednak pewien zwyczaj, którego zdecydowanie nie znosił. Otóż od czasu do czasu odczuwała nieprzeparty przymus umycia mu twarzy — i to przeważnie wówczas, kiedy smacznie spał. Otworzywszy nagle oczy, uświadamiał sobie, że kotka przyciska mu głowę łapkami i wylizuje całą twarz od podbródka po czoło szorstkim, wilgotnym języczkiem. Z początku próbował się wyrwać, ale gdy tylko się poruszył, lekko wysuwała pazurki i Althalus natychmiast rozumiał, o co jej chodzi. Zresztą tak naprawdę nie przeszkadzały mu te ablucje i nauczył się je tolerować. Zawsze kiedy się z kimś mieszka pod jednym dachem, trzeba iść na różne ustępstwa, a z Esmeraldą — poza kilkoma drobiazgami — dawało się wytrzymać.

Chociaż panowała wieczna noc, Althalus wolał myśleć, że program ich zajęć trzyma się dość ściśle wschodów i zachodów słońca na dalekim południu. Właściwie nic nie uzasadniało takiego przekonania, on jednak widział w tym jakiś sens.

„Dnie” spędzał zazwyczaj przy stole nad otwartą Księgą, pod czujnym okiem Esmeraldy. Tematy ich rozmów ograniczały się przeważnie do nieznanymi symboli: on pytał, co oznaczają, ona mu odpowiadała, i tak aż do następnego niezrozumiałego obrazka. Pergaminowe karty były w pudle ułożone luzem i Esmeralda bardzo nie lubiła, jeśli pomylił kolejność.

— Nie możesz ich mieszać, to bez sensu — rzędziła.

— Większość z nich i tak jest bez sensu.

— Odłóż je w takiej kolejności, jak były.

— Dobrze, już dobrze. Nie musisz zaraz wiązać ogona na supeł.

Ta uwaga zwykle powodowała jedną z ich udawanych bójek. Esmeralda kładła uszy po sobie, podkurczała łapy i gnąc grzbiet w pałąk, wymachiwała złowieszczo ogonem. Potem rzucała się na jego rękę i przytrzymywała ją pyszczkiem, wydając gniewne pomruki. Nigdy jednak nie wysuwała przy tym pazurów i nigdy go nie

ugryzła.

Najlepszą na to odpowiedzią było czochranie wolną ręką jej futra. Esmeralda tego nie cierpiała, gdyż potem długo musiała się wylizywać, zanim każdy włoszek trafił na swoje miejsce.

Ponieważ była kotem (przynajmniej na razie), miała doskonale wyczulony węch. Nalegała, by Althalus często się mył. Nagle ni stąd, ni zowąd przy łóżku pojawiała się wielka ceramiczna wanna z gorącą wodą. Po którejś z rzędu uwadze Althalus wzdychał ciężko i zaczynał się rozbierać. Na dłuższą metę bardziej opłacało się kąpać, niż wyklócać. Wreszcie, w miarę upływu czasu, polubił codzienne wysiadanie w ciepłej wodzie przed kolacją.

Tej zimy, być może wskutek nieustannej nocy, nasunęła mu się dziwna myśl. Wciąż nie był do końca przekonany, że nie oszalał. Może — jak tamten gadający z bogiem staruszek — on także nie umarł w swoim czasie? Chociaż kto wie, może jednak umarł. Może gdzieś w Hule czy w górach Kagwheru ktoś podkraść się z tyłu i rozplątał mu głowę toporem? Jeśli stało się to dostatecznie szybko, Althalus mógł się w ogóle nie zorientować. I teraz jego duch wciąż krąży po świecie, ciało zaś leży nie wiadomo gdzie z mózgiem wylewającym się z uszu. To wcale nie Althalus spotkał zwariowanego staruszka, nie Althalus dotarł do Krawędzi Świata i oglądał boży ogień. To wszystko wymyślił sobie jego duch. A teraz dotarł do miejsca swego ostatecznego przeznaczenia i pozostanie na zawsze zamknięty w jednym pokoju z Esmeralda i Księżą. Jeśli prawidłowo rozumuje, przekroczył granicę przyszłego życia. Wszyscy wiedzą, że dzieją się tam różne dziwne rzeczy, więc nie ma co się denerwować i narzekać, skoro mieszka się w ciepłym i wygodnym pokoju bez śladu ognia, gdzie nie ma nic niemożliwego. I co z tego, że na każdym kroku dzieją się niezwykle rzeczy? To tylko jego osobiste życie po życiu.

Zważywszy na wszystko, owo życie po życiu okazało się nie takie złe. Ciepło, dobre jedzenie i Esmeralda jako towarzyszką... Wprawdzie mógłby sobie życzyć, żeby gdzieś w pobliżu podawano Nabjorowy miód, a niekiedy przydałaby się też wizyta tamtej dziewczki o figlarnych oczach, jednak w miarę upływu czasu te sprawy traciły na ważności. Dawno temu słyszał różne niesamowite historie na temat życia po śmierci, ale jeśli nie miało go spotkać nic gorszego niż dotąd, to chyba mógłby nauczyć się być martwym — bo zwrot „nauczyć się z tym żyć” raczej tu nie pasował. Gnębiło go teraz tylko jedno: że w żaden sposób nie może dorwać swego zabójcy. Jako niematerialna istota nie będzie przecież w stanie posiekać bandyty na kawałki. Nagle uświadomił sobie, że zamiast tego może go straszyc i w ten sposób zapewnić sobie jeszcze większą satysfakcję.

Ciekawe, czy Esmeralda zgodziłaby się na ten plan. Mógłby jej przyrzec, że po wystraszeniu mordercy na śmierć wróci do ich życia po życiu. Ale był niemal pewien, że kotka nie weźmie na serio obietnic ducha faceta, który za życia sływał z tego, że łągał na każdym kroku. Kiedy dokładnie to przemyślał, doszedł do wniosku, że raczej jej o niczym nie wspomni.

Potem pod dach świata wróciło słońce i Althalus zaczął powątpiewać, czy rzeczywiście jest martwy. Wieczna ciemność pasowała w pewnym stopniu do dawnej koncepcji, a powrót słońca sprawił, że złodziej poczuł się jak nowo narodzony.

Czytał już Księgę dość biegle i uważał ją za coraz bardziej interesującą, ale jedna sprawa nie dawała mu spokoju. Pewnego wiosennego popołudnia położył rękę na Księdze i zerknął na Esmeraldę, która zdawała się drzemać na stole.

— Jak on się naprawdę nazywał? — spytał.

Spojrzała na niego rozszpanymi oczami.

— Kto?

— Ten, kto napisał tę Księgę. Nigdzie nie wymienił swego imienia.

— Jest bogiem, Althalusie.

— Tak, wiem, ale którym? Każdy kraj, który odwiedzałem, ma swojego boga czy bogów o różnych imionach. Czy to Kherdhos, bóg Wektijeżyków i Plakandów? A może Apwos, bóg Equero? Jak on się nazywa?

— Deiwos, rzecz jasna.

— Deiwos? Bóg Medyów?

— Oczywiście.

— Przecież Medyowie to najgłupszy naród na świecie!

— A co to ma do rzeczy?

— Można by sądzić, że ludzie, którzy czczą realnego, prawdziwego boga, powinni mieć więcej rozumu.

Westchnęła.

— To jeden i ten sam bóg, Althalusie. Czyżbyś jeszcze tego nie pojął? Wektijczycy i Plakandowie nazywają go Kherdhosem. Equerosi czczą go pod imieniem Apwosa. Medyowie zaś to najstarszy naród w tej części świata i kiedy się tu osiedlili, przynieśli z sobą tamto imię.

— Skąd oni pochodzą?

— Z południa. Tam nauczyli się hodować owce i uprawiać zboże. Przez jakiś czas mieszkali w Medyo, potem rozprzestrzenili się także gdzie indziej, a w tych nowych miejscach tubylcy zmienili imię boga. — Wstała i przeciągnęła się, ziewając szeroko. — Zjedzmy na obiad rybę.

— Ryba była wczoraj... i przedwczoraj.

— Tak? Lubię ryby, a ty nie?

— Ach, są bardzo smaczne, ale trochę mi się znudziły. Jemy je trzy razy dziennie od trzech tygodni.

— To zamów sobie, co chcesz — warknęła.

— Wiesz doskonale, że jeszcze tego nie potrafię.

— Więc będziesz musiał się zadowolić tym, co ja ci podam, czyż nie?

Westchnął ciężko.

— Ryba? — spytał z rezygnacją.

— Co za świetny pomysł, Althalusie! Tak się cieszę, że ci to przyszło do głowy!

Wielu pojęć z Księgi Althalus nie mógł zrozumieć i niejeden pożyteczny wieczór spędzili z Esmeraldą na rozmowach. Sporo czasu poświęcali też zabawom — w końcu Esmeraldą była kotką, a koty lubią się bawić. Zachowywała się wtedy z wystudiowaną powagą i była wprost zachwycająca. Czasem w zabawie robiła coś absolutnie głupiego, co wydawało się niemal ludzkie. Althalus po namyśle doszedł do przekonania, że tylko ludzi stać na głupstwa. Zwierzęta na ogół traktują siebie o wiele za poważnie, by nawet podejrzewać, że mogą kogoś śmieszyć.

Pewnego dnia, gdy z wielkim skupieniem studiował Księgę, kątem oka uchwycił nieznaczny ruch. Po chwili zauważył, że kotka się ku niemu skrada. Wcześniej nie zwracał na nią uwagi, a coś takiego Esmeraldą tolerowała tylko do chwili, gdy mogła postawić na swoim. Skradała się teraz po wypolerowanej posadzce, wreszcie skoczyła, lecz Althalus tylko na to czekał, by złapać ją w powietrzu. Przez chwilę trwała zwykła bójka na niby, aż wreszcie podniósł ją w górę i przytrzymał mocno na wysokości swojej twarzy.

— Okropnie cię kocham, Emmy, wiesz?

Szarpnęła się gwałtownie.

— Coś ty powiedział? Emmy?!

— Ludzie czasem tak robią — próbował się tłumaczyć. — Kiedy dłuższy czas są razem, nadają sobie pieszczotliwe imiona.

— Puść mnie!

— Och, nie musisz zaraz się wściekać.

— Emmy! Też coś! Puść mnie zaraz, bo podrapię ci uszy!

Doskonale wiedział, że tego nie robi, ale postawił ją na podłodze i klepnął lekko po głowie.

Obróciła się bokiem ze zjeżonym futrem, położyła uszy po sobie i zasyczała groźnie.

— Ależ Emmy! — wykrzyknął z udanym zdziwieniem. — Co też ty mówisz, jestem wprost zaszokowany!

Puściła wiązaną przkleństw i tym razem naprawdę go zaskoczyła.

— Ty chyba naprawdę się gniewasz!

Znów zasyczała, a on wybuchnął śmiechem.

— Och, Emmy, Emmy — powiedział z czułością.

— Tak, Althie, Althie, Althie? — syknęła pogardliwie.

— Althie?

— Dobrze słyszysz — warknęła i poszła się dąsać na łóżko.

Nie dostał tego wieczoru kolacji, ale uznał, że może i było warto. Miał teraz sposób na jej wyniosłe zachowanie. Wystarczy jedno „Emmy”, by natychmiast zetrzeć z pyszczki kotki wyraz wyższości i doprowadzić ją do szału. Zapamiętał to sobie dobrze do ewentualnego wykorzystania w przyszłości.

Następnego dnia zawarli pokój i życie wróciło do normy. Wieczorem Esmeralda wyprawiła mu prawdziwą ucztę. Zrozumiał, że to gest pokojowy, więc wychwalał ją pod niebiosa za każdym kąsem.

Kiedy się położyli, długo myła mu twarz.

— Czy rzeczywiście czujesz to, co powiedziałeś mi wczoraj?

— A co konkretnie masz na myśli?

Natychmiast przypłaszczyła uszy.

— Powiedziałeś, że mnie kochasz. Czy to prawda?

— Ach, to! Oczywiście, że cię Kocham. Jak możesz pytać?

— Nie kłam.

— Jakżebyś śmiał!

— Oczywiście, że byś śmiał. Jesteś największym łgarzem na świecie.

— Dziękuję ci, moja droga.

— Nie denerwuj mnie — ostrzegła. — Trzymam na twojej głowie wszystkie cztery łapy, więc bądź bardzo, bardzo miły... chyba że chcesz mieć twarz z tyłu zamiast z przodu głowy.

— Już będę grzeczny.

— Powiedz to jeszcze raz.

— Co, skarbie?

— Wiesz co.

— W porządku, kiciu. Kocham cię. Czy teraz czujesz się lepiej?

Otarła mu się pyszczkiem o twarz i zaczęła mruczeć.

Pory roku nadchodziły i mijały zwykłą koleją rzeczy. Chociaż na dachu świata zimy trwały długo, a lata krótko, po paru odmianach przeszłość wydawała się już tylko wyblakłym wspomnieniem. Czasem dni upływały niepostrzeżenie, zwłaszcza kiedy Althalus zmagał się z Księżą. Zaczął spędzać coraz więcej czasu ze wzrokiem utkwionym w błyszczącej kopule, dumając o dziwnych sprawach, jakie zostały mu objawione.

— Czemu próżnujesz? — spytała Esmeralda ze złością, kiedy pewnego dnia siedział przy stole, niemal nie patrząc na leżącą przed nim Księżę. — Przecież nawet nie udajesz, że czytasz.

Althalus położył dłoń na Księdze.

— Właśnie powiedziała mi coś, czego nie rozumiem. Próbuję to sobie przemyśleć.

Westchnęła z rezygnacją.

— Powiedz mi, co to takiego. Spróbuję ci wyjaśnić, chociaż ty nic nie zrozumiesz...

— Potrafisz być bardzo przykra, wiesz?

— Oczywiście, robię to specjalnie... ale i tak mnie kochasz, prawda?

— Chyba tak.

— Chyba?!
— Chyba?!
— Chyba?!

Wybuchnął śmiechem.

— Dopiekłem ci, co?

Położyła uszy po sobie i zasyczała.

— Bądź miła — poprosił, drapiąc ją za uchem. Potem przyjrzał się znów wersowi, który sprawiał mu tyle kłopotów. — Jeśli dobrze przeczytałem, wszystkie rzeczy, jakie stworzył Deiwos, mają w jego oczach taką samą wartość. Czy to znaczy, że człowiek nie jest więcej wart od pchły albo i ziarnka piasku?

— Niezupełnie. To znaczy, że dla Deiwosa nie istnieje każda z tych rzeczy oddzielnie. Liczy się tylko całość. Człowiek jest drobną częścią całości i w gruncie rzeczy nie przebywa tu zbyt długo. Raz urodzony, żyje i umiera tak szybko, że góry i gwiazdy nawet nie zauważą, jak obok nich przechodzi.

— Co za ponura myśl. Więc w gruncie rzeczy nic nie znaczymy, tak? A kiedy ostatni z nas umrze, Deiwos nawet nie odczuje żadnego braku.

— Och, chyba odczuje. Pewne rzeczy przez jakiś czas żyły, teraz są martwe, a Deiwos wciąż o nich pamięta.

— Więc czemu pozwala im umrzeć?

— Ponieważ spełniły to, czego po nich oczekiwano. Wypełniły swoje zadania i Deiwos pozwolił im odejść. Poza tym, jeśli wszystko żyłoby wiecznie, nie zostałyby miejsca dla innych.

— Wcześniej czy później ludzi także to spotka, prawda?

— To nie jest takie pewne, Althalusie. Inne stworzenia biorą świat takim, jakim go zastają, ale ludzie próbują go zmienić.

— I Deiwos przewodzi nam w tych zmianach?

— Po co miałby to robić? Deiwos niczego nie poprawia, skarbie. Wprawia rzeczy w ruch i idzie dalej. Wszystkie błędy popełniasz wyłącznie na własny rachunek, nie przerzucaj winy na Deiwosa.

Althalus zmierzwił jej futro.

— Wolałabym, żebyś tego nie robił — miauknęła. — Potem przez całe wieki muszę wszystko wygładzać.

— Przynajmniej masz co robić między jedną drzemką a drugą, Emmy — zauważył i znów zagłębił się w Księdze.

ROZDZIAŁ 6

Przeszłość w pamięci Althalusa oddaliła się jeszcze bardziej, kiedy zawładnęła nim Księga. Mógł ją teraz czytać od początku do końca i robił to tak często, że potrafił recytować z pamięci długie cytaty. Im głębiej zapadały mu w umysł, tym bardziej zmieniało się jego postrzeganie świata. To, co dawniej, zanim zamieszkał w tym domu, wydawało mu się bardzo ważne, teraz uważał za całkiem nieistotne.

— Czy rzeczywiście tak mało znaczyłem, Em? — spytał swą towarzyszkę pewnego jesienno wieczoru.

— A o czym my tu rozmawiamy, skarbie? — odpowiedziała pytaniem, myjąc uszy.

— Kiedyś uważałem się za największego złodzieja na świecie, ale w końcu okazało się, że byłem tylko zwykłym rozbójnikiem napadającym na ludzi, aby ukraść im ubranie.

— Owszem, to całkiem bliskie prawdy. I co z tego?

— Mógłbym zrobić z moim życiem znacznie więcej, prawda?

— I po to tu właśnie jesteśmy, skarbie. Chcesz czy nie, już jesteś na tej drodze i możesz być pewien, że tego dopilnuję. Myślę, że już czas, byś się nauczył korzystać z mocy Księgi.

— Korzystać? Jak to?

— Możesz z jej pomocą sprawić, że coś się wydarzy. Jak myślisz, skąd się bierze co wieczór twoja kolacja?

— To twoja działka, Em. Byłoby niegrzecznie wtykać nos do nie swoich spraw, czyż nie?

— Grzecznie czy niegrzecznie, nauczysz się tego, Althalusie. Pewne słowa z Księgi oznaczają czynności, na przykład „siekać”, „kopać”, „ciąć”. Możesz to wszystko robić, posługując się Księgą, jeśli tylko się nauczysz. Na początku będziesz musiał dotykać przy tym Księgi, później już nie. Wystarczy, że ją sobie wyobrazisz.

— Ta Księga musi zawsze tu być, prawda?

— Na tym wszystko polega, skarbie. Księga musi tu pozostawać. Na świecie nie byłaby bezpieczna, poza tym masz tu do załatwienia pewne sprawy.

— Tak? Jakie?

— Drobnostki. Uratować świat, utrzymać gwiazdy na ich miejscach, pilnować, czy czas nadal płynie, i tym podobne.

— Żarty sobie robisz, Em?

— Nie, wcale nie. Wrócimy do tych spraw później, a na początek spróbujemy czegoś łatwiejszego. Zdejmij but i rzuć go za łóżko. A potem każ mu wrócić.

— Nie sądzę, by mnie posłuchał.

— Owszem, posłucha, jeśli użyjesz właściwego słowa. Wystarczy, że położysz rękę na Księdze, spojrzysz na but i powiesz: *gwem*. Zupełnie jakbyś przywoływał szczeniaka.

— To strasznie staroświeckie słowo.

— Oczywiście, jedno z pierwszych na świecie. Matką waszego języka jest język Księgi. Po prostu spróbuj, skarbie. O przemianach języka możemy pogadać innym razem.

Althalus bez przekonania ściągnął but i cisnął go za łóżko. Następnie położył dłoń na Księdze i niepewnie powiedział:

— *Gwem*.

Nic się nie wydarzyło.

— No i wystarczy — mruknął.

— Rozkazuj, Althie! Myślisz, że szczeniak posłucha takiego tonu?

— *Gwem!* — warknął ostro.

Niczego nie oczekiwał, więc nie zdążył się zasłonić i but trafił go prosto w nos.

— Dobrze, że nie zaczęliśmy od włóczni — zauważyła Emmy. — Trzeba wyciągnąć przed siebie ręce. Niech but wie, dokąd ma dolecieć.

— To działa! — wykrzyknął ze zdumieniem Althalus.

— Pewnie. A co, nie wierzyłeś?

— Cóż. . . coś w tym rodzaju. Nie spodziewałem się, że to nastąpi tak szybko i że but polecą. Prędzej bym przypuszczał, że będzie pełznął po podłodze.

— Powiedziałeś to zbyt stanowczo. Ton jest szalenie ważny. Im ostrzej czy głośniej mówisz, tym szybciej rozkaz się spełnia.

— Zapamiętam to sobie. Że też musiałem dostać kopniaka od własnego buta! Czemu mnie nie ostrzegłeś?

— Bo mnie nie słuchasz, Althie. Szkoda mojego gardła. A teraz spróbuj znowu.

W ciągu następnych kilku tygodni Althalus zmusił but do przebycia całych mil. Stopniowo nabierał coraz większej wprawy w modulacjach tonu. Odkrył też, że inne słowa potrafią zmusić but do wykonania paru innych czynności, na przykład na komendę *dheu* podnosi się z podłogi i po prostu staje przed nim w powietrzu, na *dhreu* zaś opuszcza się znów na podłogę.

Ćwiczył sobie właśnie pewnego letniego popołudnia, kiedy wpadł mu do głowy pomysł figla. Zerknął na Esmeraldę, która właśnie myła sobie starannie uszy na łóżku, i skupiwszy na niej uwagę, położył dłoń na Księdze.

— *Dheu* — powiedział.

Esmeralda natychmiast uniosła się w górę i usiadła w powietrzu na poziomie jego głowy. Nadal pracowicie czyściła uszy, jak gdyby nigdy nic. Potem nagle spojrzała na niego zimno i warknęła:

— *Bhlag!*

Cios trafił go w podbródek i zwałił na podłogę. Nie wiadomo, skąd padł, ale poobijał go całego aż po czubki stóp.

— Nie będziemy sobie więcej tego robić, prawda? — odezwała się słodziutko Esmeralda. — Teraz postaw mnie na podłodze.

Jakoś nie mógł zogniskować oczu. Zakrył jedno ręką, na tyle żeby widzieć kotkę, i przepraszającym tonem powiedział:

— *Dhreu.*

Esmeralda umościła się z powrotem na łóżku.

— No, znacznie lepiej. A ty? Zamierzasz wstać, czy będziesz tak leżał?

I znów zajęła się myciem uszu.

Od tej chwili zrozumiał z grubsza, że obowiązują tu pewne zasady i mądrze robi, jeśli będzie ich przestrzegał. Dotarło też do niego, że Esmeralda zademonstrowała mu właśnie następny krok. Przecież nie była nawet w pobliżu Księgi, kiedy rzuciła nim przez pokój.

Dalej ćwiczył z butem. Wolał but niż inne przedmioty, ze względu na brak ostrych krawędzi. Z czystej ciekawości, po prostu żeby sprawdzić, czy potrafi, przyczepił mu parę skrzydełek i teraz but fruwał po pokoju, obijając się o ściany. Fruwający but! Ależ by budził sensację w obozie Nabjora albo na dworze Gostiego. Chociaż to już tak dawno temu... Althalus cofał się leniwie myślami w przeszłość, próbując obliczyć, ile lat spędził w tym domu, lecz nie potrafił ustalić żadnej liczby.

— Em, jak długo już tu jestem?

— No... dość długo. Czemu pytasz?

— Tak sobie, z ciekawości. Mało co pamiętam z tamtych czasów.

— Tutaj czas naprawdę nic nie znaczy, skarbie. Masz się uczyć, a że niektóre tematy z Księgi są bardzo trudne, przyswajanie ich trwa nieraz bardzo długo. Zwykle kiedy natrafiamy na takie trudne miejsce, każę twoim oczom zasnąć, ale umysł cały czas pracuje na pełnych obrotach. Dzięki tej metodzie nauka przebiega znacznie spokojniej, bo wyklócasz się nie ze mną, tylko z Księgą.

— Czekaj, czekaj. Czy ja dobrze rozumiem? Chcesz powiedzieć, że zapadam w sen i budzę się dopiero po tygodniu albo i później?

Rzuciła mu jedno z tych wyniosłych spojrzeń, które zawsze doprowadzały go do szału, ale nic nie powiedziała.

— Miesiąc...? — spytał z niedowierzaniem.

— Zgaduj dalej.

— Usypiałaś mnie na całe lata? — niemal krzyknął.

— Sen bardzo dobrze ci robi, mój drogi. I jesteś wtedy na tyle miły, że nie chrapiesz.

— Jak długo, Emmy? Jak długo więzisz mnie tutaj?

— Dostatecznie długo, abyśmy się dobrze poznali. — Wydała ciężkie, pełne udręki westchnienie. — Althalusie, musisz nauczyć się słuchać, kiedy do ciebie mówię. Spędziłeś tu tyle czasu, ile trzeba, żeby opanować sztukę czytania Księgi. To nie trwa specjalnie długo, znacznie więcej czasu zabiera przyswajanie sobie jej treści. Tego jeszcze nie zakończyłeś, ale robisz postępy.

— To znaczy, że jestem już bardzo stary? — Podsunął sobie przed oczy pukiel włosów. — Nie, wcale nie tak bardzo. Jeszcze nawet nie osiwiiałem.

— Czemu miałbyś osiwieć?

— Nie wiem, tak już jest, że ludzie na starość siwieją.

— No właśnie, w tym cały problem. Althalusie, ty się wcale nie zestarzałeś. W tym domu nic się nie zmienia, jesteś przez cały czas w tym samym wieku, w jakim tu przyszedłeś.

— A ty? Ty także się nie starzejesz?

— Przecież ci powiedziałam.

— Jeśli dobrze pamiętam, mówiłaś kiedyś, że nie zawsze tu mieszkalaś.

— Nie, nie zawsze. Dawno temu byłam zupełnie gdzie indziej, ale potem przeniosłam się tutaj, żeby na ciebie czekać. — Zerknęła przez ramię na górskie szczyty widoczne z południowego okna. — Nie było ich, kiedy się tu wprowadziłam.

— Myślałem, że góry są wieczne.

— Nic nie jest wieczne, Althalusie... Oczywiście z wyjątkiem mnie.

— Świat musiał wtedy wyglądać całkiem inaczej. A gdzie mieszkali ludzie?

— Nigdzie. Wtedy nie było żadnych ludzi. Istniały inne stworzenia, ale już wymarły. Spełniły swoje zadanie i Deiwos pozwolił im odejść, chociaż nadal za nimi tęskni.

— Zawsze mówisz o Deiwosie tak, jakbyś go znała osobiście.

— Owszem. W rzeczy samej znamy się dość dobrze.

— Czy kiedy rozmawiacie, też go nazywasz Deiwosem?

— Czasami. Jeśli naprawdę mi zależy na jego uwadze, nazywam go bratem.

— Jesteś siostrą boga?

— Tak jakby.

— Chyba nie chcę cię więcej naciskać. Wróćmy do tego, o czym mówiliśmy wcześniej. Em, jak długo tu jestem? Po prostu podaj mi liczbę lat.

— Dwa tysiące czterysta sześćdziesiąt siedem... do zeszłego tygodnia.

— Wymyśliłaś to w tej chwili, tak?

— Nie. Coś jeszcze?

Z wysiłkiem przełknął ślinę.

— Czasem spałem znacznie dłużej, niż mi się wydawało, prawda? Czy to znaczy, że jestem teraz najstarszym człowiekiem na świecie?

— Niezupełnie. Jest ktoś trochę starszy od ciebie, nazywa się Ghend.
— Ghend? Wcale nie wydawał mi się taki stary.
Zielone oczy rozszerzyły się ze zdumienia.
— Znasz Ghenda?
— No pewnie. To on mnie wynajął. Kazał mi tu przyjść i ukraść Księgę.
— Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? — podniosła głos niemal do krzyku.
— Na pewno powiedziałem.
— Nie, nie zająknąłeś się ani słowem. Ty głupcze! Dusisz to w sobie od niemal dwóch i pół tysiąca lat!
— Uspokój się, Emmy. Jak będziesz histeryzować, do niczego nie dojdziemy.
— Popatrzył na nią przeciągle. — Chyba już czas, żebyś wyjaśniła mi dokładnie, co tu właściwie jest grane... Tylko nie próbuj mnie zbywać, że niby niczego nie rozumiem, czy nie jestem gotów, by poznać pewne sprawy. Chcę wiedzieć, o co chodzi i dlaczego to takie ważne.
— Nie mamy na to czasu.
Rozparł się wygodnie na ławie.
— No cóż, musimy go znaleźć, kiciu. Już dość długo traktowałeś mnie jak domowe zwierzątko. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale nie mam ogona, a nawet gdybym miał, prawdopodobnie nie wymachiwałbym nim na każde twoje pstryknięcie. Nie musisz mnie całkowicie poskramiać, Em, i oświadczam ci uroczyście, że odmawiam wszelkiej współpracy, dopóki mi wszystkiego nie wyjaśnisz.
Patrzyła na niego lodowatym wzrokiem.
— Co chcesz wiedzieć? — spytała oschle.
Położył dłoń na Księdze.
— Sam nie wiem. Chyba wszystko. Potem możemy się stąd wynieść.
Łypnęła okiem ze złością, lecz milczała.
— Koniec z wielkimi, mrocznymi sekretami, rozumiesz? Zaczynaj! Jeśli te sprawy są rzeczywiście tak poważne, za jakie je uważasz, to i ty zachowuj się poważnie.
— Może jednak jesteś już gotów — dała za wygraną. — Co wiesz o Daevie?
— Tylko to, co mówi Księga. Zanim tu przyszedłem, nigdy o nim nie słyszałem. Jest chyba strasznie zły na Deiwosa. Deiwosowi jest z tego powodu bardzo przykro, ale zamierza robić swoje, czy Deivie się to podoba, czy nie... bo prawdopodobnie musi.
— Oryginalna interpretacja. — Zamilkła na chwilę. — Teraz, jak się nad tym zastanawiam, widzę, że jest w tym sporo z prawdy. Przypadkiem udało ci się sformułować na nowo definicję zła. W twoich oczach zło jest po prostu brakiem jedności poglądów na to, jakie powinny być rzeczy. Deiwos uważa, że coś ma być takie, a Daeva, że inne.
— Zdaje się, że to właśnie przed chwilą powiedziałem. Interes polega na tworzeniu rzeczy, które zaraz potem zaczynają się zwalczać, tak?

— To nadmierne uproszczenie, ale jesteś dość blisko. Deiwos stwarza rzeczy, ponieważ musi to robić. Świat i niebo zaraz po stworzeniu nie były kompletne i Deiwos to widział, ale Daeva się z nim nie zgadzał. Deiwos wciąż stwarza różne rzeczy, aby uzupełnić niebo i świat, lecz jednocześnie je zmienia. Daeva uważa to za pogwałcenie naturalnego porządku, nie chce żadnych zmian.

— A to dopiero! Chyba niewiele może dziać, prawda? Kiedy coś zaczyna się zmieniać, to jest zmienione. Daeva nie może przywrócić poprzedniego stanu, prawda?

— Jemu się zdaje, że może.

— Czas płynie w jedną stronę, Emmy. Nie możemy go odwrócić i zniszczyć czegoś, co wydarzyło się w przeszłości, tylko dlatego, że nam się nie podoba to, co z tego wynikło.

— Daeva jest przeciwnego zdania.

— To znaczy, że ma nie po kolei w głowie. Czas nie pobiegnie z powrotem tylko dlatego, że Daeva tak chce. Ocean może wyschnąć, góry mogą się zawalić, ale czas płynie od przeszłości ku przyszłości. To chyba jedyna rzecz, która się nie zmienia.

— Miejmy nadzieję, że się nie mylisz, Althalusie, bo inaczej Daeva wygra. A wtedy zniszczy wszystko, co stworzył Deiwos, i przywróci niebo i ziemię do stanu z samego początku. Jeśli potrafi odwrócić bieg czasu, to rzeczy, które robi teraz, zmienią to, co wydarzyło się w przeszłości, a jeśli posunie się za daleko, my także przestaniemy istnieć.

— A co Ghend ma z tym wszystkim wspólnego? — spytał nagle Althalus.

— Ghend był jednym z pierwszych ludzi, którzy pojawili się w tej części świata przed około dziesięciu tysiącami lat. Wówczas ludzie nie umieli jeszcze wytapiać miedzi ze skał ani też łączyć miedzi z cyną, by uzyskać brąz. Wszystkie narzędzia i broń sporządzano z kamienia. Przywódca plemienia kazał Ghendowi ścinać drzewa, żeby powstało miejsce na uprawę zboża, on jednak nie cierpiał tej roboty. Wtedy zjawił się Daeva i namówił go, aby zamiast Deiwosowi oddawał cześć jemu. A musisz wiedzieć, że Daeva potrafi być bardzo przekonujący, jeśli mu na czymś zależy. I tak Ghend został arcykapłanem demona Daevy i niepodzielnym panem Nekwerosu. — Esmeralda podniosła nagle wzrok. Potem męskim ruchem zsunęła się z łóżka i wskoczyła na parapet północnego okna. — Powinam się domyślić — burknęła. — On znowu tu jest.

— Co takiego?

— Próbuje cię odnaleźć.

Althalus wstał i podszedł do okna. Nagle zastygł w miejscu ze zdumienia. Na zewnątrz było coś, czego być nie powinno. Świat już się wcale nie kończył.

— Co to jest? — spytał, wskazując coś, co przypominało białą górę.

— Łód. Nie pierwszy raz się to zdarza. Daeva i Ghend próbują w ten sposób spowolnić bieg wypadków, szczególnie wtedy, kiedy uznają, że Deiwos za bardzo

ich wyprzedził.

— Ale tego lodu jest mnóstwo, Em. Kiedy tu szedłem, chmury leżały daleko w dole. Czyżby woda zaczęła się podnosić?

— Nie. Zamarzła już dawno temu, a śnieg, który padał każdej zimy, po prostu przestał się topić. Porobiły się wielkie zasy i stopniowo zmieniły się w lód.

— Jak gruba jest ta powłoka?

— Około dwóch, może trzech mil.

— Mnie chodzi o głębokość.

— Mnie także. Kiedy masy lodu wyrosły ponad to, co nazywasz Krawędzią Świata, zaczęły się przesuwać. Potem runęły z gór i zasypały niziny. Nic ich już nie powstrzyma i w tej części świata ludzie nie będą już mogli mieszkać.

— Widziałaś to już kiedyś?

— Kilka razy. Ghend i Daeva tylko tak mogą przeszkodzić Deiwosowi w jego dziele. Musimy zmienić plany, Althalusie.

— Nie wiedziałem, że mieliśmy jakieś plany.

— Ależ mieliśmy, skarbie, tylko nie zdążyłam ci o nich powiedzieć. Myślałam, że jeszcze jest czas.

— Miałas na to prawie dwa i pół tysiąca lat. Ile ci jeszcze trzeba?

— Prawdopodobnie drugie tyle. Gdybyś wcześniej powiedział mi o Ghendzie, mogłabym to i owo naprawić. Teraz będziemy musieli użyć podstępów. Mam nadzieję, że Deiwos się na mnie nie pogniewa.

— Twój brat ma huk roboty, Em — pocieszał ją Althalus. — Chyba nie musimy zawracać mu głowy szczegółami, prawda?

Parsknęła śmiechem.

— To samo sobie pomyślałam, skarbie. Jesteśmy wprost stworzeni dla siebie.

— Dopiero teraz to zrozumiałaś? Chyba najprościej będzie, jeśli przemknę się do Nekwersu i zabiję Ghenda, co?

— Jesteś okropnie brutalny.

— Po prostu mówię, co myślę. Całe to kluczenie dookoła to dla mnie tylko strata czasu, bo przecież i tak na tym się skończy. Ghend wysłał mnie tu, abym ukradł Księgę po to, żeby mógł ją zniszczyć. Jeśli go zabiję, zniszczymy jego Księgę, a wtedy Daeva będzie musiał się wycofać i zaczynać wszystko od początku.

— Skąd wiesz o Księdze Daevy? — spytała ostro.

— Sam mi ją pokazał w obozie Nabjora.

— Więc zabiera ją z sobą do realnego świata? Co on sobie myśli?!

— Nie pytaj mnie, co ktoś sobie myśli. Moim zdaniem Ghend wiedział, że nigdy w życiu nie widziałem żadnej księgi, i po prostu chciał mi pokazać, jak takie coś wygląda. Ale obrazki w tamtej Księdze były zupełnie inne niż w naszej.

— Chyba jej nie dotykałeś, co?

— Nie, samej Księgi nie dotknąłem. Ghend dał mi do ręki tylko jedną stronę.

— Ależ strony to właśnie Księga! Dotykałeś obydwu Ksiąg gołymi rękami?!
— pytała rozdygotana.

— Tak, a to ma jakieś znaczenie?

— Te Księgi to absoluty, Althalusie. Są źródłem najwyższej mocy. Nasza jest mocą czystego światła, a Ghenda — całkowitej ciemności. Kiedy dotknąłeś tamtej strony, powinna cię doszczętnie zepsuć.

— Ja już byłem zepsuty do pewnego stopnia, ale zajmiemy się tym później. Co sądzisz o moim pomysłe? Przekradnę się przez granicę do Nekwerosu i nikt mnie nie zauważy. Jak tylko uśpię Ghenda, spalę jego Księgę i koniec kłopotów.

Westchnęła ciężko.

— Em, to najprostsze rozwiązanie — przekonywał. — Po co komplikować sprawy bez potrzeby?

— Bo pewnie nie ujdiesz dalej niż milę od granicy, skarbie. Ghend cię wyprzedza o ponad siedem tysięcy lat. Wie, jak posługiwać się Księgą na sposoby, których ty sobie nawet nie wyobrażasz. Korzystanie z Księgi to bardzo skomplikowany proces. Musisz się w nią całkowicie wtopić, tak żeby słowa przychodziły do ciebie automatycznie. — Spojrzała na niego z namysłem. — Naprawdę mnie kochasz, Althalusie?

— Oczywiście, jak możesz pytać? Co to ma wspólnego z naszą rozmową?

— To przesądza sprawę, Althalusie. Musisz mnie kochać bez reszty, inaczej to się nie uda.

— Co się nie uda?

— Chyba wymyśliłam sposób. Ufasz mi, skarbie?

— Ja mam ci ufać? A mało razy skakałaś na mnie z tyłu? Nie bądź śmieszna!

— Co to znaczy?

— To znaczy, że jesteś podstępna cwaniarą. Kocham cię, kiciu, ale jeszcze nie zwariowałem na tyle, by ci zaufać.

— Przecież to tylko taka zabawa.

— Co miłość i zaufanie mają wspólnego z zamachem na Ghenda?

— Umiem posługiwać się naszą Księgą, a ty nie. Ty za to potrafisz poruszać się w waszym świecie, ja zaś nie mam o tym pojęcia.

— Tak to z grubsza wygląda. I jak to wykorzystamy?

— Przełamiemy bariery między nami, ale musimy bezwzględnie sobie ufać. Przeniknę do twojego umysłu i będę ci podpowiadać, co masz robić i jakim słowem z Księgi się posłużyć.

— Czyli po prostu wsadzę cię do kieszeni i ruszamy na Ghenda?

— To trochę bardziej skomplikowane, Althalusie. Zrozumiesz lepiej, kiedy wnikiemy nawzajem w swoje umysły. Przede wszystkim musisz całkowicie opróżnić swój umysł i otworzyć się na mnie.

— O czym ty mówisz?

— Myśl o świetle, o ciemności, o pustce. Po prostu się wyłącz.

Althalus próbował wyczyścić swój umysł z myśli, ale mu się nie powiodło. Z umysłem bywa tak jak z niesfornym dzieckiem: każesz mu przestać, a on podkręca obroty.

— Musimy spróbować czegoś innego — orzekła Esmeralda, kładąc po sobie uszy z irytacji. — Może... Podejdź do południowego okna. Chcę, żebyś widział góry Kagwhereu. Wybierz najbliższą i policz na niej drzewa.

— Mam liczyć drzewa? Po co?

— Bo ci każę. Nie zadawaj głupich pytań, tylko słuchaj.

— Dobra, Em, nie podniecaj się tak.

Do najbliższego szczytu była może mila. Althalus zaczął liczyć drzewa przy wierzchołku, lecz nie było to łatwe, gdyż śnieg pozacierał ich kontury.

— No, jeszcze trochę... — odezwał się mrużący głos w jego prawym uchu.

Althalus szarpnął głową ze zdumienia. Nie wyczuwał kotki na ramieniu, więc skąd ten ciepły oddech na jego policzku?

Esmeralda nadal siedziała na łóżku o kilka kroków od niego.

— Prosiłam, żebyś się przesunął, skarbie — usłyszał w głowie. — Jest mi za ciasno.

— Co ty wyprawiasz?

— Ciii... Jestem zajęta.

Czuł w głowie pulsowanie, jakby coś się tam obracało.

— Przestań się wiercić — powiedział głos. — Nie zajmę ci dużo miejsca.

Nagle wrażenie inwazji zaczęło słabnąć i Althalus czuł w głowie już tylko łagodne mrużenie.

No, teraz jesteś mój!

— Co się dzieje?! — wykrzyknął w panice.

Nie musisz już mówić na głos, skarbie. Teraz, kiedy tu jestem, słyszysz moje myśli, a ty usłyszysz moje, jeśli zadasz sobie odrobinę trudu i postuchasz.

— Jakżeś to zrobiła?

Mów w myśli, Althalusie. Jeśli jednocześnie mówisz ustami i myślisz, robi się paskudne echo.

Naprawdę tam siedzisz?

Moja świadomość tu jest, podobnie jak na łóżku, ale bez trudu mogę być w dwóch miejscach naraz. — Nad lewym uchem poczuł lekkie łaskotanie. — Masz umysł większy, niż sądziłam, a to znaczy, że jesteś bardzo sprytny i masz zdolności poetyckie.

Przestaniesz mi tam gmerać?

Nie ma mowy, skarbie. Koty są ciekawskie, nie wiedziałyś?

Jak ci się udało tak szybko włamać? Myślałem, że to potrwa znacznie dłużej.

Szczerze mówiąc, ja także. Naciskałam na barierę, jeszcze nim zaczęłaś liczyć, ale nie mogłam się przepchać. Dopiero kiedy zaczęłaś liczyć drzewa, bariera runęła.

Czy to znaczy, że mam powiedzieć „raz, dwa, trzy” za każdym razem, gdy zechcę w ten sposób pogadać?

Teraz już nie, skarbie. Teraz jestem w środku i nigdy się mnie nie pozbędziesz.

Trochę potrwa, zanim się przyzwyczaję. Jeszcze nigdy nikt nie siedział mi w głowie.

Czy to naprawdę takie przykre?

Nie, wcale nie.

Teraz będę z tobą, gdziekolwiek się udasz.

Nie zamierzam stąd wychodzić bez ciebie, Em. Właśnie chciałem z tobą o tym porozmawiać. Nigdzie bez ciebie nie pójdę, nawet jeśli świat miałby się rozpaść na kawałki, rozumiesz, kiciu? Ty jesteś dla mnie ważna, a nie świat.

Proszę, Althalusie, nie mów takich rzeczy — ton jej głosu wskazywał, jak bardzo jest wzruszona. — To mi bardzo utrudnia myślenie.

Owszem, zauważyłem to. Skoro już poruszasz tę sprawę, czy nie do tego właśnie zmierzaliśmy, odkąd tu jestem? Z początku mówiłaś do mnie na głos, chociaż mówiący kot nie jest w świecie czymś naturalnym. Teraz posunęliśmy się o krok dalej, więc nie musisz już marnować całych tysięcy lat, by nauczyć mnie korzystania z Księgi. Moglibyśmy wyruszyć choćby w tej chwili, jeśli tylko nie nastanie zima.

Spojrzał na nią z uniesioną brwią.

— Teraz, kiedy już otworzyłaś drzwi, różne rzeczy zaczynają tu wchodzić — powiedział głośno. — Nie chcę cię krytykować, Em, ale naprawdę nie powinnaś mieć tego rodzaju myśli, wiesz?

Posłała mu wściekłe spojrzenie. Potem zeskoczyła z łóżka i oddaliła się na sztywnych łapach.

— Czyżbyś się zaczerwieniła, Em? — spytał słodko.

Odwróciła się i zasyczała.

CZEŚĆ II
WYBRAŃCY

ROZDZIAŁ 7

— Trzymaj się od tego z daleka, Althalusie! To nie twoja sprawa!

— Em, ty otworzyłaś drzwi — przypomniał jej łagodnie. — One uchylają się w obie strony.

— Pilnuj swego nosa i przestań się wtrącać. Musisz zacząć bardziej uważać. Kiedy ci podpowiadam jakieś słowo, wysyłam jednocześnie obraz skutków, które ono wywoła. Masz zachować w umyśle zarówno słowo, jak i obraz. Słowo, skarbie, to jedynie dźwięk. Nic się nie stanie, jeśli będziesz tylko hałasował.

— Kiedy stąd wyruszymy?

— Za miesiąc... może za sześć tygodni. Gdy nadejdzie wiosna, bez względu na to, czy będziesz gotów, czy nie.

— Mamy coś zabrać z Arum, tak?

— Owszem, Nóż.

— Ten, którym mam zabić Ghenda?

— Przystaniesz wreszcie?

— Czyż nie o to nam chodzi? Ghend przeszkadza Deiwosowi w jego dziele, więc mam go zlikwidować. Nic w tym niezwykłego, Em, robiłem to już przedtem. Jestem przede wszystkim złodziejem, ale za godziwą zapłatę miałem się także morderstwa. Zdawało mi się, że to właśnie miałaś na myśli.

— Na pewno nie!

— Szkoda, to takie proste rozwiązanie! I nawet nie zabrudzisz sobie łapek. Pójdziemy do Arum po Nóż, a stamtąd do Nekwerosu, gdzie poderżnę Ghendowi gardło...

— Ten Nóż nie do tego służy. Ma to wypisane na ostrzu. Potrzebujemy kilku ludzi, których rozpoznamy po tym, że potrafią odczytać ów napis.

— Co za dziwaczne metody! Pogadaj z bratem i dowiedz się od niego, kim są ci ludzie. Potem ich odnajdziemy i sprawa załatwiona.

— Nic z tego, Althalusie. Warunki się zmieniają. W zależności od tego, jak sprawy się ułożą, będziemy potrzebowali takich, a nie innych ludzi. O wszystkim zadecydują okoliczności.

— Czy to znaczy, że napis na ostrzu także się zmienia stosownie do okoliczności?

- Nie, skarbie. Napis pozostaje ten sam, ale można go różnie odczytać.
- Zaraz, zaraz. Czy pismo nie ma takiego samego znaczenia dla wszystkich?
- Oczywiście. Każdy, kto czyta jakieś pismo, rozumie je na swój sposób. Kiedy ty spojrzysz na ów napis, zobaczysz pewne słowo. Kto inny zobaczy inne. Większość ludzi nie dostrzeże w ogóle żadnych słów, tylko obrazki. Ci, których szukamy, nie tylko zobaczą słowo, ale głośno je wypowiedzą.
- A jak poznamy, czy dobrze je odczytali?
- Poznamy, skarbie, możesz mi wierzyć.

Zima wlokła się jeszcze przez jakiś czas, aż nagle pewnej nocy z południa powiał ciepły wiatr i do rana wymiółł cały śnieg. Althalus stał w południowym oknie i patrzył, jak wezbrane błotniste potoki występują z brzegów, zalewając stoki Kagheru.

- To twoja sprawka, Em? — spytał podejrzliwie.
 - Co?
 - Ty przywołałaś wiatr, który stopił śnieg?
 - Nie mieszam się do pogody, Althalusie. Deiwos tego nie lubi.
 - Jeśli mu nie powiemy, może nic nie zauważy. My już tkwimy w kłamstwie po uszy, więc cóż szkodzi jeszcze jedno małe oszustwo? Powinniśmy nad tym popracować. Ty nauczysz mnie korzystać z Księgi, a ja ciebie kłamać, oszukiwać i kraść. — Uśmiechnął się od ucha do ucha.
 - To wcale nie jest śmieszne, Althalusie!
 - A mnie się nawet podoba. Co powiesz na mały zakładzik: kto kogo pierwszy sprowadzi na manowce?
 - Nie zależy mi na tym.
 - Sprowadzanie na złą drogę to świetna zabawa, Em. Na pewno nie chcesz spróbować?
 - Och, przestań!
 - Przemyśl to sobie jeszcze i daj mi znać, jak zmienisz zdanie.
- Przez następny tydzień oboje byli rozdrażnieni. Nie mogli się już doczekać, aż atak wiosny nieco osłabnie. Wreszcie górskie potoki wróciły do swych łożysk. Althalus wyciągnął broń i rozpoczęli przygotowania do drogi.
- To już chyba wszystko — powiedział, otulając się szczelnie płaszczem i rozglądając po pokoju. — Będzie mi brakowało tego miejsca. Pierwszy raz w życiu miałem stały dom. . . Ciekawe, czy kiedyś tu wrócimy.
 - Przypuszczam, że tak. Możemy już iść?
 - Wziął ją na rękę i rozłożył kaptur.
 - Tu będzie ci doskonale, Em. Co ty na to? Kiedy znajdziemy się na zewnątrz, mogę potrzebować obu rąk, i to szybko.

W porządku — zamruczał głos w jego głowie. Wdrapała mu się na ramię i umościła w workowatym kapturze. — *Na jakiś czas ujdzie.*

— Czy inni ludzie będą cię widzieli?

Tylko jeśli tego zechcemy.

Spojrzał na zaokrąglone ściany i zauważył, że przywróciła drzwi.

Żadnych pytań? Ani komentarzy?

Wyczuł w jej głosie zawód.

— Ach, przepraszam cię, Em. A teraz? — Cofnął się gwałtownie, udając przesadne zdumienie. — *Zadziwiające! W tej ścianie musiał być otwór! I ktoś zakrył go drzwiami, wyobrażasz sobie?*

Nasyczała mu w ucho.

Althalus parsknął śmiechem i zaczął schodzić na dół.

Gdy przeprawiali się przez most, coś mu się przypomniało.

— To może nic nie znaczy, Em, ale ci powiem, bo zawsze zawiązujesz ogon na supeł, gdy tylko wspomnę o jakimś nieistotnym drobiazgu. Otóż kiedy tu szedłem, łąziło za mną jakieś zwierzę. Wprawdzie go nie widziałem, ale na pewno słyszałem głupie odgłosy.

Jakiego rodzaju odgłosy?

— Coś w rodzaju zawodzenia, ale raczej nie wycie wilka. Towarzyszyło mi przez całą drogę, to z przodu, to znów z tyłu.

Jakby krzyk rozpaczny? Podobny do tego, jaki wydaje człowiek, kiedy spada ze skały?

— Blisko, lecz to nie był człowiek.

Nie, raczej nie.

— Może powinienem się zaciąć i rzucić na to okiem?

Tak naprawdę wcale nie chciałbyś zobaczyć tego stworzenia. Wystał je Ghend, żeby śledziło, czy robisz, co ci kazał.

— Już ja sobie z nim pogadam, niech tylko go spotkam. Myślisz, że to stworzenie nadal na mnie czeka po drugiej stronie mostu?

Niewykluczone. Jeśli tak jest, nic na to nie poradzimy.

— Mogę je dogonić i zabić.

Nie możesz, to jest duch. Czy zabijanie to twoja pierwsza reakcja na każdy problem?

— Wcale nie na każdy, ale w razie potrzeby potrafię zabijać. . . zwierzęta albo ludzi i bynajmniej potem nie płaczę. To należy do mego zawodu. Jeśli dobrze pracuję, nie muszę nikogo mordować, ale jeśli coś źle pójdzie. . . no to trudno.

Jesteś okropny, Althalusie.

— Tak, wiem. Czy nie dlatego mnie zatrudniłaś?

Zatrudniłam?

— Chcesz, żebym coś dla ciebie zrobił, tak? Więc niedługo będziemy musieli pogadać o zapłacie.

O zapłacie?!
— Em, ja nie pracuję za darmo. To nieprofesjonalne.
Szedł przez most, trzymając włócznie w pogotowiu.
Pewnie chcesz złota? — spytała oskarżycielsko.
— Och, może być i złoto, ale wolę miłość. Miłości nie da się policzyć, dlatego jest jeszcze cenniejsza niż złoto.
Zawstydzasz mnie, Althalusie.
— Staram się, jak mogę.
Kpisz sobie ze mnie, tak?
— Jakżebym śmiał?! Ja? Taka chodząca łagodność?
Dotarli wreszcie do końca mostu i Althalus zatrzymał się, pilnie nasłuchując. W górach i lasach panowała głucha cisza.
— Pewnie mu się znudziło — mruknął.
Możliwe — odparła Esmeralda bez przekonania.
Obejrzał się przez ramię, chcąc po raz ostatni rzucić okiem na Dom, ale Domu nie było.
— To twoja robota?
Nie, sam Dom się o to zatroszczył. Kiedy przyszedłeś tu po raz pierwszy, zobaczyłeś go, bo tak miało być. Nikt inny nie potrzebuje go widzieć, więc pozostaje niewidzialny. Chodźmy do Arum, skarbie.
To rzekłszy, okręciła się w kółko i umościła do spania.
Tego dnia pokonali około piętnastu mil, wędrując skrajem przepaści, którą Althalus wciąż nazywał w myśli Krawędzią Świata, pomimo sterczących na północy lodowców. Wieczorem znaleźli schronienie w kępie drzew. Althalus rozpalil ogień, a Esmeralda podpowiedziała mu słowa potrzebne do przygotowania kolacji. Dostali chleb i piezonego kurczaka.
Nieźle — zauważyła — *ale czy nie za bardzo przypalone?*
— Czy ja krytykuję twoją kuchnię?
To tylko luźna uwaga, skarbie. Niczego nie krytykuję.
Oparł się o pień, wyciągając nogi w stronę ognia.
— Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć, Em — odezwał się po namyśle. — Jeszcze przed spotkaniem z Ghendem miałem przez dłuższy czas złą passę. Może już się skończyła, ale od tamtej pory jakoś nic mi nie wychodzi.
Tak, wiem. Te papierowe pieniądze w kasie Druigora... Głupia sprawa, co?
Althalus wytrzeszczył oczy.
— To twoja sprawka? Przez ciebie miałem takiego pecha?
Oczywiście. Gdyby nie zła passa, nigdy byś nie przystał na propozycję Ghenda, prawda?
— A przedtem? Czy dzięki tobie miałem takie szczęście, że aż byłem z tego sławny?

*Jasne, skarbie. Gdybyś nie miał takiej wspaniałej passy, pewnie nie zauważył-
byś nawet, że się odwróciła.*

— Więc jesteś boginią fortuny, tak?

*To tylko uboczne zajęcia. My wszyscy gramy na szczęściu pewnych ludzi. Dzięki
temu zmuszamy ich do współpracy.*

— Czcilem cię od lat, Em!

Wiem, to naprawdę miło z twojej strony.

— Zaraz, zaraz. Mówiłaś, zdaje się, że nie wiedziałaś, jakoby Ghend wynajął
mnie do wykradzenia Księgi. Ale skoro siedziałaś mi cały czas na karku, manipu-
lując moim szczęściem, to jak mogłaś przeoczyć taki numer?

*Nie byłam aż tak zorientowana, Althalusie. Wiedziałam, że ktoś chce to zrobić,
ale nie miałam pojęcia, że sam Ghend. Raczej podejrzewałam kogoś z jego
fagasów... Argana albo Khnoma, ale na pewno nie Pekhala.*

— Co to za jedni?

*Studzy Ghenda. Jestem pewna, że spotkamy się z nimi, zanim to wszystko się
skończy.*

— W Equero omal mnie nie zabiłaś, wiesz? Niektóre z tych strzał przeszły
ledwie o włos, kiedy uciekałem z ogrodu Kwesa.

*Ale cię nie trafiły, prawda? Nigdy bym nie dopuściła, by stała ci się krzywda,
skarbie.*

— Kawał z papierowymi pieniędzmi to także twój pomysł? Kto by pomyślał,
że papier może być coś wart...

*Ten pomysł funkcjonuje już dość długo. Ludzie, którzy zajmują się sprzedażą
i kupnem, piszą do siebie liściki — coś w rodzaju przyrzeczenia zapłaty. To znacz-
nie wygodniejsze niż złoto i dlatego mieszkańcy Maghu nadali tym listom oficjalne
formy.*

— Czy to nie ty sprawiłaś, że Gosti Pasibrzuch okłamał mnie w sprawie za-
wartości swej kasy?

*Nie. Może to Ghend. On także miał wiele powodów, by ci bruździć w kwestii
szczęścia.*

— Ciekawe, czemu wszyscy tak się na mnie uwzięli. Z obu stron płotu sypią
się śmieci na moje biedne szczęście.

Czy to nie miłe, że tak się o ciebie troszczą?

— Więc teraz zła passa się odwróci?

*Oczywiście, Althalusie. Ja jestem twoim szczęściem i kocham cię do ostatniej
kosteczki... przynajmniej póki mnie słuchasz.*

I poklepała go miękką łapką po policzku.

Parę dni później dotarli do uschniętego drzewa.

— Nadal tu jest? — zdziwił się Althalus.

To punkt orientacyjny, skarbie. Niech sobie stoi, tak jest wygodniej.

Skręcili na południe i mniej więcej przez tydzień schodzili ze stoków Kagwhe-ru. Pewnego dnia zobaczyli z wierzchołka wzgórza prymitywną wioskę przycupniętą w następnej dolinie.

— Jak myślisz, Em? Może powinniśmy tam zejść i pogadać z ludźmi. Dawno nie miałem z nikim kontaktu, więc warto by się zorientować, co słychać na świecie.

Wolałabym, żeby nikt nas nie zapamiętał, skarbie. Ghend wszędzie ma oczy i uszy.

— Słuszna uwaga! Więc śpijmy tutaj, a przed świtem przemkniemy się obok wioski.

W zasadzie nie chce mi się spać.

— Pewnie! Spałaś cały dzień, ale ja szedłem i jestem zmęczony.

No dobrze, zostańmy. Niech twoje biedne nogi wypoczną.

Althalus nie czuł wprawdzie wielkiego zmęczenia, ale gdy tylko ujrzał wioskę, coś przyciągnęło jego uwagę. Na południowym skraju wypatrzył zagrodę, w której pasły się konie. Na poręczy leżało nawet kilka prymitywnych siodeł. Do Arum był jeszcze kawał drogi, a wiadomo, że wygodniej jest jechać, niż iść. . .

Postanowił nie wtajemniczać Emmy w swoje plany. W końcu jest mistrzem w złodziejskim fachu, co to dla niego ukrąść konia i siodło? Doskonale sobie poradzi bez pomocy.

Zamówił kolację, a po posiłku ułożyli się pod płaszczem i zasnęli.

Co robisz? — spytała Emmy sennie, kiedy po północy zaczął się zbierać do drogi.

— Powinniśmy wcześniej wstać, żeby przejść obok wioski, zanim się ludzie obudzą. Podróżowanie nocą to najlepszy sposób, żeby nikt nas nie zobaczył.

Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli jeszcze pośpię?

— Ależ nie, Em. Zwiń się w kapturze i śpij.

Udeptała sobie miejsce i zaczęła mruzczyć, a po chwili znów spała. Obudziła się dość gwałtownie, kiedy Althalus spiął konia do galopu.

Powinam się była domyślić.

— Mamy do spełnienia coś w rodzaju świętej misji, prawda, Em? — tłumaczył się gęsto Althalus. — Musimy ratować świat, więc czyż nie należy nam się pomoc?

Nigdy się nie zmienisz, co?

— Chyba nie. Śpij, Em. Sytuacja jest całkowicie opanowana.

Odtąd podróżowali znacznie szybciej. Nie minęły dwa dni, jak znaleźli się w przepastnych lasach Hule.

Od czasu do czasu widywali w leśnych ostępach ludzkie osady, co Althalusa niezmiernie oburzyło. Według niego piękne Hule powinno zostać na zawsze dziką, odludną krainą, a tymczasem jakieś brudasy skalaty ją swą obecnością. Wio-

ski stanowiły zbiorowiska obskurnych chałup zbudowanych na błotnistym gruncie i tonących w górach śmieci. W zasadzie nie było na co patrzeć, ale tym, co Althalusa uraziło do głębi, był widok pniaków. Ci barbarzyńcy wycinali drzewa!

— Cywilizacja! — burknął.

Co?

— Oni ścinają drzewa!

No tak, ludzie czasem to robią.

— Chcesz powiedzieć: małoduszni ludzie. Tacy, którzy się boją ciemności i wynajdują sposoby opowiadania o wilkach, tak żeby nie wymówić słowa „wilk”. Chodźmy stąd, bo na widok tych stert śmieci robi mi się niedobrze.

Minęli jeszcze kilka wiosek, ale opinia Althalusa o ich mieszkańcach niewiele się zmieniła.

Humor poprawił mu się dopiero u podnóża wzgórz Arum. Bez względu na to, co cywilizacja może zrobić z człowiekiem, nikomu jeszcze nie wpadł do głowy pomysł burzenia gór.

Jechali jakiś czas pod górę. Pod wieczór drugiego dnia Althalus zboczył z wąskiego szlaku i rozbił obóz na małej polance.

Może być ryba na kolację? — spytała Emmy, gdy tylko zobaczyła ogień.

— Myślałem raczej o wołowinie.

Wołowina była wczoraj.

Już miał coś odpowiedzieć, ale tylko się zaśmiał.

Co cię tak rozśmieszyło?

— Czy nie prowadziliśmy już kiedyś takiej rozmowy? Pamiętam jakieś kłótnie na temat monotonnego jedzenia.

To całkiem co innego.

— O tak, na pewno. — Poddał się wreszcie. — Dobrze, kiciu, dostaniesz swoją rybę.

Zaczęła mruczeć z satysfakcją.

Althalus doskonale spał tej nocy, ale tuż przed świtem się ocknął. Jakiś dawno zapomniany instynkt ostrzegł go przed nadciągającym niebezpieczeństwem.

— Ktoś tu idzie, Em — powiedział, budząc kotkę.

Zielone oczy otworzyły się natychmiast i Althalus poczuł jej penetrującą myśl. Nagle syknęła gniewnie.

— O co chodzi? — spytał.

To Pekhal! Uwważaj, Althalusie, potrafi być bardzo groźny.

— Czy nie wspomniałaś, że to człowiek Ghenda?

Nazwałabym go raczej zwierzęciem Ghenda. W Pekhalu niewiele zostało z człowieka. Jestem pewna, że będzie próbował cię zabić.

— Wielu już próbowało.

Wysunął się spod płaszcza i sięgnął po włócznię z brązowym ostrzem.

Nie walcz z nim, Althalusie. To dzikus, bardzo podstępny. Będzie próbował cię zagadać, a jednocześnie dosięgnąć mieczem. Przypuszczam, że szuka tu sobie śniadania.

— Jada ludzi?

To jeden z jego miłszych zwyczajów.

— Chyba pamiętam, jak takich utrzymać z daleka — rzekł Althalus, uśmiechając się złowieszczo.

W poszyciu leśnym coś trzasnęło. Althalus schował się za drzewem i patrzył.

Mężczyzna był potężnej postury i miał okrutną twarz człowieka niższego rzędu. Przepychał się przez chaszczę, wymachując wielkim mieczem z metalu, który nie przypominał brązu.

— Gdzie jesteś? — ryknął gardłowym, niemal zwierzęcym głosem.

— Tutaj. Chyba nie musisz podchodzić bliżej.

— Pokaż się!

— Po cóż miałbym się pokazywać?

— Bo chcę cię zobaczyć.

— Nie jestem zbyt atrakcyjny.

— Pokaż się! — zaryczał znów potwór.

— Jak chcesz, kolego. — Althalus wyszedł zza drzewa i wbił wzrok w uzbrojonego po zęby dzikusa. Nagle powiedział: — *Dheu.*

Potwór uniósł się w górę, krzycząc ze strachu.

— To tak na wszelki wypadek, przyjacielu — wyjaśnił grzecznie Althalus. — Chyba wstałeś dziś lewą nogą. . . ani chybi zaszkodził ci ktoś, kogo zjadłeś.

— Opuść mnie na ziemię!

— Nic z tego. Tak jest bardzo dobrze.

Zbój zaczął wymachiwać mieczem, jakby chciał przeciąć to, co go utrzymywało w powietrzu.

— Pozwolisz, że się przyjrzę? — spytał Althalus, wyciągając rękę. — *Gwem!*

Ogromny miecz wysunął się z dłoni olbrzyma i upadł posłusznie obok Althalusa.

— Naprawdę robi wrażenie — zauważył złodziej, ważąc go w rękę.

— Oddawaj!

— Nie. Przykro mi, ale wcale go nie potrzebujesz. — Althalus wbił miecz w ziemię, po czym zręcznie wyjął zza pasa potwora sakiewkę oraz sztylet.

Pekhal zaryczał; twarz wykrzywiła mu się w bezsilnej furii.

Althalus podniósł rękę.

— *Dheu!*

Olbrzym uniósł się jeszcze o dwadzieścia stóp wyżej. Pobladł, oczy mu się rozszerzyły i w ogóle przestał się poruszać.

— Jak tam widoki z góry? — Althalus wyraźnie dobrze się bawił. — Może chcesz sprawdzić, co widać o parę mil wyżej? Powiedz, chętnie ci to załatwię.

Pekhal patrzył na niego z paniką w oczach.

— Rozumiemy się, przyjacielu? — dręczył go dalej Althalus. — Kiedy zobaczysz Ghenda, pozdrów go ode mnie uprzejmie i poproś, żeby zaprzestał takich numerów. Nie pracuję już dla niego, więc niech się odczepi. — Wsadził do kieszeni sakiewkę, wyciągnął z ziemi miecz i zaczął opukiwać ostrze rękojeścią sztyletu. Wydawało dziwny brzęk. Następnie przejechał kciukiem po krawędzi i przekonał się, że była znacznie ostrzejsza niż w jego własnym mieczu z brązu. — Bardzo ładnie — mruknął i spojrzał na wiszącego w górze Pekhala. — Winienem ci wdzięczność za te dary, przyjacielu. Niestety, mogę ci się zrewanżować tylko moją starą bronią, ale ty, jako ten szlachetniejszy, na pewno nie będziesz oponował. — Odłożył brązowy miecz. — Będziemy musieli to kiedyś powtórzyć. A teraz miłego dnia.

Chcesz go tam zostawić? — spytała wcale niezachwycona tym Emmy.

— Och, chyba skruszeje do zachodu słońca. Jeśli nie spadnie dziś, na pewno zrobi to jutro... albo pojutrze. Może zjemy śniadanie i ruszymy w drogę?

Jesteś wstrętny, wiesz? — zauważyła, daremnie starając się stłumić śmiech.

— Ale zabawny, prawda? Czy ten półgłówek to najlepsze, z czym Ghend może wyskoczyć?

Ghend wzywa Pekhala, kiedy potrzebuje jego brutalnej siły. Inni są znacznie groźniejsi.

— No i dobrze. Bo ten mnie znudził. — Przyjrzał się uważnie nowemu sztyletowi. — Co to za metal?

Ludzie nazywają go stalą. Nauczyli się ją wykuwać prawie tysiąc lat temu.

— Byłem wówczas trochę zajęty, pewnie dlatego nic nie zauważyłem. Skąd się bierze ta stal?

Widziałeś w Plakandzie czerwone skały, prawda?

— O tak, Plakand cały jest czerwony.

To od metalu zwanego żelazem. Ludzie nie mogli wydobywać go ze skał, póki nie nauczyli się rozpalać znacznie gorętszego ognia niż dotąd. Żelazo jest twardsze od brązu, ale bardziej kruche. Żeby móc wytwarzać broń i narzędzia, trzeba je łączyć z innymi metalami.

— I ten nowy metal zupełnie zastąpił brąz?

Przeważnie.

— Może jest lepszy, ale na pewno nie ładniejszy. Szary kolor wygląda przygnębiająco.

A co to ma za znaczenie?

— Kwestia estetyki, Em. Zawsze powinniśmy dążyć do upiększania życia.

Nie widzę nic pięknego w czymś, co służy do zabijania.

— Piękno tkwi we wszystkim. Trzeba tylko nauczyć się go szukać.

To ma być kazanie? Jeśli tak, to zaraz zwinę się w kłębek i zasnę.

— Jak sobie życzysz, Em. Ach, ale zanim zaśniesz, może mi powiesz, jaki klan w Arum posiada ów Nóż, którego poszukujemy? Jeśli mam zrewidować każdego tutejszego mieszkańca, będziemy tu siedzieć bez końca.

Wiem, gdzie on jest, skarbie. Ty także znasz owo miejsce, a w klanie, który ma Nóż, zyskałeś nawet pewną sławę.

— Ja? Staram się za wszelką cenę unikać sławy.

Ciekawe dlaczego. Chyba pamiętasz drogę do dworu Gostiego Pasibrzucha?

— Czy tam właśnie jest Nóż?

Tak. Obecny wódz nie ma pojęcia, jak Nóż trafił w jego ręce i jak bardzo jest ważny, więc po prostu trzyma go w zbrojowni.

— Czy to zbieg okoliczności? No, że Nóż trafił akurat do dworu Gostiego?

Raczej nie.

— A możesz mi to wyjaśnić?

Nie sądzę. Zwrot „zbieg okoliczności” zawsze wywołuje kłótnie na tematy religijne.

Przez kilka następnych dni jechali wzdłuż grani, tą samą drogą, którą Althalus uciekał swego czasu przed ludźmi Gostiego. Wreszcie dotarli do przełęczy nad kanionem, gdzie dawniej stał dwór. Zamiast prymitywnego fortu wznosił się tam teraz kamienny zamek. Rozchwiany most, źródło olbrzymich bogactw Gostiego, zniknął, zastąpiony przez solidną konstrukcję z kamiennych łuków. Althalus wycofał konia ze szlaku i wjechał między drzewa.

Nie schodzimy na dół? — zdziwiła się Emmy.

— Jest prawie wieczór. Prześpimy się tutaj i zejdziemy rano.

Dlaczego?

— Instynkt mi radzi poczekać. W porządku?

Dobrze, już dobrze — odparła z przesadnym sarkazmem. — *Instynktu zawsze należy słuchać.*

— Bądź miła — mruknął. Potem zsiadł z konia i podszedł do granicy drzew, żeby zerknąć na osadę przed zamkiem. Wyraźnie zaskoczony spytał: — Czemu wszyscy faceci chodzą w kieckach?

Nazywają je kiltami, Althalusie.

— Kiecka to kiecka. Czy moje pludry są złe?

Oni wolą kilty. Tylko nie wszczynaj żadnych awantur o stroje. Zatrzymaj swą opinię dla siebie.

— Jeśli nie sprawi mi to zbyt wiele kłopotu.

A jeśli sprawi?

— To tym gorzej, prawda?

ROZDZIAŁ 8

Oboje zbudzili się wcześniej, ale nie wyruszyli w drogę, póki nie zauważyli mieszkańców kręcących się po obejściach. Althalus wsiadł na konia i ruszył wolno przez las w stronę osady. Zauważył, że tamtejsze konie są znacznie okazalsze od tych, które widział poprzednim razem.

Dojeżdżali właśnie do pierwszych zabudowań, kiedy z domu stojącego tuż pod zamkowym murem wyszedł krzepki chłop w brudnym kilcie. Przeciągał się i ziewał, ale gdy dostrzegł Althalusa, w oczach błysnął mu niepokój.

— Hej, cudzoziemcze! — zawołał.

— Do mnie mówisz? — spytał niewinnie Althalus.

— Nie mieszkasz tu, więc jesteś cudzoziemcem, prawda?

Althalus popisywał się udawanym zdumieniem.

— Tam do licha, chyba masz rację. Popatrz no, popatrz, dopiero teraz spostrzegłem, że to ja!

Groźne spojrzenie złagodniało. Tubylec zachichotał.

— Powiedziałem coś śmiesznego? — spytał z niewinną miną Althalus, zeskakując z siodła.

— Niezły z ciebie zgrywus.

— Staram się, jak mogę. Odrobina humoru pomaga przełamać pierwsze lody. Ludzie wtedy widzą we mnie nie tyle cudzoziemca, ile nieznanego dotąd przyjaciela.

— Muszę to sobie zapamiętać — odparł tubylec, nie kryjąc już uśmiechu. — A jak się nazywasz, nieznanany przyjacielu?

— Althalus.

— To ma być żart?

— Nie zamierzałem żartować. A czemu tak pomyślałeś?

— W naszym klanie istnieje bardzo stara legenda o Althalusie. Ach, byłbym zapomniał, jestem Degrur. — I wyciągnął rękę.

— Miło mi cię poznać. — Althalus uściśnął mu dłoń. — Więc co z tą historią o Althalusie?

— No cóż... Gość okazał się złodziejem.

— Naprawdę? A co ukradł?

— Ponoć pieniądze. Przywódca klanu w owych czasach nazywał się Gosti Pasibrzuch i był najbogatszy na świecie.

— Ach tak?

— Właśnie tak. Miał skarbiec wypełniony złotem po sufit... dopóki nie zjawił się ów Althalus. Podobno opowiadał takie dowcipy, że ściany się trzęsły ze śmiechu. I nagle pewnej nocy, kiedy wszyscy się popili i zasnęli, Althalus włamał się do skarbcza i ukraść wszystkie złote monety. Mówią, że musiał ukraść też dwadzieścia koni, aby je stąd wywieźć.

— Tego złota musiały być całe góry.

— Właśnie, dlatego myślę, że opowieść po latach obrosła w legendę i w skarbcu wcale nie było takiego majątku.

— Na pewno masz rację, Degrurze. Ja też słyszałem raz historię o człowieku wielkim jak dąb.

— Idę teraz do dworu. Może wybierzesz się ze mną, to cię przedstawię wódzowi? Jestem pewien, że chciałby poznać kogoś, kto nazywa się Althalus.

— Przypuszczam, że dlatego, by mieć mnie na oku. Moje imię w tych stronach może budzić podejrzenia.

— Nie przejmuj się, przyjacielu. Nikt już nie bierze na serio tych starych historii.

— Mam nadzieję.

— Nie przestrasz się, ale z twojego kaptura wygląda kot.

— Tak, wiem. Obozowałem w górach i przybłąkał się, pewnie chciał dobrać się do jedzenia. Przypadliśmy sobie do gustu, więc na razie wędrujemy razem. Jak się nazywa wasz wódz?

— Albron. Młodziak jeszcze, ale zapowiada się całkiem nieźle. Jego ojciec, Baskon, spędzał większość czasu, leżąc twarzą do ziemi obok beczki z piwem, a wiecznie pijany wódz ma skłonność do popełniania błędów.

— Co się z nim stało?

— Spił się strasznie pewnej nocy, po czym wlaź na najwyższą wieżę i wyzwiał boga na pojedynek. Niektórzy sądzą, że bóg mu dołożył, ale według mnie Baskon po prostu potknął się i spadł. Rozprysnął się po całym dziedzińcu.

— Każdy na coś umiera... .

Weszli na zamkowy dziedziniec — porządnie wybrukowany, tak samo jak w Domu na Końcu Świata. Degrur poprowadził gościa po schodach do solidnych drzwi, a następnie przez korytarz do sali jadalnej.

Przy długim stole siedzieli brodaci mężczyźni i jedli śniadanie na drewnianych talerzach. Althalus rozejrzał się szybko; surowe kamienne ściany udekorowano sztandarami bojowymi i kilkoma sztukami antycznej broni, na kominie wesoło trzeszczały płonące polana. Kamienną posadzkę wyraźnie z rana zamieciono i żadne psy nie ogryzały kości po kątach.

Czystość jest ważna — zamruczał mu w głowie pełen aprobaty głos.

Może — odparł — *ale nie tak bardzo.*

U szczytu stołu siedział mężczyzna o chytrych oczkach i gładko wygolonej twarzy. Jak wszyscy, ubrany był w kilt.

— Wodzu — zwrócił się do niego Degrur — oto podróżny, który jest u nas przejazdem. Pomyślałem sobie, że może chciałbyś go poznać, gdyż jest bardzo sławny.

— Ach tak?

— Każdy o nim słyszał. Nazywa się Althalus.

— Żartujesz!

Degrur uśmiechał się od ucha do ucha.

— Sam mi to powiedział, Albronie. Oczywiście, mógł skłamać, żeby zmylić moją czujność.

— Degrurze, pleciesz bez sensu.

— Dopiero co wstałem, wodzu. Chyba nie spodziewasz się, żebym gadał z sensem zaraz po przebudzeniu?

Althalus wystąpił naprzód i skłonił się wytwornie.

— Miło mi cię poznać, wodzu Albronie — powiedział i demonstracyjnie powiódł wzrokiem wokół sali. — Widzę, że wprowadziliście sporo ulepszeń od mojej ostatniej wizyty.

— Byłeś już tutaj? — spytał Albron, unosząc brwi ze zdumienia.

— Owszem... dawno temu. Ówczesny wódz trzymał tu świnie pod jednym dachem z ludźmi. Świnie to dość miłe zwierzęta... dobre dla swoich matek i w ogóle, ale nie bardzo nadają się do hodowania w domu, a zwłaszcza w sali jadalnej. No, chyba że ktoś lubi naprawdę świeży boczek.

Albron parsknął śmiechem.

— Ty naprawdę nazywasz się Althalus?

Złodziej westchnął ciężko, udając rozpacz.

— Niestety, wodzu Albronie — odparł patetycznie. — Byłem pewien, że twój klan zdążył już o mnie zapomnieć. Sława potrafi czasem być bardzo kłopotliwa. Ale skoro moje straszliwe sekrety wyszły na jaw, to jeśli masz wolną chwilę, przejdźmy do rzeczy. Czy twój klan zgromadził już dostateczną ilość złota, by opłaciło mi się znów was obrabować?

Albron zamrugnął z niedowierzaniem oczami i wybuchnął śmiechem.

Althalus szedł za ciosem.

— Ponieważ znasz mój straszny sekret, panie, chyba nie ma sensu owijać niczego w bawełnę. Kiedy byłoby ci najwygodniej zostać obrabowanym? Będzie dużo strzelania, bieganiny, potem trzeba zorganizować pościg i tak dalej, sam wiesz, ile zamieszania bywa po kradzieży.

— Dobrze się trzymasz jak na swój wiek, panie Althalusie — zauważył wódz z uśmiechem. — Według tej historii, którą opowiadano nam w dzieciństwie, okradłeś Gostiego Pasibrzucha parę tysięcy lat temu.

— Aż tak dawno? Patrzcie, jak ten czas leci. . .

— Zapraszam na śniadanko. Skoro chcesz ukraść całe moje złoto, będziesz potrzebował paru tuzinów koni, aby je wywieźć. Porozmawiamy o tym przy posiłku, bo przypadkiem mam konie na zbyciu. Niektóre mają nawet wszystkie cztery nogi. Na pewno dobijemy targu. W końcu fakt, że zamierzasz mnie okraść, w niczym nie przeszkodzi wspólnym interesom, prawda?

Althalus zaśmiał się i usiadł przy stole z innymi. Przez cały posiłek żartowano na potęgę, na koniec zaś wódz podał Althalusowi kufel płynu, który nazywał piwem.

Uważaj — zamruczał głos Emmy.

Niegrzecznie byłoby odmawiać — wysłał milczącą odpowiedź. Podniósł kufel i wypił.

Musiał zebrać wszystkie siły, żeby nie wypluć tego paskudztwa na podłogę. Piwo Albrona miało tak gorzki smak, że Althalus omal się nie zakrztusił.

Mówiłam — rozległ się zadowolony głosik.

Althalus ostrożnie odstawił kufel.

— To było bardzo zabawne, wodzu, ale muszę ci teraz zadać pewne pytanie.

— O najlepszą drogę ucieczki po rabunku?

— Nie, milordzie, gdybym naprawdę był tamtym Althalusem, zaplanowałbym sobie odwrót na długo przed pojawieniem się tutaj. Jak chyba zauważyłeś po mej odzieży, nie jestem z Arum.

— Przypadkiem wpadło mi to do głowy, panie Althalusie.

— W gruncie rzeczy pochodzę ze wschodu, z Ansu. Od kilku lat próbuję wysledzić jedną rzecz.

— Czy to coś cennego?

— Cóż. . . dla innych raczej nie, ale ja muszę to mieć, żeby wystąpić o spadek.

Starszy brat mego ojca jest w naszych stronach arkheinem.

— Arkheinem?

— To taki tytuł szlachecki. . . mniej więcej odpowiada twojemu, milordzie. No więc jedyny syn mego stryja parę lat temu wszedł w spór z niedźwiedziem. Niewielu ludzi wygrywa tego rodzaju kłótnie, gdyż niedźwiedzie z Ansu są bardzo duże i niezycżliwe. I rzeczywiście mój kuzyn przegrał, a że nie miał brata, po śmierci stryja będzie problem z tytułem.

— Ty go dziedziczysz, tak? Gratuluje, panie Althalusie.

— Nie takie to proste, jak by się wydawało. — Althalus zrobił kwaśną minę.

— Mam jeszcze jednego kuzyna, po młodszym bracie ojca. Urodziliśmy się tego samego lata, ale my w Ansu nie mamy dokładnego kalendarza, więc nikt nie wie, który z nas jest starszy.

— O takie sprawy wybuchają wojny.

— Mój stryj arkhein dobrze to rozumie, milordzie. Dlatego wezwał nas obu do swego zamku i stanowczo zakazał powoływania armii czy tworzenia stronictw.

Potem opowiedział nam pewną historię. Podobno wiele lat temu jeden z naszych przodków miał bardzo piękny sztylet. Kiedy wybuchła wojna, a w Ansu zdarzało się to od czasu do czasu, nasz przodek poległ w bitwie. Po zachodzie słońca pojawili się łajdacy, którzy włączają się w pobliżu pobojowisk, żeby rabować trupy.

— No tak — pokiwał głową Albron.

— Pewnie sam zetknąłeś się z takimi wypadkami. Otóż sztylet naszego przodka padł łupem jednego z takich obwiesiów. Nie miał rękojeści wysadzonej drogimi kamieniami, ale był na tyle misternej roboty, że ktoś mógł się na niego skusić. Tak czy siak, stryj zaproponował nam coś w rodzaju konkursu: który z nas przyniesie mu sztylet, odziedziczy tytuł. — Althalus westchnął dramatycznie. — No i od tamtego dnia nie zaznałem spoczynku. Nie uwierzyłybyś, milordzie, jakie interesujące może stać się życie, kiedy jednym okiem wypatrujesz antyku, a drugim rozglądasz się, czy w pobliżu nie czają się mordercy.

— Mordercy?

— Mój kuzyn jest ździebko leniwy, milordzie, więc pomysł przemierzania świata w poszukiwaniu antycznego noża nie rozpałił w nim entuzjazmu. O wiele łatwiej nastać na mnie morderców i w ten sposób zostać zwycięzcą. Ale tu dochodzimy do sedna sprawy. Przypadkiem trafiłem na faceta, który był kiedyś w twojej, milordzie, zbrojowni i widział tam pewien sztylet, z opisu bardzo podobny do tamtego. . .

Althalus zerknął ukradkiem na Albrona. Wyssana z palca historia wyraźnie rozpałiła jego ciekawość i złodziej z przyjemnością przekonał się, że nie stracił nic ze swych zdolności.

Wódz wstał.

— Może sami się przekonamy, ile w tym prawdy, arkheinie Althalusie?

— Jeszcze nie jestem arkheinem.

— Ale będziesz, jeśli ten sztylet jest w mojej zbrojowni. Jesteś elokwentnym człowiekiem z poczuciem humoru, Althalusie, i jako taki zasługujesz na szlachectwo. Twój kuzyn to skończony łajdak. Zrobię wszystko co w mojej mocy, aby tobie przypadł tytuł po stryju.

— Zaszczycasz mnie, milordzie — odparł Althalus z ukłonem.

Czy to nie za bardzo grubymi nićmi szyte? — zasugerował głos Emmy.

Znam tych Arumczyków, Em, i dobrze wiem, jaki kit im wcisnąć. Ta historia wydaje się w sam raz: jest w niej groźba wojny domowej, bohater, bandyta i pościg najeżony niebezpieczeństwami. Czegóż chcieć więcej?

Może nie zawadziłaby odrobina prawdy.

Nie będę kalał dobrej opowieści prawdą. To byłoby pogwałcenie mojej artystycznej niezależności.

Och, daj spokój. . .

Zaufaj mi, kiciuniu. Nóż tak jakby już był w moich rękach i nawet nie muszę go kupować. Albron wręczy mi go wraz ze swym błogostawieństwem.

Zbrojownia mieściła się w izbie o kamiennych ścianach na tyłach zamku i była wprost zawalona różnego rodzaju mieczami, toporami, pikami, hełmami, sztyletami i kolczugami.

Albron zapoznał Althalusa ze zbrojmistrzem, zwalistym mężczyzną o płomiennorudej brodzie:

— Oto mój zbrojmistrz Reudh. Opisz mu sztylet, którego szukasz.

— Jest długi na około półtorej stopy, panie zbrojmistrzu, i ma ostrze o dziwnym kształcie, jakby laurowego liścia, z wygrawerowanym deseniem. Z tego co wiem, deseń ten jest podobno napisem, ale w tak starodawnym języku, że nikt go nie potrafi zrozumieć.

Reudh poskrobał się w głowę.

— Ach, to ten! Owszem, jest niebrzydki, ale jak na mój gust za bardzo ozdobny. Osobiście wolę praktyczniejszą broń.

— A więc jest tutaj?

— No... był. Ale zjawił się młody Eliar, żeby wybrać sobie coś na wojnę w Treborei. Spodobał mu się ten nóż, więc mu go dałem.

Althalus spojrział z zainteresowaniem na Albrona.

— Macie konflikt z kimś w Treborei, milordzie?

— Nie, to kwestia interesu. Za dawnych czasów mieszkańcy nizin usiłowali skłonić Arumczyków do zawarcia sojuszu, na mocy którego my mielibyśmy się wykrwawiać, a oni zgarniać zyski. Pięćdziesiąt lat temu odbyła się narada wszystkich klanowych wodzów z Arum. Ustalono na niej, że nie będzie żadnych sojuszy i odtąd jeśli ci z nizin potrzebują żołnierzy, muszą ich nająć.

— Nająć?

— To świetnie funkcjonuje, panie Althalusie. Nie sprzymierzamy się z żadną stroną, więc po zakończeniu wojny nie musimy robić żadnych podchodów, żeby wyszarpać swoją działkę. Teraz wszystko załatwia się ściśle według zasad handlowych: chcą wojska, muszą za nie płacić, i to z góry. Nie przyjmujemy żadnych promes ani papierowych pieniędzy. Płacą w złocie, a póki go nie zobaczymy, ani jeden żołnierz nie ruszy się z koszar.

— A co na to ci z nizin?

— Słyszałem, że ich urażone wrzaski odbijały się echem od księżyca. Ale nasi wodzowie postawili się twardo, więc teraz tamci płacą albo muszą bić się sami. — Albron drapał się z namysłem po brodzie. — My, Arumczycy, jesteśmy narodem wojowników. Za dawnych czasów o byle co wybuchały klanowe waśnie, ale z tym już koniec. Od czterdziestu lat nie było u nas wojny między klanami.

Althalus wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Po co palić sąsiadów dla przyjemności, skoro można to samo robić dla zysku pod auspicjami Perquaine i Treborei, tak? A któreż to treboreańskie miasto wykupiło usługi młodego Eliara?

— Kanthon, prawda, Reudh? Czasem się już w tym gubię. Moi ludzie walczą obecnie na kilku wojnach.

— Zgadza się, milordzie. To chrzest bojowy Eliara, dlatego wysłałeś go tam, gdzie sytuacja nie wygląda groźnie. Wojna Kanthonu z Osthosem tli się od dziesięciu stuleci i nikt jej nie bierze na serio.

— Dobrze — rzekł Althalus. — Czyli że muszę ruszać do Kanthonu. Tylko jeszcze jedna sprawa.

— Tak?

— Treborea leży na otwartej przestrzeni. Nie chcę nikogo obrażać, milordzie, ale w Arum, jak na mój gust, jest za dużo drzew.

— Nie lubisz drzew, panie Althalusie?

— Nie, kiedy za każdym z nich może się czaić morderca nasłany przez mego kuzyna. Płaska, otwarta przestrzeń jest wprawdzie dość nudna, ale odrobina nudy działa kojąco na moje nerwy, które ostatnio są napięte niczym cięciwa łuku. Jak ten Eliar wygląda?

— Jak chmielowa tyczka — odparł rudy zbrojmistrz. — Ma około piętnastu lat i wciąż rośnie. Jeśli jeszcze żyje, zapowiada się na tęgiego rycerza. Nie jest specjalnie bystry, ale może to przyjdzie z wiekiem. Uważa się za największego wojownika na świecie i jest pełen entuzjazmu.

— Więc muszę się pośpieszyć. Coś mi się zdaje, że ten młodzieniec aż kipi z ochoty na śmierć.

— Ładnie to ująłeś, panie Althalusie — rzekł Albron z podziwem. — Zresztą ten opis pasuje do niemal każdego wyrostka w Arum.

— Nadają się do interesu, co, wodzu?

— O tak — odparł Albron z krzywym uśmiechem. — Za takich młodzieniaszków biorę podwójną stawkę.

Następnego ranka Althalus z Esmeraldą opuścili Arum, udając się na południe.

Znasz drogę do Kanthonu? — spytała Emmy, kiedy jechali przez wawóz.

— Jasne, Em, znam co najmniej kilka dróg do każdego z miast na tym świecie. *I jeszcze kilka na wypadek odwrotu?*

— Oczywiście. W moim zawodzie nieraz trzeba ewakuować się z miasta w pośpiechu.

Ciekawe dlaczego...

— Bądź miła, Emmy. Dokąd pójdziemy, kiedy odbierzemy Nóż Eliarowi?

Nie mam zielonego pojęcia.

— Co?!

Nie martw się, Althalusie. Dowiemy się tego z napisu na Nożu.

— Myślałem, że słowa na tym napisie mają rozpoznać potrzebnych nam ludzi.

To tylko część tego, co nam powiedzą. Napis na Nożu jest znacznie bardziej złożony, a jego znaczenie zmienia się stosownie do okoliczności. Możemy z niego

odczytać, dokąd pójść, kogo odnaleźć, co robić i tak dalej.

— To zupełnie jak z Księgi.

Owszem, coś w tym rodzaju. Tylko że w Nożu zachodzą subtelne przemiany, a w Księdze nie. No, jedźmy, Althalusie, mamy przed sobą kawał drogi.

Niebawem znaleźli się na równinach Perquaine i mniej więcej po tygodniu dotarli do miasta Maghu. Sporo się tam zmieniło od czasu ostatniej wizyty Althalusa, ale antyczna świątynia pozostała najbardziej imponującą budowlą w mieście. Kiedy przejeżdżali obok, Althalusa zaskoczyła reakcja Emmy. Kotka, która podróżowała jak zwykle w kapturze, położyła po sobie uszy i gniewnie zasyczała.

— O co ci chodzi? — spytał Althalus.

Nienawidzę tego miejsca!

— A co z nim jest nie w porządku?

To czysta groteska!

— Owszem, budynek jest nieco dziwaczny, ale nie więcej od innych świątyń.

Nie mówię o budynku, tylko o posągu, który jest w środku.

— Masz na myśli ten z dodatkowymi biustami? To tylko lokalna bogini, Em. Nie musisz brać tego tak osobiście.

Kiedy to właśnie jest osobiste!

Biła od niej taka uraza, że aż się musiał obejrzeć. Nagle zauważył coś, co kazało mu wysłać penetrującą myśl w tę część jej umysłu, która dotąd była zastrzeżona jako ściśle osobista. To, co tam odkrył, wprawiło go w osłupienie.

— To naprawdę ty? — wykrztusił przez zaciśnięte gardło.

Mówiłam, żebyś się tam nie pchał!

— Jesteś Dweia, prawda?

Zabawne. Nawet wymawiasz to prawidłowo.

Była w wybitnie ciętym humorze, za to Althalusa ogarnął nabożny lęk.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Bo to nie twoja sprawa.

— Czy rzeczywiście jesteś choć trochę podobna do tego posągu?

To znaczy, czy wyglądam jak prośna maciora, tak?

— Mówię o twojej twarzy, a nie o tym dodatkowym... — urwał, rozpaczliwie szukając stosownego, a nie obraźliwego słowa.

Twarz także jest nie taka.

— Bogini płodności? A co płodność ma do tego wszystkiego?

Zechcesz powtórzyć to pytanie, pókiś cały i zdrowy?

— Może lepiej dam spokój.

Mądra decyzja.

Wyjechali już z Maghu, a Althalus wciąż zmagał się ze swym odkryciem. Dziwne, ale zaczynał dostrzegać w tym jakiś sens.

— Nie pogryź mnie — zastrzegł się — tylko po prostu powiedz, czy dobrze zrozumiałem. Deiwos stwarza różne rzeczy, tak?

Tak, i co?

— Kiedy już je stworzy, zabiera się do stwarzania innych, a te poprzednie kieruje do ciebie. Ty masz je utrzymywać przy życiu, pilnując, aby wydawały potomstwo. — Nagle przyszła mu do głowy inna myśl. — Więc dlatego tak bardzo nienawidzisz Daevy! Bo on chce zniszczyć wszystko, co Deiwos stwarza, ty natomiast chronisz życie. Czy istnieje jakiś powód, dla którego wasze imiona zaczynają się od tych samych głosek? Deiwos, Dweia i Daeva... To znaczy, że jesteś siostrą ich obu?

To bardziej skomplikowana sprawa, Althalusie, ale krążysz w pobliżu... Jacyś ludzie nadchodzą.

— Schowaj głowę, póki nie sprawdzę, co to za jedni.

Kiedy obcy podeszli bliżej, Althalus zobaczył, że noszą kilty. Większość miała na sobie zakrwawione bandaże, kilku podpierało się kijami.

— Arumczycy — szepnął. — Znaki na kiltach wskazują, że są z klanu Albrona.

Co oni robią w Perquaine?

— Nie wiem, Em. Zapytam. — Ściągnął wodze i zaczął na rannych. Żołnierz prowadzący kolumnę był wysoki, chudy i ciemnowłosy.

Głowę miał owiniętą zakrwawionym bandażem, a twarz ściągniętą bólem.

— Daleka droga do domu, co, panowie? — zagał Althalus.

— Właśnie próbujemy ją skrócić — odparł tamten.

— Jesteście z klanu Albrona, prawda?

— Po czym to poznałeś?

— Po znakach na waszych kiltach, kolego.

— Nie wyglądasz na Arumczyka.

— Bo nim nie jestem, ale znam wasze zwyczaje. Chyba wpadliście w niezłe tarapaty.

— Tak, coś w tym rodzaju. Wódz Albron wynajął nas na wojnę w Treborei. Miała to być mała, niegroźna potyczka, ale wymknęła się spod kontroli.

— Czy nie chodziło czasem o te niesnaski między Kanthonem i Osthosem? — spytał Althalus, czując, że żołądek zmienia mu się w kawał lodu.

— Słyszałeś o nich?

— Jedziemy prosto z zamku Albrona.

— „Jedziemy”, powiadasz?

— Mój kot i ja.

— Kot to dziwny towarzysz podróży dla dorosłego mężczyzny — zauważył chudzielec. Obejrzał się na swój sterany oddział. — Spocznij — warknął do żołnierzy i opadł na trawę przy drodze. — Jeśli masz chwilę, chętnie bym się dowiedział, co słyhać w naszych stronach.

— Jasne — zgodził się Althalus i zeskoczył z siodła. — Przy okazji: nazywam się Althalus.

Ranny rycerz spojrział na niego z popłochem w oczach.

— To tylko przypadek — wyjaśnił Althalus. — Nie jestem tamtym Althalusem.

— Wcale tak nie pomyślałem. Nazywam się Khalor i jestem wiekowym tego, co zostało z klanu Albrona.

— Nie wyglądasz mi na wiekowego.

— To treboreański tytuł, przyjacielu Althalusie. Musimy się stosować do miejscowych zwyczajów, skoro walczyliśmy za tutejszych mieszkańców. U nas mam stopień sierżanta. Czy w drodze przez góry nie napotkałeś uzbrojonych ludzi?

— Nikogo godnego zainteresowania, sierżancie Khalor, najwyżej kilku myśliwych. Myślę, że bez przeszkód dotrzecie do domu. Z tego, co mówił wasz wódz, między klanami z południa w zasadzie panuje pokój. A właściwie co wam się przytrafiło?

— Albron wynajął nas Kanthończykom około pół roku temu. Jak już mówiłem, miała to być całkiem niegroźna, mała wojenka. Po nas oczekiwano tylko maszerowania wokół widocznych dla Osthosan miejsc, normalka, prężenie mięśni, wymachiwanie mieczami i toporami, wznoszenie bojowych okrzyków i inne głupoty, które by miały wywrzeć wrażenie na przeciwnikach. I nagle ten półgłówek, co siedzi na tronie Kanthonu, każe nam najechać terytorium arya Osthosu! — Sierżant skrzywił się z niesmakiem.

— Nie mogłeś wybić mu tego z głowy?

— Próbowałem, Althalusie, bóg mi świadkiem, że próbowałem. Tłumaczyłem, że mam za mało ludzi, że do takiej inwazji potrzeba dziesięć razy więcej, ale nawet nie słuchał. Pamiętaj, żebyś nigdy nie próbował wyjaśniać wojskowych realiów człowiekowi z nizin.

— No i dostaliście w skórę?

— W skórę?! To była jatka! Pech chciał, że kiedy maszerowaliśmy przez granicę, wzięliśmy Osthosan z zaskoczenia. . .

— I to miał być pech?

— Nie spodziewali się, że jednak wkroczymy, więc byli zupełnie nieprzygotowani. Wtedy ten dureń z Kanthonu kazał nam oblegać samo miasto Osthos. Nie miałem dostatecznej liczby żołnierzy, żeby rozstawić warty wokół miasta, a co dopiero rozpocząć oblężenie, ale cóż? On nie chciał o niczym słyszeć.

Althalus zaczął kłąć.

— Jak już wyczerpiesz swój słownik — rzekł Arumczyk — chętnie ci podrzucę całą furę interesujących określeń mojego poprzedniego chlebobawcy. Od ponad dwóch tygodni wymyślam nowe wyrazy. Zdaje się, że dotyka cię to osobiście?

— To prawda. Szukam pewnego młodego człowieka, który służy pod twymi rozkazami. Nazywa się Eliar. Nie ma go czasem wśród tych rannych?

— Obawiam się, że nie. Eliar już dawno gryzie ziemię. . . chyba że ta dzikuska z Osthosu nadal go tnie na małe kawałeczki.

— Co się stało?

— Eliar z wielkim zapałem podchodził do całej wyprawy, wiesz, jak to młodziak na pierwszej wojnie. Tymczasem aryo Osthosu rozkazał swoim wojskom cofać się, gdy tylko nas zobaczą. Eliar wraz z innymi żółtodziobami z moich oddziałów uznał to za dowód tchórzostwa, a nie mądrości wodza. Kiedy dotarliśmy pod mury miasta, mieszkańcy po prostu zamknęli bramy i powiedzieli, że jeśli chcemy, to możemy wejść siłą. Miałem właśnie na podorędziu tę garstkę zapaleńców, którzy aż podskakiwali i ślinili się z ochoty do bitki. Eliar krzyczał najgłośniej, więc postawiłem go na czele wycieczki i kazałem sprawdzić, ilu ludzi uda mu się stracić.

— Brutal z ciebie, sierżancie.

— To jedyny realny sposób, by sprawdzić, czy młody dowódca nie ma piasku w tyłku. Eliar był miłym chłopakiem i tamci garnęli się pod jego komendę. Do moich obowiązków zaś należy, by mieć oko na tych wodzów z powołania i wystawiać na próbę ich zdolności. Spisywanie części żołnierzy na straty to także część tej roboty. Słowem, Eliar i jego szczeniaki ruszyli przez łąkę ku bramom miasta, wrzeszcząc przy tym i wymachując bronią, zupełnie jakby uznali, że mury się z samego strachu zawała. Kiedy znaleźli się z pięćdziesiąt kroków od celu, bramy nagle się otworzyły i sam aryo poprowadził swe oddziały, by dały moim wyjcom lekcję dobrych manier.

— Ręcznie, jak mniemam.

— Nożnie także. Wdeptali moich chłopaków w ziemię. Naturalnie Eliar znalazł się w ogniu walki i naprawdę nieźle sobie radził, póki nie natknął się na samego arya, który przypadkiem był uzbrojony w topór. Eliar zakręcił mieczem straszliwego młyńca nad jego głową, lecz aryo zastawił się toporem. Miecz Eliara pękł przy samej rękojeści, więc pomyślałem sobie: „No to cześć, chłopcze”. Ale chłopak mnie zaskoczył, a jeszcze bardziej zaskoczył arya. Rzucił mu w twarz resztki miecza i sięgnął po sztylet. Zanim aryo zdołał ochłonać, Eliar siedział mu na karku i pracował ze zdwojoną siłą sztyletem. Musiał ugodzić nieszczęśnika z tuzin razy, a każdy cios zostawiał dziurę wielką jak dłoń. Nigdy bym nie przypuszczał, że ten ozdobny sztylet jest tyle wart, a tu proszę! Potem jednak ludzie arya wzięli Eliara między siebie i zabrali go wraz z paroma innymi do miasta.

— Wspominałeś o jakiejś kobiecie.

— To córka arya. Dziewczyna, której głos mógłby przecinać szkło na odległość mili. Słyszeliśmy go, kiedy żołnierze przynieśli jej ciało ojca. Kazała im ruszać z powrotem i rozsiekać nas na strzępy. Nie sądziłem, by prawdziwy żołnierz słuchał rozkazów kobiety, ale Andina ma taki głos, że nie sposób ją lekceważyć.

— Khalor mrugnął. — Wciąż jeszcze mi się zdaje, że go słyszę, i z tego co wiem, to całkiem możliwe. Minęły niespełna trzy tygodnie, więc może ciągle krzyczy, ile to naszych flaków porozwiesza na okolicznych drzewach.

— Andina, powiadasz.

— Tak jej na imię. Ładne imię, ładna dziewczyna, ale wyjątkowo wredna.

— Widziałeś ją?

— O tak. Stała na murach i pasła oczy, kiedy jej żołnierze urządzali nam rzeź. Cały czas domagała się więcej krwi, wymachując sztyletem Eliara. Kompletna dzikuska, a teraz jest władczynią Osthosu.

— Jak to, kobieta?

— To nie jest zwykła kobieta, Althalusie. Ją chyba wykuto ze stali. A ponieważ była jedynym potomkiem arya, teraz wszyscy jej się kłaniają i tytułują arya Andiną. Jeśli od razu zabiła Eliara, to miał szczęście, chociaż w to wątpię. Bardziej prawdopodobne jest, że tnie go na kawałeczki jego własnym nożem i każe mu patrzeć, jak je potem zjada. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby znalazła sposób, by wyciąć mu serce i jednocześnie utrzymać przy życiu, póki go nie pożre na jego oczach. Trzymaj się od niej z daleka, Althalusie. Radziłbym ci dać jej z pół wieku na ochłonięcie, zanim się do niej zbliżysz.

ROZDZIAŁ 9

— Co nas obchodzi, jeśli nawet ona go zabije, Em? — spytał na głos Althalus.
— Przecież szukamy Noża, nie jakiegoś wyrostka z Arum.

Kiedy wreszcie nauczysz się patrzeć dalej niż czubek własnego nosa? — odpowiedziała mu cierpko, z dostateczną dozą pogardy, by poczuł się urażony.

— Dość tego, Em!

Przepraszam, skarbie, trochę to było niegrzeczne. Chciałam powiedzieć, że wszystko się z sobą wiąże i nic nie dzieje się oddzielnie. Eliar pewnie jest nieokrzesanym brutalem, barbarzyńcą z najdalszego zakątka Arum, a jednak wybrał sobie Nóż ze zbrojowni. Mógł to być zwykły kaprys, lecz pewność zyskamy dopiero, kiedy chłopaka sprawdzimy. Jeśli nie potrafi odczytać napisu, poklepiemy go po głowie i odeślemy do domu, ale jeśli odczyta, będzie musiał pójść z nami.

— A jeśli on okaże się taki jak ja, zanim przyszedłem do Domu? Nie potrafiłem wtedy przeczytać nawet swojego imienia.

Zauważyłam. To bez znaczenia, czy on umie czytać. Jeśli został wybrany, zrozumie, co oznacza napis.

— Skąd będziemy wiedzieli, czy się nie myli?

Poznamy to, skarbie, możesz mi wierzyć na słowo.

— Czemu mnie nie oświecisz? Powiedz, jakie słowo tam jest.

Ono się zmienia. Każdy zrozumie je inaczej.

— Emmy, przecież to nie ma sensu. Słowo to słowo, powinno mieć jedno konkretne znaczenie.

Czy słowo „dom” ma jedno konkretne znaczenie?

— Oczywiście. Oznacza miejsce zamieszkania, czasem pochodzenia.

Więc jednak ma różne znaczenia?

Althalus zmarszczył brwi.

Nie łam sobie głowy, skarbie. Słowo wyryte na Nożu to rozkaz. Każdy z ludzi, których musimy odnaleźć, odczyta inne polecenie.

— Więc nie może być jednym słowem.

Nie powiedziałam, że słowo jest jedno. Każdy widzi je inaczej.

— To znaczy, że się zmienia?

Nie. Jest wieczne. Napis pozostaje ten sam, ale znaczenia są różne.

— Już mnie głowa od tego boli.
Nie myśl o tym, Althie. Wszystko nabierze sensu, kiedy wydostaniemy Nóż i Eliara z rąk Andiny.

— Chyba widzę rozwiązanie. Po prostu ich wykupię.
Wykupisz?

— No, zapłacę jej za chłopaka i za Nóż.
Althalusie, Eliar jest człowiekiem. Ludzi się nie kupuje.

— I tu się mylisz, Em. Eliar jest jeńcem wojennym, czyli niewolnikiem.
To obrzydliwe!

— Oczywiście, ale taka jest prawda. Będę musiał obrabować kilku bogaczy, żeby zdobyć odpowiednie środki. Jeśli arya Andina naprawdę zamierza zarzącać Eliara, będę potrzebował mnóstwo złota, żeby namówić ją do przyjęcia okupu.
Może i tak — mruknęła, utkwivszy w przestrzeni zielone oczy. — A może nie. Jeśli we właściwy sposób posłużymy się Księgą, arya z chęcią go odsprzeda.

— Miałem już do czynienia z mściwymi paniami, Em. Możesz mi wierzyć, że musimy mieć bardzo dużo złota. Jeśli sierżant Khalor się nie myli, to owa dama jest spragniona krwi Eliara. Rozejrzyjmy się za jakimś zamożnym facetem. Oskubię go i wtedy złożymy Andinie propozycję.
Złoto można zdobyć na różne sposoby.

— Wiem, na przykład wykopując je z ziemi. Nie podoba mi się ten sposób. Widziałem w górach Kagwheru sporo głębokich dziur i wiem, że ledwie jedna na sto kryła w sobie okruszek złota.
Chyba jestem w stanie zmienić tę proporcję.

— Ale i tak nie chce mi się ryć w ziemi. Grzbiet mnie od tego boli.
Bo za mało ćwiczysz, skarbie. Ruszajmy w drogę. Od właściwego miejsca dzieli nas kilka dni podróży.

— Na nizinach w ogóle nie ma złota.
Jest, jest, tylko trzeba wiedzieć, gdzie szukać. Jedziemy, mój dzielny chłopcze.

Przez kilka następnych dni rytmicznym cwałem przemierzali wysuszone pola Perquaine. Mijał trzeci dzień od spotkania z sierżantem, gdy Althalus ściągnął wodze i zsiadł z konia.

Dlaczego stajemy?

— Trochę zgoniliśmy konia. Przejdę się kawałek pieszo, żeby odpoczął. — Rozejrzał się po wypalonych polach. — Marnie — mruknął.

Co „marnie”?

— Nieurodzaj. Chyba się tutaj nie obłowimy.

Jest susza, skarbie. Dawno nie padało.

— Powinniśmy podjechać bliżej wybrzeża, tam przeważnie pada.

Ale jesteśmy daleko od obecnego brzegu morza. Rozmawialiśmy o tym w Domu, pamiętasz? Łód co roku ścina coraz więcej zasobów wody. To powoduje suszę i obniża poziom morza.

— Możemy temu zaradzić?

Co masz na myśli?

— A gdyby tak roztopić lód? Wtedy wszystko wróciłoby na miejsce.

Dlaczego ludzie zawsze chcą zmieniać naturalny porządek?

— Kiedy coś się psuje, trzeba to naprawić.

Skąd ten absurdalny pomysł, że coś się popsulo?

— Bo tak przedtem nie było, a z naszego punktu widzenia to znak, że coś jest nie w porządku.

No i które z nas teraz myśli kategoriami Daevy?

— Wysuszenie oceanów i zmienianie świata w pustynię to nie są zmiany na lepsze.

Zmiany nie zawsze oznaczają ulepszenie, Althalusie. Zmiana to zmiana. „Lepsze”, „gorsze” to ludzkie określenia. Świat zmienia się cały czas i żadne narzekanie go nie powstrzyma.

— Linia wybrzeża nie powinna ruszać się z miejsca — upierał się Althalus.

To każ jej się zatrzymać, skoro tak uważasz. Może cię posłucha, ale na twoim miejscu nie zakładałabym się zbyt wysoko. — Rozejrzała się wokół. — *Jutro powinniśmy dotrzeć do miejsca, którego szukamy.*

— To ma być jakieś szczególne miejsce?

W pewnym sensie tak. Zaczнеш tam zarabiać na życie.

— Co za sugestia!

Dobrze ci to robi, skarbie. Świeże powietrze, gimnastyka, zdrowe jedzenie...

— Prędeż zażyję truciznę.

Wieczorem rozbili obóz w rachitycznym zagajniku z dala od głównej drogi i z samego rana wyruszyli dalej.

Tam to jest! — powiedziała Emmy po kilku godzinach jazdy.

— Co mianowicie?

Miejsce, w którym zabierzesz się do uczciwej pracy, skarbie.

— Przestań! — Spojrzał na długi pas ziemi pokrytej pojedynczymi źdźbłami trawy na czymś w rodzaju pagórka. — O to ci chodzi?

Tak.

— Skąd wiesz? To po prostu wzgórze. Przejeżdżaliśmy koło wielu takich wzniesień.

Owszem, przejeżdżaliśmy, ale to nie jest zwykłe wzgórze. Ta ziemia kryje ruiny starego domu.

— A kto je zakopał?

Wiatr. Grunt jest tu bardzo wyschnięty, więc wiatr niesie pył, póki nie natrafi na jakąś przeszkodę.

— Czy tak właśnie powstają wzgórza?

Nie wszystkie.

Althalus zerknął na zaokrąglony kopiec.

— Będę potrzebował narzędzi. Mogę kopać, skoro się przy tym upierasz, ale chyba nie gołymi rękami.

Zajmiemy się tą sprawą. Podpowiem ci odpowiednie słowo.

— Nadal uważam, że o wiele prościej będzie kogoś obrabować.

W tym wzgórzu jest więcej złota niż w tuzinie domów, obok których przejeżdżaliśmy. Powiadasz, że musisz go mieć dużo, żeby wykupić Eliara i Nóż. No więc je masz. Wykop sobie.

— Skąd wiesz, że tam jest?

Wiem i już. Nie widziałeś jeszcze tyle złota, ile jest w tych ruinach. Do roboty, chłopcze!

— To zaczyna mnie już męczyć, Em.

Gdybyś postuchał mnie od razu, nie musiałabym ci w kółko powtarzać. I tak zresztą zrobisz, co ci każę, więc czy nie lepiej wziąć się do pracy, zamiast dyskutować?

Dał w końcu za wygraną.

— *Tak, kochanie. Grzeczny chłopczyk!*

Dała mu wskazówki, jak za pomocą jednego słowa zrobić łopatę, po czym kazała wejść około pięćdziesięciu kroków południowym stokiem. Kiedy prowadził konia, zauważył kilka bardzo starych wapiennych bloków, do połowy zagrzebanych w ziemi. Kiedy wznoszono dom, zostały wyraźnie spiłowane w sześciany, ale z czasem wiatr i klimat zaokrągliły je tak, że niemal nie różniły się od zwykłych kamieni.

— Od jak dawna ten dom stał pusty?

Od trzech tysięcy lat. Człowiek, który go wybudował, z początku uprawiał ziemię. Potem wyruszył do Arum, zanim pojawili się tam inni mieszkańcy. Wprawdzie nie szukał złota, ale trochę znalazł.

— Może dlatego, że był pierwszy. Po co przeniósł się do Arum? Przecież nie wiedział, czy tam jest złoto.

Zaszło drobne nieporozumienie w sprawie prawa własności pewnej świni. Sąsiedzi trochę się zdenerwowali, więc postanowił uciec na jakiś czas, póki nie ochłoną. Na pewno to rozumiesz. Jesteśmy na miejscu, skarbie. Zsiądź z konia i zaczynaj.

Zeskoczył na ziemię, wyjął Emmy z kaptura i posadził ją na siodle. Potem ściągnął płaszcz i podwinął rękawy.

— Jak głęboko mam kopać?
Okolo czterech stóp. Natrafisz wtedy na kamienie i będziesz musiał je wyciągnąć. Pod spodem jest piwniczka, a w niej złoto.

— Jesteś pewna?
Przestań marnować czas, Althalusie.

— Tak, kochanie.
Westchnął ciężko i wbił łopatę. Ziemia była bardzo sucha i piaszczysta, więc praca okazała się lżejsza, niż przypuszczał.

Na twoim miejscu nie zrzucalabym ziemi na dół. Potem będziesz musiał zasympać dziurę z powrotem.

— Po co?
Żeby nikt nie odkrył złota, które tu zostawisz.

— Nie zamierzam niczego zostawiać.
A jak je stąd wywieziesz?

— Mój koń jest bardzo silny.
Nie aż tak.

— To ile tego jest?
Więcej niż koń uniesie.

— Naprawdę?
I zaczął raźniej machać łopatą.

Minęło pół godziny, kiedy uderzył w kamienie. Następnie poszerzył dół, żeby mieć więcej miejsca, podparł łopatą ściankę i ukląkszy, zaczął dłubać sztyletem w szparach.

— Właściwie czego ja tu szukam, Em? Kamienie są tak dopasowane, że nie mogę nawet wbić ostrza w szczeliny.
Nie zniechęcaj się, skarbie. Ten, który masz odszukać, jest odrobinę poluzowany.

Próbował więc wytrwale, aż do skutku. Zajęło mu to sporo czasu, gdyż w szczelinach osiadł pył nawiewany cierpliwie przez całe stulecia, ale wreszcie udało się wydłubać go czubkiem sztyletu. Odrzucił sztylet, wziął łopatę i zaczął podważać kamień.

Wyciągnął go bez trudu. Z otworu powiało stęchlizną. Pod spodem była wolna przestrzeń, ale w ciemnościach niewiele widział, musiał więc usunąć kilka następnych kamieni.

Ku swemu rozczarowaniu zobaczył tylko stosy zapiaszczonych cegieł. Po co ktoś zadawałby sobie tyle trudu, żeby ukrywać cegły? Althalus sięgnął po jedną i oczyścił ją z pyłu.

Patrzył i patrzył, nie wierząc własnym oczom. Cegła pokryta pyłem sprzed wieków miała jaskrawożółtą barwę.

— Dobry boże! — wykrzyknął, czyszcząc jaz zapałem.
On jest w tej chwili zajęty, Althalusie. Może coś mu przekazać?

— Tu muszą być tego tony!

A nie mówiłam?

Złoto było poodlewane w sztaby wielkości męskiej dłoni, tylko nieco grubsze. Każda musiała ważyć z pięć funtów. Althalus nagle uświadomił sobie, że cały się trzęsie. Wyciągał kolejno bloki z dołu i układał je na kamieniach.

Daj spokój, Althalusie — ostrzegła go Emmy.

— Dwadzieścia? — spytał niechętnie.

Nie sądzę, żeby koń udźwignął więcej.

Althalus zmusił się do poprzestania na dwudziestu blokach. Ułożył z powrotem kamienie, zasypał dziurę piachem i posadził w świeżo poruszonej ziemi kilka specjalnie wykarczowanych krzaków. Potem „zrobił” dwa worki, włożył do każdego po dziesięć sztab, zawiązał je mocno, przewiesił przez koński grzbiet tuż za siodłem i sam wskoczył na konia, pogwizdując wesoło.

Aż kipisz dziś entuzjazmem — zauważyła Emmy.

— Bo śmierdę bogactwem, Em.

Czuję to od kilku dni. Dawno się nie kąpałeś.

— Nie to miałem na myśli, kiciuniu.

A szkoda. Od tego smrodu mogłoby skwaśnieć mleko.

— Mówiłem ci, że ciężka praca mi nie służy.

Późnym popołudniem przeprawili się przez most na rzece Osthos i rozbili obóz po treboreańskiej stronie. Dla świętego spokoju Althalus się wykapał, wyprał ubranie i nawet zgolił ponadmiesięczny zarost. Emmy zdecydowanie się to spodobało. Następnego dnia wstali bardzo wcześnie i w trzy dni później zamajaczyły przed nimi mury Osthosu.

— Imponujące — zauważył Althalus.

Na pewno ucieszy ich twoja opinia. Jak zamierzasz dostać się do pałacu?

— Coś wymyślę. Jakie słowo odpowiada „trzymaj się z daleka”?

Bheudh. Właściwie słowa bheudh używa się, żeby ktoś sobie coś uświadomił, ale podczas wymawiania twoja myśl powinna zmienić znaczenie. Czemu pytasz?

— Będę musiał pochodzić pieszo, żeby odszukać pewnych urzędników, a w tym czasie jakiś drań może ukraść konia. Ten zwierzak jest mi teraz bardzo drogi.

Ciekawe dlaczego.

Althalus skręcił kawałek w bok i zgodnie z instrukcją Emmy zamienił pięć sztab złota na tutejsze monety z wrytym kłosem pszenicy. Dopiero tak przygotowany wjechał do miasta, gdzie zatrzymał się przed sklepem z konfekcją. Kupił tam kilka umiarkowanie eleganckich sztuk garderoby, aby ukryć swe plebejskie pochodzenie. Kiedy wyszedł ze sklepu, Emmy powstrzymała się od komentarza.

Wsiadł na konia i skierował się w stronę publicznych budynków nieopodal pałacu. Chciał posłuchać rozmów i zadać parę pytań.

— Na twoim miejscu unikałbym jej jak ognia, cudzoziemcze — poradził mu siwowłosa dygnitarz, zapytany o procedurę uzyskiwania audiencji u aryi Andiny.

— Tak? A czemuż to?

— Jeszcze przed śmiercią swego ojca była przykra w obejściu, ale teraz jest wprost nie do wytrzymania.

— Niestety, mam do niej interes. Chciałem omówić go z aryem, jej ojcem. Nie wiedziałem, że zmarł. Co mu się stało?

— Myślałem, że każdy to wie. Miesiąc temu napadli na nas Kanthończycy. Ich wojska doszły aż do murów miasta z zamiarem oblężenia. Wtedy szlachetny aryo wyprowadził swe oddziały i rozgonił napastników, ale na nieszczęście jeden z tych łajdaków go zamordował.

— O, do licha!

— Oczywiście mordercę pojmano.

— Doskonale. Czy ary Andina skazała go na śmierć?

— Nie, ten człowiek wciąż żyje. Arya rozważa różne sposoby wyprawienia go na tamten świat. Pewnie niebawem obmyśli coś stosownego... i nieprzyjemnego. W jakiej branży działasz, przyjacielu?

— Jestem najemcą robotników.

Dostojnik zerknął na niego z ukosa. Althalus mrugnął chytrze okiem.

— Najemca robotników brzmi znacznie milej niż handlarz niewolników, co? Słyszałem o inwazji na wasze miasto i wiem, że pojмалиście pewną liczbę jeńców. Chętnie was od nich uwolnię. Właściciele kopalni soli w Ansu dają od ręki spore pieniądze za silnych, zdrowych niewolników, a za jeńców wojennych jeszcze dodatkową premię. Zapłacę dobrym złotem. Jak myślisz, czy aryę Andinę to zainteresuje?

— Bardzo możliwe, że słowo „złoto” przyciągnie jej uwagę — przyznał dworzanin. — Eliara zatrzyma, bo zabił jej ojca, ale innych pewnie zgodzi się odsprzedać. Jak ci na imię, przyjacielu?

— Zowią mnie Althalus.

— Bardzo starożytne imię.

— Moja rodzina jest nieco staroświecka.

— No to może wstąpimy do pałacu, panie Althalusie? Przedstawię cię naszej nieznośnej aryi.

Stary dostojnik poprowadził go do bramy pałacu, gdzie natychmiast ich wpuszczono.

— Żołnierze zajmą się pańskim koniem, panie Althalusie. Przy okazji: nazywam się Dhakan. Czasem zapominam, że cudzoziemcy mnie nie znają.

— Bardzo mi miło, lordzie Dhakanie — skłonił się grzecznie Althalus.

Emmy, która siedziała dotąd sztywno na siodle, zeskoczyła zgrabnie na dziedziniec.

— To pański kot? — zagadnął Dhakan.

— Ona patrzy na to inaczej, łaskawy panie. Koty już takie są.

— Ja mam żółwia. Wprawdzie nie porusza się zbyt szybko, ale cóż... ja także.

Osthos był starożytnym miastem, a sala tronowa w pałacu wyglądała naprawdę imponująco ze swą marmurową posadzką i wyniosłymi kolumnami. W końcu sali, na podium osłoniętym z tyłu szkarłatnymi draperiami, na misternej roboty tronie siedziała Andina, arya Osthosu. Jakiś grubas w białym płaszczu wygłaszał właśnie monotonne przemówienie, w dyplomatyczny sposób sugerując, że władczyni zbyt małą wagę przywiązuje do spraw państwa, ale ewidentnie go nie słuchała.

Andina była młoda, ściśle rzecz biorąc — bardzo młoda; według Althalusa nie mogła mieć więcej niż piętnaście lat. Wszyscy obecni w sali tronowej mieli siwe włosy, z wyjątkiem Arumczyka w kilcie, przykutego łańcuchem do marmurowej kolumny. I to na nim, swym rówieśniku, władczyni skupiała swą uwagę. Patrzyła prosto na niego wielkimi, prawie czarnymi oczami, bawiąc się od niechcenia długim sztyletem w kształcie laurowego liścia.

To właśnie nasz Nóż, skarbie — w głowie Althalusa zabrzmiał triumfalny głos Emmy.

— Czy ten przykuty do kolumny to morderca? — szepnął Althalus do Dhakana.

— Aż się niedobrze robi, co? Nasza wspaniała, choć lekko szurnięta władczyni nie spuszcza z niego oka, odkąd go pojmano.

— Chyba ma jakiś loch?

— O tak, siedzą tam pozostali jeńcy. Z jakiegoś niepojętego powodu nasza dziewczynka tęskni za widokiem tego młodego barbarzyńcy. Nie odzywa się do niego, tylko siedzi, patrzy jak urzeczona i ciągle bawi się nożem.

— Wygląda na nieco nerwową.

— A ty byś nie był nerwowy na jej miejscu?

W tym momencie ukazała się Emmy. Wyginając wdzięcznie ogon, przemaszerowała przez salę i zatrzymała się przed podium.

Co ty wyprawiasz? — Althalus posłał jej zdumione pytanie.

Nie wtrącaj się, skarbie.

Oparła się przednimi łapkami o marmurowy tron i zerknąwszy na młodą władczynię, zamiauczała pytająco.

Arya odwróciła wzrok od jeńca i spojrzała w zielone oczy kotki.

— Jaka śliczna kiciunia! — wykrzyknęła. — Skąd się tu wzięłaś?

— Najmocniej przepraszam waszą wysokość — odezwał się Althalus, występując naprzód. — Emmy, wracaj tu zaraz!

Arya Andina obrzuciła go zaciekawionym spojrzeniem.

— Nie znam cię — powiedziała głębokim, wibrującym głosem. Taki głos pobudza ducha w każdym mężczyźnie.

— Wasza wysokość pozwoli. . . — Dhakan wysunął się naprzód z ukłonem. — To jest pan Althalus, który przyjechał tu w interesie.

— Chcesz na kolana, kiciuniu? — spytała Andina, biorąc Emmy na ręce. Podniosła ją na wysokość twarzy. — Ach, czyż nie jest rozkoszna? — I posadziwszy sobie kotkę na kolanach, dodała: — O to ci właśnie chodziło?

Emmy zaczęła mruczeć.

— Ten oto pan Althalus jest przedsiębiorcą, aryo Andino — mówił dalej Dhakan. — Zajmuje się jeńcami, a ponieważ słyszał o ataku na nasze miasto, zatrzymał się u nas, by ewentualnie wykupić od ciebie barbarzyńców z Arum. Radziłbym ci, pani, udzielić mu posłuchania.

— A na co ci oni, u licha? — spytała zaintrygowana arya.

— Mam pewne kontakty w Ansu, wasza wysokość. Właściciele kopalni soli zawsze chętnie kupują silnych, młodych mężczyzn. Ludzie przy tej robocie szybko się zużywają.

— Więc jesteś handlarzem niewolników?

Althalus wzruszył ramionami.

— Takie jest życie, wasza wysokość. Niewolnicy to cenny towar. Kupuję ich tam, gdzie sprawiają kłopot, i zawożę w miejsca, gdzie można ich zmusić do pracy. Każdy na tym zyskuje: sprzedający otrzymuje złoto, kupujący — siłę roboczą.

— A co dostają niewolnicy?

— Wyżywienie, wasza wysokość. Niewolnik nie musi się martwić, skąd wziąć następny posiłek. Dostaje jeść, nawet gdy jest nieurodzaj albo ryby nie biorą.

— Nasi filozofowie mówią, że niewolnictwo jest złe.

— Nie zajmuję się filozofią, wasza wysokość. Nie mam ochoty zmieniać świata. Mogę zapłacić dziesięć perquaińskich złotych kłosów za każdego zdatnego do pracy jeńca, jakiego zechcesz mi sprzedać.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— To bardzo przyzwoita cena, panie Althalusie.

— Kupuję najlepszy towar, więc płacę najlepszą cenę. Nie zawracam sobie głowy dziećmi, starcami i młodymi kobietami. Biorę tylko zdrowych, silnych mężczyzn, którzy potrafią cały dzień ciężko harować. — Tu zerknął na młodego Arumczyka. — Za pozwoleniem waszej wysokości. . . — skłonił się lekko i podszedł do kolumny, przy której siedział zakuty w łańcuchy Eliar. — Na nogi! — warknął.

— Bo co? — odparł jeniec, patrząc spode łba.

Althalus złapał go za włosy i szarpnął, zmuszając do wstania.

— Masz robić, co ci każę, jasne? Otwórz usta, chcę zobaczyć twoje zęby.

Eliar zacisnęła wargi.

— Jest nieco uparty, panie Althalusie — odezwała się Andina. — Robię co w mojej mocy, żeby go z tego wyleczyć.

— Trzeba mieć sporo stanowczości, by złamać w niewolniku ducha — zauważył Althalus. Sięgnął po sztylet i wetknął go jeńcowi między zaciśnięte zęby. — Dobrze i zdrowe, to pomyślny znak. Marne zęby wskazują na ogół, że z niewolnikiem jest coś nie w porządku.

Eliar próbował rzucić się na Althalusa, ale łańcuchy go przytrzymały.

— Jest nierozgarnięty — zauważył Althalus — ale to da się wyleczyć. Chłopcze, czy twój sierżant nie mówił ci, że głupotą jest rzucać się z gołymi rękami na uzbrojonego faceta? Zwłaszcza gdy się jest skutym łańcuchami?

Młodzik naciągnął łańcuchy do granic możliwości, starając się je zerwać.

— Jakie prężne muskuły! — pochwalił go Althalus. — Gotów jestem dać za niego premię, wasza wysokość.

— Ten akurat nie jest na sprzedaż — odrzekła zdecydowanie arya. W jej głosie zabrzmiała stalowa nuta, a czarne oczy błysnęły złowrogo.

— Wszystko jest na sprzedaż — zauważył Althalus, uśmiechając się cynicznie.

Nie naciskaj jej, Althalusie — zamruczała Emmy. — *Właśnie nad nią pracuję. Myślisz, że da się namówić?*

Prawdopodobnie tak. Jest młoda i impulsywna. Spytaj o innych jeńców. Pewnie ich także będziesz musiał wykupić, żeby dostać Eliara.

— Porozmawiamy o nim później, wasza wysokość. Czy mógłbym rzucić okiem na pozostałych?

— Oczywiście. Lordzie Dhakanie, proszę zaprowadzić naszego gościa do lochów.

— W tej chwili, wasza wysokość — odparł siwowłosy dżentelmen. — Proszę tędy, panie Althalusie.

— Piękna ta wasza arya — rzekł Althalus, kiedy opuścili salę.

— I tylko dlatego ją znosimy, mój Althalusie. Jest na tyle ładna, że patrzymy przez palce na jej wady.

— Ustatkuje się, Dhakanie. Wydajcie ją za męża, oto moja rada. Urodzi parę dzieciaków, to dorośnie.

W lochu znaleźli jeszcze dziewięciu Arumczyków w kiltach. Niektórzy wciąż mieli rany zadane w potyczce za murami Osthosu. Althalus udał, że ich taksuje.

— Ogólnie całkiem nieźle — oświadczył, kiedy wracali do sali tronowej. — Ale ten przykuty do kolumny to klucz do całej umowy. Jest najlepszy ze wszystkich. Jeśli namówimy aryę, by zgodziła się go oddać, złożę oficjalną ofertę. Inaczej zwrócę się gdzie indziej.

— Pogadam z nią, Althalusie — obiecał Dhakan. — Może opiszesz warunki, w jakich niewolnicy muszą żyć w kopalniach Ansu. I nie zaszkodzi odrobina przesady. Nasza mała wprost dyszy żądzą zemsty. Wmówimy jej, że życie niewolnika

w kopalni soli jest znacznie, ale to znacznie gorsze od wszystkiego, co mogłaby dla niego obmyślić na miejscu. To może przeważać szalę. Wykaż się elokwencją, rozwodź się szeroko na temat straszliwych okrucieństw, jakie ich tam czekają. Nasza droga Andina kipi złością, a tacy ludzie w podejmowaniu decyzji kierują się impulsami. Pomogę ci, ile potrafię, bo chcę, żeby ten Eliar zniknął z Osthosu. Jeśli Andina odmówi ci sprzedaży, będę musiał znaleźć jakiś sposób, by go zabić. Muszę się go stąd pozbyć.

— Zaufaj mi, Dhakanie. W sprawach kupna i sprzedaży naprawdę jestem najlepszy. — I wysłał myśl do Emmy: — *Masz ją, Em?*

Jestem coraz bliżej celu.

Zobacz, czy potrafisz rozbudzić w niej zainteresowanie kopalniami soli.

Po co?

Żebym mógł naopowiadać jej strasznych historii.

Jak rozumiem, zamierzasz ją okłamać, tak?

Nie, opowiem jej prawdę. Jeśli nic się nie zmieniło, kopalnie soli w Ansu są gorsze niż najgłębsze lochy w Nekwerosie. Dhakan myśli, że to jakiś trik. Przyciśnij ją mocno, Em. Jeśli nie sprzeda nam Eliara, Dhakan go zabije.

Kiedy Althalus z Dhakanem wrócili do sali tronowej, zobaczyli, że Andina odłożyła sztylet na bok i całą uwagę poświęca Emmy. Uśmiechała się, a jej uśmiech przypominał wschodzące słońce. Nawet powarkując na Eliara, była piękna, ale kiedy się uśmiechnęła, Althalusowi aż ugięły się kolana z zachwytu.

Dhakan wszedł na podium i przez dłuższą chwilę tłumaczył coś aryj po cichu.

Andina kręciła uparcie głową. Nagle Dhakan skinął na Althalusa, który natychmiast podszedł do tronu.

— Tak, panie?

— Czas przejść do konkretów, panie Althalusie. Jaka jest twoja oferta?

— Dziewięć perquaińskich kłósów za każdego z tych, którzy siedzą w lochu.

— Mówiłeś: dziesięć! — wzbił się pod sufit głos Andiny, stanowczo zbyt skromnie opisany przez sierżanta Khalora.

Althalus podniósł mały palec.

— Cena jest do uzgodnienia, wasza wysokość. Jeśli oddasz mi także tego w łańcuchach, mogę ją nieco skorygować. Zapłacę osiemdziesiąt jeden złotych kłósów za dziewięciu z lochu albo sto za całą grupę.

— Czyli o dziewiętnaście sztuk złota więcej. On nie jest wart aż tyle — odparła arya, znów podnosząc głos.

— Wystawię go na wabia, wasza wysokość. W Ansu postawię go na samym przodzie, żeby właściciele kopalń dobrze mu się przyjrzeni. Wybulą kupę złota, żeby tylko go dostać. Potrafię docenić dobry towar. Jeśli zamydł kupcom oczy tym chłopakiem, wezmą z nim nawet kaleki.

— Jak jest w tych kopalniach? Mógłbyś je opisać?

Althalus udał dreszcz zgrozy.

— Wolałbym nie, wasza wysokość. Na wschodzie, w Wekti, Plakandzie i Equero, przestępcy błagają o karę śmierci, żeby tylko nie trafić do kopalni soli, bo to jest znacznie gorsze. Jeśli niewolnik ma pecha, może przetrwać tam dziesięć lat, szczęśliwcy umierają po paru miesiącach.

— Opowiedz mi coś więcej — niemal zamruczała Andina.

Althalus opisał więc szczegółowo warunki pracy w kopalniach, przesadzając tylko odrobinę. Wspomniał o powszechnie panującej ślepcie, częstym osuwaniu się ścian, które miażdżyły na śmierć szczęśliwców, o ustawicznych ciemnościach, wiecznym zimnie, wciskającym się w gardło pyle, o rosnących nadzorcach z batami.

— Krótko mówiąc — podsumował — uważam, że różni zbrodniarze bardzo mądrze postępują, wybierając stryczek niż taki los.

— Powiadasz więc, że to gorsze niż śmierć? — upewniła się Andina, przy czym oczy jej zalśniły.

— Ależ tak! Znacznie, znacznie gorsze!

— Więc chyba rzeczywiście dojdziemy do porozumienia. Sto złotych kłósów za wszystkich, tak?

— Taka jest moja oferta, wasza wysokość.

— Zatem umowa stoi... ale dorzucisz jeszcze kota.

— Słucham?

— Chcę mieć tę śliczną kiciunię. Jeśli mi ją dasz, zawrzemy umowę.

ROZDZIAŁ 10

Zgódź się, Althalusie — przebiła się przez jego zaskoczenie myśl Emmy.

Nie ma mowy — odwarknął.

Naprawdę myślisz, że potrafi mnie zatrzymać? Ty za to każ jej dorzucić Nóż.

Jak mam to zrobić?

Twoja sprawa, wymyśl coś. Czy nie za to ci płacę? Ach, jeszcze jedno. Kiedy wydstaniesz od niej Nóż, nie przyglądaj mu się, od razu zatknij go za pas.

Dlaczego?

Czy ty się kiedy nauczysz słuchać bez zadawania pytań? Nie chcę, żebyś patrzył na Nóż, póki stąd nie wyjdziemy. Nie pyskuj, tylko rób, co ci każę.

Tak jest, najdroższa — ustąpił.

— W czym problem, panie Althalusie? — spytała Andina, głaszcząc mruczącą kotkę na swych kolanach.

— Zaskoczyłaś mnie, wasza wysokość. Jestem naprawdę bardzo przywiązany do mojej kocicy. . . — Poskrobał się w brodę. — To stawia całą umowę w innym świetle. Niewolnicy są tylko towarem, ale Emmy. . . Chyba będę zmuszony także poprosić o jakiś dodatek, zanim zgodzę się z nią rozstać.

— Na przykład?

— Och, sam nie wiem. — Udawał, że się namyśla. — Musiałoby to być coś związanego z twoją osobą. Za bardzo lubię moją kotkę, żebym miał ją dołączać do transakcji handlowej. Gdybym ją tak po prostu sprzedał, fatalnie bym się czuł.

— Dziwny z siebie człowiek, panie Althalusie. — Arya Andina przyglądała mu się błyszczącymi oczami. — Jakiż to osobisty przedmiot ukoiłby twe wrażliwe sumienie?

— Nie musi to być nic wartościowego. Za Emmy nikomu nie płaciłem, po prostu parę lat temu znalazłem ją przy drodze. Doskonale potrafi zjednywać sobie uczucia.

— Tak, zauważyłam. — Andina impulsywnie podniosła Emmy na wysokość swej twarzy. — Pokochałam tę kotkę, i już. Wybieraj, panie Althalusie. Wyznacz cenę.

Althalus się roześmiał.

— Wasza wysokość nie powinna tego mówić. Gdybym nie był uczciwym przedsiębiorcą, mógłbym niecnie wykorzystać ten nagły przyływ uczuć.

— Wyznacz cenę, powiadam. Muszę mieć tę pieśczożkę.

— Och... cokolwiek. Może ten nóż, którym wasza wysokość się bawi? Chyba także go lubisz, a tylko to się liczy.

— Wybierz co innego. — W oczach Andiny odmalowało się zakłopotanie.

— O nie, wasza wysokość. Moja kotka za twój nóż. Nie będziesz jej cenić, jeśli nie oddasz w zamian czegoś, na czym ci zależy.

— Twardy z ciebie negocjator, panie Althalusie.

Emmy musnęła miękką łapką alabastrowy policzek arii.

— Ach... — Andina przytuliła kotkę do twarzy. — Zabieraj nóż, panie Althalusie. Bierz, co tylko zechcesz, o nic nie dbam, ale ją muszę mieć.

Złapała nóż i cisnęła nim o marmurową posadzkę.

— Jeśli waszą wysokość to zadowala, zajmę się szczegółami — zaproponował gładko siwowłosa Dhakan. Najwyraźniej to on dzierżył ster rządów w Osthosie.

— Dziękuję, lordzie Dhakanie. — Andina podniosła się z tronu, tuląc zaborczo Emmy do piersi.

— Masz być grzeczną kotką, Em — przykazał jej Althalus, schylając się po Nóż. — Pamiętaj: żadnego gryzienia.

— To ona gryzie? — spytała arii.

— Czasami. — Althalus wsadził sobie Nóż za pas. — Ale nie bardzo mocno. Zwykle przy zabawie, jeśli za bardzo się podnieci. Wtedy wystarczy dać pstryka w nos i jest spokój. Ach, powinienem waszą wysokość ostrzec: proszę się nie zdziwić, gdy zacznie ci myć twarz. Języczek ma nieco szorstki, ale człowiek szybko się przyzwyczaja.

— A co najbardziej lubi jeść?

— Rybę, oczywiście. — Althalus skłonił się nisko. — Przyjemnie robi się interesy z waszą wysokością.

Brzęczenie długiego łańcucha zaczęło denerwować Althalusa, jeszcze zanim dotarł z dziesięcioma Arumczykami do bram Osthosu. Wciąż sobie przypominał, że nie podróżuje już sam, i bynajmniej go to nie cieszyło.

Gdy tylko wyszli z miasta, wysłał myśl do pałacu. Od dwudziestu pięciu wieków nie dzieliła go od Emmy tak wielka odległość. To także mu się nie podobało.

Jestem zajęta, Althalusie — usłyszał w odpowiedzi. — *Nie zawracaj mi teraz głowy. Idź do miejsca, gdzie zrobiliście monety, i tam na mnie zaczekaj.*

Nie wiesz, jak długo to potrwa?

Może w nocy przyjdę. Zatrzymaj Eliara, a resztę uwolnij.

Zapłaciłem za nich kupę forszy.

Łatwo przyszło, łatwo poszło. Pokaż im drogę do Arum i niech sobie idą.

Z zagajnika, w którym wraz z Emmy zmienili pięć sztab złota w monety, wciąż jeszcze było widać mury Osthosu. Podczas gdy koń brnął z trudem przez pole, jego pan roztropnie poprawił sobie słuch, żeby się dowiedzieć, o czym rozmawiają niewolnicy.

— ... tylko jeden człowiek — szeptał Eliar. — Jak odejdziemy dalej od miasta, rzucimy się na niego wszyscy i damy w łeb. Przekażcie innym, niech czekają na mój znak. Na razie cicho siedzieć i nie podskakiwać. Podskoczmy, jak go dorwiemy.

Althalus uśmiechnął się do siebie.

— Ciekawe, czemu dopiero teraz na to wpadł — mruknął. — Powinno mu to przyjść do głowy już parę godzin temu.

Najwyraźniej będzie musiał podjąć jakieś kroki, żeby zniechęcić jeńców do wierności dowódcy.

Przy kępie drzew zeskoczył z konia.

— No, panowie — rzekł — proszę teraz siadać i słuchać. Jesteście o krok od bardzo pochopnej decyzji. Zanim ją jednak podejmiecie, powinniście o czymś wiedzieć. — Wziął klucz od łańcuchów i uwolnił pierwszego jeńca z brzegu. — Stań przed tamtymi, coś im pokazemy.

— Chcesz mnie zabić? — spytał chłopak, trzęsąc się ze strachu.

— Po tym, ile za ciebie zapłaciłem? Nie pleć głupstw. — Althalus poprowadził jeńca na środek polany. — Patrzcie teraz uważnie! — Wyciągnął rękę dłonią do góry i unosząc ją wolno, zawołał: — *Dheu!*

Niewolnik uniósł się w powietrze z okrzykiem trwogi. Wznosił się coraz wyżej i wyżej, w miarę jak Althalus, nieco dramatycznym gestem, podnosił rękę. Po chwili chłopak był już tylko punkcikiem na niebie.

— No — zwrócił się Althalus do osłupiałych niewolników — jaką to lekcję otrzymaliśmy właśnie? Jak myślicie, co się stanie z waszym przyjacielem, jeśli go teraz puszczę?

— Spadnie? — wykrztusił Eliar.

— Bardzo dobrze, Eliarze. Bystry z ciebie chłopak. A co będzie, jak spadnie?

— Prawdopodobnie się zabije, tak?

— Znacznie bardziej niż „prawdopodobnie”. Rozpryśnie się niczym dojrzały melon. Oto, moi panowie, wasza dzisiejsza lekcja: Nie chcecie wchodzić mi w paradę. Chcecie pójść w daleką drogę, żeby tylko nie pokrzyżować mi planów. Czy ktoś potrzebuje dalszych wyjaśnień?

Jak jeden mąż pokręcili przecząco głowami.

— No dobrze. Ponieważ wszyscy dokładnie zrozumieli, jak sprawy się mają, możemy opuścić waszego przyjaciela na ziemię. *Dhreu!* — I Althalus zaczął wolno opuszczać dłoń.

Chłopak upadł ciężko w trawę, wstrząsany gwałtownym łkaniem.

— Oj, przestań się mazać! — upomniał go Althalus. — Nic złego ci nie zrobiłem.

Idąc wzdłuż łańcucha, otwierał każdemu niewolnikowi żelazną obrozę. Tylko Eliara pozostawił skutego. Potem wskazał na północ.

— Tam jest Arum, panowie. Zabierzcie tego nieboraka i jazda do domu. Aha, kiedy już będziecie na miejscu, powiedzcie wodzowi Albronowi, że znalazłem sztylet i że Eliar idzie ze mną. Albron i ja wyrównamy rachunki przy okazji.

— Co to wszystko ma znaczyć? — spytał Eliar.

— Zawarłem z twoim wodzem coś w rodzaju układu. Przez pewien czas będziesz dla mnie pracował. — Zerknął na pozostałych. — Powiedziałem: jazda do domu. Czemu was jeszcze tu widzę?

Puścili się biegiem i pędzili, póki nie stracił ich z oczu.

— Nie zamierzasz mnie rozkuć? — spytał Eliar.

— Wytrzymaj jeszcze trochę.

— Jeśli zawarłeś układ z moim wodzem, to nie musisz mnie trzymać na łańcuchu. Szanuję jego słowo.

— Z łańcuchami będzie ci łatwiej, Eliarze. Póki jesteś skuty, nie musisz zmagać się z żadnymi decyzjami natury moralnej. Chcesz coś zjeść?

— Nie — burknął chłopak, wydymając wargi.

Wydymanie warg wychodziło mu bardzo dobrze. Pomijając kwaśną minę, był bardzo przystojnym młodzieńcem — wysokim i jasnowłosym, barczystym. Łatwo zgadnąć, dlaczego inni arumscy chłopcy z oddziału sierżanta Khalora widzieli w nim swego przywódcę.

Althalus okręcił łańcuch Eliara wokół pnia, zapiął go dla pewności, po czym wyciągnął się na pokrytej liśćmi ziemi.

— Ty też mógłbyś się zdrzemnąć — poradził chłopakowi. — Przed nami długa droga i przypuszczam, że ze snem będzie raczej kiepsko.

— Dokąd idziemy? — spytał Eliar, w którym wyraźnie ciekawość wzięła górę nad urazą.

— Nie mam bladego pojęcia — wyznał Althalus. — Kiedy Emmy tu dotrze, pewnie nam powie.

— Twoja kocica?

— Nie wszystko jest takie, jakie się wydaje, Eliarze. Śpij.

— Mógłbym dostać kawałek chleba czy coś...?

— Mówiłeś, że nie jesteś głodny.

— Zmieniłem zdanie. Teraz chętnie coś bym zjadł.

Althalus przywołał bochenek chleba i rzucił go jeńcowi.

— Jakżeś to zrobił?!

— To tylko taka sztuczka, której nauczyłem się kilka lat temu. Naprawdę nic wielkiego.

— W życiu czegoś podobnego nie widziałem! Ty nie jesteś zwykłym człowiekiem, co?

— Nie za bardzo. Zjedz kolację i idź spać.
Althalus ułożył się znowu i zapadł w sen.

Tuż po północy, cicho niczym duch, w zagajniku pojawiła się Emmy. Althalus właśnie się budził.

Czy nie jesteśmy czasem ździebko lekkomyślni, skarbie?

— Bo co?

Zdawało mi się, że powinieneś mieć oko na Eliara.

— On nigdzie nie pójdzie, Em. . . chyba że razem z tym drzewem.

Miałeś jakieś trudności z namówieniem jego towarzyszy do odejścia?

— Nie, żadnych. *Knuli coś po drodze, ale udowodniłem im, że to kiepski pomysł.*

Naprawdę? W jaki sposób?

— Wybrałem pierwszego lepszego i postąpiłem tak samo jak wtedy z Pekha-lem. W lot pojęli, o co mi chodzi. Potem ich rozkułem i kazałem iść do domu. Mało nóg nie pogubili.

Efekciarz!

— Em, ja znam mentalność Arumczyków. Są tak niesamowicie lojalni, że musiałem zrobić coś spektakularnego, aby zdecydowali się zostawić Eliara. Inaczej zaczałiby się gdzieś w krzakach, żeby wciągnąć nas w pułapkę i go odbić. I udało mi się ich przekonać.

Masz Nóż?

Poklepał rękojeść wystającą zza pasa.

— Jest tutaj.

Stań w świetle księżycy — poleciała, wyprowadzając go spośród drzew.

— Co robimy?

Odczytasz napis na Nożu.

— Przyjmuję rozkazy od ciebie, nie od tego antyku.

To tylko środek ostrożności, Althalusie. Nóż musi się upewnić, czy po drodze nie straciłeś zapału.

— O co chodzi? Nie ufasz mi?

Ja miałabym ci ufać? — zaśmiała się ironicznie.

— Nie jesteś specjalnie miła.

Po prostu weź Nóż i czytaj. Skończmy z tym wreszcie.

Wyciągnął Nóż zza pasa i trzymał go pod światło. Inskrypcja na ostrzu była skomplikowana i bardzo wyraźna, z przeplatającymi się wokół siebie liniami. Pi-smo nie składało się z odrębnych piktogramów, jakie Althalus znał z Księgi, ale

zlewało się w całość. Mimo to bez trudu wyłowił jedno słowo, gdyż połyskiwało w bladym świetle.

Co wyczytałeś?

— „Poszukiwanie”.

Rozległa się cicha melodia, która zdawała się wznosić coraz wyżej i wyżej, otulając go, spowijając, niemal pieszcząc swym brzmieniem. Było to coś tak pięknego, że Althalusowi napłynęły łzy do oczu.

Teraz już jesteś mój — orzekła z dumą Emmy.

— Przecież od dawna jestem twój. Czy ten Nóż naprawdę śpiewał?

O tak.

— Po co?

Dał mi znać, że jesteś wybrany. I że oczywiście zrobisz dokładnie, co ci każę.

— Rzuciła mu chytre spojrzenie. — *Siadaj!*

Usiadł.

Wstań!

Podniósł się z wysiłkiem.

— Przestań, Emmy!

Tańcz!

Zaczął niezdarnie podrygiwać.

— Czekaaj, już ja się z tobą policzę!

Nic mi nie zrobisz. Możesz już przestać, chciałam ci tylko pokazać, do czego zdolny jest Nóż. Przy Nożu ty także potrafisz to wszystko... na wypadek gdyby Eliar czy inni, których zabierzemy po drodze, przestali cię słuchać.

— To może być całkiem wygodne. — Przyjrzał się bliżej ostrzu. — Mogłem odczytać tylko to jedno słowo. Wyskakuje wprost ze środka tamtych zakrętów.

Te „zakrętasy” są dla innych.

— Czemu nie mogę ich odczytać?

Nikt nie może odczytać wszystkiego, Althalusie. Niektóre ze słów były przeznaczone dla ludzi sprzed tysięcy lat, inne dla tych, którzy urodzą się dopiero za kilka tysięcy lat. Rozumiesz, nasz obecny kryzys nie jest jedynym w całej historii świata.

— Ten mi wystarczy. Czy Nóż powiedział ci, dokąd teraz pójdziemy?

To się okaże później, jak Eliar odczyta swoje instrukcje. Wszystko we właściwym czasie i miejscu.

— Jak sobie życzysz, najdroższa. — Zmarszczył lekko czoło. — Sprawdźmy, czy dobrze wszystko zrozumiałem. Nikt poza wybrańcami nie odczyta nic z Noża, tak?

Tak.

— Każdy inny widzi tylko te zakrętasy, które wyglądają jak ozdoba?

Przecież już ci mówiłam.

— A gdybym pokazał go Ghendowi? Albo Pekhalowi czy Khnomowi?

Daleko byłoby słyszeć ich wrzaski. Sam widok Noża sprawia agentom Daevy ból nie do zniesienia.

— No dobrze — uśmiechnął się szeroko. — Może mimo wszystko nie będę nim kroić boczku.

Jak możesz!

— Tylko żartowałem. To bardzo pożyteczny Nóż, będę musiał bardzo na niego uważać.

Przykro mi, skarbie, ale nie ty będziesz go nosił.

— A kto?

Prawdopodobnie Eliar.

— Jesteś absolutnie pewna, że to bezpieczne? To przecież profesjonalny zabójca. Jak tylko dostanie Nóż do ręki, z miejsca wpakuje mi go w brzuch.

Tak naprawdę nie ma w życiu nic pewnego, Althalusie.

— Ach, piękne dzięki!

To bezpieczny układ. Szansa, że Eliar cię zabije, jest mniej więcej taka sama jak to, że jutro słońce wzejdzie po zachodniej stronie nieba.

— Chyba nie postawiłbym na to zbyt wiele. Czemu go nie obudzimy i nie każemy czytać?

Niech śpi. Kiedy odczyta napis, dowiemy się, dokąd się udać, a wtedy musimy natychmiast ruszać w drogę. Lepiej nie zaczynać od błędzenia po ciemku.

Wzruszył ramionami.

— Ty tu rządzisz, Em. — Spojrzał na nią z ciekawością. — Co zrobiłaś Andinie, że dała się namówić? Przecież tak naprawdę wcale nie chciała sprzedać mi Eliara.

Sprawiłam, że jej miłość do mnie okazała się silniejsza niż nienawiść do niego.

— Sądziłem, że nie stać cię na takie rzeczy.

Nie zasiałam w niej tej miłości, skarbie. Ja tylko ją rozbudziłam. Andina jest bardzo młoda i namiętna. Kocha i nienawidzi całą sobą, każdą cząsteczką ciała, a kocha nawet mocniej, niż nienawidzi. Wystarczyło wyzwoleć miłość. Jak wiesz, jestem prawdziwym ekspertem w takich sprawach.

— Oszukałaś ją.

Nie, wcale nie. Andina jest bardzo ładna i miło pachnie. Jest łagodna, serdeczna, a głos ma niczym dzwon. Bardzo łatwo ją pokochać, a i ona umie miłość odwzajemnić. Wcale jej nie oszukałam, Althalusie, naprawdę ją kochałam. . . i nadal kocham.

— Miałaś kochać tylko mnie.

Co za śmieszny pomysł! Przecież to, że ją kocham, nie znaczy, że ciebie kocham mniej. Moja miłość jest bez granic, rozumiesz?

— Ale teraz od niej uciekłaś, a to znaczy, że wykiwałem ją w kwestii Eliara, Noża i ciebie, wszystko jednego dnia. Naprawdę myślę, że powinniśmy się stąd zabierać, i to natychmiast.

Ona się obudzi dopiero rano; dopilnowałam tego. Najpierw każe przeszukać cały pałac, pomysł wysłania żołnierzy przyjdzie jej do głowy później.

— Na pewno?

Zaufaj mi.

Eliar obudził się tuż przed świtem. Najwyraźniej zapomniał, że jest przykuty do drzewa, bo jeszcze zanim ocknął się na dobre, próbował się szarpać.

— Spokój! — warknął Althalus. — Możesz się poranić.

Eliar zaprzestał walki. Podniósł przegub i brzęknął łańcuchem.

— Nie musisz mnie już trzymać w okowach. Przecież ci powiedziałem, że jeśli rzeczywiście masz układ z moim wodzem, zrobisz, co mi rozkażesz. Ale jeżeli kłamiesz, odpowiesz za wszystko.

— Widzę, że zaczynasz nabierać rozsądku — pochwalił go Althalus. — Chciałem tylko napędzić ci trochę stracha, żebyś pojął, w czym rzecz.

— Jestem dobrym żołnierzem i słucham rozkazów mojego wodza. Nie muszę niczego rozumieć, po prostu robię, co mi się każe.

— Myślę, że jakoś się dogadamy. Podaj rękę, zdejmę ci łańcuch.

Uwolniony Eliar wstał z ziemi, przeciagnął się i ziewnął.

— Kiepsko spałem — wyznał. — Te łańcuchy brzęczały przy każdym ruchu. Jak mam się do ciebie zwracać? Może „sierzancie”? Rób, co chcesz, a „pan” nie będę ci mówił.

— Jeśli choć raz nazwiesz mnie panem, splotę ci paluchy w warkoczyk. Mam na imię Althalus i tak do mnie mów.

— Naprawdę tak się nazywasz? W naszym klanie jest stara legenda o Althalusie.

— Wiem. Wódz Albron myśli, że to tylko przypadek, ale jest w błędzie. — Althalus zrobił kwaśną minę. — Moje imię to niemal jedyna zgodna z prawdą część tej historii. Reszta jest największym łgarstwem, jakie kiedykolwiek słyszałem, a było tego całkiem sporo. Postawmy sprawę jasno: to ja obrabowałem Gostiego Pasibrzucha dwa i pół tysiąca lat temu, ale w skarbcu nie znalazłem złota, tylko miedź i trochę mosiądzu. Gosti chciał wszystkim wmówić, że jest najbogatszy na świecie, i dlatego rozповідаł kłamliwie, ile to niby złota mu ukradłem. W życiu nie uwierzyłybyś, jakie przez to miałem kłopoty.

— Nikt tak długo nie żyje — burknął chłopak.

— Też tak myślałem, ale Emmy wybiła mi to z głowy. Teraz do rzeczy: umiesz czytać?

— Rycerze nie tracą czasu na takie głupoty.

— Coś jednak będziesz musiał odczytać.

— Przecież mówię, że nie umiem. Ty mi to przeczytasz.

— Tak się nie da. — Althalus wyciągnął Nóż do Eliara i pokazał mu skomplikowany wzór na ostrzu. — Co tu jest napisane?

— Powtarzam jeszcze raz: nie umiem czytać.

— Spójrz na to, Eliarze. Nie możesz czytać, jeśli nie patrzysz.

Eliar przyjrzał się liściowatemu ostrzu i nagle szarpnął w tył głowę.

— „Prowadzenie”. Tu jest napisane „prowadzenie”! Umieję czytać!

I aż się cofnął, bo poraziła go pieśń Noża.

— Ładne, co? — spytał Althalus.

Emmy siedziała nieopodal, obserwując tę scenę w milczeniu. Potem podeszła do nich i popatrzyła z bliska na Eliara, który wciąż gapił się na Nóż z wyrazem oszołomienia na twarzy.

Wydadź mi jakiś rozkaz, Althalusie — zasugerowała. — Upewnijmy się, że wciąż masz nad nim władzę, zanim wręczymy mu Nóż.

Althalus skinął głową.

— Wstań, Eliarze!

Chłopak natychmiast się podniósł. Chwiał się nieco na nogach i przykładał dłoń do czoła.

— Trochę mnie zamroczyło — wyznał.

— Tańcz!

Eliar zaczął rytmicznie podskakiwać i przytupywać.

— Przestań.

Eliar przestał.

— Ręce na kark!

— Po co to wszystko? — spytał chłopak, podnosząc posłusznie ręce.

— Muszę się upewnić, czy to nadal działa. Możesz opuścić ręce. Zauważyłeś coś osobliwego?

— Że wciąż każesz mi robić jakieś głupie rzeczy.

— Skoro wydają ci się głupie, czemu je robisz?

— Jestem żołnierzem, Althalusie. Zawsze słucham rozkazów przełożonego, a jeśli są głupie, to jego sprawa.

— To chyba psuje całą przyjemność, co, Emmy? — powiedział na głos Althalus. — Czy Eliara do podskoków zmusił Nóż, czy też to kwestia musztry?

Eliar popatrzył ze zdumieniem na kotkę.

— Jak ona wyrwała się Andinie?

— Ma swoje sposoby.

— Andina będzie wściekła. Chyba powinniśmy czym prędzej ruszać w drogę... zaraz po śniadaniu.

— Jesteś głodny?

— Ja zawsze jestem głodny.

— Więc czemu niejemy? — Althalus wyciągnął Nóż do chłopca. — Trzymaj. Teraz ty będziesz go nosił. Wsadź go za pas i dobrze pilnuj.

Eliar schował ręce za plecy.

— Chyba powinieneś wiedzieć, że ubiegłej nocy, jeszcze zanim się poznaliśmy, zamierzałem cię zabić. Przemyśl to sobie, zanim oddasz mi Nóż.

— Ale teraz już nie będziesz próbował, prawda?

— Nie, teraz już nie.

— Dlaczego?

— Bo jesteś moim przełożonym. Przez układ z wodzem Albronem zostałeś kimś w rodzaju sierżanta, a dobry żołnierz nigdy nie próbuje zabijać sierżanta.

— Więc nie mam powodu do obaw. Bierz Nóż, Eliarze, i zjedźmy coś wreszcie.

— Świetny pomysł! — ucieszył się chłopak.

— Boczek? Szynka?

— Wszystko jedno, byle szybko.

Althalus przywołał trochę szynki i bochenek chleba. Postarał się też o duży kubek mleka.

Eliar rzucił się na to wszystko, jakby nie jadł od tygodnia. Althalus wywołał dokładkę.

Jak długo ma nosić ten Nóż? — spytał mentalnie Emmy.

Nie jestem pewna. — Obserwowała jedzącego Eliara z nieznacznym rozba-wieniem. — *Zobaczmy, czy potrafisz go namówić, by pokazał mi na chwilę Nóż. Muszę sprawdzić, dokąd mamy się udać.*

— Eliarze, nie musisz sobie przerywać, ale Emmy chce rzucić okiem na twój Nóż.

Eliar wymamrotał coś pod nosem.

— Nie mów z pełną gębą — upomniał go Althalus. — Po prostu daj jej Nóż.

Eliar przełożył kawałek szynki z prawej ręki do lewej i otarłszy dłoń z tłuszczu o trawę, wyciągnął Nóż zza pasa. Wciąż poruszając ustami, podsunął go Emmie pod oczy.

Awes — przeczytała.

A nie jest czasem zburzone?

I co z tego?

Nic, tak sobie wspomniałem. Pójdę osiodłać konia.

Emmy wróciła do swoich obserwacji.

Nie ma pośpiechu, Althalusie. Ten chłopak dopiero zaczął jeść.

ROZDZIAŁ 11

— Gdzie właściwie jest ta wojna? — spytał Eliar, biegnąc truchcikiem obok konia. — I przeciw komu mamy walczyć?

— Jaka wojna?

— Althalusie, żołnierzy nie najmuje się dla zabawy. Przecież nie wyrwałeś mnie z takim trudem z rąk Andiny tylko dlatego, że czujesz się samotny. Sierżant Khalor zawsze nam powtarzał, że powinno się zebrać jak najwięcej informacji o przeciwniku.

— Twój sierżant jest bardzo roztropny.

— Wszyscy patrzyliśmy w niego jak w tęczę, chociaż potrafił być okropnie drobiazgowy. Przysiągłbym, że może pół dnia gadać o jednej plamce rdzy na mieczu.

— Przypuszczam, że niektórzy żołnierze mają to we krwi. Ja tam nie ekscytuje się byle czym. Zardzewiały miecz zabija tak samo jak wypolerowany.

— Widzę, że świetnie się rozumiemy — rzekł Eliar z szerokim uśmiechem.

— No więc z kim mam się bić?

— To nie jest zwykła wojna... przynajmniej na razie. Jeszcze nie mówi się o armiach ani polach bitewnych.

— Bo wciąż nie możemy się zdecydować, po której jesteśmy stronie?

Althalus mrugnął okiem.

— To najlepsze określenie naszej sytuacji, jakie dotąd słyszałem.

Uważaj, co mówisz — warknęła mu w głowie Emmy.

Althalus się roześmiał.

— I właśnie dlatego, mój Eliarze, musimy absolutnie polegać na Nożu. Tylko on może nam wskazać, kto jest po naszej stronie. Ci, których potrzebujemy, potrafią z niego czytać, inni nie, natomiast Emmy umie odczytać więcej niż ty i ja. Nóż jej pokazuje, dokąd mamy iść i jak pozyskać sprzymierzeńców.

— Emmy chyba nie jest zwykłą kotką? Moja matka miała kota, ale on umiał tylko jeść, spać i łowić myszy. Jeśli Emmy jest taka ważna, to bardzo ryzykowałeś, kiedy przehandlowałeś ją na Nóż. Andina to dziwna osobka. Masz szczęście, że nie przykuła Emmy do słupka przy swym łóżku.

— Tak jak ciebie do kolumny w sali tronowej?

Eliar się wzdrygnął.

— To był prawdziwy koszmar, Althalusie. Od jej wzroku aż mnie ciarki przechodziły. Siedziała tam i godzinami bawiła się tym sztyletem, patrząc mi prosto w oczy. Dziwne są te kobiety, no nie?

— O tak, Eliarze. Rzeczywiście są dziwne.

Krótko przed południem Althalus zauważył w pewnej odległości od drogi gospodarskie zabudowania. Skręcił w ścieżkę, która prowadziła ku domowi.

— Trzeba ci konia — powiedział do Eliara.

— Potrafię i pieszo dotrzymać ci kroku.

— Możliwe, ale przed nami długa droga. Pogadam z gospodarzem i zobaczę, co nam zaproponuje.

Podczas gdy Althalus rozmawiał z chudym właścicielem, Eliar przyglądał się uważnie koniom w wielkiej zagrodzie za domem.

— Ten — rzekł, głaszcząc uszy rosnącego gniadosza.

Gospodarz zaczął się wzbraniać, ale zmienił zdanie, kiedy Althalus zabrzączał sakiewką.

— Za dużo mu dałeś — zauważył Eliar, kiedy wyjechali na drogę.

— Pieniądze nic nie znaczą.

— Pieniądze zawsze coś znaczą, chyba że zdobywasz je w taki sam sposób jak prowiant. — Rzucił Althalusowi ostre spojrzenie. — Robisz je, prawda? Po prostu zostałeś z tyłu, machnąłeś ręką i zaraz zjawiała się wielka kupa złota, tak?

— Nie, w gruncie rzeczy nie. — Althalus przystanął i oczy mu się nagle rozszerzyły. *A mógłbym tak?* — wysłał pytanie do Emmy, która spokojnie drzemała w jego kapturze.

Przypuszczalnie.

Więc po co kazałaś mi kopać?

Uczciwa praca ci służy, skarbie. Poza tym to niezupełnie tak działa. Jedzenie owszem, ale minerały to inna sprawa.

Dlaczego?

Bo tak już jest, Althalusie. Istnieje pewna równowaga i nie powinno się jej naruszać.

Możesz mi to wyjaśnić?

Nie, raczej nie.

Jechali niestrudzenie przez jeszcze dwa dni, póki nie znaleźli się z dala od Osthosu, i dopiero wtedy dali koniom wytchnąć. Nagie równiny Treborei wysuszone palącym słońcem robiły przygnębiające wrażenie, więc dla urozmaicenia Althalus opowiadał Eliarowi nieco ubarwione historie o swych przygodach z czasów, zanim trafił do Domu na Końcu Świata. Chłopak, jak wszyscy Arumczycy,

uwielbiał ciekawe opowieści i był dokładnie takim typem słuchacza, jaki zawsze rozgrzewał serce starego złodzieja.

Oczywiście Althalus ździebko oszukiwał. Za każdym razem, kiedy uwaga Eliara zaczynała słabnąć, kurze udko czy bochenek chleba natychmiast ją ożywiały. Taki układ służył znakomicie obydwóm stronom, natomiast Emmy, nie wiadomo dlaczego, wołała skracać sobie czas drzemkami.

Kiedy rozbijali obóz na noc, Eliar zajmował się końmi. Althalus zapewniał dostawę siana i owsa, nierzadko musiał też przywoływać zapas wody, ale reszta należała do Eliara, co bardzo odpowiadało jego przełożonemu.

Parę dni później minęli ogrodzone murami miasto Leupon i przeprawiwszy się przez rzekę Kanthon, wkroczyli do Equero. Kraina jezior nie była tak spieczona jak równiny Perquaine i Treborei, toteż ludność tutejsza nie musiała się trzymać tak blisko wysychających sadzawek czy brzegów rzek.

Po dziesięciu dniach marszu przez Equero znaleźli się w pradawnej kolebce ludzkości — Medyo. Po pięciu następnych dotarli do wideł rzeki Medyo i ruin miasta Awes.

— Co tu się stało? — spytał Eliar, gdy zatrzymali się na zachodnim brzegu w oczekiwaniu na barkę, która za pewną opłatą wozila podróżnych do ruin.

— Wojna. Z tego co wiem, za dawnych czasów władzę w całym Medyo i okolicznych krajach sprawowali kapłani. Okazali się trochę zbyt chciwi, toteż wojsko uznało, że świat bez nich będzie o wiele sympatyczniejszy, i postanowiło się o tym przekonać. A ponieważ kapłani także mieli armię, dyskusja obu stron zaczęła się przeciągać, aż skończyła się na ulicach Awes.

— To rzeczywiście musiało się dziać dawno temu. Patrz, na ulicach rosną zupełnie stare drzewa.

Althalusie — zamruczał głos Emmy — *muszę natychmiast porozmawiać z Eliarem i w tym celu pożyczam sobie twój głos. Lepiej będzie, jeśli w tym czasie on będzie mnie trzymał.*

Dlaczego?

Po prostu zrób, co ci każę, i nie zadawaj głupich pytań.

Althalus podał kotkę towarzyszowi.

— Weź ją, chce z tobą pogadać.

Eliar schował ręce za siebie.

— Raczej nie mam ochoty.

— To jej nabierz.

— Nie rozumiem kociej mowy — protestował chłopak, biorąc Emmy na rękę z wyraźną niechęcią.

— Ona sprawi, że zrozumiesz.

Wynoś się stąd, Althalusie. Idź policzyć drzewa albo zajmij się czymś innym. Będę używała twojego głosu, więc się nie wtrącaj. — Po chwili Althalus rzeczywiście usłyszał swój głos, chociaż nieco cichszy i wyższy: — Słyszysz mnie,

Eliarze?

— Oczywiście, przecież jesteście zaledwie o kilka stóp dalej. Masz jakiś dziwny głos.

— Nie jestem Althalusem, używam tylko jego głosu. Na mnie patrz, nie na niego.

Eliar spojrział ze zdumieniem na kotkę, która skrzywiła nosek.

— Powinieneś się wykapać.

— Byłem co nieco zajęty, łaskawa pani.

— Możesz mnie popieścić, jeśli chcesz.

— Już się robi — odparł Eliar, głaszcząc jej futerko.

— Nie tak mocno.

— Najmocniej przepraszam.

— Miły chłopak... — zamruczała Emmy pożyczonym głosem. — No dobrze, Eliarze, teraz słuchaj uważnie. Istnieje szansa, że na drugim brzegu rzeki natrafimy na nieprzyjaciela. Co robisz, kiedy spotykasz wroga?

— Zabijam go, pani.

— No właśnie.

— Emmy! — nie wytrzymał Althalus.

— Cicho bądź, Althalusie, to sprawa między tym chłopcem a mną. Słuchaj, Eliarze, spotkamy się tam z kapłanami. Chcę, żebyś każdemu z nich pokazał Nóż. Umiesz udawać głupka?

Eliar posmutniał.

— Pani, jestem wiejskim chłopakiem z gór Arum. Głupota to nasza specjalność.

— Wolałabym, żebyś nazywał mnie „Emmy”, Eliarze, nie musimy być tacy oficjalni. Oto co masz zrobić: kiedy będziemy rozmawiać z jakimś kapłanem, ty z wyjątkowo tępym wyrazem twarzy podstawisz mu Nóż pod oczy i powiesz: „Przepraszam, czy wasza wielbność może mi przeczytać, co tu stoi napisane?”.

— Chyba nie uda mi się zachować powagi — odparł ze śmiechem Eliar.

— Przecwicz to sobie, żeby obeszło się bez chichrania. Większość kapłanów nie dopatry się żadnego sensu w tych zawijasach. Albo przyznają, że nie umieją czytać, albo będą udawali, że nie mają czasu. Natomiast ten, którego szukamy, odczyta napis w ten sam sposób co ty, a jednocześnie Nóż potwierdzi to pieśnią.

— Mniej więcej tego się spodziewałem. A co to ma wspólnego z wrogiem?

— Jeśli ten, komu pokażesz Nóż, jest wrogiem, wrzaśnie i będzie próbował zasłonić sobie oczy.

— Dlaczego?

— Bo widok Noża sprawi mu ból, i to taki, jakiego nie zaznał w całym swoim życiu. Gdy tylko to zobaczysz, wbij mu Nóż prosto w serce.

— W porządku, Emmy.

— Żadnych pytań?

— Nie, Emmy. Ty tu rządzisz i cokolwiek rozkażesz, ja to spełnię. Sierżant Khalor ciągle powtarzał, że mamy słuchać rozkazów natychmiast, bez żadnych głupich pytań, a twoje rozkazy są bardzo proste. Jeśli ktoś krzyknie na widok Noża, to będzie trupem, jeszcze zanim umilknie echo.

Emmy pogładziła go miękką łapką po policzku.

— Poczciwy z ciebie chłopak, Eliarze.

— Dziękuję, Emmy, staram się, jak mogę.

Mam nadzieję, Althalusie, że słuchałeś uważnie. Może powinieneś porobić sobie notatki do wykorzystania na przyszłość. Mnóstwo czasu się oszczędza, kiedy ludzie spełniają rozkazy bez zbędnych dyskusji, jakimi co poniektórzy mnie nękają.

— Mogę odzyskać swój głos?

Tak, skarbie, już skończyłam. . . przynajmniej na razie. Dam ci znać, gdy znów mi będzie potrzebny.

Barka przewiozła ich na drugi brzeg rzeki, po czym wjechali do zrujnowanego miasta. Kapłani, którzy pobudowali tam sobie prowizoryczne szopy, nosili przeważnie habity z kapturami. Między poszczególnymi grupami zaznaczały się wyraźne różnice: ci z części północnej ubierali się na czarno, mieszkańcy centrum — na biało, a południa, czyli najbliższej wideł rzeki — na brązowo. Althalus zauważył też, że kapłani z poszczególnych grup raczej z sobą nie rozmawiają, co najwyżej się kłóca.

— Nie, wszystko ci się pomyliło — przekonywał kapłan w czarnej szacie grubasa w białej. — Kiedy to się stało, Wilk był w dziewiątym domu, a nie w dziesiątym.

— Moje wykresy nie kłamią — bronił się grubas z zapalem. — Słońce zdążyło już wtedy przejść do czwartego domu, a to definitywnie ustawia Wilka w dziesiątym.

O czym oni mówią? — spytał Althalus Emmy.

O astrologii. To jeden z kamieni węgielnych religii.

Jakiej religii?

Prawie każdej. Religia opiera się na chęci poznania przyszłości, a astrologowie uważają, że ta sprawa zależy od gwiazd.

I mają rację?

A co gwiazdom do spraw tego świata? Poza tym większość tych, o które tak się wyklócają kapłani, dawno nie istnieje.

Chyba nie zrozumiałem.

Gwiazdy są ogniem, a każdy ogień musi kiedyś wygasnąć.

Skoro zgasły, to czemu kapłani wciąż się o nie kłóca?

Bo nic o tym nie wiedzą.

Przecież wystarczy spojrzeć!

To niezupełnie tak, Althalusie. Gwiazdy są znacznie bardziej oddalone, niż ludzie sobie wyobrażają, i mija dużo czasu, zanim ich światło do nas dotrze. Praw-

dopodobnie połowa z tego, co widać na niebie, już nie istnieje. Innymi słowy, kapłani próbują przewidywać przyszłość na podstawie gwiazd-widm.

Althalus wzruszył ramionami.

Przynajmniej mają coś do roboty.

Rozejrzał się po ruinach i zasypanych gruzem ulicach. Zakapturzeni kapłani chodzili pojedynczo lub małymi grupkami, ale można było też dostrzec konwencjonalnie odzianych ludzi. Jeden z nich otworzył prowizoryczny stragan przy zrujnowanym murze. Na byle jak skleconym stole leżały garnki, patelnie i czajniki.

— Witajcie, przyjaciele — zagadnął ich właściciel tego dobra, zacierając z nadzieją ręce. — Oglądajcie i kupujcie! Mani najlepsze garnki i czajniki w całym Awes, a tak niskich cen nie znajdziecie w żadnym z tutejszych sklepów.

Uważaj, Althalusie, to Khnom — zabrzmiał mu w głowie głos Emmy. — Pracuje dla Ghenda.

To Ghend wiedział, że tu idziemy?

Niekoniecznie. Mógł po prostu rozstawić swych agentów, by mieli na nas oko. Zapamiętaj dobrze tę twarz, bo pewnie go jeszcze spotkamy.

— Szukasz czegoś konkretnego, przyjacielu? — naciskał handlarz, mały człowieczek, który starał się nie patrzeć Althalusowi w oczy.

— Właściwie to chciałbym zasięgnąć informacji. Nic nie wiem na temat tutejszych nieruchomości. Czy mógłbym otworzyć sklepik w którymś z opustoszałych budynków?

— To nie jest dobry pomysł. Większość interesów toczy się tutaj, w środku miasta, a na wszystkim trzymają łapę „białe kiecki”. Od każdego, kto coś rozkręca, oczekują „donacji”.

— Znaczą, łapówki?

— Nie używałbym przy nich tego słowa. Udawaj pobożnego prostaczka, wszyscy kapłani lubią nierozgarniętych wiernych. . .

Khnom zerknął z ukosa, żeby sprawdzić, jakie wrażenie robi ta dość bluźniercza uwaga, Althalus jednak zachował kamienną twarz.

— A co powiedzą, gdybyśmy tak rozbili namioty z tyłu sklepu?

— Nie będą zachwyceni. . . zresztą ty sam pewnie byś nie zechciał. Oni dużo się modlą i robią wokół tego wiele szumu. A my, kupcy, mamy coś w rodzaju własnej wspólnoty przy tym, co zostało ze wschodniej części miejskich murów.

— Skąd kapłani biorą pieniądze, żeby cokolwiek kupować?

— Sprzedają horoskopy frajerom, którzy wierzą w te bzdury, i liczą sobie za nie bardzo słono.

— Dobra. Oni kiwają swoich wiernych, to my wykiwamy ich. Uwielbiam robić interesy z kimś, kto szczerze wierzy, że jest ode mnie sprytniejszy. Dzięki za informację.

— Miło mi, że mogłem pomóc. Nie potrzebujesz garnka albo patelni?

— Na razie nie, ale dziękuję.

Althalusie, on wie, kim jesteś — odezwał się głos Emmy.

Jasne, to spryciarz. Niech mu tam, ale kupcem to on nie jest.

Skąd wiesz?

Nawet mnie nie zapytał, czym handluje. Prawdziwy kupiec o to właśnie zapytałby przede wszystkim, bo nikt nie życzy sobie konkurencji na tej samej ulicy. Pozbędziemy się tego durnia? Eliar i ja załatwimy go raz-dwa.

Nie. To nie jest wasze zadanie. Ale bądźcie z nim ostrożni.

— Dokąd teraz idziemy? — spytał Eliar.

— Kupcy mają swoją wspólnotę przy wschodnim murze. Rozbijemy tam biwak i od samego rana zaczniemy rozglądać się za naszym człowiekiem.

— Możesz przywołać mi mydło? — poprosił Eliar, kiedy prowadzili konie przez pełną gruzu ulicę.

— Chyba tak, a po co?

— Emmy kazała mi się wykapać. Czy wszystkie kobiety tylko to jedno mają w głowie? Za każdym razem, gdy odwiedzam matkę, pierwsze, co słyszę z jej ust, to że mam wziąć kąpiel.

— Widzę, że nie przepadasz za tym.

— Och, wykapię się, jeśli to takie konieczne, ale raz na tydzień wystarczy. No, chyba że po sprzątaniu w stajni.

— Emmy ma bardzo czuły nos. Lepiej się pilnujmy, żeby jej nie urazić.

Ty także, Althalusie.

Ja nie potrzebuję kąpeli.

Jesteś w błędzie, zdecydowanie potrzebujesz. W końcu od paru tygodni jesteś w siodle i strasznie cuchniesz koniem. Kąpiel. Szybko. Proszę.

Z samego rana zabrali się do roboty. Po kilku nieudanych próbach Eliar okazał się bardziej wydajny. Szczera chłopięca twarz sporo mu pomogła w pierwszych kontaktach z zakapturzonymi kapłanami. Większość z nich, jak przewidywał Althalus, nie przyznała się, że nie umie odczytać dziwnego napisu na Nożu. Przeważnie odpowiadali szorstko, że nie mają czasu na takie bzdury, kilku jednak zaproponowało, że przetłumaczą napis — za opłatą. Jeden fanatyk o pustym spojrzeniu oświadczył wręcz, że pismo, którego nie potrafiłby odczytać, musiałyby wyjść spod ręki samego diabła.

Althalus z Eliarem zostawili go na środku ulicy i nadal ponawiali próby, nie napotykając jednak nikogo szczególnego.

— O, idzie jeszcze jeden — szepnął Eliar. — Może się założymy, co powie, kiedy zobaczy Nóż? Ten mi wygląda na takiego, co „jest bardzo zajęty”.

— Nie, on raczej oświadczy: „Będę musiał ci policzyć za czytanie” — zareplikował z uśmiechem Althalus, — Po czym poznałeś?

— Ma zeza. Jednym okiem wypatruje na niebie Deiwosa, a drugim szuka na ziemi monety, którą ktoś upuścił.

— Mam nadzieję, że nie jest taki jak ten ostatni. Jeśli jeszcze raz ktoś nazwie mój Nóż instrumentem szatana, zarobi fangę w nos.

Kapłan, który zbliżał się do nich teraz wyludnioną ulicą, miał posępną, ascetyczną twarz, a jego rozbiegane oczy i rozwichrzone włosy sprawiały, że wyglądał jak szaleniec. Nędzna brunatna szata była brudna, a wokół całej postaci unosił się paskudny odór.

— Przepraszam waszą wielbność — zagadnął go grzecznie Eliar — ale właśnie kupiłem ten sztylet i coś mi się widzi, że na ostrzu jest jakiś napis. Niestety, nie umiem czytać, więc nie wiem, o co tu chodzi. Czy wasza wielbność zechce mi pomóc?

— Pokaż no! — burknął kapłan zgrzytliwym, ochrypłym głosem.

Eliar podsunął mu ostrze.

Nagły wrzask odbił się echem od ruin pobliskich budynków. Rozwścieczony duchowny zatoczył się do tyłu, zasłaniając rękami oczy i drąc się tak, jakby go zanurzono we wrzącej smole.

— Mam nadzieję, że wasza wielbność nie weźmie sobie tego do serca — powiedział Eliar, wbijając mu Nóż prosto w pierś.

Krzyk ucichł, a martwy człowiek osunął się na ziemię, nie mrugnawszy nawet okiem.

Althalus zakręcił się w kółko, badając wzrokiem każde puste okno i drzwi. Mieli szczęście, w pobliżu nikogo nie było.

— Zabierz go stąd! — warknął na Eliara. — Szybko!

Chłopak odłożył Nóż i chwyciwszy trupa za rękę, odciągnął go za zburzony częściowo mur.

— Czy ktoś nas widział? — spytał bez tchu.

— Nie sądzę. Chodź tu i stań na straży, muszę go obszukać.

— Po co?

— Uspokój się — rzekł Althalus, widząc, że Eliarowi drżą ręce. — Weź się w garść!

— Nic mi nie jest, Althalusie, tylko ten nagły wrzask zbił mnie nieco z tropu.

— Po coś go przeproszał przed ciosem?

— Starłem się być uprzejmy. Matka nauczyła mnie dbać o dobre maniery. Wiesz, jakie są matki.

— Obserwuj ulicę. Daj mi znać, kiedy ktoś się pojawi.

Althalus pobieżnie obszukał ciało, nie wiedząc nawet, na co ma zwrócić uwagę, ale kieszenie trupa były puste. Narzucił nogą trochę gruzu na ciało i wrócił na ulicę.

— Znalazłeś coś? — spytał Eliar, wciąż jeszcze lekko roztrzęsiony.

— Uspokój się, mówię. Jeśli masz coś zrobić, rób to dobrze. Ludzie, którzy dają się ponieść nerwom, popełniają błędy.

Przez zasypaną gruzem ulicę brnął czarno ubrany kapłan — młody człowiek o płomiennorudej czuprynie. Ciemne oczy błyszczały oburzeniem.

— Widziałem, coście zrobili! Jesteście mordercami!

— Może warto zapytać o parę szczegółów, nim zaczniesz się rzucać oskarżeniami?
— spytał lodowatym tonem Althalus.

— Zabiliście go z zimną krwią!

— Akurat moja krew raczej nie jest zimna, a twoja, Eliarze?

— Niespecjalnie.

— Ten człowiek nie był duchownym, wasza wielbność — tłumaczył Althalus rudemu kapłanowi. — Wręcz przeciwnie... chyba że Daeva powołał ostatnio własnych kapłanów.

— Daeva?! Skąd znacie to imię?

— A to jakiś sekret?

— Takie informacje nie są przeznaczone dla ludu. Przeciętny człowiek nie umiałby sobie z nimi poradzić.

— Przeciętny człowiek może się okazać mądrzejszy, niż sądzisz, mój wielbny. W każdej rodzinie trafiają się czarne owce i nie ma w tym nic niezwykłego. Deiwos i Dweia bynajmniej się nie cieszą, że ich brat zszedł na manowce, ale to przecież nie ich wina.

— Jesteś duchownym, prawda?

— Mówisz to takim tonem, jakbyś mnie oskarżał. — Althalus uśmiechnął się nieznacznie. — Eliar i ja w pewnym sensie pracujemy dla Deiwosa, ale nie posuwałbym się do tego, by nazywać nas duchownymi. Ten młodzieniec właśnie uciszył kogoś, kto pracował dla Daevy. Zabiliśmy go natychmiast, kiedy zorientowaliśmy się, co to za ptaszek. Toczy się wojna, wielbny, a Eliar i ja jesteśmy żołnierzami.

— Ja także jestem żołnierzem Deiwosa — zapewnił ich kapłan.

— To musimy dopiero sprawdzić, przyjacielu. Na początek mały teścik. Ten facet, który leży na ziemi, nie udzielił poprawnej odpowiedzi, dlatego Eliar go zabił.

— Gwiazdy nic nie mówiły o wojnie.

— Może wiadomość jeszcze do nich nie dotarła.

— Gwiazdy wiedzą wszystko.

— Możliwe. Ale może kazano im zatrzymać tę wiadomość przy sobie. Gdybym to ja prowadził wojnę, nie wypisywałbym co noc na niebie moich planów, a ty?

W oczach kapłana pojawiło się zakłopotanie.

— Podważasz samą istotę religii.

— Nie, tylko złą koncepcję. Patrzą w niebo i wyobrażasz sobie, że widzisz obrazy, ale to wcale nie są obrazy, prawda? To po prostu niezwiązane z sobą punkty świetlne. Nie ma tam kruka, wilka, węża ani żadnego innego obrazka. Wojna

toczy się tu, a nie tam... No tak, ale odbiegam od tematu. Przekonajmy się, czy rzeczywiście jesteś jednym z żołnierzy boga nieba.

— Złożyłem ślub, że będę mu służył.

— A czy kiedy dał ci znać, że go przyjmuje? — spytał chytrze Althalus. — Może nie masz odpowiednich kwalifikacji.

Rudzielec zmieszał się jeszcze bardziej.

— Masz wątpliwości, co? Znam to uczucie, oj, znam. Czasem wiara słabnie i wszystko, w co wierzysz, wydaje się zwykłą kpina i oszustwem, jakimś okrutnym żartem.

— Ale ja chcę wierzyć! Staram się ze wszystkich sił!

— My ci to ułatwimy. Pokaż mu Nóż, Eliarze.

— Wedle rozkazu — odparł posłusznie chłopak. I patrząc na zaniepokojonego kapłana, dodał: — Pokażę ci teraz Nóż. Tylko pokażę, to nie żadna groźba. Na ostrzu jest napis, który spróbujesz odczytać. Jeśli nie potrafisz, podamy sobie ręce i rozstaniemy się w przyjaźni, ale jeśli zobaczysz tam jakieś słowo, przyłączysz się do nas. To właśnie jest ten test.

— Po prostu pokaż mu Nóż, Eliarze. Nie musisz wygłaszać mowy.

— Czasem musi sobie pogderać — tłumaczył Eliar kapłanowi. — Jest jednym z najstarszych ludzi na świecie, a wiesz, jacy zrzedliwi bywają starcy. No to do dzieła, bo tylko patrzeć, jak zaczną skakać i toczyć pianę z gęby.

— Eliarze!!! W tej chwili pokaż mu Nóż!

— Teraz widzisz, o co mi chodzi? — ciągnął niezrażony Eliar. Wyciągnął jednak Nóż zza pasa i wskazał poryte znakami ostrze. — To właśnie masz odczytać. Słowo samo wyskoczy ci przed oczy, wcale nie musisz się zbytnio wysilać.

— Eliarze... — niemal błagalnie westchnął Althalus.

— Chcę mu tylko pomóc, Althalusie. — Eliar ujął mocno rękojeść i podsunął ostrze pod same oczy pobladłego kapłana. — Co tu widzisz, wielebny?

Duchowny zbłądł jeszcze bardziej, jakby cała krew odpłynęła mu z twarzy.

— „Oświecanie” — przeczytał z niemal nabożną czcią.

Sztylet w ręku Eliara uderzył w radosną pieśń.

— Wiedziałem, Althalusie! Wiedziałem, że to on! — wykrzyknął bezceremonialnie Eliar. — Właśnie dlatego próbowałem mu ułatwić zadanie. Jesteś znakomitym sierżantem, ale czasem zbyt szorstkim. Musisz nad tym popracować... chyba nie masz mi za złe, że to mówię?

— Dzięki — odparł chłodno, niemal nieźyczliwie Althalus.

— Wiesz, to częściowo mój obowiązek. — Eliar wetknął Nóż z powrotem za pas. — Jestem niejako twoim zastępcą, więc jeśli widzę, że można coś ulepszyć, powinienem to powiedzieć. Oczywiście wcale nie musisz mnie słuchać, ale nie byłbym wobec ciebie w porządku, gdybym zmilczał, prawda?

Nie odzywaj się, Althalusie — ostrzegła go Emmy.

Althalus westchnął z rezygnacją. *Dobrze, najdroższa.*

ROZDZIAŁ 12

Rudy kapłan osunął się bezwładnie na omszały kamień i patrzył w ziemię, zamroczony z zachwyty.

— Nic ci nie jest? — spytał z troską Eliar.

— Widziałem boże słowo... — odrzekł drżącym głosem duchowny. — Dewos do mnie przemówił!

— Tak, myśmy go także słyszeli — przyznał Eliar i po chwili sprostował: — No... właściwie słyszeliśmy Nóż, ale ponieważ ten Nóż jest boski, chyba wychodzi na to samo.

— Czemu Nóż wydaje takie dźwięki? — W głosie kapłana nadal brzmiał nabożny lęk.

— Pewnie bóg w ten sposób daje nam poznać, że trafiliśmy na właściwego człowieka. Mam na imię Eliar.

— A ja Bheid — odparł kapłan, przyglądając się Arumczykowi z zagadkową miną.

— Miło mi cię poznać, Bheidzie — rzekł Eliar, ściskając mu dłoń.

— Nie jesteś za młody jak na świętego? Większość bywa znacznie starsza.

Eliar się roześmiał.

— Nikt jeszcze nie nazwał mnie świętym i wcale nim nie jestem. W tej chwili służę tylko bogu jako żołnierz. Nic nie rozumiem z tego, co się dzieje, ale wcale mnie to nie martwi. Żołnierz nie musi rozumieć, tylko słuchać rozkazów.

Bheid zaczął się podnosić, lecz Eliar położył mu dłoń na ramieniu.

— Jeszcze posiedź. Jeśli czujesz się tak jak ja, kiedy odczytałem Nóż, zapewne nieco drżą ci nogi. Bóg ma raczej donośny głos, na pewno to zauważyłeś.

— O tak! — wykrzyknął z zapałem Bheid. — Co mamy robić dalej?

— Zapytaj Althalusa. Tylko on potrafi rozmawiać z Emmy, a to ona podejmuje decyzje.

— Kto to jest Emmy?

— Jak zrozumiałem, siostra boga, ale teraz wygląda jak kotka i po całych dniach śpi w kapturze Althalusa. Wiesz, to dość skomplikowane. Emmy jest starsza niż słońce i bardzo przymilna, ale jeśli wejdiesz jej w drogę, zaraz utrze ci nosa.

Bheid zerknął na Althalusa.
— Ten chłopak ma dobrze w głowie?
— Eliar? Tak sędzę. Wprawdzie nie jadł od dwóch godzin, więc mogło mu trochę paść na mózg.
— Nic z tego nie rozumiem — wyznał Bheid.
— I dobrze. To pierwszy krok do mądrości.
— Może zobaczyłbym w tym więcej sensu, gdybym wiedział, spod jakiego jesteście znaku, ty i Eliar. Ułożyłbym wasz horoskop i zaraz bym wiedział, kim jesteście.
— Naprawdę w to wierzysz?
— Astrologia to sama istota religii. Deiwos wypisał nasze losy w gwiazdach. Do zadań kapłanów należy studiowanie gwiazd, żeby każdemu człowiekowi przekazać boże słowo. Jaki jest twój znak? Kiedy się urodziłeś?
— Dawno, dawno temu, mój Bheidzie — odrzekł Althalus ze słabym uśmiechem. — Nie sędzę, by ci się udało ułożyć mój horoskop, bo od tamtych czasów gwiazdy się znacznie zmieniły. Mają teraz inne nazwy, a ludzie, którzy wówczas obserwowali niebo, widzieli zupełnie inne konfiguracje niż ty. Połowa Wilka stanowiła dolną część ówczesnego Żółwia, a to, co dzisiejsi astrologowie nazywają Knurem, było jego górną połową.
— Błuznierstwo!
— Nie przejmowałbym się za bardzo. Tamci astrologowie dawno nie żyją, więc na pewno cię nie oskarżą.
— Nie to miałem na myśli.
— Wiem, ale oni patrzyliby na to w ten sposób, prawda? — Althalus położył rękę na ramieniu Bheida. — Bo widzisz, w rzeczywistości na niebie nie ma żadnych obrazków. Jak już mówiłem, gwiazdy nie łączą się z sobą w konkretne kształty, ale ty już to odgadłeś, czyż nie? I stąd ten kryzys wiary. Chciałbyś wierzyć, że na niebie jest wilk, knur, smok, ale ty ich nie widzisz...
— Próbuję — niemal załkał Bheid. — Staram się, jak tylko mogę, lecz ich tam nie ma.
— Teraz wszystko się poprzestawiało. Nie będziesz już musiał patrzeć na niebo, gdyż Eliar ma Nóż Deiwosa. I Nóż nam powie, dokąd mamy się udać.
— Opuścimy Awes?
— Nie jestem pewien, ale chyba czeka nas daleka droga.
Tracisz czas, Althalusie — odezwał się głos Emmy. — Możecie snuć wasze rozważania o gwiazdach w drodze do Osthosu.
— Osthos?! — wykrzyknął Althalus. — Przecież dopiero co wyjechaliśmy stamtąd!
Tak, wiem. Ale teraz musimy wrócić.
— Rozmawiałeś z Emmy? Wracamy do Osthosu? — dopytywał się Eliar. — Ja nie mogę tam jechać! Andina mnie zabije!

— Coś jest nie tak? — spytał Bheid z widocznym zakłopotaniem.

— Właśnie otrzymaliśmy rozkaz wymarszu — ogłosił Althalus — i Eliar nie jest nim zachwycony.

— Stało się coś, czego nie zauważyłem?

— Emmy kazała nam jechać do Osthosu.

— Chyba niezbyt dobrze zrozumiałem, o co chodzi z tą Emmy.

— Emmy jest wystanniczką Deiwosa. . . w pewnym sensie. To skomplikowana sprawa, ale mówiąc po prostu, Deiwos przekazuje Emmy swoje życzenia. Ona powtarza je mnie, a ja innym.

— Słuchacie rozkazów kocicy? — spytał z niedowierzaniem Bheid.

— Nie kocicy, tylko boga, ale o tym porozmawiamy w drodze do Osthosu. Emmy chce, żebyśmy zaczęli przygotowania do wymarszu. — Althalus rozejrzał się wkoło. — Zasympmy tego trupa gruzem, by nie rzucał się w oczy. Potem pójdziemy po nasze rzeczy i kupię ci konia. Z samego rana ruszamy.

Ukryli dokładniej ciało i poszli przez ruiny w stronę północnego końca Awes.

— Co to za jakaś Andina? — zapytał Bheid Eliara.

— To władczyni Osthosu. Chce mnie zabić.

— Za co?

— Bo. . . — Eliar skrzywił się lekko — w pewnym sensie zabiłem jej ojca. Tylko że była wojna, a na wojnie takie rzeczy się zdarzają. Spełniłem swój obowiązek, a Andina potraktowała to osobiście. Ja nic do niego nie miałem, ale takie były rozkazy, a ona chyba nic nie rozumie.

— Czy ty widzisz w tym jakiś sens? — spytał Althalusa z lekka przerażony Bheid.

— Musiałbyś przy tym być. To bardzo skomplikowane, pogadamy po drodze.

Kiedy doszli do północnej części miasta, gdzie rezydowali kapłani w czarnych szatach, zabrali koce i inne rzeczy Bheida, po czym wrócili do swego obozu. Eliar z Bheidem odwiedzili zagrodę handlarza końmi, skąd przyprowadzili wierzchowca dla nowego kompana.

— Althalusie, jestem strasznie głodny — wyznał Eliar z nadzieją w głosie. — Moglibyśmy dostać dziś wołowinę zamiast ryby?

— Rozpalę ogień — zaproponował Bheid.

— To nie będzie konieczne — rzekł Althalus, po czym przywołał wielki kawał pieczeni i kilka bochenków chleba.

Bheid cofnął się gwałtownie z okrzykiem zdumienia.

— Włos się jeży, co? — zachichotał Eliar. — Za pierwszym razem aż się bałem jeść, ale żarcie zrobione słowami jest naprawdę dobre. — I z wielkim zapałem zabrał się do jedzenia.

— Jak ty to robisz? — spytał Bheid wylekzionym głosem.

— Emmy nazywa to posługiwaniem się Księgą. Nauczyła mnie tego w Domu na Końcu Świata, gdzie przechowywana jest Księga.

— Jaka księga?
— Księga Deiwosa, rzecz jasna.
— Widziałeś Księgę Deiwosa?
— Widziałem? Toż ja nią żyłem przez dwa i pół tysiąca lat! Mogę ją recytować od początku do końca i od końca do początku, i do góry nogami, i w ogóle od dowolnego miejsca, jeśli naprawdę sobie tego życzysz.
— A jak to się dzieje, że Księga Deiwosa umożliwia czynienie cudów?
— Księga to słowo boże, Bheidzie. Napisana jest bardzo archaicznym językiem, mało podobnym do tego, którego dziś używamy. Słowa z tego starego języka posiadają moc sprawczą. Jeśli powiem „mięso”, nic się nie wydarzy, ale na słowo *gwou* otrzymamy kolację. Ta procedura wymaga jeszcze paru szczegółów, lecz z grubsza tak to wygląda. Wiele lat spędziłem na wbijaniu sobie Księgi do głowy — tu poklepał się w czoło. — I teraz ją tu mam, dlatego nie muszę jej nosić przy sobie, co zresztą jest zabronione. Księga ma pozostać w Domu, nie byłoby bezpiecznie wozic ją po realnym świecie. No, jedz, bo ci wystygnie.
Eliar wziął sobie kilka dokładek. Po posiłku porozmawiali trochę, a następnie owinęli się kocami i zasnęli.

To było Awes, na pewno Awes, tylko bez żadnych budynków. Althalus wyraźnie widział rozwidlenie rzeki Medyo, ale tam, gdzie teraz leżały zrujnowane budynki, rósł gaj starych drzew. Przez pewien czas Althalus snuł się wśród potężnych dębów, po czym spojrział na zachód. W oddali majaczyli jacyś ludzie. Zbliżali się ku niemu przez porośniętą trawą równinę i wtedy usłyszał słabe zawodzenie. Było w nim coś rozpaczliwego, co do głębi poruszało jego duszę.

Nagle ci sami ludzie pojawili się na przeciwległym brzegu rzeki, więc mógł się im lepiej przyjrzeć. Byli ubrani w skóry zwierząt, a w rękach trzymali dzidy o kamiennych ostrzach.

Obrócił się na drugi bok i wyciągnął spod koca okruch skalny, który uwierał go w biodro. Wyrzucił go i natychmiast znów zasnął.

Teraz pod dębami ukazały się prymitywne szałas, a wokół nich uwijali się ludzie w futrach. Bez przerwy coś mówili przyciszonymi, przerażonymi głosami.

— Nadchodzi, nadchodzi, nadchodzi... Bądźcie gotowi na jego przyjście, gdyż jest bogiem. — Niektóre twarze błyszczały egzaltacją, na innych malowała się groza. I wciąż powtarzali: — Nadchodzi, nadchodzi...

Był pośród nich Ghend. Szeptał, ciągle szeptał, chociaż ludzie cofali się przed nim w popłochu. Ghend jednak nie zważał na ich strach, tylko przewiercał nieszczęsnych płonącymi oczami.

Nagle podniósł głowę i spojrział prosto na Althalusa, przenikając w głąb jego

duszy. A potem przemówił:

— To bez znaczenia, mój złodzieju. Możesz sobie uciekać i uciekać, a ja będę cię ścigał przez całe noce i całe lata. Księga ci nie pomoże, bo i tak doprowadzę cię przed tron Daevy. I będziesz mu służył, jako i ja, przez nieskończone wieki. A kiedy wieki dobiegną końca, zawrócimy je i dotrzemy aż do ich początku. A potem zawrócimy je ponownie i zobaczysz, że nie są już takie jak przedtem. . .

Jękliwy głos wzniósł się do straszliwego krzyku.

Althalus obudził się zlany potem.

— Boże! — wykrzyknął, drżąc na całym ciele.

— Kto to był? — dobiegł z ciemności przerażony głos Bheida. — Kim jest ten człowiek o płonących oczach?

— Ty także go widziałeś? — spytał równie rozdygotany Eliar.

Z drogi, Althalusie. Muszę z nimi pomówić.

Althalus poczuł się dość brutalnie odepchnięty.

— Eliarze — powiedziała Emmy — wytłumacz Bheidowi, kim jestem.

— Tak, pani. Posłuchaj, Bheidzie, to mówi Emmy. Ona tak czasem robi. Używa głosu Althalusa.

— Ta kotka?

— Nie uważałbym jej za kotkę. To tylko jeden ze sposobów ukrycia, kim jest naprawdę. Jej prawdziwa postać mogłaby nas oślepić.

— Cicho, Eliarze — upomniała go łagodnie Emmy.

— Tak, pani.

— To, czego wszyscy doświadczyliście przed chwilą, nie było snem, ale nie było też jawą. Althalus spotkał się już kiedyś z Ghendem, więc będzie mógł wam o nim opowiedzieć. . . kiedy oddam mu głos. To, coście widzieli, było wizją, którą Ghend. . . i Daeva chcą urzeczywistnić.

— A co to za ludzie, ci w skórach? — spytał drżącym głosem Bheid.

— Medyowie. Oni jako pierwsi przybyli w te strony dziesięć tysięcy lat temu. Przynieśli z sobą kult Deiwosa, ale Daeva chce to zmienić. Próbuje doprowadzić do tego, aby pierwsi Medyowie czcili jego, a nie Deiwosa.

— Ależ to niemożliwe — zaprotestował Bheid. — Przecież nie można zmienić tego, co już się stało.

— Uchwyc się z całej siły tego, co powiedziałaś — poradziła mu Emmy. — To czasem pomaga, chociaż Daeva raczej by się z tobą nie zgodził. On uważa, że potrafi zmienić przeszłość poprzez odmianę teraźniejszości. I właśnie dlatego tu jesteśmy. Musimy przeszkodzić Daevie w jego działaniu. Takie wizje jeszcze się powtórzą. Znów zobaczycie coś, co w rzeczywistości się nie wydarzyło. I niekoniecznie nastąpi to podczas snu.

— To już przestaje być śmieszne, Emmy — poskarżył się Eliar. — Jeśli taki sen na jawie wylezie nagle znikąd, po czym poznamy, co jest realne, a co nie?

— Po tym zawodzeniu. Jeśli usłyszycie z daleka ów jękliwy głos, możecie być pewni, że to Ghend manipuluje przy przeszłości. Znajdziecie się wtedy w przeszłości albo w przyszłości, ale nigdy w teraźniejszości.

Althalus spojrział na wschód, gdzie pojawił się pierwszy słaby znak, że zza horyzontu nadciąga nowy dzień.

— Już prawie świt — powiedział do towarzyszy. — Pora się pakować i zbierać do drogi.

— Ale najpierw śniadanie, prawda? — upomniał się Eliar.

Althalus westchnął.

— Tak, Eliarze, najpierw śniadanie.

Ledwie zdążyło wzejść słońce, przepawili się barką przez odnogę rzeki i ruszyli na zachód. Przejechali już kilka mil, kiedy Bheid zrównał swego konia z Althalusowym.

— Możemy pogadać? — spytał.

— To chyba dozwolone.

— Skąd wiedziałeś, gdzie znajduje się Księga Deiwosa? Przez całe lata wysłuchiwałem różnych pogłosek. Spory na ten temat trwają od stuleci. Większość moich nauczycieli twierdziła, że w gruncie rzeczy Księga jest nocnym niebem, ale inni upierali się, że istnieje naprawdę. I jak widać, to oni mieli rację.

— Tak — odparł Althalus. — Księga naprawdę istnieje.

— Jak to odkryłeś? Czy bóg ci się objawił?

— Nie — roześmiał się Althalus. — To wcale nie był bóg, tylko Ghend.

— Ghend?!

— Zaproponował, żebym ukraść dla niego Księgę za stosowną opłatą. To on mi powiedział, gdzie jest Dom na Końcu Świata.

— Czemu uczciwy człowiek miałby przystać na coś takiego?

— Uczciwy pewnie by nie przystał, ale ja nie miałem takich skrupułów. Jestem złodziejem, mój Bheidzie.

— Jak to? Złodziejem?

— To taki facet, który trudni się kradzieżą. Jestem prawdopodobnie najlepszym złodziejem na świecie, więc zyskałem sobie pewną sławę. Ghend mnie wyszedł i zaproponował kradzież Księgi. A potem powiedział mi, gdzie ona jest.

— W Domu na Końcu Świata?

— Cóż, tak go nazywają. Stoi na skraju klifu w północnym Kagwherze i jest największym budynkiem, jaki w życiu widziałem, ale zupełnie pustym. Z tego, co mi wiadomo, tylko jeden pokój jest umeblowany i tam właśnie leży Księga. Wtedy oczywiście była tam także Emmy. Ofuknęła mnie za zwłokę, a ja nabrałem

pewności, że zwariowałem. Kazała mi przestać pleść głupstwa, a potem nauczyła mnie czytać.

— Na Księdze Deiwosa?

— Innych tam nie było.

— Jak ona wygląda?

— To pudło obite białą skórą z luźnymi kartami w środku. Czasem zdarzało mi się je pomieszać, co Emmy doprowadzało do szału. No, ale w końcu nauczyłem się czytać, a potem znaleźliśmy z Emmy sposób porozumiewania się bez głosu. Następnie opuściliśmy Dom i ruszyliśmy na poszukiwanie Noża. Dowiedzieliśmy się, że ma go Eliar, najemny żołnierz, który akurat walczył na wojnie Kanthonu z Osthosem, toczącej się od chyba pięćdziesięciu pokoleń. Eliar dowodził atakiem na mury Osthosu i podczas walki zabił samego arya, co bardzo nie spodobało się jego córce Andinie. Ponieważ Eliar trafił do niewoli, zaczęła obmyślać różne interesujące metody zadania mu śmierci. Udałem handlarza niewolników i wykupiłem go, a potem przyjechaliśmy tutaj, żeby odnaleźć ciebie. Teraz wracamy do Osthosu po kogoś innego.

— Jak dawno się to działo? To znaczy, kiedy Ghend cię wynajął?

— Emmy mówi, że dwa i pół tysiąca lat temu. Mówiła też, że ludzie w Domu na Końcu Świata się nie starzeją i pewnie tak jest naprawdę, bo inaczej miałbym siwą brodę długości ze dwunastu mil.

— Czy Emmy naprawdę jest siostrą boga?

— Tak mi powiedziała. Na imię ma Dweia, ale wcale nie wygląda tak jak na posagu w świątyni w Maghu.

— Czczysz boga-kobietę? — Bheid wytrzeszczył oczy, wyraźnie urażony.

— Wcale jej nie czczę. Kocham ją, ale się do niej nie modłę. Kult oznacza absolutne posłuszeństwo i trzeba dużo czołgać się na kolanach. Robię, co Emmy mi każe, ale nie na klęczkach. Kłócimy się czasem, zwłaszcza Emmy lubi się kłócić, podobnie jak czaić się i rzucać na mnie znienacka.

— Mogę jej dotknąć? — spytał Bheid niemal z nabożeństwem.

— Emmy, obudź się! — Althalus obejrzał się przez ramię. — Bheid chce cię podrapać za uszkiem.

Kotka wystawiła z kaptura rozespany pyszczek.

Będzie mi bardzo miło — zamruczała.

Althalus wyciągnął jaz kaptura i podał Bheidowi.

— Śmiało, przyjacielu, weź ją na ręce! Ukradnie ci duszę, ale dlaczego miałbyś się różnić ode mnie i Eliara?

Bheid szybko cofnął rękę.

— Tylko żartowałem — powiedział Althalus.

Na pewno, skarbie? — spytała Emmy, obrzucając go chytrym spojrzeniem zielonych oczu.

Bheidowi drżały ręce, kiedy brał ją od Althalusa, ale uspokoił się, gdy zaczęła mrużyć.

— Kiedy robimy postój na obiad?! — zawołał z tyłu Eliar.

Jechali teraz przez zachodnie Medyo, trzymając się w miarę możliwości głównych dróg. Nagłe pojawienie się w Awes zezowatego wysłannika Ghenda wskazywało na prawdopodobieństwo spotkania także z innymi jego agentami. Althalus wiedział, że sobie z nimi poradzą, ale niepotrzebne zabijanie budziło w nim wstręt. Naprawdę dobry złodziej unika mokrej roboty.

Okolo południa dotarli do mostu przez zachodnią odnogę rzeki Osthos. Althalus roztropnie zboczył z drogi, poprowadził Eliara i Bheida między drzewa nieopodal strumienia.

Em — spytał bezgłośnie — kogo właściwie mamy odnaleźć w Osthosie?

Zgadnij.

Nie rób tego — rzekł z urazą.

Znasz ją, skarbie.

Zamrugnął oczami i niemal głośno wykrzyknął:

Chyba żartujesz!

Ależ nie.

Jak się dostaniemy do pałacu?

Jesteś złodziejem, Althalusie. Skoro potrafisz kraść przedmioty, dasz sobie radę z jedną dziewczyną.

Emmy, jej pałacu strzeże wojsko. Wystarczy jeden pisk i zaraz spadnie mi na kark trzydziestu zbrojnych.

No to trzeba dopilnować, żeby obeszło się bez pisków, prawda? — Zastanawiała się przez chwilę. — Zrobimy tak: Eliar i Bheid zostaną tutaj, razem z twoim koniem. Musimy się poruszać bardzo cicho; ja jestem kotką, a ty złodziejem, więc nie sprawi nam to trudności, ale im tak.

Od jak dawna wiesz, że Andina ma do nas dołączyć?

Odkąd Eliar odczytał napis na Nożu.

Dlaczego nie zabraliśmy jej przed wyruszeniem do Awes?

To byłoby sprzeczne z kolejną rzeczą, skarbie. Wszystko we właściwym miejscu i czasie.

Althalus zerknął na Eliara i wspomniał, w jaki sposób arya patrzyła na chłopaka.

Em? Ten twój brat ma bardzo wypaczone poczucie humoru.

No wiesz, Althalusie?! Jestem zaszokowana. Po prostu zaszokowana.

Było już dobrze po północy, kiedy Althalus z Emmy wśliznęli się do pałacu Andiny w centrum Osthosu. Tym razem Emmy wołała iść na własnych łapach. Ostrzegając Althalusa przed zagrożeniami, sunęła bezszelestnie prosto do komnat ary.

Śpi — oznajmiła. — Przed drzwiami stoi dwóch strażników. Namów ich na drzemkę.

Jak?

Spróbuj leb.

Podziała?

Dotąd zawsze działało. Tylko kiedy wyjdziemy, niech się obudzą. Ludziom wydaje się dziwne, jeśli śpią przez kilkadziesiąt lat, tak jak ty w Domu.

A ty tak właśnie ze mną robiłaś?

Oczywiście. Idziemy, Althalusie, noc nie będzie trwała bez końca.

Strażnicy u drzwi Andiny nadal stali, ale głowy opadły im na piersi, a z ust wydobywało się lekkie chrapanie. Althalus ujął za klamkę.

Nagle Emmy syknęła.

— Co się stało? — szepnął.

Argan!

— Co to jest argan?

Nie co, tylko kto. Strażnik po lewej stronie to Argan.

— Czy to imię powinno mi coś mówić?

Wspomniałam je kiedyś. To jeszcze jeden ze sługusów Ghenda.

— Nie ma sprawy — zauważył, sięgając po sztylet.

Odlóż broń, Althalusie — syknęła z obrzydzeniem.

— To proste, przyjemne rozwiązanie.

Możliwe, ale jak zamierzasz rozwiązać problem, który pojawi się później?

— Jaki problem?

Problem przywrócenia mu życia, kiedy bezwzględnie będzie musiał być cały i zdrowy.

— Nie rozumiem.

Wcale tego nie oczekuję. Odlóż ten nóż, Argan to nie twoja sprawa, podobnie jak Pekhal czy Khnom. Po prostu zostaw go w spokoju.

— Zaczekaj, Emmy. Czy to oznacza, że Ghend wiedział o naszych planach?

Prawdopodobnie.

— Jak je wykrył?

Daeva mu powiedział.

— A on skąd je znał?

Poznał je w taki sam sposób, jak ja dowiaduję się o różnych sprawach. My słyszymy to, czego ty nie jesteś w stanie usłyszeć. Ja wiem o Khnomie, Pekhalu i Arganie, a Daeva o Eliarze, Bheidzie i Andinie. Ci ludzie są naznaczeni i dlatego wydają pewne dźwięki, które tylko my słyszymy. Zostaw Argana w spokoju. Zabierzmy Andinę i wynośmy się stąd, póki on śpi.

ROZDZIAŁ 13

Blade światło pełni księżycy padało przez otwarte okno wprost na śpiącą dziewczynę. Masa ciemnych włosów spływała na poduszkę, a sen łagodził butny wyraz twarzy władczyni, która wyglądała teraz dziwnie bezbronne, jak dziecko.

Emmy cicho niby cień skoczyła na łóżko i usiadła tuż przy poduszce. Zielone oczy błyszczały tajemniczo, kiedy wpatrywała się uważnie w twarz swej dawnej pani. Po chwili zaczęła mrużyć.

Jak ją stąd wydostaniemy? — spytał bezgłośnie Althalus. — Chyba mógłbym ją wynieść, ale...

Pójdzie sama. Rozejrzyj się tu i znajdź jakieś ubranie, a przede wszystkim ciemną pelerynę.

Czy nie trzeba będzie jej obudzić? A jeśli podniesie wrzask, nim jeszcze otworzy oczy?

Wiem, co robię, Althalusie, zaufaj mi. Poszukaj ubrania.

Althalus szybko przeszukał pokój; znalazł wysokie buty, porządny płaszcz i inne rzeczy potrzebne do podróży. Kiedy się odwrócił, Andina siedziała na krawędzi łóżka z szeroko otwartymi oczami, ale najwyraźniej nic nie widziała.

Zwiń to w węzełek — poleciła Emmy. — Każę jej się ubrać dopiero za murami miasta, na razie wystarczy płaszcz.

Andina wstała. Nadal miała puste oczy, ale w ramionach trzymała Emmy. Althalus narzucił jej płaszcz na ramiona.

Jak długo możesz utrzymywać ją w tym stanie?

Jak długo trzeba.

Sześć czy osiem tygodni to nawet niezły pomysł. Jeśli po przebudzeniu jako pierwszego zobaczy Eliara, gotowa narobić hałasu.

W oczach Emmy ukazał się głęboki namysł.

Racja. Muszę się zastanowić. Idziemy?

Wyprowadzili śpiącą arzę na korytarz. Althalus przystanął na chwilę, żeby przyjrzeć się Arganowi. Sługa Ghenda miał jasne włosy i regularne rysy.

Co robisz? — spytała Emmy.

Chcę się upewnić, że rozpoznam go później — odparł złowieszczo.

Za rogiem korytarza sięgnął ręką do tyłu i obudził obu strażników. Potem wraz z Emmy wyprowadzili chyłkiem arzę Osthosu z pałacu na ciemne ulice.

Kiedy doszli do bram, uśpił strażę słowem leb, po czym już bez przeszkód opuścili miasto.

Chyba miałeś rację, Althalusie — powiedziała Emmy, patrząc na sztywne ruchy ubierającej się Andiny. — *Utrzymam jej umysł w stanie śpiączki, póki nie przekroczymy granicy Perquaine. Do południa jej żołnierze zdążą zajrzeć pod każdy krzaczek w Treborei.*

Niebawem odnaleźli towarzyszy. Eliar przyglądał się pilnie dziewczynie, która tak desperacko pragnęła go zabić.

— Nic jej nie jest? — dopytywał się z pewną troską. — To znaczy... nie musieliście jej zranić, prawda?

— Emmy ją tylko uśpiła — odparł Althalus. — I lepiej niech Andina śpi, póki nie wywieziemy jej z Treborei.

— Nie usiedzi na koniu w tym stanie — zauważył Bheid.

— Posadzę ją przed sobą w siodle — zaproponował Eliar. — Potrafię dopilnować, żeby nie spadła.

— W porządku — zgodził się Althalus. — Ty za nią odpowiadasz. Opiekuj się nią dobrze. A teraz w drogę, bo chciałbym do rana odjechać spory kawał od Osthosu.

Dwa dni później przeprawili się przez rzekę Maghu tuż przy północnej granicy perquaińskiego miasta Gagan i przez dotknięte suszą okolice ruszyli na zachód. Arya Andina nadal pozostawała w stanie półprzytomności, a Eliar zajmował się nią przez cały czas bardzo troskliwie. Trzymał ją przed sobą w siodle, na postojach zdejmował i znów podsadzał, okazując zaskakującą delikatność. Nawet ją karmił, przy czym jego apetyt jakby nieco osłabł.

— Czy mi się zdaje, czy też on rzeczywiście zachowuje się trochę dziwnie? — zagadnął Althalusa Bheid po przeprawie przez rzekę.

— Eliar bardzo poważnie traktuje swoje obowiązki. Zawsze zgłasza się na ochotnika, bo lubi czuć się potrzebny. Pewnie z tego wyrośnie.

Bheid zachichotał.

— Z tego, co mi mówiłeś, wynika, że raczej nie powinien być blisko Andiny, kiedy ona się ocknie. Jeśli rzeczywiście tak go nienawidzi, z miejsca rzuci mu się do gardła, a potem wyrwie serce.

— Niedługo się przekonamy. Emmy chce obudzić naszą panienkę już dziś wieczorem, a my dwaj powinniśmy mieć się na baczności, kiedy Eliar pokaże jej Nóż. Gotowa uznać to za zachętę.

Pod wieczór schronili się w ruinach opuszczonego domu. Zanim Emmy zdążyła poprosić o rybę na kolację, Althalus przywołał pieczeń. Eliar jak zwykle po-

kroił Andinie mięso i zaczął ją karmić. Siedziała potulnie z rękami na kolanach, otwierając usta na każdy kęsik niczym pisklak w gniazdku.

Po posiłku Emmy ponownie zawładnęła głosem Althalusa, aby wydać odpowiednie instrukcje.

— Eliarze, staniesz naprzeciwko niej z Nożem tak obróconym, żeby widziała ostrze. Po obudzeniu powinna najpierw zobaczyć Nóż, a dopiero potem ciebie. Kiedy odczyta napis, będzie już bardziej skłonna do posłuszeństwa. Może się jeszcze wściekać, ale nie będzie próbowała cię zabić.

Eliar posadził dziewczynę na kamiennym bloku przy ogniu, wyjął Nóż. Kotka wskoczyła Andinie na kolana, zwinęła się w kłębek i zaczęła mruczeć.

Czarne oczy aryi nagle się ożywiły.

— Czy wasza wysokość może mi powiedzieć, co znaczy ten dziwny napis? — spytał Althalus, wskazując ostrze.

— „Posłuszeństwo” — przeczytała niemal odruchowo.

Nóż rozśpiewał się radośnie, a Emmy głośniejszymi zamruczała.

Na twarzy Andiny ukazał się wyraz oszołomienia. Nagle uświadomiła sobie, że na jej kolanach siedzi Emmy, i porwała ją w ramiona.

— Ty niegrzeczna kiciu! Nie waż mi się znowu uciekać. Gdzieś ty się podziewała?

Nóż kontynuował swą pieśń, Andina zaś patrzyła ze zdumieniem na otaczającą ją ruiny.

— Gdzie jestem?

— Proszę usiąść, wasza wysokość może się jeszcze czuć zamroczona — sugerował Althalus.

Arya jednak w ogóle go nie słuchała, tylko rozszerzonymi oczami wpatrywała się w Eliara.

— Ty?! — wykrzyknęła i zrzucając Emmy na ziemię, skoczyła z rozcapierzonymi palcami do twarzy Arumczyka. — Morderco!

Zachwiała się na nogach i byłaby upadła, gdyby Eliar jej nie podtrzymał.

— Ostrożnie! Wasza wysokość gotowa się zranić.

— Pozwól mi się nią zająć, Eliarze — zaproponował Bheid. — Niech trochę ochłonie.

— Nie, nie, ja sam. Wiesz, że tak naprawdę nic mi nie robi.

— Może i nie, ale sam twój widok ją drażni. Na pewno szybko dojdzie do siebie, tylko teraz się odsuń.

— On ma rację, Eliarze — poparł go Althalus. — Panienska jest trochę nerwowa.

— Trochę?! — Eliar westchnął żałośnie. — Chociaż może macie rację. Przez parę dni będę się trzymał z daleka.

Althalus z Bheidem ponownie usadowili Andinę przy ogniu. Emmy zaraz wskoczyła jej na kolana.

— Gdzie my jesteśmy? — spytała arya swym wibrującym głosem.

— W Perquaine, wasza wysokość — pośpieszył z odpowiedzią Althalus.

— W Perquaine? To wykluczone!

— Nie używałbym pochopnie takich słów na miejscu waszej wysokości. Althalus potrafi niemal wszystko, a Emmy jeszcze więcej.

— My się chyba nie znamy?

— Nazywam się Bheid. Jestem kapłanem. . . no, byłem, dopóki Althalus mnie nie powołał.

— Co tu się dzieje, panie Althalusie? Zdawało mi się, że zakupionych ode mnie niewolników miałeś zabrać do kopalni soli w Ansu.

— Troszeczkę nakłamałem waszej wysokości — przyznał potulnie Althalus.

— Tak naprawdę zależało mi tylko na Eliarze. Resztę uwolniłem i odesłałem do domu.

— Ty złodzieju! — Głos ary podniósł się, nabierając dramatycznego brzmienia.

— Bardzo akuratne określenie. Spróbujmy oczyścić nieco atmosferę. Właśnie wstąpiłaś na służbę Deiwosa, boga nieba.

— Bzdura!

— Andino! — rzekł z mocą Althalus. — Co wyczytałaś na Nożu?

— „Posłuszeństwo”.

— No właśnie, więc nie przeszkadzaj, kiedy ci tłumaczę. Ja jestem nauczycielem, a ty uczennicą. Masz tam siedzieć i wyglądać na głupią.

— Jak śmiesz!

— Zamilcz, Andino.

Oczy ary rozszerzyły się z gniewu. Ze wszystkich sił walczyła, by przezwyciężyć rozkaz, ale ani jeden dźwięk nie wydobył się z jej ust.

— Mam wrażenie, że to się czasem przyda — mruknął Bheid.

— Wystarczy, Bheidzie.

— Przepraszam.

Althalus cierpliwie wyjaśniał sytuację swej krewkiej podopiecznej.

— Po pewnym czasie łatwiej ci będzie pogodzić się z tym wszystkim — rzekł na zakończenie. — Ja także myślałem, że zwariowałem, kiedy Emmy dostała mnie w swe łapy, ale mi to przeszło. . . niebawem. Już ona ma swoje sposoby, jak pewnie zdążyłaś się przekonać.

— Co masz na myśli? — spytała Andina.

— Obudź się, dziewczyno. Czy naprawdę sprzedałabyś mi Eliara, gdyby coś bardzo potężnego nie wzięło twego serca w miękkie łapki? Tego dnia, kiedy zjawiłem się w pałacu, miałaś w głowie tylko jedno: morderstwo. Nagle Emmy wskoczyła ci na kolana i zaczęła mruzczyć. Po półgodzinie byłaś gotowa oddać mi za nią cały Osthos, a teraz?

— No cóż. . . — Andina spojrzała bezradnie na kotkę. — Jest taka kochana. . .
— I przycisnęła twarz do kłębka futra, który zawładnął jej sercem.

— Sama widzisz — rzekł sucho Althalus. — Nie próbuj z nią walczyć, bo zawsze wygrywa. Po prostu kochaj ją całym sercem i rób, co ci każe. Wiedz także, że potrafi oszukiwać, by postawić na swoim.

Chyba już dość się nagadałeś — rozległ się cierpki głos.

Tak, najdroższa. Czy przypadkiem odczytałeś coś z Noża, zanim Eliar pokazał go Andinie?

Oczywiście.

I dokąd mamy iść?

Do Hule.

Hule jest bardzo duże. A nie wiesz czasem, kogo tam mamy odnaleźć?

Nie musimy znać jego imienia, skarbie. To on cię odszuka.

— Znowu gadacie na boku? — spytał Eliar z lekką pretensją w głosie.

— Dawala mi wskazówki. Mamy jechać do Hule.

Eliarowi zaświeciły się oczy.

— Więc będziemy przejeżdżać przez Arum! Czy mógłbym wpaść do domu i przywitać się z matką? Bardzo się o mnie martwi.

— Chyba da się to zrobić — zgodził się Althalus. — Ale nie powinieneś jej wtajemniczać w nasze sprawy.

Eliar uśmiechnął się szeroko.

— W tym akurat jestem dobry. Już jako dziecko miałem swoje sekrety. To nie znaczy, że kłamałem, po prostu pewne sprawy wypadały mi z głowy. Sam wiesz, jak to jest.

— O tak! — roześmiał się Althalus. — Odkąd pamiętam, ciągle coś wymyka mi się z głowy.

— Jeść mi się chce — zmienił temat Eliar. — Tyle miałem roboty przy jej wysokości, że przepuściłem kilka posiłków. Po prostu konam z głodu.

— Lepiej go nakarm, Althalusie — wstawił się za nim Bheid. — Inaczej nam zmarnieje.

— Mógłbyś zapytać jej wysokość, czy także ma na coś ochotę — dodał Eliar.
— Tylko troszkę zjadła na obiad, nie mogłem jej namówić.

Andina patrzyła na nich szeroko otwartymi oczami.

— Nic nie zauważyłaś, prawda, Andino? — spytał chytrze Bheid. — Kiedy Emmy cię uśpiła, Eliar troszczył się o ciebie jak ptasia matka o jedyne pisklę. Więcej czasu spędzał na karmieniu ciebie niż siebie, a jedzenie dla takiego młodzieńca jest bardzo ważne. Jeśli przyjrzyś mu się z uwagą, to zobaczysz, jak rośnie.

— O czym ty mówisz? Przecież on jest dorosły!

— Ale skąd, to jeszcze chłopak. Nie jest starszy od ciebie.

— Jest większy niż jakikolwiek mężczyzna z Osthosu.

— Bo Arumczycy są roślejsi od Treboreanów — zauważył Althalus. — Im dalej na północ, tym ludzie są wyżsi, może dlatego, żeby mogli zobaczyć, co jest za zwałami śniegu.

— Jeśli nie jest dorosły, to co robi na wojnie?

— Pochodzi z kraju wojowników. Tam zaczynają wcześniej niż w cywilizowanych stronach. To jego pierwsza wojna i miała być niegroźna, ale półgłówkowi, który zasiadał na tronie Kanthonu, coś odbiło i wysłał najemników z klanu Eliara do ataku na terytorium twego ojca. To była skrajna głupota i wcale nie powinna się zdarzyć. Przez nią zginął twój ojciec, a Eliar w niczym nie zawinił. On tylko spełniał rozkazy. Wszystko to wynikało z całej serii głupich błędów, no ale tak już bywa z wojnami. W zasadzie nikt ich nie wygrywa, jeśli się nad tym zastanowić. Może być co zjadła? Nie musisz, ale Eliar się zamartwia, że od wyjazdu z Osthosu zupełnie nie masz apetytu.

— A co to go obchodzi?

— Czuje się za ciebie odpowiedzialny, a zwykł bardzo poważnie traktować swe obowiązki.

— Oddaliście mnie pod opiekę tego potwora? — spytała, podnosząc głos. — Mam szczęście, że mnie nie zabił!

— Nigdy by tego nie zrobił... wręcz przeciwnie. Gdyby ktokolwiek ci zagroził, Eliar by go zabił nawet z narażeniem własnego życia.

— Kłamiesz!

— To go zapytaj.

— Nie odezwę się do niego, choćby moje życie od tego zależało.

— Pewnego dnia może to nastąpić, Andino, więc się tak nie zarzekaj.

Daj spokój, Althalusie. Jeszcze nie jest przygotowana. Na razie ich rozdziel, a ona niech się raczej zwróci do Bheida. Zostanę przy niej i spróbuję pomóc.

Mam jej kupić konia?

Najpierw niech trochę przywyknie.

Myślisz, że spróbuje uciec?

Nóż do tego nie dopuści, skarbie, ale ponieważ Andina nie chce stawić czoła prawdzie o Eliarze, mogłaby podjąć próbę, a to sprawiłoby jej wiele bólu. Powiedz Bheidowi, o co chodzi, i niech jej pomaga. Ty pilnuj Eliara i nie dopuszczaj go do Andiny. Lepiej obchodzić się z nimi jak z jajkiem, póki nie pogodzą się z losem.

Jechali na północ przez nawiedzone suszą pola Perquaine. Althalus z Bheidem pilnowali, żeby między Eliarem a Andina utrzymywał się stosowny dystans. Althalus szybko się zorientował, że rudy kapłan jest bardzo inteligentny. Gdy tylko przestał traktować na serio astrologię, zaczął wykorzystywać swój rozum z większym pożytkiem.

— Czy mi się zdaje, Althalusie — zapytał pewnego wieczoru, kiedy byli sami

— czy też między dzieciakami coś się kłuje? Nigdy nie patrzą sobie w oczy, ale z jakiegoś powodu ciągle na siebie zezują.

— Po prostu są w tym wieku. . .

— Nie rozumiem.

— No. . . oboje dorastają, i to ze wszystkimi konsekwencjami wieku dojrzewania. To dla nich bardzo trudny okres. . . i obawiam się, że dla nas jeszcze trudniejszy.

— Tak — zgodził się Bheid. — Też to zauważyłem.

— Oboje odczuwają. . . no, pewne bodźce. Najprościej byłoby ich pożenić. Moglibyśmy dać im tydzień na zbadanie, czym się różnią chłopcy od dziewczynek, a potem wrócilibyśmy do naszych spraw.

Bheid parsknął śmiechem.

— Mielibyśmy pewne kłopoty z namówieniem Andiny do twojego pomysłu. Ta mała jest jak kipiący imbryk. Jeśli nie zdejmie mu się w porę pokrywki, to go rozsadzi.

— Ładnie to ująłeś — zauważył Althalus. — Eliar jest prostym wiejskim chłopakiem, a Andina wręcz przeciwnie. Przypuszczam, że Emmy ma wobec nich jakieś plany.

— Wspominała ci coś?

— Nie musiała. Emmy i ja jesteśmy tak długo razem, że potrafię odczytać jej intencje nawet z minimalnych oznak. Kojarzenie par ma we krwi i radzę ci to zapamiętać, mój Bheidzie. Prawdopodobnie już węszy dookoła w poszukiwaniu żony dla ciebie.

— Jestem kapłanem, Althalusie. Mężczyźni z mojego zakonu się nie żenią, to jeden z naszych ślubów.

— Może więc pomyślisz o innym zakonie. Jeśli Emmy zechce cię ożenić, to cię ożeni, czy ci się to spodoba, czy nie.

Zbliżali się już do Maghu, kiedy nagle Emmy przemówiła do Althalusa tak ostro, że jej głos odbił mu się w głowie echem:

Spójrz no tam!

O co chodzi?

Widzisz tego człowieka z lewej strony drogi? To Koman. Uważaj, będzie się starał przeniknąć do twego umysłu.

Jeszcze jeden sługa Ghenda?

Tak. . . i przypuszczalnie najgroźniejszy ze wszystkich. Odgradź go od Eliara, chłopak nie jest dostatecznie wyposażony, by dać sobie z nim radę.

A ja jestem? Co mam robić?

Ustaw się między nim a resztą. Patrz mu prosto w twarz i licz drzewa.

Znów to liczenie drzew?

Ale w inny sposób. Opuszczaj liczby.

Nie bardzo rozumiem.

Po „sześć” mów „osiem”, a potem na przykład „trzy”. Mieszaj liczby jak jajka na patelni.

I co to da?

Oderwie mu myśli od rzeczywistych zamiarów. Postara się wśliznąć do twego umysłu, ale jeśli zaczniesz rzucać liczbami na chybił trafił, to go zdekoncentrujesz. Nie będzie potrafił się skupić ani na tobie, ani na innych. Szuka informacji, ale mu jej nie udzielimy. Zablokuj go, Althalusie.

Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Em. Tylko bardzo cię proszę, nie mów mi znów, że mam ci zaufać.

Człowiek na poboczu drogi miał nieprzyjemną twarz z krótką siwą brodą. Oczy płonęły mu niemal tak jak Ghendowi w obozie Nabjora. Althalus ściągnął wodze i spojrzał mu prosto w oczy, a potem milcząco zaczął liczyć:

Raz, dwa, trzy, cztery, dziewięćset czterdzieści dwa, osiem, dziewięć, dwanaście...

Tamten zamrugał oczami i potrząsnął głową, jakby próbował coś zrozumieć.

Dziewiętnaście, osiemdziesiąt cztery, dwa, cztery, sześć, pięćdziesiąt dwa...
— ciągnął Althalus.

Koman spojrzał na niego z jawną nienawiścią.

— Bawimy się dalej? — rzekł oschle Althalus i wrócił do liczenia: — *Jedenście milionów i ćwierć, trzynastcie, dziewięćdziesiąt siedem i sześć ósmych, czterdzieści trzy...*

Koman oddalił się sztywnym krokiem, mamrocząc coś pod nosem.

— Miło się rozmawiało! — krzyknął za nim Althalus. — Musimy to jeszcze powtórzyć... niebawem.

Z tymi ułamkami to wprost genialne posunięcie, skarbie — zamruczała Emmy.

Przypuszczałem, że ci się spodoba.

Jakieś na to wpadł?

Wzruszył ramionami.

Po prostu doszedłem do wniosku, że jeśli całe liczby go męczą, to ich części doprowadzą go do szalu.

Zatrzymali się koło gospodarstwa na obrzeżach Maghu, gdzie Althalus kupił dla Andiny dość spokojną klacz. Arya nie okazała zachwyty na widok wierzchowca, ale wbrew zapewnieniom Emmy, iż dziewczyna pogodziła się z sytuacją, Althalus uznał za roztropne nie dawać jej zbyt rączego konia.

Niebawem opuścili Perquaine i znaleźli się u stóp gór Arum. Bheid i Andina jechali cały czas obok siebie i rudy kapłan tłumaczył dziewczynie po całych dniach, dlaczego śnieg na arumskich szczytach nie topi się w letnim słońcu. Jej dotychczasowi nauczyciele najwyraźniej mocno wierzyli w logikę, bo arya wciąż się upierała, że skoro góry są bliżej słońca niż ziemia, powinno tam być cieplej.

Po trzech dniach Bheid dał za wygraną.

Pewnego słonecznego popołudnia dotarli do doliny, w której stał fort wodza Albrona. Althalus zamienił parę słów z Eliarem.

— Lepiej nie siedź za długo u matki. Wiesz, gdzie rzeka tworzy wodospad? To parę mil stąd.

— Często pływaliśmy z chłopakami pod tym wodospadem.

— Rozbijemy tam obóz. Postaraj się wrócić przed zapadnięciem ciemności.

— Dobrze — zgodził się Eliar i odjechał w dolinę.

— No i tyle będziemy go widzieli — powiedziała ironicznie Andina.

— Dlaczego tak sądzisz? — zdziwił się Althalus.

— Bo ucieknie i gdzieś się ukryje.

— Wątpię.

— Był z nami, bo miałeś sposób, by go utrzymać. To morderca, a mordercom nie powinno się ufać. I w dodatku pozwoliłeś mu zabrać ten drogocenny sztylet, na którym tak ci zależy. Teraz możesz się z nim pożegnać, panie Althalusie.

— Mylisz się, Andino, i to pod każdym względem. Eliar jest żołnierzem i zawsze słucha rozkazów. Na pewno wróci przed nocą, a poza tym tylko on jest wyznaczony do noszenia Noża. Po prostu chce odwiedzić matkę i tyle.

— Nie mogę już słuchać o tej jego matce — burknęła Andina.

— Są sobie bardzo bliscy — rzekł Bheid. — Często rozmawiałem z Eliarem, to wiem. Jego ojciec poległ na wojnie kilka lat temu, więc Eliar jest dla matki jedyną podporą. Trochę zbyt młodo wyruszył na wojnę, nawet jak na tutejsze zwyczaje, ale matka potrzebowała jego żołdu, aby przeżyć. I tak się dziwnie złożyło, że Eliar poszedł na wojnę z miłości do ojca... no i do matki. Twój ojciec miał pecha, że stanął mu na drodze akurat wtedy, gdy Eliar chciał się popisać synowską miłością. Ty chyba także czułaś coś w tym rodzaju, kiedy planowałaś go zabić?

— No wiesz? — oburzyła się Andina. — To nie to samo. Mój ojciec był aryem Osthosu, a Eliara pospolitym żołnierzem.

— I dlatego uważasz, że Eliar kochał go mniej? Wszyscy kochamy i czcimy naszych rodziców, a po ich śmierci bolejemy nie mniej niż wysoko urodzeni. Przemyśl to sobie, zanim rozpocznesz następną tyradę.

Zgodnie z zapowiedzią rozbili obóz w jodłowym zagajniku przy wodospadzie. Andina całe popołudnie przesiedziała na zwałonym pniu, zapatrzona w białą kiesel.

— Zdaje się, Bheidzie, że poruszyłeś czułą strunę — zauważył Althalus. — Nasza mała arya chyba rozważa na nowo swoje poprzednie poglądy.

— Różnice klasowe poważnie utrudniają zrozumienie, a wszystko, co przeszkadza w zrozumieniu, powinno się odrzucić.

— Na twoim miejscu zatrzymałbym tę opinię dla siebie. Nie przyczyni ci ona popularności w pewnych kręgach.

Tak jak przewidywał Althalus, Eliar powrócił tuż przed zachodem słońca. Był w znakomitym nastroju. Aryi Andinie wyraźnie cisnęły się na usta kąśliwe uwagi, ale widocznie coś z przemowy Bheida trafiło jej do serca, bo oznajmiła tylko, że strasznie boli ją głowa, więc idzie się położyć.

Lato w szybkim tempie zmierzało do wietrznego i pełnego tumanów pyłu końca. Zjechawszy z północnych stoków Arum, wędrowcy zagłębili się w przepastne lasy Hule. Na przekór wszystkiemu, co go spotkało, Althalus cieszył się, że wraca w rodzinne strony. Oświadczył kiedyś Emmy, że Dom na Końcu Świata najbardziej ze wszystkich miejsc przypominał mu własne miejsce na ziemi, ale teraz rozumiał, że deklaracja ta niezupełnie odpowiadała prawdzie. Bez względu na to, jak daleko podróżował, zawsze chętnie wracał do Hule, a teraz uznał, że tu właśnie jest jego prawdziwy dom.

Przemierzyli już spory kawał drogi wśród olbrzymich drzew. Ku swemu zaskoczeniu i radości Althalus zauważył, że wciąż pamięta stare leśne ścieżki. Z jakiegoś powodu nie zdziwił się także, iż dobrze mu znane miejsce nadal istnieje, a współcześni mieszkańcy nadal kalają je swymi obskurnymi chatami, błotnistymi uliczkami i pniakami zrąbanych drzew.

— Zrobimy tu postój — zapowiedział towarzyszący.

— Do zmroku jeszcze daleko — zauważył Bheid.

— Więc będziemy mieli dość czasu, żeby wszystko urządzić. To jest to miejsce.

— Nie rozumiem.

— Nóż kazał nam iść do Hule i to właśnie jest Hule.

— A dziesięć mil wstecz to nie Hule? Albo dziesięć mil naprzód?

— Nie, nie. Sprawdź jeszcze, co Emmy ma do powiedzenia, ale jestem pewien, że to tutaj. Tu wszystko się zaczęło, przyjacielu. Tu Ghend mnie skaptował i wysłał do Domu na Końcu Świata, abym ukraść mu Księżę Deiwosa. Tu kiedyś był obóz Nabjora. W Domu na Końcu Świata odbyliśmy z Emmy wiele długich rozmów na temat przypadku. Wprawdzie nie doszliśmy do pełnego porozumienia, ale jestem głęboko przekonany, że pewne wydarzenia, które wydają się czysto przypadkowe, zostały wcześniej starannie zaplanowane. Kiedy Emmy wyczytała na Nożu, że mamy jechać do Hule, właśnie to miejsce przyszło mi na myśl od razu. I chyba tak miało być. To jedno z owych naznaczonych miejsc, Bheidzie, więc zostanmy tu na jakiś czas i przekonajmy się, czy w specyficznych miejscach dzieją się równie specyficzne sprawy.

Zdaje się, skarbie, że zaczynasz coś niecoś pojmować — pochwaliła go Emmy.

Po przygotowaniu noclegu Althalus obchodził stare kąty w poszukiwaniu ewentualnych śladów po obozie Nabjora. Niebawem odnalazł wąską szczelinę między dwoma wielkimi głazami, gdzie Nabjor sycił miód. Za głazami znajdował się kamienny kopiec z resztkami brązowego wojennego topora na szczycie. Nawet w obecnym stanie Althalus natychmiast go rozpoznał.

— Przynajmniej ktoś się zatroszczył, byś miał godziwy pochówek — westchnął nad grobem przyjaciela i nagle się uśmiechnął. — Wiesz, Nabjorze? Mógłbym ci opowiedzieć niezłą historię... Zawsze lubiłeś ciekawe opowieści, prawda? Szkoda, że cię tu nie ma... Przydałoby mi się trochę twojego doskonałego miodu... Może, kiedy to wszystko się skończy, usiądziemy sobie na chmurce z kubkami miodu i opowiem ci wszystko o Domu na Końcu Świata. — Westchnął znowu. — Śpij spokojnie, stary druhu.

Było tuż po północy i ogień ledwie się żarzył. Althalus się nie zdziwił wcale, kiedy instynkt go ostrzegł, że do obozu skrada się nieproszony gość. Bezszelestnie wysunął się spod koców i przemknął w ciemność, z dala od ognia.

— Też to słyszałeś? — dobiegł go zza drzewa szept Eliara.

Nawet teraz Althalus nie poczuł zdziwienia.

— To chyba ten, na którego czekamy. Może zechce uciec. Zatrzymaj go, ale nie rób mu krzywdy.

— W porządku.

Zastęgli w oczekiwaniu. Nagle Althalus usłyszał słabe szuranie.

— Kiepsko się stara — szepnął.

— Co on robi?

— Próbuje wśliznąć się do obozu... pewnie chce ukraść, co mu wpadnie pod rękę. Zupełnie nie ma wprawy, bo inaczej zachowywałby się znacznie ciszej. Chyba będzie się starał przedostać do koni.

— Chce nam ukraść konie?

— Tak przypuszczam. Okrąż obóz i zajdź gościa od tyłu. Ja zaczaję się przy koniach. Jeśli mi zwieje, ty go złapiesz.

— Dobra — rzekł Eliar i zniknął wśród drzew.

Nietrudno było spłoszyć złodzieja. Kiedy dotarł do spętanych koni, Althalus już na niego czekał, a parę kroków dalej stał Eliar. Złapali go z dwóch stron niemal jednocześnie.

— To tylko chłopaczek! — wykrzyknął ze zdumieniem Eliar, trzymając bez większego wysiłku wrywającego się jeńca.

— Tak, zauważyłem.

Althalus złapał chłopca za kark i zaciągnął do ognia.

— Nic nie zrobiłem! — broniło się dziecko piskliwie, próbując się uwolnić.

— Nic nie zrobiłeś, bo jesteś zbyt niezdarny do tej roboty. Jak się nazywasz?

— Althalus! — odparł nieco za szybko chłopiec.

Eliar wybuchnął gromkim śmiechem.

— Wybierz coś innego, mały! Prawdziwy Althalus właśnie cię trzyma za kark.

— Co? Myślałem, że to tylko stara legenda. . .

— Jak masz naprawdę na imię? — spytał Althalus. — I bez żadnych kłamstw!

— Nazywam się Gher, panie Althalusie — wyznał chłopiec, zaprzestając walki.

— Eliarze, pokaż mu Nóż. Myślę, że czekaliśmy właśnie na Ghera.

Arumczyk wyciągnął Nóż.

— Co jest napisane na ostrzu?

— Nie umiem czytać, łaskawy panie.

— Spróbuj.

Gher zerknął z ukosa na Nóż.

— Coś jakby... „oszukiwanie” — rzekł z powątpiewaniem. — Czy byłem blisko?

Ale Nóż wybuchnął już radosną pieśnią.

— Jak dla mnie, wystarczająco blisko. — Eliar wyciągnął rękę do nowego członka drużyny. — Witaj, Gherze!

ROZDZIAŁ 14

— Nie było mi łatwo. W zeszłym roku mój ojciec zapił się na śmierć. Biegałem na posyłki dla Dweniego, on ma oberżę niedaleko stąd. Pozwalał mi zjadać resztki ze stołu i sypiać w szopie na zapleczu. Wielu złodziei pije u Dweniego, często słuchałem ich rozmów, ale miałem dość rozumu, by nie zadawać pytań. Czy zrobiłem coś złego, panie Althalusie, że zakradłem się do waszego obozu?

— A nigdy nie przeszło ci przez myśl, że trzeba poruszać się cicho?

Gher zwiesił smętnie głowę.

— Myślałem, że wszyscy już śpią.

— Mimo to nie powinieneś tak hałasować. Przecież tłukłeś się po lesie jak pijany niedźwiedź.

— A może znalazłby pan czas, by udzielić mi paru wskazówek? — spytał chłopiec z nadzieją w głosie.

— Zobaczymy.

Gher miał splątane ciemnoblond włosy, ubrany był w jakieś szmaty, które wyraźnie próbował łątać, ale bez większego sukcesu. Zarówno jego odzież, jak twarz i ręce lepiły się od brudu.

— Więc nie masz żadnej rodziny? — zagadnął go Eliar.

— O ile wiem, nie. Oczywiście ojciec pod koniec życia niewiele pamiętał. Nawet jeśli miał braci czy siostry, nic o nich nie opowiadał. Za dużo pił, by gadać z sensem.

— A matka?

— Nie jestem pewien, czy w ogóle ją miałem.

Eliar aż się zakrztusił na te słowa.

— Nie czujesz się lekko zamroczony? — spytał jeszcze.

— Nie. A powinienem?

— Ja tak właśnie się czułem, gdy po raz pierwszy odczytałem napis na Nożu.

— Mnie nic nie jest. Pracujesz dla pana Althalusa?

— Można tak to określić.

W tym momencie przy ognisku pojawił się Bheid.

— Słyszałem, że Nóż śpiewał... — urwał i wytrzeszczył oczy na Ghera. — To ma być nasz nowy nabytek?

— Tak przynajmniej zdecydował Nóż — powiedział Althalus.
 — Przecież to dzieciak!
 — Powiedz to Nożowi, jeśli chcesz. Ja ich nie wybieram, tylko wyławiam.
 Ten ma na imię Gher.
 — Jakie słowo wyczytał?
 — „Oszukiwanie”, prawda? — pośpieszył z odpowiedzią Eliar.
 — Tak przynajmniej usłyszałem.
 Bheid zmarszczył brwi.
 — Poszukiwanie, prowadzenie, oświecanie, posłuszeństwo i oszukiwanie —
 wyrecytował. — Ostatnie słowo niezbyt pasuje do poprzednich.
 — Emmy ci to wyjaśni — rzekł Eliar. — Emmy wszystko potrafi wyjaśnić.
 — Co wy tam wyprawiacie? — rozległ się gniewny głos Andiny. — Jak mam
 spać w takim hałasie?
 — Właśnie poznajemy najnowszego rekruta — poinformował ją Althalus.
 — To ten? Na nic lepszego nie było was stać?
 — Wszystko zostanie objawione w swoim czasie — powiedział z udawaną
 pobożnością Bheid.
 — Głos swoje kazania gdzie indziej — zawrzała gniewem Andina. Zmierzyła
 Ghera wzrokiem z góry na dół. — Gdzie on się chował? Pod ziemią? A może
 wypełznął z najbliższej kloaki?
 — Panie Althalusie, czy muszę tego wysłuchiwać? — zdenerwował się chło-
 piec.
Niech zareaguje, jak zechce — szepnęła Emmy.
Czy przez to reszta nocy nie upłynie nam wśród jazgotu?
Po prostu zrób, co ci każe, skarbie.
Jak pani sobie życzy. — Althalus zerknął na chłopca. — Gherze, możesz jej
 odpowiedzieć, ale się miarkuj. Nasza ukochana Andina ma głos dość wyrazisty...
 i przenikliwy.
 — Co to ma znaczyć? — spytała arya, podnosząc głos o kilka oktaw.
 — Kochamy twój głos, wasza wysokość — tłumaczył jej z kamienną twarzą
 — ale musisz popracować trochę nad crescendo. Może warto pomyśleć o ćwicze-
 niach oddechowych? Dodaj swemu głosowi nieco więcej głębi, żebyś nie musiała
 przechodzić zbyt szybko od szeptu do pisku. Wywrzesz znacznie większe wraże-
 nie, gdy nauczysz się nad tym panować. Masz coś do dodania, mój chłopcze?
 — Tylko tyle, że mam gdzieś jej nadęte przemowy. — Gher spojrział Andinie
 prosto w oczy. — W porządku, paniusiu, może jestem dzikus z lasu. I co z tego?
 Jeśli ci się nie podobam, to na mnie nie patrz. Jestem sierotą i chodzę w łachma-
 nach, bo nie mam niczego innego do włożenia, ale to nie twój zakichany interes.
 Za dużo czasu mi zajmuje utrzymywanie się przy życiu, żebym miał się martwić
 o wygląd, a jeśli cię razi moja gęba, tym gorzej dla ciebie.

Odsuń się, Althalusie — rozległ się nieznoszący sprzeciwu głos. — *Muszę natychmiast załatwić pewną sprawę.*

Poczuł, jak Emmy bezceremonialnie spycha mu świadomość.

Andina patrzyła na Ghera rozszerzonymi oczami.

— Do mnie się nie mówi takim tonem!

— Może nie wprost do ciebie, ale gdybyś od czasu do czasu zamknęła gębę i dla odmiany posłuchała innych, dowiedziałabyś się, co naprawdę o tobie myślą. Ale ty tego nie chcesz, co? Ja tam nie wychowałem się w pałacu jak ty, paniusiu, tylko na śmietniku, więc nie mam wykwintnych manier.

— Nie muszę tego słuchać!

— Ale powinnaś. Oddychamy tym samym powietrzem i ono jest tak samo moje, jak twoje, więc spadaj, damulko, bo rzygać mi się chce na twój widok jeszcze bardziej niż tobie na mój.

Andina uciekła.

To twoja sprawka? — spytał Althalus.

Oczywiście. Mówiłam ci, że muszę przejść przez ciebie, żeby robić takie rzeczy. Gher świetnie sobie radzi... — umilkła na chwilę. — Może powinniście go trochę odczyścić.

Przez kilka dni zostali w starym obozie Nabjora, żeby wprowadzić Ghera w nową sytuację. Chłopak uczył się szybko, co do tego nie było wątpliwości. W innym miejscu i czasie Althalus wziąłby go pod swe skrzydła jako ucznia, gdyż widział w nim ogromne możliwości. Nieco więcej czasu zabrało tłumaczenie mu, że częste kąpiele mają wpływ na obniżenie poziomu hałasu. Althalus wyczarował trochę porządnej garderoby, dzięki czemu Gher przestał wyglądać, jakby wypadł z fury śmieci.

Andina unikała go z niemal nabożnym lękiem. Czwartego dnia pojawiła się nagle przy ogniu z determinacją w oczach, trzymając grzebień i nożyczki.

— Ty! — zwróciła się do Ghera, wskazując mu pniak. — Siadaj tam!

— Co chcesz mi zrobić?

— Porządek na głowie. Masz tam istną kopę siana.

— Mogę przygładzić sobie włosy, skoro ci to przeszkadza.

— Cicho! Siadaj, powiadam.

Gher rzucił Althalusowi spłoszone spojrzenie.

— Muszę jej słuchać?

— Na twoim miejscu usłuchałbym. Czego się nie robi dla spokoju w rodzinie...

— Jak ty w ogóle coś widzisz? — gderała Andina, odgarniając mu włosy z czoła. Potem zabrała się do czesania i przystrzygania, marszcząc brwi dla więk-

szej koncentracji. Nie wiadomo czemu potraktowała swą misję nadzwyczaj poważnie.

Gher wyraźnie nie przywykł do strzyżenia, więc kręcił się trochę, zwłaszcza że Andina poczyniała sobie dość brutalnie.

— Siedź spokojnie! — komenderowała, cofając się o krok co pewien czas, żeby sprawdzić efekt. — No, ujdzie — orzekła wreszcie, obcinając ostatni pojedynczy kosmyk. Potem spojrzała na Althalusa. — I jak?

— Bardzo ładnie.

— Nawet nie spojrzales!

— Dobrze, dobrze, zobaczę. Nie podniecaj się tak.

Rozkudłane kłaki Ghera były teraz porządnie przystrzyżone i uczesane. Te, które zasłaniały czoło i oczy, Andina przycięła w równą grzywkę, a reszta sięgała linii kołnierzyka; taką fryzurę Althalus widywał wcześniej w Osthosie.

— Naprawdę całkiem nieźle, wasza wysokość. Gdzie się nauczyłaś fryzjerstwa?

— Zawsze strzygłam ojca. Jak widzę takie kudły, to aż mnie świerzbią palce.

— Przynajmniej nasz Gher nie wygląda już jak owczarek — zauważył Bheid.

Andina ujęła chłopaka pod brodę i spojrzała mu prosto w oczy.

— Teraz możesz pokazać się ludziom. Jesteś czysty, porządnie ubrany i ostrzyżony. Tylko nie baw się więcej w błocie.

— Nie będę, pani — obiecał Gher. Popatrzył na nią nieśmiało. — Jesteś bardzo ładna i tak naprawdę nie myślałem tego wszystkiego, co wtedy powiedziałem.

— Od razu wiedziałam — odparła z uśmiechem. Potem pogładziła go po włosach i ucałowała w policzek. — No, idź się bawić, Gherze, tylko się nie rozczochraj i nie pobrudź ubrania.

— Dobrze, proszę pani.

Andina rozejrzała się dokoła, machinalnie szczękając nożyczkami.

— Kto następny?

Po południu Emmy przyjrzała się Nożowi.

Kweron — oznajmiła Althalusowi. — *Mamy jeszcze jedną osobę do odnalezienia i powinniśmy się spieszyć.*

Następnego dnia zwinęli obóz i przez odwieczne lasy Hule podążyli na północny zachód. Andina uparła się, by Gher jechał razem z nią na klaczy.

— Nigdy bym nie przypuszczał, że do tego dojdzie — zdziwił się Eliar. — Czy wydarzyło się coś, o czym nie wiem?

— Gher powiedział wtedy coś, co ją dotknęło do żywego — wyjaśnił Bheid. — Jestem pewien, że to pierwszy chłopak z ludu, z jakim się zetknęła. Zapewne nie miała pojęcia o życiu zwykłych ludzi i ich nędzy. Gher ma dość cięty język,

a nasza mała księżniczka nie spodziewała się, że on w ogóle potrafi mówić. Strzyżenie i wspólna jazda to coś w rodzaju przeprosin za niesprawiedliwe uwagi.

— Masz dość radykalne poglądy jak na osobę duchowną — zauważył Althalus.

— Rodzaj ludzki powinien dążyć do sprawiedliwości. Każdy w głębi serca pragnie być dobry i uczciwy, ale życie wciąż stawia przed nim różne przeszkody. Rolą kapłanów jest utrzymywać ludzi na właściwym kursie.

— Czy to nie zbyt wczesna pora na filozoficzne dysputy?

— Na naukę nigdy nie jest za wcześnie... ani za późno, mój synu — odparł sentencjonalnie Bheid.

— To już jest czysta złośliwość.

Bheid rzucił mu figlarne spojrzenie.

— Miło mi, że ci się spodobało.

W Kweronie była już wczesna jesień; na brzozech i osikach liście zaczynały zmieniać kolor. Althalus nie odwiedzał często tutejszych gór — przeważnie dlatego, że w czasach, kiedy wędrował do Domu na Końcu Świata, mieszkało tu bardzo mało ludzi. Wioski były małe, budynki sklecone byle jak, a ich mieszkańcy zdawali się wystraszeni i nadzwyczaj zacofani.

— Nie są zbyt życzliwi, co? — zauważył Eliar, kiedy jechali błotnistą ulicą kolejnej osady. — U nas wszyscy wychodzą, żeby pogapić się na obcych, a tu kryją się po domach.

— Podobno Kwerończycy są strasznie przesądni — powiedział Bheid. — Słyszałem, że wpadają w szał, gdy przypadkiem nasunie się na nich czyjś cień. Pewnie ma to coś wspólnego z bliskością Nekwerosu. Według starej legendy wypełniają stamtąd czasem różne paskudne stwory.

— Czy Emmy mówiła już, dokąd jedziemy? — zainteresował się Eliar.

— Na pewno wkrótce nam powie.

Przez cały następny tydzień jechali ciągle na zachód, by wreszcie dotrzeć nad skalisty brzeg długiej, wąskiej zatoki stanowiącej zachodnią granicę Kweronu. Zatoka, podobnie jak morze przy Krawędzi Świata w Kagwherze, wypełniona była lodem.

Zbliżamy się, Althalusie — zamruczała Emmy. — Cofnijmy się trochę w las. Rozbijcie tam obóz, a potem weźmiemy Bheida i udamy się do jednej z wiosek nad zatoką.

Kogo będziemy tam szukać?

Czarownicy.

Żartujesz!

Tutejsi mieszkańcy tak ją nazywają, ale to nieprawda. Musimy pogadać z kapłanami w tych osadach, a Bheid to potrafi. Tylko nie szafuj słowem „czarownica”. To jedno z tych, za które obcina się ludziom głowy.

Wjechali z powrotem w las, gdzie Althalus rozmówił się krótko z Bheidem. Reszcie kompanii kazał poczekać.

— Idziemy trochę powęszyć. Ci Kwerończycy są dość dziwni, wolę zorientować się w sytuacji, zanim wszyscy wyruszymy do ich wiosek.

I razem z rudym kapłanem podążył w stronę głównej drogi.

Muszę z nim pogadać, skarbie. Może byś się zdrzemnął?

Bardzo śmieszne.

No to odejdź na bok. Możesz słuchać, jeśli chcesz, ale się nie wtrącaj. — Althalus poczuł, że coś go spycha ze ścieżki, i kocica odezwała się jego głosem: — Bheidzie?

Kapłan spojrzał bacznie na Althalusa.

— Czy to ty, Emmy? — spytał.

— Tak. Zrób tę swoją uduchowioną minę i odkurz astrologiczną wiedzę. W każdej wiosce złożysz wizytę lokalnemu kapłanowi, przedstawisz się i powiesz, że przychodzisz sprawdzić coś, co wyczytałeś w gwiazdach.

— Będę potrzebował jakichś konkretów.

— Powiesz, że w najbliższej przyszłości ma tu spaść wielka lawina.

— A to prawda?

— Mogę ci to niemal zagwarantować. Potrafię sprawić, by w razie potrzeby Althalus zwałił całą górę. Musisz jednak działać bardzo ostrożnie. Przemierzyłeś pół świata, by ostrzec tych ludzi. Podnieś wielki krzyk, gorączkuj się, powtarzaj ciągle słowo „katastrofa”. Potem, kiedy już Althalus spuści z góry kilka wielkich głazów, wszyscy powitają w tobie zbawcę i będą ci ufać.

Bheid wyglądał na zaintrygowanego.

— A tak naprawdę co my tu kombinujemy?

— W jednej z tych wiosek zakuto w łańcuchy kobietę, ponieważ uznano ją za czarownicę. Zanoszą ją na wielką ceremonię, podczas której chcą spalić ją na stosie. Ty masz im to wyperswadować i zmusić, by biedaczkę przekazali tobie. Powiesz, że zabierasz ją na przesłuchanie do Awes.

— To może być ciut niebezpieczne.

— Niekoniecznie. Po prostu powiesz, że kapłani z Awes chcą poznać plany Daevy, więc muszą podjąć stosowne kroki. Podramatyzuj trochę na temat losów świata, wiecznych ciemności, hord demonów z samego piekła i różnych takich głupot. Każę Althalusowi wspomóc twą mowę stosownymi akcentami w rodzaju grzmotów, wstrząsów podziemnych, może nawet odgłosu boskich trąb.

— Emmy! — wykrzyknął Bheid z naganą w głosie.

— Masz jeszcze jakieś pytania?

— To przecież straszne oszustwo!

— Co z tego?

— Jestem duchownym, nie szarlatanem, nie wolno mi tak postąpić.

— Dlaczego?

— Bo mam mówić prawdę.

— Ale to jest prawda, Bheidzie. Ty masz ją tylko nieco uprościć, żeby zwykli ludzie mogli zrozumieć.

— Czy ta kobieta naprawdę jest czarownicą?

— Jasne że nie. Jest jedną z nas... a przynajmniej będzie, gdy tylko odczyta napis na Nożu. Musimy ją mieć, inaczej nam się nie uda.

— I z tego powodu każesz mi złamać jeden z najświętszych ślubów?

— Ach, jak mi przykro! Skoro tak, to nic z tego. Trzeba zatem wybić całą ludność tej części Kweronu. Będziesz stał po pas we krwi, ale zachowasz czystość duszy. Czy to nie powód do dumy?

— Potwór!

— To zależy wyłącznie od ciebie, mój Bheidzie. Będziesz albo oszustem, albo katem. Co wolisz? — Umilkła na chwilę. — Tylko szybko, bo czas nagli. Skoro mamy ich pozabijać, trzeba się brać do roboty.

Nie za mocno go przyciskasz, Em?

Ma się nauczyć postuszeństwa, skarbie. Słowa, które każde z was odczytało na Nożu, odnoszą się do wszystkich. Nie ty jeden masz szukać, nie tylko Andina ma być postuszna. Wszyscy poszukujemy, wszyscy słuchamy rozkazów. — I głośno dodała, zwracając się do zatroskanego kapłana: — No więc jak? Kłamstwo czy krew?

— A mam jakiś wybór? Skłamię.

— To dobrze.

Wjechali do nędznej wioski, która zapewne przed zlodowaceniem zatoki była siedliskiem rybaków. Althalus zeskoczył z konia i podszedł do mężczyzny z gęstą brodą prowadzącego wołu.

— Przepraszam, gdzie znajdę tutaj kapłana?

— O, tam jest kościół, ale kapłan chyba jeszcze śpi.

— To go obudzę. Mój czcigodny pan musi z nim pilnie pomówić.

— On nie lubi, gdy się go wyciąga z łóżka.

— Chyba jeszcze mniej lubi być żywcem pogrzebany.

— Jak to? Żywcem pogrzebany?

— Pod lawiną.

— Jaką lawiną?!

— Tą, która niebawem stoczy się z tej góry. Dzięki za informacje, przyjacielu, życzę ci naprawdę udanego dnia.

— Nie musiałeś tego mówić, Althalusie — syknął mu w ucho Bheid, kiedy człowiek z wołem się oddalił.

— To tylko wstęp. Parę paskudnych plotek zawsze się przydaje w takich sytuacjach.

Wioskowy kapłan nazywał się Terkor i był wysokim, niechlujnym mężczyzną o melancholijnych oczach.

— Nie przykładalem się zbyt mocno do astrologii, bracie — wyznał. — To odludny zakątek na skraju cywilizowanego świata. Opiekuję się chorymi, pocieszam strapionych, godzę zwaśnionych i niewiele czasu mi zostaje na studia. Co zobaczyłeś w gwiazdach?

— Smok przesunął się do siódmego domu — skłamał gładko Bheid. — Przy Księżycu w ascendencji wyzwała to ogromny potencjał dla naturalnych katastrof. Na pewno rozpoznasz te znaki.

— Muszę ci uwierzyć na słowo, bracie. To dla mnie stanowczo zbyt skomplikowane.

— Smok jest jednym z trzech ziemskich znaków, a Księżyc przynosi poważne oznaki niestabilności: trzęsienia ziemi, lawiny i tak dalej. Śledząc kurs Niedźwiedzia, doszedłem do wniosku, że katastrofa wydarzy się właśnie w Kweronie, i czułem się w obowiązku was przestrzec. Dlatego wraz z moim sługą dosiedliśmy koni i natychmiast ruszyliśmy w drogę. Dzięki bogu, przybyliśmy na czas.

— Jesteś bardzo szlachetny, bracie. Większość znanych mi ludzi nie zadałaby sobie takiego trudu.

— To mój obowiązek, bracie. Dlatego właśnie studiuje gwiazdy... żeby ostrzegać bliźnich przed tego rodzaju zagrożeniami. Moi współbracia z Awes zajmują się głównie układaniem horoskopów, za co każą sobie słono płacić. Ja wolę śledzić gwiazdy i szukać oznak niebezpieczeństwa.

— A potrafiłbyś określić, co konkretnie nam grozi?

— Pozycja Księżyca wskazuje, że zanosi się na osunięcie góry.

— Kamienna lawina? Dobry boże!

— To właśnie wyczytałem w gwiazdach. Niektórzy moi współbracia uważają, że uderzy w nas kometa, ale ja się z nimi nie zgadzam. Kogut znajduje się w niewłaściwym domu jak na kometę.

— Kometa, lawina... Czy nie wszystko jedno, co się na nas zwali? I tak zginie mnóstwo ludzi.

Bheid rozejrzał się dookoła, jakby chciał się upewnić, czy są sami.

— Czy coś niezwykłego zdarzyło się tu ostatnio, bracie Terkorze? Wyczuwam, że w pobliżu czai się jakieś wielkie zło.

— Od Nekwersu dzieli nas tylko zatoka, bracie Bheidzie. Trudno sobie wyobrazić większe zło niż to, które płynie stamtąd.

— Nie, nie, bracie Terkorze, to dzieje się tu, w Kweronie. Ale być może, dobrze się ukrywa.

— Kto wie, czy to nie Leitha, czarownica, którą brat Ambho pokazuje w Pe-teleyi... parę mil stąd na południe. Brat Ambho jest zapalonym łowcą czarownic.

- Czarownica! — wykrzyknął Bheid, udając przerażenie.
- W każdym razie brat Ambho widzi w niej czarownicę. Tak między nami, zebrał bardzo przekonujące dowody. Jutro o świcie zamierza ją spalić na stosie.
- Chwała Deiwosowi! — wykrzyknął Bheid. — A więc zdążę go powstrzymać!
- Wątpię. Brat Ambho za bardzo się w to zaangażował. Jest wielkim zwolennikiem palenia czarownic.
- Więc go przekonam, by zmienił zdanie — upierał się Bheid.
- Wykluczone, to prawdziwy fanatyk.
- Chcesz powiedzieć, że nie dotarła do was wiadomość o zeszłorocznych postanowieniach? Otóż na uroczystej naradzie arcykapłanów wszystkich wyznań zapadła jednogłośnie decyzja, że każdą czarownicę należy odsyłać na przesłuchanie do Awes. Co sobie myśli wasz egzarcha? W takich sprawach nie wolno zwlekać.
- Z Kweronu do Awes daleka droga, bracie. Nasz egzarcha pewnie nawet nie wie, gdzie to jest. Dlaczego mamy odsyłać czarownice do Awes, zamiast palić je na miejscu?
- Bo przy tej okazji możemy z nich wyciągnąć, co tylko się da. Czarownice pracują dla Daevy. Jeśli namówimy je do zeznań, może uda nam się poznać jego plany, a od tego może zależeć los całej ludzkości.
- Jeszcze nie widziałem takiej, która przyznałaby się choćby do tego, że jest czarownicą.
- Bo nie umiecie ich przesłuchiwać. W Awes jest wiele świętych obiektów. Żaden sługa złego nie może znieść ich widoku. Ból, jaki przy tym cierpią, jest tak straszliwy, że każda czarownica czy inny sługa Daevy powiedzą dosłownie wszystko, żeby tylko nie musieć na nie patrzeć. Jeśli dostaniemy w swe ręce kilka czarownic, poznamy nawet najtajniejsze myśli Daevy.
- Najwyraźniej naszemu egzarsze na tym nie zależy.
- Musimy natychmiast jechać do Peteleyi i namówić brata Ambho, by przekazał nam tę kobietę. Od tego, czy zawieziemy ją do Awes, może zależeć los ludzkości.
- Wyprowadzę konia — rzekł Terkor i wyszedł.
- Gładko ci poszło — pochwalił go Althalus.
- Nie znoszę tego, wiesz? Terkor to pocziwiec.
- Owszem, pocziwiec. Ale wcale go tak bardzo nie oszukałeś. Los ludzkości może zależeć od naszych poczynań. On robi słuszną rzecz z niesłusznych powodów, ale ważne, że jednak ją robi.

— Będziesz musiał wykazać się wielką elokwencją, bracie Bheidzie, żeby przekonać brata Ambho do przekazania ci czarownicy — mówił po drodze Terkor. — On słynie z palenia ludzi i nie bawi się w mozolne zbieranie dowodów, że

są winni czarów. Wystarczą mu ze dwie skargi i już każe wznosić stos. Na twoim miejscu przedstawiłbym mu to, co wyczytałeś w gwiazdach. Bo jeśli dobrze zrozumiałem twoje słowa, między ową katastrofą a czarownicą z Peteleyi istnieje pewien związek.

— I tu możesz mieć rację. Wiadomo, że gwiazdy są zdolne do takich rzeczy. Nieraz wysyłają nam przestrogi, w których ukrywają rozwiązanie problemów. — Bheid sięgnął pod tunikę i wyciągnął mapę nieba. — Pozwól, że jeszcze raz sprawdzę.

— Jeśli nie bardzo pasuje, zmyślaj — mruknął pod nosem Althalus.

— Dobrze — szepnął Bheid — tylko uprzedź Emmy, żeby w stosownej chwili osunęło się kilka głązów.

Kapłan z Peteleyi był wychudłym, trupio bladym człowiekiem z wiecznie obrażoną miną. Cały zachodni Kweron znał go ze skłonności do palenia czarownic bez większych ceregieli, a pomysł przekazania uwięzionej Bheidowi po prostu nie mieścił mu się w głowie.

— Rada z Awes nie ma nade mną władzy — oświadczył niemal zuchwale.

— Może i nie — przyznał chłodno Bheid — ale gwiazdy ją mają. Lekceważysz ich przestrogię na swoją własną zgubę. Spod jakiego jesteś znaku?

— Spod Knura — odpowiedział nieco nerwowo Ambho.

— Tak też myślałem. Gwiazdy ostrzegły nas przed ludźmi spod znaku Knura.

— Masz czelność obrażać mój znak?! — krzyknął Ambho, wytrzeszczając oczy.

— Knury są uparte — stwierdził obojętnie Bheid. — Czasem gwiazdy muszą spaść tuż przy ich uszach, by przyciągnąć uwagę. — Nagle wyrzucił w górę ramiona. — Spełniłem rozkaz gwiazd, ostrzegłem cię. Jeśli nie chcesz słuchać, nie na moją głowę spadnie odpowiedzialność za to, co się z tobą stanie.

Słowo, którego potrzebujesz, brzmi twei — zamruczała Emmy w głowie Althalusa. — *Kiedy będziesz je wymawiał, myśl o głębokim, dudniącym dźwięku. Ale mimo wszystko uważaj.*

Althalus spojrział na górę wznoszącą się nad wioską.

— *Twei* — szepnął.

Z głębin ziemi wyrwał się huk — tak potężny, że niemal namacalny — i przetoczył się w kierunku północno-zachodnim, gdzie powoli ucichł.

— Co to było? — przeraził się Ambho.

— Powiedziałbym, że ostatnie ostrzeżenie dla człowieka spod znaku Knura — odpowiedział Bheid. — Radzę pojednać się z bogiem, bo jeśli nie oddasz nam czarownicy, żaden z nas nie doczeka zachodu słońca.

— To tylko przypadek — warknął Ambho.

— Nie istnieje coś takiego jak przypadek, bracie. Wszystko, co się dzieje, pasuje do określonego z góry wzoru. Wybieraj, Ambho, i wiedz, że życie czy śmierć wszystkich co do jednego mieszkańców Peteleyi zależy wyłącznie od ciebie.

W tym momencie Althalus znów poruszył ziemię — tym razem bardziej zdecydowanie.

Trzask, który rozległ się tuż pod ich stopami, przypominał odgłos wydawany przez drzewa na dalekiej północy, kiedy je rozsadza mróz. Ziemia zadygotała, a z górskiego zbocza stoczyło się kilka dużych odłamków.

— Jeszcze jeden wstrząs i będzie koniec — oznajmił zimno Althalus. — Żegnaj, mistrzu Bheidzie, miło mi było ci służyć. Przy odrobinie szczęścia lawina zabije nas od razu. Skóra mi cierpnie, gdy pomyślę, że możemy być żywcem pogrzebani...

— Bierzcie ją sobie! — wrzasnął nagle Ambho. — Wywieźcie ją do Awes, tylko niech to się uspokoi!

— Nie wiem czemu, ale spodziewałem się, że tak powie — rzucił w przestrzeń Althalus.

ROZDZIAŁ 15

Czarownica Leitha miała włosy jasne, świetliste i białą skórę, niemal w kolorze tak cenionego przez rzeźbiarzy marmuru. Była wysoka i smukła, a z jej dużych oczu o barwie najgłębszego błękitu wyzierała mądrość. Stała przykuta do mocno poczerniałej (zapewne od poprzednich stosów) kamiennej kolumny w centrum Peteleyi.

Kiedy ją uwalniano, nie wydawała się specjalnie przejęta, chociaż w jej oczach nadal kryła się głęboka uraza.

— To tylko odroczenie wyroku — wyjaśnił szorstko Ambho, zdejmując jej okowy. — Kapłani ze świętego miasta Awes przesłuchają cię z największą surowością i zmuszą, byś odpowiedziała na wszystkie pytania o twego ohydneho pana. A potem cię spalą.

— Nie mam żadnego pana — odpowiedziała beztrosko. — Nie jestem taka jak ty. Widziałam twoją duszę, kapłanie, wiem, ile w niej zła. To, co się tam pali, to wyłącznie twoja wina, nie moja ani innych, których kazałeś wrzucić w ogień. Jedynym złem tutaj jest twoja żądza, a jej nie usuniesz, pałac obiekty, ku którym jest skierowana. Gwałcisz ślub czystości każdą swoją myślą i będziesz za to się smażyć w jeszcze gorętszym ogniu niż ten, jaki nam zgotowałeś. Odejdź stąd i oczyść swą duszę.

Ambho milczał. Na jego wychudłej twarzy odmalowało się nagle poczucie winy i nienawiść do samego siebie. Odwrócił się szybko i uciekł.

Zapłacili horrendalną cenę za wierzchowca dla Leithy, po czym razem z Bheidem pożegnali Terkora i odjechali z powrotem na lesiste wzgórze. Kiedy wioska zniknęła im z oczu, Althalus ściągnął wodze.

— Zdejmijmy od razu te łańcuchy.

Zsiadł z konia i pomógł zsiąść Leicie, a następnie obejrzał prymitywny zamek na łańcuchu spinającym jej nadgarstki. Rozpiął go, uwalniając dziewczynę, po czym w przypływie złości cisnął łańcuch w krzaki.

— Dziękuję ci, Althalusie — odezwała się Leitha.

— Znasz moje imię? — zdumiał się jej wybawca.

— Teraz już znam.

Oho! — mruknęła Emmy.
— Co znowu? — zmieszał się Althalus.
— Dweia wie, że potrafię czytać twoje myśli — wyjaśniła Leitha ze słabym uśmiechem. — I chyba ją to niepokoi.
— Naprawdę to umiesz?! — wykrzyknął Bheid.
— Tak. Zawsze mnie dziwiło, że inni tego nie potrafią.
— To dlatego Ambho chciał cię spalić na stosie!
— Niezupełnie. Ambho złożył ślub czystości, ale ciągle łamał go swoimi myślami. Wolał zrzucić winę na osoby, które wywoływały w nim te myśli, zamiast wziąć ją na siebie. Jak zauważyłam, wcale nie jest wyjątkiem.
— Masz wielki dar, Leitho.
— Owszem, przynajmniej z twojego punktu widzenia. Osobiście byłabym bardzo szczęśliwa, mogąc ci go przekazać. Cisza musi być czymś wspinałym.
— Spojrzała na Emmy. — Nie ma powodu ukrywać tego, Dweio. Dowiedzą się prędzej czy później. Ja też nie chciałam wyjawić w Peteleyi mojego tak zwanego daru i popatrz, do czego omal nie doprowadziłam.
Z drogi, Althalusie — warknęła Emmy.
— I tak cię słyszę, nie musisz używać jego głosu. Wcale nie jestem pewna, czy chcę z wami jechać.
Nie masz wyboru.
— Może i nie — westchnęła z rezygnacją Leitha.
— Co się dzieje? — zaniepokoił się Bheid.
— Po prostu panie sobie gawędzą. O, tutaj — wyjaśnił mu Althalus, stukając się palcem w czoło. — Trochę tam tłoczno teraz. Jedźmy, chciałbym wrócić do naszych przed nocą.

Kiedy dotarli do obozu, nad wzgórzami zachodniego Kweronu zapadał już zmierzch.

— Czy to ona? — zapytał Gher.
— Według Emmy, tak — odparł Althalus.
— Jest niesamowicie ładna, prawda?
— Owszem. Mało nie spalili jej żywcem. Kapłan z jej wioski miał zwyczaj skazywać na stos wszystkie ładne dziewczyny, które budziły w nim robaczywe myśli. Uważał, że tylko w ten sposób może się od nich uwolnić.
— Zabiłeś go?
— Zastanawiałem się nad tym, lecz Emmy się sprzeciwiła. Kocham ją bardzo, ale czasem potrafi być taka nierozsądna! Nie zgadza się na zabijanie żadnego stworzenia, które nie nadaje się na pokarm.
— Mogę pogadać z Eliarem. Ty jakoś odwrócisz uwagę Emmy, a my w tym czasie wymkniemy się do wioski i załatwimy kapłana.

— I tak się dowie, a potem będzie się na nas wydierać przez cały tydzień.
Wszystko słyszałam — rozległ się oskarżycielski głos.
Wcale mnie to nie dziwi. Gdybyś nie wtykała nosa w nie swoje sprawy, nie słyszałabyś obraźliwych uwag pod swoim adresem.
Mógłbyś choć trochę wziąć Ghera w karby? Przecież to absolutny dzikus.
Ja go dość lubię. Czy Leitha ma jeszcze dziś zobaczyć Nóż?
Zaczekajmy do rana. Muszę nad nią trochę popracować, bo nie ma ochoty na udział w naszym przedsięwzięciu.
A kto z nas ma?
Bądź grzeczny, skarbie.
Dobrze, najdroższa.

Las był ciemny i gęsty, a niebo miało kolor stali. Althalus zgubił drogę, chociaż nawet nie pamiętał, dokąd tak naprawdę zmierza. Myśli wymykały mu się spod kontroli, a ilekroć próbował się skoncentrować, w jego głowie rozlegało się głucho zawrozczenie i nagle poczuł się bardzo samotny pośród splątanych pnączy i gęstych zarośli. Złowieszczy las zdawał się nie mieć końca, lecz Althalus, chociaż bezradny i zrezygnowany, uparcie brnął dalej.

Wtem coś zbudziło w nim czujność. Przebijał się przez plataninę myśli gęstym niczym ów las, mimo że głucho wycie ciągnęło go z powrotem w głębiny świata. Ghend osaczył go mocną siecią jakiegoś straszliwego pająka.

— Nadchodzi! — zaszumiały drzewa.
— Nadchodzi! — zawtórowały im pnącza.
— Nadchodzi! — zaskrzeczało puste niebo. — Padnijcie przed nią na ziemię i okażcie uległość!

Znowu Ghend szedł przez las i przez równiny, razem z dniem, który zmierzał z powrotem ku wschodowi słońca.

— A ty jak zamierzasz ją uczcić, złodzieju? — spytał Althalusa i oczy rozgorzały mu ogniem.

— Stawię jej opór, podobnie jak tobie i twojemu panu.

— Twój małostkowy upór jest bez znaczenia, Althalusie — odparł z najwyższą pogardą Ghend. — Bo Gelta, Królowa Nocy, i tak cię zwycięży, a ja, sługa Ciemności, zaciągnę w otchłań, gdzie Daeva, pan wszechrzeczy, zażąda twej duszy.

Zaśmiał się Althalus, słysząc te słowa.

— Twoje złudzenie, Ghendzie, jest fałszywe, ale trwaj przy nim, jeśli musisz. Trzymaj je mocno przy piersi i miej się na baczności, ile tylko zdołasz, ale i tak nic ci to nie pomoże. Bo wyrwę ci twe złudzenie z ramion i pchnę słońce z po-

wrotem na właściwy kurs. Czas nie powróci w miejsce, które raz za sobą zostawił. Twoje iluzje są szalone, a twoje klątwy puste. Oto rzucam rękawicę prosto w zęby Królowej Nocy, podobnie jak w twoje, sługo Ciemności, a co więcej, w zęby tego, który wprawdzie jest twoim panem, ale nigdy nie będzie moim.

W tym momencie Althalus się ocknął.

Zwariowałaś?! — głos Emmy omal nie rozsadził mu głowy.

Skąd mogę wiedzieć? — odparł spokojnie. — Szaleńcy nie wiedzą, że są szaleńcami, prawda? Rozmawialiśmy przecież o tym w Domu. Pomyślałem, że będzie ciekawie, gdyby tak odwrócić role z Ghendem. On próbuje igrać z rzeczywistością, ale ja przecież jestem w tym mistrzem. Znam wszystkie sposoby na zmianę reguł każdej gry, jaką zdoła wymyślić.

Nie powinnaś się dziwić, Dweio — rozległ się łagodny głos Leithy. — Czy nie po to przede wszystkim go skaptowałaś?

A ciebie nie powinno tu być! — fuknęła Emmy.

Ciekawe... Chyba wiesz, że nie jesteś w stanie mnie powstrzymać.

— Może byście znalazły sobie jakieś inne miejsce na te pogawarki? — wtrącił Althalus. — Chciałbym się trochę przespać, a wy okropnie hałasujecie.

Kiedy się znów obudzili, słońce właśnie wschodziło. Althalus zabrał Eliara i Bheida do lasu na krótki rekonesans.

— Panowie, to nie jest przyjacielskie terytorium — ostrzegł ich. — Sami Kwe-rończycy nie stanowią większego zagrożenia, ale znajdujemy się zbyt blisko Nekerosu, by czuć się bezpiecznie.

Nocne spotkanie z Ghendem postanowił zachować przy sobie.

Po powrocie do obozu zobaczyli, że Andina z Leitha dyskutują o czymś za-wzięcie, a obok nich siedzi Gher ze znużoną miną. Na widok kompanów chłopiec wyraźnie się ożywił.

— Znaleźliście coś? — spytał z nadzieją w głosie.

— Widzieliśmy jelenia — odparł Eliar. — Ale żadnych ludzi.

— Panowie, pora nakarmić konie — zarządził Althalus. — Potem zajmę się śniadaniem.

— Już myślałem, że zapomniałaś — ucieszył się Eliar. — Miałem ci przypomnieć.

— O czym nasze panie tak tokują? — zainteresował się Bheid w drodze do koni.

— Głównie o szmatach — burknął Gher. — To znaczy przedtem, bo teraz przeszły do fryzur. Chyba się polubiły... Oczywiście Emmy leży na kolanach Andiny i chyba powstrzymuje je od kłótni.

— Emmy jako kotka też jest w pewnym sensie kobietą. Kiecki i fryzury mogą ją także interesować.

Skończywszy oporządzać konie, wrócili do pań i Althalus przywołał śniadanie.

— Czy to nie najdziwniejsza rzecz, jaką widziałaś w życiu? — zagadnął Leithę Eliar.

— Rzeczywiście bardzo to osobliwe — zgodziła się, patrząc z zaskoczeniem, jak Eliar rzuca się na jedzenie.

— On jeszcze ciągle rośnie — wyjaśnił jej Bheid.

Eliar skończył właśnie trzecią dokładkę, kiedy Emmy przemówiła do Althalusa:

Czas pokazać Leicie Nóż, skarbie. Jestem niemal pewna, dokąd mamy jechać, ale trzymajmy się zasad.

Dobrze, najdroższa — odpowiedział potulnie i zwrócił się do Leithy: — Mam do załatwienia pewną drobną formalność. Odczytasz napis na Nożu.

— To nic nie boli, Leitho — przekonywała nową przyjaciółkę Andina. — Mnie trochę zakręciło się w głowie, ale Gher nawet i tego nie poczuł. Umiesz czytać?

— Umiem. Wprawdzie dotąd miałam do czynienia z innym pismem, ale to nie ma znaczenia.

Eliar otarł usta rękawem i wyjął Nóż.

— Ja ci nie grożę, Leitho — zapewnił ją pośpiesznie. — Na ostrzu jest pewien napis i ty masz go odczytać.

— Dobrze, pokaż.

Lewą ręką podsunął jej Nóż przed oczy.

— Trzymasz go do góry nogami.

— Ach. . . — Eliar odwrócił ostrze. — Przepraszam. Co tam widzisz?

— „Nasłuchiwanie”.

Pieśń Noża wydała się tym razem jeszcze wspanialsza i głębsza. Eliar jakby się lekko spłoszył.

Nagle Leitha położyła mu dłoń na nadgarstku.

— Poczekaj, nie zabieraj go jeszcze — poprosiła, wpatrując się intensywnie w błyszczące ostrze.

Drgnęła i zachwiała się na nogach, jakby miała zemdleć. Bheid szybko ją podtrzymał.

— Nie rób tego, Leitho — upomniała ją Emmy, przywłaszczając sobie głos Althalusa.

— Przykro mi, Dweio, ale muszę to wiedzieć. Tam jest tyle. . .

— Za dużo, by poznać wszystko naraz, moja droga. Miałam rację, Althalusie. Pora wracać do Domu.

— To daleka droga — rzekł z powątpiewaniem Althalus. — Zimy tylko patrzeć...

— Dostałam zapewnienie od najwyższej władzy, że damy sobie radę.

— Za bardzo ułatwiłam Ambhowi zadanie w Peteleyi — opowiadała Leitha Andinie, kiedy jechali ku górą. — Zabawiałam wiejskie dziewczęta, przepowiadając im przyszłość. Wiedziałam, co myślą i czego pragną, a stąd już tylko krok do obiecywania bogatych mężów i całej kupy dzieciaków. Ambho tak to wszystko poprzekręcał, że starszyzna wioskowa uznała mnie za czarownicę.

— Jak to jest, kiedy się czyta w cudzych myślach? — spytała z ciekawością Andina.

— To dość kłopotliwe. Ludzie często co innego myślą, a co innego mówią. Jesteśmy znacznie bliżsi zwierzętom, niż chcemy to przyznać. — Rozejrzała się wokół siebie, by się upewnić, czy Eliar wyprzedził je na tyle, by nic nie słyszeć. — Twoje uczucia wobec niego są bardzo pogmatwane, prawda? Z jednej strony chciałabyś go rozsiekać, bo zabił twego ojca, ale z drugiej... pociąga cię fizycznie...

— Wcale nie! — zaprotestowała arya, rumieniąc się gwałtownie.

— Ależ tak — przekonywała ją z uśmiechem Leitha. — I nie ma w tym twojej winy. To właśnie miałam na myśli, mówiąc, że ludzie są podobni do zwierząt. Może kiedyś powinnyśmy pogadać na ten temat z Dweią. Ona umie załatwiać takie sprawy... tak przynajmniej mi się wydaje. — Leitha zerknęła na kotkę, która obserwowała je ze swego stanowiska w kapturze Althalusa, słuchając ich rozmowy z wielkim zainteresowaniem. — Dweio, chcesz się włączyć do naszej rozmowy? — spytała niewinnie.

Moge — odparła lakonicznie Emmy.

— Czemu nazywasz ją innym imieniem? — zainteresowała się Andina.

— Bo tak się naprawdę nazywa. I wcale nie jest kotką. We własnej rzeczywistości wygląda podobnie jak my... tylko jest znacznie piękniejsza.

— Ona oszukuje.

— Jasne, a my nie? Czy nie czernimy sobie rzęs sadzą, żeby wydawały się dłuższe? Nie szczypiemy się w policzki, żeby poróżwiały? Dweia jest dziewczyną, taką samą jak ty i ja. Ale oszustwa znacznie lepiej jej wychodzą.

Dość tego, Leitho!

— A co, może się myłę? — Błękitne oczy Leithy wyrażały niewinne zdziwienie.

Powiedziałam: dość.

— Tak jest, o pani!

Althalusie, ty także nie waż się mądrzyć.

— Przecież nic nie mówię.

I bardzo dobrze.

Przeprawiwszy się przez góry Kweronu, zjechali bez przygód do Hule. Mimo zapewnień Emmy, Althalus wyciskał z koni ostatnie siły, gdyż nie uśmiechały mu się śnieżne burze w północnym Kagwherze. Uznał, że lepiej znaleźć się na miejscu tydzień wcześniej niż pół roku później.

Omijając kilka osad w Hule, osiągnęli dobry czas. Pomimo swych zastrzeżeń do tak zwanej cywilizacji Althalus musiał przyznać, że podróżowanie po wytyczonych traktach jest znacznie łatwiejsze i szybsze.

Późną jesienią dotarli do podnóża wzgórz Kagwheru. Minął już miesiąc, odkąd połączyli się w drużynę. Zdążyli przywyknąć do wokalnych ekscesów Andiny i do olbrzymiego apetytu Eliara. Althalus z Bheidem przytarli trochę rogów Gherowi i od czasu do czasu korzystali z niezwykłych zdolności Leithy, które niekiedy okazywały się szczególnie użyteczne — zwłaszcza gdy chcieli uniknąć kontaktu z miejscową ludnością. Wioskowa czarownica przestała być taka smutna, bardzo się zaprzyjaźniła z krewką Andiną.

Zmierzali teraz na północny wschód, ku płynnej granicy Hule i Kagwheru, mniej więcej tym samym szlakiem, którym dwa i pół tysiąca lat wcześniej Althalus wędrował do Domu na Końcu Świata.

— Wtedy wszystko wyglądało inaczej — zwierzał się Bheidowi pewnego popołudnia, kiedy dojeżdżali do przepaści, którą wciąż w myśli nazywał Krawędzią Świata.

— To było dość dawno — zauważył Bheid.

— Co ty powiesz! Chyba masz rację — odparł ironicznie Althalus.

— Dobrze, dobrze, wiem, że to truizm. Czasem mam nieprzepartą ochotę palnąć małe kazanie.

— Poczekaj, aż dojedziemy do Domu. Może Księga cię z tego wyleczy. — Nagle Althalus coś sobie przypomniał. — Czy nadal badasz gwiazdy co noc? — spytał, starając się, by zabrzmiało to zdawkowo.

— Chyba weszło mi to w krew. Ciągle nie mogę wybić sobie z głowy przekonania, że gwiazdy kierują naszymi losami.

— To czysta i tania rozrywka. Obserwuj sobie niebo, skoro chcesz. Może zacznij zwracać większą uwagę na północny horyzont, niebawem czeka cię tam niespodzianka.

— Ależ znam świetnie tę część nieba. Nie sądzę, by coś mnie mogło zaskoczyć.

— Zobaczmy. — Althalus zerknął z ukosa na południowy wschód. — Trzeba

się rozejrzeć za miejscem na obóz, bo tylko patrzeć, jak zajdzie słońce.

Dwa dni później dotarli do Krawędzi Świata.

- Jak w ogóle mogłeś wierzyć, że świat się tu kończy? — dziwiła się Andina.
- A te wszystkie białe góry?
- Wówczas nie było ich jeszcze, wasza wysokość — wyjaśnił Althalus.
- Prosiłam, abys mnie tak nie nazywał.
- Trenuję dobre maniery, Andino.
- To nie rób tego moim kosztem. Nie musisz wciąż mi przypominać, jaka byłam głupia.

Rozbili obóz przy uschniętym drzewie nad Krawędzią Świata, po czym Althalus przywołał kolację.

- Ryba? — skrzywił się Gher. — Znowu?
- Musimy dbać o dobry humor Emmy — tłumaczył mu Eliar. — Poza tym ryba dobrze ci zrobi.

Czemu ich nie uprzedziłeś, skarbie? — spytała Emmy Althalusa.

Nie chcę psuć niespodzianki, kiciuniu — odparł wesoło.

Jesteś dziecinny.

Althalus wzruszył ramionami.

Pewnie to kwestia zaawansowanego wieku. Nie wtrącaj się, chcę zobaczyć ich miny, gdy to się stanie.

Czy ty kiedy dorosniesz?

Mam nadzieję, że nie.

— Eliarze, weź Ghera i nazbierajcie trochę więcej chrustu. Rano będziemy potrzebowali ognia — polecił po kolacji Althalus.

— Już się robi. — Arumczyk zerwał się na nogi. — Idziemy, Gherze.

Wąskim paskiem trawy ruszyli w stronę zagajnika karłowatych drzew. Po chwili dobiegł stamtąd krzyk Ghera:

- Althalusie! — Chłopcu aż załamywał się głos. — Niebo się pali!
 - Coś podobnego! — rzucił obojętnie Althalus. — Kto by pomyślał?
 - Jesteś okrutny — upomniała go Leitha. — Dlaczego nie powiedziałaś im o zorzy polarnej?
 - Myślałem, że będą mieli większą przyjemność, kiedy odkryją ją sami.
- Oczywiście wszyscy pobiegli oglądać. Boży ogień tej nocy palił się wyjątkowo jasno, pulsując i migocząc faliście na północnej stronie nieba.
- Co to? — przeraziła się Andina.

— Ludzie różnie nazywają to zjawisko — odpowiedziała jej Leitha — i na różne sposoby próbują je wyjaśnić. Niektóre teorie są bardziej naciągane, inne mniej, ale niemal zawsze jakąś rolę odgrywa w nich religia.

Bheid gapił się na niebo z otwartymi ustami.

— I co? W jakim astrologicznym domu byś to umieścił? — spytał chytrze Althalus.

— Sam nie wiem. . . To wciąż się przesuwają.

— Myślisz, że to jakiś znak?

— Bheidzie, on cię podpuszcza — wtrąciła się Leitha. — W północnym Kweronie nikt już nie zwraca na to uwagi.

— I tak jest na całej północy? — dopytywał się drżącym głosem Bheid.

— Najwyraźniej tak. Nie spodziewałem się, że zobaczymy te światła tutaj tak samo jak w Kweronie.

— Palą się co noc?

— Jeśli niebo jest pochmurne, nie widać ich tak dobrze.

— Wiedziałeś, że je zobaczymy, prawda? — spytał oskarżycielskim tonem Bheid.

— Byłem tego pewien. Kiedy pierwszy raz je ujrzałem, wydały mi się umiarkowanie interesujące. — Nagle Althalus przypomniał sobie coś, o czym nie myślał od dłuższego czasu. — Szedłem wtedy do Domu na Końcu Świata, żeby ukraść Księgę. Byłem okropnie przesądny i uznałem, że bóg zesłał mi ten ogień ku przestrodze. Pewnej nocy zbliżyłem się do samej Krawędzi Świata i zajrzałem w przepaść. Księżyc był wprawdzie w górze, ale chmury w dole, poniżej krawędzi. Położyłem się na trawie i patrzyłem, jak światło księżyca igra z bożym ogniem na powierzchni chmur. Chyba nic piękniejszego w życiu nie widziałem. . . Tej samej nocy przyśniła mi się pani precudnej urody. Powiedziała, że jeśli z nią pójdę, to już zawsze będzie się mną opiekować. Mam pewne podejrzenia w związku z tym snem. . . — Obejrzał się szybko przez ramię.

Czyżbym to ja sprawiła, skarbie? Twoja stara, poczciwa Emmy?

Leitha parsknęła śmiechem.

— Daleko jeszcze? — spytał Eliar pewnego mroźnego, pochmurnego popołudnia.

— Nie, jesteśmy już bardzo blisko — odpowiedział Althalus, zezując na południe. — Te góry wydają mi się znajome.

Nagle z pobliskich szczytów dobiegł słaby skowyt.

— Co to? — przestraszyła się Andina.

— Jedźmy w ciasnej grupie — rozkazał Althalus. — Tu gdzieś jest Ghend, nie wolno nam się teraz rozchodzić.

— Ghend? We własnej osobie? — spytał z paniką w głosie Bheid.

— Może tak, może nie. Zawsze kiedy usłyszycie ten odgłos, bądźcie pewni, że Ghend albo któryś z jego sługusów kręci się niedaleko.

— Zupełnie niedaleko — powiedziała Leitha. — Jest fascynująca... ale chyba jej koń pobłądził.

Althalus rzucił jej ostre spojrzenie.

— O, tam! — wskazała na północ błada dziewczyna.

Nad Krawędzią Świata rozbudowały się paskudne, szare chmury. Kłębiły się i falowały pośród zmiennych prądów powietrza, które podnosiły się znad zwałów lodu. Na spiętrzonych wieżach z chmur stał czarny koń z jeźdźcem — kobietą, na co jasno wskazywał błyszczący, dopasowany napierśnik. Miała kanciaste, jakby wykute w lodzie rysy, czarne, rozwiane na wietrze włosy, w ręku trzymała archaiczną włócznię, a u jej pasa wisiał wielki miecz o szerokim, zakrzywionym ostrzu.

— Jestem Gelta, Królowa Nocy — oznajmiła głucho brzęącym głosem.

— Jesteś tylko wizerunkiem Gelty — sprostowała Leitha — i to zupełnie niematerialnym. Wróć do Ghenda i powiedz mu, że powinien sam przekazywać to, co ma do powiedzenia.

— Uwważaj, mentalna pijawko — prychnęła ciemna postać. — Nie wąż się do mnie odzywać, bo pożałujesz!

— Jedziemy do Domu na Końcu Świata — powiedziała spokojnie Leitha. — Jak chcesz dalej ciągnąć tę dyskusję, to nas tam odwiedź... jeśli się ośmielisz.

Powiedz dhreu, skarbie, tylko ostro — podszeptała Althalusowi Emmy. — *Gelcie to nie przeszkodzi, ale jej koniowi raczej się nie spodoba.*

Althalus zachichotał i zerknął na Królową Nocy.

— Lepiej się trzymaj — ostrzegł ją i wypalił: — *Dhreu!*

Koń zakwiczał dziko, po czym oboje przepadli w chmurach.

No, to już ostatnia — oznajmiła pogodnie Emmy. — *Właśnie się zastanawiałam, kiedy też się pokaże.*

— Wiedziałaś, że ją spotkamy? — spytała Leitha.

— Oczywiście, Leitho, to kwestia symetrii. Spotkaliśmy już wszystkich innych, a Ghend nigdy nie zrezygnowałby z Gelty.

— Czy to tylko przypadek, że było ich tyle samo co nas? — zainteresował się Althalus.

Skądże znowu. — Emmy zaczęła się mościć z powrotem.

— Ale znów ich spotkamy, prawda, Dweio? — dopytywała się Leitha.

Naturalnie. Przecież o to w tym wszystkim chodziło.

— Czy w Domu na Końcu Świata znów będziesz mogła głośno mówić? — chciał wiedzieć Althalus.

Tak, a czemu pytasz?

— Po prostu z ciekawości. Byłoby mi miło, gdyby łaskawe panie przestały wykorzystywać moją mózgowicę do spotkań towarzyskich.

Eliar spoglądał na Leithę z niemal nabożnym podziwem.

— Bardzo się cieszę, że trzymasz naszą stronę, pani. Ty w ogóle nie odwracasz się od nikogo, prawda?

— Raczej rzadko mi się to zdarza.
— Jedźmy już — poganiał ich Althalus. — Kiedy znajdziemy się w Domu na Końcu Świata, skończą się niespodzianki Ghenda.

Dotarli tam pod koniec burzliwego poranka, kiedy poszarpane chmury pluły na nich bez przerwy kłującym śnieżnym śrutem.

— Jaki ogromny! — wykrzyknął Bheid, patrząc na potężną granitową budowlę.

— To tylko przytulny kącik, który Emmy i ja lubimy uważać za nasz dom — odparł Althalus. — Wejźmy do środka, bo strasznie wieje.

Konie szybko pokonały most zwodzony, dudniąc podkowami o grube deski.

— Dlaczego zostawiliście most opuszczony? — spytał Eliar. — To przecież zaproszenie dla każdego, kto się nawinie.

— Niezupełnie. Dom widzą tylko ci, którzy go mają zobaczyć.

— Przecież stoi na otwartej przestrzeni!

— Mimo to nie dla wszystkich jest widoczny.

Althalus wprowadził ich na dziedziniec i zeskoczył z konia.

— Wiesz, gdzie są stajnie, prawda? — odezwała się Emmy własnym głosem.

— Ona mówi! — wykrzyknęła Andina.

— O tak! — zachichotał Althalus. — Ani się obejrzysz, jak tego pożałujesz.

— Zajmij się końmi, Althalusie — poleciła władczo Emmy. — Ja zaprowadzę panie do środka, żeby nie marzły dłużej. — Wskoczyła bezszelestnie z kaptura na bruk. — W stajniach znajdziesz świeże siano. Potem przyjdź na wieżę.

— Tak jest, najdroższa.

Emmy, wywijając ogonem, odprowadziła Andinę i Leithę. Althalus z towarzyszami zabrali konie do stajen.

— Minie trochę czasu, zanim się człowiek przyzwyczai — zauważył Bheid.

— Tak, tak — zgodził się z nim Althalus, zdejmując koniowi siodło. — Kiedy po raz pierwszy tu przyszedłem, byłem przekonany, że Dom doprowadził mnie do szaleństwa. Teraz także nie zawsze mam pewność, czy wszystkie moje kółka kręcą się w jednym kierunku.

Althalus wciągał w nozdrza znajomy zapach Domu. Razem z Eliarem i Gherem szli korytarzem do schodów, które wiodły do pokoju na wieży.

— Jak tu ciepło, prawda? — dziwił się Bheid, rozpinając płaszcz. — W tych salach w ogóle nie ma przeciągów.

— Ktokolwiek zbudował ten Dom, odwalił kawał dobrej roboty — rzekł Eliar.

— Na pewno ucieszyłyby się z twojej pochwały — zauważył Althalus.

— A właściwie kto go zbudował, Althalusie?

— Prawdopodobnie ten, kto w nim mieszkał. On lubi robić wszystko sam... przynajmniej tak głosi Księga.

Dotarłszy pod drzwi, Althalus zapukał.

— Możemy wejść?

Drzwi się otworzyły... najwyraźniej same.

— Co wy wyprawiacie? — spytała Emmy.

— Eliar dawał mi lekcje dobrych manier.

Emmy, Andina i Leitha siedziały na okrytym bizonimi skórami łożu. Kopuła nad ich głowami jarzyła się słabo.

— Jak dobrze znowu być w domu! — westchnął Althalus, zdejmując płaszcz.

— Nie przyzwyczajaj się za bardzo — ostrzegła go Emmy. — Zamierzam inaczej wszystko urządzić.

— Dlaczego nie możemy zostać tu, gdzie nam dobrze?

— Może zauważyłeś, skarbie, że nasza kompania składa się z dwóch rodzajów ludzi? Przy mnie siedzą ludzie dziewczynki, a ty przyprowadziłeś ludzi chłopców.

— W porządku, Em.

— A wiesz, czym się różnią ludzie chłopcy od ludzi dziewczynek?

— Powiedziałem: W porządku.

— W większości domów dziewczynki i chłopcy nie śpiją razem, jeśli przedtem nie dopełni się pewnych formalności. Wiedziałeś o tym, skarbie?

— Czy ona tak często? — spytał Gher.

— Cały czas — odparł z kwaśną miną Althalus.

— Wracajcie na dół — rzekła łagodnie Emmy. — Po prawej stronie jest duży pokój, tam będą sypiać chłopcy. Nie próbujcie otwierać drzwi z lewej strony schodów, gdzie zamieszkają dziewczynki, bo przejadę wam pazurami po głowie.

Pokój po prawej stronie schodów był przestronny i porządnie umeblowany. Althalus zaglądał tam przed wiekami, ale wtedy pomieszczenie świeciło pustkami. Emmy teraz mogła sama posługiwać się Księgą, a nie za pośrednictwem Althalusa, i wyraźnie dała upust swej fantazji twórczej. Na podłodze leżał dywan, w oknach wisały draperie, a bogato zdobione meble prezentowały się bardzo solidnie. Łóżka były szerokie, zaopatrzone w koce i poduszki, pośrodku stał masywny stół z czterema krzesłami. Na wielkim kominku płonęły wiśniowe gałęzie, w kącie zaś Althalus dostrzegł, jak mniej więcej się spodziewał, dużą wannę.

— Nie zdawałem sobie sprawy, że Emmy potrafi być taka... — Bheid rozpaczliwie szukał odpowiedniego słowa.

— Chcesz powiedzieć: uszczypliwa? — pośpieszył mu z pomocą Althalus. — Ależ tak, Emmy to wcielona uszczypliwość. Co panowie życzą sobie na kolację?

— Byle nie rybę — zastrzegł szybko Gher.

— Wołowinę — zaproponował Eliar. — Mnóstwo, mnóstwo mięsa. . .

Althalus długo nie mógł zasnąć. Wrócił wprawdzie do Domu na Końcu Świata, ale bez mruczącej z cicha Emmy u boku sen jakoś nie przychodził.

Wreszcie dał za wygraną. Odrzucił koc i wyszedł po cichu na korytarz. Dom wydawał się taki sam, a jednak bez Emmy robił wrażenie pustego. Rozgoryczony Althalus powędrował schodami do znajomego pokoju na wieży.

Stanął przy północnym oknie i patrzył ponuro na lód.

Nagle usłyszał za sobą szmer — i wszystko już było dobrze. Znajome mruczenie sprawiało, że znów czuł się jak w domu.

— Chodź. . . Chodź ze mną, skarbie, a zaopiekuję się tobą. . .

Obrócił się, pełen najgłębszego zdumienia.

Za stołem z Księżą Deiwosa, na pokrytym bizonimi skórami łożu siedziała dziewczyna z jego dawnego snu, o twarzy i kształtach jeszcze piękniejszych niż te, które wryły mu się w pamięć.

— Chodź do mnie, mój ukochany, będę się tobą opiekowała.

CZEŚĆ III
DWEIA

ROZDZIAŁ 16

Ta twarz pozostawała w jego pamięci przez dwa i pół tysiąca lat; twarz tchnąca odwieczną, cudowną doskonałością. Zielone oczy przeniknęły mu duszę, krągłe ramiona zamknęły go w gorącym uścisku.

Świat zawirował mu przed oczami i Althalus zatracił się cały w upojnym pocałunku.

Nigdy się nie dowiedział, jak długo trzymali się w objęciach. Tuląc ją do siebie, słyszał znajomy odgłos, który napełnił go poczuciem cudu. Oto bogini z jego marzeń. Zawsze w tym Domu była przy nim, a ich losy splotły się z sobą w nierozzerwalny sposób. To, co dawniej go zadziwiało, teraz stało się całkowicie jasne.

— Czy w ten sposób dajesz mi do zrozumienia, że zawsze byliśmy tu razem?

— O czym ty mówisz, Althalusie?

— Ty mruyczysz, Emmy...

— Nic podobnego! — wykrzyknęła, po czym mruczenie ustało. Althalus uśmiechnął się w duchu i zachował swe spostrzeżenie dla siebie. Gra, widać, jeszcze się nie skończyła.

— Może mi się zdawało — rzekł pojednawczo, po czym znów ucałował miękko, pełne usta, ona zaś znów zaczęła mruścić.

— Porozmawiajmy, Althalusie — rzekła, odsuwając się nieco.

— Co?

— Wszystko to staje się nieco zbyt intensywne.

— Myślałem, że o to ci właśnie chodziło.

— Ale jeszcze nie teraz, kochany. Mamy przed sobą mnóstwo czasu, natomiast w tej chwili musimy zachować jasność umysłu.

Poczuł nagły przypływ goryczy, zaraz jednak się opanował.

— Rzeczywiście powinniśmy porozmawiać.

Cofnęła się o krok i przyłożyła palce do skroni.

— Och... Ciepło, jak na tę porę roku... Co mówiłeś?

— Naprawdę jesteś Dwiecią, tak? Zresztą sama to przyznałaś, kiedy przejeżdżaliśmy przez Maghu.

— A ty zapamiętałaś. Zadziwiające!

— Bądź miła — poprosił z przyzwyczajenia. — Chodzi mi tylko o to, czy inni zobaczą cię w tej postaci. Nie mogłabyś dla mnie być Dweią, a dla nich Emmy?

— To byłoby dość trudne. Może zresztą bym potrafiła, ale po co?

— Bo twoja rzeczywista postać jest nieco przytłaczająca. W końcu wszyscy mamy tu do spełnienia jakieś zadania, a twój boski widok tylko by ich rozpraszał.

Zaśmiała się i impulsywnie zarzuciła mu ręce na szyję.

— Jakiś ty słodki! — wykrzyknęła, całując go znowu. — Chciałbyś zachować mnie tylko dla siebie, prawda?

— No cóż... — uśmiechnął się bezradnie. — To także, ale nadal uważam, że powinniśmy się zastanowić. Trudno się skoncentrować, gdy jesteś w pobliżu, Dweio.

— Bardzo pan uprzejmy.

— Ach, bądźże wreszcie poważna! Myślę, że kroi się problem, z którym trzeba będzie się zmierzyć. Andina i Leitha prawdopodobnie zzielenieją z zazdrości, a próba rozmowy z Eliarem czy Bheidem będzie przypominała wołanie do studni. Po prostu na twój widok ludziom rozum się mąci.

— Przecież nie robię tego umyślnie. Moi bracia i ja żyjemy w innym wymiarze rzeczywistości, a kiedy ukazemy się ludziom, robimy piorunujące wrażenie. Na pewno sobie przypominasz, że pewne przebłyski dawały się zauważyć, kiedy byłam tylko kotką Emmy. Jestem uczuciowa z natury i nie potrafię tego ukryć.

— Wolałbym jednak, żebyś znów przywdziała swoje futerko. Dzieciaki muszą myśleć, a przy nieustannym wschodzie słońca mogą mieć z tym kłopoty.

— To część naszego zadania, Althalusie. Będą musieli się przyzwyczaić. Lepiej zawrócić im w głowie tu i teraz niż w samym środku kryzysu w realnym świecie.

— Może i masz rację — zgodził się bez przekonania Althalus. — Jest jeszcze jedna sprawa. Nie sądzisz, że gdy znajdziemy się poza Domem, będziesz się za bardzo rzucać w oczy? Ściągniesz tylko na nas uwagę.

Wzruszyła ramionami.

— Wtedy znów zostanę kotką Emmy.

— To twój własny pomysł, czy też brat zakazał ci pokazywać się w prawdziwej postaci?

— Zakazał? — niemal się oburzyła.

— Cóż, w końcu jest bogiem.

— Ja także jestem boginią, Althalusie, i nikt mi nie będzie mówił, co mam robić. Kotkę Emmy wymyśliłam sama. Zmieniam się w nią, kiedy chcę użyć podstępów. Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć wszystko o podstępach, które leżą także w mojej naturze. Żaden z moich braci nie musi wiedzieć, co robię, a dzięki podstępom trzymam ich z dala od moich spraw. — Zaśmiała się chytrze. — Ciągle wymykam się Deiwosowi, on nawet nie wie, że ostatnio podróżowałam.

— Jesteście sobie bardzo bliscy, prawda?

— Niezupełnie. Mamy różne zainteresowania, więc nie musimy za wiele rozmawiać. Pozdrawiamy się przy okazji, i tyle.

— Bogowie muszą być bardzo samotni.

— Nieprawda. Zawsze towarzyszą nam myśli. — Rzuciła mu powłóczyście spojrzenie. — A teraz mam jeszcze i ciebie, prawda?

— O tak. Już się mnie nie pozbędziesz. — Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. — Skoro ty i twoi bracia się uzupełniacie, czemu Daeva próbuje wszystko zmienić? Na co on liczy?

— To sięga bardzo daleko w przeszłość — odpowiedziała z namysłem. — Daeva niszczy... ale tylko to, na co Deiwos i ja pozwolimy. Pozostaje mu rola śmieciarza wszechświata, zbiera po nas wszelkie resztki. W pewnym sensie jest bogiem nicości, stąd jego samotność w pustce i ciemnościach. Deiwos znajduje przyjemność w tworzeniu, ja zaś w matkowaniu wszystkiemu, co on stwarza. Ale pustka nie daje radości, dlatego kiedy Daeva nie mógł dłużej znieść swego osamotnienia, upatrzył sobie na towarzysza Ghenda. Uważam, że źle wybrał.

— Żałujesz go, Dweio, prawda?

— Trochę. Jestem znana z miękkiego serca.

Althalus wyjrzał przez okno i zobaczył, że gwiazda poranna już wzeszła.

— Pora budzić dzieciaki... — Nagle podrapał się w podbródek. — Miałaś rację z tym nowym układem sypialni, ale może przydałby się nam jeden wspólny pokój jako jadalnia i miejsce spotkań? Kiedy chłopców od dziewczynek odgradza się wysokim murem, wszyscy starają się wymyślić sposób pokonania przeszkody i poświęcają na to mnóstwo czasu. Jeśli pozwolimy im zbierać się przy wspólnym stole, może nawet będą słuchać twoich nauk. Odrobina kontrolowanej bliskości pomaga utrzymać na wodzy pewne bodźce. Czy mówię z sensem?

— Jak najbardziej, Althalusie. Czasem naprawdę mnie zaskakujesz. Może pójdziesz za ciosem i sam urządzisz jadalnię w pobliżu pokoi sypialnych? Zaczekam tu na ciebie. W ten sposób przygotujesz ich na nowe wydanie Emmy.

— Całkiem niezły pomysł.

— Ach, skoro już mowa o posiłkach, jest jeszcze jedna sprawa.

— Jaka?

— Kiedy siadam przy waszym stole, nie chcę na nim widzieć ryby.

— Myślałem, że uwielbiasz ryby!

— To Emmy je uwielbia, Althalusie. Ja ich nie znoszę.

Althalus urządził jadalnię naprawdę luksusowo. Kosztowało go to nie więcej wysiłku niż przywołanie stołu na krzyżakach i prostych ław, poza tym uznał, że przyjemne otoczenie zachęci „dzieci” do wspólnego spędzania czasu. Miał przeżycie, że jeśli uda im się zacieśnić więzy, zanim ponownie przekroczą most zwozdzony, wszystko inne także pójdzie gładko. Kiedy pokój był już gotowy, zastawił

stół iście królewskimi daniami, żeby „chłopcy i dziewczynki” polubili nowe miejsce, i dopiero wtedy zapukał kolejno do ich drzwi.

Czekał w hallu niczym wyglądający gości oberżysta.

— Pośpieszcie się — upominał ich, kiedy wynurzyli się wreszcie ze swych pokojów. — Emmy czeka na górze, a wiecie, jaka jest zła, gdy się spóźniamy.

— Nie będzie już z nami jadała? — zdziwił się Eliar.

— Nie tym razem. Prosiła, bym was ostrzegł, że nie jest już kotką Emmy.

— Nie? — Eliar był zmartwiony. — Ale ja lubię Emmy!

— Poczekaj, aż ją zobaczysz teraz.

— Chyba nie przybrała swej prawdziwej postaci? — zaniepokoiła się Leitha.

— Ależ tak! Jest teraz Dweią i musicie się do tego przyzwyczaić.

Nagle poczuł, że coś leciutko przeczesuje mu mózg.

— Ach! — wykrzyknęła Leitha i zagryzła wargi.

— Co się stało? — zapytała Andina.

— Czy to naprawdę ona?!

— Mniej więcej — odparł Althalus, — Mam dość dobre oko do szczegółów.

— Ach... — powtórzyła Leitha.

— O co chodzi, Leitho? — dopytywała się zaintrygowana Andina.

— Wyglądamy przy niej jak czupiradła.

— Nie może być aż tak piękna!

— Jest bardziej niż piękna — jęknęła Leitha.

— A może porozmawiamy o tym przy jedzeniu? — zaproponował Eliar, ogarniając głodnym okiem uginający się stół.

— Ma rację — poparł go Althalus. — Jedzmy, bo wystygnie. Potem pójdziemy na górę i przedstawię was Dwei.

— Chyba straciłam apetyt — mruknęła Leitha.

Po śniadaniu podążyli nerwowo za Althalusem do okrągłego pokoju na wieży.

Dweia stała przy marmurowym stole z ręką niby to przypadkiem opartą na Księdze. Miała na sobie białą szatę w antycznym stylu, odsłaniającą ramiona, na które opadała fala włosów w kolorze zachodzącego słońca. W jej twarzy o idealnych rysach kryła się tajemnica.

— Dzień dobry, dzieci — przywitała wchodzących.

Zapanowała uroczysta, niezręczna cisza.

— Naprawdę jesteście naszą Emmy? — zdobył się wreszcie na odwagę Gher.

— Tak. Ukrywałam się jakiś czas pod postacią kotki, ale teraz nie jest to już konieczne. — Posłała Althalusowi chytre spojrzenie z ukosa. — Nasz chwalebny dowódca niepokoił się trochę tą przemianą. Był przekonany, że moja niewysłowiona perfekcja doprowadzi was do utraty zmysłów. — Urwała i przekrzywiła

głowę, jakby pilnie nasłuchiwała. — Dziwne, ale jakoś nikt nie wariuje. Czyżby Althalus się mylił? Czyżby nie doceniał waszego rozumu?

— Dobrze, już dobrze — poddał się Althalus. — Myliłem się, nie musisz mnie zaraz wbijać w ziemię.

— Oczywiście. Wbijanie w ziemię to twoja domena, czyż nie?

— Naprawdę jesteś siostrą boga? — przerwał im Bheid drżącym głosem.

— Zależy, jak na to spojrzeć — odpowiedziała z lekkim uśmiechem. — Z mojego punktu widzenia to Deiwos jest bratem boga. Wprawdzie z pewnością nie myśli tymi kategoriami, ale to już jego problem, prawda? Każdy z naszej trójki — Deiwos, Daeva i ja — patrzy na świat z nieco innej perspektywy. Według mojego osobistego poglądu Deiwos stwarza obiekty, abym je kochała, natomiast Daeva wymiata odpadki.

— To dość nowatorskie podejście — zauważyła Leitha. — Czy wasza boskość prezentowała je braciom?

— Byłaby to strata czasu. Moi bracia są zbyt pochłonięci sobą, by widzieć rzeczywistość taką, jaka jest. Potrafią czasem być naprawdę męczący. — Lekko zmrużyła oczy. — Widzę, że wszyscy przystosowaliście się jakoś do sytuacji, więc bierzmy się do roboty. Przywołaj trochę mebli, Althalusie, będzie nam wygodniej.

— Jak sobie życzysz, Dweio.

— Czy byłabyś w stanie sprawić, by na twej boskiej twarzy ukazało się choćby kilka piegów? — poprosiła Leitha. — Wiesz, Andinie i mnie będzie naprawdę ciężko...

— To nie jest konkurs, Leitho.

— Co za nieżyciowa postawa — mruknęła Andina.

— Jak mamy się do ciebie zwracać? — spytał Bheid, kiedy wszyscy siedzieli już w wygodnych krzesłach „zrobionych” przez Althalusa.

— Czy moje imię nie przechodzi ci przez gardło?

— Niektóre zakony kapłańskie uważają, że nie wolno wymawiać imienia boga.

— Są w błędzie. Ludzie o ciasnych umysłach próbują ukryć swą niekompetencję pod płaszczkiem bezsensownych formalności i niekończących się dysput na temat szczegółów bez znaczenia. Ty stoisz wyżej, bracie Bheidzie, inaczej nie byłoby cię tutaj. Mam imię i proszę, byście go używali. To bardzo krępujące, kiedy ktoś, patrząc w niebo, mówi: „O boże!”. Moi bracia i ja nie mamy nigdy pewności, o które z nas chodzi. — Roześmiała się nagle. — Z tego powodu w Plakandzie powstała kiedyś nowa religia; kiedy wszyscy troje odpowiedzieliśmy jednocześnie na wezwanie pewnego kapłana, uznał to za objawienie i w całym kraju zaczęto ustawiać posągi trójgłowych bożków.

— Niektóre zakony nie uznają posągów boga — wyjaśnił Bheid z zatroskaną miną. — Według nich nikt nie może zobaczyć boga.

— Ale ty mnie widzisz? Prawdę rzekłszy, posągi niewiele nas obchodzą... z wyjątkiem tych koszmarków w Maghu. — Umilkła na chwilę z ręką na Księdze. — Ale za bardzo odbiegamy od tematu. Najlepiej będzie, jeśli wyłożę wam wszystko od początku, i to jak najprościej, żebyśmy wystartowali od jednego punktu. A więc: Deiwos, Daeva i ja istnieliśmy zawsze, ale mamy różne zdania niemal we wszystkich sprawach.

— Masz na myśli wojnę bogów? — spytał Eliar.

— Jest nas tylko troje, Eliarze. Nie nazwałabym tego wojną. Póki nikt poza nami nie był w to wmieszany, nasza niezgoda prowadziła co najwyżej do interesujących sporów. Przy spotkaniach — nieczęstych zresztą — zachowywaliśmy się wobec siebie poprawnie i na tym koniec. Potem pojawili się ludzie i wszystko się zmieniło. Inne stworzenia przyjęły świat taki, jaki zastały, podobnie postąpiła większość ludzi. Znalazło się jednak kilku, którzy zaczęli manipulować... zmieniać świat na swoją modłę. Niektóre z tych zmian były dobre, inne nie. Ale ludzie mają taką naturę, że chcą próbować i przekonać się sami, co z owych doświadczeń wyjdzie.

— Kiedy to wszystko się działo? — spytał Bheid.

— Spory trwają przez cały czas, ale ludzie pojawili się w tej części świata zaledwie dziesięć tysięcy lat temu. Szukali otwartych równin, na których mogliby uprawiać pszenicę. Prawdopodobnie nic nie zmieniło świata w takim stopniu jak pszenica. To gwarancja przetrwania ludzi, poza tym zmusza ich do trzymania się jednego miejsca na tyle długo, by chciało im się budować miasta i wsie. Tak właśnie zaczęła się cywilizacja. Z południa, zza Meusy i Plakandu napłynęły prymitywne ludy. W ich stronach rosły przepastne tropikalne lasy, a wycinanie drzew kamiennymi toporami okazało się dość uciążliwe, więc wyruszyli na północ.

— Dziesięć tysięcy lat temu?

— Mniej więcej. Wtedy nie było porządnego kalendarza, a ja i moi bracia nie przejmujemy się za bardzo czasem. Ghend należał do pierwszych osadników w Medyo. Zawsze miał wysokie mniemanie o własnej osobie, co irytowało jego wodza. Tenże wódz przypominał sobie zwykle o Ghendzie, kiedy należało wykonać jakąś nieprzyjemną robotę i nigdy nie był zadowolony z rezultatów, bez względu na to, jak bardzo Ghend się starał. Niechęć rozwijała się jak dobrze nawadniany chwast i wkrótce przerodziła się w nienawiść. To ponura historia, powtarzana w kółko przez całe stulecia. Wyolbrzymione ponad wszelką miarę poczucie własnej wartości sprawiło, że Ghend nie dostrzegał, jak absurdalnie się nieraz zachowuje. Myślę, że gdyby potrafił się z siebie śmiać, sprawy przybrałyby zupełnie inny obrót, ale on nie był do tego zdolny i w ten sposób otworzył drzwi Daevie. Nie minęło wiele czasu, a Daeva zaproponował mu chwałę, władzę i nieśmiertelność, Ghend zaś skwapliwie wyraził zgodę. Potem, aby zaciśnąć jeszcze

mocniej dłoń na jego duszy, Daeva zabrał nowego sługę do Nahgharashu, gdzie przekupił go jeszcze bardziej.

— Nie, nie — wtrąciła się Leitha. — Wcale nie tam.

— Więc gdzie? Przecież Nahgharash to siedlisko władzy Daevy.

— Chyba nigdy nie słyszałem tej nazwy — mruknął Eliar.

— To takie miejsce w Nekwerosie — wyjaśniła mu Leitha. — Jest ukryte głęboko pod ziemią i pełne niewysłowionej grozy.

— Tylko dlatego, że Daeva tego chce — dodała Dweia. — Daeva usiłował Ghenda zniewolić, więc spełniał dosłownie każde jego życzenie. Dla Ghenda zatem Nahgharash to miejsce niekończącej się rozkoszy. Z początku Daeva zachowywał się wobec niego jak sługa, ale kiedy trzymał już mocno w garści jego duszę, wszystko się zmieniło. Czas w Nahgharashu nie ma żadnego znaczenia, a mój brat jest nieskończenie cierpliwy, dlatego gdy Ghend odjeżdżał, to on był sługą, a Daeva panem.

— Czy jego oczy naprawdę palą się tak jak w naszym śnie w Awes?

— O tak — odpowiedział Althalus. — Ghend samymi oczami może oświetlić ścieżkę w najciemniejszym lesie.

— To znak Daevy — szepnął konfidencko Bheid.

— Niezupełnie — zaprzeczyła Dweia. — Ogień w oczach Ghenda pochodzi od niego samego, nie od Daevy. Zresztą gdy tylko Daeva przejął całkowitą władzę nad Ghendem, wysłał go do Medyo z tym samym poleceniem, jakie Althalus odczytał na Nożu.

— „Poszukiwanie”? A czego on miał tam szukać? — zdziwił się Althalus.

— Tego samego co ty, mój drogi. Byli tam pewni ludzie, których Daeva potrzebował, więc kazał Ghendowi ich odszukać. Spotkaliśmy ich po drodze, więc wiesz, kim są.

— Pekhal i cała reszta?

— Właśnie. Pekhal był pierwszy i łatwo dał się skaptować. Stało się to dziewięć tysięcy lat temu, kiedy Ghend wyjechał z Nahgharashu do Medyo. Pekhal czaił się na obrzeżach kilku wiosek w środkowej części Medyo, zabijając każdego, kto miał przy sobie coś o choćby najmniejszej wartości: ubranie, jedzenie, broń. Potrafił nawet mordować takich, którzy nie posiadali nic... jeśli przypadkiem był głodny.

— Chyba nie mówisz poważnie! — wykrzyknęła Andina.

— Takie rzeczy zdarzały się dawniej częściej, niż przypuszczamy, a poza tym Pekhal był absolutnym dzikusiem. Ghend za pomocą swej Księgi ujarzmił go, a potem pozyskał, zapewniając mu różne przyjemności i rozrywki, o których lepiej nie wspominać.

— Czy widziałeś go kiedy, mistrzu Althalusie? — spytał Gher.

— Emmy i ja natknęliśmy się na niego w Arum, kiedy szukaliśmy Noża. Mimo upływu tylu lat wcale się nie poprawił.

— Powinniście go zabić, skoro nadarzyła się okazja!
— Nie pozwolono mi na to. Zdaje się, że nie pasowało to do planów Emmy.
— Dobrze wiesz, że wcale nie dlatego — powiedziała Dweia.
— Skoro tak mówisz, najdroższa... A kogo Ghend zwerbował, kiedy już Pekhal znalazł się w jego mocy?

— Khnoma. Ale to się stało dopiero po przeniknięciu Medyów do Wekti, Plakandu i Equero. Ta ekspansja zajęła im półtora tysiąca lat, lecz Ghend czekał cierpliwie. Khnom mieszkał w Ledanie, na terytorium Equero, i był notorycznym oszustem. Handlował głównie lnem, ale w belach materiału, które wymieniał na inny towar, znajdowały się spore domieszki chwastów. W końcu obywatele Ledanu wyrzucili go z miasta i ogłosili wszem wobec, że nie jest godzien zaufania. Zamknięto przed nim bramy, a możliwości przetrwania dla wyrzutka społeczeństwa były w owych czasach bardzo nikłe. Ghend i Pekhal odnaleźli go w zarosłach nad jeziorem w stanie bliskim śmierci głodowej. Ghend pozyskał Khnoma bez najmniejszego trudu.

— W Awes widzieliśmy go, jak sprzedawał garnki i patelnie — przypomniał sobie Eliar.

— Tylko udawał, że sprzedaje — sprostował Althalus. — W gruncie rzeczy miał oko na nas.

— Khnom to urodzony oszust. Potrafi na zawołanie zmieniać twarz i sposób bycia. Czasem jest bardzo sympatyczny i łaskawy, ale tylko dureń by mu ufał.

— Ta historia zaczyna się robić interesująca — rzekł z entuzjazmem Gher. — A kogo zwerbował jako następnego?

— Gelte.

— Dame w żelaznej koszuli, której koń stoi na chmurach?

— Tak, to ona. Była królową rycerskiego klanu w Ansu przed sześcioma tysiącami lat.

Bheid zmarszczył brwi.

— To chyba dość niezwykle jak na Ansu? Jak wiem, mężczyźni w tamtych stronach nie wierzą, że kobieta jest człowiekiem.

— Przecież ją widziałeś — przypomniała mu Dweia. — Jest rośła jak chłop i znacznie bardziej okrutna. To prosta baba o ospowatej twarzy z wielkim nosem. Wychowała się w rycerskiej kompanii swego ojca, więc rozumuje bardziej po męsku niż po damsku. Do tronu doszła, brodząc we krwi, i nikt, kto odważy się wspomnieć o jej płci, nie dożywa zachodu słońca.

— Jak Ghendowi udało się zwerbować taką kobietę? — spytał Bheid.

— Ofiarował jej władzę. Gelta ma potężny apetyt i jest znacznie bardziej żądna władzy od innych. W zamian za duszę Ghend obiecał jej imperium i dominium, toteż Gelta uznała, że robi dobry interes.

— Kto był następny? — spytał Eliar.

— Zanim znaleźli następnego, minęło tysiąc lat — odparła Dweia. — Po religijnych wojnach w piątym tysiącleciu i doprowadzeniu do upadku Medyo w potęgę urosło Imperium Deikanu. Na początku szóstego tysiąclecia żył w mieście Deika kapłan equeroskiego boga Apwosa. Nazywał się Argan i gwałtownie zwalczał poglądy swego arcykapłana w kwestii pewnych aspektów astrologii. Ostatecznie arcykapłan kazał mu się pokajać, ale Argan odmówił, a wtedy przełożony użył swej władzy i pozbawił go godności kapłańskiej.

— Dobry boże! — wykrzyknął Bheid. — To straszne!

— Argan też tak uważał. Zabrano mu sens życia, więc popadł w absolutną rozpacz. Dla Ghenda był jak dojrzałe jabłko, które wystarczy zerwać z drzewa.

— Czy rzeczywiście istnieje bóg imieniem Apwos? — spytał Gher.

— To tylko inna nazwa Deiwosa — wyjaśniła Dweia. — „Apwos” znaczy „bóg wody”, a „Kwerdhos” — „bóg stad”. Medyowie patrzyli w niebo, Equerosi na swoje jeziora, a Wektijczycy i Plakandowie na stada owiec i krów. Używali innych imion, ale mieli na myśli tego samego boga.

— A zdawali sobie z tego sprawę?

— W gruncie rzeczy nie. — Dweia wzruszyła ramionami. — Odkąd to wszystko się zaczęło, nadano mi z tuzin imion... Ostatni nabytek Ghenda żył w Regwos trzy tysiące lat temu i miał ten sam dar co Leitha.

— Raczej nie nazwałabym tego darem — zaprotestowała bladolica dziewczyna.

— Koman jest innego zdania. Regwos to biedny kraj, z początku skolonizowany przez Osthos, lecz ziemia tam marna i mało w niej złota.

— Nadal mamy kilka osad na wybrzeżu — dodała Andina — ale kosztują nas więcej, niż możemy z nich wycisnąć. Są dla nas tylko ciężarem.

— Koman używał swego daru do pozyskiwania sekretów, które następnie sprzedawał — ciągnęła Dweia. — Pewnego dnia spotkał Ghenda i spodobało mu się to, co wyczytał w jego myślach. Nie musiał być werbowany, zgłosił się na ochotnika. — Uśmiechnęła się nagle. — Althalus zachował się okrutnie wobec biednego Komana. Leitha doceniłaby to bardziej niż ktokolwiek z was.

— Emmy mnie ostrzegła, że Koman spróbuje przeniknąć do mojego umysłu — wyjaśnił Althalus. — Kazała mi liczyć, ale nie po kolei, tylko na przykład: raz, dwa, trzy, siedemnaście, dziewięć, czterdzieści trzy i tak dalej. Ja, dla urozmaicenia, wprowadziłem dodatkowo ułamki: siedem i pięć ósmych, dziewięćdziesiąt dwa i dwanaście trzydziestych drugich, potem jeszcze kilka innych kombinacji. Ale Koman z jakiegoś powodu nie uznał tego za śmieszne.

Leicie oczy się rozszerzyły. Zadrżała.

— Proszę cię, Althalusie, przyrzeknij, że nigdy, przenigdy mi tego nie zrobisz!

— Czy to aż takie bolesne? — zainteresowała się Andina.

— To obrzydliwe! — Leitha znów zadygotała. — Jak Koman zareagował na twój postępek?

— O ile pamiętam, zmiatał, aż się kurzyło, używając przy tym dość barwnego języka.

— Czy nie czas na obiadek? — zmienił temat Eliar.

— Przecież niedawno było śniadanie — przypomniała mu Andina zadziwiająco łagodnym głosem, bez cienia dawnej wrogości.

— Wiem, że drażnię was, kiedy ciągle mówię o jedzeniu — usprawiedliwił się Eliar z zakłopotaną miną — ale co ja na to poradzę, skoro już w godzinę od posiłku umieram z głodu?

— Dlaczego nie schowasz sobie czegoś do kieszeni? — podsunął mu Gher. — Wtedy w razie potrzeby mógłbyś sobie coś skubnąć.

Na twarzy Eliara ukazał się wyraz najwyższego oburzenia.

— Jak bym śmiał?! Ja miałbym jeść, a wy nie? To dowód fatalnego wychowania!

W tym momencie wieża zatrzęsała się od perlistego śmiechu Andiny.

ROZDZIAŁ 17

Dom dla nowo przybyłych był obcym miejscem, lecz Althalus czuł się jak w rodzinnym gnieździe, do którego z przyjemnością wrócił. Dweia kontynuowała bez pośpiechu swe wykłady z dziejów świata, on jednak nie słuchał zbyt pilnie, gdyż uważał, że dostatecznie dużo już wie. Skoro Dweia chce marnować czas na lekcje historii, to jej sprawa, zresztą i tak nie ruszą się stąd do wiosny.

Po kilku tygodniach przyszedł mu nagle do głowy osobliwy pomysł. Zaczekał, aż znajdą się sami na wieży, i dopiero wtedy podzielił się nim z Dweia.

— Dom zbudował Deiwos, prawda?

— Powinieneś powiedzieć: „stworzył”, nie „zbudował”. To znaczy całkiem co innego.

— Czy ci go podarował?

— Nie, podwędziłam mu go.

— Dweio!

— Zaciekało cię to, prawda? — zaśmiała się Dweia. — Deiwos przybył tu, aby wymyślić różne rzeczy i puścić w ruch gwiazdy mocą swego umysłu. Potem wyruszył z powrotem, zostawiając Dom pusty. Ponieważ nikt go odtąd nie używał, po prostu się tu wprowadziłam. . . jako kotka Emmy.

— A co będzie, jeśli Deiwos zechce go odzyskać?

— Nie mów takich strasznych rzeczy! Teraz Dom jest mój. Jeśli Deiwosowi potrzebny będzie jakiś dom, to stworzy sobie inny w innym miejscu. . . może na księżycu?

— Czy on zna twoje uczucia względem niego?

— Powinien. Mówiłam mu o nich dostatecznie często. Zrobił ten świat, zaludnił i na tym kończy się jego zadanie. Teraz świat jest mój, a Deiwosa mam pod pantoflem.

— Nie wyjedziemy stąd aż do wiosny, prawda?

— Nie tylko pora roku się liczy, skarbie. Powinieneś już o tym wiedzieć. Wyjedziemy, kiedy będziemy gotowi.

— Przecież nie możemy podróżować w środku zimy.

— O ile się założysz? — spytała z chytrym uśmiechem.

— Wkrótce spadnie piętnaście stóp śniegu, a słońce schowa się na dobre. Będziemy uziemieni.

— Niezupełnie, Althalusie, niezupełnie. Patrz i ucz się, skarbie.

— To doprawdy irytujące, Em!

— Cieszę się, że ci się to podoba.

— Długo to jeszcze potrwa, mistrzu Althalusie? — spytał Gher cicho kilka dni później, przy obiedzie.

— Jakie „to”?

— No... te tam historie, co kto zrobił przed tysiącami lat w miejscach, o których nigdy nie słyszałem. Nie musisz powtarzać Emmy, ale zaczyna mnie to okropnie nudzić. Kogo obchodzi, co wydarzyło się w Imperium Deikanu pięć tysięcy lat temu?

— Zaszedłem tam kiedyś, wiesz? Zanim jeszcze Emmy dostała mnie w swoje łapki. Kupcy deikańscy słynęli z bogactwa, ale brakowało im rozumu. Pomyślałem sobie, że dla kogoś mojej profesji to znakomita gratka. Głupi bogacze rozpalili moją wyobraźnię niemal do białości.

— I co się stało?

Althalus opowiedział mu mocno ubarwioną wersję przygody w domu Kwesa. Gher okazał się idealnym słuchaczem i Althalus doskonale się bawił, póki Dweia nie obwieściła, że czas wracać do pracy.

Idąc po schodach na górę, zauważył dziwny uśmiezek na twarzy Andiny i przypomniał sobie, że zanim usiedli do obiadu, arya szeptała o czymś z Dweia. Najwyraźniej coś się kłuło.

— Czegoś tu nie rozumiem — powiedział Bheid, kiedy Dweia powtarzała raz jeszcze historię Treborei. — Kilka razy wspominałaś, że linia brzegu południowego morza nie była zawsze taka sama.

— Owszem.

— Jak można zmienić linię brzegu? Zawsze uważałem, że takie rzeczy jak góry i linie brzegów są nienaruszalne.

— Ależ nic podobnego! — zaśmiała się Dweia. — Zmieniają się cały czas. Świat jest w stanie ciągłej płynności. Góry wznoszą się i opadają jak fale przypląwu. Najdrobniejsza zmiana klimatu potrafi pociągnąć za sobą zmianę linii brzegu na przestrzeni setek mil. Człowiek nie żyje dostatecznie długo, by zauważyć te zmiany, ale one jednak następują. Na południowym wybrzeżu morze stopniowo się cofa już od dwóch tysięcy lat. — Obróciła się i wskazała północne okno. — Wszystko przez ten lód.

— Jak lód z dalekiej północy może wpłynąć na linię południowego wybrzeża?

— Lód jest zamrożoną wodą, prawda?

— Jasne.

— A wody jest tyle, ile jest. Jej ilość się nie zmienia. Z jednej części powstają morza, druga paruje, tworząc chmury, a potem deszcze, trzecia zaś jest uwięziona w lodowcach. Kiedy robi się chłodniej, lodowce zaczynają się rozrastać, zagarniając coraz więcej zasobów wody. Jest coraz mniej chmur, deszcze przestają padać i powierzchnia mórz się obniża, a wtedy zmienia się linia wybrzeża. Południowe morza zawsze były płytkie, więc kiedy ilość wody się zmniejsza, odsłania się coraz więcej lądu.

— Cudowne są dzieła boże — powiedział sentencjonalnie Bheid.

— Mój brat na pewno ucieszyłby się z twych słów — zauważyła sucho Dweia.

— Deivos jest wszechmocny.

— Mówiłam o moim drugim bracie.

Bheid spojrział na nią ze strachem.

— Te akurat zmiany pogody są dziełem Daevy — tłumaczyła. — Żyjemy w interesujących czasach. Daeva zebrał swoją drużynę, a ja swoją. Stoimy u progu wojny, mój Bheidzie. Daeva robi wszystko, żeby dać Ghendowi szansę zwycięstwa. Morza się kurczą, a kiedy te lodowce ruszą z posad, z gór zostaną najwyżej nikłe pagórki. Susza przyniesie głód, imperia upadną, czy to nie ekscytujące?

— To oznacza koniec świata!

— Chyba że my wygramy.

— Napełniła cię rozkosznym poczuciem ważności, co? — zauważyła ironicznie Leitha. — Ratuj świat, chłopcze! Ratuj!

— Dość tego, Leitho — ofuknęła ją Dweia.

— To także świetna okazja, by zdobyć wyższe stanowisko — wyjaśniła bladolica dziewczyna.

— Czy nie zbliża się pora... — zaczął Eliar.

Tuż przy nim siedziała Andina. Althalus zauważył, że przez całe popołudnie nie spuszczała wzroku z młodego Arumczyka. Teraz włożyła mu w dłoń wielki kawał sera. Eliar niemal odruchowo zaczął jeść.

Uśmiezek Andiny robił wrażenie wschodzącego słońca.

Dweia rzuciła Althalusowi szybkie spojrzenie i po chwili zamruczała mu w głowie:

Widziałeś?

Jasne. Ty jej to poleciałaś?

W zasadzie sama na to wpadła. Trzyma pod krzesłem torebkę z różnymi smakołykami. Za każdym razem, kiedy Eliarowi zaczyna burczeć w brzuchu, Andina go dokarmia. Jeśli uważnie się przyglądałeś, to pewnie zauważyłeś — on nawet nie zdaje sobie sprawy, że je. Andina twierdzi, że wynalazła ten sposób, aby powstrzymać Eliara od ciągłego przeszkadzania, ale według mnie, nie tylko. W pewnym sensie chodzi jej o to samo co wtedy, gdy zabrała się do strzyżenia Ghera.

*Skomplikowana jest ta mała, co?
Owszem, skomplikowana. I bardzo zabawna.*

— Althalusie, jak długo już tu jesteśmy? — spytał Eliar po kilku dniach, kiedy szli do pokoju na wieży.

— Co najmniej miesiąc.

— Tak przypuszczałem. Czy na zewnątrz dzieje się coś dziwnego?

— Dziwnego?

— Dni powinny być coraz krótsze, ale chyba nie są.

— To Dweia się zabawia.

— Nie rozumiem.

— Ja też nie. Ona coś majstruje przy czasie. Najbardziej prawdopodobne jest to, że przeżywamy ciągle ten sam dzień... chociaż za każdym razem nieco inaczej.

— Powiedziałbym, że to wykluczone, ale co mi z tego przyjdzie?

— Niewiele. Ghend krąży w pobliżu, więc musimy być czujni i psuć mu szyki, gdy tylko spróbuje działać. Niestety, nie jesteśmy jeszcze gotowi, dlatego Dweia sprowadziła nas do Domu na Końcu Świata. Czas płynie tutaj tak, jak ona sobie życzy. Jeśli będziemy potrzebowali lat, by się przygotować, ona je nam zapewni. Gdybyśmy jednak stąd wyszli, okazałoby się, że od naszego przyjazdu minęły najwyżej dwa dni.

— Tylko drobnostka: bylibyśmy starsi o piętnaście lat.

— Nie. Eliarze, to nie tak działa.

— Nie rozumiem.

— Nie ty jeden.

— Leitho, przestaniesz wreszcie podsłuchiwać? — zdenerwowała się Dweia tego samego ranka.

— Nie panuję nad tym — westchnęła wioskowa czarownica. — Chciałabym przestać, ale wystarczy, że na kogoś spojrzę albo usłyszę strzęp rozmowy, aby to coś, czymkolwiek jest, robiło swoje. Potem mówi ktoś inny, a to coś idzie w ślad za nim, chociaż ja wcale nie chcę.

Dweia otworzyła Księgę.

— Zaraz coś z tym zrobimy. Twój dar, jeśli chcemy pozostać przy tym określeniu, jest tak rzadki, że kompletnie wymyka się spod kontroli. — Przewróciła kilka stron i najwyraźniej znalazła to, czego szukała. — O, proszę. — Podniosła jedną z kart. — Oto jak Deiwos radził sobie z tym problemem. Jego rozwiązanie jest prostsze niż moje, więc może od niego zaczniesz. Później pokażę ci, jak sama postępuję.

— Spróbuję wszystkiego — zapewniła gorączkowo Leitha. — Nie chcę tego daru. — Wzięła od Dwei szeleszczącą kartę pergaminu i przyjrzała się jej uważnie. — Chyba nie zdołam odczytać. Litery są jakieś inne... Nic z tego nie rozumiem.

— To bardzo archaiczne pismo — wyjaśniła Dweia. — Ale jest szybszy sposób. Połóż na Księdze kartę, a na karcie dłoni.

— Mam czytać dłonią? — spytała Leitha z niedowierzaniem.

— Chyba że wolisz użyć stopy. Po prostu spróbuj.

Jasnowłosa dziewczyna umieściła z wahaniem kartę na Księdze i przykryła dłonią. Po chwili w jej niebieskich oczach błysnęło zrozumienie.

— To nie może być aż tak proste! — szepnęła.

— Czemu nie miałybyś się przekonać? — zasugerowała jej Dweia.

Leitha usiadła i zamknęła powieki. Na jej twarzy malował się niemal niezmierny spokój. Nagle otworzyła szeroko oczy i gwałtownie wciągnęła powietrze.

Potem przeraźliwie krzyknęła.

— Posunęłaś się za daleko, Leitho — wyjaśniła Dweia. — I nieco za szybko.

— Tylko pustka! — powiedziała Leitha drżącym głosem. — Nic tam już nie ma!

— Za wysoko się wzniosłaś, moja droga. Chcesz iść w górę, ale nie aż tak. Powinnaś to sobie przećwiczyć, żebyś mogła sterować swoim darem. Skieruj go tuż nad głowy tych, co są wokół ciebie; nadal będziesz słyszeć ten lekki pomruk, który towarzyszy ci przez całe życie, ale nic poza tym. Dopiero gdy sama zechcesz, wycelujesz dar w wybraną osobę i poznasz tylko jej myśli.

Leitha zadygotała.

— A co to za straszna pustka?

— To odgłos nicości. Skierowałaś swój dar na sufit.

— Czy ktoś oprócz was rozumie, o co tu chodzi? — spytał z urażoną miną Eliar.

— Leitha ma dodatkową parę uszu, to wszystko — odparł Gher. — Słyszemy nasze myśli, nawet jeśli nie chce, więc Emmy z nią ćwicz, jak kierować te uszy w inną stronę. Każdy to może pojąć.

Leitha rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

— A ty skąd o tym wiesz?

— Nic nie wiem — wyznał Gher — ale wydało mi się to sensowne. Zresztą ja ci się wymykam, i to od samego początku.

— Wymykasz?

— Wyczuwam, kiedy to robisz, o pani, i zaraz schodzę ci z drogi.

Dweia patrzyła na niego w kompletnym osłupieniu.

— No, no... — mruknął Althalus.

— Co to miało znaczyć? — spytała go Dweia.

— Nic, najdroższa — odpowiedział z niewinną miną. — Zupełnie nic.

— Czy już nie pora na... — zaczął swoje Eliar.
Andina szybko podała mu cząstkę jakiegoś owocu i chłopak zamilkł.

— Zabaw ich jakoś, skarbie — prosiła Dweia Althalusa. — Będę zabierała każdego po kolei na rozmowę, żeby wyjaśnić im pewne sprawy.

Rzucił jej zaciekawione spojrzenie.

— Tak będzie szybciej, Althalusie. W cztery oczy chętniej otworzą przede mną serca. Takie rozmowy przy wszystkich bywają krępujące. W końcu każdy ma jakieś sekrety.

— Widzę, że nie odpowiada ci koncepcja powszechnej spowiedzi.

— To jeden z najgłupszych ludzkich pomysłów. Publiczne trąbienie o swych grzechach to ekshibicjonizm. Niczemu nie służy i tylko traci się czas.

— Zdawało mi się, że mamy mnóstwo czasu.

— Ale nie aż tyle.

— O czym oni rozmawiają, mistrzu Althalusie? — spytał Gher, patrząc na Dweię i Bheida, którzy siedzieli przy stole nad otwartą Księgą.

— Przypuszczam, że Dweia oczyszcza mu umysł z kilku błędnych koncepcji. Bheid kształcił się na kapłana i astrologa, ma głowę nabitą różnymi bzdurami.

— Czy ktoś naprawdę wierzy w te astrologiczne historie?

Althalus wzruszył ramionami.

— Ludzie chcą wiedzieć, co się stanie w przyszłości. Szukają odpowiedzi w astrologii i chociaż nic z tego nie wychodzi, nie przestają w nią wierzyć.

— Czy to nie głupota?

— W pewnym stopniu tak, lecz większość ludzi po prostu musi w coś wierzyć. Zdarzają się wprawdzie tacy, co nie wierzą, ale należą do rzadkości.

— Ja tam nigdy specjalnie nie wierzyłem. Słońce pewnie i tak jutro wzejdzie, po zimie nastąpi wiosna, a wszystko inne to kwestia przypadku.

— Jesteś całkiem bliski prawdy, powiedziałbym. Ja wierzyłem w szczęście, ale Dweia mnie z tego wyleczyła.

Nagle Gher zachichotał.

— Andina znów to zrobiła! A Eliar nawet nie wie, że ona go podkarmia, prawda?

— Raczej nie — zgodził się Althalus. — Eliar to miły, nieskomplikowany chłopak. Póki ma co jeść, nie zadaje pytań, a nawet nie zwraca uwagi, co się wokół niego dzieje.

— Ja tylko nie rozumiem, po co ona to robi. Kiedy do was dołączyłem, wcale go nie lubiła, a teraz tak się nad nim trzęsie...

— Matkuje mu po prostu. Mnóstwo kobiet tak się zachowuje. Z początku go nienawidziła, ale teraz zmieniła zdanie.

— Dobrze, że przynajmniej mnie dała spokój. Już mnie zaczynało wkurzać to ciągłe podstrzyganie.

Po kilku dniach Dweia zostawiła Bheida nad Księgą i zajęła się Andina. Niektóre z ich dyskusji wszyscy świetnie słyszeli. Wprawdzie arya Osthosu była piękną młodą damą, ale jej emocje oscylowały w kierunku wybuchu. Chociaż Nóż zalecił jej posłuszeństwo, zupełnie to do niej nie pasowało.

Althalus ustawił sobie krzesło przy drzwiach i prawie cały czas dyskretnie obserwował towarzyszy.

— Co robisz, skarbie? — spytała go Dweia pewnego popołudnia, kiedy zostali sami w pokoju na wieży.

— Patrę i uczę się, Em. Czyż nie to właśnie mi przykazałaś?

— I czego zdołałaś się nauczyć?

— Mam tu dość dziwną kolekcję ludzi, kiciuniu. Wcale nie są tacy, jak się wydaje na pierwszy rzut oka. Z wyjątkiem jednego Ghera nie są zadowoleni ze swoich zadań. Andina nie znosi nawet słowa „posłuszeństwo”, a Eliar bardzo się niepokoi, że ma „prowadzić”. Przecież nie dowodził dotąd żadną armią.

— W jego sytuacji „prowadzenie” oznacza co innego, ale wkrótce do tego dojdziemy. A czego dowiedziałeś się o innych?

— Może zbyt ostro traktujesz Bheida. Odkąd odebrałaś mu astrologię, jest nieco wytracony z równowagi. Nie wie, w co ma wierzyć... jeszcze trochę, a nie będzie wierzył w nic. Jest przekonany, że „oświecanie” oznacza głoszenie kazań, a trudno głosić kazania o niczym.

— Nie wszystko jeszcze rozumie, ale i na to przyjdzie czas. A co z Leithą?

— O nią naprawdę się martwię. Ma pogodny wyraz twarzy, wygłasza mądre uwagi, lecz na Nożu odczytała coś, czego nie powinna. Inni nie są całkowicie pewni, czy dobrze zrozumieli napis, ale Leitha wie dokładnie, co ma robić, i wcale jej to nie cieszy. I tak miała ciężkie życie, a teraz uważa, że będzie jeszcze gorzej.

— Jest silniejsza, niż na to wygląda. W pewnym momencie będzie potrzebowała pomocy, więc bądź w pobliżu.

— Jesteś bardzo tajemnicza, Em.

— Polecono ci „poszukiwanie”. Na pewno znajdziesz sposób, by jej pomóc... jeśli będziesz pilnie szukał.

Dweia i Gher siedzieli przy wschodnim oknie, pogrążeni w rozmowie. Przy południowym — Eliar opowiadał Andinie wojenne historie, ona zaś najwyraźniej udawała głęboki podziw, od czasu do czasu podtykając mu jakiś kasek. Leitha i Bheid pilnie studiowali Księgę. Ponieważ wszyscy byli zajęci, Althalus miał trochę czasu dla siebie. Stał przy północnym oknie, patrząc na lodowe góry za

Krańcem Świata. Mimo wszystko, co powiedziała mu Emmy, nadal nazywał tak w duchu ów uskok. Lepiej się czuł z myślą, że świat ma określone granice. Nie przywiązywał wielkiej wagi do słowa „nieskończoność”.

— Nadal uważasz mnie za czarownicę? — dobiegło go pytanie Leithy skierowane do Bheida.

— Oczywiście, że nie. Skąd ten pomysł? — oburzył się kapłan.

— Wiem, że mnie nie lubisz.

— To śmieszne, Leitho. Przeciwnie, bardzo cię lubię. Miło mi w twoim towarzystwie.

— Przez ciebie czuję się jak mebel.

— Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

— Jesteś jak dotąd jedynym mężczyzną, który nie dostrzega we mnie kobiety.

— Ależ dostrzegam. Wprawdzie nie jest to takie ważne dla naszych zadań, a jednak dostrzegam.

— Ale nie myślisz o tym. — Westchnęła. — Odkąd wyrosłam z lat dziecińczych, mężczyźni z naszej wioski patrzyli na mnie w szczególny sposób i miewali na mój temat pewne myśli.

— Takie jak miewał kapłan Ambho?

— Właśnie. I wszyscy inni także.

— Bo jesteś piękna.

— Dziękuję, bardzo pan uprzejmy.

— Skąd wzięło się przekonanie, że cię nie lubię?

— Bo nie masz takich myśli.

— Leitho, one są złe. Kapłani mają obowiązek odsuwać je od siebie.

— Ach, to pewnie dlatego. Ale mnie jest z tego powodu bardzo nieprzyjemnie. Tłumisz te myśli w sobie, gardzisz nimi, a skutek jest taki, że na ich miejsce wkrada się nienawiść. I chociaż ta nienawiść dotyczy tylko myśli, ja odnoszę wrażenie, że skierowana jest do mnie.

— Absolutnie nie o to mi chodziło.

— Chyba mam pewne rozwiązanie.

— Z przyjemnością posłucham.

— Rozluźnij nieco ów stalowy pancerz i uwolnij kilka z tych złych myśli.

— Co?!

— No... nie tych bardzo złych. To byłoby krępujące dla nas obojga. Ale parę pikantnych fantazyjek nikomu jeszcze nie zaszkodziło. — Uśmiechnęła się zniechęcająco i pokazała na palcu, o jak małe fantazyjki jej chodzi. — Takie drobnostki nie pogwałcą twojego ślubu, a ja przynajmniej będę wiedziała, że widzisz we mnie kobietę. Musisz dążyć do „umiarkowanej nieprzyzwoitości”, wtedy na pewno nie zasłużysz na potępienie, a mnie będzie znacznie przyjemniej.

Bheid przyglądał się jej przez chwilę i nagle się uśmiechnął.

— Oczywiście, Leitho. Chyba uda mi się doprowadzić do „umiarkowanej nieprzyzwoitości”, skoro dzięki temu poczujesz się lepiej. W końcu od tego ma się przyjaciół, prawda?

Odpowiedzią był promienny uśmiech.

Nie wtykaj w to nosa, Althalusie — rozległ się mruczący głos Dwei.

Jak sobie życzysz, najdroższa.

— Napór lodowców spowodował suszę, która stała się przyczyną wielkiego zamieszania na południowych lądach — opowiadała Dweia kilka dni później. — Na nic bowiem zda się bogactwo i potęga wielkich miast, jeśli nie ma co jeść. Chaos jest sprzymierzeńcem Ghenda, a wywołują go lodowce.

— Mówiłaś mi kiedyś, że to już się zdarzało.

— Tak, ostatnio w czwartej erze lodowcowej przed paroma milionami lat. Takie bywają skutki zmian w schematach pogodowych albo w ruchu prądów oceanicznych. Ale obecnie spowodował Daeva. Najistotniejszą częścią planu Ghenda jest doprowadzić do kompletnego upadku różnego imperia na południu. Wtedy ludzie pójdą za każdym, kto zaoferuje stabilizację. Cywilizowany świat stoi nad przepaścią, a na horyzoncie majaczy widmo powszechnej rewolucji.

— Mój lud nigdy nie powstanie przeciwko mnie! — wykrzyknęła Andina.

— Nie byłabym tego taka pewna — sprzeciwiła się Dweia. — Ghend już teraz przy pomocy swoich ludzi buntuje mieszkańców Osthosu. Wasza wojna z Kanthonem jeszcze bardziej mu to ułatwiła.

— Nie myśmy wszczęli tę wojnę.

— Wiem. Althalus i ja poznaliśmy w drodze do Osthosu sierżanta Khalora, który ciągle powtarzał, że aryo Kanthonu to półgłówki. Gdybyśmy zechcieli przyjrzeć się bliżej tej sprawie, okazałoby się, że za większością militarnych decyzji owego arya stali poplecznicy Ghenda.

— Sierżantowi Khalorowi nie podobała się ta wojna — dodał Eliar. — Mógłby wymienić przywódcy Kanthonu mnóstwo interesujących imion.

Ogromne oczy Andiny zwięziły się domyślnie.

— Czy to znaczy, że tak naprawdę mojego ojca niecień zamordował Ghend?

— W każdym razie on ponosi odpowiedzialność za tę śmierć — przyznała Dweia.

— Eliarze... — odezwała się Andina najbardziej uwodzicielskim tonem.

— Tak, Andino?

— Czy zechcesz dla mnie pracować?

— Nie bardzo rozumiem.

— Potrzebny mi jest natychmiast świetnie wyszkolony żołnierz. Dobrze zapłacę... pieniędzmi i innymi dobrami — położyła dłoń na jego nagim kolanie.

— Muszę porozmawiać z moim wodzem, ale pewnie jakoś się dogadamy. Co konkretnie miałbym robić?

— Byłabym ci nieskończenie wdzięczna, gdybyś wytropił Ghenda i rozsiał go na kawałki... w mojej obecności. Chcę krwi, Eliarze, dużo, dużo krwi. Chcę słuchać głośnych, bardzo głośnych wrzasków. Jak myślisz, ile mnie to będzie kosztowało?

— Nawet mi przez myśl nie przeszło, by brać od ciebie pieniądze. Przecież jesteśmy przyjaciółmi, więc jak mógłbym kazać sobie płacić za zwykłą drobną przysługę?

Andina pisnęła z radości. Zarzuciła Eliarowi ręce na szyję i pocałowała go namiętnie.

— Czyż nie jest najmiłszym chłopakiem na świecie?

Następnego dnia Dweia wyglądała na pogrążoną w myślach. Siedziała przy marmurowym stole z ręką na Księdze i patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem.

Althalus z innymi weszli cicho i zajęli miejsca.

— Proszę wszystkich o pilną uwagę — odezwała się Dweia. — Wiecie już, jak „używa się” Księgi, wiecie także, jak Eliar „używa” Noża. Teraz nadszedł czas, abyście się nauczyli, jak „używać” Domu. — Wstała i przyjrzała się im uważnie. — To może okazać się trudne, a pewne rzeczy, które zamierzam wam powiedzieć, niemożliwe do zaakceptowania. A jednak musicie mi zaufać. Kilka razy wspominałam, że Domu tak naprawdę tu nie ma, ale to nie jest cała prawda. Dom tu jest, ale jest też wszędzie indziej.

— Chcesz powiedzieć, że się przenosi? — spytał Gher.

— Niezupełnie. Nie musi się przenosić, bo jest wszędzie. I to w tym samym czasie. Na pewno zauważyliście, jaki jest ogromny.

— Oj, tak — westchnął Althalus. — Kiedy przyszedłem tu po raz pierwszy, aby ukraść Księgę, myślałem, że miną tygodnie, zanim przeszukam każdy pokój.

— Właściwie zajęłoby ci to całe wieki, a i wtedy zbadałbyś tylko powierzchnię. Na razie powiedzmy sobie, że Dom jest światem, chociaż to uproszczenie, gdyż jest znacznie większy. Kiedy mówię, że Dom jest wszędzie, to właśnie mam na myśli. Deiwos, stwarzając go, zaczął od tego pokoju. Potem wyszedł, by stworzyć wszystkie inne, a do każdego pokoju prowadziły drzwi. Dlatego Dom wciąż się rozrastał i dlatego takie ważne są drzwi, a nie pokoje. Zaraz dam wam przykład. Jeśli Andina zechce porozmawiać w swej sali tronowej z lordem Dhakanem, mogłaby osiodłać konia i przez Kagwher, a potem Kanthon pojechać do Osthosu. Ale istnieje inny sposób. Wystarczy, że zejdziesz na dół i korytarzem prowadzącym na południe dotrzesz do pewnych drzwi. Kiedy przekroczy próg, znajdzie się w sali tronowej.

— To nie może być aż tak proste! — wykrzyknął Bheid.

— Bo nie jest. Ona nie tylko musi przejść przez właściwe drzwi, ale musi także wierzyć, że to są te właściwe. Kluczem do nich jest wiara.

— A jeśli ktoś nie uwierzy? — spytał Gher.

— Wtedy wejdzie do pustego pokoju. Kiedy mówię, że wiara jest kluczem, to właśnie to mam na myśli.

— Więc to kwestia aktu wiary? — podsunął Bheid.

— Wyłącznie. Tworzymy rzeczy, wierząc, że są takie, a nie inne.

— Ludzie wierzą w przeróżne rzeczy, Dweio — sprzeciwił się Eliar. — A przecież od ich wiary nie stają się prawdziwe.

— Dla nich są prawdziwe.

— Dlatego znacznie lepiej nie wierzyć w nic — zauważył Gher. — W ten sposób nic nam się nie pomiesza.

— Ale świat byłby trochę pusty, prawda? — zapytał Eliar.

— Da się z tym żyć.

— Rodzaj ludzki musi w coś wierzyć — oświadczył Bheid.

— Dlaczego?

— Ponieważ... — zawahał się kapłan.

— Długa droga czeka nas z Gherem, co? — odezwała się Leitha.

— Może i tak — zgodził się Althalus. — Ale to dobry chłopak, więc będzie cierpliwy i wskaże nam, jak iść.

— Nie to miałam na myśli.

— Wiem, ale sama zaczynasz.

— Dość tego, Althalusie — ucięła dyskusję Dweia.

— Tak jest, najdroższa.

Gher zmarszczył brwi.

— Ghend też może to zrobić, no nie? To znaczy... ma przecież swoją siedzibę w Nekwerosie i tam także są drzwi... .

— Tak. To miejsce nazywa się Nahgharash.

— Czy właśnie stamtąd on i ci inni podglądają nas z nicości? To zaczyna być bardzo ciekawe.

— Co rozumiesz przez „ciekawe”? — spytała Dweia.

— Zabawne. Ghend podgląda nas, a my jego. Nikt nie wie dokładnie, gdzie są wszyscy inni... albo z kim ów ktoś się pojawi. To najzgrzywniejsza gra, jaką ktokolwiek dotąd wymyślił.

— Najzgrzywniejsza? — powtórzył Eliar. — Nie sądzę, by istniało takie słowo.

— Ale je rozumiesz?

— No tak, ale... .

— Więc to znaczy, że jednak istnieje.

— Zaraz rozboli mnie głowa — mruknęła Dweia.

— To Osthos! — wykrzyknęła Andina, kiedy Eliar otworzył przed nią drzwi w końcu długiego, mrocznego korytarza w południowym skrzydle Domu.

— Tylko popatrz, Andino! — przykazała jej Dweia. — Nie wchodź tam teraz. Nie mamy czasu, by cię szukać.

Althalus zauważył, że próg się dość słabo zaznacza, ale dalej wszystko było wyraziste. Brukowana ulica biegła wzdłuż sklepów, które dobrze pamiętał, potem zaś nieco pod górę, do pałacu Andiny.

— Lepiej zamknij już te drzwi, Eliarze, bo wpuszczasz czas — poleciła Dweia.

— Słucham?

— Nie chcemy, żeby czas zaczął płynąć już teraz. Nie jesteśmy na to przygotowani.

— Tego to już zupełnie nie pojmuję — powiedział Eliar, ale usłuchał.

— Na razie nie musisz.

— Mówisz o czasie, wasza boskość, jakby to był rodzaj wiatru — zauważyła Leitha.

— Bo to coś podobnego. . . — Dweia urwała i przyjrzała się ciekawie dziewczynie z Kweronu. — Powiedz mi, moja droga, czemu uparcie nazywasz mnie „boskością”?

— Na znak szacunku, wasza boskość — wyjaśniła Leitha, szeroko otwierając błękitne oczy.

— Nie, Leitho, wcale tak nie jest. Ty nikogo nie szanujesz. Po prostu kpisz sobie ze mnie, tak?

— Ależ Dweio! Nawet mi na myśl nie przyszło kpić sobie z bogini!

— Owszem, przyszło ci. Tak naprawdę niewiele mnie to obchodzi, ale chciałam postawić sprawę jasno.

— W ten sposób psujesz całą zabawę.

— Nie mam nic przeciwko odrobinie złośliwości, Leitho. Bawiłam się tak przez wiele lat jako kotka, więc znam się na tym. Kiedyś ci to udowodnię.

— Już będę grzeczna — obiecała Leitha.

— Wątpię. Zabierz nas do Kanthonu, Eliarze.

Na odkrywaniu, co znajduje się za różnymi drzwiami, upłynął im niemal cały tydzień. . . przynajmniej tak im się zdawało. Althalus postanowił nie dochodzić różnicy znaczeń między „wydaje się” a „jest”.

Podczas tych wypraw za przewodnika służył im Eliar. Dweia nie udzielała zbyt szczegółowych wyjaśnień. Według Althalusa w jakiś sposób wiązało się to

z Nożem. Gdy tylko Dweia proponowała, by obejrzeć jakieś miejsce, Eliar nieomylnie prowadził ich do właściwych drzwi, nie wiadomo skąd czerpiąc natchnienie.

— Nie mam pojęcia, skąd wiedziałem, o które drzwi chodzi — tłumaczył się. — Wystarczyło, że Emmy powiedziała: „Agwesi”, a już szedłem do tych właściwych. Niedawno nawet nie wiedziałem, w jakim to jest kraju.

— Nie musisz tego wiedzieć, mój kochany — zapewniła go czule Andina. — Nóż nakazał ci „prowadzenie”, tak? I to właśnie robisz. Nic nie zmieniaj, Kochamy cię takiego, jaki jesteś.

Pogładziła go pieszczotliwie po policzku. Jakoś ostatnio nie potrafiła trzymać rąk z daleka od Eliara.

W końcu Dweia kazała im wracać do pokoju szkolnego.

— Zadbaliśmy o wszystko, czego nam tu trzeba. Wiecie, jak korzystać z Domu, przynajmniej częściowo, a ponieważ kilka innych spraw także zostało załatwionych, pora ruszać z powrotem.

— Częściowo? Jak to? — spytał chytrze Gher. — Czy to znaczy, że Dom umie coś jeszcze oprócz zabierania nas w różne miejsca?

— Na razie poprzestaniemy na tym.

— Ale ja naprawdę jestem ciekaw. . . I chyba mam pewien pomysł. No. . . coś w rodzaju pomysłu. Czy nie sprawię ci kłopotu, jeśli wyrzucę to z siebie, żebyśmy wszyscy mogli się zastanowić?

— Nie tak łatwo sprawić mi kłopot, Gherze. Mów, co ci leży na sercu.

— Powiedziałaś, że Dom bawi się czasem. . . to znaczy, czas płynie albo stoi w miejscu, tak jak tego chcesz?

— Tak.

— A za pomocą tych sztuczek z drzwiami bawi się także odległością?

— To bardziej skomplikowana sprawa, ale tak, do tego to się sprowadza.

— Skoro postępuje tak z odległością, to czy z czasem nie może tak samo? — Gher umilkł na chwilę. — Chyba nie wyrażam się zbyt jasno, prawda? Powiedziałaś, że Dom istnieje wszędzie i zawsze.

— Tak, mów dalej.

— Zawsze, czyli w każdym momencie, no nie? Chodzi mi o to, że gdzieś są drzwi na przykład do poprzedniego tygodnia. . . albo do następnego roku. Czy to ma jakiś sens?

W oczach Dweia pojawiło się zatroskanie.

— Nie powinienesz jeszcze pytać o te sprawy.

— Powiedziałaś: „jeszcze”. — W głosie chłopca zabrzmiała nutka triumfu. — To znaczy, że do tego dojdziemy?

Zielone oczy Dwei zwięzły się nieco.

— Teraz ja zadam ci pytanie.

— Pewnie nie będę umiał na nie odpowiedzieć. Przecież jestem tylko wiejskim chłopakiem.

— Zobaczymy, dobrze? Odległość to przestrzeń, prawda?

— No... chyba tak.

— A jaka jest różnica między przestrzenią a czasem?

Gher zmarszczył brwi.

— Po mojemu, nie ma żadnej. To jest to samo.

Dweia wciągnęła gwałtownie powietrze.

— Z kim rozmawiałeś, Gherze? — spytała ostro. — Skąd ten pomysł?

— Po prostu przyszło mi to do głowy. Kiedy zamiast „odległość” powiedziałaś „przestrzeń”, kilka rzeczy jakby wskoczyło na swoje miejsce. Czy powiedziałem coś złego? Przepraszam, jeśli cię zdenerwowałem.

— Nie zdenerwowałeś mnie, chłopcze, tylko zadziwiłeś. Niewiele ludzi na świecie pojmuje jedność czasu i przestrzeni.

— Rozmyślałem nad tym, odkąd Eliar opowiedział mi, co się wam śniło w Awes. Potem, kiedy zaczęliśmy używać drzwi do przeskakiwania w przestrzeni, przyszło mi do głowy, że Ghend może używać swoich drzwi do przeskakiwania w inny czas. A jeśli skok jest skokiem, to wszystko jedno, czy skaczesz w czasie czy w przestrzeni. Czyli że w ogóle nie ma różnicy... czas i przestrzeń są tym samym. Z początku nie widziałem w tym większego sensu, ale teraz zaczęło mi pasować. Jak się dobrze zastanowić, to wyjaśnia wiele spraw, prawda?

— Dobry boże! — wyrwało się Bheidowi.

— Tak? — zapytała ostro Dweia.

— Ja... ja tylko... — jąkał się kapłan.

— Doprawdy nie powinienesz rzucać tak nierozważnie słowa „bóg”! To bardzo denerwujące. Czy to, co powiedział Gher, budzi w tobie niepokój?

— Czy on jest ludzką istotą? — zapytał Bheid, patrząc na Ghera z lękiem. — Ten chłopiec tak bardzo wyprzedza mnie swymi myślami, że rozumiem ledwie połowę z tego, co mówi!

— Owszem, jest trochę niezwykły.

— Niezwykły czy nie, to przecież nasz Gher — zauważyła Andina, muskając mu pieszczotliwie włosy. — Jest tylko małym rozczochranym chłopczykiem, który zdecydowanie musi się wykapać.

— Przecież kąpałem się w zeszłym tygodniu — zaprotestował Gher.

— Ale znów tego potrzebujesz.

— Tak prędko?

— To naprawdę nie boli.

Andina roześmiała się, a potem mocno go przytuliła.

ROZDZIAŁ 18

— Nie uwierzą ci, bracie Bheidzie — tłumaczył Eliar kapłanowi. — Nas, Arumczyków, nauczono nie wierzyć w nic, co powiadają ci z nizin. Nie wierzymy w wasze wojny ani w wasze zwyczaje, ani w waszych bogów.

— Więc wasze życie jest puste.

— Pieniądze jakoś tę pustkę wypełniają... tak mówi sierżant Khalor.

— Musi być bardzo złym człowiekiem.

— Mylisz się, Bheidzie — wtrącił się Althalus. — Sierżant Khalor jest świetnym żołnierzem i wie dostatecznie dużo, by nie ufać ludziom gadającym o nagrodzie w niebie zamiast o pieniądzach płaconych z góry. Arumczycy biją się tylko za gotówkę, co czyni ich zadanie miłym i prostym.

— Gdzie można zdobyć tyle pieniędzy, żeby wynająć wszystkich Arumczyków?

— Mam taką małą, tajną kopalnię złota. Mogę kupić całe Arum, i to kilka razy. Arumczycy to najlepsi żołnierze na świecie, umieją też nauczyć swej sztuki innych i tego właśnie nam trzeba. Hołota z reszty świata walczy za ideały, które mogą się zmieniać razem z porami roku, natomiast Arumczycy biją się tylko za złoto, a ono nie podlega zmianom. Pluton Arumczyków potrafi wyćwiczyć całą armię dobrych żołnierzy w ciągu dwóch miesięcy, a potem doradzić im jeszcze odpowiednią strategię i taktykę. Eliar ma tylko piętnaście lat, a już zna się na taktyce lepiej niż niejeden generał z nizin.

Eliar się skrzywił.

— Kiedy sierżant Khalor uczy, to i nauczy... w taki czy inny sposób, a najpewniej za pomocą pięści. Najpierw masz się nauczyć ślepego posłuszeństwa wobec rozkazu.

— To okrucieństwo! — oburzyła się Andina.

— Nie, łaskawa pani. Nie okrucieństwo, tylko dowód troski o żołnierza. Sierżant uczy nas, jak pozostać żywym, a czy może być coś lepszego? Na wojnie ludzie giną, on zaś po to nas musztruje, abyśmy nie znaleźli się wśród poległych.

— Więc jest to rodzaj miłości?

— Nie, to za mocno powiedziane. On chce utrzymać nas przy życiu, żeby starczyło mu ludzi na następną wojnę. To najważniejsza część strategii — nie dać

żołnierzom zginąć. Jeśli troszczysz się o swych ludzi, oni także zatroszczą się o ciebie.

— Dweio, czy myśmy mniej więcej skończyli to, co mieliśmy do zrobienia w Domu? — spytał Althalus.

— Na razie tak.

— To może pogadalibyśmy z wodzem Albronem? Wprawdzie nie rządzi największym z klanów, ale przynajmniej nas zna, więc obejdzcie się bez nudnych wstępów.

— Mój wódz cieszy się wielkim szacunkiem wśród innych przywódców klanów — zapewnił Eliar.

— Z pewnością, zresztą ja też jestem z nim w dobrych stosunkach. Oczywiście trochę mu nakłamałem w związku z Nożem, ale wyjaśnię mu to bez trudu. Najważniejsze jest to, że jako przywódca klanu może zwołać generalne zgromadzenie wodzów, a my nie mamy czasu odwiedzać każdego klanu oddzielnie. Musimy rozmawiać ze wszystkimi jednocześnie i tylko Albron nam to umożliwi.

— Najlepsza będzie zbrojownia — tłumaczył Althalus Eliarowi przy kolacji. — Nie powinniśmy pokazywać się nagle na ulicy przed zamkiem wodza, bo Ghend ma wszędzie swoich szpiegów. Myślisz, że damy radę?

— Chyba tak. Jeszcze tego nie próbowałem, ale mam wrażenie, że wiem nawet, w której części zbrojowni powinniśmy wyjść.

— Czy nikogo nie urażę, jeśli wysunę pewną propozycję? — spytała Leitha.

— Mnie nie — odpowiedział Eliar, napełniając sobie talerz po raz drugi.

— Ja powinnam to zrobić — zaprotestowała Andina. — Odłóż to z powrotem i podaj mi talerz.

— Tak jest, łaskawa pani — zgodził się Eliar z przeproszającym uśmiechem.

— Czy ludzie się nie przestraszą, jeśli tak nagle pojawimy się znikąd? — zapytała Leitha.

— A jest inne wyjście? — zainteresował się Bheid.

— Może po prostu wejdziemy przez drzwi? I tak musimy użyć jakichś drzwi, więc tak będzie bardziej naturalnie i dla nas, i dla tych po drugiej stronie.

— Znaczą, tak zrobić, żeby jedna strona drzwi była tutaj, a druga tam? — domyślił się Gher.

— Dobrze to wyłożyłeś, chłopcze — pochwaliła go Leitha.

— Bardzo dziękuję. — Gher skłonił lekko głowę. — Może jednak czasem wyskoczmy znikąd na tamten świat?

— A po co?

— Dla draki! — odparł Gher z szerokim uśmiechem. — Ale by mieli miny! — I zerkając na Althalusa, dodał: — To świetny sposób, by kogoś obrobić, prawda,

mistrzu? Wyskakujesz, łapiesz sakiewkę i w nogi. Można tak okraść pół świata, a przy tym nie ruszać się z domu.

— No cóż... — rozmarzył się Althalus. — Rzeczywiście...

— Nie słuchaj go — ucięła zdecydowanie Dweia.

Andina postawiła przed Eliarem pełny talerz.

— Jedz, bo wystygnie.

— Dobrze, Andino — odrzekł potulnie, biorąc łyżkę.

W oczach Andiny, przyglądającej się w napięciu Eliarowi, pojawił się nowy, nieco nieśmiały wyraz. Althalus zadrżał lekko i odwrócił wzrok.

— Kiedy wróciłeś, Eliarze? — spytał Rheud, rudobrody zbrojmistrz ubrany w kilt, kiedy całą kompanią wkroczyli do zbrojowni.

— Właśnie w tej chwili.

Althalus po przekroczeniu progu czuł lekki zawrót głowy. To jednak dość osobliwy sposób przemieszczania się na taką odległość...

Po prostu się rozluźnij — zamruczała cicho Emmy ze swego miejsca w kapturze. Althalus wiedział, że to śmieszne, ale naprawdę brakowało mu jej przez ostatnich kilka tygodni.

Nie byłem całkowicie pewny, czy to naprawdę zadziała, Em. Wyglądanie zza progu na miejsce odległe o całe setki mil to jednak całkiem co innego niż pokonywanie tej odległości jednym krokiem.

Nie ufałeś mi?

Ufałem, Em. Przynajmniej oficjalnie.

Ale nie w głębi serca?

Mówić a robić to całkiem co innego.

Stopniowo będzie coraz łatwiej. Uważaj no na Eliara, żeby nie wypaplał naszych sekretów.

— Widzę, że odnalazłeś naszego chłopaka, panie Althalusie — cieszył się Rheud. — Czy miał przy sobie ów nóż, którego szukałeś?

— Owszem. Sprawy się nieco skomplikowały, ale teraz już wszystko gra.

— Coś mi się zdaje, że nie podróżujesz już samotnie? — zauważył zbrojmistrz, głaszcząc swą rudą brodę i zerkając na jego towarzyszki.

— Ot, kilku starych znajomków. Czy wódz Albron jest w głównej sali?

— Powinien być. Zwykle przesiaduje dłużej przy śniadaniu. Rano załatwia interesy, ale powiada, że co najmniej połowę pracy odwala, nie ruszając się od stołu. Czy mordercy ścigali cię także i na nizinach?

— Nie, jakoś się im wymknąłem.

— Możesz za to podziękować naszemu wodzowi. Ogłosił, że gdyby ktokolwiek pytał o ciebie albo o ten dziwny nóż, ma być aresztowany. Zdecydowanie przypadłeś mu do serca.

— Po prostu dobrze się rozumiemy. A dużo sług mojego kuzyna zatrzymał?

— Znalazło się paru... Jeden taki zwalisty, prawie bez czoła... były z nim pewne problemy, dwunastu ludzi musiało go osaczyć.

— Doprawdy?

— Podobno nazywa się Pegoył czy jakoś tak...

— Może Pekhal?

— O, o! Trzeba go było zakuć w żelazną obrozę, a potem ciągnęło go sześć wołów, bo dwa nie dały rady.

— I nadal tu jest? — spytał Eliar.

— Nie, udało mu się uciec. Wygryzł dziurę w drzwiach do lochu, tak przynajmniej powiadają. Masz szczęście, panie Althalusie, żeś się na niego nie natknął, bo to bardziej zwierzę niż człowiek.

— Wiem, spotkałem go już. Dobrze mi się z tobą gawędzi, ale muszę złapać wodza, zanim wstanie od stołu. Mam dla niego pewną propozycję.

— Albron zawsze jest chętny do interesów.

Althalus wyprowadził towarzyszy na korytarz.

— Ciekawe — rzekł Bheid. — Musiałeś porządnie zdenerwować Ghenda, jeśli posłał za tobą najgroźniejszego ze swych sług.

— Nie jestem pewien, czy Pekhal nie działa czasem na własną rękę. Nie potraktowałem go dobrze przy ostatnim spotkaniu i może żywić do mnie osobistą urazę.

— Czy mogę nieść Emmy? — zapytała Andina z wyraźną tęsknotą w ciemnych oczach.

Althalus poczuł nagle bezsensowną igiełkę zazdrości.

— Lepiej zostawmy ją tam, gdzie jest. Może zechce udzielić mi kilku wskazówek podczas rozmowy z wodzem.

— To tylko wymówka! — sarknęła arya Osthosu.

— Daj spokój, Andino.

Kiedy weszli do sali, wódz Albron nadal siedział przy stole.

— Tam do licha, przecież to pan Althalus! — wykrzyknął, zrywając się na nogi.

— Miło mi znów cię powitać, wodzu — odparł Althalus z niskim ukłonem.

— Teraz wreszcie dowiemy się prawdy na temat Osthosu. Widzę, że Eliar nadal ci towarzyszy.

— Tak, jest bardzo użyteczny. A skoro już o tym mowa, jestem ci coś winien za jego usługi.

— Później o tym pogadamy. Ale co ty tam robiłeś? Chłopcy, których odesłałeś do domu, bełkoczą jakieś bzdury...

— Porozmawiamy o tym w cztery oczy, wodzu Albronie. Jest parę spraw, o których powinienes wiedzieć, niejedna może ci się wydać dość osobliwa...

— Eliarze! — warknął ktoś z końca stołu. — Jak ty się zachowujesz?!

Eliar zamrugął gwałtownie.

— Przepraszam, sierzancie Khalor — rzekł prędko — ale nie chciałem przeszkadzać.

— To cię nie tłumaczy. Melduj się!

— Tak jest! — Eliar wyciągnął się jak struna i zasalutował elegancko wodzowi. — Wodzu, szeregowy Eliar melduje się na rozkaz!

Albron oddał salut.

— Widzę, że wciąż jeszcze rośniesz, Eliarze. I chyba nabierasz ciała.

— Tak jest, wodzu!

— Spocznij, chłopcze. Twoja matka mówiła mi, żeś ją odwiedził zeszłego lata. Czemu się wtedy nie zameldowałeś?

— Nie pozwoliłem mu, Albronie — wtrącił się Althalus. — Odbywaliśmy coś w rodzaju sekretnej misji i nie chciałem, by nieprzyjacielskie oczy go wysłedziły. To jedna ze spraw, które chcę z tobą omówić na osobności.

— Coraz bardziej mnie zaciekawiasz, Althalusie. Przejdźmy do mego gabinetu, tam będziemy mogli swobodnie pogadać. Czuję nosem długą, barwną opowieść. . . Poza tym cieszyłbym się, gdybyś mnie przedstawił uroczym paniom.

— Jeśli mogę, proponowałbym, żeby dołączył do nas także sierżant Khalor. Znosi się, że wkrótce zostanie w to wmieszany, więc może powinien usłyszeć całą historię od początku.

Albron uniósł brew.

— Chcę go wynająć, wodzu — rzekł bez ogródek Althalus. — Zgadzasz się?

— Zawsze jestem skory do rozmów o interesach — odparł Albron, zacierając ręce.

— Eliarze, co naprawdę wydarzyło się w Osthosie? — spytał sierżant, kiedy szli za wodzem długim, oświetlonym pochodniami korytarzem do tylnej części zamku. — Twój towarzysz wydawali się dość zmieszani, kiedy wreszcie dotarli do domu.

— Ja sam dobrze nie wiem, panie sierzancie — wyznał Eliar. — Działo się mnóstwo rzeczy, których do końca nie rozumiałem i które nadal wydają mi się bez sensu. Althalus wykupił mnie wraz z resztą naszych ludzi od Andiny. Powiedział jej, że chce nas sprzedać do Ansu, gdzie mieliśmy pracować jako niewolnicy w kopalniach soli.

— Jeśli dobrze pamiętam Andinę, najchętniej wypiłaby ci wtedy całą krew. Dlaczego zmieniła zdanie?

— Emmy się o to postarała.

— Kto to jest Emmy?

— Ona pracuje z Althalusem. Wolę, żeby on sam to wyjaśnił, ja mogę wszystko poplątać. Powtarzam, że wciąż nie wszystko rozumiem.

Izba, którą wódz Albron nazywał swoim gabinetem, była w gruncie rzeczy wygodną komnatą z wielkim kominkiem i posadzką pokrytą matami z sitowia.

Na długiej półce stało trochę książek i kilka rulonów.

— Dużo czytasz, Althalusie? — zagadnął Albron.

— Studiowałem trochę... lubię książki o okazałych rozmiarach. Ty też, jak widzę, masz parę tomów.

— Takie hobby. Ostatnio interesowała mnie treboreańska poezja.

— A kto jest twoim ulubionym poetą? — zapytała Andina.

— Dość lubię eposy Sendhriego, pani. To jeden z czołowych poetów Kanthonu.

— Marnujesz czas, wodzu — odpowiedziała zapalczywie. — Kanthońska poezja nie jest warta nawet pergaminu, na której ją zapisano.

— Nasza droga arya ma własne zdanie na ten temat — zauważyła Leitha.

— Arya?

— Ach, jakże mogłem zapomnieć! — wykrzyknął Althalus. — Wodzu, ta czarnowłosa dama o dźwięcznym głosie to arya Andina, władczyni Osthosu. Natomiast blondynka o ciętym języku jest czarownicą z Kweronu. Ma na imię Leitha.

— Czarownica? — spłoszył się Albron.

— Dopadnę cię za to, Althalusie — pogroziła mu Leitha. — Wodzu, to czyste nieporozumienie. Nasz miejscowy kapłan miał niezupełnie kapłańskie zakusy i w swej niezmiętej świętości uznał, że każda młoda kobieta, która wzbudza w nim oskome, musi być czarownicą. Mnie także zamierzał przeznaczyć na opał, lecz Althalus z Bheidem jakoś mu to wyperswadowali.

Wódz Albron skłonił się nisko.

— Moje panie, czuję się zaszczycony.

— Młody Bheid jest kapłanem Deiwosa z Awes w Medyo — ciągnął Althalus. — Chłopiec ma na imię Gher i pochodzi z Hule. Uczę go złodziejstwa.

— Dziwną dobrałeś sobie kompanię... Ale, ale, czy odnalazłeś nóż, którego poszukiwałeś?

— Tak, Eliar ma go za pasem.

— Myślałem, że chcesz go zawieźć swemu stryjowi w Ansu.

— Ach... Historia, którą ci wtedy opowiedziałem, nie była całkiem prawdziwa. — Althalus skrzywił się lekko. — Gdybym ci powiedział, do czego potrzebny mi ten Nóż, uznałbyś mnie za wariata i kazał zamknąć w lochu. Nie lubię o tym mówić, ale widzisz, w pewnym sensie pracuję dla boga.

— Odniosłem wrażenie, że masz więcej rozumu w głowie. Czy o to właśnie cały ten hałas?

— Obawiam się, że tak. Zresztą w gruncie rzeczy to nie mój pomysł. Bogini ma swoje sposoby, by zmusić ludzi do posłuchu.

— Bogini?

— To dość skomplikowane.

Albron z głębokim niedowierzaniem pokręcił głową.

— Miałem o tobie lepsze zdanie. Tu, w Arum, raczej ci się nie poszczęści. Nie dajemy się wciągać w wojny religijne. Po pierwsze, to brudna robota, a po drugie, nie chcemy, by nasza młodzież nabijała sobie głowy różnymi wariactwami. Arumczycy biją się za pieniądze, nie w imię religii.

— Ja płacę gotówką, Albronie, i nikt z najemników nie musi w nic wierzyć. — Althalus sięgnął pod tunikę i wyciągnął dwie sztaby złota. — Czy to zasługuje na twoją uwagę, wodzu Albronie? — spytał, wręczając złoto zaskoczonemu wodzowi.

Albron zważył sztaby w rękach.

— No, no. . . — uśmiechnął się szeroko. — Powiedziałbym, że zdecydowanie jest o czym pogadać.

— Tak też przypuszczałem. Oferuję ci złoto, a nie żywot wieczny ani miejsce przy bożym stole. Toczy się wojna, więc potrzebuję żołnierzy, nie konwertytów.

— Jeśli potrafisz trzymać się tej zasady, pójdą za tobą wszystkie arumskie klany.

Althalus zabrał z powrotem swoje złoto.

— A teraz, żeby zademonstrować moje poczucie odpowiedzialności finansowej, może rozliczymy się za Eliara? Ile jestem ci winien za jego usługi zeszłego lata?

— Jaką mamy aktualną stawkę, sierżancie Khalor?

— Ach, dwie sztuki złota całkowicie wystarczą, wodzu.

— Co, aż dwie? — oburzył się Althalus. — To ledwo podrostek!

— Ale potencjalny dowódca.

— Ja nie kupuję potencjalnych. Płacę za to, co wart jest teraz, czyli nie więcej niż jeden srebrny pens. Eliar może później zostać nawet generałem, ale to pieśń przyszłości.

— Wziąłeś go sobie bez pozwolenia wodza Albrona. Za to należy się kara.

— Był jeńcem. A Andina o mało co nie rozsiekała go na kawałki.

— To prawda — przyznał Khalor. — W zasadzie uratowałeś mu życie. Możemy się zgodzić na jedną sztukę złota.

— Pół i na tym koniec.

— Piętnaście srebrnych pensów.

— Dwanaście.

— Tak między przyjaciółmi. . . trzynaście?

— Przypomnij mi, sierżancie, abym nigdy nie kupował u ciebie koni. Zgoda, niech będzie trzynaście.

— Myślę, że sierżant Khalor właśnie zasłużył na awans — powiedział wódz.

— Nie wiem, wodzu Albronie, czy musimy rozwodzić się nad szczegółami — mówił nieco później Althalus. — Na dobrą sprawę my wcale nie bijemy się za

naszą religię, nie walczymy też przeciw komukolwiek innemu. Pewien człowiek, nazywa się Ghend, chce zmusić cały świat do oddawania czci jego bogu. My zamierzamy się temu przeciwstawić. Ghend skrzyknął — przeważnie na nizinach — grupkę swych wyznawców i wspólnie wzniesają rebelie w krajach, gdzie armie pełnią w zasadzie wyłącznie funkcje ceremonialne. Znakomicie polerują broń, ale na polu walki spisują się marnie. Dlatego właśnie tu jestem. Arumczycy to żołnierze z krwi i kości, więc chcę ich wynająć, aby nauczyli ludzi z nizin prowadzić własne wojny, a przynajmniej tę jedną.

— Chcesz, żebym działał wbrew własnym interesom? — zaprotestował Albron.

— Wcale nie. Kiedy już pokonamy wojska Ghenda, wszystko wróci do normy. Nizinni książęta znów będą dawać upust swym ambicjom i wynajmować w Arum wojowników. To kwestia ekonomii, Albronie. Wyćwiczenie i utrzymanie własnej armii jest nadzwyczaj kosztowne. Nawet podczas pokoju trzeba żołnierzy karmić. Znacznie taniej wychodzi wynajęcie Arumczyków.

— Jak wielki jest twój skarbiec, Althalusie?

— Dostatecznie wielki... mam nadzieję. Ile ci trzeba czasu, by zwołać klanowych wodzów na naradę? Chciałbym przemówić do wszystkich jednocześnie.

— Nie wcześniej niż na wiosnę. Gdy przełęcz pokryje śnieg, nikt nie przedostanie się do Arum.

Althalus udał, że się namyśla.

Co ty na to, Em? — skierował milczące pytanie do swego kaptura.

Mniej więcej tak planowałam. Znam Arumczyków na tyle, by wiedzieć, że potrzebują czasu. Zresztą Ghend nie jest jeszcze gotowy, dlatego przypuszczam, że wojna wybuchnie dopiero w pełni lata.

Zobaczę, co się da zrobić.

Rzeki wartko toczyły przez kaniony swe zimne, czyste wody, wysoko w górze szybowały orły, po lasach krążyły wilki.

Nad górami i lasami wisiła wielka cisza. Nagle w oddali rozległ się rozpaczliwy skowyt, a w ślad za nim z zachodu pojawili się ludzie. Prymitywni, odziani w przegniłe zwierzęce skóry, nieśli czerwone narzędzia i broń — topory i oskardy z miedzi.

I wszedł Ghend między ludzi, szepcząc, wciąż szepcząc, a jego oczy płonęły rudym, miedzianym blaskiem.

I przestraszyli się go ludzie.

Ale Ghend popędzał ich wciąż naprzód i naprzód, aż doszli do rzeki, gdzie się zatrzymali. I rozkazał Ghend: „Szukajcie złota, o ludzie, a potem ofiarujcie je Daevie, który jest waszym bogiem. Gdyż złoto jest dobre w oczach Daevy, toteż pobłogosławi on tym, którzy mu je przyniosą”.

I ujawszy swe narzędzia, szukali ludzie w rzekach żółtego złota, a przez cały czas skowyt odbijał się echem od górskich zboczy. I bali się ludzie, bali się, ale nie ustawiali w swym trudzie.

— Niespokojna noc, co? — powiedział Althalus następnego ranka do wstrząśniętego wodza Albrona.

— Ty też miewasz koszmary? — spytał Albron.

— O tak. . . zresztą prawdopodobnie wszyscy inni także. Nic w tym niezwykłego. Jeden nieświeży kawałek mięsa w gulaszu podanym na kolację potrafi wyprawiać z człowiekiem przedziwne rzeczy. Ale tego akurat snu nie wywołało zepsute mięso; to prezent od Ghenda. Widziałeś grupę przerażonych ludzi, odzianych w skóry, z miedzianymi narzędziami w rękach, prawda?

— Skąd wiesz?

— Bo miałem ten sam sen i przypuszczam, że wszyscy mieszkańcy zamku także. Ghend robił już takie rzeczy. Próbuje zmienić rzeczywistość i o to właśnie będzie się toczyć wojna. Chce pozmieniać to, co my wolimy zostawić bez zmian, więc zamierzamy mu przeszkodzić.

— Jak, u licha, przeszkodzisz komuś, kto ma taką władzę? — spytał Albron z pobladłą twarzą, próbując opanować drżenie rąk.

— Przyszło mi do głowy, żeby go troszeczkę zabić. Ludzie, kiedy się ich uśmierci, są zwykle całkiem skłonni do współpracy.

— Może pożyczyć ci mój miecz? — zaproponował Albron. — Czy słyszałeś przez sen to okropne wycie?

— Oczywiście. Zawsze kiedy je usłyszysz, możesz być pewien, że Ghend robi jakieś sztuczki z twoim umysłem, a to, co widzisz, on sam wykreował.

— Jak się o tym przekonałeś?

— Tak naprawdę wcale nie chcesz, żebym ci odpowiedział. Jesteś zdeklarowanym sceptykiem, a jeśli ci powiem, skąd mam tę informację, pomyślisz, że chcę cię nawracać. Nie jestem misjonarzem i nie wtrącam się do cudzych wierzeń. Nie po to Dweia zaprzęgała mnie do roboty. Zrobiła to, gdyż jestem najlepszym złodziejem na świecie.

— Dostajesz jakąś zapłatę?

— Jasne. Jestem zawodowcem, nie pracuję za darmo. A skoro już o tym mówimy, to wyjeżdżam na parę dni. Powiniennem złożyć krótką wizytę w mojej kopalni złota. . . chyba że ty i inni arumscy wodzowie zgodzicie się przyjąć promesę. Z przyjemnością ją podpiszę, ale. . . — urwał i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Jeśli ci wszystko jedno, przyjacielu, wołałbym regulować rachunki na bieżąco.

— Tak właśnie przypuszczałem. Zdaje się, że zawdzięczam to memu imieniu. Czyż jedno z przykazań arumskiej religii nie nakazuje nie dowierzać nikomu, kto

nosi imię Althalus?

— To nasze pierwsze przykazanie, przyjacielu.

— Perquaine? — skrzywił się Eliar następnego ranka, kiedy wszyscy powrócili już do Domu. — Przecież tam nie ma żadnego złota, Althalusie.

— To zależy od punktu widzenia. W tym wypadku nie chodzi o naturalne złoża, tylko o skarbiec ukryty w ruinach.

— Jak go znalazłeś? — spytał Bheid.

— Emmy mnie tam zabrała po drodze do Osthosu. Co jeszcze musisz wiedzieć, Eliarze, by trafić do właściwych drzwi?

— Niewiele. Emmy i ja ćwiczyliśmy trochę jeszcze przed wizytą u wodza Albrona. Ty musisz wiedzieć, dokąd chcesz iść, ale ja nie.

— Gadasz bez sensu — zauważył Bheid.

— Wiem, to samo mówiłem Emmy, ale ona udowodniła mi, że nie mam racji. To ma coś wspólnego z Nożem. Jeśli Althalus wytworzy sobie w myśli obraz jakiegoś miejsca, Nóż przejmie jego wizję i podpowie mi właściwe drzwi. Nóż odnajduje w ludzkich umysłach potrzebne informacje, podobnie jak robi to Leitha. Emmy nie wytłumaczyła mi tego zbyt jasno, wiecie, jaka ona czasami jest. Powiedziała, że nie muszę wiedzieć, jak to się odbywa, po prostu mam wierzyć na słowo.

— Cała Emmy! — burknął Bheid. — Zdaje się, że ma jeszcze sporo do powiedzenia o tym Nożu.

— Może któregoś dnia zechcemy z nią o tym pogadać, ale na razie bierzmy się do łopat. Trzeba wykopać trochę złota.

Eliar poprowadził ich na korytarz południowego skrzydła. Mniej więcej w połowie zatrzymał się przed drzwiami, które niczym nie różniły się od innych.

— Tutaj — oświadczył, otwierając je przed towarzyszami.

Tuż za drzwiami ukazała się droga. Z prawej strony Althalus rozpoznał znajome wzgórze.

— Jesteśmy na miejscu — rzekł. — Musimy obejść to wzgórze od południowej strony. — Przekroczył próg i zaznaczył łopata linię na drodze.

— Po co to robisz? — zainteresował się Eliar.

— Żebyśmy wiedzieli, w którym miejscu jest próg.

— Przecież ja to wiem, Althalusie!

— Lepiej nie ryzykować. Jeśli nie odnajdziemy drzwi, czeka nas długi marsz do Domu.

Obeszli wzgórze i Althalus pokazał im kryjówkę.

— Jest! — wykrzyknął, wbijając łopatę w ziemię. — No, panowie, zaczynamy kopać. Musimy zejść na głębokość około czterech stóp. Tylko nie rozrzucajcie ziemi daleko. Będziemy musieli zasypać ten dół, zanim odejdziemy.

— Dlaczego? — spytał Bheid.

— Żeby ukryć pozostałe złoto.

— A nie zabierzemy wszystkiego?

— Raczej nie. Nie potrzebujemy aż tyle, żeby zapłacić Arumczykom.

— A ile tu jest?

— Nie jestem pewien. Poprzednim razem zabrałem około stu funtów. Teraz już wiemy, jak tu się dostać, więc zawsze możemy wrócić. Kopiemy, panowie.

Mniej więcej po kwadransie dokopali się do kamiennego podłoża. Althalus badał grunt sztyletem, aż odnalazł obluzowany kamień. Podważył go, sięgnął do komory i wyjął dwie sztaby. Następnie zdmuchnął z nich pył, odsłaniając żółty metal.

— Dobry boże! — wykrzyknął z szacunkiem Bheid, wlepiając wzrok w kruszec.

— Ładne, co? — uśmiechnął się Althalus. — Potrzyмай, muszę zrobić latarnię. Naprawdę nie wiem, jak głęboka jest ta komora, strasznie tam ciemno. — Wręczył złoto kapłanowi i słowem łap przywołał latarnię. Zapalił ją, po czym opuścił w głąb piwnicy. — Podaj mi rękę, Eliarze. Wolę nie złamać sobie nogi przy skoku.

Piwnica miała około ośmiu stóp głębokości. Stosy złota ciągnęły się we wszystkich kierunkach i ginęły w mroku.

— Do licha! — mruknął Althalus.

— Jest tam tego trochę? — zapytał Eliar z góry.

— Nie sądzę, by nam zabrakło. Wyjdź z tej dziury, Eliarze, będę podawał sztabki Bheidowi, a on z kolei tobie. Układajcie je w pewnej odległości od dołu. Bheid, ty będziesz liczył. Myślę, że dwieście pięćdziesiąt wystarczy na bieżące wydatki.

— To jest tego aż tyle? — spytał Bheid z nabożnym niemal podziwem.

— Ledwie naruszymy górną warstwę, bracie Bheidzie. Będziemy dziś więcej niż bogaci. Chodźcie tu, chcę przed zachodem słońca przenieść złoto do Domu i zasypać schowek. Do roboty!

ROZDZIAŁ 19

— Czemu nie zostawimy złota w sztabach? — spytał Eliar, kiedy siedzieli już na wieży, patrząc na porządnie ułożone stosy.

— Zwyczajni ludzie nigdy nie widzieli sztabki złota — wyjaśnił Bheid. — Wola monety, bo codziennie mają z nimi do czynienia.

— Może masz rację, ale dlaczego mają być akurat perquaińskie?

Bheid wzruszył ramionami.

— Perquaińskie monety są akceptowane na całym świecie. Podobno bardzo dokładnie trzymają wagę, poza tym Perquaińczycy nie fałszują kruszcu, tak jak inni.

Eliar przyglądał się stosowi sztab.

— Sporo czasu nam to zabierze, prawda?

— Wcale nie — rzekł Althalus. — Emmy nauczyła mnie paru sztuczek przy poprzedniej okazji.

— Kiedy to było?

— Tuż przed tym, kiedy wykupiłem cię od Andiny. — Althalus poskrobał się w ucho. — Może lepiej zrobię najpierw parę baryłek. Dwadzieścia tysięcy monet raczej nie zmieści mi się w sakiewce.

— Masz trochę czasu, Albronie? — spytał Althalus młodego wodza następnego ranka po śniadaniu.

— Owszem. A bo co?

— Chcę ci coś pokazać.

— Dobra. Gdzie to jest?

— Niedaleko — odrzekł enigmatycznie Althalus.

— Śnieg pada, wiesz?

— To nie ma znaczenia. Idziemy?

Na korytarzu przed zbrojownią czekali Bheid z Eliarem, który wyprężył się słuźbiście przed wodzem i zaszalutował.

— Co ty kombinujesz, Althalusie? — spytał podejrzliwie Albron.

— Po prostu chcę ci udowodnić, że naprawdę mam środki na wynajęcie arumskich klanów.

— Trzymasz złoto w mojej zbrojowni?

— Niezupełnie. Musimy jednak przez nią przejść, aby dostać się do miejsca, gdzie je zgromadziłem. Przeprowadź nas przez drzwi, Eliarze.

— Tędy, wodzu. — Eliar otworzył drzwi do zbrojowni, po czym wprowadził ich przez próg do pokoju na wieży w Domu.

— To nie jest moja zbrojownia! — wykrzyknął Albron, rozglądając się ze zdumieniem.

— Rzeczywiście — odparł spokojnie Althalus.

— To gdzie my jesteśmy?

— W zupełnie innym miejscu. Nie podniecaj się tak, Albronie, jesteś całkowicie bezpieczny.

— Po prostu poszliśmy na skróty, wodzu — wyjaśnił Eliar. — Nie ma żadnego zagrożenia, to prawdopodobnie najbezpieczniejsze miejsce na świecie.

— Właśnie to ci chciałem pokazać, Albronie. — Althalus wskazał solidne drewniane baryłki ustawione w łuku północnej ściany. — Obejrzyj ich zawartość i zaraz wrócimy do twojego zamku.

Albron nadal patrzył spode łba, a dłoń opierał na rękojeści miecza.

— O co tu... — zaczął, ale urwał gwałtownie, bo Bheid otworzył jedną z beczek i wyciągnął z niej garść złotych monet. Następnie podniósł rękę i wyspał je z powrotem niczym brzęczącą kaskadę.

— Ładne, nie? — mruknął Althalus.

— Czy te wszystkie beczki także... — Albron ponownie umilkł, gdyż Bheid właśnie ponowił prezentację.

— Sam zobacz — zaproponował Althalus. — Otwórz każdą po kolei. Możesz wysypać wszystko na podłogę, jeśli masz ochotę. Po to tu jesteśmy i nie ma znaczenia, jak się tu dostaliśmy. To drobiazg, którym nie powinieneś zawracać sobie głowy. Chciałem ci tylko udowodnić, że nie próbuję wykiwać ani ciebie, ani żadnego z przywódców klanów. Naprawdę mam złoto i gotów jestem je wydać. Nie krępuj się, obejrzyj dokładnie monety, możesz je próbować zębami albo stukać nimi o ścianę, abyś się tylko upewnił, że są złote. Kazano mi przedstawić listy uwierzytelniające, więc pomyślałem, że to najlepszy sposób.

Albron z namysłem podrzucał monetę w dłoń.

— Wagę trzyma — zauważył. — Jakby prosto z mennicy... Wszystkie są takie?

— Proszę, obejrzyj. Zajmie ci to trochę czasu, ale przecież mamy go pod dostatkiem.

Albron otworzył kilka baryłek i kolejno zanurzał w nich rękę.

— Twoje gwarancje wyglądają bardzo przekonująco. — Nagle się roześmiał. — Czuję się jak dzieciak w sklepiku ze słodyczami. Te monety mówią same za siebie, a ich obfitość wprost zwala z nóg. — Nadal wsuwał rękę do beczek niemal czułym gestem. — Uwielbiam czuć je w palcach!

— Wierzysz już, że mówiłem ci prawdę? — spytał Althalus.

— Jak mógłbym nie wierzyć? — Albron niechętnie wyjął ręce z kolejnej beczki, po czym zerknął przez okno na lodowe góry. — Chyba nie jesteśmy w Arum? — spytał chytrze.

— Nie, stąd do Arum jest szmat drogi. Tylko żadnych głupich pomysłów, Albronie. Nie możesz oblegać tego Domu, bo nigdy go nie znajdziesz.

— Wcale o tym nie myślałem. . . No, w każdym razie nie na serio. Nie byłoby roztropnie pokazywać Arumczykom zbyt wiele złota zgromadzonego w jednym miejscu.

— Chcesz zobaczyć resztę Domu?

— Chyba tak. . . Udało ci się rozbudzić moją ciekawość.

— Dobrze więc, zrobimy małą rundkę, a po drodze pogadamy o tym i owym.

— Zaczekamy tu na was — powiedział Bheid.

— Z ust mi to wyjąłeś.

Obaj panowie zeszli na dół, gdzie Althalus pokazał Albronowi salę jadalną i sypialnie.

— Dość luksusowo tu macie — zauważył wódz.

Althalus wzruszył ramionami.

— Ot, miejsce do jedzenia i spania — rzucił obojętnie.

— Jesteś dziś w osobliwym nastroju, przyjacielu.

— To przez ten Dom. Zawsze się tu inaczej czuję.

— Często tu bywasz?

— Jestem dopiero trzeci raz, ale dwie pierwsze wizyty nieco się przeciągnęły.

— To dość tajemnicza odpowiedź.

— Wiem, ale tak musi być. Tu obowiązuje coś w rodzaju prawa świątyni i mam ścisły zakaz udzielania informacji.

— Czy rozkazy ci wydaje ten młody kapłan?

— Nie, ja mu rozkazuję. Natomiast swoje instrukcje pobieram bez pośrednictwa. Jesteś sceptykiem, Albronie, nie wolno mi rozmawiać z tobą na ten temat. Nie mam zamiaru cię nawracać.

Szli dalej korytarzem, otwierając kolejne drzwi i zaglądając do pustych pokoi.

— To bardzo dziwny dom, Althalusie — zauważył Albron. — Zdaje się ciągnąć bez końca, ale niemal wszystkie pokoje świecą pustkami.

— Tylko wtedy, gdy nie są nam potrzebne. Jeśli trafi się jakiś gość, mogę je w każdej chwili umeblować.

— Nie masz żadnej służby?

— Nie, nie jest mi potrzebna.

— Wydobywanie z ciebie informacji przypomina wyciskanie wody z kamienia!

— Przepraszam, ale mam dość ściśle przepisy... coś w rodzaju tajemnicy handlowej, rozumiesz.

Albron patrzył na niego z namysłem.

— Właściwie powinno mnie to wszystko przerażać... a jakoś nie przeraża. Nie mam pojęcia, gdzie jestem ani jak się tu dostałem, ale wcale się tym nie przejmuję. Przychodzą mi do głowy bardzo dziwne koncepcje...

— Na przykład?

— Że może naprawdę jesteś tamtym Althalusem.

— A chodzi gdzieś podrabiany?

— Bardzo śmieszne — burknął Albron. — Więc te wszystkie żarty na temat twojego imienia wcale nie były żartami?

— Niektóre były, niektóre nie.

— Naprawdę jesteś tym samym Althalusem, który trzy tysiące lat temu obrał Gostiego Pasibrzucha?

— Nie przesadzaj, to było zaledwie dwa i pół tysiąca lat temu.

— Jak ci się udało tak długo żyć?

— W pewnym sensie namówiono mnie, żebym nie przestawał oddychać — odparł sucho Althalus. — Naprawdę chcesz wiedzieć, co się wydarzyło?

— Dalej, opowiedz mi całą historię! Potem sam zdecyduję, w co mam uwierzyć.

— No dobrze. Byłem złodziejem, Albronie. Działo się to, zanim ludzie nauczyli się wytapiać stal. Szczęście odwróciło się ode mnie i wpadłem w poważne tarapaty. Akurat przechodziłem przez Arum i usłyszałem o bogactwie Gostiego, więc poszedłem do jego drewnianego fortu i zacząłem zabawiać Pasibrzucha anegdotkami. Tak przetrwałem całą zimę, a gdy śniegi stopniały, okradłem go... ale wierz mi, nie w ten sposób zdobyłem tych dwadzieścia baryłek złota. Gosti był spasionym bufonem, który wmawiał całemu światu, jaki to jest bogaty, chociaż cały jego słynny skarb składał się tylko z miedzianych monet.

— Zawsze się nad tym zastanawiałem — przyznał Albron.

— To teraz już nie musisz. Kiedy udało mi się uciec, poznałem Ghenda, który zamówił u mnie kradzież Księgi. Miała ona znajdować się w tym Domu i dlatego tu trafiłem. Czekąca na mnie bogini Dweia, ale wtedy nie wiedziałem, że jest boginią, gdyż występowała w postaci kotki.

— Czy to ta, którą nosisz w kapturze?

— Ta sama. Nazwałem ją Esmeraldą z powodu zielonych oczu. Kiedy odezwała się do mnie po raz pierwszy, byłem pewien, że wpadłem w obłąd. Przebrnąłem przez to jakoś, a ona nauczyła mnie czytać. Potem wiele lat spędziłem na studiowaniu Księgi, którą miałem ukraść dla Ghenda, i dzięki temu potrafię teraz mnóstwo rzeczy, o jakich inni nie mają pojęcia. Krótko mówiąc, Esmeraldą, czyli Emmy, i ja opuściliśmy Dom poprzedniej wiosny, aby odnaleźć niezbędnych nam

ludzi — Eliara i innych. Potem wróciliśmy wszyscy razem do Domu, gdzie czekała nas intensywna edukacja. Właśnie wtedy Dweia wyjawiała nam, kim naprawdę jest.

— Nie mogę pojąć, że tego wszystkiego słucham — rzekł Albron, kręcąc głową. — Co gorsza, niemal w to uwierzyłem.

Althalus spojrział na niego z ukosa.

— Jestem mistrzem opowieści, Albronie. To jedna z moich sztuczek, którymi zjednywałem sobie bogaczy. Przez całą zimę rozśmieszałem tego grubasa Gostiego, żeby go później obrabować. — Nagle rozejrzał się dookoła. Korytarz wydawał się pusty, a jednak Althalus był pewien, że to nieprawda. — Przypuszczalnie będę miał przez to kłopoty, ale powiem ci z czystej kurtuazji, że ta rozmowa niemal na pewno jest manipulowana.

— Jak to?

— Dokładnie nie wiem, ale zadajesz mi wyłącznie prawidłowe pytania, ja zaś udzielam ci poprawnych odpowiedzi. Kiedy dziś rano Dweia kazała mi cię przyprowadzić, pomyślałem, że chce, abym ci pokazał beczki ze złotem. Teraz jednak nie jestem już taki pewny. Może złoto miało być przynętą, aby cię tu zwabić na tę dziwną rozmowę. Mam wrażenie, że ona czai się gdzieś blisko i podsuwa ci pytania, a mnie dyktuje odpowiedzi. Z jakiegoś powodu chce, żebyś wiedział, co tu się wydarzyło. Nie zamierza cię nawracać, ale zależy jej, żebyś otrzymał pewne informacje.

— Czy nie jesteś zbyt podejrzliwy?

— Rusz głową, Albronie. Czy ktokolwiek zdrów na umyśle uwierzyłby w tę szaloną historię?

Albron roześmiał się, nieco zakłopotany.

— Teraz, kiedy o tym wspomniałeś. . .

Althalusie, przestań w tej chwili! — zabrzmiało mu w głowie.

Teraz on się z kolei roześmiał, zachwycony własną przenikliwością.

— Co cię tak rozśmieszyło? — spytał Albron.

— Właśnie otrzymałem dość kąśliwe potwierdzenie moich przypuszczeń. Powiedziano mi w kilku dosadnych słowach, że mam zostawić ten temat.

— Nic nie słyszałem.

— Nie musiałeś. Emmy przemawia do mnie tutaj. — Althalus postukał się w czoło. — Pokazała mi ten sposób, zanim po raz pierwszy opuściliśmy Dom. Blisko pół roku spędziłem na podróżach w towarzystwie kotki, która podpowiadała mi dosłownie każdy krok. Tak naprawdę nie potrzebowałem tych instrukcji, sam potrafię zmyślać i kłamać, ale Dweia musi za wszelką cenę postawić na swoim. Oczywiście, jest kobietą, one wszystkie są takie. Dzielenie się władzą uważają za nienaturalne. Najpierw każą ci coś zrobić, potem stoją ci nad głową, kiedy usiłujesz spełnić polecenie, i tak naprawdę potrafią tylko przeszkadzać.

— Czy mówiąc w ten sposób, nie napytasz sobie biedy?

— Co ona może mi zrobić? Za bardzo mnie potrzebuje, żeby mnie spalić albo zamienić w ropuchę. Zresztą wie, że ją kocham, a miłość jest dla niej ważniejsza od ślepego posłuszeństwa. Cały czas się kłócimy, ale to taka nasza zabawa. Dwiea tyle czasu spędza w postaci kotki Emmy, że zabawa stała się dla niej drugą naturą.

— Chciałbym ją poznać.

— Nie radzę, jeśli chcesz zachować własną duszę. Myślę, że powodem tej szczególnej rozmowy jest zdobycie twojego poparcia na naradzie klanów. Nie zamierzam mówić nic o religii, tylko o polityce, żeby cała sprawa nie wydała się im niczym innym jak zwykłą wojną. Pewnie będę musiał kłamać, a ty masz moje kłamstwa potwierdzać. Nie musisz wierzyć w nic, co ci opowiedziałem, może nawet tak będzie lepiej, ale istnieje widać powód, żebyś o tym wiedział. Spójrz na to w ten sposób, Albronie: zamierzamy wspólnie przeprowadzić szwindel. Ja — z pobudek religijnych, ty — dla pieniędzy, ale działamy ręka w rękę, dlatego musimy się dobrze rozumieć.

— No, wreszcie słyszę coś sensownego — rozpromienił się Albron.

— Jeśli będziemy trzymać się tej zasady, wszystko się ułoży. — Wyciągnął rękę. — Jesteśmy współnikami, tak?

— Jesteśmy — zgodził się Althalus, ściskając mu prawicę.

Przez dwa następne tygodnie bez przerwy padał śnieg i całe Arum okryło się bielą. Gońcy wysłani przez Albrona do innych klanów z trudem torowali sobie drogę przez zasy, by wrócić do położonego w centralnej części zamku.

— Jest mniej więcej tak, jak się spodziewałem — oświadczył Albron pewnego popołudnia, kiedy siedzieli z Althalusem w gabinecie.

— Na naradę przybędzie większość klanowych przywódców.

— Większość? Jak to, nie wszyscy?

— Jest dziesięć klanów, ale Deloso i Agus wymówili się od udziału, czego się zresztą spodziewałem. Ich ziemie leżą tuż przy wschodniej granicy, więc chyba więcej ich łączy z Kagwhere niż z Arum. Ponieważ od dawna brali sobie za żony kobiety z drugiej strony granicy, nie są już czystej krwi Arumczykami. Zresztą to małe klany i nie ma wśród nich naprawdę dobrych wojowników. Znakomicie się bez nich obejdziemy. — Albron przewrócił oczami. — Przynajmniej ja się obejdem, bo nie lubię Delosa, a Agusem gardzę.

— Ach tak?

— Obaj ciągle siedzą w Kagwhere, gdzie podlizują się właścicielom kopalń, gdyż stamtąd pochodzą wszystkie ich dochody. Ich klany niemal w całości zajmują się pilnowaniem kopalń. Nie maszerują, nie walczą, po prostu stoją na warcie. Są spasieni, leniwi i godzą się pracować za psie pieniądze, bo przecież samo stanie nie wymaga wielkiego wysiłku.

— Damy sobie bez nich radę. A co powiesz o innych klanach? Jakież cechy

szczególne, jakieś dziwactwa?

— My, Arumczycy, wszyscy jesteśmy dziwakami. Nie mamy kultury, nie jesteśmy wykształceni ani dobrze wychowani. Żaden Arumczyk nie napisał dotąd ani jednej linijki poezji, nie skomponował pieśni. Barbarzyńcy z nas, i tyle.

— Chyba jesteś zbyt surowy, Albronie.

— Poczekaj, aż poznasz innych. Na pewno od razu zauważysz, jak bardzo wszyscy ulegamy Delurowi. Ale gdyby nie to, że jest przywódcą największego z arumskich klanów, nikt nie zwracałby na niego uwagi. Ma około osiemdziesiątki i lubi się uważać za wodza wszystkich wodzów. Stary i głupi. Nosi nawet koronę! Jego podwładni są dobrymi żołnierzami, dlatego jakoś go znosimy. To straszny pierdoła, ale będę mu kadził ile się da, bo od niego zależy sukces naszego planu. Jeśli uda mi się przekabacić Delura, inni prawdopodobnie się nie wychyła. Zresztą to nie jego potrzebujemy, tylko dobrych żołnierzy.

— Znasz go, Albronie, więc tobie go zostawiam.

— Dobra. W ten sposób zarobię na prowizję.

— Jaką prowizję?

— Przecież będziesz odpalać mi dolę za każdego skaptowanego wodza klanu, prawda?

— Obgadamy to później. Teraz opowiedz o innych wodzach.

— Klan Gweti jest prawie tak wielki jak Delura, ale sam Gweti nie cieszy się sympatią. Jest chciwy i złośliwy. Wyplaca swoim ludziom najniższy żołd, wymaga, by broń sami sobie kupowali. Nienawidzą go, ale nic nie mogą poradzić, bo jest ich wodzem. To chuderlawy, siwiejący facet o ściągniętej twarzy. Większość czasu spędza na liczeniu pieniędzy, a śmierdzi jak stary cap.

— Coś mi się widzi, że go nie lubisz.

— Skąd ci to przyszło do głowy? — zapytał ironicznie Albron. — Gweti na pewno ma jakieś dobre strony, a to, że ja ich nie dostrzegam, o niczym jeszcze nie świadczy. Ach, i oczywiście muszę cię ostrzec przed Twengorem. Jest duży, zwałisty i krewki. Potrafi skoczyć do oczu dosłownie o byle co, więc uważaj, co przy nim mówisz. Pije za dużo, a jego normalny głos to donośny ryk. Ma szczeniastą, czarną, wysuniętą do przodu brodę i nie sądzę, żeby w ciągu ostatnich dziesięciu lat brał kąpiel. Mimo to członkowie klanu poszliby za nim w ogień. Ma wprost niewiarygodne szczęście w walce, a kiedy wynajmuje komuś swoich ludzi, to wszystkich, nie jeden pluton czy batalion, zresztą osobiście nimi dowodzi. Z Trengorem jest tak, że albo bierzesz wszystko, albo nic.

— Entuzjasta, co?

— Co najmniej entuzjasta, a jego siostrzeniec Laiwon jest prawie taki sam, więc mamy aż dwa klany entuzjastów.

— Oni należą do różnych klanów? Czy to nie dziwne? Myślałem, że klan to taka wielka rodzina.

— Bo tak było parę wieków temu. Wtedy był to jeden klan, podzielony na część zachodnią i wschodnią. Obie gałęzie łączyła wąska ścieżka przechodząca przez głęboki wąwóz. Ale dwieście lat temu zeszła lawina, zablokowała przejście i obie części straciły z sobą kontakt. Po jakimś czasie były już dwa klany zamiast jednego. Teraz, kiedy ustały wojny klanowe, mogą się odwiedzać, podróżując przez terytoria innych klanów. Skojarzyła się już pewna liczba małżeństw między członkami obu tych klanów i podejrzewam, że kiedy Twengor zapije się wreszcie na śmierć, Laiwon dokona ponownego zjednoczenia, prawdopodobnie przebijając nowe przejście przez ów wąwóz.

— Arumska polityka jest bardziej skomplikowana, niż sądziłem.

— Wojny to letnia rozrywka, Althalusie, a polityką można zajmować się cały rok. Południowe klany — Smeugora i Tauriego — są spore, ale ich żołnierze nie należą do najlepszych. Smeugor i Tauri gonią ludzi do roboty przy budowie pięknych pałaców i dróg, więc w ich klanach łatwiej o dobrego budowniczego niż o żołnierza. Właściwie sami nie wiedzą, kim są. Próbują zrobić wrażenie na ludziach z nizin, udając prawdziwych Arumczyków, a przed nami odgrywają cywilizowanych.

— Czyli ni pies, ni wydra?

— Właśnie. I obawiam się, że nie można im ufać. Wezmą pieniądze z góry, a potem długo poczekaasz, zanim pojawią się na polu bitwy.

— Będę miał to na uwadze. — Althalus dokonał szybkiego rachunku. — To już mamy dziewięć klanów, łącznie z twoim. Kto jest wodzem ostatniego?

Albron zrobił kwaśną minę.

— Neigwal. Pewnie nigdy tego nie udowodnię, ale podejrzewam, że pochodzi od kogoś z bastardów naszego drogiego Gostiego Pasibrzucha. Bogowie wiedzą, że jest co najmniej tak samo spasiony i tak samo bystry. Ale ma kiepskie zdrowie, więc długo nie pociągnie.

— A co mu dolega?

— Obżarstwo. Nie mieści się już w żadne normalne drzwi i sapie jak miech kowalski przy najmniejszym wysiłku. Na pewno nie zjawi się na naradzie, ale przyśle w zastępstwie syna, Koleikę. Ten Koleika jest tak chudy, jak jego ojciec gruby. Ma ogromną dolną szczękę i prawie nigdy się nie odzywa. To on jest prawdziwym wodzem, ale udaje, że wszystkie decyzje przedkłada do zatwierdzenia ojcu. W ten sposób zawsze wie, z której strony wieje wiatr, zanim zajmie jakieś stanowisko.

— Wy, Arumczycy, wcale nie jesteście tacy prości i nieskomplikowani, jak by się zdawało.

— Ani trochę, Althalusie. Twoja przewaga leży w tych dwudziestu beczkach złota, które trzymasz w Domu. Wykorzystaj ją najlepiej, jak potrafisz. Niech widzą to złoto przy każdej okazji. Mówiąc, pobrzękuj cały czas monetami, a zgodzą się niemal na wszystko. Jesteś duszą towarzystwa, współniku, ale twoje złoto

przyciągnie ich uwagę bardziej niż anegdotki czy śmieszne historyjki. Nawet największy nudziarz na świecie nabiera szczególnego uroku, kiedy przesypuje z ręki do ręki brzęczącą monetę.

Zima ciągnęła się w nieskończoność, burze śnieżne nękały Arum z przerażającą regularnością. Althalus skracał sobie czas, ucząc Ghera sztuki obrabiania kieszeni. Chłopak okazał się bystry ponad wszelką wątpliwość, ale jego umysłowi zdarzało się błąkać w przedziwnych kierunkach.

— Uważaj, chłopcze. Ten ostatni chwyt był wyjątkowo niezdamny.

— Przepraszam, mistrzu Althalusie. Po prostu wpadł mi do głowy pewien pomysł i nie bardzo uważałem.

— Co to za pomysł?

— Ghend próbuje zmienić świat, odwracając bieg czasu i majstrując przy tym, co już się wydarzyło, tak?

— Tak mówi Dweia.

— A skoro Ghend to potrafi, to czy my także?

— Prawdopodobnie tak... jeśli Dweia nam pozwoli.

— Z tym nie powinno być problemu. Przecież potrafisz ją namówić niemal do wszystkiego. Ledwie dotkniesz jej futerka, zaraz zaczyna mruczeć. Andina podobnie zachowuje się wobec Eliara. Może któregoś dnia mi to wyjaśnisz, bo niezupełnie rozumiem, co się dzieje, kiedy ludzie dorastają... ale mniejsza z tym. No więc jeśli Ghend cofa się w Zawsze, żeby coś tam zmienić, wystarczy iść tuż za nim i naprawiać to, co zepsuł, no nie?

— Możliwe.

— Więc czy nie prościej zawrócić jeszcze dalej w Zawsze i zabić ojca Ghenda? Wtedy on sam nigdy by się nie urodził.

Althalus zamrugł oczami.

— Czyż to nie najłatwiejszy sposób, żeby się kogoś pozbyć? — ciągnął Gher.

— Nie musisz zabijać danego człowieka, wystarczy sprzątnąć jego ojca... Tylko oczywiście wtedy nie miałbyś żadnego powodu, żeby go zabijać jako pierwszego... Chodzi mi o to, jaki jest sens mordować kogoś, kto nigdy nie żył? Ale nie o tym myślałem, kiedy próbowałem się dostać do twojej kieszeni, tylko o tym, jak dopaść Ghenda. On cofa się w głąb Zawsze, więc może my wykonalibyśmy skok do przodu? — Chłopiec zmarszczył brwi. — Nie wyrażam się zbyt jasno, co? Rozumiesz, jeśli teraz dzieje się „to”, to w następnym tygodniu stanie się „tamto”.

— To się nazywa przyczyna i skutek.

— Tak, tak — odparł z roztargnieniem chłopiec. — Powiedzmy, że podniesiesz kamyk i położysz go w innym miejscu, dobra?

— Niech ci będzie.

— Ale jeżeli zrobisz krok do przodu w Zawsze i odłożysz kamyk z powrotem w to samo miejsce, czy to będzie znaczyło, że w ogóle go nie ruszałeś? Tu właśnie zaczyna się problem. Jeśli tak postąpisz, będziesz jednocześnie robił coś i nie robił...

— Już mnie zaczyna boleć głowa.

— Pozwól, że trochę nad tym popracuję, mistrzu Althalusie. Jestem prawie pewien, że wymyślę jakiś sposób.

— Ale co ci to da?

Gher spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Nie rozumiesz? Jeśli poddamy temu Ghenda... to znaczy, zmusimy go, by zrobił coś i jednocześnie nie zrobił, może się okazać, żeśmy go jakby zamrozili czy zamienili w kamień. Po czymś takim będziesz mógł go używać jako kołka na kapelusz. Ale tak naprawdę chodzi mi o to, że czas chyba nie jest linią prostą, tylko raczej kołem, i jeśli zmienimy cokolwiek, co dzieje się na tym wielkim okręgu, zmienimy zarazem wszystko inne. Słyszałeś kiedyś śmieszniejszą koncepcję? Możemy zmienić wszystko, co kiedykolwiek się wydarzyło, jeśli tak się nam spodoba.

— Dlaczego to spada na mnie? — jęknął Althalus, kryjąc twarz w dłoniach.

Wczesną wiosną przybył do zamku zachlapany błotem Arumczyk i zawiadomił Albrona, że następnego dnia może się spodziewać wodza Delura.

— Pośpieszył się, co? — zauważył Althalus. — Niektóre przejścia nadal zawałone są śniegiem.

— Delurowi to nie przeszkadza, przyjacielu. Rządzi największym klanem i lubi to podkreślać na każdym kroku. Prawdopodobnie wysłał już kilka setek ludzi, żeby przetarli mu szlak. Jest za stary, żeby podróżować konno, więc używa lektyki albo sań i nie przywiązuje większej wagi do żywołów. Ponieważ uważa się za kogoś w rodzaju króla Arum, chce być na miejscu pierwszy, żeby objąć dowodzenie, zanim zjadą pozostali wodzowie.

— Czy inni wodzowie się z nim liczą?

— Znacznie bardziej będą się liczyć z twoim złotem, ale Delura musimy sobie zjednać ze względu na liczbę żołnierzy, jaką gotów jest wystawić. Będę mu schlebiał i okazywał niezmienny szacunek. To go dobrze do nas usposobi, a reszty dokonają twoje baryłeczki.

— Po to są, Albronie, po to są. Możesz wygrać wiele sporów, mając dwadzieścia baryłek złota.

Wódz Delur był wysokim, siwowłosym starcem z długą białą brodą. Kiedy się pilnował, potrafił stać prosto i sztywno, jakby kij połknął, ale gdy jego uwaga osłabła, sylwetka zaczynała ciążyć ku ziemi, wyraźnie przytłoczona brzemieniem lat. Althalus zauważył, z jak bolesnym wysiłkiem gramolił się z sań, które na dzie-

dziniec zamku wciągnęło czterech rośliych mężczyzn. Wierzchnia odzież wodza składała się z luksusowych futer, a stalowy hełm otaczała szeroka przepaska ze złota.

— Miło cię widzieć, synu Albronie — powitał Delur swego gospodarza.

— To zaszczyt dla mego domu, wielki wodzu — odpowiedział Albron, kłaniając się nisko. — Nie spodziewaliśmy się ciebie tak wcześnie.

— Twoja wiadomość mocno mnie zaciekała, synu. — Delur zerknął z ukosa na swą świtę. — Poza tym moi domownicy cierpieli na brak ruchu, a taka przebieżka przez góry może oczyścić im umysły i wzmocnić ciała. Potem będą mi jeszcze lepiej służyć, co jak mnie wszyscy zapewniają, stanowi ich jedyny cel w życiu.

Leciutki przebłysk ironii powiedział Althalusowi, że opinia Albrona o Delurze niezupełnie zgadza się z prawdą. Wcale nie był aż taki zgrzybiały, jak wierzyli inni wodzowie. W każdym razie Althalus postanowił bacznie go obserwować i wyrobić sobie własne zdanie.

— Pozwól do środka, panie — zapraszał Albron. — Pogoda dziś niełaskawa, a w sali płonie ogień, przy którym rychło się rozgrzejesz.

ROZDZIAŁ 20

Tydzień później tuż przed północą Emmy wyrwała Althalusa z kamiennego snu, dotykając jak zwykle wilgotnym, zimnym noskiem jego karku. Althalus również zachował się zgodnie z tradycją.

— Czy ty zawsze tak musisz? — warknął, odsuwając się gwałtownie.

Skoro to tak dobrze działa, po co zmieniać? Obudź pozostałych, Althalusie. Musimy pilnie omówić kilka spraw... w Domu.

Posłusznie odrzucił koce, ubrał się i ruszył korytarzem, żeby spełnić polecenie.

— Czy coś się stało? — spytał cicho Bheid, kiedy zebrali się w sali.

— Sam nie wiem. Powiedziała mi tylko tyle, że musimy porozmawiać. Zabierz nas do Domu, Eliarze.

— W porządku.

Poprowadził ich przez zbrojownię z powrotem do pokoju na wieży.

— Mamy jakiś problem, Emmy? — spytał Gher, kiedy Dweia ukazała się w swej właściwej postaci.

— Właściwie to nie. Chciałam tylko, żebyśmy się wspólnie zastanowili, jak zaprezentować naszą ofertę na naradzie wodzów. Wszystko pójdzie lepiej, jeśli opowiemy im tę samą historię. Oczywiście nie możemy wyjawić prawdy. Jeśli Albron ma rację, Arumczycy nie lubią się mieszać do wojen religijnych, więc dla świętego spokoju trzeba wymyślić jakiś polityczny powód.

— Jeśli rozglądasz się za wojną, Dweio, z przyjemnością odstąpię ci moją — zaproponowała Andina. — Pomysł, żeby wszystkie klany Arum ruszyły na Kanthon, aż rozgrzewa mi serce.

— To proste rozwiązanie — zgodził się Bheid. — Arumczycy od dawna wiedzą o ustawicznej wojnie między Osthosem a Kanthonem, więc obojdzie się bez wymyślania jakichś historyjek. To jasne, że Osthos potrzebuje dużej armii.

— I w dodatku będę na miejscu, żeby przedstawić wzruszającą prośbę o pomoc w rozbiciu tych degeneratów z Kanthonu — dodała Andina.

— Wiele za tym przemawia, Dweio — poparł ją Althalus. — Andina jest aryą Osthosu i jako taka ma w kieszeni klucz do skarbcza. To wyjaśni, skąd mamy złoto... gdyby któryś z wodzów chciał wiedzieć.

— Potrafisz przemawiać publicznie, Andino? — spytała Leitha.

— Czyżbyś przespała ostatnich kilka miesięcy? — odrzekła wyniośle Arya. — Ja zawsze przemawiam publicznie. Naprawdę myślałaś, że ten dramatyczny ton to przypadek? Mój głos jest najlepiej nastrojonym instrumentem w całej Treborei. Mogę śpiewem postracać ptaki z drzew, mogę — jeśli zechcę — wycisnąć łzy z kamienia. Prawdopodobnie wcale nie potrzebuję tych beczek złota. Dajcie mi pół godziny i mały pokoik, a zmobilizuję Arumczyków samym głosem.

— Ona może mieć rację — rzekł Eliar. — Kiedy trzymała mnie na łańcuchu w sali tronowej, wiele mówiła na mój temat i nawet mnie przekonała, że coś strasznego czeka tego potwora Eliara.

— To w zasadzie trzyma się kupy, Dweio — przyznał Althalus. — Albron przedstawi ją zgromadzeniu, ona sama wygłosi dramatyczny apel o pomoc, resztę zaś zostawi mnie: ja podam szczegóły i złożę konkretną ofertę. Zresztą Albron wie, co naprawdę jest grane, więc w razie czego pomoże i wygładzi ewentualne gafy. — Odchylił się na oparcie krzesła. — A jednak jest w tym pewna niekonsekwencja. Czy godzi się, aby władca sam wygłaszał tego rodzaju apel? Od czego są dyplomaci?

— A kto ci powiedział, że ja się zachowuję jak inni władcy? — prychnęła Andina. — Przeciwnie, prawie nigdy nie robię tego, czego się po mnie spodziewają. Widzisz, Althalusie, to jest tak: mimo gwałtownych sprzeciwów moich doradców rzuciłam względy bezpieczeństwa na wiatr i z zaledwie kilkusobową świtą wyruszyłam do Arum, by błagać o pomoc w wojnie z bandyckimi Kanthończykami. Narazając własną osobę, przedarłam się przez niebezpieczeństwa wzburzonego świata, aby dotrzeć do zamku Albrona i przedstawić mą prośbę na naradzie wodzów. Jestem tak niewiarygodnie odważna, że ty i każdy inny z obecnych ledwie wytrzymacie ze mną w tej samej sali.

— Czy to nie zbyt melodramatyczne? — zastanawiał się Bheid.

— Mam przemawiać do Arumczyków, bracie Bheidzie. Z Perquaińczykami czy Equerosami poczynałabym sobie inaczej. Arumczycy są melodramatyczni i zamierzam urządzić im przedstawienie, jakiego nigdy nie zapomnę. Poproście tylko Albrona, żeby mnie zapowiedział, a potem możecie się wynosić. Będą mi jeść z ręki, nim upłynie pół godziny.

— Ejże, czy aby nie jesteś zbyt pewna siebie? — zapytała Leitha.

— Ani trochę. Jestem najlepsza.

— Przepraszam. . . — odezwał się Gher.

— Wal śmiało, chłopcze — zachęcił go Althalus. — Masz coś do dodania?

— No bo. . . czy to nie za proste? Czy Arumczycy uwierzą, że naprawdę potrzebna jest taka wielka armia, aby podbić jedno miasto?

— Punkt dla niego, Althalusie — zgodził się Eliar. — Sierżant Khalor zawsze nam powtarzał, że ci z nizin zawsze próbują wynająć jak najmniej żołnierzy. Trzeba większej wojny, żeby wodzowie nam uwierzyli.

— Ale innej nie mamy — odparł Althalus.

— Zaraz, zaraz — zaprotestował Gher. — A ta między tobą a Ghendem?

— To wojna religijna. Nie słyszałeś, co mówił Albron? Arumczycy nie biorą udziału w wojnach religijnych. Musimy trzymać się polityki, a religię na razie odłożyć.

— Więc czemu po prostu nie powiedzieć, że Kanthon pracuje dla Nekwersu? Albo że są po ich stronie czy coś... O Nekwersach mało kto coś wie poza tym, że są straszni, tak przynajmniej mówi Leitha. Można by wspomnieć, że w Nahgharashu rządzi król czy ktoś, kto chce zawojować cały świat, i właśnie namówił tego durnia z Kanthonu, by do niego dołączył. Przecież to bliskie prawdy, a dobre kłamstwo zawsze musi w sobie mieć coś z prawdy. Jeśli będziemy mówić tylko o wojnie pani Andiny z półgłówkiem z Kanthonu, historia okaże się zbyt krótka. Czy nie lepiej zostawić koniec niewyjaśniony?

— Obejrzyj no pióra w swoim ogonie, Althalusie — zaśmiała się Leitha. — Ten młody kogucik szykuje się na twoje miejsce.

Nocą, tuż po powrocie Althalusa z towarzyszami do zamku, zerwał się ciepły wiatr, który stopił śnieg na górskich szlakach, tak jak rozgrzany nóż topi masło przy krojeniu. Od roztopów wezbrały potoki i niebawem wystąpiły z brzegów. Reszta klanowych wodzów przybyła na naradę, dopiero gdy powodziowe fale opadły.

Jako pierwszy zjawił się dziedzic wodza Neigwala, Koleika — chudzielec o czarnych włosach i wysuniętej do przodu szczęce. Był to posępny człowiek odziany w skóry. Zamiast tradycyjnego kiltu nosił skórzane spodnie. Odzywał się z rzadka, a kiedy już to robił, nie dopuszczał do poruszenia się górnej wargi. Zaraz po przyjeździe odbył krótką rozmowę z Albronem, a potem przeważnie trzymał się sam.

Kilka dni później zjechali wodzowie dwóch południowych klanów, Smeugor i Tauri. Pierwszy był tęgim mężczyzną o mocno czerwonej twarzy usianej mnóstwem zaognionych pryszczki i głębokich szram. Mimo pozorów wesołości jego wąskie oczy pozostawały zimne i twarde niczym agaty. Tauri miał rzadkie jasne włosy i ani śladu zarostu. Najwyraźniej uważał się za ulubieńca kobiet. Nosił elegancki, choć niezbyt czysty, nizinny strój i każdą napotkaną osobę odmiennej płci ogarniał lubieżnym spojrzeniem. Podobnie jak Koleika, obaj wodzowie trzymali się z dala od innych.

— Czuję w powietrzu powiew antycznej wrogości — wyznał nieco później Althalus swemu gospodarzowi. — Czy dzieje się coś, o czym powinienem wiedzieć?

— To pozostałości po dawnych klanowych wojnach. Żaden z wodzów nie wiezy innym do końca. Ta narada, o której zwołanie mnie prosiłeś, stanowi wyłom

w tradycji i wszyscy są mocno podejrzliwie nastawieni. Historia Arum składa się z powracającego pasma oszustw, zdrad i jawnych morderstw, dlatego zawsze mamy się na baczności, wkraczając na terytorium innego klanu. Gdybym wyraźnie nie wspomniał o twoim złocie, większość wodzów prawdopodobnie odmówiłaby przyjazdu. Sprawy powinny nabrać tempa, kiedy zjawi się Twengor.

Wódz Twengor — wielki, potężnie zbudowany mężczyzna o olbrzymiej brodzie — był w chwili przybycia do zamku tak pijany, że trzymał się na koniu wyłącznie dzięki pomocy swego siostrzeńca Laiwona. Po drodze wyśpiewywał na całe gardło stare pijackie piosenki, a jego fałszywe odbijały się echem od ścian wąwozu. Laiwon, młodzieniec o szorstkim obejściu, wyraźnie krył się w cieniu sławnego wuja.

Wódz Gweti zjawił się na końcu i Althalus natychmiast zauważył, że pozostali starają się go unikać. Gweti miał wielką głowę, ale nieproporcjonalnie małą twarz, która sprawiała wrażenie jakby zapadniętej. Jego wyłupiaste oczy były w ciągłym ruchu, a jeden policzek nerwowo drgał. Głos Gwetiego przypominał beczenie owcy.

— Sądziłam, że będą bardziej podobni do Albrona — wyznała Andina, marszcząc brwi. — Ale to istni barbarzyńcy, prawda?

— Zaczynamy mieć wątpliwości co do naszych oratorskich talentów? — spytała przyjaciółkę Leitha.

— Nie, ale chyba będę musiała zmienić podejście. Albron to cywilizowany człowiek, lecz tamci nie pojmą żadnych subtelności. Trzeba ich po prostu zdzielić obuchem w łeb, żeby słuchali.

— Nie mogę się już doczekać twego wystąpienia, Andino.

— Szczerze mówiąc, ja także — odparła Arya, ale nadal wyglądała na zmartwioną.

Następnego dnia po przyjeździe Gwetiego ubrani w kilty wodzowie wraz z pokaznymi orszakami zebrali się przy śniadaniu w zamku, w związku z czym poziom zgiełku był znacznie wyższy niż zwykle. Albron lubił przy posiłkach przestrzegać pewnych form, ale pozostali zachowywali się dość niesfornie. Po posiłku gospodarz zaproponował, by goście wraz z doradcami zebrali się w jakimś spokojniejszym miejscu, by omówić powód, dla którego zostali wezwani.

Komnata, do której ich zaprowadził, znajdowała się w tylnej części zamku, z dala od hałaśliwej sali jadalnej. Była dobrze strzeżona i usytuowana z daleka od wież. Według starej arumskiej legendy w jednej z owych wież dokonano kiedyś masowego mordu, toteż wszelkie narady tradycyjnie odbywały się na parterze. Stał tam pośrodku stół z dużymi krzesłami dla wodzów i mniejszymi dla ich doradców. Beczki ze złotem, które Althalus z Eliarem przynieśli z Domu, złożono skromnie w kącie. Dla Althalusa i jego przyjaciół przewidziano miejsca u końca stołu, skąd mogli widzieć twarze wodzów.

— O co tu chodzi, Albronie? — zagrzmiał od razu Twengor. — Od ponad stu

lat nikt nie zwoływał narady.

— Miałem ostatnio wizytę władcy jednego z treboreańskich państw-miast. Wydaje mi się, panowie, że kroi nam się niezła okazja zarobku.

— I chcesz się z nami podzielić? — spytał Gweti. — Masz źle w głowie?

— Ów władca potrzebuje więcej żołnierzy, niż jestem w stanie dostarczyć. Skoro już o tym mowa, nawet wszyscy razem nie mamy tylu ludzi. Jest dość roboty... i złota dla każdego zdolnego do służby mężczyzny w Arum.

— Uwielbiam, kiedy ktoś mówi o złocie — rozmarzył się Gweti.

— Czy dobrze rozumiem, że ci cudzoziemcy są wysłannikami owego władcy? — spytał Koleika, zerkając na Althalusa.

— Właśnie ku temu zmierzam — odparł Albron. — Ci z nizin mają dość dziwne zwyczaje. Nam może się to wydawać niewłaściwe, ale tam nikt nie ma za złe, jeśli na tronie zasiada kobieta.

— To jest chore! — ryknął Twengor. — Wysłucham cię, Albronie, ale moim zdaniem posunąłeś się ciut za daleko. — Przekrwionymi oczami zerknął na beczki w kącie. — Zniósłbym to znacznie łatwiej, gdybym przepłukał wpierv gardło kufelkiem piwa...

— W tych beczkach nie ma piwa, Trengorze, ale ich zawartość znacznie bardziej ułatwi nam pogodzenie się z faktem, że chce nas wynająć kobieta.

— Wychodzę — oznajmił milkliwy Koleika, podnosząc się z miejsca.

— Bardzo bogata kobieta — powtórzył z naciskiem Albron. — Może jednak wysłuchasz przed wyjściem jej oferty?

— Odrzucenie dużej ilości złota nie przysporzy ci popularności w klanie, Koleiko — przekonywał go Laiwon. — Czasem z tego powodu wybuchają otwarte bunty.

Koleika poskrobał się po wystającej szczęce.

— No dobrze — ustąpił. — Posłucham, ale niczego nie obiecuję.

— Nie mam nic przeciwko pracy dla kobiety — zaskrzeczał Gweti — jeśli tylko jest dostatecznie bogata. Pracowałbym nawet dla capa, gdyby miał dość złota.

— Capa? — rozległ się oburzony głos Andiny.

Leitha szybko dotknęła jej ramienia.

— Później — szepnęła.

— I w ten sposób dotarliśmy do sedna — ciągnął gładko Albron. — Młoda osoba, która o mały włos wydrapałaby wodzowi Gwetiemu oczy, to arya Andina z Osthosu. Arya pragnie omówić z nami kwestię złota.

— Zamierzam ukraść ci trochę gromów, Althalusie — mruknęła Andina. — Może będziesz musiał skorygować nieco swe wystąpienie.

Wstała. W jej pięknych oczach płonęła żądza zemsty.

— Ślicznotka, co? — mruknął Tauri do Smeugora. — Ma chyba do zaoferowania znacznie więcej niż złoto...

— Też to zauważyłem — zgodził się krostowaty Smeugor, łypiąc na aryę pożądliwie.

— Czy rzeczywiście przypominam ci capa, wodzu Gweti? — spytała cierpko Andina.

— Nieszczęśliwie dobrane słowo... — tłumaczył się wódz. — Czy potrafisz znaleźć w swym sercu przebaczenie?

— Nie tak zaraz. Dziś raczej odeślę cię do łóżka bez kolacji, a ewentualną rozmowę odłożymy do jutra. — Umilkła i w każdym z wodzów po kolei utkwiała błyszczące oczy. — Nie traćmy czasu, panowie. Najpierw wam coś pokażę. — Odwróciła się nieco. — Eliarze, bądź tak dobry i otwórz jedną z beczek.

Eliar wstał i zdjął z beczki wieko.

— Wysyp to na podłogę — poleciła Andina.

— Na podłogę?

— To dolna część pokoju, Eliarze. Boki nazywamy ścianami, a górę sufitem. No dalej, syp!

— Jak sobie życzysz.

Eliar przechylił beczkę i wysypał brzęczącą kaskadę złotych monet.

— Ładne? — spytała Andina zaskoczonych wodzów.

Nie odpowiedzieli. Althalus zauważył, że większość wstrzymała oddech.

Eliar wytrząsnął resztkę monet.

— Jest pusta, Andino! — zameldował.

— Wysyp następną.

— Tak jest!

Otworzył kolejną beczkę, i kolejną... Andina podniosła rękę.

— Na razie wystarczy — orzekła, zerkając na stos monet. Potem uśmiechnęła się urzekająco do arumskich wodzów. — Czy udało mi się was zainteresować, panowie?

— Nie wiem jak innych, ale mnie na pewno, księżniczko — wykrztusił Gweti.

— Może mimo wszystko pozwolę ci zjeść kolację, wodzu Gweti. Widzicie, panowie, chyba da się jakoś ze mną wytrzymać. — Nagle zmieniła ton na bardziej wyzywający. — Chciałam tylko pokazać, że to ja trzymam kasę. Jesteście zainteresowani?

Stary wódz Delur nie mógł opanować drżenia.

— Mój klan jest na twe usługi, potężna aryo!

— Czy to nie najmiłszy staruszek na świecie? — rozpromieniła się Andina.

— Kogo mamy ci zabić, dziewczynko? — zainteresował się Twengor. — Powiedz tylko, jak się nazywa, a migiem dostarczymy ci jego głowę.

— Zdumiewające! — wykrzyknęła ironicznie Andina. — Wszyscy mnie ostrzegali, że tak trudno jest wygłaszać mowy, a tymczasem nie mam z tym żadnych problemów.

— Każda mowa wychodzi lepiej przy akompaniamencie muzyki — zauważyła Leitha. — Eliar zagrał na beczkach ze złotem jak prawdziwy wirtuoz.

— To najpiękniejsza muzyka, jaką kiedykolwiek słyszałem — przyznał Koleika. — Cieszę się, że zostałem na tym koncercie.

— Jestem tylko głupią dziewczyną — ciągnęła Andina — dlatego teraz zabierze głos mój lord szambelan, który poda wam różne nudne szczegóły. Skoro już zaskarbiłam sobie waszą miłość, na pewno nie możecie się doczekać, by spełnić moje rozkazy.

— A jakie one będą, wasza wysokość? — spytał Gweti.

— Och, sama nie wiem. Czy „Palić! Rąbać! Zabijać!” to czasem nie nazbyt wiele?

— W sam raz — rzekł wódz Laiwon. — Powiedz słowo, aryo Andino, a tak się stanie.

Althalus, wstając z miejsca, czuł się lekko zakłopotany.

— Zdaje się, że moja ukochana arya wyciągnęła mi dywanik spod nóg — powiedział z ponurą miną. — To ja miałem wam pokazać te śliczne monety.

— Wiadomo, że kobieta wykorzysta każdą okazję, aby pokazać swe walory — odezwał się Tauri, rechocząc znacząco.

— Może i tak — zgodził się Althalus. — W każdym razie miałem wam najpierw przedstawić sytuację, a dopiero potem wysypać złoto na znak, że arya jest wypłacalna. Tymczasem pozbawiła mnie głównego argumentu.

— Ale zyskała naszą niepodzielną uwagę, szambelanie Althalusie — rzekł z nonszalancją Albron. — Można z całym przekonaniem potwierdzić, że czujemy się zaangażowani. Pozostało tylko wskazać nieszczęśników, którzy weszli jej w drogę.

— No dobrze. Jej palec jest wycelowany przede wszystkim w Kanthon, lecz na tym chyba się nie skończy. Aryo Kanthonu uważa, że za chwilę zostanie władcą całej Treborei, ale myślenie nie jest jego najmocniejszą stroną. „Półgłówek” to najłagodniejsze ze słów, jakimi go określają.

Wodzowie ryknęli śmiechem.

— Kanthończycy zostali wystrychnięci na dudków przez Nekwerosów — ciągnął Althalus. — Moja ukochana władczyni świetnie o tym wie. Nie dajcie się zwieść tym niewinnym wielkim oczom, moi panowie. Arya ma umysł ostrzejszy niż każdy nóż i zna swych prawdziwych wrogów. Agenci Nahgharashu są znanymi wicherzycielami w każdej nizinnej krainie i moja arya byłaby ogromnie wdzięczna, gdybyście ich nieco usiekli.

— Czy słowo „usiec” nie oznacza ostatecznego rozwiązania, szambelanie? — spytał Albron. — Chyba nie można kogoś nieco usiec. Tak czy owak, kiedy już będziemy po kolana we krwi, mamy ruszyć na Nekweros, tak?

— Może później. Arya Andina uważa, że zanim rozpoczniemy atak na Nahgharash, trzeba pozbyć się wrogich sił z zaplecza. Według niej najważniejszy jest porządek.

— Porządek to miła rzecz — zagrmiał Twengor — ale do mnie najbardziej przemawia „Palić! Rąbać! Zabijać!”. Czy nie byłoby to piękne motto na wojenny sztandar? — I wybuchnął pijackim rechotem.

— Zanoszą się chyba na większe komplikacje, szambelanie — zauważył krostowaty Smeugor. — Możemy się odgrażać, ile wlezie, ale jak dotąd nie padło ani jedno słowo na temat ewentualnej bitwy czy oblężenia. Mówicie o powszechnej wojnie na terenach rozciągających się od Ansu po Regwos. My, Arumczycy, jesteśmy wprawdzie najlepszymi wojownikami na świecie, ale czy naprawdę jesteśmy przygotowani do tak wielkiej wojny?

— Smeugor ma rację — poparł go Tauri. — Złoto jest dobre, ale człowiek musi być żywy, aby móc je wydawać. A taka wojna nie daje nam cienia szansy...

— Jeśli tak uważasz, wodzu Tauri, to lepiej zostań w domu — huknął Twengor. — Nigdy w życiu nie przegrałem żadnej bitwy i ruszę nawet na słońce, jeśli mi godziwie zapłacą.

Ten szczególny argument utrzymał się przez resztę dnia. Smeugor i Tauri nadal zgłaszali różne obiekcje, podkreślając fakt, że Arum nie posiada dostatecznej liczby żołnierzy na powszechną wojnę. Twengor wraz z innymi zbijali tę koncepcję, ale obaj wodzowie z południa wciąż do niej wracali.

— Późno się robi, panowie — odezwał się Albron o zachodzie słońca. — Proponuję kolację. Dyskusję możemy odłożyć do jutra.

— Słusznie mówi nasz gospodarz — podchwycił pomysł stary wódz Delur. — Chodźmy do stołu, panowie, a potem do łóżek. Do jutra przejaśni się nam w głowach.

— Dobrze powiedziane — mruknął Koleika bez cienia uśmiechu.

— Musisz się mylić, Leitho! — wykrzyknął Albron, kiedy opuścili jadalnię, zostawiając wodzów przy stole.

— Nie, wodzu, na pewno się nie mylę. Smeugor i Tauri pracują dla Ghenda.

— Powinniśmy ich zabić? — spytał Gher.

— Na twoim miejscu, Althalusie, wziąłbym tego chłopca w karby — zasugerował Albron. — Trudno o lepszy sposób na wywołanie wojny klanów niż zamordowanie tych dwóch.

— Byłoby to również zatrzęsienie drzwi za kimś, kto może okazać się nadzwyczaj użyteczny — zauważył Althalus. — Ponieważ już wiemy, że pracują dla Ghenda, stanowią doskonały kanał do przekazywania mu fałszywych informacji. Wykorzystam ich do wodzenia Ghenda za nos.

— Na długo się to nie zda — stwierdził Bheid. — Wystarczy, że parę razy

skierują go na fałszywy trop, i będzie musiał się ich pozbyć.

— To byłoby straszne — westchnął Althalus ironicznie. — Wtedy ich klany musiałyby wypowiedzieć wojnę klanowi Ghenda. A czy nie tego właśnie najbardziej sobie życzymy? Oczywiście będzie nam bardzo przykro, ale sami wiecie, co ludzie mówią: nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Jestem przekonany, że jakoś zniesiemy ten ból, w końcu jesteśmy bardzo dzielni, no nie?

Wodzowie zebrali się natychmiast po śniadaniu następnego dnia.

— Gdzie złoto? — zaniepokoił się wódz Gweti.

— Złożyliśmy je w bezpiecznym miejscu — zapewnił go Althalus. — Przecież nie chcemy, żeby dobrali się do niego złodzieje.

— Niech bogowie bronią!

— Tak będzie, wiem to z najlepszego źródła. Rozumiem, że jesteście, panowie, zdecydowani i podejmiecie się pracy dla mojej ukochanej ary?

— Jak tylko dobijemy targu — obiecał Twengor, zerkając na Andinę. — Ile zamierzasz nam płacić, panienko, i jak długo?

— Moim adiutantem jest sierżant Khalor — zapowiedziała Andina. — To jeden z najbardziej doświadczonych oficerów wodza Albrona i zna się na detalach, o których ja nie mam pojęcia. Sierżant Khalor dopilnuje, abym ja nie została oszukana, wy zaś, panowie, sami dbajcie o swoje interesy.

— Słyszałem o nim — rzekł wyraźnie zawiedziony Gweti. — Właściwie miałem nadzieję. . .

— Że to ty mnie wykiwasz, wodzu? — wpadła mu w słowo arya. — Czy naprawdę mógłbyś wykorzystać biedną, niewinną dziewczeczkę? — I zatrzepotała rzesami.

Gweti westchnął z rezygnacją.

— Nie, rzecz jasna.

— Czyż on nie jest kochany? Leitha i ja zostawiamy panów ich własnym rozrywkom. Jak rozumiem, przy targach o ceny mogą gwałtownie wzrosnąć emocje, co oznacza używanie języka nieodpowiedniego dla panińskich uszu. Bawcie się zatem, panowie, ale żadnych bójek.

I obie z Leitha opuściły uroczyście pokój.

Sierżant Khalor twardo upierał się przy standardowej płacy jako podstawie negocjacji, pomimo różnych zastrzeżeń. Zwłaszcza Gweti usiłował wywindować żądania do zupełnie egzotycznego poziomu i domagał się umowy opartej na wynagrodzeniu za usługę. Najwyraźniej dokonał paru obliczeń i uznał, że standardowa płaca sprawi, iż pokaźna ilość złota znajdzie się poza jego zasięgiem. Odczuwał z tego powodu niemal fizyczny ból.

— Właściwie, wodzu Gweti, jestem bardzo szczodry — przekonywał go Khalor. — Bierzemy każdego mężczyznę, jakiego możesz powołać pod broń. Jeśli

potrafi stać prosto, widzi błyskawice i słyszy grzmoty, chętnie za niego zapłacimy. Nie upieram się przy pomijaniu kalek, chociaż prawdopodobnie powinienem. Jesteśmy honorowymi Arumczykami, szlachetni wodzowie. Jak wyglądalibyśmy w oczach świata, gdybyśmy oszukali niewinną dziewczynę?

— A kogo obchodzi, co myśli reszta świata? — spytał Gweti.

— Ciebie powinno obchodzić, wodzu Gweti. Jeśli rozejdzie się wieść, że jesteś szalbierzem, nikt nie zechce robić z tobą interesów. Twój żołnierz zostanie w domu, ty zaś będziesz musiał ich karmić. Zdązysz zestarzeć się, osiwieć i utonąć w długach, zanim ktoś zechce znów ich wynająć.

— Ten pocziwy sierżant mówi prawdę, synu — poparł Khalora Delur. — Pomysłowość całego Arum zależy od naszych dzisiejszych postanowień. Jak wszyscy wiedzą, na całym wielkim świecie nie ma żołnierzy lepszych od Arumczyków. Ale jeśli arumscy wodzowie okażą się niegodni, kto potem przedrze się przez nasze święte góry, aby zaoferować nam złoto? Weźmy mniej, moi synowie, żeby zyskać więcej.

Althalus pilnie obserwował Smeugora i Tauriego, którzy na boku prowadzili szeptem rozmowę. Wydawali się czymś zmartwieni. Wczorajsze zuchwałe wystąpienie Andiny wyraźnie ich zaskoczyło.

Przesuwał kolejno wzrok po twarzach osób siedzących za niesforną parą i tam również dostrzegł oznaki pewnego niezadowolenia. Smeugor i Tauri, jak się zdało, nie cieszyli się wielką popularnością w swych klanach, a ich oczywista konsternacja z powodu popisu Andiny do reszty zniechęciła pobratymców. Althalus zapamiętał sobie tę reakcję do wykorzystania w przyszłości; na razie Smeugor i Tauri mogli okazać się użyteczni, a kiedy przestaną, dobrze zorganizowany bunt powinien rozwiązać problem.

Targi ciągnęły się niemal przez cały dzień, gdyż każdy wódz wynajdywał niezliczone powody, aby wyszarpać dla siebie najwięcej złota. Sierżant Khalor jednak twardo trzymał się pierwotnej oferty, opartej wyłącznie na liczbie żołnierzy, i uparcie powtarzał: „Tyle a tyle za głowę”, zupełnie jakby kupował stado owiec. Wodzowie pomniejszych klanów gwałtownie protestowali, ale nie zważał na argumenty typu: „lepiej wyszkoleni”, „pełni entuzjazmu” czy „dysponujący najlepszą bronią”, koncentrując się tylko na liczbie. Wreszcie postawił sprawę jasno:

— Taka jest moja oferta, panowie. Możecie ją przyjąć albo odrzucić. Jeśli się okaże, że w Arum nie ma dosyć żołnierzy, znajdziemy ich prawdopodobnie w Kweronie czy w Kagwherze. Jestem przekonany, że jeśli tylko wspomnę o spodziewanych zyskach, nie będę miał żadnych problemów z zasileniem szeregów armii. Oczywiście wolałbym Arumczyków, ale jak się nie ma, co się lubi. . .

Po tych słowach opór wyraźnie zaczął słabnąć.

— Ach, jeszcze jedno — dodał Khalor. — Płacimy przy dostawie. Nie będzie żadnych zaliczek. Chcę widzieć żywych ludzi, zanim sięgnę do sakiewki.

— Co takiego?! — zaprotestował Gweti. — Nasze słowo zawsze dotąd wy-

starczało!

— Nie tym razem. Kupuję ludzi, nie obietnice.

Albron przysunął się bliżej do Althalusa.

— A nie mówiłem, że Khalor jest dobry? — przypomniał chytrze. — Nie sądzisz, że jego usługi są godne specjalnej premii?

— Z pewnością, Albronie — zgodził się Althalus. — Powiem ci, co dostaniesz w charakterze premii. To ja jestem właścicielem tego złota, więc mogę kupić wszystko, co zechcę, ale obiecuję ci solennie, że nigdy nie będę próbował podkupić sierżanta Khalora. Co ty na to?

Dobrze po północy Emmy obudziła Althalusa w zwykły sposób, przy czym jej nos nie był ani cieplejszy, ani bardziej suchy.

Idziemy do Domu.

— *Jakieś kłopoty?*

Ghend się ruszył. Nie jesteśmy jeszcze przygotowani, ale musimy odpowiedzieć.

Althalus ubrał się i przez oświetlony pochodniami korytarz poszli budzić pozostałych. Potem przez drzwi zbrojowni przedostali się do pokoju na wieży.

— Wekti lada chwila padnie — oznajmiła im Dweia. — Musimy coś z tym zrobić.

— Wekti? — zdziwił się Bheid. — Kogo obchodzi Wekti? Przecież to jedno wielkie pastwisko.

— Jeśli Wekti padnie, pociągnie za sobą Plakand, bracie Bheidzie — rzekła sucho Dweia. — A potem pomaszerują na Medyo. Awes leży tuż przy wschodniej granicy i tym razem po bitwie nie zostanie kamień na kamieniu. Zagłada Awes zawsze należała do planów Ghenda.

— Jak zdobędziemy dostateczną liczbę ludzi, by temu zapobiec? — spytał Eliar. — Od Wekti dzieli nas miesiąc drogi.

— Użyjemy drzwi — zasugerował Gher.

— Nie wpuszczę arumskich żołnierzy do Domu! — zaprotestował Eliar.

— Chyba nie będziesz musiał. Po prostu przeniesiesz Dom do nich... no, może niecały. Wystarczy para drzwi.

— Mógłbyś to bliżej wytłumaczyć? — spytał Eliar z nutą rozpaczony w głosie.

— Trochę nad tym rozmyślałem — przyznał Gher — i może przeskoczyłem kilka detali. Arumczycy wcale nie muszą wiedzieć o Domu ani o drzwiach, ale chyba znam sposób, by przeprowadzić ich tak, żeby się nie zorientowali. Będziemy potrzebowali dużo krzaków.

— Krzaków?

— Do zamaskowania tego, co robimy. To będzie tak: prowadzisz wojsko przez ścieżkę, która wiedzie przez gęste zarośla. W tych zaroślach kryją się drzwi. Oni

przez nie przechodzą i są w Domu, tylko że o tym nie wiedzą, bo w korytarzu tuż za drzwiami zgromadzimy jeszcze więcej krzaków. Potem idziecie dalej i... — Urwał i zmarszczył brwi. — O psiakrew, zapomniałem.

— O czym?

— Zapomniałem, że te drzwi nie są dostatecznie szerokie. To znaczy, jeśli prowadzisz kupę luda i oni mogą iść tylko jeden za drugim... — Pokręcił głową. — Muszę jeszcze pomyśleć.

— Nie martw się drzwiami, Gherze — odezwała się Dweia. — To moja działka. Będą szerokie albo wąskie, jakie zechcę.

— To świetnie, Emmy! — ucieszył się Gher. — Mogłabyś zrobić takie wąskie, że tylko ja bym się przecisnął...

— Odbiegasz od tematu, Gherze — upomniała go Leitha. — Skończ najpierw z jednym, a potem bierz się za drugie. W korytarzu czeka armia, co z nią zrobisz?

— Och, no tak. Myślałem, że Eliar przeprowadzi ich przez drzwi, a oni nie będą nawet wiedzieli, że są w Domu, bo krzaki wszystko zakryją. Potem pomaszerują do następnych drzwi, przez które wejdą do Wekti. Tu zaczną, a tam skończą, ale nawet się nie spostrzegą, gdzie byli po drodze.

— Tyle że zaczną w górach, a skończą na nizinach — zauważył Eliar.

— Tym zajmie się Dom. Ponieważ istnieje Zawsze i Wszędzie, może sprawić, aby podróż przez te krzaki trwała tak długo, jak zechce Emmy. Żołnierze będą myśleli, że idą przez całe tygodnie, a tymczasem znajdą się na miejscu w ciągu minuty. My będziemy to wiedzieć, ale oni nie. — Zerknął na Dwieję. — Można tak to urządzić?

— Chyba tak. A skąd ci to przyszło do głowy?

— Poprzedniego dnia podsłuchałem, jak wódz z zapadniętą twarzą rozmawiał z tym o dużej szczęce. Cieszył się, że zgarbnie zapłatę za całe tygodnie, podczas gdy jego żołnierze będą tylko maszerować. No to zacząłem się zastanawiać, co by tu zrobić, żeby Dom przekształcił przestrzeń i czas w jedno. Dom jest czymś w rodzaju skrótu, ale ci ludzie nie powinni o tym wiedzieć. Niektórzy za bardzo by się podekscytowali i mogliby próbować to wykorzystać w niewłaściwy sposób. Wtedy przyszedł mi do głowy pomysł z krzakami. Żołnierze nie dowiedzą się o Domu, bo nawet się nie domyśla, że w nim byli. I co ty na to, Emmy?

Dweia uśmiechnęła się czule.

— Jesteś prawdziwym skarbem, Gherze. Zasłużyłeś na parę całusów.

Gher zaczerwienił się ze złości.

— Wystarczy „dziękuję”. Nie lubię żadnych przytulanek i pocałunków. Człowiek się tylko od tego lepi i w ogóle mu głupio.

— Bardziej ci się to spodoba, jak dorośniesz — zapewniła go Andina, kierując z wolna oczy w stronę Eliara. Na jej ustach pojawił się dziwny uśmiezek, ale nie powiedziała więcej ani słowa.

Eliar, nie wiadomo czemu, zaczerwienił się po nasadę włosów.

CZEŚĆ IV
ELIAR

ROZDZIAŁ 21

Nad górami Kagwhereu szalała letnia burza. Skłębione chmury raz po raz przecinał zygzak błyskawic, a suche trzaski gromów zdawały się wstrząsać każdym kamieniem odwiecznego Domu na Końcu Świata. W zacinającym deszczu mokły umocnienia, ale niedługo po północy nawałnica ustała i zza chmur wynurzył się rogalik księżycy, spoglądając z góry na świeżo umyty świat.

Dweia w całej swej krasie stała przy północnym oknie. Jej zielone oczy kryły w sobie jakąś tajemnicę.

— Właściwie co Ghend robi w Wekti? — zapytał ją Althalus.

— Kłopoty nadciągają z północy — odparła, odwracając się, by spojrzeć na pokój, w którym zebrali się wszyscy. — Ghend wysłał Geltę do południowego Ansu i kazał jej wszcząć zamieszki wśród przygranicznych plemion. W czwartym tysiącleciu przejęła nad nimi władzę i teraz jest główną postacią w ich mitologii. Tamtejsi mieszkańcy uznali jej powrót za cud i teraz widzą w niej nieśmiertelną boginię wojny. Słuchają jej ślepo, więc jeśli nie przeszkadzimy, gotowa w ciągu miesiąca zmieść Wekti z powierzchni ziemi.

— Jak udało się jej wmówić ludziom, że jest tą samą boginią, która przewodziła im sześć tysięcy lat temu? — spytał Althalus. — Mieszkańcy Ansu nie grzeszą nadmierną bystrością, ale nawet oni nie powinni tego przełknąć.

— Ghend zorganizował kilka pokazów, skarbie — wyjaśniła Dweia. — Kiedy Gelta na koniu zjechała z nieba, sceptycyzm w południowym Ansu zupełnie wyszedł z mody.

— Czy Wekti dysponuje jakąś armią? — spytał Eliar. — Przynajmniej żeby opóźnić działania tamtych?

Bheid wybuchnął śmiechem.

— Co cię tak śmieszy?

— Wekti, Eliarze, to kraina owiec, zdominowana przez kapłanów w białych szatach, którzy wynieśli potulność do poziomu sztuki. Nikt tam nie będzie się bronił, biali apostaci tego dopilnują.

— Czy nie moglibyśmy przełożyć dysput teologicznych na kiedy indziej? — spytał Althalus. — Potrzebuję faktów, nie donosów. Gdzie jest stolica Wekti i kto sprawuje tam władzę?

— Może istotnie odbiegłem trochę od tematu — zgodził się Bheid. — Rząd Wekti mieści się w Keiwonie. To stara stolica prowincji jeszcze z czasów Imperium Deikanu, a tytularny władca jest potomkiem w prostej linii ostatniego imperatora.

— Tytularny?

— To taki żart, Althalusie. Jego oficjalnym tytułem jest „natus”, co znaczy „ojciec”. Pasterze mają czasem różne dziwne pomysły. Naprawdę ma na imię Dhakrel i jest figurantem bez prawdziwego autorytetu. Nosi złotą koronę, berło oraz antyczną deikańską togę. Jest łysym grubasem w średnim wieku, a jego umysł nie splamił się dotąd myśleniem. Nigdy nie opuszcza pałacu i nigdy nie spełnia swych „królewskich proklamacji”. Pochlebcy dworscy ciągle mu wmawiają, jaki jest ważny. Wizerunek Dhakrela znajduje się na wektiańskich monetach i do tego ogranicza się jego znaczenie.

— Więc kto tam naprawdę rządzi? — spytała Andina.

— Egzarcha Yeudon.

— Egzarcha? Czy to tytuł szlachecki?

— Nie, kapłański. Każdy z trzech zakonów rządzony jest przez egzarchę. Oznacza to mniej więcej tyle co „kapłan nad kapłanami”. Yeudon jest w Wekti prawdziwą władzą, więc z nim będziemy mieli do czynienia. Jest człowiekiem inteligentnym, ale cwany, nieszczerym i nie należy mu ufać.

— I w ogóle nie ma tam wojska? — dążył dalej Eliar.

— Dwa ceremonialne legiony w pałacu Dhakrela. Żołnierze są spasieni, gnuśni i prawdopodobnie do niczego się nie nadają. Noszą wprawdzie miecze, ale nie potrafią ich używać, a gdyby im kazać maszerować przez milę, chyba wszyscy pomdleliby z wyczerpania.

Eliar się skrzywił.

— A co ze zwykłymi ludźmi? Nie da się ich wyszkolić na porządnych żołnierzach?

— Wątpię — odparł Bheid. — To pasterze, którzy bardziej przypominają owce niż ludzi. Kiedy na nich huknąć, wpadają w panikę i rozbiegają się na wszystkie strony. Przeciętny Wekti język spędza cały dzień na tuleniu jagniąt do piersi i komponowaniu kiepskiej poezji oraz jeszcze gorszych pieśni o swej miłości do pasterki z sąsiedniej doliny.

— Emmy, czy my naprawdę musimy zadawać się z tymi ludźmi? — spytał Eliar Dweię. — Chyba nie są warci naszych zabiegów.

— Nie mamy wyjścia, Eliarze. Ghend opanował już zachodni Nekweros. Może pogadasz z sierżantem Khalorem? Niech ci powie, jaka strategia obowiązuje, kiedy nieprzyjaciel zajmuje tereny z obydwóch boków. Będziemy bronić nie tyle samych Wektijczyków, ile naszych wschodnich flanków.

— O tym nie pomyślałem — przyznał Eliar.

— Trzeba pojechać do Keiwonu i porozmawiać z tym Yeudonem — zdecydował Althalus.

Bheid się roześmiał.

— Zanim nam się to uda, będzie już po wojnie.

— Niezupełnie cię rozumiem.

— Biali obsesyjnie trzymają się tradycji. Minie pół roku, zanim dostaniesz się przed oblicze Yeudona. Będziemy musieli najpierw pokonać opór całej armii urzędników kościelnych.

— Użyjemy drzwi — zaproponował Eliar.

— Raczej nie powinniśmy afiszować się tam drzwiami — rzekł Althalus. — Ghend może mieć w Keiwonie swoich szpiegów. — Popatrzył z namysłem na Bheida. — Kto stoi na czele twojego zakonu?

— Egzarcha Emdahl.

— A gdyby tak ów egzarcha wysłał do Keiwonu swego człowieka z poleceniem przeprowadzenia rozmowy z Yeudonem? Taki wysłannik nie powinien mieć chyba kłopotu z procedurami?

— Pewnie nie, ale upłynie dobry tydzień, nim zapoznam mojego egzarchę z sytuacją.

— Twój egzarcha jest bardzo zajęтым człowiekiem, Bheidzie. Nie będziemy zawracać mu głowy. Jak myślisz, kogo by wysłał do Yeudona?

— Chyba jakiegoś skopasa. . . To taki dostojnik kościelny.

— Czy on ma jakiś specjalny strój?

— Nie ubiera się w jutę, jeśli o to ci chodzi. — Bheid skubnął ostentacyjnie swą czarną, prymitywnie tkaną szatę. — Przepasują się czerwonymi szarfami.

— No to gratuluję awansu, skopasie Bheidzie!

— Nie możemy tego zrobić!

— Dlaczego? Jeśli zmiana stroju może otworzyć stosowne drzwi, dam ci całą belę złotogłowiu.

— To zabronione!

— Może w Awes, ale my nie jedziemy do Awes, tylko do Keiwonu. Twój zakon nie ma władzy w Keiwonie, więc przepisy tam nie obowiązują.

— To czysta demagogia.

— Jasne. Demagogia jest podstawą każdej religii, nie wiedziałeś o tym? Czy oprócz kostiumu potrzebujesz listów uwierzytelniających?

Bheid wysuwał jeszcze inne obiekcje, ale nagle przymrużył oczy.

— Może zresztą się uda.. Wprawdzie to wbrew wszystkiemu, czego mnie uczono, ale. . .

— Nasz cel jest szlachetny, skopasie, a środki się nie liczą. — Althalus zerknął na Dweię. — Idziesz z nami?

— Tym razem poradzicie sobie beze mnie. Dziewczęta, Gher i ja zaczekamy tutaj.

— Jak sobie chcecie — odparł, wstając. — Eliarze, chodźmy poszukać drzwi do Keiwonu.

Świt już zaglądał zza wzgórz Wekti, kiedy Eliar wyprowadził Althalusa i Bheida prosto w kępę wierzb na poboczu drogi. Althalus wyszedł spomiędzy drzew, żeby popatrzeć na miasto.

Keiwon leżał w odległości około stu mil w górę rzeki od starożytnych ruin Awes, na wschodnim brzegu. Było to drugorzędne miasto, wyglądało jak każda prowincjonalna stolica. Pod wieloma względami naśladowało Deikę: miało forum, pałac i świątynię, ale wszystko to w pomniejszonej skali. Architektura była nieciekawa, a posągi toporne. Prowincjonalni władcy, którzy od wieków tam rządzą, byli biurokratami z imperialnej Deiki, a żaden drugorzędny biurokrata nie obciąża się nigdy niezależnością artystyczną — ani zresztą żadną inną. Chcieli, żeby Keiwon jak najwierniej przypominał Deikę, ale miasto nigdy jej nie dorównało, przeciwnie, przybysze mogli się czuć przytłoczeni nadmiarem budynków.

Świątynia Kherdosa przylegała do pałacu gubernatora, podobnie jak w Deice. Althalus zapamiętał to sobie z poprzedniego pobytu, chociaż dwa i pół tysiąca lat temu, kiedy zamierzał obrabować handlarza solą, unikał reprezentacyjnych dzielnic. Podobieństwa wzbudziły w nim dziwne poczucie, że kiedyś już to wszystko przeżył. Zastanawiał się leniwie, czy egzarcha Yeudon trzyma w swej świątyni psy.

Bheid w nowym stroju czuł się wyraźnie nieswojo.

— Jak mam się zachowywać? — spytał Althalusa.

— Na twoim miejscu spróbowałbym być arogancki. Myślisz, że ci się uda?

— Chyba tak. . .

— Bez żadnych „chyba”, Bheidzie. Musisz po prostu odegrać swoją rolę. Masz wiadomość wielkiej wagi od egzarchy Emdahla do egzarchy Yeudona, więc daj do zrozumienia, że zabijesz każdego, kto ci stanie na drodze.

— Zabiję?

— Nie musisz tego robić, wystarczy, że zagroźisz. Nosisz szaty dostojnika twego zakonu, więc musisz iść przebojem.

— A właściwie jaką wiadomość mam przekazać? Może powinienem ją zapisać?

— Wykluczone. Przecież nie chcesz, żeby dostała się w niepowołane ręce. Jest przeznaczona wyłącznie dla uszu Yeudona. Powinna brzmieć mniej więcej tak: Twój egzarcha odkrył właśnie, że demon Ghend rozpoczął swą kampanię zawojowania świata. A ponieważ twój egzarcha to wyjątkowo święty człowiek, odłożył na bok tradycyjne animozje wobec odstępców w białych szatach i wyrusza im na pomoc w zbliżającej się wojnie z siłami ciemności.

Bheid zamrugnął zdziwiony.

— Musimy mieć jakieś sensowne wyjaśnienie, dlaczego jutro czy pojutrze zjawia się w Keiwonie hordy barbarzyńskich Arumczyków — ciągnął Althalus. — To, co przed chwilą powiedziałem, wziąłem z sufitu, więc nie wszystko trzyma się kupy, trzeba to i owo wygładzić. Yeudon prawdopodobnie już wie, że Ansu-si gromadzą się na jego północnej granicy, ale ty masz się zachowywać, jakbyś przynosił mu najbardziej przerażające nowiny. Spróbuj wywołać na twarzy wyraz zgrozy i wspomnij o paru sprawach, które ściągną jego uwagę, takich jak koniec świata, najazd demonów piekła, wygaśnięcie słońca i tak dalej. Potem przedstawisz mu Eliara jako rzecznika arumskich klanów i powiesz, że jestem kimś w rodzaju koordynatora, który trzyma kasę naszej świętej misji ratowania świata.

— Czy to nie będzie zbyt grubymi nićmi szyte?

— Oczywiście. Daję ci tylko ogólny zarys, bracie Bheidzie, możesz go dowolnie poprawiać i improwizować. Po tym, jak załatwiłeś Ambha w Kweronie, polegam w stu procentach na twojej sile perswazji.

Bheid znów zamrugał.

— Tak naprawdę wcale nie potrafię kłamać. . .

— W gruncie rzeczy to kłamstwo jest niebezpiecznie bliskie prawdy. Naprawdę oferujemy im pomoc i naprawdę ta wojna będzie walką między dobrem a złem. Wszystko, o co cię proszę, to żebyś zapomniał o paru drobiazgach, których Yeudon i tak by pewnie nie zrozumiał. Gdybyś wyłożył mu jasno całą prawdę, zamknąłby cię w lochu jako niebezpiecznego szaleńca. Powiedz mu tyle, ile twoim zdaniem zdoła przyjąć, a resztę zwyczajnie pomiń. Zawiadom go, że Arumczycy będą za niego walczyć, a powita ich z otwartymi ramionami. Musimy tylko postawić nogę w drzwiach, a to najszybszy sposób, jaki znam. — Zerknął na słońce, które właśnie weszło. — Chodźmy do miasta. Biali powinni już być na nogach.

Kiedy weszli do świątyni, Bheid przybrał surowy, władczy wyraz twarzy i przemówił obcesowo do jednego z niższych funkcjonariuszy, żądając natychmiastowej rozmowy z egzarchą Yeudonem. Althalus śledził jego poczynania, ale się nie odzywał. Odrobina treningu, a brat Bheid nabierze kwalifikacji do zupełnie innego zawodu.

Nie wszyscy Biali rzucili się do spełnienia żądań Bheida. W poczekalni przed gabinetem egzarchy siedział przy stoliku jakiś kapłan z ważną miną. Althalus dobrze pamiętał, jak denerwowały go takie miny w Deice.

— Trzeba będzie poczekać na swoją kolej — powiedział Bheidowi wyniośle.

— Jeżeli ten dureń natychmiast nie wstanie, masz go zabić — zwrócił się Bheid do Eliara.

— Ty tu rozkazujesz, skopasie — odparł Eliar, wyciągając Nóż.

— Nie zrobisz tego! — zawołał kapłan, gramoląc się na nogi i wyzbywając się odpychającej miny.

— Teraz lepiej. Idź powiedzieć egzarsze, że przybył skopas Bheid z pilną wiadomością od egzarchy Czarnych. Może los świata nie zależy od tego, jak szybko

spełnisz polecenie, ale twój własny na pewno. Ruszaj!

Przerażony kapłan rzucił się do drzwi.

— I co? Zwróciłem jego uwagę? — mruknął Bheid z szerokim uśmiechem.

— Świetnie sobie radzisz — zapewnił go Althalus. — Tylko tak dalej.

— Egzarcha przyjmie waszą wielbność — oznajmił spłoszony kapłan, gnąc się w służalczym ukłonie.

— W samą porę — burknął Bheid, po czym wprowadził Althalusa i Eliara do przesadnie ozdobnego gabinetu.

Pokój był zabudowany półkami, na których stały księgi i zwoje. Na wypolerowanej kamiennej posadzce leżało kilka dywaników z owczych skór. Egzarcha Yeudon, szczupły, niemal wychudzony człowiek w białej szacie z kapturem, miał siwe włosy i pomarszczoną twarz o nieco zdziwionym wyrazie.

— Czemu tak długo zwlekałeś, skopasie Bheidzie? — zapytał ze słabym uśmiechem.

— Czy myśmy się już spotkali, eminencjo?

— Osobiście nie, ale spływają do mnie raporty... nieco historyczne w tonie... niemal od chwili, gdy przekroczyłeś próg świątyni. Spodziewałem się, że lada chwila otworzysz sobie te drzwi kopniakiem.

— Przyznaję, że zachowałem się niezbyt kulturalnie. Waga tego, co mam do przekazania, naruszyła nieco moje dobre maniery. Bardzo przepraszam waszą eminencję.

— Nic nie szkodzi, skopasie. Czy naprawdę zabiłbyś brata Akhasa?

— Raczej nie. Ale na przestrzeni lat przekonałem się, że słowo „zabić” natchmiast otwiera każde drzwi.

— Na pewno obudziło brata Akhasa. Powiedz mi, skopasie Bheidzie, z jakiegoż to ważnego powodu byłeś gotów popełnić morderstwo, aby przyciągnąć moją uwagę?

— Chodzi o kłopoty na waszej północnej granicy — odrzekł z powagą Bheid.

— Wiemy o nich, skopasie. Czy coś jeszcze?

— Te kłopoty mogą być poważniejsze, niż się na pozór wydają. Do tego stopnia, że mój egzarcha zdecydował się ofiarować swą pomoc.

— Czyżbym przegapił wygaśnięcie słońca? Co przyprawiło egzarchę o taki wstrząs, że aż chce nam pomagać?

— Może słyszałeś, eminencjo, o człowieku imieniem Ghend? — spytał ostrożnie Bheid.

Egzarcha pobrał śmiertelnie.

— Nie mówisz poważnie! — wykrzyknął.

— Niestety, eminencjo. My, Czarni, mamy źródła informacji, którymi wy i Brunatni nie zawsze dysponujecie. Egzarcha Emdahl odkrył zaledwie w zeszłym tygodniu, że w plemionach południowego Ansu wybuchły zamieszki wywołane

przez kilku sługusów Ghenda. Najwyraźniej Gelta, Królowa Nocy, planuje atak na Wekti.

— Więc jednak Daeva zdecydował się ruszyć z Nahgharashu! — rzekł drżącym głosem Yeudon.

— Na to wygląda. I ta właśnie wiadomość sprawiła, że egzarcha Emdahl postanowił przyjść wam z pomocą, pomimo tradycyjnej wrogości między naszymi zakonami. Możemy się różnić pod wieloma względami, ale wszyscy jesteśmy zgodni, że Daeva jest naszym ostatecznym wrogiem.

— No to koniec z nami, skopasie! Jesteśmy duchownymi, nie żołnierzami. Nie ma mowy, abyśmy odparli tych dzikusów z Ansu.

— Egzarcha Emdahl, będąc tego świadom, podjął już pewne kroki, by sprowadzić tu biegłych w sztuce wojennej żołnierzy. Otworzył skarbiec naszego zakonu i wynajął wojowników z Arum. Powinni szybko dotrzeć do Wekti, a wtedy nawet Gelta i Pekhal mogą mieć kłopoty ze zwalczaniem „wściekłych barbarzyńców”.

— Co?! Wściekłych barbarzyńców?! — oburzył się Eliar.

— To tylko relatywne określenie, Eliarze — odparł Bheid ze skrucą, po czym znów zwrócił się do bladego jak ściana Yeudona: — Ten młodzieniec w kilcie to Eliar, przedstawiciel jednego z arumskich klanów. Pozwoliłem sobie go przyprowadzić na potwierdzenie moich słów, a także po to, aby dokonał rekonesansu północnych terenów dla generałów naciągającej armii.

— Szybko działasz, skopasie — zauważył Yeudon.

— Bo wszystkie piekielne demony następują mi na pięty, eminencjo. Drugi mój towarzysz to mistrz Althalus, który rządzi kasą. Podróżował po licznych krajach i jest ekspertem skutecznego działania, a mówiąc wprost: wie, których urzędników można przekupstwem skłonić do współpracy.

— Wy, Czarni, jesteście bardziej pokretni, niż się spodziewałem.

— Jesteśmy najstarszym zakonem, eminencjo — rzekł z niejakim smutkiem Bheid — i mamy więcej doświadczenia w kontaktach z realnym światem niż wy i Brunatni. Wasze zakony nie zdają sobie sprawy z wrodzonej skłonności rodzaju ludzkiego do ulegania korupcji. Myśmy stracili złudzenia całe wieki temu. Widzimy świat taki, jaki naprawdę jest, a nie taki, jaki chcielibyśmy widzieć. Nasze motywy są w gruncie rzeczy tak czyste jak wasze, ale metody nieco bardziej cyniczne. My staramy się osiągnąć cel na tym niedoskonałym świecie wszystkimi możliwymi środkami.

— Może powinienem wziąć kilka lekcji.

— Patrz, eminencjo, i ucz się pilnie — wtrącił Althalus. Uśmiechnął się szelmowsko. — A ponieważ jesteśmy teraz sprzymierzeńcami, może dostaniesz specjalną stawkę za dalszą edukację.

— Wracamy do Domu? — spytał Eliar, kiedy znaleźli się w zaroślach przed

murami Keiwonu.

Althalus skrzywił się lekko.

— Najpierw spotkamy się z Albronem. Trzeba zacząć działać. Chcę, żeby do jutrzejszego ranka w Keiwonie była spora partia. Gelta nie będzie zasypiać gruszek w popiele, może lada chwila przedrzeć się przez granicę, więc i my musimy być gotowi.

Eliar roztropnie wcześniej zaznaczył usytuowanie drzwi, toteż prosto z Domu przeszli do gabinetu Albrona.

— Miałem nadzieję, że wpadniesz, Althalusie — powitał go wódz. — Musimy o czymś pogadać.

— Tak?

— Od czasu narady chodzi mi po głowie pewien pomysł i nie umiem sobie z nim poradzić. Dweia chyba wyjdzie z siebie, jak to usłyszysz.

— Wolałbym tego uniknąć, jeśli się da. A co to za problem?

— Chyba powinniśmy powiedzieć sierżantowi Khalorowi o drzwiach.

— Co?!

Albron podniósł rękę.

— Najpierw mnie wysłuchaj, przyjacielu. Odłożywszy na bok te wszystkie nonsensy na temat rangi i pozycji, Khalor jest rzeczywistym dowódcą naszych sił. Dopóki nie dowie się o drzwiach, nie będzie mógł w pełni wykorzystać strategicznej przewagi, jaką nam dają. W gruncie rzeczy jest dla nas znacznie ważniejsze, żeby on wiedział niż na przykład ja.

— Punkt dla wodza, Althalusie! — zawołał Eliar. — Sierżant Khalor jest najlepszy z całego Arum i jeśli zdradzimy mu sekret drzwi, potrafi wykorzystać go w sposób, jaki nam nigdy nie wpadnie nawet do głowy.

— Będę musiał pogadać o tym z Dweią — rzekł bez przekonania Althalus.

— Ale rozumiesz mój punkt widzenia? — dopytywał się Albron.

— Och, ja go na pewno rozumiem. Ale przekonanie Dwei może zająć trochę czasu.

— W Wekti nie ma na kim się oprzeć, Dweio — mówił Althalus, kiedy wieczorem siedzieli sami w pokoju na wieży. — Jeśli opinie Bheida są zbieżne z moimi, w całym kraju nie ma nikogo z kręgosłupem.

— Jeszcze cię mogą zaskoczyć, skarbie.

— Nie sądzę, by moje nadzieje specjalnie wzrosły. — Nagle się zdecydował. — Jeszcze jedno. Albron powiedział mi coś, co warto rozważyć.

— Tak? Co takiego?

— Naszym głównym atutem w Wekti, a także w innych krainach, co do których Ghend ma jakieś plany, będzie sierżant Khalor. My mamy koncepcje, ale Khalor ma je wprowadzać w czyn.

- Wydaje się dość kompetentny.
 - Tak, to świetny żołnierz... — Althalus się zawahał. — Wiesz, Dweio, niełatwo mi o tym mówić, więc może od razu przejdę do rzeczy. Albron uważa, że powinniśmy pokazać Khalorowi, jak działają drzwi.
 - To brzmi całkiem rozsądnie — odparła obojętnie.
 - Emmy! — oburzył się Althalus.
 - Powiedziałam, że się zgadzam. Idź i wytłumacz mu wszystko.
 - Naprawdę nie masz nic przeciwko temu?
 - A powinnam?
 - No... może i nie, ale przypuszczałem, że będziesz protestować.
 - A to dlaczego?
 - Myślałem, że Dom i to, co robimy z drzwiami, jest naszym wielkim, głęboko skrywanym sekretem.
 - Skąd taki absurdalny pomysł? Ghend wie o drzwiach, sam ma takie w Naghharashu i używa ich w taki sam sposób. Dlaczego mielibyśmy ukrywać nasze drzwi przed przyjaciółmi, skoro wrogowie dawno o nich wiedzą? To bez sensu.
-
- Co tu się dzieje, mój wodzu? — Sierżant Khalor rozglądał się po długim korytarzu. — To przecież nie jest zbrojownia?
 - Nie, sierżancie, to nie jest zbrojownia — przyznał Albron.
 - Gdzie jesteście? Jak dostaliśmy się tutaj?
 - O tej części świata mało kto wie, sierżancie — powiedział Althalus. — Można to wyjaśnić, ale w bardzo skomplikowany sposób i w dodatku dość nudny. Na razie niech ci wystarczy, że pewne uznane reguły w tym miejscu nie działają, dobra? Teraz słuchaj. Jeśli zechcesz znaleźć się w treboreańskim mieście Kanthonie, to jak się tam dostaniesz?
 - Ukradnę konia i będę jechał przez kilka tygodni na południowy wschód. A po co miałbym tam wracać?
 - To tylko przykład, sierżancie. Wiem, że już tam byłeś i rozpoznałbyś to miejsce. Tak się składa, że znam jeszcze inny sposób. Prowadź nas do Kanthonu, Eliarze.
 - Proszę bardzo. Tym korytarzem...
 - Sierżant Khalor spoglądał podejrzliwie na swego podwładnego, ale powstrzymał się od komentarza.
 - To tutaj — rzekł Eliar, otwierając drzwi.
 - Sierżant ogarnął wzrokiem miasto leżące za progiem.
 - Rzeczywiście wygląda jak Kanthon — powiedział dość obojętnie i spojrzał na Albrona. — Nie mamy nic lepszego do roboty, wodzu? To wszystko jest bardzo zabawne, ale muszę przygotować oddziały do długiego marszu.
 - Nie wierzysz, że to naprawdę jest Kanthon? — spytał Althalus.

— Ależ wierzę, Althalusie, czemu nie? — odparł sierżant z sarkazmem w głosie. — Wszyscy wiedzą, że naturalne prawa nie stosują się do takich jak ty. A może byśmy tak zrobili szybki skok na drugą stronę księżycy, żeby obejrzeć parę widoczków?

— Chcesz wejść do miasta, sierżancie? — zaproponował Albron.

— Jeśli przejdę przez to malowidło, to je podrę.

— To nie jest żadne malowidło, tylko prawdziwe miasto Kanthon.

— Piłeś, wodzu? — spytał zuchwale Khalor.

— To jest myśl! — zapalił się Althalus. — Może pójdziemy poszukać jakiejś oberży?

Eliar przeprowadził ich przez próg. Przystanęli na krótko, żeby zaznaczyć drzwi, po czym ruszyli drogą do bram miasta.

W miarę jak się zbliżali do celu, z zaciętej twarzy sierżanta zaczął znikać wyraz sceptycyzmu.

— To ta jasnowłosa dziewczyna z Kweronu, prawda? Ona naprawdę jest czarownicą!

— Jeśli tak ci wygodniej myśleć... — zgodził się Althalus. — Posłuchaj, celem tego przedstawienia było ukazanie ci czegoś, co może się okazać bardzo użyteczne. Naprawdę masz ochotę na kufelek piwa? Pójdziemy do miasta i wypijemy nawet po kilka, jeśli zechcesz, ale najpierw pokażę ci kilka innych rzeczy, zgoda?

— Piwo może poczekać. — Sierżant spojrzął z ukosa na Althalusa. — Jeśli to jakaś gra, panie Althalusie, to wiedz, że będę bardzo, ale to bardzo rozczarowany. Może rzucimy okiem na jakieś inne miasto? I tym razem ja zdecyduję które.

— Dobrze, wybieraj.

Khalor zerknął podejrzliwie na Albrona i Eliara.

— Bhagho.

— Gdzie to, u licha, jest? — spytał Albron. — Byłeś tam kiedy?

Khalor wyszczerzył zęby.

— Tu was boli! Nie macie czasu, by stworzyć iluzję, co?

— Nie, nie mamy. Cwany z ciebie facet. Idziemy do Bhagho, Eliarze.

Przez następną godzinę sierżant Khalor wymieniał nazwy miast rozrzuconych po nizinnych krajach, a Eliar posłusznie prowadził go do każdego po kolei.

— Musi w tym być jakaś sztuczka, ale niech mnie powiesz, jeśli wiem jaka.

— A jeśli nic takiego nie ma?

— To znaczy, że zwariowałem.

— Po prostu dla podtrzymania dyskusji powiedzmy, że nie ma w tym żadnej sztuczki ani ty nie zwariowałeś. A teraz załóżmy, że dowodzisz plutonem żołnierzy... albo nawet całą armią i chcesz tę armię przerzucić z zamku Albrona na drugi koniec świata. Czy nie wygodniej ci będzie zrobić to w ten sposób?

— Jeśli to rzeczywiście działa tak, jak się wydaje, uczynię mojego wodza władcą całego świata!

— Co za interesujący pomysł — ucieszył się Albron.

— Zapomnij o tym — uciał Althalus.

Kiedy Eliar wprowadził Althalusa, Bheida i Khalora do egzarchy Yeudona, ten rozmawiał właśnie z podeksytowanym młodym pasterzem. Chłopak miał włosy rude jak marchewka i nosił pasterską tunikę.

— Przybyli konno, eminencjo! — krzyczał. — Zabijali mi owce!

— Uspokój się, Salkanie — mówił siwowłosy egzarcha, gestem prosząc wchodzących o milczenie.

— A jednak im pokazałem! — ciągnął pasterz. — Zabiłem trzech, to ich nauczy trzymać się z daleka od moich owiec!

— Jestem pewien, że żaden z tych trzech ich nie tknie — mruknął Yeudon. — Mam gości, Salkanie, może poczekaś chwilę na zewnątrz?

— Niech zostanie, eminencjo — poprosił Althalus. — Ma pewne informacje, które mogą się nam przydać.

— Widzę, że chodzisz tam i z powrotem, skopasie Bheidzie — zauważył Yeudon.

— Mój egzarcha zachęca do pilności, a ostatnio wręcz jej wymaga, eminencjo. To jest generał Khalor, dowódca Arumczyków, którzy już teraz ciągną w stronę waszej zachodniej granicy. Przyprawiliśmy go, aby się przedstawił waszej eminencji.

— Eminencjo — odezwał się Khalor, skinąwszy krótko głową — czy wolno mi zamienić kilka słów z tym młodzieńcem? Widział naszych wrogów, więc chciałbym go zapytać o szczegóły.

— Oczywiście, generale.

— Nazywasz się Salkan? — zaczął Khalor, nie tracąc czasu.

— Tak, panie.

— Ilu jeźdźców liczyła grupa, która cię zaatakowała?

— Ponad dziesięciu. Byłem zdenerwowany, więc dokładnie nie policzyłem.

— Gdzie konkretnie pasłeś swoje owce?

— Przy granicy... choć nie bardzo wiadomo, gdzie ona przebiega. To otwarte pastwisko, nikt nie wytycza granic.

— Będę musiał się tym zająć — rzekł Khalor — ale nieco później. Jaką broń mieli napastnicy?

— Dzidy.

— Krótkie czy długie?

— O, bardzo długie.

— Rzucali nimi? Czy raczej dźgali owce, nie zsiadając z koni?

— Kłuli je, przejeżdżając obok. Nie pamiętam, by któryś rzucał.

— Mieli inną broń?

— Chyba zakrzywione miecze.

— A topory?

— Nie widziałem.

— Skoro siedzieli na koniach, a ty stałeś na ziemi, jak udało ci się zabić tych trzech?

— Z procy. Wszyscy pasterze z Wekti mają przy sobie proce. Używamy ich do przeganiania wilków, więc praktycznie ćwiczymy cały czas.

— Gdzie celujecie?

— Zwykle w głowę.

— Nie nosicie dzid ani łuków?

— Tylko by nam przeszkadzały. Proca prawie nic nie waży, a kamyki leżą wszędzie.

— Dotąd uważałem procę za dziecięcą zabawkę.

— O, co to, to nie — zaprotestował Althalus. — Za młodu nosiłem procę przez całe lata i dzięki temu miałem zapewnione regularne posiłki.

— Czy z procy można zabić konia?

— Z łatwością. Kość pomiędzy oczami nie jest specjalnie gruba. Dawno nie miałem procy w rękę, ale jeszcze teraz ustrzeliłbym konia w ruchu z odległości stu kroków.

— Trudno w to uwierzyć, Althalusie.

— Trafiałem króliki z odległości pięćdziesięciu kroków, a koń jest znacznie większy.

Sierżant Khalor uśmiechnął się szeroko.

— Chyba będę miał ułatwione zadanie. Myliłeś się, Althalusie, Wekti mają armię, i to dokładnie taką, jakiej mi trzeba.

— Nie bardzo nadajam za twym rozumowaniem, generale — wtrącił wyraźnie zaintrygowany Yeudon.

— Piechota nie ma szans w walce z kawalerią, eminencjo. Ludzie na koniach mogą przemieszczać się szybciej i wykorzystać siłę koni, by nas odepchnąć do tyłu. Zbuduję standardowe umocnienia ziemne na szczytach wzgórz i otoczę zbocza zaostrozonymi palami oraz linią zasieków, ale to będzie tylko na pokaz. Oddziały kawalerii nieprzyjaciela ruszą na wzgórze, by zaatakować nasze okopy. Kiedy tylko się pokażą, wasi pasterze przywitają ich procami.

— Nasza religia zabrania zabijania bliźnich, generale.

— Ale obecny tu Salkan zabił już trzech, prawda?

— Działał w obronie owiec. W tej sytuacji dopuszcza się zabijanie ludzi.

— Proszę się nie martwić, eminencjo. Pasterze nie będą zabijać ludzi, tylko konie. Nasi wrogowie prawdopodobnie pół życia spędzili na końskich grzbietach. Mają tak krzywe nogi, że już nie potrafią chodzić pieszo. Ale kiedy paster-

rze ustrzelą im konie z procy, będą zmuszeni atakować okopy na piechotę. Duch w nich osłabnie do reszty, poza tym będą walczyć pod górę, do czego nie są przyzwyczajeni. Do obiadu będą moi.

— Skąd wiesz, że stracą ducha?

— Kawalerzysta bardzo przywiązuje się do konia, eminencjo. Kocha go nawet bardziej niż żonę. Będziemy mieli do czynienia z armią mazgai i kalek, którzy spróbują przedrzeć się przez zasieki wśród ataku strzał i oszczepów. Bardzo niewielu zdoła dotrzeć do okopów. Pójdę teraz obejrzeć teren i wybrać stosowne miejsce do robót ziemnych.

— Czy nie za dużo czasu zajmie wykopanie rowów wzdłuż całej północnej granicy? — spytał Yeudon.

Khalor wzruszył ramionami.

— Raczej nie. Mam wielu ludzi, eminencjo. Będą przykładac się pilnie do pracy, ponieważ te okopy to ich jedyna szansa na przeżycie.

— Wciąż jeszcze jest jasno — zauważył Althalus po powrocie do Domu — więc mamy czas, by obejrzeć teren. Bheidzie, może opowiesz Dwei, czego dokonaliśmy dzisiaj? Tylko nie rozwódź się za długo na temat zabijania koni, ona bywa sentymentalna. Powiedz jej, że niedługo wrócimy. Chodź, Eliarze, pójdziemy rzucić okiem na północne Wekti.

Zapadał mrok, kiedy Eliar przeprowadzał Althalusa i Khalora przez drzwi, które otwierały się na trawiasty pagórek. Sierżant Khalor rozejrzał się uważnie.

— Nie ma drzew — orzekł.

— Właśnie dlatego nazywamy to łąką, sierżancie. Natomiast miejsce porośnięte drzewami to las.

— Naprawdę powinieneś ruszyć głową, Althalusie. Chodzi mi o to, że potrzebujemy pali, więc będziemy musieli przynieść je z sobą.

— Althalusie — syknął Eliar. — Gdzieś tu jest Pekhal.

— Gdzie?

— Nie jestem pewien, ale blisko. Nóż zaczyna śpiewać.

— Sprawdź, czy nie widać dokładniej.

Eliar zacisnął dłoń na rękojeści Noża. Na jego twarzy pojawił się wyraz skupienia.

— Są za tym wzgórzem.

— Są?

— Chyba jest z nim Ghend.

— Wracamy do Domu. Natychmiast!

— Ale...

— Rób, co ci każą! — warknął po cichu Khalor.

— Tak jest!

Eliar poprowadził ich z powrotem do drzwi i po chwili znaleźli się w korytarzu Domu.

— Dokąd teraz, Althalusie? — spytał.

— Nie wiem, co z tego wyjdzie, lecz chciałbym, żebyś znalazł drzwi do miejsca odległego o dziesięć stóp od tego, gdzie stoją Ghend i Pekhal. Otwórz je możliwie jak najciszej, ale nie chcę przekraczać progu, tylko posłuchać, o czym tamci mówią.

— Nie przyszło mi to do głowy! — wykrzyknął Khalor z podziwem. — Eliarze, potrafisz to urządzić?

— Spróbuję, sierzancie, ale za nic nie ręczę. — Eliar oparł dłoń na drzwiach znajdujących się tuż obok poprzednich. — To chyba te... — szepnął, naciskając z wolna klamkę.

Pekhal i Ghend stali w wysokiej trawie tuż za progiem. Niebo na zachodzie było mocno czerwone. Raz po raz słońce przesłaniały rozpędzone czarne chmury. Za plecami obu mężczyzn aż do następnej doliny rozciągało się ogromne obozowisko.

Ghend nadal nosił ten sam hełm, który miał w obozie Nabjora. Utkwione w Pekhalu płonące oczy rzucały wściekłe błyski.

— Chcę, żebyście razem z Geltą skończyli tę zabawę! Zabraniam wam przekraczania granicy i mordowania kogo popadnie.

— Chodziliśmy na zwiady, mistrzu — tłumaczył się Pekhal.

— Jasne! Ona czasem bywa jeszcze gorsza od ciebie. Musisz ją powstrzymać, Pekhalu. Każ jej siedzieć po tej stronie granicy. Kiedy wreszcie dotrze tu reszta armii?

— Nie wcześniej niż za dwa tygodnie. Gelta czeka jeszcze na trzy plemiona.

— Powiedz jej, że ma tydzień. Musimy wyruszyć, zanim Althalus ufortyfikuje granicę. Gelta ma się wycofać i zaprzestać naruszania granicy. Za tydzień ruszamy bez względu na to, czy będziecie gotowi. Muszę koniecznie wyprzedzić Althalusa!

— Za bardzo się nim przejmujesz — burknął Pekhal.

— Radzę ci, żebyś i ty zaczął się przejmować. Althalus porusza się szybciej, niż się spodziewałem. I z dnia na dzień uczy się coraz więcej o Domu. A teraz odejdz i zaprzestań wycieczek do Wekti, bo tylko budzisz ich czujność.

— Tak jest, mistrzu — odparł Pekhal z naburmuszoną miną.

ROZDZIAŁ 22

Eliar na polecenie Althalusa zamknął drzwi.

— I co, Khalorze? — spytał Althalus upartego sierżanta. — Masz dość czasu, żeby się przygotować?

Khalor zmrużył oczy z namysłem.

— Ciężko będzie. Ale przy odrobinie szczęścia. . .

— Zawsze uważałem się za szczęściarza, lecz na wszelki wypadek pogadajmy z Dweią.

— Kim on jest?

— Nie on, tylko ona, sierzancie — wyjaśnił Eliar. — I coś mi się zdaje, że ją polubisz.

— Gdzie mieszka?

— Tutaj — odparł Althalus. — To jej dom.

— Jakaś dama, tak?

— O, znacznie więcej niż dama — zapewnił go Eliar.

Althalus poprowadził ich korytarzem do granitowych schodów na wieżę.

— Tu spędza prawie cały czas.

Na górze zastali resztę kompanii. Dweia, Andina i Leitha zatopione były w żywej dyskusji na temat fryzur, Bheid studiował Księgę, a Gher ze znudzoną miną gapił się przez północne okno na lodowe góry.

— Miło, że wpadłeś, Althalusie — zauważyła sucho Dweia.

— Byłem bardzo zajęty i. . .

— Och, przestań!

— Przepraszam. Pokręciliśmy się trochę tu i tam. To jest sierżant Khalor. Będzie dowódcą naszych sił w Wekti.

— Witam — rzekła Dweia z lekkim skinieniem głowy.

— Masz wspaniały dom, pani — zauważył sierżant.

— Cieszę się, że ci się spodobał. Brat mi go zostawił jakiś czas temu.

— Bardzo niezwykle miejsce.

— Owszem — odparła z osobliwym uśmiechem na idealnie wykrojonych ustach.

— Pchnęliśmy sprawy do przodu w Wekti — zameldował Althalus. — Brat Bheid na pewno opowiedział ci o naszej konferencji z Yeudonem. Egzarcha nieco podejrzliwie odnosi się do naszych motywów, ale nie ma wyjścia. Sierżant Khalor obejrzał tereny, na których zetkniemy się z Ansusami, i uważa, że po wykonaniu pewnych robót ziemnych nadają się do obrony. Ach, byłbym zapomniiał. Widzieliśmy Ghenda.

— Co?! — wykrzyknęła Dweia zdecydowanie nieprzyjaznym tonem.

— Wygląda dobrze. Nie mieliśmy okazji pogadać, w przeciwnym razie na pewno przesłałby ci ukłony.

— Zaczynasz mnie denerwować, Althalusie.

— Althalus wpadł na pomysł wykorzystania drzwi, który mnie w ogóle nie przyszedł do głowy — wtrącił się Eliar z zapałem. — Czy wiesz, że jeśli otworzymy drzwi tuż obok miejsca, gdzie dwóch ludzi rozmawia, możemy podsłuchać, co mówią, nie przekraczając progu?

— Owszem, to jest możliwe. Nie musiałam dotąd z tego korzystać, bo dysponuję innymi sposobami.

— Najlepsze jest to, że tamci nie zdają sobie sprawy z naszej obecności. Dopóki nie przejdziemy przez drzwi, jesteśmy niewidzialni.

— Jak na to wpadłeś? — spytała Althalusa Dweia.

— Pewnie dzięki mojej mętnej przeszłości. Grunt, że słyszeliśmy, jak Ghend przejeżdżał się po Pekhalu. Zdaje się, że Pekhal z Gelta zabawiali się, urządzając sobie wycieczki przez granicę i napadając na Wekti. Ghend stanowczo im tego zabronił, a jednocześnie kazał rozpocząć inwazję od dziś za tydzień.

— Zdażysz się przygotować, sierżancie? — spytała Dweia.

— Tak sądzę, pani. Gdy tylko rozmieścimy parę oddziałów wzdłuż granicy, wyślę zwiadowców na rekonesans. Muszę wiedzieć, z czym mamy walczyć, z piechotą czy z konnicą.

— Prawdopodobnie z obydwojema rodzajami wojsk. Pekhal jest żołnierzem piechoty, a Gelta większość życia spędziła na koniu.

— To cenna informacja, pani. Althalus ma czasem skłonność do przesadnego optymizmu.

— Wiem — uśmiechnęła się Dweia. — Potrafi być bardzo wojowniczy, co? Khalor wzruszył ramionami.

— Jak dotąd jest użyteczny, więc jakoś dam sobie radę z jego sztuczkami. To wszystko bierze się stąd, że on się uważa za bardzo zabawnego, podczas gdy wcale tak nie jest. Ale z czasem do niego przywyknę.

Althalus obrzucił go ciężkim spojrzeniem.

— Biedny Althie, wszyscy ci dokuczają, co? — spytała z udaną słodyczą Leitha. — Moje biedactwo!

— Rozumiem, że ty tu rządzisz, pani — powiedział Khalor do Dwei.

— Mniej więcej. Althalus zwykle robi, co mu każe. . . w końcu. Czy przyjmowanie rozkazów od kobiety jest ci przykre?

— Niespecjalnie. Wolę słuchać mądrej kobiety niż głupiego mężczyzny, ale teraz czekają nas decyzje natury politycznej. Poradzę sobie ze strategią i taktyką, lecz muszę znać cel polityczny.

— Możesz wyrazić się jaśniej?

— Nasi wrogowie, Pekhal i Gelta, planują swój ruch na następny tydzień, a ja mam stawić im czoło. Jak daleko mam się posunąć? Mogę po prostu rozkwasić im nosy i puścić wolno, jeśli tego sobie życzysz.

— Ale wolałbyś na tym nie poprzestawać, co?

— Owszem, pani, jednak nie jestem stroną polityczną w tej wojnie. Dobry żołnierz jak ognia unika polityki i religii, więc jeśli mam tylko spuścić im lanie i odesłać do domu, uczynię to.

— Ale niechętnie.

— Tak jest, niechętnie, bo w takim wypadku za miesiąc będą z powrotem, ja zaś będę musiał ściągać oddziały, których mogę potrzebować gdzie indziej, tylko po to, by pilnowały granicy.

— A jest inne wyjście?

— Jest. Unicestwienie. Jeśli pozabijam wszystko, co się porusza wzdłuż całej granicy, nie będę musiał wracać i zaczynać roboty od początku. Jest to rozwiązanie brutalne i przykre, ale to wojna, a nie herbatka u cioci. Wiem, że damy mają czułe serca, radziłbym jednak się nie patyczkować i nie nakładać na mnie żadnych ograniczeń.

— Palić, rąbać, zabijać?

— Właśnie.

— No dobrze, sierzancie, daję ci wolną rękę.

— Widzę, że będziemy się dobrze rozumieli, pani — odrzekł Khalor z uśmiechem przypominającym błysk stali.

Mimo niecierpliwości sierżanta Dweia nalegała, by wszyscy zostali na kolacji.

— Panie czują się nieco zaniedbane, skarbie — tłumaczyła na boku Althalusowi. — Lepiej, żeby w rodzinie był spokój, rozumiesz.

— Czas nagli, Dweio.

— Chyba zapominasz, gdzie jesteś, skarbie. Te miłe chwile w niczym nie naruszają twego programu, ponieważ czas tu biegnie. . . albo stoi, zależnie od moich zachcianek.

Panie spędziły trochę — naprawdę tylko trochę — czasu na przebieraniu się do kolacji, a potem wszyscy zasiedli do prawdziwej uczy, bo jedynie tak można to było określić.

Andina wróciła do starego zwyczaju i napełniała talerz Eliara trzy razy, aż wreszcie powiedział jej, że jest najedzony „potąd”, co podkreślił odpowiednim gestem.

— Jak długo to trwa? — spytał Khalor Althalusa.

— No... jakiś czas.

— Właśnie się zastanawiałem, dlaczego Eliar ma ostatnio kłopoty z koncentracją. To samo zresztą dotyczy kapłana i czarownicy, co? Czy potrafisz namówić Dweię, żeby wesela odbyły się dopiero po wojnie? Żonaci kiepsko się biją.

— Podobno trzyma rękę na pulsie — odparł Althalus. — I sędzę, że zgadza się z tobą w kwestii łączenia wojny z weselami. — Zerknął przez stół na Dweię. — Skarbie, czy masz coś przeciwko temu, jeśli przez chwilę porozmawiamy o sprawach wojskowych?

— Byle nie za bardzo obrazowo.

— Eliar powinien zabrać brata Bheida z powrotem do Keiwonu. Jest tam pewien rudowłosy pasterz, który przyda się sierżantowi po rozpoczęciu działań. Chciałbym, żeby zebrał jak najwięcej innych pasterzy i poprowadził ich ku granicy.

— Mają iść pieszo? — spytał Bheid.

— Będą nam potrzebni dopiero za kilka dni, więc lepiej trzymać ich z daleka, póki nie zakończymy robót ziemnych. Jeśli dotrą na miejsce, gdy rowy będą już gotowe, to dobrze, a jeśli nie zdążą do dnia inwazji, Eliar użyje drzwi.

— Mam zostać z Bheidem w Keiwonie? — spytał Eliar.

— Nie, tylko go tam wprowadzisz i od razu wrócisz. Potem zabierzesz Khalora i mnie na spotkanie z Albronem. Musimy zdecydować, który klan ma budować fortyfikacje, no i będę potrzebował swego rodzaju pełnomocnictw, żeby dać rozkaz wymarszu.

— Dwie beczki złota zastąpią wszystkie pełnomocnictwa — prychnął Khalor. — Myślę, że najlepiej nada się klan Gwetiego, a słowo „złoto” dostatecznie rozbudzi jego zainteresowanie.

— Bacz tylko, żebyś nie obraził wodza Albrona.

— Przepraszam — wtrącił Gher. — Właśnie wpadł mi do głowy pewien pomysł.

— Uważaj, sierżancie — ostrzegł Khalora Althalus. — Gher potrafi być niezwykle twórczy, gdy chodzi o wykorzystanie drzwi. Niektóre jego pomysły są tak skomplikowane, że trudno cokolwiek zrozumieć. No, mów, Gherze.

— To nie jest jedyna wojna, jaka nas czeka?

— Jestem przekonany, że to dopiero pierwsza. Potem będą następne.

— Więc czy nie lepiej, żeby wszyscy Arumczycy wyruszyli od razu?

— Ale dokąd?

— To nie ma znaczenia.

— Teraz cię nie rozumiem, młody człowieku.

— No przecież minie trochę czasu, zanim będą gotowi do wymarszu, prawda? Muszą zebrać ekwipunek, pożegnać się ze swymi paniami, upić się kilka razy i tak dalej.

— Zgadza się.

— Ale później może się okazać, kiedy na przykład ludzie Ghenda nas zaskoczą, że pilnie potrzebujemy większej liczby żołnierzy. Jeśli w tym czasie będą maszerować tam i z powrotem po korytarzu Domu, wystarczy, że Eliar otworzy im odpowiednie drzwi i znajdą się od razu tam, gdzie będą potrzebni.

— To znaczy, że mają chodzić w kółko? — spytał ze zdumieniem Eliar.

— Czemu nie? Czy nie da się tak załatwić, by im się zdawało, że maszerują przez całe miesiące? Zresztą niektórzy naprawdę będą bardzo długo w drodze. Ale możemy ich mieć na miejscu praktycznie w każdej chwili.

— Można tak to urządzić? — spytał Khalor Althalusa.

— Nie widzę przeszkód. Trzeba tylko dopracować kilka detali, ale zasadniczy pomysł brzmi rozsądnie.

— Czyżbym nie wziął czegoś pod uwagę? — spytał Gher.

— Trzeba będzie poinformować ich, dokąd idą. A także gdzie toczy się wojna, i to jeszcze przed wymarszem.

Gher wzruszył ramionami.

— Wciśnijcie im jakiś kit. Że mają walczyć za Eciepeciów przeciwko Trelemorelom czy coś podobnego. Wymyślcie parę nazw. Słyszałem, że Arumczykowi w zasadzie wszystko jedno, za kogo się biją, interesują ich tylko pieniądze.

— Wiedziałem, że w tym pomysle coś nie gra! — wykrzyknął triumfalnie Althalus.

— Naprawdę? — spytał nieco zaniepokojony Gher.

— Naprowadziło mnie na trop nieprzyjemne słowo „pieniądze”. Przecież gdy tylko zaczną maszerować, będę musiał zacząć im płacić.

— Ale za czas tamtejszy, a on jest krótszy niż tutejszy. . . a może zresztą i dłuższy. Jak wszystko podliczysz, okaże się, że zapłacisz mniej. Poza tym sam mówiłeś, że kiedy wchodzisz do magazynu ze złotem, światło twojej latarni nie sięga nawet do ścian. Skoro ten magazyn jest aż tak wielki, to znaczy, że masz mnóstwo złota i nie ma znaczenia, ile wydasz.

Althalus wytrzeszczył oczy. Ton głosu Ghenda, kiedy wydawał rozkazy Pekhalowi, świadczył, że nieprzyjaciel się boi, Althalus dotąd uważał, że on jest przyczyną obaw Ghenda, ale najwyraźniej się mylił. To ten rozczochrany chłopiec, który nie skończył nawet dziesięciu lat, wystraszył sługę Daevy. . .

W porządku, Althie — zamruczał mu w głowie głos Emmy. — Nadal cię kocham. . . nawet jeśli spadłeś o oczko niżej.

— Są w Arum lepsi wojownicy niż ci z klanu Gwetiego, wodzu — mówił Khalor kilka godzin później do Albrona w jego gabinecie — ale w budowie fortyfikacji nikt tamtym nie dorówna.

Albron skinął głową.

— Gweti się tylko ucieszy. On uwielbia takie zapędzanie przeciwnika w kozi róg, bo dostaje dzienną stawkę zamiast zapłaty za konkretną robotę. Jego ludzie są znacznie bardziej zaprawieni w machaniu łopatami niż mieczami.

— Nie przepadam wprawdzie za nimi, ale w tej sytuacji właśnie takich mi trzeba. Nie chcę kogoś w rodzaju Twengora, on jest zbyt nieprzewidywalny na ten rodzaj walki.

— A jaka jest twoja ogólna strategia? — spytał Albron.

— Nadal obmyślam szczegóły, wodzu, ale trzymam w rękawie kilka niespodzianek dla Pekhala i Gelty.

— Tak?

— Okazało się, że Wektijczycy wcale nie są tacy potulni, jak nam się zdawało. Kiedy trzeba bronić stad, stają się całkiem bojowi. Używają proc... i bynajmniej nie mam tu na myśli dziecięcych zabawek. Natknęliśmy się na pewnego młodego zucha, który ustrzelił trzech jeźdźców Pekhala, bo napadli na jego owce.

— Jak to, z procy?

— Kamyk wystrzelony między oczy zabija człowieka... albo konia szybciej niż cios miecza w brzuch. Ansusi Gelty poruszają się konno, co mnie trochę martwiło, ale już przestało. Mogą zacząć inwazję na koniach, lecz je utracą, zanim dotrą do okopów. I będą zmuszeni atakować, nie mając pojęcia o taktyce walki piechoty.

— Bardzo sprytnie, sierżancie.

— To tylko początek, wodzu. Zamierzam ustawić klan starego Delura tuż przy polu bitwy, po zachodniej stronie. Znam parę osób w Plakandzie i wiem, że tamtejsi mieszkańcy są jeszcze lepszymi jeźdźcami od Ansusów, dlatego tam właśnie wynajmę armię kawalerzystów. Ci okrążą Wekti od wschodu. Będą mieli na to tydzień, więc zdążą przed rozpoczęciem bitwy. Zaczekam, aż Ansusi osłabną przy próbie ataku na fortyfikacje, i dopiero wtedy dam sygnał ludziom Delura i Plakandom, żeby zaatakowali od tyłu. Nie sądzę, by wielu przeciwników przeżyło.

— Genialnie, Khalorze! Genialnie!

— Też mi się to podoba, mój wodzu. Chciałbym jednak wypożyczyć twojego szwagra Melgora. Będę musiał latać jak kot z pęcherzem, żeby wszystkiego dopilnować, a wódz Gweti nie każe swym ludziom śpieszyć się z kopaniem. Potrzebuję kogoś, kto stałby nad nimi i od czasu do czasu trząskał batem. Fortyfikacje muszą być gotowe do końca tygodnia, nawet gdyby biedaczek Gweti musiał się obejść niższą zapłatą.

— Zajmę się tym, sierżancie — obiecał Albron, starając się, by zabrzmiało to zdawkowo.

— Że co, proszę?

— Myślę, Khalorze, że nadszedł czas, bym osobiście się w to włączył. Jak dotąd cały czas prowadzę interesy. Wiesz, że od śmierci ojca nie brałem udziału

w żadnej wojnie, zawsze tylko posyłałem ciebie. Mam tego dość, chcę być prawdziwym Arumczykiem.

— Nie nadajesz się, Albronie — odparł bez ogródek Khalor.

— Szybko się uczę. Chcesz czy nie, ja tu jestem wodzem i zamierzam udać się do Wekti, aby trzaskać z bata nad karkami kopaczy Gwetięgo.

Khalor zamrugnął z niedowierzaniem.

— A czy zgodzisz się przynajmniej zabrać z sobą Melgora jako doradcę... i po to, żeby przżył muskuły, kiedy jakiś człowiek Gwetięgo zacznie dyskutować, ile trzeba czasu, aby wyrzucić z rowu jedną łopatę ziemi?

— W zasadzie moje stosunki ze szwagrem nie są najlepsze, ale jestem wodzem i potrafię wydawać rozkazy. Zajmę się tymi rowami, sierzancie. — Uśmiechnął się łobuzersko, niemal jak mały chłopczyk. — Dzieciak ze mnie, co?

— Owszem, trochę. Skąd ci się to wzięło, wodzu?

— Z temperamentu. Pomimo wielu godzin, jakie spędziłem na sumowaniu liczb i liczeniu stosów monet, nadal jestem Arumczykiem i na dźwięk rogu krew zaczyna mi się burzyć. To może być najważniejsza wojna w historii Arum i nie zamierzam dać się wyrolować.

Khalor westchnął z rezygnacją.

— No tak, wodzu, tego się spodziewałem.

Wczesnym rankiem wrócił z Keiwonu Eliar.

— Egzarsze Yeudonowi nie bardzo się to wszystko podoba — zameldował. — On myślał, że żaden z jego pasterzy nie będzie musiał kiwnąć palcem. Bardzo mu przypadła do gustu koncepcja, żeby inni odwalili całą robotę. Bheid jednak wybił mu ją z głowy.

— Tak? — zdziwił się Althalus.

— Dał mu do zrozumienia coś w tym rodzaju: „Jeśli sam nie jesteś zainteresowany walką, to my także nie będziemy się fatygować”. I Yeudon w lot pojął, w czym rzecz. Dokąd teraz idziemy?

— Do dworu Gwetięgo. Musimy jak najprędzej doprowadzić kopaczy na miejsce. — Althalus spojrzął pytająco na Dwieę, która siedziała przy stole, przewracając leniwie karty Księgi. — Czy Gher rzeczywiście był taki bliski prawdy, kiedy mówił o drzwiach do Zawsze?

— Mniej więcej. Czemu pytasz?

— Bo chyba będę potrzebował więcej czasu, niż mam. Podoba mi się koncepcja, żeby zgromadzić Arumczyków w korytarzach Domu, ale muszę to wszystko zorganizować. Jeśli Eliar może mnie zabrać do poprzedniego tygodnia, będę miał czas na uruchomienie klanów i wszyscy znajdą się na miejscach, zanim Pekhal i Gelta rozpoczną atak. Nie lubię jednak, kiedy czas mnie goni. Wtedy popełnia się błędy.

— Zajmiemy się tym, mój drogi. Każ ludziom Gwetiego zaczynać, a sam wróć tutaj. Muszę wyjaśnić Eliarowi kilka spraw. Drzwi do wszechczasu różnią się nieco od drzwi do wszechprzestrzeni. Trzeba zastosować inną procedurę.

— W porządku. Weź jedną beczkę, Eliarze, i chodźmy do Gwetiego.

Eliar położył na chwilę dłoń na rękojeści Noża i zmarszczył lekko brwi. Potem nagle skinął głową, jakby coś usłyszał.

— Od drzwi do wodza Albrona będzie kawałek drogi.

Podniósł beczkę i poprowadził Althalusa i Khalora na dół.

— Althalusie, od jak dawna jesteście małżeństwem? — spytał Khalor po drodze.

— Co takiego?

— Bo przecież jesteście małżeństwem. Ty i ta pani, która tu wszystkim rządzi. . .

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— A co, pomyliłem się? — spytał z niedowierzaniem Khalor. — Zachowujecie się jak mąż i żona.

— No chyba! — roześmiał się Althalus. — Pewnie do tego dojdzie, ale najpierw trzeba pokonać kilka technicznych trudności. Na przykład uzyskać pozwolenie jej rodziny, co może okazać się nieco kłopotliwe.

— Tutaj — oznajmił Eliar.

— Co jest po drugiej stronie? — spytał Althalus.

— Wielkie drzwi, które otwierają się wprost do sali, gdzie Gweti wydaje swoim ludziom rozkazy.

— Lepiej, żebym ja mówił, Althalusie — zaproponował Khalor. — To ja założyłem Gwetiemu uzdę na naradzie, więc będę wiedział, jak szarpać lejcamy, żeby skierować go na właściwą drogę.

— I w dodatku sprawi ci to frajdę, co? — odgadł Althalus, uśmiechając się złośliwie.

— Ucieranie Gwetiemu nosa to jedna z moich ulubionych rozrywek — zachichotał Khalor.

Eliar wprowadził ich do ogromnej, zatęchłej sali, w której wódz Gweti siedział zgarbiony przy stole z nieoheblowanych desek i liczył monety.

— Przyszedłem po twoich ludzi, wodzu Gweti — huknął od progu Khalor.

Gweti szybkim ruchem starał się zasłonić pieniądze.

— Zaskakujesz mnie, sierżancie — rzekł. Nagle na jego zapadniętej twarzy ukazał się chytry uśmieszek. — Cieszę się, że was widzę. Przeoczyliśmy na naradzie pewien drobiazg.

— Naprawdę? Zdawało mi się, że wyczerpaliśmy temat. Tyle a tyle za jednego człowieka za jeden dzień, tak?

— Ach, z tym wszystko w porządku — rzekł pośpiesznie Gweti. — Ale nie doliczyliśmy kosztów broni. Dobre miecze i topory są drogie, sierżancie.

— Dostarczymy wam broń, wodzu Gweti — wtrącił się Althalus.
— Ale... — zaczął protestować Gweti.
— Wynajmujemy od was ciała, a nie ten złom, który trzymacie w magazynach.
— A buty? — spytał niemal z rozpaczą Gweti. — Na niziny szmat drogi, ludzie na pewno zdążą zedrzeć podeszwy.
— Tym zajmiemy się także. Nie próbuj mnie wykołować, bo ci się nie uda. Może pogadamy, ile zamierzasz nam zapłacić za racje żywnościowe? Bo przecież twoi ludzie muszą coś jeść.
— To absurd! — wykrzyknął Gweti, wytrzeszczając oczy.
— Przecież to twoi ludzie, Gweti. Karmienie ich należy do twoich obowiązków, nie moich. Jeśli połowa wymrze z głodu, to twój problem. Płacę ci dzienną stawkę za każdego człowieka, odliczam koszty wyżywienia, broni i butów, i jesteśmy kwita.
— To niesprawiedliwe!
— Życie bywa niesprawiedliwe. Zdecyduj się, Gweti. Jeśli to ci nie odpowiada, pójdę do Delura, a ty możesz wracać do liczenia swoich pieniędzy. Tylko szybko, bo nie mam czasu.
Eliar postawił beczkę na stole, otworzył ją i wyjął garść złotych monet.
— Nie jesteś zbyt... — zaczął protestować Gweti, ale zamilkł, kiedy Eliar wysypał monety z powrotem do beczki.
— Umowa stoi? — spytał obcesowo Althalus.
— W porządku, ty złodzieju, niech będzie.
— Jak długo potrwa zbieranie ludzi?
— Już tu są, szambelanie. Wydałem im rozkaz wymarszu z chwilą, kiedy mi zapłacisz. Chcę za miesiąc z góry.
— Wolne żarty. Za tydzień.
— Wykluczone!
— Zabieraj beczkę, Eliarze, idziemy do wodza Delura.
— Dobrze, już dobrze! Bez nerwów. Niech będzie za tydzień.
— Miło się z tobą robi interesy, wodzu Gweti — rzekł sarkastycznie Althalus.
— Zapłać mu, Eliarze, i ruszamy. Andina nie lubi czekać.

— Ależ mnie zmordowałeś — poskarżył się Eliar, kiedy kilka godzin później wrócili do Domu. — To przeskakiwanie tam i z powrotem z wszechczasu do wszechprzestrzeni tak mnie wycieńczyło, że chyba stałem się przezroczysty.

— Po prostu rób, co ci każe, i przestań rozczulać się nad sobą — ofuknął go Khalor, zerkając na otępiałych pobratymców Gwetiego człapiących przez korytaryze. — Wyglądają jak w półśnie.

— Co najmniej w półśnie — zgodził się Althalus. — A jednak ich umysły pracują. W tej chwili wydaje się im, że maszerują przez góry Kagwheru. Nie mają

kontakty z prawdziwym czasem. W ciągu ostatniej godziny wierzyli, że z dziesięć razy rozbijali obóz. Przed końcem dnia znajdują się w Wekti, ale będą przekonani, że szli przez miesiąc lub dłużej. Zostań z nimi na razie, rzuć kilka rozkazów, by wiedzieli, że z nimi jesteś. Tylko trzymaj się z daleka od północnego skrzydła Domu, bo za godzinę zaczną tam się szwendać ludzie Delura.

— Jak ci się udaje utrzymać wszystko w ryzach?

— To nieco skomplikowane, ale nie zapominaj, że jestem zawodowym złodziejem i przywykłem do komplikacji — zachichotał Althalus.

— Co cię tak śmieszy?

— Gher miał rację. Płacę Gwetiemu i innym wodzom za okres najmu ich żołnierzy, ale Dom likwiduje czas, który normalnie oddziały spędziłyby na marszu przez góry. Czuję, że Gweti będzie głęboko zawiedziony, kiedy zwrócę mu ludzi zaledwie po dwóch tygodniach.

— Masz złodziejską duszę, Althalusie — rzekł oskarżycielsko Khalor.

— Dziękuję, sierżancie.

— To nie był komplement.

— A to już zależy od punktu widzenia. W porządku, Eliarze, wracamy do ubiegłego tygodnia. Mam pewne plany wobec Smeugora i Tauriego.

— Tak?

— Chcę ich kompletnie odciąć od kontaktów z Ghendem, dlatego będę nalegał, żeby dowodzili swoimi ludźmi osobiście, zamiast powierzać to zadanie jakiemuś kapitanowi. Muszę ich mieć na oku.

Althalus był bliski wyczerpania, kiedy wreszcie zgromadzili w Domu wszystkie arumskie klany. Opadł ciężko na krzesło w jadalni.

— Mógłbym spać przez tydzień — oświadczył.

— Najwyżej półtorej doby — sprostowała Dweia. — Nie próbuj nas oszukiwać, Althie. Jesteś w swoim żywiole.

— To rzeczywiście niezła zabawa — przyznał. — Właściwie nie zrobiłem nic konkretnego przez cały ten pracowity dzień, ale byłem w tylu miejscach, że teraz mam w głowie mętlik. Od wschodu słońca miałem do czynienia z ośmioma arumskimi klanami i nie pamiętani już, ile razy przeszedłem przez Dom.

— Jest jeszcze jedna rzecz do uzgodnienia — oświadczyła Andina. — Jeśli sądzisz, że Leitha i ja zamierzamy tu siedzieć z założonymi rękami, kiedy wy będziecie się bawić, lepiej przemyśl to jeszcze raz. Następnym razem idziemy z wami.

— O nie, nie. Nie będę was narażał na niebezpieczeństwo, i to z dwóch stron.

— Co to ma znaczyć?

— To się wiąże ze sprawami chłopców i dziewczynek, no wiesz. Wynajmuje żołnierzy, nie chłopców z chóru, a żołnierze, kiedy czegoś chcą, potrafią być bar-

dzo obcesowi. Dla ciebie i Leithy Arumczycy mogliby się okazać groźniejsi od Anusów.

— Czemu nie zostawisz tych spraw mnie? — spytała Dweia. — Zjedz kolację i idź się przespać. Jutro cię czeka kolejny pracowity dzień.

Głos ducha jęczał i zawodził w ciemności, a echo tych jęków kładło się cieniem na pagórkach Ansu.

W dolinie ludzie toczyli wojnę na kamienie. Ostre były krawędzie kamieni, czerwona była krew, a serce Pekhala na ten widok wzbierało rozkoszą.

Ale oto Gelta, Królowa Nocy o ponurej twarzy, wspina się na wzgórze na swym czarnym koniu, a jej kamienny topór płacze i płacze nad krwią poległych przeciwników.

— Uciekają! — cieszyła się Królowa Nocy. — Wszyscy pierzchną przede mną, mój straszliwy towarzyszu! I tak już będzie zawsze, zawsze. Żaden człowiek nie ośmieli się stawić czoła mej furii.

— Jesteś prawdziwą Królową Nocy! — zawołał Pekhal. — Bo oto wydaje mi się, że smak krwi na twym języku jest tak samo słodki, jak na moim. Poucztujemy sobie tej nocy, nasycimy się do woli ciałami naszych wrogów i noc napełni się naszą radością.

— A dokąd wybierzemy się jutro, bracie? — spytała szorstko królowa o naznaczonej bliznami twarzy. — Całe Ansu jest moje, moje! Który kraj jako następny padnie powalony moją niezłomną wolą?

— Skieruj swój gniew ku temu miastu, które ludzie nazywają świętym, i napełnij swój brzuch, bo oto sięgnę ręką w przyszłość i uzbroję ciebie i twych stronników w cudowną broń. Odrzuć kamienny topór, Królowo Nocy, gdyż uzbroję twe ramię w stal. Wtedy Awes na twój rozkaz porzuci Deiwosa, a pokłoni się tobie, mnie i naszemu mistrzowi Ghendowi. I rozdzwonią się świątynie Deiwosa na chwałę Daevy, a ich ołtarze spłyną czerwoną, słodką krwią.

— Awes będzie mój, drogi bracie — szepnęła w ekstazie Królowa Nocy. — Deiwsos zostanie usunięty i Daeva na wieki będzie rządził światem!

Jęk rozpaczy ponownie wzniósł się nad równiną, przechodząc niemal w pisk, ale serce Królowej Nocy było pełne szczęścia.

ROZDZIAŁ 23

Następnego dnia przy śniadaniu wszyscy byli osowiali.

— Czyżbyśmy wszyscy mieli ten sam sen? — spytał Dwieię Gher drżącym głosem.

Przytaknęła.

— Tak myślałem... Coś strasznie wyło w oddali, ale to chyba nie działo się naprawdę? To znaczy, kiedy tych dwoje rozmawiało... nie mówili o tym, co się naprawdę zdarzyło. Zmienili różne rzeczy, prawda?

— Nie podobało się im to, jak sprawy się potoczyły, więc wrócili w przeszłość i je zmienili — wyjaśniła Dweia. — Gelta nigdy nie podbiła całego Ansu, a Pekhala poznała znacznie później.

Na bladej twarzy Leithy odmalowała się zgroza.

— Co ci jest, moja droga? — spytała z troską Andina. — To nie było miłe spotkanie, ale... — zawałała się nagle.

— Ta rozmowa dotykała zaledwie powierzchni, Andino. W ich umysłach działy się znacznie gorsze rzeczy.

— Potrafisz to?! — wykrzyknął Bheid. — Przecież byli tylko złudzeniem. Umiesz słuchać myśli złudzenia?

— Nie można było ich nie słyszeć — odrzekła słabym głosem. — Pekhal i Gelta są gorsi od zwierząt. Ta potworna rzeź napełniła ich dziką rozkoszą.

— Nie ciągnęłabym tego tematu, Leitho — odezwała się Dweia stanowczo. — Wyrzuć z pamięci to, co słyszałaś. W końcu to tylko sen, w dodatku przeznaczony głównie dla ciebie.

— Dla mnie?

— Ghend wie, kim jesteś i co potrafisz. To przedstawienie odbyło się wyraźnie na twój benefit. Próbował pokazać ci coś tak ohydneho, żebyś już zawsze bała się korzystać ze swego daru. Opancerz swoje serce, Leitho. On na pewno jeszcze będzie próbował tej sztuczki. Boi się ciebie i zrobi wszystko, aby cię powstrzymać od wypełnienia tego, co ci przeznaczono.

— Jest coś, co musimy przemyśleć — oświadczył Althalus.

— Tak? A co takiego? — zainteresowała się Dweia.

— Mówiłaś, że Ghend prawdopodobnie już od dłuższego czasu przygotowuje

inwazję.

— Oczywiście.

— Więc na pewno ma swoich ludzi na dworze natusa w Wekti oraz w świątyni Kherdosa.

— Jestem o tym przekonana.

— Czyli że Andina miała rację. Ona i Leitha muszą z nami jechać.

— Nie ma mowy! — oburzył się Bheid. — To zbyt niebezpieczne.

— Będziemy je chronić — obiecał mu Althalus. — Chodzi o to, że Leitha będzie nam potrzebna w Keiwonie. Muszę wiedzieć, kto służy Ghendowi.

— Skoro tak się boimy o dziewczęta, to może przebierzemy je za chłopców? — zaproponował Gher.

— Gherze — odezwała się łagodnie Andina — dziewczynki wyglądają nieco inaczej niż chłopcy. Różnimy się nieco kształtami, rozumiesz, co mam na myśli?

— I przesunęła dłonią po przedzie sukni.

Gher zaczerwienił się gwałtownie.

— Ach... więc może znalazłoby się coś luźniejszego?

Andina zachichotała złośliwie.

— Nieładnie, moja droga — ujęła się za chłopcem Leitha. Potem zerknęła na Eliara. — Wódz Albron ma chyba służących?

— Nie nazwałbym ich służącymi. Ma stajennych i paru ludzi w kuchni, ale w zasadzie wszystkim zajmuje się sam.

— Czy w Wekti o tym wiedzą?

— Raczej nie.

— Więc nie wiedzą także, że Albron nie ma służby w normalnym tego słowa znaczeniu?

— Bardzo w to wątpię.

Leitha zmierzyła Andinę wzrokiem.

— Możesz wstać na chwilę?

Andina podniosła się z miejsca.

— O co chodzi, Leitho?

— Jesteś niska.

— To nie moja wina.

— Stań przy niej, Gherze — zażądała Leitha.

Chłopiec usłuchał.

— Chyba noszą ten sam rozmiar... A gdyby tak ubrać ich jednakowo, tylko schować włosy Andiny pod jakąś czapkę?

— Mielibyśmy przebrać się za paziów? — domyśliła się Andina. — Myślisz, że w to uwierzą, Althalusie?

— Może i tak, zwłaszcza jeśli Albron zabierze jeszcze paru ludzi w liberiach. Pogadam z Yeudonem o stosownych kwaterach. Reszta świty nie będzie żołnie-

rzami, więc nie pójdzie z wodzem kopać rowów. Ukryjemy w tej grupie Leithę, już ona znajdzie różne farbowane lisy.

— Ty też będziesz paziem? — spytała Andina przyjaciółkę.

— Jestem wyższa od ciebie i Ghera, nie mogłabym udawać dziesięciolatka. — Gładziła z namysłem Andinę po twarzy. — Jak myślisz? Dobrze wyglądałabym z brodą?

Bheid ryknął śmiechem i Leitha odwróciła się do niego ze złością.

— Przestań!

— Jeszcze jedną sprawę musimy rozważyć przed waszym wyjazdem — rzekła Dweia.

— To ty z nami nie jedziesz? — zdziwił się Althalus.

— Lepiej nie. Zostanę tutaj i będę z okna obserwować naszych wrogów. W razie gdyby szykowali jakieś niespodzianki, dam wam znać.

— Od tego okna do Wekti jest bardzo daleko.

— Do Deiki też było daleko tej nocy, kiedy ścigały cię psy Kwesa, a jednak doskonale widziałam, co się działo. To okno jest tam, gdzie ja zechcę, Althalusie. Chodź i sam się przekonaj.

Poprowadziła go do okna, za którym nie było już gór Kagwheru, tylko trawiaste pagórki.

— To Wekti? — spytał.

— Tak, północne Wekti w pobliżu granicy z Ansu. Prawdopodobnie tu będą toczyć się walki. A ponieważ sierżant Khalor ma dowodzić naszymi siłami, pomyślałam, żeby postawić go tutaj, a nie na polu bitwy. Będzie lepiej widział, ale jest też znacznie ważniejszy powód.

— Tak?

— Sługa Ghenda, Koman, ma ten sam dar co Leitha. Jeśli Khalor znajdzie się na polu bitwy, Koman przechwyci każdy jego rozkaz, zanim sierżant otworzy usta. Ale nie usłyszy nic, co dzieje się tutaj.

— Czy to nie za duże wymagania wobec Khalora? Ma stąd wydawać rozkazy? Wprawdzie potrafi głośno krzyknąć, ale nie na taką odległość.

— Właśnie dlatego potrzebujemy jeszcze jednych drzwi. — Poklepała kamień przy oknie. — Chyba tutaj... Nie będą dokładnie takie jak inne drzwi w Domu, więc dopilnuj, żeby różniły się wyglądem. Wtedy Eliar będzie wiedział, że to specjalne drzwi.

— A dokąd mają prowadzić?

— Dokąd zechcemy... ale przede wszystkim do miejsc, które Khalor zobaczy z okna. Eliar będzie przekazywał wojsku rozkazy sierżanta.

— Nie widzę w tym wielkiej korzyści, Em. Przecież Koman usłyszy Eliara tak samo jak Khalora.

— Tylko wtedy, gdy będzie wiedział, gdzie Eliar jest. Ale jeśli Eliar użyje drzwi, będzie mógł wchodzić i wychodzić tak szybko, że Koman nie zdąży go

namierzyć. Trochę poeksperymentujemy, ale drzwi trzeba dorobić. Niech mają łukowaty kształt, zawiasy z brązu i ozdobną klamkę, to Eliar od razu będzie wiedział, że nie są to zwykłe drzwi. Użyj słowa peri, to trochę bardziej oficjalne, i będziemy je nazywać portalem. To ważne, żeby Eliar myślał o nich jak o czymś odrębnym. Do roboty, Althalusie!

— Zawsze do usług, Em. — Cofnął się myślą w przeszłość i przypomniał sobie drzwi, które widział w świątyni Dwei w Maghu. Skoncentrował się na tym obrazie i powiedział: — Peri.

— Bardzo ładne — pochwaliła go Dweia, kiedy drzwi znalazły się na miejscu. — Dokładnie takich nam trzeba.

Obróciła się i spojrzała w drugi koniec pokoju, gdzie Eliar z Gherem siedzieli pogrążeni w rozmowie. Gher opowiadał coś z zapałem, natomiast Eliar wyglądał na lekko zmieszanego.

— Eliarze — rzekła Dweia — podejdź tutaj. Chcę ci coś pokazać.

— W tej chwili, Emmy.

— Reszta też niech popatrzy.

Wszyscy zebrali się przy oknie.

— Nowe drzwi? — zauważyła Andina. — Dokąd prowadzą?

— Tam — odpowiedziała jej Leitha, wskazując za okno.

— To chyba nie Kagwher? — spytał Bheid, wyglądając na zewnątrz.

— Nie — odparła Dweia. — To północne Wekti, przypuszczalne miejsce naszych walk z Ansusami. Ten nowy portal nie jest taki jak inne drzwi w Domu. Tamte są połączone z jednym, konkretnym miejscem, te zaś prowadzą wszędzie tam, gdzie sobie życzymy. Kiedy rozpoczną się działania wojenne, sierżant Kharlor stanie przy oknie, Eliar zaś będzie przekazywał jego rozkazy na pole bitwy. — Zerknęła na Leithę. — Ile czasu zwykle potrzebujesz, żeby zagnieździć się w czymś umyśle?

— To zależy od tego, gdzie ta osoba jest i ile innych ją otacza. No i jeszcze od hałasu w pobliżu. W ogniu walki może to być dość trudne.

— Też mi się tak wydaje. Jeśli Eliar użyje drzwi, żeby przekazać żołnierzom rozkazy sierżanta, zdąży tu wrócić, zanim Koman w ogóle się zorientuje.

— Przepraszam — wtrącił się Gher. — Sprawdzę tylko, czy dobrze zrozumiałem. Te drzwi przy oknie rzeczywiście prowadzą do dowolnego miejsca?

— W zasadzie tak.

— Więc i do Zawsze? Czyli Eliar może przez nie wejść do tej wielkiej keiwońskiej świątyni sprzed trzydziestu lat?

— Tak, a czemu pytasz?

— Co za drzwi! A gdyby tak je wypróbować do tego, o czym przed chwilą rozmawialiśmy?

— Można spróbować — zgodził się bez przekonania Eliar, marszcząc brwi w zamyśleniu. — Nie jestem pewien, jak to miejsce będzie wyglądało.

— Chyba inaczej niż wszystko, właśnie o to chodzi. Spróbuj, zobaczymy, co się stanie.

— No dobrze — ustąpił Eliar. Zapatrzył się w przestrzeń, a jego ręka powędrowała do ozdobnej klamki.

Drzwi nagle się zmieniły. Brązowe zawiasy i solidne deski zniknęły, zamiast eleganckiego łuku pojawiła się bezkształtna dziura wypełniona absolutną ciemnością.

— Nie!!! — rozległ się przeraźliwy krzyk Dwei.

— Ja tylko próbowałem. . . — tłumaczył się Eliar.

— Przestań. Odepchnij tę myśl z powrotem i nigdy więcej tego nie rób!

Od natężenia jej głosu zatrzęśły się ściany.

Eliar cofnął się i portal wrócił na swoje miejsce.

— Coś ty zrobił? — zapytała go Andina.

— To nie mój pomysł. Gher chciał zobaczyć, jak wyglądają drzwi do Nigdzie i Nigdy.

— W ogóle nie dopuszczaj do siebie tego pomysłu! — krzyczała Dweia na chłopca. — Nie waż się nawet zastanawiać!

— To chyba nie jest aż tak niebezpieczne? — spytał Gher.

— Zastanów się, o co prosisz Eliara. Co znajdowało się za drzwiami, których o mały włos nie otworzył?

— Nic takiego strasznego. Tylko pustka, prawda? Czego tu się bać? Po prostu bardzo chciałem zobaczyć nicość. Ostatnio sporo rozmyślałem o Zawsze i Wszędzie i zapragnąłem obejrzeć, co jest po drugiej stronie. Wtedy przyszło mi do głowy pojęcie Nigdzie i Nigdy. Czy nie są to przypadkiem drzwi do Próżni?

— Tak właśnie jest, Gherze. Ale Próżnia jest chciwa, wsysa w siebie, co tylko się nawinie: ludzi, domy, księżycy, słońca, gwiazdy. Zostaw te eksperymenty, chłopcze. Od dziś nie wspominaj nawet Eliarowi o swoich dzikich pomysłach, dopóki nie omówisz ich ze mną. A te drzwi, o których przed chwilą mu opowiadałeś, są jedynymi, których nigdy nie otwieramy.

— Szkoda, że nie mam osła — westchnął Eliar, uginając się pod ciężarem beczki, którą taszczył przez ulice Kherdonu w północno-zachodnim Plakandzie.

— Jeden już tu jest — zauważył z uśmiechem Khalor. — Ma na imię Eliar.

— W jaki sposób poznałeś faceta, z którym mamy się spotkać? — zapytał Althalus sierżanta.

— Walczyliśmy po tej samej stronie kilka lat temu. Wypracowaliśmy wspólnie pewną taktykę przeciwko armii Kaprów w Equero. Moja piechota miała zatrzymać Kaprów w jednym miejscu, a konnica Kreutera uderzyć na nich od tyłu.

— To jego imię?

— Kreuter? Tak. Jest wodzem plemienia we wschodnim Plakandzie. Z początku zajmował się bydłem, ale zbił majątek, wynajmując na boku konie armiom cywilizowanych krajów. Kiedy Plakandowie dowiedzieli się, jak Arumczycy wzbo-

gacili się na najemnikach, postanowili, że także spróbują. Z Kreuterem dobrze mi się układało. Wiedziałem, że mogę mu ufać, i dlatego o nim przede wszystkim pomyślałem, kiedy przyszło mi do głowy, aby posłać konnicę na tyły Anusów. Jeśli Kreuter mi powie, że będzie o określonej godzinie w określonym miejscu, to mogę na nim polegać.

— Musiałeś nawiązać mnóstwo tego rodzaju kontaktów przez te wszystkie lata.

— Walczyłem na wielu wojnach i w różnych miejscach, więc mam przyjaciół w większości nizinnych krajów.

— Jesteś pewien, że Kreuter tu będzie?

— Przyjeżdża każdego lata sprzedawać bydło handlarzom z cywilizowanych krajów. Jeśli nawet jeszcze go nie ma, to zapewne jest w drodze... chyba że już wyjechał. Pokręcę się po mieście i sprawdzę. Jeśli rzeczywiście jest w drodze — w tę czy tamtą stronę — to z łatwością go dogonimy, przecież mamy te drzwi. — Khalor zatrzymał się przed budynkiem z bali. Nad wejściem widniało byle jak wymalowane godło, kiść winogron. — To jego ulubiona oberża, spróbujmy najpierw tutaj.

Wnętrze było dość obskurne i mocno cuchnęło. Mimo wczesnej pory siedziało tam już sporo hałaśliwych gości.

— Mamy szczęście — rzekł Khalor, zerkając na wielkiego mężczyznę siedzącego na ławie. — To właśnie Kreuter, ten w kącie. I w dodatku wydaje się całkiem trzeźwy. Chodźmy z nim pogadać.

Przepchnęli się przez tłum do potężnie zbudowanego wodza. Kreuter miał ciemnoblonde włosy, szerokie bary, wielkie dłonie i brodę, która wyglądała, jakby ją przycięto ostrym nożem.

— A niech mnie licho, jeśli to nie mój stary kumpel Khalor! Co porabiasz w Plakandzie, przyjacielu?

— Szczerze mówiąc, szukałem ciebie. Jak ci się wiedzie ostatnio?

— Nie narzekam. A bo co?

— Sprzedałeś już swoje krowy?

— Właśnie wczoraj. Dałem sobie kilka dni luzu, żeby to należycie uczcić, zanim pogonię ludzi z powrotem.

— A więc złapałem cię w samą porę. Masz jakieś poważniejsze plany na następny miesiąc?

— W zasadzie nie. Czy coś piszczy w trawie?

— Kroi mi się wojna i chyba będę potrzebował konnicy. Od razu pomyślałem o tobie. Byłbyś zainteresowany?

— Możemy pogadać. Gdzie jest ta wojna? Dopiero co skończyliśmy spęd bydła, więc jeśli to gdzieś w Perquaine, musiałbyś sporo zabulić.

— Pieniądzy mamy dosyć, a wojna jest niemal za waszym progiem.

— Naprawdę? Nie doszły mnie słuchy o żadnych zamieszkach. Konkretnie gdzie?

— W północnym Wekti.

— Przecież w Wekti nie ma o co się bić.

— Tu chodzi o ich położenie. Południowym Ansumom się nudzi, więc postanowili ruszyć przez Wekti do Medyo i Equero, aby się tam zabawić i przy okazji coś zyskać. Moi mocodawcy woleliby, aby do tego nie doszło, a już na pewno nie życzą sobie wojny w obrębie ich miast. Wytyczyłem linię obrony przez północne Wekti, aby powstrzymać inwazję. Jeśli zostawimy to tak, jak jest, czeka mnie długie i nudne lato.

— I dlatego chcesz, żebym ich zaszedł od tyłu? — domyślił się Kreuter.

— W Kapros to się sprawdziło. — Khalor wzruszył ramionami. — Ansusi na pewno ruszą hurmem na moje fortyfikacje, więc gdy uderzysz na tyły, nie wymkną się z pułapki. Płacą mi za całość roboty, nie od dnia, więc nie ma powodu, żeby przeciągać sprawę.

Kreuter patrzył w sufit.

— Ansusi wcale nie są tacy dobrzy, za jakich się uważają. I konie mają marne... A płaca jest godziwa?

— Nie narzekam.

— Szybka wojna za duże pieniądze i przed zimą do domu, co?

— Jak dobrze pójdzie.

— Więc możesz na mnie liczyć.

— Musisz stawić się na pozycji za pięć dni — przeszedł do rzeczy Khalor. — Chciałbym, żebyś zatoczył duży łuk na wschód, wtedy Ansusi się nie zorientują.

— To przecież oczywiste, Khalorze. Sam wiem, jak to zrobić. A kiedy zobaczę jakieś pieniądze?

— Jak tylko towarzyszący mi młodzieniec sięgnie do swej drewnianej sakiewki — uśmiechnął się szeroko Khalor.

— Chyba nigdy dotąd nie słyszałem o drewnianych sakiewkach.

— To ostatni krzyk mody, wodzu Kreuterze — powiedział Althalus. — Otwieraj, Eliarze, i przejdźmy do interesów.

— Można się było tego spodziewać, egzarcho — mówił ze skruchą Albron, kiedy zebrali się w przestronnym apartamencie przygotowanym przez kapłanów Kherdosa dla arumskiego wodza. — Odkąd arumskie klany zaczęły brać udział w wojnach cywilizowanych krajów, zostały skażone tamtejszym sposobem myślenia. Szczerze mówiąc, wolałbym zostawić służących w domu. Nie potrzebuję paziów ani stałych wróżbitów, kiedy walczę na wojnie, ale z pewnych względów pozory okazały się ważniejsze od rzeczywistości.

— Takie są skutki cywilizacji — pocieszał go Yeudon, uśmiechając się słabo. — Jeśli sądzisz, że arumscy wodzowie zanadto obciążają się służbą, to przyjrzyj się wysokim dostojnikom kościelnym. — Zerknął z ciekawością na Leitę spowitą w długą opończę z kapturem. — Czy Arumczycy rzeczywiście przywiązują taką wagę do jasnowidzów?

— Owszem. Niektórzy z pomniejszych wodzów nie zmieniają nawet koszuli, dopóki nie zasięgną porady. Ja w zasadzie z tego już wyrosłem. Jeśli wolno, zostawię tu mojego pazia, jasnowidza i osobistego służącego, a sam udam się do okopów. Zaraz się przebiorę w robocze ubranie i możemy ruszać. Egzarcha Czarnych nie wynajął mnie do celów towarzyskich.

— A więc zostawiam cię, wodzu, abyś mógł się przygotować.

Yeudon skłonił się lekko i opuścił pokój.

— Gładko ci poszło, wodzu — pochwaliła go Andina, rozglądając się po urządzonym z wielkim przepychem apartamencie. Arya Osthosu miała na sobie czerwoną liberię, taką samą jak Gher, a jej długie włosy kryła workowata czapka.

— Bywałem czasem w cywilizowanych krajach, księżniczko — odparł Albron — więc wiem, jak się takie sprawy rozgrywa.

— Czy natrafiłaś na jakiś ślad szpiegów Ghenda? — spytał Leitę Bheid.

— Nawet na kilka śladów. — Leitha zsunęła kaptur. — Jest paru ludzi w pałacu natusa, ale przede wszystkim skoncentrowani są tutaj, w świątyni. Ghend dobrze wie, że natus Dhakrel w niczym mu nie zagraża.

— Czy w świątyni zanoszą coś szczególnego? — spytał Althalus.

— W gruncie rzeczy nie. Ci, których Ghend tu osadził, są tylko szpiegami, nie knują żadnego spisku. Ale nie radziłabym wtajemniczać Yeudona w zbyt wiele spraw. Kręci się przy nim dwóch ludzi Ghenda, mógłby się niechcący wygadać.

— I tak zamierzaliśmy trzymać go na dystans — zapewnił ją Albron. — Lepiej nasuń z powrotem kaptur.

— Trochę tu ciepło.

— Trudno, arumscy jasnowidzowie zawsze zasłaniają twarze. Chyba chcą sprawiać tajemnicze wrażenie. — Albron wybuchnął śmiechem. — To właśnie nasunęło mi pomysł, aby cię przebrać za jasnowidza. Ojciec wodza Twengora miał jasnowidza, który doradzał mu przez trzydzieści lat i dopiero po śmierci okazało się, że to była kobieta.

— To lepsze od przyprawionej brody — przekonywała ją Andina.

— Właściwie to nie mogłam się już doczekać, kiedy zacznę skubać i podkrecać wąsy...

— Na pewno byłabyś bardzo przekonywająca... dopóki nie zaczęłabyś chodzić.

— Jak to?

— Szeleścisz, kochana.

— Co takiego?

— Szeleścisz. Wszystko się na tobie porusza, kiedy chodzisz. Nie zauważyłeś tego, bracie Bheidzie?

Bheid zaczerwienił się lekko.

— Zdawało mi się, że jednak zauważyłeś — ciągnęła Andina. — Nie spuszcza z ciebie wzroku, kiedy obok niego przechodzisz, moja droga. Skoro tak bardzo lubisz szeleścić, to ja chętnie. . .

— Może porozmawiamy o czymś innym? — przerwał jej Bheid.

— Zostawmy dzieci, Althalusie, niech się bawią — zaproponował Albron. — Khalor czeka na nas w okopach.

— Słusznie.

Eliar z dłonią na klamce koncentrował się przez chwilę. Potem otworzył drzwi i wyprowadził ich prosto na pachnący świeżą ziemią rów, który ludzie Gwetiego kopali w poprzek otwartych pastwisk północnego Wekti.

— Ach, to wy! — ucieszył się Khalor. — Były jakieś problemy w Keiwonie?

— Wszystko poszło gładko. — Albron rozejrzał się dokoła. — Praca postępuje lepiej, niż się spodziewałem.

— Gebhel zna się na robocie.

— Gebhel? Kto to taki?

— Sierżant z klanu Gwetiego. Jak tylko wyrwie się spod władzy swego wodza, robota pali mu się w rękach. Gweti zawsze powtarza swoim ludziom, żeby przeciągali pracę, ile się da. Oni uśmiechają się grzecznie, ale i tak robią po swojemu. Rozmawiałem z Gebhelem, gdy dotarli na miejsce, i zanim skończyliśmy, on już zdążył wysłać mierniczych, żeby wytyczyli linię okopu. To bardzo metodyczny facet i ma spore doświadczenie. — Khalor odwrócił się i wskazał na wschód. — Linia tych wzgórz przebiega wzdłuż łożyska wyschniętego potoku i wprost idealnie pasuje do naszych celów. Do okopów będzie prowadziło strome zbocze, a to zawsze jest korzystne. Niemal z reguły wszystko stacza się na dół, a Gebhel ma kilka ciekawych pomysłów, co można by spuścić Anusom na łby, kiedy spróbują tu się dostać. Niedługo sam wam wytłumaczy. Radzę uważnie go wysłuchać, wodzu, bo Gebhel to prawdziwy geniusz w sprawach okopów.

— Nie większy od ciebie.

— Ależ tak, wodzu. Nie jest za dobry do ataku, ale w obronie to mistrz. Potrafi zmusić wroga, by sam mu się podłożył. To może nie najlepsza metoda wygrywania wojen, ale unika się strat, a jeśli nawet sprawa się przeciąga, Gweti tylko się z tego cieszy. Przeciwnicy Gebhela na ogół się poddają po paru miesiącach bezskutecznej wspinaczki i kosztownych ataków na jego okopy.

— To jest prawie tak dobre jak zwycięstwo.

— Może czasami, ale raczej nie tym razem. Niemniej podjąłem już pewne kroki. Chcę, żeby Gebhel utrzymał tę linię i nic poza tym. Do ataku przeznaczam zupełnie inne siły, które mają zlikwidować Anusów. Chodźmy, wodzu Albronie, przedstawię ci Gebhela, a potem Eliar, Althalus i ja musimy wracać do Domu.

Zamierzam przenieść ludzi starego Delura do Elkanu w północnym Equero, żeby gdy przyjdzie czas, czekali w pogotowiu na naszej zachodniej flance.

Sierżant Gebhel był zwałistym mężczyzną z bujną brodą, ale zupełnie łysym. Spod jego kiltu wystawały nogi grube niczym pnie drzew. Głos miał basowy, mówił sucho i beznamiętnie.

— Miło mi cię poznać, wodzu Albronie — rzekł bez przekonania. — Czy Khalor wyjaśnił już naszą sytuację?

— Jesteśmy tu, żeby kopać rowy.

— Nie o tym mówię. Wiesz, że ja tu dowodzę, prawda?

— Oczywiście, sierżancie. Ja tu się tylko uczę wojowania. Khalor mi mówił, że w obronie jesteś najlepszy, więc mam nadzieję, że skorzystam.

— To nie szkoła, wodzu. Nie mam czasu na prowadzenie wykładów.

— Będę ci schodził z drogi. Tego, czego mi trzeba, nauczę się, obserwując twoje poczynania.

— Mam jeszcze coś do załatwienia — powiedział Khalor — więc zostawiam panów przy rowach. Za chwilę wrócę.

Althalus, Eliar i Khalor stali w drzwiach przy jednym z korytarzy północnego skrzydła Domu.

— Na pewno się nie pomyliłeś, Eliarze? — spytał Khalor. — Jakoś nikogo nie widać.

— To z pewnością są te drzwi — upierał się Eliar. — Ludzie Delura zaraz się pokażą.

Khalor burknął coś pod nosem. Nagle zerknął z ciekawością na Althalusa.

— A właściwie co oni widzą, kiedy tak snują się po tych korytarzach?

— Góry Kagwheru.

— A nie ściany i sufit?

— Nie. Widzą drzewa, góry i niebo. To taka forma sugestii, sierżancie. Gdybym zaczął opowiadać, jak gorąco było ostatnio, zaraz byś się spocił.

— Tobie zawdzięczają takie wrażenia?

Althalus się roześmiał.

— Jestem wprawdzie dobry, ale nie aż tak. Dwieja się tym zajmuje. To jej Dom, więc w zasadzie wszystko dzieje się tu według jej woli. A właściwie na kogo my czekamy?

— Na niejakiego kapitana Dreigona. To dowódca ludzi Delura. Walczyliśmy już razem na paru wojnach. Do kopania rowów nie nadaje się tak dobrze jak Gebhel, ale w ataku nie ma sobie równych.

— O, już idą — szepnął Eliar, pokazując w głąb korytarza.

Duża grupa ludzi w kiltach człapała w ich stronę. Na czele siedł mężczyzna o srebrzystosiwych włosach i pochmurnej twarzy.

— Co tak długo, Dreigonie? — spytał Khalor.

— Zbierałem jagody — odparł tamten ironicznie. — A ty skąd się tu wzięłeś?

— Sprawdzam, czy nie spóźniecie się na zabawę. Jeśli masz kilka minut, to chyba powinniśmy pogadać.

— Dobrze. — Dreigon odwrócił się do swych ludzi. — Idźcie dalej, potem was dogonię. — Ściągnął z głowy hełm i rozejrzał się dokoła. — Nie znoszę gór. Miło na nie popatrzeć, ale ciężko się chodzi.

— Racja — zgodził się Khalor.

— Jak Gebhel radzi sobie z rowami?

— Wyprzedza trochę harmonogram, znasz go przecież — odparł Khalor, wykrzywając się złośliwie.

— O tak. Czasem mi się wydaje, że jest w połowie kretem. Parę lat temu w Perquaine walczyliśmy po przeciwnych stronach i musiałem atakować jego okopy. Okazało się to dość nieprzyjemne. A teraz kogo mamy przeciwko sobie?

— Konnicę... przynajmniej na razie. Podobno później wmiesza się także piechota, ale moi zwiadowcy jeszcze ich nie namierzili.

— A jakieś pogłoski co do czasu?

Khalor skinął głową.

— Tu mieliśmy szczęście. Jeden z moich zwiadowców przedarł się przez zarośla i podsłuchał ich naradę. Mamy cztery dni od chwili rozpoczęcia zabawy.

— Ale gdzie? Miło wiedzieć kiedy, ale „gdzie” jest tak samo ważne.

— Nad tym wciąż jeszcze pracuję.

— Więc pracuj szybciej. Okopy Gebhela wytrzymają ze dwa tygodnie, bez względu na to, czym je obrzuca, ale ja muszę znać miejsce, i to jak najprędzej. Jeśli moi ludzie mają biec na pole bitwy pięćdziesiąt mil, dostaną zadyszki.

— Stoicie teraz dość blisko miasta Elkan w północnym Equero. Kiedy tam dotrzesz, dostaniesz dzień lub dwa na postój i przegrupowanie. Dam ci znać, gdy tylko się dowiem, skąd nastąpi główny atak na okopy Gebhela.

— Dobrze, umowa stoi. Naprawdę nie znoszę spóźniać się na wojnę.

— Bez ciebie, przyjacielu, byłaby nieważna.

Kiedy Eliar ponownie wprowadził Khalora i Althalsa do północnego Wekti, na zboczach poniżej częściowo gotowych okopów panował spory ruch, a wódz Albron wyglądał na zadowolonego z siebie.

— Ach, jesteście! Czy dopilnowaliście, by kapitan Dreigon dotarł ze swymi ludźmi do Elkanu?

— Będą tam dziś w nocy, wodzu — powiedział Khalor. — A co z pasterzami?

— Zwiadowcy Gebhela widzieli, że kilka grup jest w drodze. Spójrz na ten stok, sierzancie. Namówiłem Gebhela, żeby dodał coś do tego lasu zastrzonych pali, który zasadzili jego ludzie.

Khalor wylazł z okopu i zerknął na zbocze.

— Krzaki? Po co wplatać krzaki między pale?

— To nie są zwykłe krzaki, sierżancie. Tutejsi Wektijczycy nazywają je piekielnymi. Jeżyny z kolcami na trzy palce! Rosną dziko nad rzeką. Natknąłem się na nie przypadkiem przed paroma godzinami i gdy zatamowałem krew, przyszło mi na myśl, że znakomicie nadają się do umocnienia naszej barykady.

— Ale nie próbowałeś niczego nakazywać Gebhelowi?

— Taki głupi nie jestem. Po prostu podałem mu gałązkę tego draństwa i powiedziałem: „Czy to nie interesujące?”. Zrozumiał w lot, o co chodzi.

— Czyli to była tylko sugestia?

— Wyłącznie. Znam się na polityce znacznie lepiej niż na wojnie, sierżancie. Nie próbowałem wchodzić Gebhelowi w paradę, jeśli to właśnie cię martwi. Nadal wydaje tu rozkazy, ale teraz słucha też moich propozycji.

— Jesteś w tym lepszy, niż myślałem, wodzu — pochwalił go Khalor. — Ale czemu przeredziliście pale tam, gdzie nie ma żadnych krzaków? Poprowadziliście Anusom naturalne gościńce prosto pod wasze drzwi.

— To nie są żadne gościńce, tylko kanały. Kiedy anuska jazda trafi na te krzaki, ich konie wyjdą z nich bardzo sponiewierane. Ani klucie ostrogami, ani bat nie zmuszą ich do ataku na tego rodzaju barykady. Wtedy Anusci zaczną szukać łatwiejszych dróg... i znajdą je. Ale na końcu będą na nich czekać wektijscy pasterze. Jak tylko pierwsze szeregi Anusów znajdą się w połowie zbocza, doskoczą wszyscy razem i wybiją ich do nogi. Na tych z tyłu natomiast polecą z góry martwe konie. Gebhel jest prawie pewien, że kombinacja krzaków, kanałów i proc całkowicie zniweczy morale Anusów i utrzyma ich z dala od okopów. Czy nie przeoczyliśmy czegoś jeszcze?

Khalor się z jeżył.

— Nie poganiaj mnie, wodzu — warknął. — Pracuję nad tym.

— A pracuj sobie — nadał się Albron. — I tak omówiliśmy już wszystko. Kiedy twoi przyjaciele nadejdą, nadal tu będziemy.

— I tylko to się liczy, wodzu. Jeśli ty i Gebhel powstrzymacie ich tutaj, ja zaprowadzę Kreutera i Dreigona na ich pozycje. Poczekamy, aż Anusci rzucają wszystkie swoje siły, i wtedy dam rozkaz piechocie Dreigora i konnicy Kreutera, by uderzyli na tyły. Zrobimy z nich psie żarcie na tym zboczu.

— Dobry jest ten nasz wódz, co, sierżancie? — wykrzyknął entuzjastycznie Eliar.

— Och, zamknij się lepiej — odburknął Khalor.

— Tak jest, sierżancie! — odrzekł posłusznie Eliar, zasłaniając usta, by ukryć chytry uśmieszek.

W miarę upływu czasu Althalus robił się coraz bardziej nerwowy. Okopy Gebhela na razie przypominały płytkie rowy i trudno było wierzyć, że roboty się zakończą w terminie.

— Zostały nam tylko trzy dni, Eliarze — narzekał po kolacji w apartamencie Albrona w keiwońskiej świątyni. — Jeśli okopy nie będą gotowe, Gelta przejedzie ludziom Gebhela po głowach.

— Sierżant Khalor uważa, że Gebhel posunął się z robotą bardziej, niż się to wydaje — pocieszał go Eliar. — Najtrudniej jest przebić się przez darń. Jak już się ją usunie, wszystko idzie gładko i znacznie szybciej. O ile wiem, ludzie Gebhela mają już ten pierwszy etap za sobą i teraz jedna połowa kopie dalej, a druga ustawia pale i inne przeszkody nad brzegiem okopu. Sierżant jest przekonany, że zdążą na czas.

W tym momencie do pokoju wtargnęła Andina.

— Eliarze! — krzyknęła. — Muszę natychmiast udać się do Osthosu!

— Uspokój się, Andino — rzekł Althalus. — Co się stało?

— Leitha zebrała tu informacje i udało się jej odkryć plany Ghenda. On chce na nowo wywołać wojnę w Treborei, to ma być jego następny ruch. Ten półgłówek z Kanthonu już gromadzi wojsko. Muszę wrócić do Osthosu i ostrzec mojego szambelana. To bieganie od drzwi do drzwi jest bardzo zabawne, ale ja mam obowiązki. Proszę cię, Althalusie, puść mnie do domu!

Spełnij jej prośbę, Althalusie — zamruczał mu w głowie głos Dwei. — Sprawy wprowadzicie nie wyglądają aż tak źle, jak jej się wydaje, ale lepiej niech się uspokoï. Co Ghend naprawdę zamierza?

Chyba próbuje nas rozproszyć. Wciąż jeszcze cię wyprzedza, ale nie tak znów bardzo. Chce ci pomieszać szyki. Ten atak na Osthos może być tylko trikiem, żeby odciągnąć nas od pozycji. Ghend wie o darze Leithy, więc jego ludzie w Keiwonie mogli podsunąć jej fałszywą informację.

Wie o Leicie — odrzekł Althalus — ale na pewno nie o Gherze. Ten pomysł chłopaka, aby zebrać wszystkie arumskie klany na korytarzach Domu, naprawdę pomógł nam wszystko zorganizować. Teraz mogę w jednej chwili wystać każdą armię w dowolne miejsce.

Nie bądź taki pewny siebie, Althie. Ta nowa wojna w Treborei może być podstępem. Ale nie wiemy nic na pewno, więc niech Andina rzeczywiście ostrzeże lorda Dhakana. Potem sprowadź ją natychmiast z powrotem do Keiwonu. Nie chcę, żeby kręciła się tam bez opieki.

ROZDZIAŁ 24

Wczesnym rankiem następnego dnia Eliar wprowadził Althalusa i Andinę do gabinetu lorda Dhakana w osthoskim pałacu.

Siwowłosy szambelan podniósł zza biurka gniewne spojrzenie.

— Kto wam pozwolił... — zaczął i zaraz urwał. — Eliar? A cóż ty tu robisz? — spytał z niedowierzaniem.

— Wykonuję rozkazy.

— O, jest i Althalus! To naprawdę ty?

— Ostatni raz poddałem się kontroli. Miło mi, że zastaję cię w dobrym zdrowiu, lordzie Dhakanie.

— Jeszcze oddycham, jeśli to miałeś na myśli. Zdawało mi się, że chciałeś sprzedać Eliara do kopalni soli w Ansu.

— Postanowiłem go jednak zatrzymać, milordzie. Czasem jest bardzo użyteczny.

— A mnie już nawet nie poznajesz, Dhakanie? — spytała urażonym tonem Andina, nadal przebrana za pazia.

— Moja arya! Gdzieżeś się podziewała? Od ponad roku przetrząsam cały świat w poszukiwaniu waszej wysokości!

Andina impulsywnie rzuciła mu się na szyję.

— Kochany Dhakan! Jakże za tobą tęskniłam!

— Althalusie, nic z tego nie rozumiem. Co zrobiłeś z moją arya?

— No cóż... można powiedzieć, że ją wypożyczyłem.

— Raczej uprowadziłeś — sprostował Dhakan.

— To nie jego wina, drogi Dhakanie. Wykonywał rozkazy kogoś, komu oboje służymy.

— Zmieniłaś się, aryo Andino.

— Urosłam trochę, co? — zaśmiała się arya. — Jakim cudem w ogóle ze mną wytrzymałaś? Przecież byłam nieznośna.

— Cóż... Może trochę.

— Trochę? Byłam potworem! Czy zechcesz przyjąć moje gorące przeprosiny za wszystkie kłopoty, jakich ci przyczyniłam po wstąpieniu na tron? Okazywałaś mi wprost nadludzką cierpliwość. Powinieneś przełożyć mnie przez kolano

i spuścić tęgie lanie.

— Andino!

— Czy nie powinniśmy już iść? — wtrącił się Eliar. — Mamy mnóstwo spraw do załatwienia.

— On ma rację, Andino — zreflektował się Althalus.

— Owszem. Zawsze kiedy ma rację, jest taki denerwujący.

— Rozumiem, że twoje uczucia wobec tego młodzieńca także się zmieniły? — spytał Dhakan.

— W pewnym sensie. Jakoś odechciało mi się go zabijać, już wolę dokarmiać. W końcu to nie jego wina, że zabił mojego ojca. Teraz już wiem, kto ponosi za to odpowiedzialność. Eliar mi go zabije, czy to nie miło z jego strony?

— Althalusie, nic z tego nie rozumiem.

— Świat zmierza ku zagładzie, lordzie Dhakanie, ale moi towarzysze i ja chcemy temu zapobiec. Wyjaśnij mi, Andino, co mogło się stać. Naprawdę nie mamy wiele czasu.

— Postaram się streszczać — obiecała. — Zamieszki, o których wspomniał Althalus, nie były przypadkowe. Stoi za nimi pewien człowiek z Nekwersu, który ma niemal wszędzie popleczników i zmierza do opanowania całego świata. Ten głupek z Kanthonu też go częściowo popiera i tylko patrzeć, jak znów zapuka do naszych bram.

— Czy wynajął arumskich bojowników?

— Nie, są poza jego zasięgiem. To ja wynajęłam wszystkich zdatnych do służby Arumczyków.

Dhakan zbladł.

— Aryo Andino! Przecież ogołocisz nasz skarbiec ze szczętem! Ile obiecałaś tym barbarzyńcom?

— Althalus dostarczył nam środki. Nie kosztuje mnie to ani grosza. Eliarze, powiedz mu, co ma robić. Niech wie, czego się spodziewać.

— Dobrze, Andino. A więc, milordzie, z grubsza wygląda to tak: nie jesteśmy pewni, kiedy Kanthonczycy uderzą na wasze terytorium, ale prawdopodobnie nastąpi to dość szybko. Zebraliśmy armię i przyjdziemy wam z pomocą, ale w tej chwili jesteśmy uwikłani w inną wojnę i najpierw musimy doprowadzić ją do końca. Wiem, że macie dobrych żołnierzy, w końcu sam z nimi walczyłem.

— Nawet pamiętam — zauważył sucho Dhakan.

— Nie wiemy, jak wielkie siły Kanthon chce na was rzucić, ale prawdopodobnie szybko was zdziesiątkują. Nie utrzymacie się długo na otwartej przestrzeni, więc nawet nie próbujcie. Najlepiej będzie grać na zwłokę. Zabijcie jak najwięcej wrogów bez narażania się na straty — drobne potyczki, zasadzki i tak dalej. Cały czas się cofajcie, tak jak robił ojciec Andiny. Mury miasta to wasza jedyna przewaga. Ściągnijcie swoich żołnierzy do środka i zamknijcie bramy. Obiecuję, że zanim skończy się wam żywność, przyjdziemy na odsiecz.

— Nie mogę zostać, Dhakanie — powiedziała Andina swym wibrującym głosem. — Musisz sam utrzymać miasto. Nie pozwól nieprzyjacielowi zniszczyć Osthosu.

— Mogę tylko obiecać, że się postaram — odparł z powątpiewaniem Dhakan. — Czas będzie naszym wrogiem tak samo jak Kanthon. Mimo najlepszych chęci nie da się zebrać armii w ciągu jednej nocy.

— W razie potrzeby będzie przy tobie Eliar. Masz moje solenne słowo. — Raz jeszcze zarzuciła mu ramiona na szyję i serdecznie go wycalowała. — Do zobaczenia, drogi przyjacielu!

Dopiero koło południa Eliar z Althalusem odnaleźli sierżanta Khalora i wodza Albrona w okopach nad wschodnim brzegiem rzeki Medyo.

— Tak się nie robi, wodzu — tłumaczył sierżant. — Tylko idiota urządza zmasowany atak wzdłuż szerokiego ogólnego frontu. Normalna strategia polega na tym, by zebrać oddziały w jednym konkretnym punkcie, a potem uderzyć nagle i zdecydowanie jak dzida.

— Ale gdzie?

— Ba, w tym cały problem. Nie mamy pojęcia, w którym miejscu nas napadną. Wiemy tylko, że nastąpi to pojutrze.

— Nie możemy się domyślić?

— Mogę co najwyżej wymienić kilka miejsc, w których ja bym atakował. Kiedy się planuje główne uderzenie, wybiera się zwykle teren o sprzyjającym ukształtowaniu, na przykład las osłaniający nasze ruchy, łagodnie nachylony stok, słabsze punkty obrony i tak dalej. Potem typuje się kilka znacznie oddalonych miejsc i rzuca się tam parę batalionów z zadaniem przeprowadzenia dywersji. Ma to na celu odciągnięcie sił obrony z pozycji, co jednocześnie zmusza nieprzyjaciela do uruchomienia rezerw. A kiedy nastąpi prawdziwy atak, obrońcy nie mają już żadnych oddziałów zdolnych go odeprzeć.

— Rozumiem — odrzekł z namysłem wódz Albron. — Czyli najlepszą strategią będzie zignorować te pierwsze ataki i czekać na główny.

— Właśnie, tylko skąd można wiedzieć, który z nich jest tym głównym? Parę lat temu uczestniczyłem w wojnie w Perquaine i mój przeciwnik należał do tych, co to „poczekamy, zobaczymy”. Ale go przechytryłem, bo ruszyłem do głównego ataku o pierwszym brzasku, a dopiero gdy siedziałem nieprzyjacielowi na karku, dałem sygnał do wszczęcia dywersji. On jednak uznał za dywersję właśnie ten pierwszy atak i dlatego odciągnął główne siły, kierując je przeciwko pozorowanym.

— Zupełnie jak w jakiejś grze, prawda?

— To najlepsza gra na świecie — odparł Khalor z niespodziewanym uśmiechem. — Słowo „strategia” oznacza przechytrzenie wroga i rozpoznanie wszyst-

kich sztuczek, jakich używa, by cię oszukać. Wojny rozgrywa się tu — klepnął się w czoło — a nie w żadnych okopach. W tej chwili gotów jestem oddać miesięczny żołd za informację, gdzie Pekhal planuje główne uderzenie.

— Doprawdy? — wtrącił się Althalus. — Możesz mi to dać na piśmie?

— Tobie na pewno nie.

— Psujesz całą zabawę.

— Chyba widzę, do czego zmierzasz, Althalusie — odezwał się Eliar. — W gruncie rzeczy wiesz dobrze, że na jedno twoje słowo Bheid przebiję się nawet przez sufit.

— Ach, on tu wróci... niebawem. Nie chcę narażać Leithy na żadne niebezpieczeństwo. Sprowadzimy ją do okopów jutro wieczorem i pozwolimy pomyszkować trochę w umyśle Pekhala. Nim zaczną się walki, będzie z powrotem w Keiwonie.

— A nie można by sprowadzić jej już dziś? — zapytał Albron. — Mielibyśmy więcej czasu na przygotowania.

— Nie potrzebujemy czasu, mój wodzu — przypomniał mu Eliar. — Właśnie od tego są drzwi.

— Pekhal prawdopodobnie też ma swoje drzwi — zauważył Althalus. — Dlatego Leitha powinna się tu znaleźć nie wcześniej niż dwanaście godzin przed bitwą. Ghend wie o jej zdolnościach i mógłby jej podsunąć fałszywą informację. Jeśli kazał Pekhalowi i Gelcie rozpocząć atak tutaj, a Leitha ten rozkaz przechwyci, zgromadzimy nasze główne siły właśnie tutaj, ale jeśli przed północą wyda nowe dyspozycje, to nawet z pomocą drzwi możemy nie zdążyć się przegrupować.

— Czy to znaczy, że Leitha musi odnaleźć Pekhala? — spytał Khalor. — Sze-regowi żołnierze nie mają zwykle pojęcia, gdzie naprawdę są. Czy Pekhal może ją oszukać? Jeśli na przykład ciągle myśli „tam” zamiast „tu”?

— Jest na to za mało bystry — odpowiedział Althalus. — Potrafi mówić kłamstwa, ale myślenie kłamstwem zdecydowanie wykracza poza jego możliwości. Gelta może być bardziej przekonująca, ale bez przesady. To prostaki, sierżancie, nie można się po nich spodziewać niczego niezwykłego czy skomplikowanego. A jeśli chodzi o strategię, wciąż jeszcze są na poziomie „palić, rąbać, zabijać”. Zresztą przekonamy się jutro, jak przyjdzie Leitha.

— Z południa nadciągają jacyś ludzie — powiedział Eliar. — Chyba to Salkan ze swymi pasterzami.

— Szybko się uwinęli — zauważył Albron.

— Bo nie mają za dużo ekwipunku, wodzu. — Khalor osłonił oczy ręką i popatrzył na zbliżających się pasterzy. — Beznadziejni! — prychnął.

— Co? — zdziwił się Albron.

— Nie umieją nawet porządnie maszerować. Wyglądają jak banda uczniów na wakacjach, rozwlekli się po całej okolicy.

— Zbierają kamyki do proc, sierżancie — wyjaśnił Althalus. — To bardzo ważne, żeby wybrać właściwe.

— Kamyk to kamyk.

— Wcale nie. Znalazłem kiedyś wprost idealny, ale nosiłem go przy sobie pięć lat, zanim znalazłem odpowiedni cel. Był doskonale okrągły, wielkości kurzego jaja i ważył dokładnie tyle, ile powinien.

— I co nim ustrzeleś? Może jelenia? — zainteresował się Eliar.

— Nie, mój chłopcze. Nie marnowałbym takiego kamyka na jelenia. — Althalus zaśmiał się złowieszczo. — Ostatecznie użyłem go w Kagwherze. Był tam facet, który deptał mi po piętach z powodu pewnego kradzionego drobiazgu, zresztą niezbyt cennego. Po tygodniu miałem go dość, więc posłałem mu ten kamyk... prosto między oczy. I zaraz przestał mnie ścigać. — Westchnął głęboko. — Ale kamyka wciąż mi żal.

— Nie pozwolę na to! — wybuchnął Bheid, kiedy następnego dnia Althalus przedstawił mu swój plan w keiwońskiej świątyni. — Nawet nie dopuszczam do siebie tej myśli! Żeby wystawiać moją Leithę na takie niebezpieczeństwo?

— Twoją Leithę? — mruknęła jasnowłosa dziewczyna.

— Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

— Tak, chyba wiem. Sprawy ruszyły do przodu, co? Może powinniśmy o tym pogadać... jak wrócę z okopów.

— Nie pójdziesz do żadnych okopów! Zabraniam ci!

— Zabraniasz? — w łagodnym zwykle głosie Leithy nagle zadźwięczała stal. — Nie jestem twoją własnością. „Moja Leitha” to jedno, a „zabraniam” całkiem co innego.

— Przecież nie mówiłem... — Bheid zaplątał się w słowach. Potem spróbował innego tonu: — Naprawdę, Leitho, wolałbym, żebyś tam nie szła. Oszaleję, jeśli coś ci się stanie!

— Już oszalałeś, skoro myślisz, że możesz mi rozkazywać.

— Lepiej ugryź się w język, bracie Bheidzie — poradziła Andina. — Powinieneś czasem pomyśleć, zanim chlapniesz, co ci ślina na język przyniesie!

— Nie wystawiam jej na żadne niebezpieczeństwo — zapewnił Althalus kapłana. — W tych okopach jest cała armia ludzi, którzy będą jej pilnować, a zresztą większość czasu i tak spędzi w Domu. Będzie tylko musiała pochodzić po korytarzach, aż za którymiś drzwiami wyczuje Pekhala i Geltę. Sierżant Khalor musi wiedzieć, kiedy planują główny atak, żeby móc poczynić stosowne przygotowania, a tylko Leitha może ich usłyszeć. Jak zdobędzie potrzebne informacje, Eliar odprowadzi ją tutaj i następnego tygodnie będziesz mógł spędzić na przeprosinach i leczeniu pogryzionego języka. — Zerknął w zachodnie okno. — Niedługo zajdzie słońce, pora na nas, Eliarze.

— Czy to naprawdę bezpieczne? — spytała Andina.

— Absolutnie.

— Skoro tak, to czemu nie mielibyśmy pójść wszyscy? Brat Bheid będzie się trząsał nad Leitha, a Gher i ja obejrzymy sobie wasze przygotowania i może coś wam podpowiemy. Moje sugestie nie są wprawdzie wiele warte, ale Gher to co innego, prawda?

— To nie zaszkodzi, Althalusie — poparł ją Eliar. — Gher nie widzi świata w taki sam sposób jak my, więc rzeczywiście może podsunąć nam coś, co nikomu nie przyszło do głowy.

Punkt dla niego, skarbie — zamruczała Dweia.

— Dobrze, wszystko mi jedno — poddał się Althalus, podnosząc ręce. — Idziemy, Eliarze.

— Wedle rozkazu.

Wkrótce dotarli do Khalora i Albrona siedzących w rowie niedaleko brzegu Medyo. Eliar rozglądał się bacznie.

— Gdzie Gebhel? — spytał.

— Zaproponowałem, by rzucił okiem na dalszą linię okopów, parę mil stąd na wschód — odparł Khalor. — Powiedziałem mu, że barykady wyglądają tam trochę słabo. Wiem, gdzie jest, w każdej chwili możemy tam pójść. Gebhel to porządny facet, ale zbyt tępy, żeby zrozumieć coś z tego — zerknął z dezaprobatą na resztę towarzystwa za plecami Eliara. — Wiesz, Althalusie, pora nie jest odpowiednia na podziwianie widoków.

— To nie mój pomysł, sierżancie.

— Niech się trzymają z daleka od wykopu — burknął sierżant i spojrzał na Leithę, która wciąż miała na sobie strój jasnowidza. — A ty włoż kaptur. Księżniczka Andina wygląda jak paż, więc nie zwróci na siebie uwagi, ale żołnierze Gebhela mogliby się wzburzyć na sam twój widok.

— Jak sobie życzysz, sierżancie. Co mam tu wykryć?

— Muszę wiedzieć, gdzie Pekhal i Gelta zamierzają zgromadzić swe główne siły. Prawdopodobnie stamtąd nastąpi atak.

— Jeśli mają takie drzwi jak my, mogą na nas uderzyć z dowolnego miejsca — zauważył Eliar.

— Wiem. Będziesz musiał jutro nieźle się uwijać. Naoliw dobrze zawiasy drzwi do „innego miejsca”, bo może będziesz musiał błyskawicznie przerzucić ludzi Gebhela. Zaczniemy od ustawienia ich w okopach naprzeciwko największego skupiska sił wroga. Jeśli Pekhal i Gelta przeskoczą gdzie indziej, musimy im odpowiedzieć.

— To znaczy, że mam wypatrywać znacznej liczby żołnierzy? — upewniła się Leitha.

— Około trzydziestu tysięcy — odparł Khalor.
— To nie powinno być trudne. Tak wielkie skupisko ludzi jest dość hałaśliwe. — Leitha skrzywiła się lekko. — Eliarze, na wszelki wypadek zacniemy od jednomilowych skoków. Nie mam praktyki w słuchaniu na dużą odległość. Jeśli okaże się, że słyszę na jedną milę, możemy stopniowo wydłużać dystans.
— Właśnie o czymś pomyślałem — odezwał się Gher.
— Czyżbyśmy o czymś zapomnieli? — zaniepokoił się Khalor.
— Możliwe. — Gher zerknął na Eliara. — Możesz wstawić drzwi, gdzie tylko zechcesz, tak?
— Z dokładnością do pół palca. Bo co?
Gher oparł rękę na ziemi tuż nad krawędzią okopu.
— A na przykład tu?
— Dobry boże! — wykrzyknął Albron. — Że też nam to nie przyszło do głowy, sierzancie! Przecież mogą po prostu przejść nad wszystkimi naszymi barakadami i kanałami, po czym znaleźć się w okopach, zanim się zorientujemy, że nadchodzą!
— Niekoniecznie, wodzu — rzekł Eliar, kładąc dłoń na rękojęści Noza. — Chyba wiem, jak do tego nie dopuścić, ale najpierw muszę pomówić z Emmy.
— Nie mamroc pod nosem — warknął Khalor. — Gadaj!
— Wszystko zależy od tego, jak blisko nasze drzwi są od tych w Nahgharashu. Jeśli schodzą się ściśle, muszę tylko otworzyć nasze, kiedy oni otworzą swoje.
— No i świetnie — prychnęła Andina. — Wtedy zamiast najechać Wekti, zaatakują Dom.
— To już moja sprawa, Andino. Nie będą wiedzieli, gdzie są, podobnie jak kapitan Dreigon. Przejadą przez swoje drzwi w Nahgharashu, potem przez moje trafią do Domu, a następnie przez inne moje drzwi wyjadą u podnóża wzgórz. Jeśli uda mi się ustawić wszystkie troje drzwi dostatecznie blisko siebie, doprowadzę do tego, że napastnicy będą szarżować na to wzgórze do końca lata. — Nagle zachichotał.
— Co cię tak śmieszy? — spytał Khalor.
— Bo oni prawdopodobnie nawet nie zobaczą tych drzwi, a jeśli dobrze pokombinuję, żadna ich strzała nie trafi w naszych ludzi, tylko spadnie u stóp wzgórza. To znaczy, że ilekroć napną łuki, będą strzelać do własnych rezerw na tyłach.
— Aleś to zgrabnie wymyślił! — ucieszył się Gher. — A wtedy nasi będą musieli nic robić, tylko stać i patrzeć, jak źli wybijają się nawzajem!
— Chyba nas trochę poniosło — rzekł Khalor. — Trzymajmy się tego, co mamy na miejscu. Czy usłyszałaś coś z drugiej strony, Leitho?
— Wiedziałaś, że ćwierć mili w górę rzeki stoi parę setek Anusów?
Khalor pokiwał głową.
— Moi ludzie ich obserwują. Anusci budują tratwy. Jutro tuż przed świtem zapewne spłyną w dół rzeki, ale daleko nie zajadą. Gebhel szykuje im powitalną

niespodziankę.

— Jest też pewna liczba jeźdźców. Przeprowadzają się przez wzgórza po ansuskiej stronie.

— Konne patrole — skwitował Khalor. — Nic ważnego.

— A teraz milę na wschód, Eliarze — poprosiła Leitha.

Przeskok nastąpił tak szybko, że Althalusowi tylko mignął Dom, i już byli z powrotem w okopie.

Leitha koncentrowała się, marszcząc czoło.

— To ci sami ludzie. Spróbujmy pięć mil dalej.

— Dobrze — zgodził się Eliar i poprowadził ich przez drzwi, które najwyraźniej tylko on widział.

— Ciągłe ci sami — narzekała Leitha. — Są słabsi, ale to wciąż ci sami. Przeskoczmy o dziesięć mil! Zdaje się, że sięgam dalej, niż myślałam.

— Na pewno nikogo nie przepuściłaś? — spytał Khalor.

— Gdyby byli gdzieś blisko, tobym ich słyszała.

Sprawdzili w ten sposób około siedemdziesięciu mil, ale oprócz paru konnych patroli Leitha nie widziała nic godnego uwagi.

Dopiero koło północy nagle się zatrzymała.

— Tutaj! — oświadczyła triumfalnie. Zaraz jednak znów zmarszczyła brwi. — Nie... To raczej nie są główne siły, o które pytałeś, sierżancie. Tu są najwyżej cztery setki i chyba urządzili sobie coś w rodzaju zabawy.

— Stary ansuski zwyczaj. Jak świat światem, żadna ansuska armia nie szykowała się do ataku na trzeźwo. Na ogół piją przedtem na umór.

— Ale jest ich tylko cztery setki — zauważył Albron. — Może to jeden z tych dywersanckich oddziałów, o których wspominałeś?

— Prawdopodobnie. Idziemy dalej.

— Czekaście! — krzyknęła Leitha.

— Co się stało? — spytał Althalus.

— Trafiłam na Pekhala! I na Geltę!

— Gdzie? — spytał Khalor.

— Nie jestem pewna... Chwileczkę.

Podniosła głowę i zapatrzyła się w gwiazdy.

— Tam ich chyba nie ma — upomniała ją Andina.

— Cicho! Staram się przebić przez cały ten pijacki jazgot. Ale niestety ich zgubiłam... — Nagle się uśmiechnęła. — Och, to naprawdę sprytne!

— Co jest sprytne? — spytał Althalus.

— Z tamtej strony wzgórz jest wielka jaskinia... ciągnie się przez dobre pół mili. Tam właśnie kryją się tysiące ludzi i koni. Jak zrozumiałam, stamtąd nastąpi atak... ale dopiero po wschodzie słońca. Ci, którzy popili się do nieprzytomności, nic nie wiedzą o tych w jaskini. Myślą, że są przeznaczeni tylko do dywersji. Czuję, że to sprawka Komana.

— Kto to jest Koman? — spytał Albron.

— Towarzysz Ghenda. Ma ten sam dar co ja i wie, jak go wykorzystać. Zgromadził tych pijaków pomiędzy mną a wojskiem, poza tym ściany jaskini także głuszą dźwięki. Mogłabym w ogóle nic nie usłyszeć, gdyby Koman i ten były kapłan Argan nie wyszli na chwilę z jaskini, żeby pogadać na osobności. Wymieniali uwagi na temat Pekhala i Gelty... niezbyt pochlebne zresztą. Mam wrażenie, że dość często urywają się gdzieś razem, aby dać upust swym uczuciom... Ale do rzeczy. To na pewno jest to miejsce, sierżancie. O pierwszym brzasku ci zapici awanturnicy rozpoczną działania dywersyjne. Będą się tłukli tuż poza zasięgiem strzału z łuku, będą hałasować, wymachiwać pochodniami i po krótkim czasie odjadą. A mniej więcej w godzinę po wschodzie słońca ci z jaskini... Cicho! — syknęła nagle. — Coś tu jest nie tak... — Wydała stłumiony okrzyk. — Patrzcie! Przechodzą przez swoje drzwi!

Althalus rozejrzał się szybko. Na tyłach okopu coś błysnęło i nagle w otwartych na oścież drzwiach ukazał się Khnom. Za jego plecami mignęło miasto w ogniu, ale zaraz Gelta odepchnęła Khnoma i ruszyła do okopu, wywijając archaicznym kamiennym toporem.

— Eliarze, za tobą! — wrzasnął Althalus.

Ale okrutna broń Gelty opadała już na tył głowy młodego Arumczyka.

Eliar zdążył jeszcze wykonać półobrót w odpowiedzi na ostrzeżenie, ale nie uchroniło go to przed ciosem. Upadł na twarz w świeżą ziemię okopu.

Gelta wydała triumfalny wrzask, po czym Khnom wciągnął ją z powrotem przez ohydny portal.

Gdy tylko oboje znaleźli się po drugiej stronie, z ognistych czeluści Nahgharashu rozległ się rechot Ghenda.

— I co, Althalusie? To chyba załatwia sprawę!

Nagle portal z tyłu okopów znikł, zostawiając po sobie tylko echo szyderczego śmiechu.

ROZDZIAŁ 25

— Nie!!! — krzyknęła przeraźliwie Andina, biegnąc do Eliara. Opadła na kolana przy bezwładnym ciele i przywarła do niego z rozpaczliwym łkaniem.

Zabierz ją od niego, Althalusie — rozległ się suchy głos Dwei. — *Tylko pogarsza sytuację!*

To on żyje? — spytał milcząco Althalus.

Jasne, że żyje. Rusz się!

Althalus stanowczo odciągnął rozhisteryzowaną dziewczynę od Eliara.

— Przestań, Andino — powiedział, siląc się na spokój. — Nie jest zabity, tylko ciężko ranny, więc nie potrząśaj nim tak!

Odsuń się, Althalusie. Muszę pomówić z Leithą. — Poczuł, jak Dweia spycha go z drogi. — *Leitho, to ja. Masz zrobić dokładnie to, co ci powiem.*

— To był podstęp! — jęknęła Leithą. — Powinnam się zorientować, że za łatwo mi idzie...

— Teraz nie mamy czasu na wyjaśnienia. Muszę wiedzieć, jak ciężko Eliar jest ranny.

— Zawiodłam was, Dweio! — łkała Leithą. — Wszystko, co dotyczyło tej jaskini, było pułapką, a ja w nią wpadłam!

— Dość! — rzuciła ostro Dweia. — Musisz wniknąć do mózgu Eliara. Chcę wiedzieć, co się tam dzieje.

Oczy Leithy stały się nieobecne.

— Nic tam nie ma, Dweio — szepnęła po chwili bezradnie. — Jego umysł jest zupełnie pusty.

— Masz wniknąć do mózgu, nie do umysłu. Wejdz głębiej. Pomiń wszystkie myśli i dotrzyj do dna. O tak.

Kilka nieskoordynowanych obrazów mignęło w umyśle Althalusa.

— A to możliwe? — spytała z niedowierzaniem Leithą.

— Zrób to. Nie kłóć się ze mną, muszę wiedzieć, jak ciężko jest ranny.

Błada twarz Leithy wykrzywiła się od intensywnego wysiłku.

— Nie tak — usłyszał swój głos Althalus. Przez jego świadomość przemknęło więcej obrazów.

— Ach... Teraz rozumiem. Nigdy dotąd tego nie próbowałam. — Leithą się

uspokoila, oczy miała utkwione w przestrzeń. — Bardzo tam ciemno... Z tyłu mózgu widzę krwawienie.

— Jak silne? Czy krew tryska?

— Nie, ale mocno cieknie.

— Tego się obawiałam. Sierzancie, musimy go przenieść. Rannego trzeba ogrzać, a nam zapewnić dobre światło.

— Nie jesteś już Althalusem, prawda? — spytał Khalor, wpatrując się w jego twarz.

— To ja, Khalorze. Musiałam wykorzystać Althalusa, nie mam czasu, by wcielić się we własną postać. Sprowadź kilku ludzi, żeby przenieśli Eliara, tylko niech nim nie trzęsą.

— Potrafisz go wyleczyć, pani? Ta wiedźma roztrzaskała mu głowę jednym ciosem...

— Niezupełnie. Eliar uchylił się akurat w chwili uderzenia. Ale musimy się spieszyć. Trzeba go zabrać w jakieś spokojne miejsce, gdzie będzie mogła się nim zająć.

— Gebhel ma namiot na tym wzgórzu za okopem — zaproponował Albron.

— To jego stanowisko, z którego dogląda kopaczy.

— Będziemy musieli je zająć. W pobliżu nie ma innego stosownego miejsca. Zbiorę ludzi.

— Dzieją się tu rzeczy, których nie rozumiem — rzekł wódz Albron, zerkając na Althalusa.

— Dweia mówi do nas ustami Althalusa, wodzu — wyjaśnił mu Bheid. — Ona jest w Domu, a my tutaj. Prawdopodobnie mogłaby użyć innego sposobu, ale tak jest szybciej i wygodniej. Grzmiący głos dobiegający znikąd mógłby ściągnąć zbyt wiele uwagi. Dweia mówi do nas przez Althalusa od początku naszej znajomości.

— Ona uleczy Eliara, prawda? — spytał Albron z troską w głosie. — Bez tych drzwi nie mielibyśmy żadnej szansy. — Nagle rzucił mu ostre spojrzenie. — O to im od początku chodziło, tak? Cała ta sprawa z pijanymi Ansusami i wojskiem w jaskini to tylko zwykły podstęp, żeby ściągnąć nas do tej części okopu i żeby mogli zabić Eliara. Bo bez Eliara i drzwi nie byłoby mowy o obronie.

— To się zmieni, gdy tylko Eliar stanie na nogi — zapewnił go Althalus.

— A jeśli nie?

— Proszę cię, daj spokój tym „a jeśli”. Mamy i bez tego dość zmartwień.

Posterunek Gebhela mieścił się w wielkim namiocie z kilkoma pryczami, prymitywnym piecykiem i stołem zarzuconym mapami i wykresami. Sześciu odkomenderowanych przez Khalora Arumczyków wniosło Eliara do środka w zaimprovizowanej lektyce i ostrożnie ułożyło go na pryczy twarzą w dół.

Wejdz, *Leitho* — usłyszał *Althalus* milczące wezwanie *Dwei*, skierowane do dziewczyny. — *Ty i Althalus musicie ze sobą współpracować. Mózg Eliara krwawi i nie ma sposobu, by go zdrenować. Byłoby lepiej, żeby Gelta uderzyła ostrzem topora. Gdyby rozłupała mu czaszkę, krew znalazłby ujście. Teraz ujścia nie ma. Jeśli to potrwa zbyt długo, ciśnienie krwi zmiażdży mózg i Eliar umrze.*

Chcesz powiedzieć, Em, że mamy zdjąć mu tył głowy?

Nie bądź śmieszny, Althalusie. Żeby obniżyć ciśnienie, potrzebne są tylko dwie dziurki w tyle czaszki. Gdy Leitha określi dokładne miejsce krwawienia, użyjesz słowa z Księgi i otworzysz te dziurki.

Tylko tyle? To brzmi tak... mechanicznie, zupełnie jakbym zakładał dreny.

Bo mniej więcej o to chodzi.

I to go wyleczy? Nic więcej nie potrzeba?

To tylko pierwszy krok. Reszta będzie możliwa dopiero po obniżeniu ciśnienia. Zaczynamy, teraz liczy się każda minuta. Przede wszystkim potrzebujemy więcej światła. Powiedz leuk. Dach namiotu ma świecić tak jak kopała w wieży.

Dobrze. Coś jeszcze?

Niech ktoś sprowadzi któregoś z pasterzy. Będą nam potrzebne pewne rośliny do sporządzenia kataplazmu i wywaru. Pasterze lepiej niż Arumczycy znają tutejsze zioła.

— *Gher!* — zawołał *Althalus*. — *Znajdź rudego Salkana, niech tu przyjdzie.*

— *W tej chwili.*

Trzeba będzie najpierw ogolić Eliarowi tył głowy — poleciła *Dweia*.

— *Bheidzie, czy twoja brzytwa jest dobrze naostrzona?*

— *Oczywiście.*

— *Dobrze. Dweia chce, żebyś ogolił Eliarowi tył głowy.*

— *Althalusie!* — zaprotestowała *Andina*.

Uśpij ją. Powiedz „leb”. Tylko by przeszkadzała, zresztą nie powinna tego oglądać.

Masz rację — odrzekł milcząco *Althalus*. Głośno powiedział: — *Andino!*

— *Słucham.*

— *Leb, Andino. Leb.*

Oczy ary zaszły mgłą. Padła bez zmysłów w ramiona Althalusa. Przeniósł ją na drugą stronę namiotu i ułożył na wolnej pryczy.

— *Jak się do tego zabierzemy, Dweio?* — spytała *Leitha*.

— *Gdy tylko Bheid go ogoli, odnajdziesz dokładne miejsce krwawienia i pokażesz je Althalusowi palcem na czaszce. Wtedy on za pomocą słowa bher ostrożnie przebije dziurki. Wypłynie krew i ciśnienie od razu spadnie.*

— *Czy ktoś to już kiedyś robił?* — spytała z powątpiewaniem *Leitha*.

— *Niezbyt często* — przyznała *Dweia*. — *Większość tych, którzy uważają się za uzdrowiaczy, to szarlatani. Mają bardzo ograniczoną wiedzę o funkcjonowaniu ludzkiego organizmu. Ale kilku utalentowanych uzdrowiaczy zetknęło się z tym*

problemem. Niestety, nie mieli odpowiednich narzędzi, a tych, których używali, nie dezynfekowali, ponieważ nie rozumieli niebezpieczeństwa infekcji. Althalus nie będzie używał młotka ani dłuta czy myśliwskiego noża. Przebije dziurki za pomocą słowa z Księgi, a okład powinien zapobiec infekcji.

Powinien... Wyczułem w twoim głosie pewne wahanie — zauważył Althalus.
— *Gdyby tak pójść o zakład, jak wielkie byłyby szansę?*
Pół na pół... może trochę więcej. Ale przecież nie mamy wyboru, prawda?
Nie, raczej nie mamy.

Gher wprowadził do namiotu rudowłosego pasterza Salkana.

— No, znalazłem go wreszcie. Jak Eliar?

— Tak sobie — odparł Bheid, wycierając brzytwę w zmiętą szmatę.

— Czemu golisz mu włosy?

— Althalus musi dostać się do skóry, a włosy przeszkadzają.

— Jak Eliar się przebudzi, poczęstuje cię za to maczugą. Ale głupio będzie wyglądał bez włosów...

— Salkanie, musimy sporządzić kataplazm — przemówiła Dweia ustami Althalusa. — Potrzebujemy pewnych liści i korzeni. Eliar jest ciężko ranny i chcemy zapobiec infekcji.

— Dobrze wiem, czego ci trzeba, mistrzu Althalusie — powiedział Salkan. — Sam wyleczyłem kilka poranionych owiec... Masz jakiś dziwny głos, nic ci nie jest?

— Stało się coś nieprzewidzianego — wyjaśniła Dweia. — Jestem trochę spięty. Jakich roślin używacie zwykle do kataplazmów?

Salkan wymienił kilka nazw, których Althalus nie rozpoznał.

— Może się i nadadzą — orzekła z aprobatą Dweia. — Ale poszukaj drzewa z zielonymi jagodami i jeśli znajdziesz, przynieś mi trochę.

— Te jagody są trujące, mistrzu Althalusie.

— Wygotujemy truciznę — zapewniła go Dweia. — A pozostałe składniki zneutralizują to, co zostanie. Okład z zielonych jagód zapobiega infekcji i wstrzymuje krwawienie. Ale potrzebuję jeszcze kilku roślin do wywaru. — I wymieniła nazwy.

— Dobrze wiesz, co robisz? — spytał z powątpiewaniem Salkan.

— Zaufaj mi. Idź z nim, Gherze, i zabierz koszyk. Jagody przynieście jak najprędzej, muszą gotować się dłużej niż inne składniki.

— Jak sobie życzysz, Emmy.

I obaj wyszli z namiotu.

Rozpal ogień, Althalusie, i nastaw kilka garnków wody. Kiedy zaczniesz się gotować, powiedz gel, żeby wodę oczyścić.

Myślałem, że gel znaczy „zamrozić”.

No tak, w pewnym sensie.

Mam zamrozić wrzątek? Przecież to absurd!

Tak trzeba, skarbie, zaufaj mi. To forma oczyszczenia. Powtórzmy to jeszcze kilka razy przy sporządzaniu okładu i lekarstwa, które podamy Eliarowi, jak przebijesz otwory w czaszce. Ty też będziesz musiał umyć sobie ręce tym wywarem. Wszystko, co dotknie Eliara, ma być idealnie czyste.

Nie rozumiem, Em.

Czystość jest dobra, brud zły. Co tu jest do rozumienia?

Bądź miłsza, dobrze?

Ale to kiedyś zejdzie? — spytał Althalus, patrząc na swoje dłonie, które właśnie umył w dziwnym wywarze z kilku roślin. — Trudno mi będzie wytłumaczyć, dlaczego mam zielone ręce.

Z czasem się wytrą. Teraz przemyj tym głowę Eliara i zaczynamy. Postępuj uważnie, Althalusie. Nie chcemy wtargnąć mu do głowy z impetem, więc za każdym razem wymawiaj słowo bher bardzo łagodnie. Na początku wystarczy tylko przebić się przez skórę. Potem natrafisz na cienką warstwę mięśni i znów powiesz bher. Następnie zatamujesz krew tamtą lnianą ściereczką i nim zabierzesz się do wiercenia kości, przemyjesz ranę zielonym wywarem. Podczas borowania przepłukuj otwór, żeby usunąć odłamki.

Powtarzaliśmy to już kilka razy, Em.

Jeden raz więcej nie zaszkodzi. Upewnijmy się, że wiesz, co masz robić, zanim zaczniesz. I kiedy przebijesz się przez kość czaszki, natychmiast się zatrzymaj. Między kością a mózgiem jest twarda membrana. Przepłuczesz starannie ranę i założysz tampon. Dopiero wtedy przebijesz membranę. Masz jeszcze jakieś pytania?

Chyba omówiliśmy już wszystko.

Dobrze. Zaczynaj.

Jasnoczerwona krew trysnęła Althalusowi prosto w twarz.

Ma mocne serce — zauważyła Dweia, kiedy Althalus ocierał krew z czoła i oczu.

Skąd wiesz? — rozległ się w jego głowie milczący głos Leithy.

Za każdym uderzeniem serca tryska jak z fontanny.

Że też wy, kobiety, możecie tak na zimno o tym rozprawiać! — wykrzyknął oskarżycielsko Althalus. — Eliar tu leży, nie jakiś ciekący kubek!

Nie bądź taki sentymentalny — upomniała go Dweia. — Lepiej przyłóż okład do rany i bierz się do następnego otworu po lewej stronie.

Jak myślisz, ile ich jeszcze potrzeba?

To zależy od tego, co Leitha zobaczy, kiedy skończymy z tymi dwoma. Okład powinien zatamować krwawienie, a wtedy będzie mogła wykryć inne miejsca wymagające pomocy.

Właściwie w jaki sposób okład hamuje krwawienie? — spytała z ciekawością Leitha.

Te zioła działają ściągająca, moja droga. Zamykają naczynia krwionośne. Coś podobnego czujesz w ustach, kiedy jesz kwaśny owoc. Dlatego właśnie potrzebne nam były zielone jagody. W gruncie rzeczy wcale nie są trujące, tylko tak kwaśne, że ludzie uważają je za groźne dla życia. Bierz się do pracy, Althalusie, nie płacą ci za obijanie się.

Płacą? Przecież nie pobieram wynagrodzenia.

Pomówimy o tym kiedy indziej, a teraz wierć tę dziurę.

— Coście zrobili? — spytała Andina, patrząc na bandaż wokół głowy Eliara.

— Tak naprawdę wcale nie musisz tego wiedzieć, kochanie. Trochę byś się zdenerwowała.

— Pytam, coście zrobili mnie?!

— Althalus cię uspił — wyjaśnił jej Bheid. — Byłaś bardzo zmartwiona i Dweia chciała cię uspokoić.

— Jak bardzo kochasz Eliara? — spytała Dweia głosem Althalusa.

— Oddałabym za niego życie.

— To akurat nie bardzo mu się teraz przyda. Chcę, żebyś podawała mu lekarstwo. To trochę przypomina sposób, w jaki go ostatnio karmiłaś. Zajmiecie się tym razem z Bheidem, bo Althalus i Leitha muszą pomóc Khalorowi powstrzymać Anusów, póki Eliar nie stanie znów na nogi.

— Wytłumacz, co mam robić.

— Widzisz na stole miskę i szklaną rurkę?

— Jest w niej jakiś brązowy syrop. . .

— To nie jest syrop, kochanie, tylko lekarstwo. Eliar musi regularnie je zażywać i właśnie po to ta rurka. Wokół niej jest linia, która pokazuje, ile mu trzeba dawać. Bierzesz rurkę, zanurzasz w lekarstwie do głębokości tej linii i zatykasz palcem drugi koniec. Potem przykładasz rurkę do ust Eliara, zdejmujesz palec i lekarstwo ścieka mu do ust. Zrób próbę, żebyś się nauczyła.

Andina podeszła do stołu, wzięła rurkę, zanurzyła ją w płynie i zatkała palcem koniec.

— Dobrze? — spytała.

— Doskonale.

Przyłożyła rurkę do ust Eliara i podniosła palec.

— Och, to łatwe! — wykrzyknęła z przekonaniem. — Jak często mam mu to dawać?

— Za każdym setnym uderzeniem serca.
— Mojego?
— Nie, Andino, przecież nie ty jesteś ranna. I tu zaczyna się rola brata Bheida. Będzie siedział z drugiej strony łóżka i z ręką na sercu Eliara odliczał uderzenia. Gdy tylko doliczy do stu, podasz następną porcję.
— A nie lepiej podawać większą dozę trzy albo cztery razy dziennie? — spytał Bheid.
— To wyjątkowo silny lek, przedawkowanie nie byłoby wskazane. Dlatego będziemy podawać stopniowo.
— Jak ono działa?
— Zapobiega skutkom okładów z zielonych jagód, którymi Althalus tamował krwawienie. Mózg potrzebuje krwi, więc nie wolno całkowicie odcinać jej dopływu. Poruszamy się po bardzo cienkiej linii między nadmiarem krwi a jej niedostatkim. To jest jak strojenie lutni.
— Długo mamy to robić? — spytała Andina.
— Prawdopodobnie dziesięć godzin, najwyżej dwadzieścia. Musicie oboje bardzo uważać. Te regularne dawki są bezwzględnie konieczne, bez nich Eliar mógłby zapaść w jeszcze głębszą śpiączkę i w ogóle się nie obudzić.

— Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, główny atak może nastąpić w zupełnie innym miejscu — mówił wyraźnie zmartwiony sierżant Khalor do Althalusa. — Cały ten zgiełk i ukrywanie wojska w jaskini to tylko podstęp, żeby wciągnąć Eliara w pułapkę i go zabić, a sam atak rozpocznie się gdzie indziej.
— To zbyt wyrafinowane jak na Pekhala i Gelte — zaprotestował Althalus. — Leitho, czy żołnierze nadal siedzą w tej jaskini?
— Tak. Nie widzę zbyt ostro, ale chyba jest ich wciąż tyle samo.
— Do świtu tylko dwie godziny — zauważył sierżant. — Jeśli chcą na nas uderzyć z innego miejsca, muszą zacząć wychodzić. Czy jest jakaś szansa, że Eliar do tej pory wstanie?
— Nie liczyłbym na to, sierżancie — odparł Althalus.
— No cóż, wygrywalimy wojny i bez niego... — Khalor wzruszył lekko ramionami. — Barykady Gebhela i ci wektijscy pasterze potrafią utrzymać okopy na całej linii, zanim nadejdą posiłki. Skoro nic więcej nie da się zrobić, musimy na tym poprzestać.

Emmy! — zawołał milcząco Althalus, idąc z Leithą wzdłuż okopów.
Nie krzycz tak, Ahhalusie — ofuknęła go.
Przepraszam. Widzisz, co się dzieje w namiocie?
Oczywiście.

I co z Eliarem?

Powierzchnowe krwawienie ustało. Są przecieki w kilku miejscach, ale panujemy nad tym.

A pozostała część mózgu? Czy jest należycie ukrwiona?

Raczej tak.

To dobrze. Ale on tak prędko nie wydobrzeje, prawda?

Oczywiście, a czemu pytasz?

Pomyśl, żeby Khalor dowodził bitwą z twojego okna, upadł po napaści Gelly na Eliara, więc musimy improwizować. Khalor powiedział Gebhelowi, że jego zwiadowcy mają oko na Anusów, ale to nieprawda, bo przecież sam Khalor przyglądał się im z okna. Teraz to niemożliwe, więc trzeba wprowadzić pewne zmiany. Khalor nie może dostać się do okna, ale ty możesz, a to znaczy, że musisz być naszym zwiadowcą. To, co zobaczysz, będziesz przekazywać mnie, ja Khalorowi, on zaś wyśle do Gebhela gońców z informacjami. W ten sposób osiągniemy te same rezultaty, jakie planowaliśmy od początku, prawda?

Owszem, to prawdopodobne. Na gońców można wziąć pasterzy, powinni być dobrzy w nogach. Taki Salkan na pewno się nada.

To go raczej nie uszczęśliwi. Ten młodzian aż się pali do procy, wbrew wszystkim miłosiernym wskazówkom Yeudona. Jestem pewien, że nie zamierza marnować dobrych kamyków na konie i niejeden Ansus padnie z jego ręki, niby to nie chcący.

Więc mamy jeszcze jeden powód, żeby go odciągnąć od okopów. Nie przyczyniamy egzarsze więcej zmartwień, niż musimy. Zbierzmy gońców i niech czekają w pogotowiu. Nie guzdraj się, Althie, zaraz zacznie świtać i zrobi się głośno.

Siedem tysięcy siedemset siedemdziesiąt siedem, siedem tysięcy siedemset siedemdziesiąt osiem... — mamrotała Leitha. — Podzielone przez szesnaście i ćwierć...

— Co robi ten facet w kapturze? — spytał sierżant Gebhel.

— To jeden z moich inżynierów — skłamał gładko Khalor. — Opracowuje trajektorie dla katapult.

— Nigdy nie potrafiłem zrozumieć tych ludzi — mruknął Gebhel. — Mówią samymi liczbami, czasem myślę, że nawet dowcipy opowiadają w ten sposób.

— Mam mało czasu — przypomniał mu Khalor. — Moi zwiadowcy zlokalizowali wszystkie większe skupiska Anusów. To miejsce jest w samym środku, więc możesz urządzić tu stanowisko dowodzenia.

Gebhel zerknął na wschód, gdzie zaczynało się już przejaśniać, a potem na pochodnie błyskające w dolinie.

— Cóż, według mnie główny atak na pewno nie nastąpi w tym miejscu. Nikt nie wywija pochodniami na wszystkie strony, jeśli zależy mu na zachowaniu ta-

jemnicy.

— Nie dałbym za to głowy — ostrzegł go Khalor. — Może właśnie chcą, żebyś tak myślał.

— Racja — ustąpił Gebhel. — Sam tak postąpiłem parę razy.

— Po prostu musisz być przygotowany na wszystko. — Khalor odwrócił się i wskazał wzgórze za okopami. — Idę obstawić tyły. Nadal mam zwiadowców na froncie. Ustanowiliśmy system sygnałów, więc w każdej chwili mogą dać mi znać, co się dzieje. W razie czego prześlę ci wiadomość przez któregoś z pasterzy.

— Jak się miewa Eliar?

— Nadal jest martwy dla świata. Zajmuje się nim dwóch połowych chirurgów, ale jeszcze za wcześnie, żeby uznać go za wyleczonego.

— Więc pozostaje tylko nie tracić nadziei — rzekł Gebhel, patrząc na wschód. — Zaraz zacznie świtać, Khalorze, trzeba wracać na pozycje, nawet jeśli wiele nie zwojujemy. Walczyłem już przeciw różnym głupkom, ale ci Ansusi biją wszystkich na głowę.

— To kawaleria, Gebhelu. Większość myślenia odwalają za nich konie. Rzeczywiście robi się coraz widniej. Wracam na wzgórze. Pasterz, którego ci wyślę jako gońca, ma rude włosy, więc łatwo go odróżnisz.

Gebhel pokiwał głową.

— Spadaj stąd, Khalorze — burknął. — Mam robotę.

— Chyba się rusza — szepnął wódz Albron do Khalora, Althalusa i Leithy, kiedy dotarli z powrotem do namiotu. — I oddycha trochę lepiej. . .

— Musimy go postawić na nogi — rzekł Khalor. — W korytarzach Domu tłoczy się cała armia, ale nie mogę użyć ani jednego człowieka, póki Eliar nie otworzy im drzwi.

— Gebhel dość długo może trzymać Anusów na odległość — zapewnił go Albron.

Althalusie — zamruczała Dweia — *niech Leitha wejdzie do namiotu. Muszę szybko zajrzeć do głowy Eliara.*

W tej chwili, Em — odrzekł milcząco, po czym zwrócił się do Leithy: — Rzućmy na niego okiem.

— Dobrze.

Dweia chce z tobą mówić.

Wiem, słyszałam.

Odsuń się, Althalusie — rozległ się głos Dwei.

Althalus westchnął.

Tak, moja droga.

— Już — powiedział znużonym głosem Bheid do Andiny.

Arya ostrożnie przytknęła rurkę do ust Eliara.

Sięgnij znów do jego mózgu, Leitho — poleciła Dweia. — *Powiedz mi, co widzisz.*

Dziewczyna skinęła głową. Althalusowi wydało się, że usłyszał jakiś dziwny pomruk.

Co to za dźwięk?

Nie przeszkadzaj, Althalusie, jest teraz bardzo zajęta — upomniała go Dweia.

Krwawienie ustało — oznajmiła Leitha. — Nie, zaraz. — Zmarszczyła lekko brwi i Althalus poczuł, że sięga głębiej. — *Jest jeszcze jedno miejsce, z którego trochę cieknie, ale dość głęboko.*

Czy jego umysł się przebudził? — spytała Dweia.

Tak jakby. . . Jest trochę rozkojarzony, chyba coś mu się śni.

Zaczyna dochodzić do siebie — orzekła z namysłem Dweia i odezwała się głosem Althalusa: — Bracie Bheidzie, czas zmienić procedurę. Zwiększymy odstęp między dawkami do dwustu uderzeń serca.

— Lepiej mu? — spytała Andina z nadzieją w głosie.

— Krwawienie niemal zupełnie ustało — zapewniła ją Leitha.

— Więc niebawem się ocknie?

— Nie tak prędko, Andino — odparła Dweia. — Teraz coś mu się śni, a to zaledwie pierwszy krok. Podawaj mu dalej lekarstwo, póki nie zacznie się ruszać. Wtedy wydłużysz przerwy do czterystu uderzeń serca, a kiedy oprzytomnieje i zacznie mówić, odstawisz lekarstwo zupełnie i zawołasz Leithę. Wówczas ja też tu wrócę, żeby go obejrzeć.

— Nie mogłabyś tu zostać? — poprosił Bheid.

— W zasadzie mogłabym, bracie Bheidzie, ale mamy jeszcze tę wojnę na głowie. Tam także jestem potrzebna.

Khalor i Albron patrzyli na drugą stronę doliny, gdzie pijani Ansusi siodłali konie w szarym świetle poranka.

— Jak Eliar? — spytał Albron.

— Chyba najgorsze minęło — odrzekł Althalus — choć mogłoby być lepiej.

— Nie chcę cię krytykować, Althalusie — rzekł Khalor — ale czemu upierasz się, żeby to Salkan był gońcem? To miły chłopak, lecz nie odróżnia miecza od dzidy.

— Do przekazywania wiadomości nie trzeba nam wykwalifikowanych żołnierzy. Koman nasłuchuje, a Salkan może za jednym zamachem przekazać dwie wiadomości, jedną dla Gebhela, a drugą dla Komana. Trenujcie smutne miny, panowie, bo chociaż Dweia jest pewna, że Eliar wraca do zdrowia, zamierzam przekazać Salkanowi coś wręcz przeciwnego. Ghend nie może się dowiedzieć prawdy, gdyż w takim wypadku rzuciłby wszystkie swe siły na okopy, aby nas wykończyć, zanim nasz zuch stanie na nogi. Gdyby jednak Ghend uwierzył w rychłą śmierć Eliara, działałby bez pośpiechu i starał się zmniejszyć straty. Eliarowi potrzebny

jest czas, a dzięki fałszywej informacji możemy mu go zapewnić.

— Lekarstwo nie podziałało? — spytał Salkan.

— Niestety nie — odparł ze smutkiem Althalus. — Pogorszyło mu się i nie sądzę, żeby z tego wyszedł. Sierżantowi Khalorowi potrzebny będzie goniec, który zastąpił Eliara.

— To jeszcze jeden powód, żeby wybić wszystkich Ansusów, prawda? — zapalił się rudzielec. — Lubilem Eliara, był moim przyjacielem, a oni go zabili.

— Ludzie giną na wojnie, Salkanie — burknął sierżant Khalor.

— Co mam zrobić, generale? — spytał Salkan z zaciętym wyrazem na dziecinnej twarzy.

Althalus odciągnął Leithę na bok.

— I co? — spytał.

— To zapaleniec. Nie bardzo rozumie, co tu się dzieje, ale robi wszystko, co mu się każe. Jest bardzo podekscytowany tą wojną... i wściekły z powodu Eliara.

— Dobrze. A ma dość sprytu, by zauważyć, że pewne rzeczy do siebie nie pasują?

— Nie sądzę. Jest dość pobudliwy... i strasznie się boi sierżanta Khalora. Zrobi wszystko, co ten mu rozkaże, ale teraz jest tak nakręcony, że nie może myśleć logicznie. Koman nie będzie miał z niego specjalnego pożytku, poza tą historyjką o stanie Eliara.

— Czyli jest wart swej zapłaty.

— To ty mu płacisz?

— Mógłbym... jeśli uznam, że przyda się nam na następnej wojnie.

ROZDZIAŁ 26

W okopach i na przeciwległej grani robiło się z wolna coraz jaśniej, ale w dolinie wciąż leżał głęboki cień. Pijani Ansusi rozpalali na zboczu ogniska i wymachiwali pochodniami. Bojowe okrzyki odbijały się echem od okolicznych wzgórz.

— Subtelność najwyraźniej nie leży w naturze Ansusów — zauważył wódz Albron. — Tylko kretyn by uwierzył, że te rozwydrzone wyjce to główne siły.

— Nie jest tak źle, wodzu — zaprotestował Khalor. — Trochę przesadzili, ale są strasznie pijani. Jestem pewien, że zaatakują w tym miejscu, a te popisy mają nas przekonać, że nic poważnego się nie wydarzy. Nasz główny problem polega jednak na czymś innym. Otóż Gebhel dał się prawdopodobnie zmylić, a ja nie mogę mu powiedzieć o tym wojsku w jaskini, bo Koman wychwytuje każdą wiadomość przesłaną do okopów. Jak tylko nabierze podejrzenia, że wiemy o jaskini, dowódcy nieprzyjaciela zmieniają plany i uderzą gdzie indziej.

— Gebhel kręci się tu dostatecznie długo, by nie dać się nabrać na takie numery — pocieszał go Althalus.

— Ale mimo to byłbym spokojniejszy, gdyby rozstawił więcej ludzi na linii okopów, a nie odważy się przesłać mu wiadomości, których nie da się wyjaśnić.

Gher szarpnął Althalusa za rękaw.

— Spytaj Emmy, czy mogłaby spuścić na tę jaskinię jakąś mgłę.

— Chybabym mogła — odezwała się Dweia głosem Althalusa — ale po co?

— Nie wiem, czy to podziała. Przecież mgła wygląda czasem jak dym, prawda?

— Raczej nie, ale o co ci właściwie chodzi?

— Cóż. . . tak sobie myślałem, że nie mamy koło tej jaskini żadnych szpiegów. Koman nie usłyszy naszej rozmowy, bo Leitha nic, tylko powtarza w kółko jakieś liczby, a to go doprowadza do szału. Czyli słyszy jedynie to, co Salkan przekazuje panu Gebhelowi. Gdybyśmy chcieli, możemy daćżenak mamy tam szpiegów i. . .

— Daćżenak? — powtórzył Althalus, nic z tego nie rozumiejąc.

Udać, że jednak — zamruczała Dweia. — *Gher w podnieceniu gubi czasem sylaby.*

— Ach tak. Mów dalej, Gherze, ale staraj się nie połykać słów.

— Dobrze. Więc tak: Emmy spuszcza mgłę na wlot jaskini, pan Khalor słyszy

od swego niby-szpiega, że ze środka wydobywa się dym, i natychmiast wysłała Salkana do pana Gebhela z wiadomością, że w jaskini są jacyś ludzie, ale nie wiadomo ilu. Ghend patrzy tam i widzi mgłę, ale myśli, że nasz niby-szpieg nie jest taki sprytny, by odróżnić mgłę od dymu, więc uważa, że Khalor się pomylił. Pan Gebhel jednak nie z tych, co nie wykorzystaliby szansy, więc na wszelki wypadek sprowadza więcej żołnierzy. Ghend może kłąć z powodu naszej pomyłki, ale nie domyśli się, że wiemy na pewno, to i nie zmieni planów, prawda?

Sierżant Khalor patrzył na wschodni horyzont, skrobiąc się z namysłem po policzku.

— Althalusie, ten chłopak to skarb — rzekł wreszcie. — Głupie pomyłki, jak ta, którą przed chwilą opisał, zdarzają się na każdej wojnie, więc nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Dzięki temu Gebhel zostanie tam, gdzie jest, a Koman nie dopatry się w tym niczego niezwykłego. Ghend straci element zaskoczenia i wszystko się skończy na przewlekłym oblężeniu okopów. Eliar zyska dość czasu, by wrócić do zdrowia, a gdy tylko stanie na nogi, wrócimy do dawnego planu.

— Czyli że dobrze zrobiłem? — ucieszył się Gher.

— Doskonale, mój chłopcze. Poszukaj teraz Salkana i zaczynamy.

Stalowszary świt zaczął ogarniać dolinę pod okopami, a na przeciwległym stoku pijani Ansusi gramolili się z trudem na konie, przygotowując się do pozorowanego ataku. Z nieznanych przyczyn zanosili się przy tym od śmiechu.

— Zachowują się tak, jakby szykowali jakiś kawał — powiedział Albron, obserwując ich krytycznym okiem.

— Bo to jest coś w rodzaju kawału — odrzekł Khalor. — Według nich nie powinniśmy wziąć tych przygotowań na serio. Nie sądzę jednak, żeby Ghendowi było teraz do śmiechu. Ta mgła przy jaskini w znacznym stopniu popsuka mu całą zabawę.

Ansusi posiadali wreszcie na konie i ruszyli galopem w dół, ku zewnętrznym fortyfikacjom sierżanta Gebhela. Bojowe okrzyki mieszały się z wybuchami śmiechu.

— Czy Gebhel zamierza zlekceważyć ten fałszywy atak? — spytał Albron.

— Wątpię. Anusom może się to wydać śmieszne, ale Gebhel raczej nie ma poczucia humoru. Na pewno szykuje odpowiednie powitanie.

Kiedy Ansusi dotarli do stóp wzgórza, katapulty Gebhela wyrzuciły w powietrze całe kosze ciężkich kamieni prosto na głowy napastników.

— Założę się, że to boli jak licho — zauważył Gher.

— Na pewno — zgodził się Althalus.

— Szykują się — oznajmiła Leitha, gdy słońce wyjrzało zza horyzontu. — Za

parę minut zaczną wychodzić z jaskini.

— Co za głupota! — wykrzyknął Khalor. — Przecież wiedzą, że w ten sposób tracą szansę na efekt zaskoczenia. Gdzie ten Ghend ma głowę?

— Ghenda nie ma w jaskini — powiedziała Leitha. — To Gelta wydaje rozkazy.

— Teraz zaczynam rozumieć — odezwał się Althalus. — Gelta jest prawie tak głupia jak Pekhal. Czy ona w ogóle ma jakiś plan działania?

— Nic konkretnego. Zamierza poprowadzić wojsko na szczyt wzgórza od drugiej strony. Potem zaczeka, aż się ustawią na widoku. W tym momencie trębacze dadzą mały koncert i żołnierze ruszą w dół.

— Typowe dla konnicy — burknął Khalor, kręcąc głową. — Zawsze muszą iść do bitwy z fanfarami. Myślą, że w ten sposób przestraszą wroga.

— I rzeczywiście tak jest? — spytał Althalus.

— Ale skąd. — Khalor wzruszył ramionami. — Gher! Powiedz Salkanowi, aby pobiegł do okopów i ostrzegł Gebhela, że Ansusi szykują się do ataku.

— W tej chwili.

— Nadchodzą — rzekł Althalus, wskazując zбочe za doliną.

Ansuscy jeźdźcy ustawiali się właśnie na grani. Zatrzymali się tam, wywijając mieczami czy lancami i wznosząc bojowe okrzyki.

— Typowe! — prychnął Khalor.

— Co jest typowe, sierżancie? — spytał Albron.

— A wszystko to razem! Nie rozumiem, czemu ludzie, gdy tylko poczują pod sobą konia, zaraz muszą się popisywać. Dobry żołnierz siedzi cicho aż do rozpoczęcia bitwy, a ci młodzieńcy nie chcą słyszeć, że mogliby pozostać niezauważeni. Każdy kawalerzysta poświęca więcej czasu i wysiłku, krzycząc „Patrzcie na mnie!”, niż samej walce.

— W ten sposób wystawiają się tylko na strzały łuczników — zauważył Althalus.

— Owszem. To tłumaczy, czemu większość kawalerzystów nie dożywa dwudziestych urodzin — zachichotał Khalor. — No dobra, skoro nieprzyjacieli woli być głupi, tym gorzej dla niego.

Za doliną zagrały trąby i Ansusi rozpoczęli natarcie. Pędzili w dół zбочa, wyjąc i wymachując bronią. Gelta została na grani. Siedząc na swym czarnym rumaku z toporem w ręku, zagrzewała żołnierzy do walki.

Atak stał się jeszcze bardziej imponujący, bo wschodzące słońce zalśniło na obnażonych ostrzach ansuskich mieczy. Kiedy jednak napastnicy dotarli do stóp wzgórza, sprawy przybrały gorszy dla nich obrót. Konie zaczęły się przewracać i turlać po ziemi, nierzadko razem z jeźdźcami.

— Co tam się dzieje? — spytał Albron. — Myślałem, że pasterze mają czekać z procami, póki konie nie podejną bliżej.

— To linie zasadzek — wyjaśnił Khalor. — Po tym fałszywym ataku o świcie Gebhel kazał swym ludziom powbijać tam pale i przeciągnąć między nimi sznury. W wysokiej trawie sznury są niewidoczne i konie się potykają. Gdyby Ansusi mieli szczyptę rozumu, wypaliliby trawę przed natarciem. Teraz będą musieli bardziej uważać, czyli jechać wolniej, a to ułatwi zadanie pasterzom z procami.

I rzeczywiście konie znacznie zwolniły, a bojowe okrzyki jeźdźców osłabły. Nagle załśniła w słońcu ruda czupryna pędzącego z powrotem Salkana.

— Generał Gebhel chce dać moich chłopaków na pierwszy ogień — zameldował z dumą pasterz. — Przekazałem im, że mają celować w konie, a nie w ludzi. Niektórzy wcale się z tego nie ucieszyli. Zmienili się, chyba nie myślą już jak pasterze.

— To wpływ wojny — odparł Khalor.

Wtem odezwała się Leitha:

— Nie wszyscy wyszli z jaskini. Została mniej więcej trzecia część.

— To rezerwy. Wypoczęte oddziały i konie będą rzucone do bitwy później — wyjaśnił Khalor. — Nie widzisz tam jakiej piechoty?

Leitha uniosła twarz i zapatrzyła się w dal.

— Na razie nie — odpowiedziała po dłuższej chwili. — Czy coś jest nie tak, sierżancie?

— Źle się do tego biorą. Pekhal wprawdzie nie jest najbystrzejszy, ale powinien jednak wiedzieć, że zdobywanie ufortyfikowanej pozycji samą jazdą to poważny błąd. Nadstaw uszu na piechotę, Leitho. Na razie wszystko idzie po mojemu i nie życzę sobie niespodzianek.

Ansuski atak znów nabrał impetu, kiedy linie zasadzek zostały uprzątnięte. Niemal bez zastanowienia jeźdźcy pomknęli prosto w tory lżejszych przeszkód wodza Albrona.

W okopach panowała cisza, póki atak nie dotarł do dyskretnych punktów orientacyjnych, jakie wódz Albron rozmieścił wzdłuż zbocza. Wówczas ukazała się pasterze z procami. Gebhel wydał krótki rozkaz i w stronę napastników posypały się kamienie.

Wywołało to natychmiastowy chaos w pierwszych szeregach. Ugodzone konie runęły pokotem prosto pod nogi następujących jeźdźców. Zamiast bojowych okrzyków słychać było kwik rannych koni i wrzaski przerażonych kawalerzystów. Atak został odparty i Ansusi rzucili się do ucieczki.

Głos Gelty Królowej Nocy niósł się po wzgórzach dobitnie i wyraźnie. Najpierw długo wymyślała swym oddziałom, zarzucając im tchórzostwo i nieudolność, następnie w wyjątkowo soczystych słowach podjęła kwestię rodzicielstwa i przypuszczalnych potomków Anusów.

— Nawet nie wiem, co niektóre z tych słów znaczą — wyznał wódz Albron.

— Bo jesteś dżentelmenem, wodzu — przypomniał mu Khalor. — Wcale nie powinieneś tego wiedzieć.

— Czy oni spróbują znowu?

— O tak! To właśnie był cel tej oracji. Przypuszczam, że nim słońce zajdzie, nastąpią dwa dalsze ataki.

— A nie zechcą najpierw usunąć barykad?

— Po to właśnie każą im atakować — odrzekł bez ogródek Khalor. — Gelta zapłaci życiem człowieka lub konia za złamanie każdego pala i wyrwanie każdego krzaka, ale raczej się tym nie przejmie.

— Czemu nie usuną tych przeszkód za pomocą katapult? Albo bosaków?

Khalor wzruszył ramionami.

— Prawdopodobnie nie przyszło im to jeszcze do głowy. Konnica raczej nie ciągnie za sobą katapult, uważają to za dowód słabości.

— On ma rację, wodzu Albronie — rzekła ze smutkiem Leitha. — Dla Gelty życie ludzkie nie ma żadnego znaczenia. Pewnie nawet cieszy ją widok umierających.

— To nienormalne!

— Gorzej. Staram się, jak mogę, trzymać z daleka od niektórych jej myśli. Widok krwi, wszystko jedno czyjej, podnieca ją w sposób, o którym wolę nie mówić.

Popędzani wrzaskami i przekleństwami Królowej Nocy Ansusi raz po raz szarżowali na najeżone palami zbocze, płacąc za to straszliwą cenę. Cała dolna część wzgórza usłana była ciałami ludzi i koni. Althalus zauważył jednak ze smutkiem, że pozornie bezsensowne szarże nieubłaganie podkopywały siły obrony.

— Jeśli tak dalej pójdzie, Khalorze, będziemy ją mieli w okopach przed zmierzchem.

— Niekoniecznie. Nie płacimy Gebhelowi, żeby tylko stał i patrzył.

Pod wieczór zaciekle ataki Anusów zmioły wszystkie przeszkody z wyjątkiem paru ostatnich rzędów pali przeplecionych kolczastymi krzakami. Nagle trąby Gelty odwołały jej siły na drugą stronę zbocza.

— Poddali się? — spytał Salkan.

— Nie, chłopcze — odrzekł Khalor. — Pozwolili tylko wytchnąć koniom. Barykady są niemal usunięte, a zaraz zajdzie słońce. Według mnie Gelta szykuje jeszcze jeden atak. Pewnie jest przekonana, że tym razem przedrą się do okopów.

— Trzeba coś zrobić, generale!

— Gebhel już to zrobił, Salkanie. Szykuje Anusom paskudną niespodziankę.

- Co to za niespodzianka? — chciał wiedzieć Albron.
- Sam zobaczysz. Patrz i ucz się, wodzu.

Słońce wisiało już nisko nad horyzontem, kiedy trąby znów się odezwały i Ansusi pomknęli do ataku. Z triumfalnym wyciem pędzili po wolnym teraz od przeszkód wzgórzu.

Nagle na ich spotkanie potoczyły się dziesiątki nabitych żerdkami bali.

— Oto główny powód, dla którego wykopaliśmy rowy na grani — wyjaśnił Albronowi Khalor, — Rzadko kiedy coś toczy się pod górę. W większości wypadków wszystko turla się w dół. Każdy taki bal waży ponad tonę. Jeśli wywiercisz w nim dziury i zatkniesz w nich zastrzone paliki, z pewnością uprzykrzysz życie każdemu, kto znajdzie się na drodze.

— Myślałem, że te najeżone bale mają chronić okopy.

— Ansusi chyba też tak myśleli. Zdaje się, że po raz pierwszy w życiu walczą z wyszkoloną piechotą. Mamy dla nich pełny wybór atrakcji.

Bale toczyły się z hukiem po zboczu, miażdżąc po drodze zarówno ludzi, jak i konie. Atak słabł coraz bardziej, aż wreszcie resztką przerażonych jeźdźców uciekła.

Na przeciwnym wzgórzu Królowa Nocy rzuciła następną wiązaną przekleństw.

- Chyba nie bardzo cię lubi, mistrzu Althalusie — zauważył Gher.
- Jak jej nie wstyd! — burknął sierżant Khalor ze złośliwym uśmiechem.

— Natrafiłaś może na jakiś ślad Pekhala? — spytał Khalor Leithę.

— Od rana absolutnie nic. Są pewne oznaki, że się oddalił.

— Tego się obawiałem — westchnął z kwaśną miną Khalor.

— Czy coś jest nie w porządku? — dopytywał się Albron.

— Domyślam się, że poszedł ściągnąć piechotę. Jeśli dotrze tu do jutra z wojskiem, będzie niezbyt przyjemnie.

Althalusie, Eliar zaczyna się budzić — rozległ się głos Dwei. — Idź sprawdzić, jak się czuje, i zabierz Leithę, mogę jej potrzebować.

Dobrze, Em.

Kiwnął ręką na Leithę i weszli razem do rozświetlonego namiotu.

— Rusza się trochę — powiedziała z nadzieją Andina. — To znaczy, że zdrowieje, prawda?

— Zobaczymy — mruknęła Dweia. — Podawaj mu teraz lekarstwo co czterysta uderzeń serca. Niektóre z tych ziół są dość niebezpieczne, więc nie powinien przyjmować więcej, niż jego stan wymaga.

— Nie mówiłaś, że są trujące — rzekła oskarżycielskim tonem Andina.

— Prawie każde lekarstwo jest trujące... jeśli się przyjmie zbyt dużą dawkę. Podawaliśmy je regularnie przez całą noc, więc na pewno zbliżamy się do limitu. Nic nam nie przyjdzie z uleczenia mózgu, jeśli serce przestanie bić.

— Dweio, on się lada chwila obudzi — uprzedziła Leitha. — Słyszysz nasze głosy, ale nie dociera do niego treść rozmowy.

Jak myślisz, ile potrwa, zanim stanie na nogi? — spytał milcząco Althalus.

Kilka dni... może tydzień.

Ależ Emmy! Musimy dostać się do drzwi! Jeśli Pekhal zbiera piechotę do ataku na okopy, nie możemy tak długo czekać!

Och, uspokój się, Althalusie. Gdy tylko Eliar się obudzi, będzie mógł otworzyć drzwi do Domu. Wystarczy, żeby znalazł się w środku, a będzie miał pod dostatkiem czasu na odzyskanie pełni zdrowia. Przecież wiesz, że w obrębie Domu potrafisz dowolnie manipulować czasem.

No tak, zapomniałem. Ale on przecież nie będzie mógł nawet chodzić. Zanieśmy go tam i niechby tylko sięgnął do klamki. Potem dasz mu kilka miesięcy na rekonwalescencję, a tu upłynie najwyżej minuta.

— *Bystry z niego facet, co?* — mruknęła ironicznie Leitha.

— *Dobrze już, dobrze* — poddał się Althalus ze złością. — *Trochę — mnie poniosło. Czas mnie prześladowuje, odkąd Gelta napadła na Eliara. Poczuję się znacznie lepiej, kiedy Emmy zdejmie mi ten problem z głowy.*

— *Boli!* — odezwał się słabym głosem Eliar, otwierając oczy.

— *Budzi się!* — pisnęła Andina, obejmując rannego.

— *Przestań, Andino! Nie wolno nim tak potrząsać!* — upomniała ją Dweia.

— *Przepraszam... To dlatego... No, sama wiesz.*

— *Co się stało?* — spytał Eliar. — *Gdzie my jesteśmy?*

— *Khnom otworzył drzwi na tyłach okopu — wyjaśniła Leitha. — Gelta wybiegła, rąbnęła cię w głowę i uciekła z powrotem, zanim zdołaliśmy jej przeszkodzić.*

— *Dlatego tak mnie głowa boli.*

Do namiotu zajrzał Gher.

— *Usłyszałem, że już mówi... Obudził się, prawda?*

— *Cicho!* — warknął Althalus. — *Salkan nie może się dowiedzieć, że Eliar zdrowieje.*

— *Prawda.* — *Gher rozejrzał się szybko i wszedł do środka. — Zupełnie zapomniałem.*

— *Jak długo byłem martwy dla świata?* — spytał Eliar.

— *Niemal całą dobę. Uderzyła cię wczoraj koło północy, a teraz jest już po zachodzie* — powiedział Bheid.

— *Ach, to dlatego jest tak ciemno. A czemu nie zapalicie jakiejś lampy? Czy nieprzyjacieł węższy w pobliżu?*

— O czym ty mówisz, Eliarze? — zdziwiła się Andina. — Przecież cały dach się świeci!

— Ale ja nic nie widzę! — Wyciągnął rękę przed siebie i zaczął poruszać palcami. — Nic a nic, nawet własnej ręki. Jestem ślepy.

Tego się obawiałam — rzekła milcząco Dweia.

Nie rozumiem, Em. Przecież Gelta uderzyła go w tył głowy, a nie w twarz. Co to ma wspólnego z oczami?

Oczy są prawdopodobnie w porządku, ale część mózgu, która odpowiada za ich działanie, znajduje się prawie dokładnie tam, gdzie padł cios. I najwyraźniej nie podjęła na razie pracy.

Ale podejmie? Czy jest na to jakiś sposób?

Nie wiem, Althalusie. Eliar jest tam, a ja tu. Gdybym miała go w Domu, mógłbym się tym zająć. Niestety, tylko on potrafi otworzyć drzwi, przedtem zaś musi je zobaczyć.

No to jesteśmy w opałach. Może moglibyśmy zrobić coś w rodzaju lektyki i zanieść Eliara do Domu, ale droga zajęłaby nam ponad miesiąc, a wtedy Ghend będzie miał Wekti i większość Medyo w garści. Pomaszeruje na zachód i nikt go już nie powstrzyma, bo wszyscy zdadni do służby Arumczycy są zamknięci w Domu.

Pracuję nad tym, Althalusie.

Więc pracuj szybciej, kochana. To już przestaje być śmieszne.

— Czy Dweia naprawdę nie mogłaby jakoś... — zaczął rozpaczliwie Albron. Althalus pokręcił tylko głową.

— Bez tych drzwi nie da rady. Kluczem do drzwi jest Nóż, ma go Eliar, ale ponieważ nie widzi, nie może go użyć. Pewnie Dweia dlatego tak to urządziła, żeby Daeva nie uzyskał dostępu do Domu.

— Jeszcze żyjemy, Althalusie — przypomniał sierżant Khalor. — Wysłałem gońca do Kreutera z poleceniem, żeby natychmiast tu przybył. Jestem przekonany, że do tego czasu Gebhel się utrzyma.

Z namiotu wyszła Leitha.

— Jak Eliar? — zapytał Albron.

— Bez zmian. Nadal nic nie widzi. Ale właśnie wyłapałam coś, o czym powinniście wiedzieć: Pekhal wrócił. Był w Regwos i przyprowadził z sobą całą armię piechoty.

— Jak blisko są teraz? — spytał Khalor.

— Siedzą już w jaskini. Pekhal i Gelta robią plany na jutro.

— Postaraj się dowiedzieć jak najwięcej, ale raczej nie zanosz się na przyjemny dzień.

Althalus stał w namiocie i z roztargnieniem patrzył, jak Andina karmi Eliara. Wysłał w głąb swego umysłu milczącą myśl.

Tak? — usłyszał błyskawiczną odpowiedź.

Czy mógłbym przywrócić Eliarowi wzrok za pomocą Księgi? Gdybym na przykład, postępując się odpowiednim słowem, kazał mu patrzeć? Może da się w ten sposób zmusić jego oczy do pracy mimo urazu?

Nie, Althalusie. Istnieje wprawdzie cień możliwości, że zmusisz go do widzenia tego, na co ty patrzysz, ale to nie rozwiąże naszego problemu, ponieważ nie możesz zobaczyć drzwi. Między Eliarem a Nożem jest więź, która pozwala mu widzieć drzwi i korzystać z nich. Gdybyś jednak mógł sięgnąć do... — Dwiea urwała nagle i zapadło długie milczenie.

Czyżbyś coś wymyśliła? — ucieszył się Althalus.

Może... Niespecjalnie podoba mi się ten pomysł, bo jestem niemal pewna, że przy realizacji zniszczy się coś bardzo ważnego, ale chyba nie mamy wyboru.

Robisz się tajemnicza, Em.

Cicho bądź, Althalusie. Właśnie próbuję znaleźć sposób na nasze kłopoty.

Kiedy Althalus wyszedł z namiotu, sierżant Khalor i wódz Albron stali tuż za plecami Leithy, pilnie obserwując dziewczynę.

— Udało się jej coś wyłowić?

— Nic specjalnego — odparł Khalor. — Chyba wciąż się kłóca.

— Jeśli chcecie pogadać, to idźcie sobie gdzie indziej — rzekła cierpko Leitha.

— Przepraszam — zreflektował się Khalor.

I zastygli w oczekiwaniu, niemal wstrzymując oddech.

— No, wreszcie do czegoś doszli — oznajmiła po pewnym czasie Leitha. — Ghend musiał ich trochę przycisnąć.

— On tam jest? — spytał Althalus.

Leitha potrząsnęła głową.

— Słyszałam przez chwilę jego głos, ale sam Ghend jest daleko.

— O co się tak kłócili?

— Planowali na jutro niespodziankę dla sierżanta Gebhela i każde chciało oświadczyć ją przygotować. Ostatecznie Ghend wyznaczył Pekhala i Gelta bynajmniej się z tego nie ucieszyła.

— A co to za niespodzianka? — zainteresował się Khalor.

— O pierwszym brzasku uderzą na okopy z dwóch stron.

— Z prawej i lewej?

— Nie. Od frontu i od tyłu.

— To wykluczone! — krzyknął Khalor.

— Nie, jeśli Khnom będzie w pobliżu — rzekła Leitha. — Otworzy drzwi na tyłach okopów, a wtedy Pekhal poprowadzi stamtąd atak piechoty, ale dopiero po kilku daremnych szarżach konnicy Gelty na zbocze.

— Uprzątnęli wczoraj prawie całe wzgórze — zauważył Albron. — Te szarże mogą wcale nie być daremne.

— O nie, mój wodzu — zaprzeczył Khalor. — Zaraz po zachodzie słońca ludzie Gebhela wbili na nowo pale, przeciągnęli sznury i odbudowali barykady z ciernistych krzaków. O świcie Gelta stanie oko w oko z tymi samymi problemami co wczoraj, ale tym razem wyznaczono ją tylko do dywersji. Ma skupić całą uwagę na Gebhelu, żeby atak piechoty Pekhala okazał się kompletnym zaskoczeniem. My jednak już o nim wiemy, toteż ostrzeżemy Gebhela, żeby mógł podjąć odpowiednie kroki. — Nagle zmarszczył brwi. — Tylko że w ten sposób wojsko zanadto się rozciągnie i linia obrony będzie cieńsza. . . Cóż, musi ściągnąć resztę sił z okopów. Czeka nas ciekawy dzień. . . — Rozejrzał się dookoła. — Salkan!

— Tak, generale? — odezwał się zaspany głos.

— Wyskakuj no spod koca. Mam pilną wiadomość do okopów.

— Rozkaz, generale — odparł Salkan, ziewając szeroko.

Potrzebujemy Leithy, skarbie — zamruczała Dweia. — Ona mogłaby odegrać kluczową rolę, ale tylko wtedy, jeśli się zgodzi współdziałać. Nie wiem, jaki zasięg ma jej dar, chociaż chyba wykracza poza zwykłe podstuchiwanie. Pierwszy krok podjęła, kiedy ją zmusiłam do odseparowania myśli Eliara od jego biologicznego mózgu w celu zlokalizowania uszkodzeń. Następne mogą się okazać dla niej bardzo trudne. Może się nie zgodzić. . . ona albo Eliar. Musisz z nimi pogadać, i to szybko.

Ale do czego konkretnie mam ją namówić?

Leitha jest bierna. Potrafi tylko słuchać myśli innych, my zaś musimy ją skłonić, żeby sięgnęła do umysłu Eliara głębiej niż zwykle, kiedy tylko ślizga się po wierzchu, by poznać czyjeś sekrety. Jeśli to zrobi, Eliar też będzie mógł przeniknąć do jej umysłu i na to właśnie Leitha może się nie zgodzić. Jej zupełnie wystarcza samo słuchanie cudzych myśli, robi to przez całe życie. Świadomość, że ktoś słucha jej myśli, mogłaby ją przestraszyć.

Dlaczego? Powinna być do tego przyzwyczajona.

Owszem, ale tylko do samej idei. W tym przypadku jednak ich umysły stopią się ze sobą, a to oznacza trwałą więź.

Coś takiego jak między tobą a mną?

Właśnie. Ta więź może też wpłynąć na pewne damsko-męskie układy, które Leitha wolałaby pozostawić bez zmian. Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale przywrócenie wzroku Eliarowi to sprawa najwyższej wagi.

ROZDZIAŁ 27

— Mamy robotę — obwieścił kategorycznie Althalus po powrocie do namiotu. — Emmy udzieli wam teraz paru wskazówek, więc uważajcie.

Dweia odsunęła go na bok i zwróciła się do Eliara:

— Czy widzisz choćby przeblęski światła?

— Nie... Ciągle jest czarno jak na dnie studni. Nie wiem, dlaczego cios w głowę zamknął moje oczy, ale nic nie widzę.

— Najbardziej prymitywna część mózgu znajduje się właśnie z tyłu. Są tam ośrodki zmysłów, wzroku, słuchu, węchu i tak dalej. Pchła nie potrafi myśleć, ale widzi. Przednia część mózgu odpowiada za myślenie, tylna za prostsze sprawy.

— Co możemy zrobić? — spytała Andina głosem nabrzmiałym łzami. — Nigdy nie słyszałam, żeby ślepiec odzyskał wzrok.

— Gdyby oczy zostały uszkodzone, rzeczywiście byłyby znikome szansę — tłumaczyła Dweia. — Ale oczy nie ucierpiały, natomiast Gelta roztrzaskała mu toporem czaszkę i trafiła w mózg, stąd krwawienie. Zlikwidowaliśmy je, przebijając w tyle głowy otwory. Zapewne cios, który o mało co go nie zabił, uszkodził także miejsce, które ma wpływ na wzrok. Jeśli to tylko stłuczenie, powinno się samo wyleczyć w swoim czasie. Wtedy Eliar odzyska wzrok, zobaczy drzwi i będzie mógł ich użyć. Na razie jednak nie widzi, więc muszę ściągnąć go do Domu, żeby sprawdzić, jak poważnych doznał obrażeń.

Nie mówisz im wszystkiego, prawda? — spytał milcząco Althalus.

Owszem. Jeśli uszkodzenia tej części mózgu są zbyt rozległe, Eliar prawdopodobnie na zawsze zostanie ślepy. Zatrzymaj to dla siebie, Althalusie. — Odsunęła go na bok i znów przywłaszczyła sobie jego głos. — Musimy przenieść Eliara do Domu, ale tylko on może użyć drzwi. I tu zaczyna się rola Leithy.

— Mam sprawić, żeby zobaczył drzwi? — zdziwiła się dziewczyna. — W jaki sposób?

— Pożyczysz mu swoich oczu.

— Ich nie da się wyjąć, o boska.

— Wiem... Zresztą nie mógłby ich użyć, podobnie jak własnych.

— Nie rozumiem cię, Emmy — odezwał się Eliar, unosząc z poduszki głowę.

— Leż spokojnie! — krzyknęła Andina, przyciskając mu ją z powrotem. —

Bo znowu zaczniesz krwawić.

— Leitho, o czym Eliar teraz myśli? — spytała Dweia.

— Czy nie zakazałaś mi tego robić?

— To nagła sytuacja, kochanie, teraz możesz.

— Cóż... — Oczy Leithy powędrowały w dal. — Jest bardzo nieszczęśliwy.

Myśli, że już na zawsze pozostanie ślepy, i żałuje, że nie zginął na miejscu.

— Chyba rzeczywiście żałuję — wyznał Eliar. — Bo jaki ze mnie pożytek, skoro jestem ślepy?

— Przestań, w tej chwili przestań! — Andina objęła go ramionami i wybuchnęła płaczem.

— Uspokój się, Andino — prosiła Dweia. — Tylko wprowadzasz zamieszanie. Eliarze, czy w ogóle coś czujesz, kiedy Leitha wędrowała po twoim umyśle?

— Coś czułem... jakby ciepło. To coś znaczy?

— Może nie potrwa to aż tak długo, jak myślałam. Powiedz mi, Leitho, co właściwie czujesz do Eliara?

Leitha wzruszyła ramionami.

— Kocham go — wyznała z prostotą.

— Leitho! — wykrzyknęła Andina z oburzeniem.

— Nie w ten sposób, Andino. Kocham go tak samo jak ciebie... albo Ghera. Trochę inaczej niż Bheida, ale o tym porozmawiamy innym razem. Jesteśmy dla siebie jak rodzina, a to normalne, że ludzie w rodzinie się kochają. Ciągłe się z tym spotykam, kiedy przeglądam ludzkie umysły.

— Wejźdź nieco głębiej, Leitho — poprosiła Dweia. — Pohałasuj trochę, żeby Eliar wiedział, że tam jesteś.

Przez twarz Leithy przemknął wyraz buntu.

— Nie wiesz, o co prosisz, Dweio! Nie mogę tego zrobić!

— O co chodzi? — spytał Bheid.

— Nawet nie wiesz, w co się wplątałam — poskarżyła się Leitha ze zgrozą.

— Boisz się czegoś? — dopytywała się Andina. — Przecież to nie może być aż tak ohydne!

— Musi być jakiś inny sposób, Dweio — upierała się Leitha.

— Niestety nie ma. Naprawdę nie będzie tak strasznie. Eliar to prosty chłopak, nie spotkasz się z niczym, z czym nie dałabyś sobie rady.

— Ale jest mężczyzną!

— Zauważyłam.

— Czy ktoś mi powie, co tu się dzieje? — spytał Eliar. — Emmy, czego ty od niej chcesz? I czemu ją to tak przeraża?

— To nic poważnego, chłopcze.

— Ja mu to wytłumaczę, Dweio! — oświadczyła Leitha drewnianym, niemal nieprzyjaznym tonem. — Czasem zbyt mętnie mówisz o pewnych sprawach.

— Mamy tu jakieś sekrety? — spytał Althalus.

— Wiele hałasu o nic — burknęła Dweia ze złością.

— O nic? — zawołała Leitha. — Bardzo dziwnie rozumiesz słowo „nic”!

— Lepiej zagrajmy w otwarte karty — zaproponował Althalus. — Szykujesz jakiś podstęp, kiciuniu?

— Jak możesz! — syknęła w odpowiedzi.

— Poddaj się, Em. Leitho, powiedz, co to za problem?

— Jeśli wejdem w umysł Eliara tak głęboko, jak ona mi każe, to nigdy się stamtąd nie wydostanę. Nasze umysły wczepią się w siebie jak przestraszone dzieci i nigdy się od siebie nie uwolnimy.

— Tak? Ale przecież i tak wszyscy jesteśmy sobie bliscy.

— Nie w ten sposób. Eliar jest mężczyzna, a ja kobietą. Chyba wiesz, Althalusie, czym się różnią chłopcy od dziewczynek?

— Nie bądź złośliwa. Jesteś pewna, że nie potrafisz uwolnić swego umysłu?

— A ty potrafisz oddzielić swój od Dwei?

— To aż do tego stopnia...?

— Oczywiście, Althalusie. To jest to samo.

Nie możemy tego zrobić inaczej, Em? — spytał milcząco.

Nie. Między Leitha a Eliarem musi powstać ta więź, inaczej nic z tego nie wyjdzie. Zmysły znajdują się na najniższym poziomie świadomości, więc Eliar musi kompletnie stopić się z Leitha, podobnie jak ty ze mną.

Teraz rozumiem, na czym polega problem... — zasępił się Althalus. — Zaraz, a może mimo wszystko nie ma żadnego problemu? Kto wie, czy nie wyjdzie nam to na dobre?

Co ty knujesz, Althalusie?

Uważaj, Em. Patrz i ucz się!

Jestem już trochę zmęczona.

Wytrzymasz. — Althalus zerknął z ukosa na pozostałych. — Uwaga, dzieci! Mamusia ma pewien ciekawy pomysł, który musimy omówić, nim zabrnijemy za daleko.

— Jaka mamusia? — zdziwił się Bheid.

— Czyż nią nie jest? Wszyscy widzieliście, jak się zachowuje: niczym jaskółka z gniazdem pełnym pisklaków.

— Rzeczywiście, coś w tym jest — przyznała Leitha.

— Spodziewałem się, że spojrzysz na to z tej strony. Staram się iść śladem czegoś, co powiedziałaś wcześniej. W pewnym sensie tworzymy rodzinę, a to znaczy, że Eliar jest twoim bratem, tak?

— No...

— Kiedy wnikniesz głębiej w jego umysł, ta więź się ustabilizuje, ale przecież ona już istnieje, chociaż żadne z was o tym nie wspominało. I czyż Andina także nie jest twoją siostrą? I ta więź także istnieje, prawda?

— Tak, chyba tak.

— Więc po co podnosisz taki krzyk, skoro to już się stało? Jesteś związana z Eliarem, odkąd opuściliśmy Kweron, a teraz tylko się do tego otwarcie przyznajesz. Możemy zresztą pójść dalej i wszystkich przyjąć do tej rodzinnej wspólnoty. Może z tego wyjść coś bardzo pożytecznego. Miłość to przyjemna sprawa, Leitho, nie powinnaś się jej bać.

— Mam wrażenie, że mną manipulujesz — westchnęła Leitha bezradnie. — Co o tym sądzisz, Eliarze?

— Często się zastanawiałem, jak to jest, kiedy się ma rodzeństwo — odrzekł z nieśmiałym uśmiechem. — Czuję, Leitho, że jednak musimy to zrobić. Wiesz, jaka jest Emmy, a poza tym bardzo chciałbym znowu widzieć.

Musnęła go łagodnie po policzku.

— Więc przekonajmy się, na co nas stać... bracie.

Leitha poruszała się wolno, niemal bojaźliwie; kilka razy ona i Eliar zaczerwienili się gwałtownie.

— To nie ma znaczenia, dzieci — pocieszała ich Dweia. — To tylko fizyczne różnice, mało mają wspólnego z tym, jacy jesteście naprawdę. Wszyscy jesteście świadomi naszych ciał, nie powinniście się tym niepokoić. — Umilkła i Althalus poczuł, jak szpera naokoło. — Zaczniemy od smaku i wężu, to trochę prostsze. Gherze, poszukaj jakiegoś kwiatka.

— Wszystko jedno jakiego? — spytał chłopiec.

— Byle miał silny zapach, jeśli taki znajdziesz.

— Zaraz wracam — obiecał Gher, wypadając z namiotu.

Weź którąś z tych zielonych jagód, Althalusie, tylko nic nie mów. Po prostu włóż ją Leicie do ust.

Myślałem, że są trujące.

Tylko wtedy, gdy zje się całą miskę.

Althalus machnął dłonią, by zwrócić uwagę Leithy, a potem przyłożył palec do ust.

Odpowiedziała mu skinieniem głowy.

Podszedł do stołu i wybrał zieloną jagodę. Podał ją dziewczynie, wskazując na jej usta.

Ponownie skinęła głową, wzięła jagodę do ust i rozgryzła, krzywiąc wargi.

— Co za ohyda! — krzyknął Eliar, usiłując coś wypluć.

— Właściwie to najwspanialsza rzecz, jakiej kiedykolwiek próbowałeś — powiedziała mu Dweia. — Świetnie wam idzie!

Żółty kwiatusek, który Gher przyniósł Leicie do powąchania, sprawił, że Eliar parsknął śmiechem.

— Pokaleczyłeś sobie palce, Gherze?

— Dlaczego tak myślisz?

— To jest piekielne ziele, prawda? Ma zapach ostry i ostre kolce.

Em, to działa! — ucieszył się Althalus.

Jak dotąd, rzeczywiście. Teraz weź Leithę na bok i szepnij jej coś. Usta i nosy mają już połączone, teraz wypróbujemy uszy.

Kiedy Eliar powtórzył słowo w słowo to, co Althalus szepnął do Leithy, Dweia kazała mu połaskotać dziewczynę w stopę. Eliar natychmiast szarpnął nogą.

— Cztery na cztery — obwieściła głośno Dweia. — No to teraz to, na czym naprawdę nam zależy. Przytknij policzek do policzka Eliara, tak żeby wasze oczy były jak najbliżej siebie. Nie myśl o niczym szczególnym, po prostu patrz na dach namiotu zamiast na czyjaś twarz. Zanim przejdziemy do szczegółów, sprawdzimy, czy odróżnia światło od mroku.

Leitha kiwnęła głową i uklękła przy łóżku Eliara. Potem ostrożnie zbliżyła twarz do jego twarzy.

— Widzę! — krzyknął Eliar. — Już nie jest ciemno!

— Poruszaj z wolna oczami, Leitho — poleciała Dweia. — Musi się przyzwyczaić do kilku rzeczy. Teraz opuść wzrok i popatrz na Andinę.

— Dobrze.

— Wygląda jakoś inaczej — zdziwił się Eliar.

— Bo Leitha nie patrzy na nią w taki sposób jak ty. Kobieta zwykle nie patrzy tak na drugą kobietę, ale nie będziemy teraz o tym rozmawiać. Czy widzisz ją wyraźnie?

— Jest jakby zwichrowana.

— Co przez to rozumiesz? — nastroszyła się Andina.

— Nie chciał cię obrazić — wyjaśniła jej Dweia. — Widzi cię oczami Leithy, a one są nieco z boku. Minie trochę czasu, zanim do tego przywykniesz, ale najgorsze już za nami.

Dweia mówiła spokojnym i rzeczowym tonem, lecz Althalusowi aż bulgotało w głowie od jej radości.

— Nic tam nie ma, Eliarze — zaprotestowała Leitha, obracając się z powrotem do młodego człowieka siedzącego na brzegu pryczy.

— Proszę cię, Leitho, nie patrz na mnie — prosił, dygocząc. — Wtedy głowa mi się obraca, żeby spojrzeć na mnie z twojego miejsca.

— Przepraszam — rzekła, spieszenie odwracając wzrok. — Nadal jednak nie widzę nic, co przypominałoby drzwi.

Eliar wyciągnął rękę i poklepał powietrze między nimi.

— Przecież są tutaj! Posłuchaj.

Klepnął mocniej i oboje usłyszeli odgłos uderzenia w drewno. Leitha obmacywała pustkę dłonią.

— Właśnie wetknęłaś rękę w drzwi! — wykrzyknął Eliar. — Co tu się dzieje, Emmy? Te drzwi są solidne jak mur, a Leitha przebiła je ręką jak gdyby nigdy nic!

— Bo one są tylko dla ciebie — wyjaśniła mu Dweia głosem Althalusa. — Nikt przez nie nie przejdzie, jeśli ty go nie przeprowadzisz. Ludzie cały czas przechodzą przez nie tam i z powrotem, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. W grę wchodzi Nóż, a to bardzo komplikuje sprawę. Możesz wstać?

— Czuję się znakomicie, tylko boli mnie głowa.

— Podnoś się powoli. Leitha i Andina podeprą cię, żebyś nie upadł. Będziesz się posługiwał oczami Leithy, więc klamka drzwi nie znajdzie się dokładnie w tym miejscu, w którym je zobaczysz. Musisz wymacać ją palcami, otworzyć drzwi i wtedy wszyscy troje wejdziecie do Domu.

— Ale Leitha i Andina zaraz wrócą? — spytał Bheid.

— Nie. Zostaną ze mną i z Eliarem.

— Zaraz, zaraz — odezwał się Althalus. — Leitha jest nam tu potrzebna. Straciliśmy już drzwi, więc jeśli coś się stanie i stracimy nasze uszy, będziemy w prawdziwych opałach.

— Mnie jest potrzebna znacznie bardziej, skarbie. Poradzicie sobie bez niej przez jakiś czas, a ja nie mogę. Nie kłóć się, Althalusie, tak ma być i koniec.

Leitha z Andina pomogły Eliarowi wstać, a potem wspierały go, gdy szedł powoli do klamki, którą tylko on mógł zobaczyć. Nagle zacisnęła dłoń.

— Jest! — wykrzyknął i po chwili cała trójka zniknęła.

— Jak długo nie będzie Leithy? — spytał z niezadowoleniem sierżant Khalor.

— Nie ma sposobu, by powiedzieć coś na pewno — tłumaczył mu rzeczowym, beznamytnym tonem Althalus. — Wszystko zależy od rodzaju obrażeń Eliara. Jeśli to tylko stłuczenia, kuracja nie potrwa długo, ale jeśli sprawa jest naprawdę poważna, może się przeciągnąć. Eliar musi używać oczu Leithy, dopóki jego własne nie zaczną widzieć.

— Myślałem, że tam, w Domu, Dweia zatrzyma czas — powiedział wódz Albron.

— To także wiąże się z drzwiami. Nie wiem, co konkretnie Emmy zamierza zrobić w sprawie jego wzroku, może to wymaga, żeby czas biegł normalnie. Wszystko się komplikuje.

— I jeszcze w dodatku straciłem „uszy” — narzekał Khalor. — Jeśli Leitha nie będzie podsłuchiwać nieprzyjaciela, to jak się dowiem, co knują?

— Możemy całkowicie odciągnąć Gebhela od okopów — zaproponował wódz Albron. — Niech cofnie się o parę mil i zacznie kopać na nowo.

— Tylko opóźni w ten sposób to, czego i tak nie da się uniknąć. Gelta wciąż będzie atakować od frontu, a piechota Pekhala następować od tyłu, przechodząc przez drzwi Khnoma.

— Nie widzisz żadnej alternatywy, sierżancie? — spytał Althalus.

- Owszem, widzę. Jest dość ponura.
- Tak? A jak bardzo?
- Nazywa się „ostatnia pozycja” i naprawdę nie ma nic bardziej ponurego.
- Rozejrzył się wokół. — Gdzie jest Salkan? On lepiej ode mnie zna ten kraj.
- A czego szukamy, sierżancie? — spytał Albron.
- Strome go wzgórza. Gebhel może ufortyfikować wierzchołek i odpierać nieprzyjaciela przez jakiś czas. . . przynajmniej póki nie dotrze tu Kreuter. Drzwi Khnoma na nic się nie przydadzą, bo ludzie Gebhela będą obserwować wszystkie kierunki i nie będzie żadnych „tyłów” do zaatakowania.
- Nie mogliby po prostu obejść Gebhela i pomaszerować prosto na Keiwon?
- To kiepski pomysł, wodzu. Pekhal i Gelta są niezbyt rozgarnięci, ale nie na tyle głupi, żeby zostawić za sobą całą arumską armię.
- A jak długo Gebhel może się utrzymać? — spytał Althalus.
- Khalor wzruszył ramionami.
- Tydzień. . . może dwa, jeśli będzie miał żywność i wodę.
- To mogłoby wystarczyć — zauważył Althalus. — Wszystko zależy od tego, czy Emmy poradzi sobie z oczami Eliara i ile czasu jej to zajmie. Myślisz, że Gebhel przetrzyma dzisiejszy dzień?
- Khalor kiwnął głową.
- Spodziewa się Pekhala, więc pewnie podejmie odpowiednie kroki. Po zachodzie słońca nadal będzie siedział w okopach, a kiedy zrobi się ciemno, zabierzemy go na jakieś porządne strome wzgórze. Wojna się jeszcze nie skończyła, Althalusie. Właściwie ledwie się zaczęła.

- Gebhel wie, co robi — powiedział sierżant Khalor, gdy pierwsze oznaki świtu zabarwiły niebo na wschodzie. — Wprawdzie utrata Leithy nieco nam zaszkodziła, ale i tak wiemy dosyć o planach nieprzyjaciela, przynajmniej na dzisiaj.
- A na jutro? — spytał Albron.
- To zależy od tego, jak strome będzie wzgórze. . . i jak daleko od zaplecza. Od strony okopów szli ku nim Gher i Salkan.
- Podobno chciałeś mnie widzieć, generale? — spytał pasterz.
- Owszem. Dobrze znasz te okolice, prawda?
- Pasę tu owce, więc jestem po imieniu z każdym krzaczkiem i kamieniem.
- Świetnie. Potrzebne mi wysokie, bardzo strome wzgórze. . . niemal górski szczyt. Znajdzie się w pobliżu coś takiego?
- Salkan zmarszczył brwi.
- Wieża Daiwera leży o parę mil na południe i mniej więcej odpowiada temu opisowi.
- Kim był ten Daiwer? — spytał Bheid.

— Stukniętym pustelnikiem, który żył tu kilkaset lat temu. Uważał, że tylko on na całym świecie naprawdę kocha boga, a wszyscy inni to agenci złego. Kiedy pierwszy raz zobaczył tę skałę, pomyślał, że bóg stworzył ją specjalnie na jego użytek. Ma około tysiąca stóp wysokości, pionowe ściany i sterczy pośrodku pastwiska.

— Więc jak na nią wlaź?

— Od strony południowej da się wejść. Jest stromo, ale sam byłem na szczycie. Daiwer też jakoś się wspiał i zamieszkał w jaskini pod szczytem. Podobno rzucał głazy na każdego, kto próbował się tam dostać. On naprawdę nie lubił towarzystwa.

— W takim razie powinna tam być i woda — zauważył Khalor.

— O tak, generale, w tyle jaskini jest źródło. Nie wiem, skąd woda na tej wysokości, ale jest czysta, dobra i zimna.

— Zaledwie strużka?

— Nie, generale, raczej fontanna.

— O czym myślisz, Khalorze? — spytał Althalus.

— To dość bliskie tego, czego szukam. Może pójdziemy rzucić okiem?

— Chyba powinniśmy. Ludzie Gebhela osaczyli kilka zabłąkanych koni. Póżyjemy sobie trzy i Salkan pokaże nam to miejsce.

Tuż po świtaniu dotarli na szczyt wzgórze i ściągnęli wodze. Zobaczyli stamtąd wysoką skałę o gładkich ścianach, wyrastającą wprost z łąki.

— Skąd takie coś wzięło się pośrodku tych trawiastych przestrzeni? — spytał kompletnie osłupiały sierżant Khalor. — Zupełnie jakby góra zabłądziła. . .

— Nieważne skąd, sierżancie. Ważne, czy ci pasuje — zauważył Althalus.

— Gdyby nam się udało wleźć na szczyt, byłoby idealnie. Jeśli zapewnimy Gebhelowi żywność i wodę, może tam siedzieć latami.

— O nie, przynajmniej póki to ja płacę dniówkę wodzowi Gwetiemu za jego wojsko. Chodźmy obejrzyć to wejście od południa. Salkan jest zwinny jak kozioł, więc to, że jemu udało się tam wleźć, nie znaczy wcale, że inni też potrafią.

Koło południa cała trójka wróciła do okopów.

— Jeśli bóg ma zęby, to muszą wyglądać jak ta skała — opowiadał Khalor tysemu, lecz brodatemu Arumczykowi. — Sterczy wprost z łąki na dobrych tysiąc stóp.

— Stoki są strome?

— Nie nazwałbym tego stokami, sierżancie Gebhela — rzekł Althalus. — Główna część jest wręcz pionowa. U jej podnóża leży trochę odłamów skalnych, które spadają aż na łąkę. Jest bardzo stromo, ale ostatecznie wejść się da mniej

więcej do połowy, natomiast dalej można tylko fruwać.

— Skoro nie mogę wprowadzić ludzi na wierzchołek, to jaki mam z tego pożytek? — burknął ze złością Gebhel.

— Ależ jest sposób — wtrącił Salkan. — Wygląda na to, że część wierzchołka kiedyś się odłamała i na jej miejscu utworzyło się coś w rodzaju skalnej pochylni. Jest ona dość wąska i znacznie bardziej stroma niż dolna część wzgórza, ale jakoś udało nam się wleźć na szczyt. Widać stamtąd na całe mile!

— Coś tu musi być nie w porządku — upierał się Gebhel. — Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby coś było absolutnie idealne.

— Nie ma tam dachu, sierżancie — podsunął mu Althalus — więc często będziecie moknąć. Dopilnuję, żebyście mieli żywność i wodę, ale niestety nie mogę dostarczyć markietanek.

— Widzisz? — powiedział Gebhel do Khalora. — Wiedziałem, że coś jest nie tak.

— Co tu się działo, kiedy nas nie było? — spytał Khalor już bardziej na serio.

— Ta wiedźma przez cały ranek marnowała swoją konnicę — odparł Gebhel, wzruszając ramionami.

— A z tyłu okopów nie dobiegały żadne hałasy?

— Nie. Wasi szpiedzy wyraźnie mydłą wam oczy. Nie widzieliśmy najmniejszego ruchu na tyłach. . . no, chyba że oczekujecie niespodziewanego ataku królików.

— Po prostu trzymaj rezerwy w pogotowiu, ale poza zasięgiem wzroku. Atak piechoty na tyły nastąpi jeszcze przed zachodem słońca.

— Skoro tak mówisz. . . — burknął z rezygnacją Gebhel.

— Czy zaczęliście już robić plany wyjścia z okopów?

— Po co nam jakieś plany? Niech tylko zapadnie noc, a wyciągnę chłopaków z okopów i ruszymy na południe. Chcesz mi wyświadczyć przysługę?

— Wystarczy, że poprosisz, Gebhelu.

— Pożycz mi tego młodego rudzielca. Chcę wprowadzić ze dwie kompanie na szczyt bożego zęba. Ludzie będą szli w ciemności, więc parę ognisk na wierzchołku pomoże im znaleźć drogę.

— To całkiem sensowny pomysł.

— Sierżancie Gebhelu! — krzyknął nagle ktoś z okopów. — Znowu tu idą!

— Wybacz, Khalorze, że cię opuszczę, ale ta wojenka jest na razie na mojej głowie — rzekł cierpko Gebhel.

— Oczywiście — zgodził się sierżant. — Miły dzionek, co?

— Jakbyś zgadł.

— To pomysł Dwei — łągał Althalus, kiedy wraz z Khalorem i Albronem zaglegli w wysokiej trawie nieopodal namiotu. Tak naprawdę od kilku godzin Dweia

nie odezwała się do niego ani słowem.

— Owce? — spytał Albron z niedowierzaniem. — Nie rozumiem, o co tu chodzi.

— Dzięki owcom Koman nie wykryje ludzi Gebhela, schowanych z drugiej strony wzgórza — tłumaczył Althalus. — Nie ma na tym świecie bardziej bezmózgich stworzeń niż owce. I jeszcze w dodatku beczą bez przerwy. W gruncie rzeczy do ochrony przed taką mentalną pijawką jak Koman stado owiec może być lepsze od dodawania ułamków.

— Nie zamierzam z nią dyskutować — oświadczył Khalor. — Chce owiec, będą owce. Myślisz, że ktoś nas ostrzeże, kiedy Pekhal ruszy przez drzwi Khnoma na okopy?

— Raczej nie.

— Gebhel poczynił przygotowania — zapewnił go Albron. — Tylina linia okopów wcale nie jest tak bezbronna, jak się wydaje.

— On jest prawdziwym fachowcem w takich sprawach — zgodził się Khalor. — Nie trzeba wcale budować wielu przeszkód, żeby popsuć Pekhalowi humor. Nim ujdą pięćdziesiąt kroków, spadną im na karki rezerwy Gebhela. — Khalor podniósł nagle głowę i spojrzał na drugą stronę doliny. — O, znów nadciąga ta wiedźma!

Królowa Nocy pojawiła się w samym środku ansuskiej armii rozstawionej na grani, uzbrojona w ten sam kamienny topór, którym o mało co nie zabiła Eliara. Przystanęła na krótko, sprawdziła, czy wszyscy jeźdźcy są na miejscach, po czym machnęła swą straszliwą bronią w stronę okopów Gebhela.

— Do ataku! — wrzasnęła. — Bij! Zabij!

Wojsko ryknęło w odpowiedzi i ruszyło w dół zbocza niekontrolowaną falą, wyjąc i siekąc ze świstem powietrze mieczami.

Nagle Althalus dostrzegł za okopami ciemny błysk, jakby chmura przemknęła przez słońce.

Wyjąc triumfalnie, z nicości wypadł Pekhal na czele piechoty.

— Zabić wszystkich! — ryknął.

Khalor z zimną krwią zidentyfikował atakujące wojsko:

— Regwos.

Następnie wstał i długim, zamaszystym ruchem ręki dał znak ukrytym rezerwom, by ruszały do boju.

Pekhal ze swą piechotą uderzyli na wyraźnie niczym nieosłonięte tyły okopów, ale oto w ostatniej chwili z cienkiej warstwy podłoża wystrzelił w ich stronę las pochylonych, ostro zakończonych pali.

— Złodziej! — wykrzyknął Khalor.

— Kto jest złodziejem? — zdziwił się Albron.

— Gebhel. Dokładnie tę samą sztukę wypróbowałem na nim parę lat temu podczas wojny w Perquaine.

Impet nacierającej piechoty sprawił, że pierwsze szeregi nie uniknęły wbitia na pale. Atak stracił na sile, a wówczas z okopów podnieśli się łucznicy Gebhela i w powietrzu zrobiło się gęsto od strzał posłanych prosto w twarze napastników.

Piechota z Regwosu się cofnęła, ale zza szczytu wzgórza ruszyły na nich Gebhelowe rezerwy.

Wystraszone owce, które tak skutecznie ukryły wojsko przed Komanem, skomplikowały nieco sytuację na tyłach okopów. Pędzone przed żołnierzami, wdarły się na szczyt jak ogromna biała fala i popędziły na oślep w dół, zagarniając siły Pekhala.

— No, to już jest naprawdę rzadki widok — zachwycił się Khalor. Ja w każdym razie nie przypominam sobie, żeby stado owiec zaatakowało jakąś armię.

— Owce bojowe to ostatni krzyk mody w tym sezonie — powiedział Althalus, czując jednak pewien niedosyt. To on wpadł na pomysł z owcami, ale przypisał go Dwei, żeby arumscy przyjaciele nie protestowali. Wszystko potoczyło się niespodziewanie dobrze, lecz on sam nie zyskał żadnej satysfakcji.

To po prostu nie fair.

Rezerwy Gebhela runęły w dół zbocza za uciekającymi w panice owcami i spadły na karki zdeorganizowanych sił Pekhala.

Sam Pekhal stał osłupiały, gapiąc się na tratowane przez zwierzęta wojsko i żołnierzy Gebhela, którzy pędzili w ślad za swymi wełnistymi sprzymierzeńcami, rąbiąc i siekąc każdego, kto się nawinął.

Wynik był przesądzony. Pekhal długo dawał upust swemu rozgoryczeniu, wyjąc jak dzikie zwierzę i miotając przekleństwa z mocą rozszalałego wulkanu, aż wreszcie uciekł sromotnie przez drzwi Khnoma, zostawiając swą armię na pastwę nieuchronnego losu.

ROZDZIAŁ 28

— Oho, to jest kawał wzgórza! — powiedział z respektem sierżant Gebhel, kiedy wyszedłszy na okrągłą kopę, ujrzeli Wieżę Daiwera pośrodku zalanej księżycowym blaskiem trawiastej przestrzeni. — Gdzie ta skalna pochyłość, o której wspominałeś?

— Z drugiej strony — odparł Khalor. — Być może, trzeba utworzyć u podnóża kordon obronny. Masz sporo ludzi, a pochylnia jest raczej wąska.

— I bardzo dobrze. Niepotrzebny nam gościnniec prowadzący wprost na naszą pozycję. Moi ludzie powinni dość szybko dostać się na szczyt. Forpoczty przeciągną sznury wzdłuż pochylni, a tylne straże, które zostały w okopach, potrafią ukryć, że wzięliśmy nogi za pas. Po tym, jak wczoraj potraktowaliśmy Ansusów, na pewno nikt nie spodziewa się naszego zniknięcia. Załatwiliśmy większość ich piechoty i porządnie nadszarpnęliśmy konnicę. Ucieczka tuż po zwycięstwie to bardzo niezwykle zjawisko; mogą nie zorientować się aż do jutra i trochę czasu upłynie, zanim ściągną posiłki. Niechętnie to przyznaję, Khalorze, ale pod względem strategicznym twój pomysł całkiem trzyma się kupy.

— Cieszy mnie twoja pochwała.

— Wcale cię nie chwale. Powiedziałem tylko, że to interesująca koncepcja strategiczna.

— Myślicie, że mogliby nas po prostu otoczyć i ruszyć na Keiwon? — spytał Bheid, kiedy schodzili z pagórka, kierując się w stronę Wieży Daiwera.

— Na wojnie wszystko jest możliwe — odparł Gebhel — ale to raczej nie wchodzi w rachubę. Tylko kretyn idzie naprzód, zostawiając za sobą nieprzyjacielską armię. Gdyby jednak chcieli tak postąpić, nie mam nic przeciwko temu. Po drodze dołączą do nas posiłki, więc naprawdę potrzebujemy tylko czasu. Konnica Kreutera powinna tu dotrzeć w ciągu kilku dni, ludzi Delura także tylko patrzeć. Zamierzam po prostu siedzieć na szczycie tej skały i czekać, a jeśli w tym czasie nieprzyjaciel zdobędzie Keiwon, to po nadejściu posiłków szybko go odzyskamy.

— Mogą jednak zdemolować miasto.

— Za dużą wagę przywiązuje się do miast. Zresztą to nie jest moje miasto, więc jeśli nawet wypalą je do gołej ziemi, i tak będę spał spokojnie. Już jako młody chłopak paliłem miasta dla draki i dla zysku... — Zerknął na Khalora. —

A co z żywnością i wodą?

— Między innymi dlatego zwróciliśmy uwagę na to miejsce — skłamał gładko Althalus. — Brat Bheid słyszał o pewnym wektijskim zakonie, który miał trochę fanatyczną skłonność do absolutnej izolacji od świata. Tuż pod szczytem jest wielka jaskinia, a na jej końcu bije źródło. Jak zrozumiałem, ci mnisi przez dzień dni taszczyli po skalnej pochylni, co tylko się dało: pszenicę, suszone owoce i mięso, boczek, fasolę i tak dalej, po czym magazynowali to wszystko w jaskini. Zajrzeliśmy tam wczoraj podczas rekonesansu i rzeczywiście zobaczyliśmy pełno skrzyń.

— A co się stało z mnichami?

— Pokłócili się o to, który z nich ma zostać największym ważniakiem w całym zakonie. Takie dyskusje zaczynają się zwykle od krzyków, a kończą na nożach i toporach. Tym razem także było z początku dość głośno, ale potem nastąpiła śmiertelna cisza...

— Boże broń nas od religii — westchnął Gebhel.

— Amen — zakończył Althalus, udając, że nie widzi zgorszonej miny Bheida.

— Czy miałeś jakieś wieści od Dwei? — spytał cicho Bheid, kiedy pieli się na szczyt.

— Nic a nic — przyznał Althalus — i raczej się nie spodziewam. Koman wciąż nadstawia uszu, a Emmy jest za sprytna, by przekazać mi coś, czego nie powinien usłyszeć.

— A nie możesz zastosować tego sposobu z połówkami i ćwiartkami?

— Nie przez cały czas. Ghend dobrze wie, że w gruncie rzeczy wszystko jest na mojej głowie, więc cała uwaga Komana skoncentrowana jest właśnie na mnie. Gdybym za dużo wiedział, wcześniej czy później coś by mi się wysnęło.

— Zapowiedziała, że będzie cię trzymać w niepewności?

— Nie musiała. Znam Emmy na tyle dobrze, by wiedzieć, co myśli. Jeśli do przywrócenia wzroku Eliarowi potrzeba tylko czasu, prawdopodobnie on sam zjawi się tu przed zachodem słońca, ale jeśli konieczne będą jakieś zabiegi, sprawa się przeciągnie.

Obawę, że Eliar na zawsze pozostanie ślepy, Althalus zatrzymał wyłącznie dla siebie.

— Bardzo spokojnie o tym mówisz.

— Emocje wiele tu nie pomogą. Miej wiarę, bracie Bheidzie. Jeśli będziesz dostatecznie mocno wierzył, wszystko obróci się na dobre.

— A masz coś przeciwko temu, żebym się trochę pomartwił?

— Nie, jeśli się z tym nie zdradzisz.

Po półgodzinnej wspinaczce sierżant Gebhel poprosił o chwilę odpoczynku.

— Tylko dwie minuty, Khalorze, żebym złapał oddech.

— Zgnuśniało się w okopach, co? — zauważył złośliwie Khalor.

— Ty też nie biegniesz pod górę.

— Byłoby niegrzecznie, gdybym zostawił was z tyłu.

— Czy rzeczywiście chcesz wbiec na szczyt?

— Niespecjalnie. Dzięki sznurom, które umocowali twoi ludzie, wspinaczka jest całkiem przyjemna, zwłaszcza po ciemku. Salkan przyprowadził nas tu wczoraj w pełnym świetle i zanim wlałem na szczyt, porządnie się zasapałem.

— Jak tam jest?

— Szczerze mówiąc, niezbyt zachęcająco.

— Nie zamierzałem nikogo zachęcać. Gdzie jest ta jaskinia z zapasami i wodą?

— Po drugiej stronie. Przypuszczam, że podczas trzęsienia ziemi czy czegoś w tym rodzaju wielki kawał skały odłamał się i runął w dół. W ten sposób ta strona straciła podparcie i spora część tego, co było na wierzchu, także się osunęła. Tak powstała ta pochylnia. Północna część wygląda znacznie stabilniej. Od szczytu pochylni zbrocze prowadzi do stromej skarpy, która ciągnie się na jakieś sto stóp wyżej niż reszta wieży, a na szczycie znajduje się owa jaskinia.

— Gdyby przyszło do najgorszego, ta jaskinia może okazać się bardzo pożyteczna.

— Miejmy nadzieję, że się o tym nie przekonamy.

— To raczej mało prawdopodobne, Khalorze — rzekł Gebhel. — Nieprzyjaciel będzie musiał korzystać z tej samej pochylni. Mam tu na widoku kilka świetlikich odłamów. Bardzo trudno jest się skoncentrować, kiedy ktoś ze szczytu zrzuca na ciebie gązdy.

— Zakładasz więc, że uda ci się zgromadzić na szczycie wszystkich ludzi, zanim z północy nadciągnie konnica Gelty?

— Tak sądzę.

— Mogę coś powiedzieć? — odezwał się z lewej strony głos Ghera.

— Uważaj, Gebhelu — ostrzegł go Khalor. — Ten chłopak to istna kopalnia sprytnych pomysłów.

— Przecież to jeszcze dziecko — prychnął Gebhel.

— I dlatego pewnie jego pomysły są takie ciekawe. Ma umysł nieskażony uprzedzeniami. No, wal, chłopcze.

— Czy wszyscy żołnierze tej złej pani jadą na koniach?

— Owszem, właśnie dlatego nazywają ich konnicą — wyjaśnił Khalor.

— Tak... hm, niektóre zwierzęta, które żyją wśród ludzi, są przyzwyczajone do ognia... na przykład psy czy koty. Inne, jak konie, krowy albo owce, okropnie się go boją, a wokół tej skały trawa ciągnie się jak okiem sięgnąć. Sama skała się nie zapali, ale trawa...?

— Trawa może — zgodził się Gebhel — chociaż tylko przy silnym wietrze. To ciekawy pomysł, chłopcze, ale bez współpracy ze strony pogody nic z tego nie wyjdzie.

Gher rzucił szybkie spojrzenie Althalusowi, który pokręcił przecząco głową i przyłożył palec do ust.

— Porozmawiamy o tym później — rzekł głośno. — Teraz skoncentrujmy się na wspinaczce.

Sierżant Gebhel westchnął i ruszył dalej, podciągając się za każdym krokiem na linach.

— Dokąd ta woda odpływa, gdy już wypełni sadzawkę? — spytał z ciekawością Gebhel, kiedy Althalus pokazywał mu zapasy wyczarowane poprzedniego dnia.

— Nie mam bladego pojęcia.

Gebhel zaczerpnął trochę wody rękami i spróbował.

— Dobra!

— Czyż źródłana woda może być niesmaczna? — spytał Bheid.

— Czasem może — odparł Gebhel, wycierając ręce w kilt. — W pobliżu dworu wodza Gwetiego bije źródło, w którym woda zmieszana jest z siarką i tak gorąca, że trudno utrzymać rękę. Ale ta górka, Khalorze, podoba mi się coraz bardziej. Jak tylko wciągniemy tu namioty, każę ludziom zbudować obóz u wlotu jaskini.

— W zasadzie nie planujemy tu stałej rezydencji — zaprotestował Khalor.

— A może się założymy? Jestem pewien, że wódz Gweti zapała bezgraniczną miłością do tej skały. Gołym okiem widać, że jest na niej wypisane „pat”, a Gweti kręci się w kółko jak szczeniak na sam dźwięk tego słowa.

O pierwszym brzasku trzecia część ludzi Gebhela pokonała pochylnię i ruszyła dalej skrajem zbocza prowadzącego do skarpy po północnej stronie. W miarę jak się rozwidniało, ci, którzy wciąż znajdowali się na pochylni, zaczęli przyśpieszać kroku, ale stało się oczywiste, że nie zdążą przed południem na szczyt.

Bheid zawrócił z występu okrążającego częściowo skarpe, gdzie miał trzymać straż.

— Mamy towarzystwo, Althalusie — zameldował po cichu. — Jeszcze jest zbyt ciemno, żeby ich policzyć, ale to z całą pewnością konnica i zmierza na północ.

— No to pudło. Myślałem, że Gelta zatęskni do nas dopiero pojutrze — rzekł

z goryczą Althalus. — Pewnie stała z maczugą nad Komanem, a on od północy węszył przy tylnej straży Gebhela. — Podniósł pośliniony palec. — Nic. Ani śladu choćby zefirku. Mały pożar trawy dałby nam czas, by reszta ludzi zdążyła wspiąć się na pochylnię, ale ogień nie rozprzestrzeni się bez wiatru... — Zaciśnął zęby i milcząco zawezwał Dweię.

Emmy! Jesteś mi potrzebna!

Odpowiedzi nie było.

To ważne, Em! Mam kłopoty!

Cisza w jego umyśle stała się przytłaczająca.

— Nie odpowie — rzekł na głos.

— Dweia, tak? — zapytał Bheid.

Althalus kiwnął głową.

— Kompletnie mnie odcięła... Pewnie chce ukryć stan Eliara.

— A nie poradzisz sobie bez niej?

— Nie znam odpowiedniego słowa. Nie sądzę, by w Księdze było takie słowo jak „wiatr”.

Gher stał nieco z boku.

— Księga jest po naszej stronie?

— Mamy taką nadzieję — odparł Althalus.

— Więc dlaczego miałyby się upierać przy jakiejś głupiej zasadzie? Nie ma tam słowa, które znaczyłoby „rośnij” albo „powiększ” czy czegoś podobnego?

— Używałem czasem peta przy tworzeniu jedzenia czy wody — rzekł z wahaniem Althalus. — Wymawiałem to także raz po raz wczoraj, kiedy chciałem wypełnić jaskinię zapasami dla ludzi Gebhela. Ale co właściwie chodzi ci po głowie?

— Nie można by podejść do krawędzi i dmuchnąć kilka razy, a potem powiedzieć to słowo? Przecież Księga powinna zrozumieć?

— Nie wiem, czy to podziała — skrzywił się Althalus.

— I nigdy się nie dowiesz, jeśli nie spróbujesz.

— To nie może być aż tak proste.

— Spróbuj.

— Emmy powiedziałyby mi, gdyby to miało wystarczyć.

— Spróbuj.

— Nic z tego nie wyjdzie.

— Spróbuj!

Althalus niechętnie podszedł do skraju przepaści, nabrał w płuca powietrza i potężnie dmuchnął, jakby chciał zgasić świecę. Potem bez przekonania powiedział:

— Peta.

Nic szczególnego się nie wydarzyło.

— Mówiłem, że nie podziała.

— Może by podziałało, gdybyś mówił tak, jak to rozumiesz. Powtórz wszystko jeszcze raz i wypowiedz słowo we właściwy sposób. Księga musi wiedzieć, że mówisz na serio.

Althalus spojrzał ostro na chłopca i w tym momencie zaświtało mu pewne podejrzenie. Potem przeniósł wzrok na trawiasty step w dole i dmuchnął z całych sił, powtarzając przy wydechu słowo peta.

W bladym świetle poranka zobaczył, że w oddali trawa nagle się kładzie, jakby przycisnęła ją do ziemi czyjaś olbrzymia dłoń. Jednocześnie zerwał się potężny wichur, niczym fala na wzburzonym morzu.

— Mówiłem — rzekł z satysfakcją Gher.

— Ależ nie ma ani śladu wiatru, mistrzu Althalusie — protestował rudy pasterz.

— Zaufaj mi, Salkanie. Ty i twoje chłopaki macie tylko rozpalić w kilku miejscach ogień, wiatru ja dopilnuję.

Salkan podejrzliwie zmrużył oczy.

— Wy nie jesteście tacy jak wszyscy ludzie, prawda? Znaczy, robicie rzeczy, których nikt inny nie potrafi.

— Wyjaśnię ci to później, synu — obiecał mu Bheid. — Ta wojna jest dość niezwykła i nie wszystko, co się dzieje, da się przystępnie wytłumaczyć. Kiedy Althalus mówi, że coś się stanie, to się stanie, czy jest to naturalne, czy też nie.

— Jesteście magikami?

— W pewnym sensie — przyznał Althalus.

— Nasi kapłani uczą, że magicy są w lidze Daevy.

— Nie wszyscy — zapewnił go Bheid. — Althalus ma swoje wady, ale gdy sięgnąć głębiej, widać, że to sługa boży. Nie narażalibyśmy swoich dusz, dotrzymując mu towarzystwa, gdyby było inaczej.

— Czy to pewne, wasza wielebność?

— Absolutnie, Salkanie. Nasi wrogowie to właśnie ci z ligi Daevy, my zaś jesteśmy po stronie dobra.

— Skoro tak mówisz... — Salkan wzruszył ramionami. — Nie jestem specjalnie pobożny, ale nie chciałem ryzykować.

— Tylko nie traćcie czasu tam na dole — prosił Althalus. — Rozpalcie szybko pochodnie, dopilnujcie, żeby trawa się zajęła, a potem dołączcie do resztek ludzi sierżanta Gebhela u podnóża pochylni. Chcę, żebyś razem ze swymi chłopakami zamykał pochód. Kilku Anusów może uciec przed ogniem, więc na wszelki wypadek trzymajcie proce w pogotowiu. Potem pójdziecie wraz z ostatnimi żołnierzami na górę i po drodze przetniecie sznury.

— Wedle rozkazu, mistrzu Althalusie.

Kiedy Salkan zawrócił do swoich kompanów, Bheid powiedział z namysłem:

— Gdy to wszystko się skończy, chyba wykradnę Yeudonowi tego chłopaka. Tutaj się marnuje.

— Później będziesz się o to martwić — uciał Althalus. — Na razie skupmy się na tym, żeby dożyć do zachodu słońca. Wracamy na występ skalny, musimy zobaczyć, co się tam dzieje, ale nie chcę, żeby Gebhel zobaczył, jak wyczarowuję wiatr.

Salkan i jego chłopaki w ciągu zaledwie kwadransa otoczyli skałę pierścieniem ognia, po czym zgodnie z poleceniem dołączyli do ostatniego batalionu u podnóża pochylni.

— Jest! — rzekł Gher, wskazując na północ.

Althalus spojrział na niemrawo tłące się trawy. Ansusi, podobni z daleka do mrówek, galopowali w stronę wieży.

— Mam nadzieję, że podziała tak, jak powinno — mruknął, wciągając powietrze. Po chwili wypuścił je wraz ze słowem peta w stronę nacierającej konnicy.

Lekki wiaterek poruszył ogień na zawietrznej stronie wieży.

— Zaczyna się rozprzestrzeniać! — zawołał Gher, wychylając się za krawędź. — Ale musi wiać silniej.

— Staram się! — odkrzyknął Althalus i powtórzył całą procedurę. Ogień wokół wieży wystrzelił w górę. Ku północy niosła się ciemna smuga dymu, ale pod samą północną ścianą nadal paliło się słabo.

— Skała osłania ten teren od wiatru — zameldował Bheid. — Chyba jednak nie wszystko się uda. . .

— Może skieruj wiatr wprost na dół, tam gdzie ogień pali się gorzej? — zasugerował Gher.

— Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby wiatr dął z góry na dół.

— Spróbuj.

Althalus ustąpił. Nabrał powietrza i ze słowem peta wydmuchnął je do podnóża skały.

Niemrawy ogieniek po północnej stronie eksplodował nagle i ruszył szeroką falą przez równinę.

Ansusi ściągnęli wodze i patrzyli z rozdziawionymi gębami na wirującą ścianę ognia. Nagle jak jeden mąż zawrócili i pomknęli z powrotem.

— Możesz już wyłączyć swój wiatr! — Bheid, uczepony skały na wąskiej półce, starał się przekrzyczeć wycie wichru i nie dać się przy tym zdmuchnąć.

— Zrobię to, bracie Bheidzie! — wrzeszczał Althalus. — Jak tylko wymyślę jakiś sposób. . .

— Sam nie wiem, Althalusie — wił się wzięty na spytki Gher. — Tak mi

się wydawało. Pracujemy dla Emmy, Księga także jej służy. Byłoby bez sensu, gdyby nagle zaczęła robić głupie kawały, prawda? — Zmarszczył lekko brwi. — A jednak coś tu nie gra. . . Nie umiem czytać, to i o księgach nic nie wiem. Może to coś innego podsunęło mi ten pomysł.

— Na przykład co? — naciskał Althalus, przekrzykując słabnącą burzę.

— Emmy nie chce z tobą rozmawiać, bo mógłbyś dowiedzieć się czegoś, co potem podwędziłby ci z głowy Koman. Może to ona wbiła mi w baniak ten pomysł. . . Pan Khalor także przekazywał przez Salkana fałszywki Romanowi, kiedy siedzieliśmy w rowie.

— To możliwe, Althalusie — zgodził się Bheid. — Dwie w gruncie rzeczy nie jest w stanie niczego przed tobą ukryć, bo wasze umysły są zbyt mocno szczipione. A Gher to znakomity przewodnik, zawsze wyskakuje z dziwnymi pomysłami, więc nie przyszłoby ci do głowy podejrzewać, że coś się za tym kryje.

— Sam powinienem na to wpaść — przyznał Althalus. — W tym, jak Gher powtarzał ciągle „spróbuj”, było bardzo wiele z Emmy. Zresztą wszystko mi jedno, skąd się wziął pomysł, ważne, że się udało.

Słońce, nadal przyćmione chmurą dymu, wyjrzało chyłkiem zza horyzontu. Rozszalała wichura zdążyła się już zmienić w lekki poranny wiaterek.

— Ani śladu po nich — cieszył się wódz Albron. — Pożar przepędził ich na dobre do Ansu.

— To przedwczesna nadzieja, wodzu — rzekł Khalor, skubiąc z namysłem ucho. — Bardziej prawdopodobne, że schowali się w jaskini. Oddałbym ładny grosz, żeby wiedzieć, co knują, ale bez Leithy to niemożliwe. Mam kilka domysłów, lecz nie znoszę pracować w ten sposób.

— Na dobry początek wystarczy — zauważył Althalus. — Jaki krok jest, twoim zdaniem, najbardziej prawdopodobny?

— Raczej coś konwencjonalnego. Jestem przekonany, że nie spodziewają się po nas wycofania. Dopiero co rozkwasił im nosy w okopach i w normalnej sytuacji utrzymalibyśmy naszą pozycję. To bardzo niezwykle, kiedy zwycięska armia nagle zawraca i ucieka, a rzeczy niezwykle na polu bitwy bardzo denerwują dowódców. Na pewno przypuszczą kilka następnych ataków, żeby nas wysondować. Nie życzą sobie dalszych niespodzianek, toteż będą bardzo ostrożni.

— Nie spodziewasz się więc na wstępie niczego egzotycznego?

Khalor pokręcił głową.

— Przynajmniej nie przez pierwszych kilka dni. Za każdym podejściem wyskakiwaliś z czymś nieoczekiwanym. Nie wiedzieli nic o „kanałach” Gebhela ani o piekielnym ziele, ani o pasterzach z procami, nie spodziewali się też ataku rezerwy na tyły. Do naszej nowej pozycji będą podchodzić z wolna i czujnie. Ja

na ich miejscu tak właśnie bym się zachował.

Mijało południe, kiedy ostatki oddziałów Gebhela dotarły na szczyt skały. Za nimi postępowali pasterze Salkana.

— Mamy przeciąć sznury, generale? — spytał pod koniec wspinaczki rudzielec.

— Sprawdź, czy nie da się ich wciągnąć na górę! — krzyknął Khalor. — Dobry sznur sporo kosztuje, nie powinno się ich marnować bez potrzeby.

— Spróbujemy, generale.

— Arumczyk do szpiku kości, co? — zauważył Bheid. — Nie lubi marnować nic, za co trzeba płacić.

— Tym akurat w ogóle się nie przejmuję — odparł Althalus. — Nie ja za to płacę.

Gher przeszedł przez skalną platformę, gdzie zajmował się rzucaniem kamyków w przepaść.

— Tak sobie myślałem. . .

— Mów śmiało, chłopcze — zachęcał go Khalor. — Może wiesz, jak podłożyć ogień na wypalanej trawie?

— Nie, panie Khalorze, to się nie da zrobić. Przynajmniej aż do przyszłego roku. Ja w sprawie drzwi.

— Nie mamy już żadnych drzwi — przypomniał mu Althalus.

— Ale źli je mają i spróbują ich użyć. Wskoczą tuż pod szczytem pochylni, a kiedy wszyscy ludzie pana Gebhela będą mieli pełne ręce roboty, żeby ich powstrzymać, inna grupa wylezie na tyłach, tak jak wtedy w okopach i. . .

— Sam bym mniej więcej tak zrobił, gdybym nadal miał drzwi — przyznał Khalor. — Więc co nam radzisz?

— Cóż, obejrzałem sobie to skupisko skał z jaskinią. Czy to nie wygląda tak, jakby ktoś jedną wieżę postawił na drugiej? Gdyby część ludzi pana Gebhela została na szczycie pochylni i zrzuciła kamienie na złych, to inni mogliby w tym czasie zbudować coś w rodzaju fortu wokół wejścia do jaskini, a jeszcze inni wspiąć się na sam szczyt, żeby miotać dzidy i strzały na złych podchodzących z boczem. Czy wieża na wierzchołku tej dużej wieży nie jest lepszym miejscem do obrony niż szczyt pochylni?

— Wyznacz cenę, Althalusie — rzekł Khalor. — Zapłacę za tego chłopaka, ile zechcesz.

— Wpędzisz mnie tylko w kłopoty takim gadaniem, sierżancie.

— To się da zrobić — przyznał niechętnie sierżant Gebhel. — I prawdopodobnie napastnicy stracą przy tym sporo ducha walki. Tysiące zginą na pochylni,

a ci, co tam wejdą, zobaczą następny fort do zdobycia. Myślę, że w tym momencie wielu z nich poczuje palącą tęsknotę za domem. Ja na ich miejscu bym poczuł. — Spojrzał z ukosa na Khalora. — Co proponujesz jako następny krok?

— Ach, sam nie wiem. Moglibyśmy na przykład zbudować coś w rodzaju wieży na szczycie tej skały. . .

— A na tej wieży drugą wieżę, tak? A na tej drugiej następną i tak dalej? I będziemy tak szli pod górę i szli, aż wreszcie będziemy musieli zbudować wieżę z zawiasami u podstawy.

— A po cóż nam zawiasy?

— Czasem trzeba będzie odchylić wieżę i przepuścić księżyc.

— Bardzo śmieszne.

— Cieszę się, że ci się spodobało — zachichotał Gebhel.

Późnym popołudniem ansuska jazda wróciła przez wypalone trawy i ściśle otoczyła skałę. Ludzie Gebhela szybko się przekonali, że głaz zrzucony z wysokości tysiąca stóp pada dość daleko od podstawy fortecy. Uznali to za świetną rozrywkę.

Ansusów jednak jakoś to nie bawiło; cofnęli się o jakieś pół mili.

Sierżant Gebhel wrócił z barykady na szczycie pochylni.

— Czemu ci pasterze rzucają kamykami? — spytał.

— Dla zabawy, rzecz jasna — odparł Khalor lekceważąco. — Kamyki nic nie kosztują.

Gebhel odburknął coś i wrócił do swoich ludzi.

— Po co oni to robią, Althalusie? — spytał Albron.

— To mój pomysł — odpowiedział Gher. — Zastanawiałem się nad progami. Przez otwarte drzwi można przecież coś wrzucić w jedną albo drugą stronę. A facet, który drzwi otwiera, musi stać tuż za nimi. No więc jeśli kawałek skały leci w dół, kiedy Khnom otwiera drzwi, może go przypadkiem trafić prosto w głowę. Gdyby tak Khnom oberwał w mózg, źli nie mieliby już drzwi i szansę by się wyrównały. Powiedziałem Salkanowi, że jeśli będą rzucać kamykami dookoła wszystkich głazów na pochylni, to wcześniej czy później kogoś trafią i ten ktoś wrzaśnie. W ten sposób pan Gebhel zostanie ostrzeżony, że źli próbują się tu zakraść. Salkanowi pomysł się spodobał, więc go wykonuje.

— Jak pilnie obserwowałeś Pekhala, kiedy przechodził przez drzwi Khnoma na tyłach okopów? — spytał Althalus Bheida tego samego dnia pod wieczór.

— Nie spuszczałem z niego oka — zapewnił go kapłan. — Czemu pytasz?

— Czy zauważyłeś coś szczególnego tuż przed rozpoczęciem ataku?

Bheid zmarszczył czoło.

— Mówisz o tym przeblasku?
— Właśnie. Chciałem się upewnić, że nie był tylko wytworem mojej wyobraźni. Jak byś go opisał?
— Sam nie wiem... — Bheid szukał odpowiedniego słowa. — To było coś w rodzaju cienia, który błyskawicznie przemknął przez tarczę słoneczną, prawda?
— Mniej więcej — zgodził się Althalus. — Nie mogę tego potwierdzić, bo Emmy na razie ze mną nie rozmawia, ale nie zdziwiłbym się, gdyby to zjawisko występowało przy każdym użyciu drzwi.
— Możliwe, bo po jednej stronie drzwi jest zwykle nieco jaśniej albo ciemniej niż po drugiej.
— To wszystko tłumaczy. Jestem mocno przekonany, że tak się dzieje za każdym razem. Przedtem nie zauważyliśmy tego, bo zawsze znajdowaliśmy się pośrodku, ale to miganie może nam posłużyć jako przestroga przed atakiem.

Przez całą noc ludzie Gebhela budowali przed wlotem jaskini solidny mur, który obejmował zarówno wschodnią, jak i zachodnią stronę skały.

— Szybcy są, prawda? — zauważył Gher.
— Mają lata praktyki — wyjaśnił mu Althalus.
— Na tym właśnie polegają wojny. Jedna strona wznosi mury czy barykady, a druga stara się przez nie przeleźć.
— To należy do długiej i smutnej historii ludzkości - powiedział Bheid pośpiesznie. — Każdy próbuje znaleźć sposób, by nie dopuszczać obcych na swoje terytorium.
— Emmy dopilnowała tego już dawno temu, no nie? — przypomniał Gher. — Do jej Domu nikt się nie dostanie, jeśli ona nie zechce.
Bheid pokiwał głową.
— Ta przepaść przy jej frontowych drzwiach rzeczywiście zniechęca niepożądanych gości. W zasadzie jest to odmiana fosy, jaką zwykle otaczano fortece.
— Co to jest fosa?
— Rów wypełniony wodą.
— Strasznie musi być wpaść w coś takiego... Ale my też możemy zrobić taką fosę! Althalus ma przecież źródło w jaskini i...
Bheid pokręcił głową.
— Żeby wypełnić fosę, trzeba by całej rzeki.
— Poczekaj no, poczekaj — wtrącił się Althalus, na którego nagle spłynęło natchnienie.
— To bardzo przyjemne źródło, Althalusie, ale nikt nie nazwie go rzeką.
— Może się nią stać... kiedy urośnie. Muszę uciąć sobie pogawędkę z Khalorem.
— Czasem jesteś tak samo nieznośny jak Gher.

- Serdeczne dzięki, bracie Bheidzie.
- To nie miał być komplement.
- Może i nie, ale tak wyszło.

— Interesujący pomysł, Althalusie — przyznał Khalor — ale jak go wytłumaczysz Gebhelowi? Wszystkich ludzi zapędził do pracy przy murze, wątpię, czy się zgodzi oddać połowę do kopania fosy.

— Nie potrzeba nam dużo pomocy. Wiem, jak wygląda rów.

— Chcesz go sam wykopać? — spytał z niedowierzaniem Albron.

— Mam pewne szczególne właściwości, Albronie — przypomniał mu Althalus. — Jeśli w odpowiedni sposób powiem „rów”, to przed murem Gebhela będzie rów.

— A jak mu to wytłumaczysz?

— Nie zaplanowałem żadnych tłumaczeń. W ogóle tracimy zbyt wiele czasu na wyjaśnienia. Tym razem spróbuję inaczej. Po prostu zrobię, co mam zrobić, a jeśli Gebhel będzie się gubił w domysłach, tym gorzej dla niego. Ghend i jego banda zaczynają mnie już irytować, więc najwyższy czas pokazać im, na co nas stać.

Gher chodził po występie skalnym w poprzek ściany.

— Tak sobie myślę, że źli tu właśnie chcieli się dostać przez drzwi.

— Na pewno — zgodził się Khalor.

— Więc dlaczego rozłożyli się obozem na równinie? Dopiero co widziałem błyski ognisk o całe mile stąd.

— Naprawdę widziałeś? — spytał Albron.

— Jest noc, panie Albronie, więc ogień łatwo dostrzec... nawet malutki. Zwłaszcza gdy się stoi na górze.

— Muszę to zobaczyć — zdecydował Khalor. — Nie życzę sobie więcej niespodzianek. Idziemy, wodzu.

— Czy Dweia mogłaby ci podrzucić odpowiednie słowo, tak jak poprzednim razem? — spytał Althalusa Bheid.

— Nie musi. Znam to słowo. Mam spory zasób prostych słów, kłopoty sprawiają mi te bardziej złożone. Potrzebuję tylko tego, które znaczy „kop”, a używałem go mnóstwo razy. Gdybym posłużył się głową, kiedyśmy razem z Eliarem odkopywali moją kopalnię złota w Perquaine, wszystko potoczyłoby się znacznie prościej.

— A co z poszerzeniem źródła? Znasz słowo, które zwiększy ilość wody?

— Użyję tego samego, co do rozdmuchiwania wiatru.

— Jest jednak pewna różnica między wiatrem a wodą.

— Wcale nie. Gher otworzył mi oczy, kiedy mi uświadomił, że Księga chce nam pomóc. To Emmy trzyma się ściśle szczegółów, Księga zaś jest bardziej liberalna. Zanim Pekhal uderzy ze swą piechotą, przed murem Gebhela będzie fosa, i to pełna wody. Zaufaj mi, bracie Bheidzie.

— Nadal uważam, panie Khalorze, że tam są dwie armie — mówił Gher, gdy cała trójka wróciła. — Te ogniska są rozstawione zbyt równo jak na resztki pożaru traw. Poza tym nasz ogień szedł na północ, a te są daleko na wschodzie i zachodzie.

— Duży pożar tworzy własny wiatr — tłumaczył cierpliwie Khalor. — Widziałem trąby powietrzne wirujące nad płomieniami, a taka trąba roznosi iskry niemal w każdym kierunku.

— Przykro mi, ale myślę, że jest pan w błędzie.

— Możesz myśleć, co chcesz, chłopcze, ale przestań mnie męczyć.

W miarę zbliżania się świtu niebo na wschodzie coraz bardziej jaśniało, a Althalus był coraz bardziej rozdrażniony. Niemal wyskoczył ze skóry, kiedy Gher tuż nad jego uchem powiedział: *ghre*.

— Nie podkradaj się do mnie w ten sposób — ofuknął go Althalus.

Gher miał twarz bez wyrazu i kompletną pustkę w oczach.

— *Ghre* — powtórzył, wskazując gęste zarośla. — *Ghre!* Powiedz to, Althalusie!

Ten patrzył na niego w absolutnym oszołomieniu.

— *Ghre?*

— Althalusie, nie pytaj, tylko mów!

Zabrzmiało to tak znajomo, że Althalus parsknął śmiechem.

— Zaczynasz mnie złościć, Althalusie. Spójrz na ten krzak i powiedz: *ghre*.

— Jak sobie życzysz, Em. — I z szerokim uśmiechem machnął lekceważąco ręką w stronę krzaka. — *Ghre!*

Krzak w jednej chwili wypuścił nowe pędy i liście, rozrastając się w oczach do olbrzymich rozmiarów.

— Ale podstępna! — szepnął Althalus z podziwem.

— Co to? — spytał Gher ze zdumieniem.

— Nie wiesz, co się stało, prawda?

— Nic się nie stało, Althalusie. Po prostu przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że pan Khalor się myli. O czym my tu mówimy?

— O niczym ważnym — skłamał Althalus. — Po prostu trzymaj się mnie

przez całe rano. Czuję się znacznie lepiej, gdy jesteś w pobliżu.

Słońce nie do końca jeszcze wyłoniło się zza horyzontu, kiedy w regularny łoskot kamieni z pasterskich proc wdarł się nowy dźwięk. Nie był to już odgłos kamieni uderzających o inny kamień, tylko brzęk stali. Nagle zza wielkich, rozrzuconych po pochylni głazów wyłoniła się horda uzbrojonych i osłoniętych tarczami mężczyzn.

— Nie mamy szans! — wrzasnął Bheid.

Ludzie Gebhela jednak nie wyglądali na specjalnie wystraszonych. Za pomocą dźwigni uwolnili głazy, które dotąd sprawiały wrażenie muru obronnego, i spuścili je z hukiem prosto na szarżujących napastników.

— Cofnąć się! — ryknął Gebhel, po czym jego armia zawróciła i ruszyła biegiem pod górę, by skryć się za murem u wlotu jaskini.

— No, to było sprytne! — pochwalił Khalor swego łysego kompana.

— Chyba nie myślałeś, że będę próbował utrzymać tę pochylnię?

— Myślałem, że przez jakiś czas będziesz udawał.

— Nie marnuję ludzi dla taniego efektu, Khalorze. Żywność i woda są w jaskini, więc koncentruję się na jej obronie. Jeśli nieprzyjaciel chce zdobyć kawałek tego wzgórza, to niech go bierze, mnie zależy tylko na samej górze z jaskinią.

— Czemu oni nic nie robią? — spytał Bheid godzinę później, kiedy słońce weszło już na dobre, a ludzie Gebhela rozmieścili się za murem.

— Są oszołomieni, Bheidzie — wyjaśnił Khalor. — No i mają tęgiego pietra. Gebhel kiwa ich na każdym kroku. Ani razu nie postąpił tak, jak oczekiwali. Utrzymuje pozycję, kiedy nie powinien, ucieka bez żadnego wyraźnego powodu... Nie mają bladego pojęcia, co będzie dalej.

— Z wyjątkiem tego, że cokolwiek się stanie, i tak poniosą duże straty w ludziach.

— Althalusie, powiedz: *twei* — przemówił stanowczym głosem Gher, którego oczy znów stały się trochę nieprzytomne.

— Zamierzałem użyć *dhigw* — zaprotestował Althalus. — Wiesz, Emmy, trzęsienie ziemi na szczycie góry to chyba nie najlepszy pomysł.

— Pięćdziesiąt kroków od turni jest szczelina, która biegnie od wschodu na zachód — ciągnął beznamiętnie Gher. — Jeśli trzęsienie ziemi ją poszerzy, uzyskasz rów, jakiego potrzebujesz.

— To się nie uda, Em. Chcę mieć rów tuż przed fortyfikacją Gebhela. Jeśli będzie zbyt oddalony, oddziały Pekhala po prostu go przepłyną i będą kontynuować atak.

- Oszczędź sobie gardła. Zrobisz, jak ci mówię... i to zaraz.
- Dobrze już, dobrze — poddał się Althalus, podnosząc ręce.
- Potem powiesz *ekwer*, żeby do rowu wlała się woda.
- Dobrze, kochanie. Miałem taki zamiar, ale miło mi, że się zgadzasz.
- Och, zamilcz!

W połowie zbocza, od strony ufortyfikowanej pozycji Gebhela, powietrze jakby zamigotało i przez drzwi Khnoma wdarła się ogromna armia regwoskiej piechoty.

— Jeszcze nie — powiedział Gher do Althalusa.

— Pozwól mi to zrobić, Em. Nadal uważam, że ten rów będzie w złym miejscu.

— Zaufaj mi.

Nieprzyjacielscy żołnierze z triumfalnym wyciem ruszyli w górę na fort Gebhela. Jednocześnie ustawieni wzdłuż szczeliny łucznicy i pasterze z procami puścili w ich stronę gęstą zaporę strzał i kamieni.

— Teraz! — zawołał Gher.

— *Twei!* — powiedział natychmiast Althalus, wskazując ziemię tuż przed frontem piechoty.

Z głębi ziemi rozległo się głucho dudnienie. Skała zatrzęsała się niczym mokry pies, po czym z potwornym trzaskiem pękła od wschodu na zachód. Uwolniona ziemia spadła w głęboką wyrwę, która otworzyła się tuż pod nogami pierwszych szeregów. Rów miał ze dwadzieścia stóp szerokości i tyleż samo głębokości.

Atak się zatrzymał.

Nagle przed nową przeszkodą ukazał się ogarnięty furją Pekhal.

— Naprzód! Naprzód! — wrzeszczał. — Bij! Zabij!

Żołnierze, którzy nieśli drabiny, wysunęli się do przodu i zepchnęli je do rowu. W ślad za nimi zaczęło tam schodzić całe wojsko.

Z góry podawano coraz więcej drabin. Wszystkie ustawiono pod przeciwnym brzegiem, aby umożliwić dalszy atak.

— Na co czekasz, Althalusie? — spytał Bheid. — Przecież atakują!

— Niech jak najwięcej wlezie do tego rowu.

— To błąd! — krzyknął Albron. — Rów biegnie przez całą szerokość skały i woda natychmiast się wyleje! Ci ludzie nawet nie zamoczą sobie nóg!

— Zależy, ile się wleje tej wody... No, chyba jest ich już dość. — Zatoczył szeroki łuk ręką. — *Ekwer!*

Przednia ściana zaimprovizowanego rowu eksplodowała, kiedy nowa rzeka buchnęła do przygotowanego kanału. W przeciwieństwie do większości rzek rozlała się w obie strony, zdążając zarówno ku wschodowi, jak i ku zachodowi. Gdy

obie części dotarły do końca rowu, woda runęła z hukiem na położone tysiąc stóp niżej skaliste zbocza, tworząc dwie imponujące kaskady.

Armia Pekhala dostała się, oczywiście, w rwący nurt. Rozszalałe masy wody porwały przerażonych żołnierzy i zmiotły ich na skały.

— Dobry boże! — wykrzyknął ze zgrozą Bheid na widok kompletnie unicestwionej armii.

— Patrzcie! — zawołał Albron. — To Dreigon! Właśnie wychodzi z jaskini!

Althalus obrócił się na pięcie i ze zdumieniem ujrzał siwowłosego kapitana wodza Delura, który wyprowadzał z jaskini swych pobratymców na pomoc oddziałom Gebhela za fortyfikacjami.

— Nie spodziewałeś się tego, co, Althie? — zapytał Gher, naśladując do złudzenia głos Dwei.

Po drugiej stronie rzeki Pekhal darł się jak obłąkany. Siekł na oślepie mieczem, zabijając każdego nieszczęśnika z resztek swej armii, który mu się nawinał.

Nagle, ku ogólnemu zdumieniu, wprost z powietrza wyłonił się Eliar. Był w pełnej zbroi i złowieszczo machał mieczem.

— Pekhalu! — ryknął. — Uciekaj, póki możesz! Uciekaj, bo jak nie, to zabije cię na miejscu!

— Przecież ty umarłeś — wykrztusił sługa Ghenda.

— Nie do końca. Wybieraj, Pekhalu! Uciekasz albo giniesz!

I Eliar ruszył z opuszczonym mieczem w stronę zaskoczonego dzikusa.

Miotając przekleństwa, Pekhal przełazi nad ciałami zabitych przez siebie ludzi i zaczął machać swym olbrzymim mieczem.

Ledwie otrząsnąwszy się ze zdumienia, Althalus pilnie obserwował, jak Eliar zwinnie odparowuje pierwszy ciężki cios, a potem przebija przeciwnikowi policzek.

Pekhal się cofnął; krew zalewała mu twarz.

Eliar zamachnął się znowu i tym razem dzikus zaledwie osłonił się tarczą. Arumczyk, nie zwlekając, zadał następny cios. Szczęk broni się nasilił i Althalus nie potrafił już odróżnić jednego miecza od drugiego. Eliar bezsprzecznie był lepszym fechtmistrem, Pekhal polegał wyłącznie na brutalnej sile i furii, ale za każdym razem, gdy Eliar go zablokował czy odparował kolejny cios, wpadał w coraz większą rozpacz i walczył jak oszalały. Eliar nadal kłuł go lekko w twarz, wywołując tylko silne krwawienie.

W końcu rozwścieczony Pekhal złapał miecz oburącz, odrzucając tarczę. Zamachnął się potężnie nad głową Eliara, ale broń ześliznęła się nieszkodliwie na bok, bo Eliar zgrabnie odsunął ją ostrzem i niespodziewanie przeszedł do ofensywy, machając coraz mocniej i zadając coraz poważniejsze ciosy w głowę i ramiona przeciwnika. W desperackiej próbie osłonięcia głowy Pekhal podniósł miecz i trzymał go poziomo na wysokości twarzy.

Nagle Eliar wziął szerszy zamach i ciął prosto w nadgarstek dzikusa. Dłoń przeciwnika wraz z mieczem spadła na ziemię z daleka od walczących.

— Zabij go, Eliarze! — ryknął sierżant Khalor.

Ale ku powszechnemu zaskoczeniu Eliar upuścił miecz i wyciągnął zza pasa Nóż. Trzymając ostrze płasko, podsunął je przeciwnikowi pod oczy.

Pekhal wrzasnął, starając się osłonić twarz ociekającym krwią kikutem.

— Idź! — zagrzmiął Eliar. — Idź i nigdy nie wracaj!

W tym momencie przez drgający próg swych drzwi wypadł Khnom, złapał wrzeszczącego Pekhala i powłókł go za sobą, po czym obaj zniknęli.

Migotanie ustało.

CZEŚĆ V

ANDINA

ROZDZIAŁ 29

— Jak się tu dostałeś, Dreigonie? — spytał Gebhel siwowłosego kapitana, kiedy spotkali się na brzegu dwukierunkowej rzeki, która chroniła Wieżę Daiwera z każdej strony.

Dreigon wzruszył ramionami.

— Przez jaskinie, oczywiście. Wiedziałeś o łańcuchu jaskiń pod waszą górą?

— Wiem tylko o tej, z której wyszliście. Chcesz powiedzieć, że jest ich więcej?

— Chyba się starzejesz, Gebhelu. Cała góra jest podziurawiona pieczarami jak rzeszoto. Masz szczęście, że ja je odkryłem, a nie nasi wrogowie, bo wtedy wyleźliby prosto na twój tyłek. Nie pofatygowałeś się nawet, by to sprawdzić, co?

— Nie krzycz na mnie, Dreigonie. Miałem dość dużo na głowie w ciągu ostatnich dni.

— Muszę przyznać, że trzęsienie ziemi pod ziemią to niezwykle ekscytujące przeżycie — rzekł Dreigon, przewracając oczami.

— Mogę sobie to wyobrazić.

— Sierzancie Khalorze! — zawołał Eliar, który wraz z rudowłosym Salkanem nadszedł właśnie od wschodniego wodospadu. — Tam, w dole, twój przyjaciel Kreuter siedzi już Ansum na karkach!

— No, nareszcie! — rzekł z ulgą Khalor, kiedy podeszli do krawędzi i spojrzeli w dół. — Zastanawiałem się, co go tak długo zatrzymuje. Powinien tu być trzy dni temu.

— Nie wiedziałem, że my też mamy jazdę — szepnął Salkan do Eliara.

— Mój sierżant zna się na wojnie — odparł z dumą Eliar.

— Tylko czasem mija się z prawdą. Wmówił mi, że umierasz.

— To było konieczne — pośpieszył z odpowiedzią Bheid. — Nieprzyjaciel miał w okopach swoich szpiegów, a nam zależało, aby nie wiedział, że Eliar ma się lepiej.

— Ale mnie mogliście powiedzieć. Wasza wielbność wie, że potrafię dochować sekretu.

— A jednak tak było lepiej. Eliar jest twoim przyjacielem, chcieliśmy więc, aby twój gniew wyglądał na prawdziwy. Nie umiałbyś dobrze udawać, gdybyś

wiedział, że Eliar wcale nie umiera. Tak naprawdę nie kłamaliśmy, wykorzystaliśmy cię tylko do przekazania fałszywej informacji naszym wrogom.

— Wy, Czarni, jesteście znacznie cwańsi od naszych kapłanów — zauważył Salkan.

— Czasem tak trzeba, chłopcze. Polityka kościelna bywa bardzo skomplikowana.

— Ja raczej poprzestanę na pilnowaniu owiec. Różni kapłani namawiają mnie, bym się do nich przyłączył, ale jakoś nie ciągnie mnie do tych spraw. Wiem, jak opiekować się owcami, ale ludźmi. . . — Rozłożył ręce. — Wasza wielebność wie, co mam na myśli.

Bheid skinął głową.

— O tak, Salkanie, wiem.

— Ten twój Eliar jest naprawdę dobry do miecza, prawda, Khalorze? — spytał Dreigon.

— Ma pewne zadatki na przyszłość — odparł sierżant, wzruszając ramionami.

— A co to za historia ze sztyletem? Mógł przecież mieczem rozplatać tego szaleńca. Po co wyciągnął sztylet?

— Ten sztylet to pradawna ansuska relikwia — skłamał gładko Althalus. — Ansusi są strasznie przesądni. Wierzą, że dla człowieka nie ma nic gorszego, niż znaleźć się w odległości pięćdziesięciu kroków od owego sztyletu. Eliar pomachał nim Pekhalowi przed nosem, a potem specjalnie pozwolił mu odejść, aby głupek opowiedział wszystkim w Ansu, że mamy ten rupieć. Gwarantuję, że w ciągu następnych dziesięciu pokoleń żaden Ansus nie zbliży się do wektijskiej granicy, bez względu na to, kto mu wyda taki rozkaz.

— Wykorzystywanie cudzych przesądów to bardzo sprytny sposób, ale właściwie co tobie do tej wojny? Wódz Delur mówił mi, że jesteś oficjalnym przedstawicielem rządu Osthosu.

— To wciąż jest ta sama wojna, kapitanie — wyjaśnił Althalus. — W Nekwerosie jest facet o imperialnych ambicjach i od pewnego czasu kaptuje sobie sprzymierzeńców spośród doborowych półgłówków.

— Zetknąłeś się kiedy z tym rzekomym imperatorem?

— Parę razy. Nie jesteśmy w najlepszych stosunkach.

— Więc przy najbliższej okazji powinieneś go zabić.

— I pozbawić arumskich przyjaciół roboty? To nie byłoby ładnie z mojej strony.

— Czegoś nie mogę pojąć — wyznał sierżant Gebhel. — Skąd nagle w rowie wzięła się rzeka? I jak powstał sam rów?

— Ach, to! — mruknął pogardliwie Althalus. — To nic wielkiego, sierżancie. Po prostu zrobiłem cud.

— Ach tak?

— Czy nie widziałeś dotąd żadnych cudów?

— Mówię serio, Althalusie. Co się naprawdę wydarzyło?

— Nie uwierzysz mi na słowo, co?

— Raczej nie.

— Uśmiejesz się, sierżancie, bo właściwie to był czysty zbieg okoliczności. Ta skała stoi na bardzo niepewnym gruncie, coś musiało ją wypchnąć z tych okolicznych łąk. Poza tym nie chciało nam się zbadać dokładniej jaskini ze źródłem. Gdybyśmy weszli nieco głębiej, odkrylibyśmy inne pieczary, którymi przedostał się kapitan Dreigon ze swymi ludźmi. A jak masz i niepewny grunt, i jaskinie, to bywa, że krajobraz zmienia się na twoich oczach. Czasem sklepienie jaskini zawali się przy wstrząsie podziemnym i masz nagle rów... bez jednego ruchu łopata.

— To chyba ma sens — przyznał Gebhel — ale skąd woda?

— Z tego samego miejsca co źródło. Czy to zresztą ważne skąd? Grunt że ocalała nam tyłki.

— Woda nie płynie pod górę — upierał się Gebhel.

— Rzeczywiście. Mogę się tylko domyślać, że w najbliższej okolicy jest potężna podziemna rzeka, która wypływa z gór Kagwheru. Przed kilkoma wiekami podczas trzęsienia ziemi mogła zostać zasypana, ale przez cały ten czas rosło ciśnienie. Nowy wstrząs usunął przeszkodę... i przypadkiem nastąpiło to podczas ataku na nasze pozycje.

— Przypadkiem, powiadasz?

— Możemy wrócić do cudu, skoro przypadek tak cię niepokoi.

— Odwal się, Althalusie!

— Ależ sierżancie! — Althalus udał zgorszenie. — Jak ty się wyrażasz! Jestem zaszokowany.

Zaraz po zachodzie słońca powinniście całą rodziną wrócić do domu — zaproponowała Dweia.

Naprawdę — potwierdził inny głos.

Althalus zamrugął ze zdziwienia. Ten drugi głos w jego umyśle należał do Andiny.

Co tam się dzieje? — spytał.

Rodzina się powiększa — wyjaśniła Dweia. — Mielśmy przez to trochę roboty, kiedy Eliar wracał do zdrowia. W zasadzie tego nie planowałam, ale chyba dobrze się stało.

Dzięki temu Leitha poczuła się lepiej — dodał głos Eliara. — Była dość skrepowana tym sam na sam ze mną, więc Emmy zaprosiła nam do towarzystwa Andinę. Miałem przez jakiś czas straszny tłok w głowie.

Dajmy spokój szczegółom — ucięła Dweia. — Bheid i Gher są jeszcze na zewnątrz, a przecież Koman może podsłuchiwać. Poczekajmy do wieczora, wtedy

porozmawiamy swobodnie.

— Jak dobrze znowu być w domu — powiedział Althalus, rozglądając się po pokoju na wieży.

— Po jakim czasie zaczął ci wracać wzrok? — spytał Gher Eliara.

— Pierwsze przebłyski światła zobaczyłem już po kilku dniach, ale szczegóły zacząłem odróżniać znacznie później.

— Czyli Emmy musiała zatrzymać czas.

— Nie zwracałem na to uwagi — przyznał Eliar. — Działy się tu inne, znacznie bardziej interesujące sprawy.

— Pozwól, Eliarze, ja mu to wyjaśnię — przerwała mu Dweia.

— A dlaczego postanowiliście mówić do Althalusa ustami Ghera? — dopytywał się Bheid.

— Gher był pod ręką i wydawał się odpowiedni. Chodziło głównie o to, żeby zmylić Komana. Althalus natychmiast się połapał. Gdyby Ghend wiedział, że Eliar wraca do zdrowia, urządziłby wszystko zupełnie inaczej.

— Czy rzeczywiście pod tamtą skałą są jaskinie? — drążył dalej Bheid.

— Na pewno nie tyle, ile wyobrażał sobie kapitan Dreigon — odparł ze słabym uśmiechem Eliar. — Większość tych, przez które niby to maszerował, znajduje się w Domu. Kiedy rozbił obóz na pastwisku, poprowadziłem go kawałek w stronę góry, a potem przemyciłem przez drzwi z powrotem do domu. Stamtąd do Komana było już bliźniutko. Przedtem Leitha warowała przy jego drzwiach i gdy tylko zaczynał przewąchiwać, co naprawdę robimy, wysyłała mi ostrzeżenie, żebym zmylił trop. Jednocześnie Andina obserwowała Kreutera i Plakandów w ich obozie i przekazywała mi, co zamierzają. Odbywaliśmy tu — popukał się palcem w czoło — przez całą noc prawdziwą radę wojenną.

Bheid wyraźnie posmutniał.

— Możecie do nas dołączyć — zaproponowała Leitha. — A właściwie nie tyle możecie, ile musicie.

— Beze mnie — oświadczył zdecydowanie Gher.

— To nie boli — zauważyła Andina.

— Po prostu dajcie mi spokój.

— Ma rację — powiedziała Dweia. — Do pewnych pomysłów jest jeszcze za młody. Z drugiej strony jednak Bheid...

— Właśnie o tym myślałam. — Leitha rzuciła kapłanowi chytre spojrzenie.

— Chodź no tu, bracie Bheidzie, już ja się tobą zaopiekuję.

Jakoś znajomo mi to zabrzmiało — zauważył milcząco Althalus pod adresem Dwei.

Cóż chcesz, nie ma jak stare sposoby.

Po południu Althalus stał przy oknie, obserwując jazdę Kreutera, która nie szczczędając koni, goniła Ansusów wokół Wieży Daiwera.

Chyba są jeszcze lepsi, niż mówił sierżant Khalor, prawda? — spytał milcząco Eliar, stając obok niego.

— Tu nie musisz tego robić — powiedział głośno Althalus.

— Jakoś weszło mi to w nawyk. Tak jest szybciej. Można od razu wyłożyć całą myśl i nie tracić czasu na szukanie słów.

— A jak ty się miewasz? Kiedy wracaliście do Domu, wyglądałeś dość kiepsko.

— Teraz czuję się świetnie. Wprawdzie od czasu do czasu boli mnie głowa, ale Emmy mówi, że to naturalne. Nawet włosy zaczynają mi odrastać. Mieliście jakieś wiadomości o Gelcie?

Althalus pokręcił głową.

— Myślę, że tę akurat wojnę już sobie odpuściła. Uciekła, zostawiając Ansusów na pastwę losu.

— Jeśli to się rozniesie, może mieć kłopoty z rekrutacją nowych oddziałów.

— To straszne! Zaraz, chyba Kreuter wchodzi po pochylni?

Eliar wyjrzał z okna.

— Wygląda na Kreutera... — Nagle zmarszczył brwi. — Czy z nim idzie kobieta?

— Masz rację, Eliarze. Wprawdzie jest dość daleko, ale rzeczywiście wygląda na kobietę. Zejdziemy na dół i sprawdzimy, co jest grane. Emmy! — zawołał Althalus, odwracając się od okna. — Eliar i ja wracamy na chwilę do Wekti. Kreuter jest już na pochylni, pewnie zażąda reszty wynagrodzenia. Chcę z nim pogadać, może nam się jeszcze przydać.

— Nie spóźnijcie się na kolację.

— Oczywiście, łaskawa pani. Chodź, Eliarze.

Eliar sięgnął do klamki specjalnych drzwi.

— Myślę, Khalorze, że jesteś największym szczęściarzem na świecie — oświadczył tęgi Kreuter, kiedy sapiąc straszliwie, pokonał ostatnie podejście. — Ta góra, na którą się natknąłeś, jest pewnie tym, co ludzie mieli na myśli, wynajdując zwrot „nie do pokonania”. Ja przynajmniej nie chciałbym jej atakować.

— Czy ciągniesz na wojnę także swoje kobiety? — spytał ciekawie sierżant Khalor.

— To moja bratanica Astorell — przedstawił Kreuter wysoką ciemnowłosą dziewczynę. — Niedawno zmarł jej ojciec, więc musiałem wziąć sierotę pod swo-

je skrzydła, przynajmniej póki nie przemówię do rozsądku jej starszemu bratu.

— Jeden z tych rodzinnych sporów?

— Mój bratanek to kawał łobuza. Ugodził siostrze małżeństwo dla pieniędzy, ale tak nieodpowiednie, że miałem chęć go zabić. Dowiedziałem się o tym dopiero po naszej rozmowie w Kherdonie, więc nie miałem innego wyjścia, jak zabrać ją ze sobą.

— Dlatego tak długo tu szedłeś?

— Nie gadaj głupot, Khalorze. Astorell jeździ konno jak każdy z moich ludzi. Byłbym tu już kilka dni temu, gdybyś ciągle nie zmieniał zdania.

— Coś ty powiedział?

Kreuter sforsował kilka ostatnich stóp pochylni. Dziewczyna dotrzymywała mu kroku.

— Najpierw przysyłasz gońca z rozkazem pośpiechu. Potem zjawia się drugi i mówi: „Czekaj”. Już miałem zawrócić do Plakandu.

— Wysłałem tylko jednego!

— Ale dotarło dwóch.

— Podejrzewam, że ktoś po drugiej stronie bawi się naszym kosztem. Trzeba będzie znaleźć sposób, by taka sytuacja nie powtórzyła się na następnej wojnie. Nasi wrogowie mają bardzo sprawnych szpiegów.

— Może hasło by temu zaradziło — zaproponowała bratanica Kreutera.

— Jeśli mają tak dobrych szpiegów, to hasło nic nie pomoże, panienko — zauważył Albron. — A tak przy okazji: nazywam się Albron.

— Gdzie moje maniery! — jęknął Khalor. — Ten przystojniak jest wodzem mojego klanu. Wprosił się tu, by studiować sztukę wojny.

— Nie powiem, żeby specjalnie przeszkadzał — odezwał się Gebhel. — To piekielne ziele okazało się całkiem użyteczne.

— Stryju, czemu oni chodzą w kieckach? — spytała z ciekawością Astorell.

— Nigdy nie miałem czasu zapytać, moje dziecko. Jestem pewien, że mają jakiś powód. No, Khalorze, dlaczego nosisz kieckę?

— To się nazywa kilt, panienko — wyjaśnił wódz Albron. — Każdy — klan ma inny wzór, według którego tkane są jego kilty. W ten sposób na polu bitwy natychmiast rozpoznajemy przyjaciół.

— Nie wygląda to zbyt atrakcyjnie, wodzu — rzekła Astorell, zerkając na jego gołe nogi. — Wiesz, że masz dołki na kolanach?

Albron się zaczerwienił, panna zaś wybuchnęła srebrzystym śmiechem.

— Może byśmy zeszli ze słońca? — wtrącił się Althalus. — Mamy parę spraw do omówienia, więc znajdziemy sobie jakieś wygodne miejsce, gdzie moglibyśmy usiąść.

— Chętnie bym pomógł, Khalorze — mówił Kreuter, kiedy wszyscy siedzieli

już w namiocie. Ważył w rękach worek złotych monet, który przed chwilą wręczył mu Althalus po podsumowaniu rachunków. — Zarobek jest dobry, ale najpierw muszę załatwić ów drobny problem rodzinny. Nie wiem, jak długo przyjdzie mi tropić mojego bratanka, a powinienem się z nim dogadać, zanim zostawię Astorell bez opieki.

— Nie potrzebuję niczyjej opieki — zaprotestowała panna. — Umiem posługiwać się nożem, więc jeśli ten stary śmierdzący cap, który kupił mnie od brata, pojawi się w pobliżu, flaki mu wypruję.

— Ale tygrysiczka, co? — szepnął Dreigon.

— Ma dziewczyna charakter — przyznał Gebhel.

— Chyba wiem, jak rozwiązać ten problem — rzekł Albron. — Znam bezpieczne miejsce, gdzie panna Astorell będzie mogła przeczekać wojnę w Treborei. Są tam inne panie, więc nie spotka jej nic nieprzystojnego, a poza tym przez linię obrony tego domu nie przedostanie się absolutnie nikt.

— Ależ mój wodzu! Tam nie możemy jej zabrać! — zaprotestował Khalor.

— Dlaczego? Należy do rodziny wodza Kreutera, a my jesteśmy jego sprzymierzeńcami. Bezpieczeństwo tej panny to także nasza sprawa.

Khalor zerknął na Althalusa.

— Co o tym myślisz?

— Może... jeśli zapomnimy uprzedzić o tym zawczasu. — Spojrzał szybko na Albrona, który nie odrywał oczu od Astorell. — Znasz Albrona lepiej ode mnie — szepnął do Khalora. — Czy ja dobrze widzę? Wygląda, że wpadł po uszy.

— Też to zauważyłem. Moglibyśmy sprawę poprzeć. Jeśli uda mi się go ozenić, to się ustakuje i przestanie siedzieć mi na karku, kiedy mam robotę.

— Przedstawię to Dwei w tym świetle i może przejdzie. Ona uwielbia aranżować takie rzeczy.

— Obawiam się, że zostaniesz zakrzyczany, Althalusie.

— A bo to pierwszy raz?

— Bheid wciąż się czerwienił — opowiadał Gher, kiedy Althalus i Eliar wrócili do Domu. — Czasem nie wiedział, gdzie podziać oczy. To jasne, był sam przeciwko trzem dziewczynom, które naskakiwały na niego ze wszystkich stron. Nie sądzę, aby widział teraz świat tak samo jak dotąd.

— Na pewno nie — rzekł Eliar, marszcząc lekko brwi. — Zresztą ja także. Oczywiście zacząłem się zmieniać już jakiś czas temu... mniej więcej wtedy, kiedy Andina zaczęła mnie podkarmiać.

— Brat Bheid ma swoje zdanie na temat kobiet, ale będzie musiał je zmienić — zauważył Althalus. — Bez względu na to, co wmawiali mu jego mentorzy, kobiety mają rozum. Nie zawsze wprowadzie myślą tak jak my, ale myślą. Chcę, żebyście wy dwaj pilnie uważali podczas kolacji. Będę próbował przeforsować

coś u Emmy.

— Chodzi o tę Astorell? — domyślił się Eliar.

— Właśnie.

— Kto to jest Astorell? — zapytał Gher.

— Bratanica Kreutera — odparł Althalus. — Ona i Albron wpadli sobie w oko, a sierżant Khalor wprost marzy, by ożenić swego wodza. Albron chciałby sprowadzić Astorell do Domu ponoć ze względu na jej bezpieczeństwo, ale chyba chodzi o coś więcej.

— Sprawy chłopacko-dziewczyńskie, tak? — spytał Gher, wykrzywając się lekko.

— Owszem, głównie to, ale w grę wchodzi też kwestie militarne. Kreuter może się nam jeszcze przydać, a o bratanicę bardzo się martwi. Zgodzi się dla nas pracować tylko wtedy, gdy ona będzie bezpieczna.

— Nie widzę tu specjalnego problemu, skarbie — powiedziała Dweia, kiedy Althalus wyłożył jej sprawę przy kolacji.

— Co, nie pokłócimy się? Nie będzie syczenia ani stroszenia ogona? Przecież masz z tego tyle frajdy...

— To po prostu ma sens, Althalusie. Już ja potrafię dopilnować, żeby dziewczyna nie dowiedziała się zbyt wiele na temat Domu. Rozumiem, że Albron przyjdzie razem z nią?

— Jak przypuszczam, nawet stado byków nie utrzyma go od niej z dala — wtrącił się Eliar. — To naprawdę paskudny przypadek chłopacko-dziewczyńskiej sprawy.

— Jakież to miłe — zamruczała Dweia.

— Czy mógłbym o coś poprosić? — spytał Bheid.

— A byłeś dziś grzeczny?

— Na pewno się starałem... Oczywiście bardzo trudno nie być grzecznym, kiedy ma się na karku trzy panie. — Kapłan spojrział z namysłem w sufit. — Odkąd otwieramy pewne drzwi, zastanawiam się, czy nie moglibyśmy sprowadzić tu tego pasterza, Salkana. Chciałbym odbyć z nim dłuższą rozmowę. Wyczuwam w nim ogromny potencjał i nie zniósłbym, gdyby się zmarnował. Pasanie owiec to miłe zajęcie, ale nie stanowi żadnego wyzwania dla tego chłopca.

— Powołujemy nowych kapłanów, bracie Bheidzie? — spytała Leitha, unosząc lekko brwi.

— Wbity nam do głów jeszcze w nowicjacie, że poszukiwanie nowych talentów to jeden z naszych podstawowych obowiązków.

— A jakąż to religię szykujesz dla tego młodego człowieka? — spytała wyniośle Dweia.

— Jeszcze nie wiem... Ale nie powinniśmy dopuścić, by się nam wymknął.

— W sumie całkiem nieźle wyszło — zauważył Dreigon następnego ranka, kiedy generałowie zebrali się z Althalusem i Eliarem w dużym namiocie.

— Poza tym, że musiałem opuścić moje okopy — burknął Gebhel.

— Przystań narzekać — upomniał go Khalor. — Ta góra okazała się znacznie lepsza.

— Moi ludzie zmarnowali mnóstwo wysiłku na kopaniu rowów.

— Zapłacono im, prawda?

— Khalorze, ile czasu trzeba na odstawienie twojego wodza i mojej bratanicy do tego domu? — spytał Kreuter.

— Około tygodnia. Posłałem z nimi żołnierzy dla większego bezpieczeństwa i gwarantuję ci, że twój bratanek nawet nie znajdzie tego miejsca.

— No dobrze. A więc wspominaliście coś o następnej kampanii. Co się właściwie kroi i gdzie?

Khalor wzruszył ramionami.

— W Treborei znowu wrze, a nas wynajęto od początku na tę właśnie wojnę. Ta, którą odwaliliśmy wczoraj, to tylko odprysk. Szczerze mówiąc, panowie, żaden z nas nie brał jej na serio. Były pewne powiązania strategiczne, ale to wszystko.

— Więc to ciągle ta sama wojna? — spytał Kreuter.

— Ten sam wróg — przyznał Khalor. — Główny przeciwnik, ten, który sprawia najwięcej kłopotów, jest w Nekwerosie. Chyba w końcu trzeba będzie tam pójść i poprosić go, żeby przestał bruździć.

— I pozbawić się roboty? — prychnął Gebhel. — Nie gadaj głupot, Khalorze. Czy ta awantura w Treborei jest dalszym ciągiem sporu między Kanthonem a Osthosem?

— W znacznym stopniu.

— Ostatnio pracowałeś dla Kanthończyków. Teraz też będziemy walczyć po ich stronie?

— Nie, po przeciwnej. Arya Osthosu lepiej płaci.

— To mi wystarczy — zgodził się Kreuter. — Pracuję dla pieniędzy, nie dla rozrywki. Czy zanoszą się na coś niezwykłego?

— Raczej nie. O ile wiem, wszystko powinno się odbyć w sposób konwencjonalny. Jedno jest pewne: będę potrzebował więcej jazdy.

— Zajmę się tym — obiecał Kreuter. — Wrócę do Plakandu i najmę więcej jeźdźców. — Zerknął na Althalusa. — Tylko trzeba mi paru beczek złota.

— Miałem przeczucie, że mogą być trudności.

— „Złoto napędza klacz” — zacytował Kreuter.

— Owies jej nie wystarczy?

— Klaczy może tak, ale mnie nie.

Khalor odchylił się w krześle i patrzył w dach namiotu.

— Nie przyglądałem się ostatnio sytuacji w Treborei, ale jeśli obejdzie się bez niespodzianek, powinno pójść standardowo. Mam dostęp do paru niezbyt odległych klanów, więc użyję ich w początkowej fazie wojny. Jeśli zaczniecie się posuwać w stronę Osthosu, możecie dołączyć do nas później. Skarbiec Osthosu pęka w szwach, będzie dość złota dla nas wszystkich. Myślę, że do czasu waszego nadejścia sprawy się z grubsza ustabilizują, a wy tylko przeważycie szalę.

— Może wykorzystałbym tych pasterzy? — zastanawiał się Dreigon.

— Zaraz, zaraz — zaprotestował Gebhel. — Ludzie z procami są moi.

— Myślałem, że nie chcesz się z nami bawić — rzekł Khalor.

Gebhel wzruszył ramionami.

— I tak mam po drodze, zresztą Gweti na pewno zechce wziąć udział. — Nagle uśmiechnął się szeroko. — Poza tym, jeśli dotrę na miejsce dostatecznie późno, nie będę musiał znosić długiego, nudnego oblężenia. Przyjdę ci na ratunek, Khalorze, więc możesz okazać wdzięczność... i hojność, kiedy wyciągnę ci tyłek z ognia.

— W jakim stopniu jesteś spokrewniony z Gwetim? — spytał podejrzliwie Khalor.

— To mój daleki kuzyn.

— Tak przypuszczałem. Pewne cechy powtarzają się w rodzinie.

— Każdy lubi pieniądze. Nasza rodzina po prostu lubi je nieco bardziej.

— Uzyskanie zgody Yeudona na wyjazd Salkana i jego kompanów z Wekti może być dość trudne — ostrzegł ich Bheid.

— Zgody? — prychnął Gebhel. — Dam im trochę złota, a rzucają owce jak rozżarzony kamień.

— Więc będę musiał dać im więcej — westchnął Dreigon.

— Nie zrobisz tego!

— Zobaczysz.

Późnym popołudniem Eliar wprowadził Althalusa i Bheida przez główne drzwi do świątyni w Keiwonie.

— Są jakieś wieści z wojny? — spytał biało ubrany kapłan w poczekalni egzarchy Yeudona.

— Można powiedzieć, żeśmy ją wygrali — odparł Eliar.

— Chwała Deiwosowi!

— Nie sądzę, by Deiwos miał z tym wiele wspólnego. Po prostu nasza armia okazała się lepsza.

— Czy egzarcha nie jest zajęty? — spytał grzecznie Bheid.

— Dla ciebie nigdy, skopasie Bheidzie — odrzekł Biały. — Zostawił polecenie, aby cię wpuścić bezzwłocznie. Bardzo go zasmuciła ta inwazja.

— Więc może już przestać się martwić — mruknął Althalus. — Zechcesz dać mu znać, że jesteśmy?

— Już was anonsuję. — Kapłan otworzył drzwi za swym stolikiem i wsunął do środka głowę. — Eminencjo, przybył skopas Bheid.

— Natychmiast go wprowadź, bracie Akhasie — odezwał się zgrzytliwy głos Yeudona.

— Tak jest, eminencjo. — Kapłan otworzył drzwi szerzej i skłonił się przed Bheidem. — Proszę, skopasie. — Mówił pełnym szacunku, niemal służalczym tonem i nie patrzył już z góry.

Bheid wprowadził swych kompanów do gabinetu i ukłonił się niedbale.

— Dobre nowiny, eminencjo! — obwieścił. — Napastnicy zostali odparci. Niebezpieczeństwo minęło.

— Więc jesteśmy uratowani! — ucieszył się egzarcha i jego pomarszczona twarz rozjaśniła się uśmiechem wdzięczności.

— Przynajmniej na razie — dodał Althalus.

— Myślicie, że mogą wrócić?

— Jak? Niewielu ich zostało. Sierżant Khalor to bardzo sumienny człowiek. Nie tylko Anusów pobił, ale jeszcze przerobił na karmę dla psów. Mimo to nie zaszkodzi rozstawić paru ludzi wzdłuż granicy. . . po prostu na wszelki wypadek.

— Uważasz, że Salkan i inni pasterze potrafiliby utrzymać granicę?

— Z tym, eminencjo, jest mały problem. Twoi pasterze wywarli tak korzystne wrażenie, że nasi generałowie chcieliby ich zabrać na wojnę w Treborei.

Yeudon zerwał się na równe nogi.

— Zabraniam! — krzyknął. — Nie wydam moich dzieci na pastwę zachodnich herezji! Żaden Wektijczyk nie opuści kraju bez mojego osobistego pozwolenia.

— Czy wasza wiara jest aż tak słaba? — spytał Bheid. — Tak bardzo boicie się innych idei, że musicie przykuwać ludzi do ściany?

— Panowie, panowie — mitygował ich Althalus. — Nie zagłębiajmy się teraz w dysputy teologiczne. Rozmawiamy wyłącznie o interesie. Przybyliśmy tu, żeby uratować wam tyłki, a teraz zabieramy Salkana i pasterzy w charakterze zapłaty. Nic za darmo, Yeudonie, kiedy coś otrzymujesz, musisz za to zapłacić. Na pociechę ci powiem, że w Treborei toczy się ta sama wojna. Naszym ostatecznym wrogiem jest nadal Daeva, więc oddział pasterzy potraktuj jako waszą kontrybucję w walce dobra ze złem. Czy to nie powód do dumy?

Yeudon łypnął na niego z ukosa i nagle zmrużył oczy.

— Czegoś tu nie rozumiem, skopasie Bheidzie. Może będziesz mógł mi pomóc.

— Na pewno się postaram, eminencjo.

— Wysłałem pismo z podziękowaniem do egzarchy Emdahla, ale on najwyraźniej nie miał pojęcia, o co mi chodzi. W gruncie rzeczy chyba nigdy o tobie nie słyszał. . . Czy to nie dziwne?

— Bheid w niczym tu nie zawinił — rzekł przymilnie Althalus. — Wcale cię nie chciał oszukać, to ja go do tego zmusiłem, gdyż ten sposób wydał mi się prostszy i szybszy. Mogliśmy wprawdzie powiedzieć ci, o co naprawdę chodzi, ale to by wstrząsnęło twoimi zasadami.

— Więc wszystko było oszustwem!

— Nie, wcale nie wszystko. Bheid ci powiedział, że słuchamy rozkazów wyższej władzy, i to była prawda. Odrobinę skłamał, mówiąc, że egzarcha Emdahl jest tą władzą. W gruncie rzeczy nasze rozkazy pochodzą od autorytetu stojącego znacznie wyżej niż Emdahl i ty sam.

— Pewnie od Deiwosa? — powiedział ironicznie Yeudon.

— Nie, chodzi o jego siostrę. Ta wojna, która rozdziera świat, jest wynikiem rodzinnej waśni. Deiwos ma brata i siostrę, którzy są z sobą skłóceni. Księga to wszystko wyjaśnia.

— Księga?

— Biała Księga. Na twoim miejscu nie dawałbym wiele wiary temu, co napisane jest w czarnej. Oczywiście gdy Ghend mi ją pokazał, nie umiałem jeszcze czytać, więc jej nie znam, chociaż Dweia twierdzi, że Czarna Księga to fałsz. Domyślałam się, że powstała po to, by Daeva mógł sobie przypisać stworzenie świata.

— Czyżbyś widział obie Księgi? — Yeudon mocno pobrałł i ręce zaczęły mu drżeć.

— Gdybym nie widział, to, co mówię, nie miałoby sensu.

— Myślałem, że Księgi istnieją tylko w starych mitach.

— Nie, istnieją naprawdę. Białą przeczytałem od deski do deski. . . głównie dlatego, że bogini Dweia stała mi nad karkiem z maczugą i pilnowała, bym nie opuścił ani jednej linijki.

— Nie rozumiem.

— I bardzo dobrze. Dweia uważa, że to pierwszy krok do mądrości. Bogowie nie widzą świata tak jak my, Yeudonie. Możemy ich zwodzić i zmuszać, żeby układali wszystko, kierując się naszym osobistym dobrem, ale oni i tak zrobią po swojemu, czy nam się to podoba, czy nie.

— Więc jesteś arcykapłanem bogini Dwei?

Bheid nagle parsknął śmiechem.

— Powiedziałem coś śmiesznego? — spytał Yeudona podejrzliwie.

— Althalus jest chyba ostatnim człowiekiem na świecie, którego można by posądzić o kapłaństwo — wyjaśnił Bheid, wciąż nie mogąc opanować wesołości. — To łgarz, złodziej i morderca, który wyklóca się z Dweią o każde słowo.

— Nikt nie jest doskonały — obruszył się Althalus. — Ale rzeczywiście nie posunąłbym się do tego, by nazywać się kapłanem. Jestem. . . agentem Dwei;

w takim samym stopniu, jak agentem Daevy jest Ghend. Pracuję dla niej teraz, chociaż Dweia nie zawsze pochwała moje metody. Jestem zwykłym, prostym człowiekiem i nadal uważam, że mam lepszy pomysł na rozwiązanie tego całego problemu niż ona.

— To bluźnierstwo! — wykrzyknął Yeudon.

— No to co? Po wszystkim na pewno mi wybaczy. Żeby wreszcie położyć temu kres, muszę tylko dogonić i zabić Ghenda. Dweia będzie się potem na mnie złościć przez kilka wieków, ale kiedyś już tak bywało i zawsze dochodziliśmy do zgody.

— Jak śmiesz okazywać nieposłuszeństwo swemu bogu?

— Tak naprawdę to nie jest nieposłuszeństwo. Ona czegoś żąda i ja to wypełniam, ale w jaki sposób, to już moja sprawa. Boskość sprawia, że oni są nieco dziecinni, może dlatego, że zawsze dostają to, czego chcą, a może dlatego, że jestem w pobliżu. Gdybym zawiódł Dwieię od czasu do czasu, chyba pomógłbym jej dorosnąć.

Yeudon patrzył na niego ze zgrozą w oczach.

— Pewnie jej nakłamię — dodał Bheid. — Ona zaś z początku mu nie uwierzy, lecz Althalus potrafi tak szybko gadać, kiedy trzeba, że pewnie w końcu da mu wiarę.

— Z przyjemnością ciągnąłbym tę dyskusję — rzekł Althalus — ale czeka na nas Dweia, a ona nie znosi, kiedy się spóźniamy.

— Szybko wam poszło — zauważyła Dweia, kiedy we trzech wrócili przez specjalne drzwi.

Bheid rozejrzał się po pokoju.

— Gdzie wódz Albron i Astorell? — spytał.

— W jadalni na dole, razem z Leithą, Andiną i Gherem. Nie widzę powodu, czemu mieliby ciągle przesiadywać na wieży. A jak wam poszło w Keiwonie?

— Starłem się zachowywać dyplomatycznie — powiedział Bheid — lecz Althalus odsunął mnie na bok i naraził biednego Yeudona na przełknięcie większej dawki prawdy, niż biedak gotów był przyjąć. Althalus bywa brutalny, kiedy mu się śpieszy.

— Mam już dość Yeudona — tłumaczył się Althalus. — Za bardzo się obnosi ze swoją świętością. Czy zapadła już jakaś decyzja w sprawie Salkana? Zabieramy go do naszej prywatnej części Domu?

— Brat Bheid uważa to za dobry pomysł — rzekła Dweia. — Salkan nie powinien nam sprawiać kłopotów, jeśli będziemy go trzymać z dala od wieży razem z Astorell i Albronem.

— Wstrzymajmy się z tym, póki nie znajdzie się w jednym korytarzu z Gebhelem i Dreigonem — zasugerował Althalus. — Wtedy ja z Eliarem przechwycimy go i przyprowadzimy tutaj bez niczyjej wiedzy. Moglibyśmy porwać go już teraz,

ale musiałbym rozpuścić mnóstwo kłamstw, żeby wszystkich zadowolić, a to się robi męczące.

— Jak sobie życzysz, skarbie — zgodziła się Dweia. — A tak przy okazji: Andina chce złożyć wizytę lordowi Dhakanowi w Osthosie. Jest przekonana, że Kanthon szykuje inwazję. Weźcie z sobą sierżanta Khalora, żeby wyjaśnił naszą obecną strategię.

— Proszę bardzo, Em.

Wczesnym wieczorem Eliar wprowadził Althalusa wraz z Andiną i Khalorem na korytarz przed gabinetem lorda Dhakana w osthoskim pałacu. Zapukał do drzwi.

— Jestem zajęty — odpowiedział głos szambelana. — Odejdź.

— To ja, Dhkanie! — zawołała Andina. — Mam dobre nowiny!

Dhakan otworzył drzwi.

— Wybacz, aryo — przeprosił z głębokim ukłonem. — Przez cały dzień łomoczą do drzwi i przynoszą same złe wiadomości. Wejdźcie, proszę.

— Czyż nie jest kochany? — powiedziała z czułością Andina.

— To jest sierżant Khalor — przedstawił Arumczyka Althalus. — Wracaliśmy właśnie na tę drugą wojnę, o której wspomnieliśmy podczas poprzedniej wizyty, i spotkaliśmy go przy granicy Equero. Zakończył już ową wojnę i jego wojska są teraz w drodze. Chce wiedzieć, jak sprawy stoją.

Dhakan pozdrowił surowego męża skinieniem głowy.

— Nie jest dobrze, sierżancie.

— Kanthończycy wznowili atak?

— Kilka dni temu. Mają potężną armię, a nasze siły nie były w stanie jej powstrzymać.

Khalor wskazał wielką mapę za biurkiem Dhakana.

— Pokaż.

Szambelan skinął głową.

— Przygraniczne tereny nie należą do najbogatszych, więc nigdy nie zastanawialiśmy się, do kogo naprawdę należą. Kanthończycy najeżdżali nasze ziemie stąd do północnego brzegu tamtego jeziora. Mieli sporą armię złożoną z najemników.

— Jazda czy piechota?

— Jedno i drugie.

— A orientujesz się, z jakiego kraju pochodzili ci najemnicy?

— Trudno powiedzieć, sierżancie. Większość mieszkańców Treborei nie odróżnia Arumczyków od Kagwherów.

— Ja rozpoznam ich na pierwszy rzut oka. — Khalor wskazał trzy nazwy na mapie. — To są miasta czy wsie?

— Miasta.

— Otoczone murami?

Dhakan przytaknął.

— Mury Kadonu i Maworu są dość solidne, ale te wokół Pomy wymagają remontu. Formalnie te trzy miasta należą do Osthoskiego Przymierza. Kilka wieków temu były niezależnymi państwa-miastami, ale kiedy Kanthończycy zaczęli mieć imperialne zapędy, połączyliśmy się, by dać im odpór. Książęta tych miast nadal podtrzymują fikcję niezależności, chociaż w gruncie rzeczy słuchają rozkazów Osthosu.

Khalor pokręcił głową.

— Widzę, że polityka na nizinach jest jeszcze bardziej skomplikowana niż religia.

— Komplikacja to jedna ze zdobyczy cywilizacji — rzekł oschle Dhakan. Zaraz jednak spochmurniał. — Walczyliśmy z Kanthonem kilka razy w ciągu ostatnich stuleci. Te wojny koncentrowały się zawsze na miastach, gdyż tam było bogactwo. Teraz jest całkiem inaczej. Napastnicy zabijają każdego, kogo spotkają na swej drodze.

— Ale chyba nie wieśniaków?! — wykrzyknęła Andina.

— Niestety, moja aryo.

— To idiotyczne! Wieśniacy nie mają nic wspólnego z wojnami miast! Nikt przedtem ich nie zabijał, byli zbyt cenni. Jeśli zabraknie wieśniaków, kto nas wykarmi?

— Napastników to raczej nie obchodzi — tłumaczył Dhakan. — Oczywiście wystraszeni chłopci uciekają i przy okazji blokują wszystkie drogi prowadzące na południe.

— Może nieprzyjacielowi na tym właśnie zależy — zauważył Khalor. — Jeśli owe trzy miasta będą kompletnie zatłoczone uchodźcami, szybko skończą się zapasy i przyjdzie się poddać.

— To bardzo brutalny sposób wojowania — oburzył się Dhakan.

— Mamy do czynienia z brutalnym przeciwnikiem, milordzie. — Khalor zerknął na mapę. — Niech zgadnę: czy to możliwe, by jednym z dowódców nieprzyjacielskiej armii była kobieta?

— Skąd wiesz?

— Zetknęliśmy się z nią przedtem. Ma na imię Gelta, ale mówi o sobie Królowa Nocy. To szalona wiedźma o byczych barach i uwielbia smak krwi.

— Kobieta?!

— Nie jest zwykłą kobietą, milordzie — wyjaśnił Althalus. — I ta wojna też nie jest zwykła. Aryo Kanthonu to zaledwie marionetka, za której sznurki pociąga kto inny.

— Moje armie są już w drodze, milordzie — rzekł Khalor. — Chciałbym rzucić okiem na te miasta, ale przede wszystkim trzeba zgromadzić tam siły w celu

opóźnienia inwazji. Muszę mieć czas na zorganizowanie obrony. Poza tym ktoś musi zagrozić Gelcie drogę do miast, nie życzę sobie siedzieć z nią przy obiedzie.

— Smeugor i Tauri — podsunął Althalus.

— Tylko nie oni! — zaprotestowała Andina. — To wiarołomcy, zdradzą nas przy pierwszej sposobności.

— Owszem, będą próbowali nas zdradzić, dziewczynko, ale ja cały czas będę o kilka kroków przed nimi. Czy im się to spodoba, czy nie, Smeugor i Tauri staną się naszym głównym wkładem w tę wojnę.

Liście były czerwone, czerwone jak krew, kiedy Królowa Nocy zstąpiła na tron potężnego Osthosu. I stało się, że branka arya została przywleczona w okowach, aby ukłękła przed straszliwą władczynią, która pozbawiła władzy każdego, kto stał na jej drodze.

— Poddaj się, kruche dziecko — rozkazała mroczna królowa. — A jeśli twa pokora mnie zadowoli, może ocalę ci życie. — I komnatę wypełnił żaloszny skowyt.

Arya Osthosu ukłękła na znak uległości.

— Na twarz! — warknęła Gelta. — Padnij przede mną na twarz, abym widziała, że twa pokora jest absolutna!

I arya Osthosu, płacząc, pochyliła twarz aż do kamiennej posadzki.

Wówczas serce Gelty wezbrało szczęściem, a smak zwycięstwa na jej języku był słodki... bardzo słodki.

I w radosnym triumfie postawiła swą ciężko obutą stopę na delikatnym karku aryi.

— Zaprawdę wszystko, co należało do ciebie, jest teraz moje, Andino. Nawet twoje życie i cała twoja krew.

I zwycięski krzyk Królowej Nocy rozniósł się echem po marmurowym pałacu upadłej aryi Osthosu. Towarzyszył mu pełen rozpaczny skowyt.

ROZDZIAŁ 30

— Miałam koszmary sen — żaliła się Astorell przy śniadaniu.

— Ja też źle spałem — przyznał Albron.

Dweia przyjrzała się im uważnie, po czym nieznacznie poruszyła ręką.

— *Drem* — rzekła cicho.

Albron i Astorell natychmiast zastygli w miejscu z otwartymi, pustymi oczami.

Sierżant Khalor z zaintrygowaną miną pomachał ręką przed nosem wodza. Twarz Albrona nawet nie drgnęła.

— Co tu się dzieje?

— Musimy porozmawiać, sierżancie — powiedział Althalus. — Albron i Astorell nie powinni tego słuchać.

— Jakież czary? — spytał ze zdziwieniem Khalor.

— Raczej unikamy tego słowa, ale to coś w tym rodzaju. Powinieneś się już domyślić, że wiele rzeczy w Domu odbiega nieco od normy. Astorell i twój wódz odbędą krótką drzemkę, a my zajmiemy się czym innym. Czasem uciekamy się do tej metody, jeśli nie chcemy, by pewne sprawy zaszły za daleko.

— Kreuter rzeczywiście nie byłby zachwycony, gdyby sprawy między jego bratanicą a wodzem zaszły zbyt daleko.

— No właśnie. Po pewnych formalnościach oboje się uspokoją. Może zechcesz poruszyć tę kwestię, kiedy będziesz rozmawiał z Kreuterem.

— To by rozwiązało parę problemów — zgodził się Khalor. — A co to za historia z nocnymi koszmarami?

— Czy coś ci się śniło ubiegłej nocy, sierżancie? — spytała Dweia.

— Coś tam mi się śniło, ale całkiem bez sensu. Ze snami to tak zawsze.

— Ależ to miało sens! Bardzo wiele sensu!

— Co Ghend knuje? — zastanawiał się nieco wylęknięty Bheid. — Myślałem, że próbuje zmieniać przeszłość, ale ten sen dotyczył raczej przyszłości.

— Chyba zaczyna wpadać w rozpacz — zasugerowała Dweia. — Nie poszczęściło mu się z wizjami przeszłości, ja zaś wyczuwam ze strony mego brata silny odór niezadowolenia. Myślę, że Ghend stoi wobec swego rodzaju ultimatum. Majstrowanie przy przyszłości to bardzo ryzykowna sprawa. — Obróciła się

do Leithy. — Czy podczas tego snu trafiłaś do umysłu Gelty?

Dziewczyna skinęła głową.

— Mnóstwo aktorstwa. Gelta dodawała zupełnie nieprawdziwe fakty. Wojna nie zapowiada się dla niej ani trochę tak korzystnie, jak sugerowała ta wizja.

— Nie po raz pierwszy wszystkim wam śni się to samo — zauważył Khalor.

— Żli próbują zabawiać się naszymi myślami, panie Khalorze — wyjaśnił Gher. — Ghend wpycha do naszych snów różne głupoty po to tylko, żebyśmy w nie uwierzyli, chociaż wcale nie są prawdą. Koszmar z dzisiejszej nocy nie spychał nas wstecz, jak poprzednie. Myślę, że to, co nam się śniło, stanie się mniej więcej za miesiąc.

— Jak doszedłeś do tego wniosku? — spytał Bheid.

— Z sali, w której Andina leżała na podłodze, widać było czerwone liście na drzewach. Czy to nie oznaka jesieni?

Khalor zastanawiał się chwilę.

— Faktycznie były czerwone. Czyli to wszystko wydarzy się mniej więcej za sześć tygodni. — Tu sierżant zerknął na Dweię. — A to już tak na mur? Czy też Ghend może zakraść się tam znowu, zasypać ziemię śniegiem i kazać nam śnić o tym jeszcze raz?

— Nie sądzę, by się ośmielił — odrzekła Dweia. — Niebezpieczeństwo skakania w czasie podczas wizji sennych polega między innymi na możliwości paradoksu. Jeśli dwie zupełnie różne rzeczy wydarzają się w tym samym miejscu i czasie, rzeczywistość zaczyna się rozpadać, a tego naprawdę sobie nie życzymy. Dokonywanie zmian w przeszłości jest w miarę bezpieczne, oczywiście do pewnego stopnia, ale przyszłość to zupełnie co innego.

— Przecież przeszłość już się zdarzyła — zauważył Bheid. — Nie da się jej zmienić.

— I wcale nie trzeba. Marzenie senne zmienia naszą pamięć o przeszłości. W realnym świecie Gelta nigdy nie zawojowała Ansu do końca. Wyrąbała sobie toporem drogę do tronów w sześciu południowych klanach, po czym sprzymierzone pozostałe klany ją obaliły. Pekhal w ostatniej chwili uratował ją od stryczka. Gelta jednak pamięta to wszystko inaczej; wierzy, że opanowała całe Ansu, a Ghend może wykorzystać senne wizje do wmówienia wszystkim Anusom tego samego. Dlatego właśnie Ansusi na jej rozkaz wkroczyli do Wekti.

— Czy ktoś z was widzi w tym jakiś sens? — spytał żałośnie Eliar.

— To nie jest aż tak skomplikowane — pocieszył go Gher. — Sny to bzdury i tyle.

— Może istotnie najlepiej tak na nie patrzeć — zgodziła się Dweia. — Wprawdzie rzecz jest nieco bardziej złożona, ale słowo „bzdura” nie odbiega zbytnio od prawdy, kiedy sen jest osadzony w przeszłości. Tym razem jednak Ghend usiłuje dłużyć za naszym pośrednictwem w przyszłości.

— Jak możemy temu zapobiec? — spytała Andina.

— Nie sądzę, byśmy chcieli, kochanie. Może lepiej będzie udać, że się na ten sen godzimy.

— Nie! — krzyknęła Andina. — Nie będę się płaszczyć przed tą przyszczą krową!

— Nie zrozumiałaś mnie, Andino. Zdaje się, że Nóż ci nakazał posłuszeństwo?

— Ale na pewno nie wobec Gelty!

— Znaczenie słów na Nożu bywa czasem mylące. Eliar przeczytał „prowadzenie”, chociaż to wcale nie oznaczało, że ma stanąć na czele armii, tylko po prostu otwierać drzwi. Leitha przeczytała „nasłuchiwanie”, ale znowu nie chodziło o nadstawianie uszu. Kiedy tobie Nóż powiedział: „posłuszeństwo”, podsunął ci sposób na oszukanie Gelty.

— Nie zrobię tego! Wolę umrzeć!

— Tego wyboru ci nie dano, moja droga. Nie musi ci się to podobać, Andino, masz po prostu spełnić rozkaz.

— Z pewnością i beze mnie dacie sobie radę z tymi detalami — odezwał się sierżant Khalor. — Pójdę rzucić okiem na te trzy miasta.

— Zaczekaj jeszcze, sierżancie — zatrzymał go Althalus. — Chcę najpierw pogadać ze Smeugorem i z Taurim. Trzeba będzie wysłać tam trochę naszych wojsk, żeby opóźnić inwazję. — Zerknął na Leithę. — Ty także chodź z nami. Muszę wiedzieć, co ci dwaj naprawdę myślą, zanim ich spuszczę ze smyczy.

— Będzie, jak rozkażesz, o godzien chwały — odrzekła Leitha, kłaniając się z przesadną uniżonością.

— Może byś jej przemówił do rozsądku? — zwrócił się Althalus do Bheida. — Dość mam spraw na głowie i bez tych szpilek.

— Ależ Althalusie! — udała zgorszenie Leitha. — Co też ty opowiadasz!

Althalus i Leitha szli przez puste korytarze Domu w stronę południowo-wschodniego skrzydła. Po drodze Althalus wyjaśniał dziewczynie pewne osobliwości.

— Oni nie widzą ścian ani podłogi. Myślą, że są w Kagwherze, w górach.

— Jak ci się to udaje? — spytała Leitha.

— Nie ja to robię, więc mnie nie pytaj. Emmy się tym zajmuje.

— Bardzo ją kochasz, prawda?

— To, co do niej czuję, wykracza daleko poza miłość. A wracając do tematu, dwa klany chodzą w kółko po tym, co uważają za górską przełęcz. Umieszczę cię w progu, w pobliżu ich obozowiska, sam zaś pójdę wydać im rozkaz wymarszu. Muszę wiedzieć, co myślą i jak zamierzają uniknąć wykonania rozkazu. Nie życzymy tu sobie żadnych niespodzianek.

— Zobaczę, co się da zrobić.

Skręcili w poprzeczny korytarz, gdzie Althalus zobaczył arumskie wojsko.

— Zaczekaj tu, Leitho.

Kiedy zbliżał się do obozu, ogarnęło go dziwne poczucie dyslokacji. Widział korytarz, a jednocześnie kątem oka dostrzegał górskie szczyty i oba te obrazy mu się mieszały. Odległość nie wydawała się dokładnie taka sama; wartownicy w kiltach sporo się nadreptali w miejscu, eskortując go do siedziby dowództwa.

— Dzień dobry, panowie — powitał obu wodzów. — Co dobrego?

— Niewiele — cierpko odparł krostowaty Smeugor. — Nie będziemy tego tolerować, Althalusie. Jesteśmy wodzami klanów, a ty pędzisz nas do prostych robót razem ze zwykłymi żołnierzami. To nas obraża.

— Wzięłeś pieniądze, wodzu. Pora na nie zapracować.

— Co się święci? — spytał Tauri.

— Kanthończycy napadli na terytorium Osthosu, więc wygląda na to, że musimy ruszać. Zbierzcie swoich dowódców, muszę omówić z nimi szczegóły.

— To my jesteśmy wodzami — oświadczył wyniośle Smeugor — i my będziemy przekazywać rozkazy dowódcom.

— Przepraszam, że powiem prosto z mostu, ale żaden z was nie ma pojęcia o operacjach wojskowych. Chcę się upewnić, że wasi dowódcy wiedzą dokładnie, o co chodzi, i czego się od nich żąda. Nie życzę sobie żadnych nieporozumień.

— Za daleko się posuwasz, Althalusie — warknął Tauri. — My decydujemy o tym, jakie wydać rozkazy.

— Więc od tej chwili przestaję wam płacić. Zróbcie w tył zwrot i wracajcie do Arum.

— Mamy umowę! — krzyknął Smeugor. — Nie możesz tak po prostu się wycofać!

— Już się wycofałem. Albo poślecie po waszych dowódców, albo zaczynacie pakować manatki. Mówię w imieniu aryi Osthosu. Zrobicie, jak wam każę, albo w tej chwili jesteście zwolnieni.

Tauri obejrzał się na wartownika, który stał przed namiotem.

— Ty... jak ci tam... Ściągnij tu Wendana i Geluna, tylko migiem.

— Tak jest, wodzu!

Althalus zauważył, że kiedy Tauri się odwrócił, po twarzy wartownika przemknął szyderczy uśmiezek. Najwyraźniej wodzowie renegaci nie cieszyli się wielkim szacunkiem u pobratymców.

— Co ci właściwie chodzi po głowie, Althalusie? — spytał Smeugor, patrząc na niego spod przymrużonych powiek.

— Napastnicy poruszają się szybciej, niż oczekiwaliśmy. Szykujemy im powitanie i nie chcemy, żeby przybyli za prędko. Wy macie opóźnić ich marsz.

— Przecież to kawał drogi — zaprotestował Tauri. — Jak mamy się tam dostać na czas?

— Biegiem. Wiesz, to coś w rodzaju marszu, tylko znacznie szybszego.

— Nie podoba mi się ten ton, Althalusie.

— Fatalnie się składa. Jesteście w drodze prawie od miesiąca i nie uszlście zbyt daleko. Teraz musicie to nadrobić. To wojna, panowie, nie poobiedni spacer. Najlepiej od razu wydajcie rozkaz zwijania obozu. Za godzinę wyruszacie.

— Chciałeś mnie widzieć, wodzu? — spytał szczupły mężczyzna o wyglądzie zawodowego żołnierza, wchodząc do środka wraz z bardzo wysokim towarzyszem.

— Tak, Gelunie — odparł Tauri. — To jest Althalus, sługa naszej chlebowczyni. Ma dla ciebie pewne wskazówki, ale wyjdźcie na zewnątrz, jeśli łaska. Wódz Smeugor i ja nie jedliśmy jeszcze śniadania, nie chcemy, żeby nam przeszkadzano.

— Wedle rozkazu, wodzu. — Kapitan Gelun zasalutował. — Proszę za mną, Althalusie, porozmawiamy bardziej szczegółowo.

— Oczywiście. — Althalus skłonił się obu wodzom. — Życzę smacznego, ale niech to nie trwa długo.

I wyszedł za żołnierzami.

— Czy mi się zdaje, czy rzeczywiście w powietrzu czuje się lekką wrogość? — spytał wysoki towarzysz Geluna.

— Kapitan Wendan, prawda?

— Do usług, Althalusie.

— Chętnie skorzystam. Nie miałem wiele szczęścia w przekonywaniu tych dwóch.

— Zabawne — zauważył ironicznie Gelun. — Wendan i ja nie mieliśmy najmniejszych kłopotów z wyperswadowaniem im, że powinniśmy iść naprzód. . . do chwili, gdy nieostrożnie zasugerowaliśmy, by pokonywać więcej niż milę dziennie.

— Co też napadło twoją aryę, że oddała nas pod komendę tych próżniaków?

— Uważaj, Wendanie — ostrzegł go Gelun. — Jeszcze ludzie usłyszą, jak się wyrażasz o naszych czcigodnych wodzach. Może to źle wpłynąć na morale.

— Arya Andina nie do końca rozumie socjalną strukturę Arum — rzekł gładko Althalus. — Myśli, że wszystkie klany funkcjonują tak jak u Twengora, który dowodzi swoimi ludźmi osobiście. Próbowałem jej tłumaczyć, że u was jest inaczej, ale jakoś do niej nie dotarło. Nadal uważa ich za generałów. Jest jeszcze bardzo młoda.

— Wszyscy to szybko pojmują. Oto nasz namiot, Althalusie. Prosimy do środka i przejdźmy wreszcie do rzeczy.

— Przyniosłem mapę — oświadczył Althalus, kiedy znaleźli się w namiocie odległym od namiotu wodzów zaledwie o kilka kroków. Sięgnął pod tunikę i wyciągnął jedną ze starannie wyrysowanych przez Khalora map. Rozłożył ją na stole z surowych desek. — Armia Kanthonu dokonała inwazji w zeszłym tygodniu i maszeruje w kierunku tych trzech miast. Waszym zadaniem będzie spowolnienie jej marszu.

— Kto jest głównodowodzącym naszych sił? — spytał Wendan.

— Znacie sierżanta Khalora?

— O tak, walczyliśmy na dwóch wojnach po przeciwnych stronach. Skoro macie Khalora, nie potrzebujecie w gruncie rzeczy żadnego z nas.

— Jest aż tak dobry?

— Nikt nie chciałby mieć go przeciwko sobie.

Gelun chrząknął.

— Ty, Althalusie, wiesz chyba, na czym polega opóźnianie akcji?

— Głównie na zasadzkach i wyburzaniu mostów, czyż nie?

— Trzymaj się polityki i dyplomacji — poradził mu Wendan. — Wojny to inna sprawa. Żołnierzom chce się jeść kilka razy dziennie, więc trzeba ich karmić. Najlepszy sposób spowolnienia ich aktywności to dopilnować, by nigdzie w okolicy nie zostało nic do jedzenia. Teraz lada moment zaczną się żniwa... prawdopodobnie dlatego Kanthończycy odwlekali inwazję. Mam nadzieję, że twoja arya nie jest nadmiernie przywiązana do swoich zbiorów pszenicy, bo kiedy my z Gelunem dotrzemy do granicy, nie zostanie po nich ani śladu. Wypalimy wszystko w zasięgu pięćdziesięciu mil po obu stronach.

— I zatrujemy każdą napotkaną studnię — dodał Gelun.

— Użyjecie trucizny? — przeraził się Althalus.

— Do tego się to sprowadza — wyjaśnił Gelun. — Jeśli wrzucisz do studni końską czy krowią padlinę, woda nie będzie się nadawała do picia.

— Poza tym koło martwego bydła zawsze leży pełno zabitych na wojnie ludzi. A ludzki trup śmierdzi jeszcze gorzej niż krowi — uzupełnił Wendan.

Althalus zadrżał.

— Myślicie, że uda się wam powstrzymać Smeugora i Tauriego od wtrącania się w wasze sprawy?

— Wszystko, co leży dalej niż o milę od ich namiotu, mogłoby równie dobrze być na drugim końcu świata — zadrwił Gelun. — Nasi prześwieceni wodzowie nie przepadają za ćwiczeniami. Kiedy wydają nam rozkaz, Wendan i ja pięknie salutujemy, ale gdy tylko stracimy ich z oczu, robimy to, czego sytuacja wymaga. Powiedz Khalorowi, że podeślemy mu bardzo głodnych i spragnionych napastników. Już on będzie wiedział, co z nimi zrobić.

— Tylko zostaw nam mapę — upomniał się kościsty Wendan. — A teraz, jeśli pozwolisz, pójdziemy dać rozkaz wymarszu.

— Szczęśliwej drogi — pożegnał ich Althalus i opuścił namiot.

— Ciągłe nie możesz się wyzbyć tego ciętego języka — zauważyła Leitha, gdy do niej wrócił. — Czy nie potraktowałeś tych wodzów zbyt obcesowo?

— Mogło być gorzej. Co mówili po moim wyjściu?

— Byli bardzo przygnębieni. Od czasu tamtej narady nie mogą skontaktować się z Ghendem, więc są dezorientowani. Zwykle Argan przekazywał wiadomości

w obie strony, ale nie widzieli go już od tygodni. Są zbici z tropu i wystraszeni. Wiedzą, że jeśli popełnią jakiś błąd, Ghend ich wykończy.

— To straszne — uśmiechnął się krzywo Althalus. — Lepiej wróćmy do wieży, zanim Khalor zacznie szturmować mury.

— Dzieje się coś jeszcze — rzekła Leitha, marszcząc lekko brwi. — Tylko nie bardzo mogę się połapać. . .

— Tak?

— Argan kaptuje Ghendowi szpiegów, zwykle ich przekupia. Tak przynajmniej robił w Wekti. W Treborei jednak działa inaczej. . . Nadal wprawdzie przekupuje urzędników, ale Smeugor i Tauri wciąż powtarzają słowo „konwersja” i wyraźnie ich to przeraża. Chętnie biorą pieniądze od Argana, lecz on najwyraźniej przywiązuje do tych łapówek po kilka sznurków.

— Niczego więcej nam nie trzeba. Nie znoszę mieszania religii z polityką.

— Po prostu uznałam, że powinieneś o tym wiedzieć.

— Wielkie dzięki. — Althalus nagle drgnął. — A jak tam Bheid? Gher mówił, że nasz kapłan bardzo się zmartwił, kiedy otworzyłaś mu pewne drzwi. . . wiesz chyba, co mam na myśli?

Leitha zachichotała.

— Nie jest jeszcze gotów na niektóre sprawy. Nie przeszkadza mu przesyłanie pomysłów tam i z powrotem, ale uczucia trochę go niepokoją.

— Mogę ci coś zasugerować? — spytał ostrożnie Althalus, kiedy zbliżali się już do schodów na wieżę.

— To zależy.

— Nie popuściłabyś trochę naszemu kapłanowi?

— Co to znaczy?

— No. . . żeby nie musiał się czerwienić na każdym kroku. Mogłabyś przestać podsyłać mu brzydkie myśli, przynajmniej póki nie przywyknie do obecności obcych w swym umyśle.

— Ale on jest taki rozkoszny, kiedy się rumieni!

— Znajdź sobie inną rozrywkę na jakiś czas. Mam silne przeczucie, że w najbliższej przyszłości będziemy potrzebować jego rozumu, więc daj spokój zaczepkom, bo i tak ci nie ucieknie.

— Dobrze, tatusiu.

— Co przez to rozumiesz?

— Zrobiłeś się ojcowski, Althalusie. . . pewnie dlatego, że uważasz nas za swoje dzieci. Zresztą, chociaż nie jesteś prawdziwym ojcem, innego i tak nie znamy. . . tatuśku.

— Dość tego, Leitho!

— A co, może spuścisz mi lanie, i to gołą ręką? — wykrzyknęła radośnie, trzepocząc rzęsami.

— Przestań!

— Dobrze, tatuśku.

Straże u bram Radonu długo wypytywały Althalusa, Eliara i sierżanta Khalora, zanim ostatecznie wpuścili ich do miasta. Idąc wąskimi uliczkami do pałacu diuka Olkara, Althalus wciąż burczał pod nosem.

— To wojna, Althalusie — tłumaczył mu sierżant Khalor. — Gdyby nas nie sprawdzili, znaczyłoby to, że nie pilnują interesu.

— Przecież miałem przepustkę z podpisem Andiny — protestował Althalus, wymachując dokumentem.

— To robi wrażenie, ale pamiętaj, że wielu pospolitych żołnierzy nie umie czytać. Strażnicy spełniali tylko swój obowiązek, przestań już o tym myśleć.

— Mury wyglądają na solidne — zauważył Eliar.

— Ujdą — zgodził się Khalor. — Może trochę mało urozmaicone, ale po paru innowacjach to się zmieni.

— Jakie innowacje masz na myśli?

— Pomyśl, Eliarze. Co byś dodał do tych murów, żeby utrudnić życie wszystkim, którzy zechcą wejść do miasta?

— Może jakiś nawis?

— To by nie zaszkodziło. Równe mury ułatwiają wspinaczkę. Co jeszcze?

— Reduty? Takie wieżyczki, które wystają z narożników, żeby łucznicy mogli strzelać do tych, co pną się po drabinach?

— Też się przydadzą.

— Czemu to robisz, Khalorze? — wtrącił się Althalus.

— Co ja takiego robię?

— Ciągłe go egzaminujesz.

— Bo wyznaczono mi rolę nauczyciela — obruszył się Khalor. — Nauczyciele przepytują swoich uczniów. Zresztą i tak najważniejszy egzamin urządzi nieprzyjaciel na polu bitwy. Jeśli mój uczeń przeżyje, będzie to znaczyło, że zdał. Lepiej trzymaj tę przepustkę od Andiny pod ręką. Dochodzimy już do pałacu diuka, a nie mamy czasu na przebieranie nogami w poczekalniach.

Kartka z podpisem Andiny sprawiła, że natychmiast wpuszczono ich do okazałego gabinetu diuka Olkara. Władca Kadonu był pękатыm mężczyzną w średnim wieku, o konserwatywnych upodobaniach w kwestii stroju i nieco pompatycznym wyrazie twarzy.

— Fatalnie się ułożyło, lordzie Althalusie — poskarżył się, kiedy wszyscy usiedli. — Całe miasto zawałone jest chamami ze wsi, którzy żądają, abym ich karmił.

— Napastnicy zabijają ich po drodze, wasza miłość. Jeśli wszyscy wieśniacy wyginą, kto będzie uprawiał pola?

— To prawda — zgodził się niechętnie Olkar. — Ale ta wojna chyba nie potrwa długo? Mam towary do wystania, a drogi zrobiły się niebezpieczne.

— I będzie jeszcze gorzej, wasza miłość — rzekł bez ogródek Khalor. — Będziecie musieli wytrzymać około dziesięciu dni oblężenia. Trzeba wzmocnić wasze mury i zgromadzić spore zapasy żywności. Moje wojska przyjdą wam z odsieczą, ale lepiej mieć pod ręką środki, które pozwolą dotrzeć do jesieni.

— Jesieni?! To niweczy nadzieje na jakikolwiek zysk w tym roku!

— Ale przynajmniej dożyjecie do następnego — pocieszył go Althalus.

— Muszę porozmawiać z waszymi inżynierami — ciągnął Khalor. Powinni zaraz wziąć się za mury, a mam dla nich kilka wskazówek. Ach, i jeszcze jedno. Idzie wam na pomoc arumska armia. Będą potrzebne kwatery.

— A nie mogą obozować za murami? — targował się Olkar.

Zamiast odpowiedzi Khalor obrzucił go długim, wymownym spojrzeniem.

— Rzeczywiście, to niemożliwe. — Olkar westchnął ciężko. — Arumczycy są tacy hałaśliwi! I ciągle się awanturują. Potrafisz ich dopilnować, by zachowywali się przyzwoicie? Tu mieszkają porządni ludzie, nie życzą sobie żadnych burd.

— Jeśli Arumczycy tak bardzo was rażą, możecie sami bronić miasta — obruszył się Khalor.

— Nie, nie, już dobrze, sierżancie — odrzekł spieszenie Olkar.

— Wiedziałem, że się dogadamy, wasza miłość. Teraz proszę posłać po inżynierów, muszę brać się do roboty. Mam dziś jeszcze sporo zajęć.

— Który klan wyznaczysz do obrony Kadonu? — spytał Althalus, kiedy opuścili miasto.

— Chyba Laiwona. Jest prawie tak dobry jak Twengor, tylko rozsądniejszy. Ludzie Laiwona brali już udział w kilku oblężeniach, więc mają doświadczenie. Ale nie chcę, żeby odciągali napastników. To miasto wraz ze swoim nadętym diukiem pomieści trzecią część armii na tak długo, jak mi się spodoba. — Obejrzał się na miasto. — Nie sądzę, żeby nas stamtąd widzieli. Teraz do Pomy, Eliarze.

— Tak jest.

Przemknęli przez Dom i wyszli w samym środku miasta Poma.

— Oto sposób na uniknięcie straży — wyjaśnił Eliar.

Sierżant Khalor patrzył na mury, jakby nie wierzył własnym oczom.

— Co oni sobie myślą?! — wykrzyknął ze zgrozą.

Althalus poszedł za jego spojrzeniem.

— Kiepsko, co?

— Przecież wystarczy dobrze kichnąć, żeby toto zburzyć! Kto tu właściwie rządzi?

— Dhakan nazywał go Bherdorem.

— Miałbym dla niego kilka innych imion. Chodźmy do tego głupka.

Pałac diuka Bherdora wyglądał zdecydowanie nędznie. W rzędzie okien wybite przeważały nad oszklonymi, a dziedziniec był niesprzątany od co najmniej miesiąca.

I tym razem przepustka Andiny zapewniła im natychmiastowe przyjęcie w niewyróżniającym się z otoczenia gabinecie. Sam diuk także wyglądał zwyczajnie. Był niemal chłopcem o słabo zarysowanym podbródku i takim samym charakterze.

— Wiem, lordzie Althalusie, że nie są takie, jak powinny — tłumaczył się bojaźliwie, kiedy gość poinformował go o stanie murów — ale moje nieszczęsne miasto stoi na granicy bankructwa. Chciałem podnieść podatki, żeby naprawić mury, lecz kupcy mnie ostrzegli, że doprowadziłoby to do upadku miejscową gospodarkę.

— Ile wynosi wasz podatek? — spytał Althalus.

— Trzy i pół procent, milordzie — odparł drżącym głosem Bherdor. — Uważasz, że to za dużo?

— Osiem procent to byłoby rzeczywiście za dużo. Natomiast trzy i pół to czyste kpiny. Nic dziwnego, że żyjecie w takim chlewie.

— Za późno już, aby coś z tym zrobić — rzekł Khalor. — Mury wytrzymają najwyżej dwa dni. Chyba dam tu Twengora. Niestety, zanosi się na walki uliczne, a on się do tego świetnie nadaje. . . jeżeli jest trzeźwy. — Tu zerknął na przerażonego diuka. — Wasi pazerni kupcy otrzymają szybką lekcję na temat racjonalnych stawek podatkowych. Niewiele bowiem zostanie z Pomy po paru tygodniach walk typu „od domu do domu”. . . oraz incydentalnym plądrowaniu przez żołnierzy obu armii. Twoi kupcy cię wykiwali, wasza miłość, ale wojna ich czegoś nauczy.

— Dobry boże! — wykrzyknął Khalor na widok murów Maworu. — Widzieliście kiedy coś takiego?

— Rzeczywiście można się zniechęcić — przyznał Althalus, patrząc na masywne i przemyślane umocnienia.

— Zniechęcić?! Nie ma takich pieniędzy, za które zgodziłbym się oblegać to miasto! Oj, nie chciałbym być tutejszym podatnikiem. . . Jak się ich diuk nazywa?

— Lord Dhakan nazywał go Nitralem — odparł Eliar. — Podobno to architekt. Jak zrozumiałem, w ciągu ostatnich dwudziestu lat przebudował całe miasto.

— No cóż, przy murach na pewno nie mamy nic do roboty. — Khalor spojrział z ukosa na miasto. — Powiedziałbym, że Mawor jest niemal nie do zdobycia. Muszę dać tu kogoś, kto potrafi to wykorzystać.

— Co powiesz na Żelazną Szczękę? — zaproponował Eliar.

— Z ust mi to wyjąłeś — ucieszył się Khalor. — Świetnie się tu nadaje.

— Kto to jest Żelazna Szczęka? — spytał Althalus.

— To ten wódz, któremu szczęka wystaje poza nos — wyjaśnił Khalor. —

Prawie się nie odzywa i jest największym uparciuchem w całym Arum. Kiedy coś chwyci, nigdy już nie wypuści. Jeśli ściągniemy do Maworu Koleikę Żelazną Szczękę, Gelta może sobie oblegać miasto, ale ani do niego nie wejdzie, ani nie będzie w stanie się wycofać.

— Nie bardzo za tobą nadążam — wyznał Althalus.

— Gdy tylko Gelta zawróci, Koleika wypadnie zza bram i posieka jej ludzi na kawałki. Zablokuje ich w takim miejscu jak to tutaj. — Khalor zerknął w bok. — To wszystko się zgadza z tym, co mówiła Leitha o myślach Gelty w naszym śnie. Coś powstrzymało napastników od wkroczenia do Osthosu. Mogła to być kombinacja tej fortecy i Żelaznej Szczęki. Jeśli się doda do siebie te dwa elementy, powstanie naturalna pułapka. Inwazja skończy się tutaj: nie będą mogli wejść do miasta ani zawrócić. Po prostu ideał. — Zaczął się śmiać. — Prawie mi ich żal. Chodźmy teraz do środka, spotkać się z tym architektonicznym geniuszem. Powiemy mu o Koleice i z grubsza poinformujemy, czego się ma spodziewać. Potem możemy wrócić do Osthosu i uciąć sobie pogawędkę z dowódcami armii Andiny.

Było już późne lato i w Osthosie spiekota dawała się mocno we znaki. Na żądanie Andiny lord Dhakan wezwał generałów. Stali teraz w sali tronowej, ociekając potem i gawędząc leniwie w oczekiwaniu na arzę.

— Pozwól im trochę ochłonać, arzo — zasugerował lord Dhakan, zaglądając przez wejście z tyłu sali.

— Czy osthoska armia jest tak wielka, że trzeba wam aż tylu generałów? — spytał Khalor.

— Rangę się u nas dziedziczy, sierżancie — wyjaśnił szambelan. — Po paru stuleciach tych praktyk armia jest rzeczywiście nieco przytłoczona tytułami. Jest jednak pewna korzyść: gdy się ma tylu dowódców, istnieje słaba możliwość, że przynajmniej jeden będzie wiedział, co robi.

— Jesteś cyniczny, milordzie.

— To dlatego, że długo żyję — odparł Dhakan ze słabym uśmiechem. — Czy poczujesz się urażony, jeśli cię przedstawię jako marszałka polnego?

— Czemu?

— Sierżant w naszej armii to niezbyt wysoki stopień, przyjacielu. Nasi pułkownicy i generałowie oraz różni egzaltowani ważniacy mogliby cię traktować bez należytego szacunku.

— Szybko ich z tego wyleczę — obiecał Khalor, uśmiechając się złowieszczo. Spojrzał na pocącą się w ciężkiej szacie Andinę. — Czy miałabyś mi za złe, dziewczynko, gdybym połamał trochę mebli?

— Skądże znowu, sierżancie, baw się dobrze. Wejdziemy już, Dhakanie?

— Możemy. Proszę, sierżancie, nie pozabijaj wielu. Państwowe pogrzeby są bardzo kosztowne.

— Będę się hamował — przyrzekł Khalor, po czym podszedł do jednego z uzbrojonych strażników przy drzwiach i spytał grzecznie: — Mogę pożyczyć twój topór, żołnierzu?

Skonsternowany strażnik poszukał wzrokiem lorda Dhakana, który skinął głową.

— Wystąp i daj mu topór.

— Tak jest, milordzie! — odpowiedział strażnik i spełnił polecenie.

Khalor machnął toporem.

— Dobrze wyważony! — zauważył i przejechał kciukiem po ostrzu. Następnie poklepał strażnika po ramieniu. — Dbasz o broń, dobry z ciebie żołnierz.

— Dziękuję, panie — odparł strażnik, przęcąc się z dumą.

— Zacznijmy wreszcie, nim się zrobi za gorąco. Czemu nie występujecie na przód? Najpierw niech lord Dhakan mnie przedstawi, a resztą już ja się zajmę.

— Postaraj się nie rozlać zbyt wiele krwi — poprosiła półzartem Andina. — Krew z marmuru źle schodzi.

— Będę miał to na uwadze.

Dhakan dał znak trębaczom i rozległ się przeciągły, nieco zbyt zawity tusz.

Arya Andina, z Eliarem odzianym w zbroję u boku, wkroczyła majestatycznie do sali i wolno szła ku tronowi. Generałowie umilkli, pochylili się w niskim ukłonie.

— Miej oczy otwarte — szepnął Althalus do Leithy. — Argan na pewno skapotał któregoś z generałów.

— Znajdę go.

Na tronie ary siedziała kotka Emmy i starannie myła sobie pyszczek. Na widok Andiny miauknęła pytająco.

— Tu jesteś! — ucieszyła się Andina, biorąc kocicę w ramiona. — Gdzie się chowałaś, ty niedobra? — Usiadła z nią na tronie, generałowie zaś wrócili do swej rozmowy.

Przed podwyższeniem z tronem stała mównica, za którą zajął miejsce lord Dhakan. Zastukał w pulpit.

— Proszę panów o uwagę.

Generałowie nadal rozmawiali w najlepsze.

— Cisza! — wrzasnęła Andina.

Rozmowy ucichły w pół słowa.

— Dziękuję, aryo — mruknął Dhakan.

— O co chodzi, Dhakanie? — spytał pękaty generał w złożonym napierśniku.

— Mamy wojenkę, generale Terkor. Czyżbyś nie zauważył?

Generał uśmiechnął się nieznacznie.

— Na pewno zaraz przejdiesz do rzeczy. Nim zrobi się za gorąco.

— Odbierasz mi radość życia takim zachowaniem — poskarżył się Dhakan.

— Teraz jednak chcę wam przedstawić niejakiego sierżanta Khalora. Radziłbym

traktować go uprzejmie, gdyż jest porywczy, a będzie wam wydawał rozkazy.

— Jestem generałem — warknął Terkor. — Nie zamierzam słuchać sierżanta.

— Będzie nam cię ogromnie brakowało, generale — mruknął Dhakan pod nosem. — Ale wyprawimy ci piękny pogrzeb.

W tym momencie Khalor przekroczył próg i z całą swobodą skierował się w stronę podium, poruszając niby od niechcenia toporem.

— Mogę? — spytał, wskazując mównicę.

— Oczywiście, sierzancie — odrzekł Dhakan, ustępując mu miejsca. Sierżant stanął za pulpitem i przez dłuższą chwilę milczał, wsłuchując się w gadaninę urażonych generałów.

Trzask rozłupywanego toporem drewna sprawił, że wszystkie rozmowy umilkły.

— I już po meblach — mruknęła Andina, wznosząc do góry oczy.

— Dzień dobry panom — ryknął Khalor tak gromko, że zapewne słyszano go aż na placu parad. — Mamy sporo do omówienia, więc stulić gęby i słuchać.

— Za kogo ty się uważasz? — spytał generał Terkor, unosząc się z miejsca.

— Za faceta, który rozwali ci łeb, jeśli jeszcze raz otworzysz jadaczkę. Odłóżmy teraz na bok te wszystkie bzdury z tytułami. Jestem Arumczykiem, a u nas rangi mają inne znaczenie niż w krajach nizinnych. W moim klanie sierżant znaczy tyle, co u was naczelny wódz, ale na razie dajmy temu spokój. Widzicie to? — Podniósł w górę topór. — Oto moja ranga, która daje mi dowództwo nad tym zgromadzeniem. Jeśli ktoś chciałby zgłosić sprzeciw, z chęcią przyjmę wyzwanie, i to w tej chwili.

— Zawsze mówi to samo — rzekł cicho Eliar do stojących na podium — ale jakoś nikt nie podejmuje wyzwania.

Generałowie milcząco wpatrywali się w topór.

— Rozumiemy się, tak? Doskonale — ciągnął Khalor. — No więc mieliśmy tu ostatnio inwazję najemników tego durnia z Kanthonu i wasza uroczą arya poprosiła, abym im wytłumaczył, że powinni wracać tam, skąd przyszli. Naszym wrogiem — przynajmniej na pozór — jest aryo Kanthonu. Znam go dobrze, od kąd dowodziłem jego wojskiem podczas ostatniej wojny z Osthosem. Nazywa się Pelghat i cierpi na brak mózgu. Nie chcę nikogo urazić, ale ciągła wojna w Treborei zaczyna mnie nudzić, więc tym razem zamierzam zakończyć ją raz na zawsze. Waszym zadaniem będzie obrona tego miasta i nic poza tym. Macie się nie wtrącać do żadnych moich działań na innym terenie, bo inaczej naprawdę się pogniewam. Arya Andina wynajęła mnie na tę wojnę i nie zamierzam jej zawieść. Ten młody człowiek koło tronu to kapral Eliar, który dla mnie pracuje. Kiedy coś wam powie, to w moim imieniu, więc żeby mi nie było żadnych dyskusji. Opracowałem tę kampanię w najdrobniejszych szczegółach, a wojsko sprowadzam z krajów, o których pewnie w życiu nie słyszeliście. Dokładnie wiem, co robię, toteż nie potrzebuję żadnych rad ani ingerencji amatorów. Po pierwsze, zamierzam unicestwić

nieprzyjacielskie armie, a po drugie, zburzyć miasto Kanthon. To będzie ostatnia wojna w Treborei, więc skoncentrujmy się na tym, by wszystko dobrze poszło. Życzę dobrej zabawy.

Potem przeciągnął kciukiem po ostrzu topora.

— Wyszczериłem go trochę — zauważył i zwrócił się do strażnika, który stał przy drzwiach: — Przepraszam, żołnierzu, i dziękuję, żeś mi użyczył swego topora. Lej dużo wody na kamień szlifierski, kiedy będziesz wygładzał szczerbę.

— Tak jest, sierzancie! — szczerknął strażnik, prężąc się na baczność.

— Szczęściarze z was, panowie, że macie w swej armii takich chłopaków. No, żołnierzu, łap! — Chwycił topór za rękojeść, zakręcił młynka nad głową i rzucił go nad głowami kulących się generałów.

Żołnierz z zawodową zręcznością pochwycił wirującą broń.

— Ładny chwyt! — pochwalił go Khalor.

Żołnierz wyszczerzył zęby w uśmiechu i wrócił na swe stanowisko.

ROZDZIAŁ 31

Kiedy wstrząśniętym generałom pozwolono odejść, Andina poprowadziła przyjaciół do swych prywatnych komnat.

— Przepraszam was na chwilę, ale muszę to zdjąć — wskazała swą uroczystą szatę — bo inaczej cała się roztopię. Brokat to piękny materiał, ale za ciepły na lato.

Usiedli w saloniku na wygodnych fotelach.

— Może zbyt obcesowo potraktowałeś tych generałów, sierżancie — zauważył lord Dhakan — choć na pewno osiągnąłeś cel.

— Miło mi, że podobało ci się, milordzie.

— Przecież tak naprawdę byś ich nie rozsiekał, co?

— Pewnie, ale oni tego nie wiedzieli.

— Dorastanie w kulturze rycerskiej musi być bardzo ekscytujące.

— Ma to swoje dobre strony. Trudność polega na tym, żeby żyć dostatecznie długo, by dorosnąć. Młody człowiek, któremu dopiero co zaczyna rosnąć broda, ma skłonność do bijatyki i wcześniej czy później musi za to odpowiedzieć. To prowadzi do kolejnej walki, a nie jest dobrze, kiedy młodzi chłopcy biorą się do mieczy czy toporów. — Tu Khalor zwrócił się do Althalusa. — Chyba muszę pogadać z twoją żoną.

— Nie wiedziałem, że lord Althalus jest żonaty — zdziwił się Dhakan.

— Bo ona jest domatorką.

— Więc masz i dom?

— To jest w zasadzie jej Dom. Takie miłe, przytulne miejsce, w którym czujemy się u siebie.

Kotka Emmy przeszła przez pokój i zatrzymała się naprzeciwko krzesła sierżanta. Popatrzyła na niego zielonymi oczami i zamiauczała pytająco.

— Nie rób tego, Em — upomniał ją Althalus.

Posłała mu chłodne spojrzenie i stuliła uszy.

— Co za dziwny kot — rzekł Khalor.

— Wiele jej zawdzięczamy, sierżancie — wyjaśnił Dhakan. — Rok temu uratowała młodemu Eliarowi życie.

Andina wróciła w powiewnej sukience bez rękawów. Usiadła i poklepała kolana.

— Chodź tu, Emmy — poprosiła czule.

Kotka obrzuciła Althalusa wyniosłym, wiele mówiącym spojrzeniem i podeszła do Andiny.

— Grzeczna kicia — pochwaliła ją arya. I zwracając się do sierżanta, spytała: — Co dalej?

— Muszę obejrzyć napastników, panienko. Potrafię na pierwszy rzut oka rozpoznać większość armii, każda bowiem ma swoje osobliwości. Dobre rozpoznanie to bardzo ważna rzecz na wojnie. Po tej, którą prowadziliśmy w Wekti, dowiedziałem się sporo o Gelcie, ale zanim podejmę konkretne decyzje, chciałbym rzucić okiem na jej wojsko.

— Czy to nie będzie niebezpieczne? — zaniepokoił się Dhakan. — Jesteś dla nas zbyt cenny, abyś miał pokazywać się wrogowi.

— Mam swoje sposoby, jak widzieć, nie będąc widzianym, milordzie. To procedura albo zupełnie nowa, albo tak stara, że większość ludzi dawno o niej zapomniała. Żona Althalusa zaprezentowała ją nam w Wekti, dlatego muszę z nią pomówić, i to szybko.

Gdzie jest Gher? — spytał milcząco Eliar, kiedy wrócili do wieży.

Bawi się — odpowiedziała Leitha w głowie Althalusa.

— Musicie gadać tak głośno? — zdenerwował się Althalus. — Nie możecie się powstrzymać od dyskusji?

Dla Eliara to nowość, skarbie — zamruczała Dweia. — *O ile dobrze pamiętam, minęło sporo czasu, zanim oduczyłeś się krzyczeć.*

Co Gher kombinuje? — spytał Eliar, tym razem trochę ciszej.

Jest na wschodnim korytarzu z ludźmi sierżanta Gebhela — odparła Leitha. — *Salkan uczy go strzelać z procy.*

— Ja im to podsunąłem — przyznał Bheid. — Salkan i Gher odłączyli się od reszty. Myślałem, że to najprostszy sposób ściągnięcia Salkana do tej części Domu.

— Potrzebne mi twoje okna, pani — zwrócił się Khalor do Dwei. — Generałowie aryi Andiny są słabo zorientowani w składzie nieprzyjacielskiej armii, więc muszę sam popatrzeć na napastników.

— Proszę bardzo, sierżancie.

Khalor rozejrzał się szybko.

— Chyba nie zostawiliście mojego wodza sam na sam z bratanicą Kreutera?

— Odbywają kolejną drzemkę.

Może byś tak poszedł po Ghera i Salkana, Eliarze? — spytał milcząco Althalus. — *Skoro chcemy wdrożyć Salkana do naszego zaprzęgu, powinniśmy już*

zaczynać.

Idź z nim, skarbie — powiedziała Dweia.

Ja? A po co?

Uważaj na Ghera, żeby mu od razu zbyt wiele nie wyjawiał. Musimy postępować łagodnie, a Gher ma skłonność do przyśpieszania spraw.

Masz rację, Em.

— I o to naprawdę chodzi — mówił Salkan do Ghera, kiedy Eliar z Althalusem pojawili się we wschodnim korytarzu. — Każdy głupi może wywijać procą nad głową, ale trzeba wiedzieć, kiedy wypuścić kamyk. Oko i ręka muszą ze sobą współpracować.

— To znacznie bardziej skomplikowane, niż się zdaje — przyznał Gher.

— Ach, tu jesteś, Gherze! — zawołał Althalus. — A my cię wszędzie szukamy!

— Coś się stało?

— Nie, ale Emmy mówi, że skoro jesteś tak blisko jej Domu, może byś wpadł z wizytą. Ty też będziesz mile widziany, Salkanie.

— Nie wiedziałem, że tu, w górach, są jakieś domy — zdziwił się rudzielec.

— Nie trąbimy o tym naokoło. Emmy lubi spokój.

Salkan rozejrzał się uważnie.

— Nie widzę nawet żadnych dróg czy ścieżek.

— Staramy się nie zostawiać śladów. Dom Emmy jest dość okazały, a w górach grasują bandyci. — Althalus obejrzał się i wskazał koniec korytarza. — Dom jest po drugiej stronie tego wyłobienia na grani. Zbliża się pora kolacji, a Emmy gotuje znacznie lepiej niż polowi kucharze sierżanta Gebhela. Idziemy? Warto zjeść coś porządnego.

— Wojny, Salkanie, nie prowadzi się tylko za pomocą mieczy, łuków i proc — tłumaczył sierżant Khalor pod koniec kolacji, przypominającej raczej bankiet niż zwykły posiłek. — Najważniejsza potyczka rozgrywa się tutaj — postukał się w czoło. — Trzeba myśleć szybciej niż nieprzyjaciel.

— Tak naprawdę wcale nie jestem żołnierzem — wykręcał się Salkan. — Od czasu do czasu mnie ponosi, ale przeważnie zajmuję się tylko owcami.

— Sam siebie nie doceniasz, chłopcze — zaprotestował wódz Albron. — Powołałeś w Wekti coś bardzo zbliżonego do armii, a twoje chłopaki wniosły ogromny wkład do naszego sukcesu.

— Czy ci się to podoba, czy nie — wtórował Albronowi Althalus — jesteś dowódcą oddziału, więc lepiej zostań tu na jakiś czas, to Khalor udzieli ci kilku wskazówek.

— Skoro pan tak uważa. . . Tylko może po kolacji Eliar zaprowadzi mnie do obozu generała Gebhela, bo muszę zabrać swoje rzeczy i pogadać z kumplami.

— Zajmiemy się tym, Salkanie — obiecał Eliar.

Bardzo zgrabnie — mruknęła do Althalusa Dweia.

Wcale nie, Em. Ten młodzieniec stara się wszystkim dogodzić, więc przeważnie idzie z prądem. . . jeśli poda mu się w miarę rozsądny powód. Teraz, kiedy przebywa w Domu, każdy ma mu coś do powiedzenia: Bheid, Khalor, ty, Gher i nawet ja sam. Zanim skończy się lato, zupełnie go odmienimy, ale jaki wtedy będzie?

Następnego dnia niebo nad północną Treborea zasnuwał dym po wypalonych zbiorach, a na drogach tłoczyli się uciekinierzy z okolicznych wsi. Sierżant Khalor z ponurą miną patrzył z okna na zdewastowany kraj.

— Chyba jestem już na to za stary — mruknął pod nosem.

— Nie ty wynalazłeś wojny — powiedziała Dweia w zamyśleniu. — Dobrze widzisz z tej wysokości?

Khalor spojrział na płonące w dole pola.

— Możemy się nieco opuścić, tylko najpierw przesunmy się dalej na północ. Dzieją się tam rzeczy, których raczej wolałbym nie oglądać w szczegółach.

— To prawda.

W wieży nie wyczuwało się ruchu, ale widok z południowego okna stale się zmieniał.

— Można trochę niżej? — poprosił Khalor Dweię. — Chciałbym przyjrzeć się z bliska tym żołnierzom.

— Oczywiście, sierżancie.

Althalus stanął przy nich w oknie.

— Piechota składa się głównie z Kwerończyków i Regwosów — zauważył Khalor. — Widzę też paru Kagwherów, ale nie więcej.

— A co z jazdą? — spytał Althalus.

— To w większości pastuchy z pogranicza Perquaine i Regwosu. Nieźle jeżdżą konno, ale nie nazwałbym ich kawalerią pierwszej klasy. Plakandowie Kreutera nie powinni mieć z nimi trudności. Ale widzę tam kilku ludzi, których nie umiem zidentyfikować. Noszą czarne zbroje i chyba to oni wydają rozkazy. Co to za jedni?

— Nekwerosi — odpowiedziała Dweia. — Ghend lubi mieć własnych dowódców na czele najemników.

— Chyba nigdy dotąd nie widziałem żadnego Nekwerosa.

— To masz szczęście.

— Czy oni malują sobie te zbroje, że są takie czarne?

— Nie. To ma coś wspólnego z wykuwaniem i miejscem, gdzie się tego dokonuje. Ci akurat nie są prawdziwymi ludźmi, a te zbroje mają nie tyle ich chronić,

ile zasłaniać ich prawdziwe oblicze. Takich twarzy nie chciałbyś oglądać.

Z jadalni nadeszli Eliar i Gher.

— Panie znów rozmawiają o szmatach — poskarżył się Gher — a Bheid i Salkan nic, tylko w kółko o owcach. Nas to w ogóle nie interesuje, więc przyszliśmy popatrzeć sobie na wojnę.

— A co robi mój wódz? — spytał Khalor.

— To samo, co od kilku dni — odparł Eliar. — Siedzi i gapi się maślanymi oczami na pannę Astorell. — Nagle zamrugnął i chwycił za rękojeść Noża. — Tam w dole jest Treborea? — spytał, podchodząc do okna.

— Tak — odrzekł Althalus. — Twój sierżant chciał rzucić okiem na nieprzyjacielskie oddziały.

— Tam jest Ghend! Nóż omal mi nie wyskoczył zza pasa!

— Potrafisz Ghenda zlokalizować? — spytał Khalor.

— Chyba w tym spalonym mieście na wschodzie.

Ziemia w dole nieco się zamazała. Althalus poczuł lekki zawrót głowy; oczy mówiły mu, że się porusza, natomiast reszta ciała uparcie temu przeczyła.

— Jest! — szepnął Eliar, wskazując dwie sylwetki obok zgliszcz chłopskiej chałupy.

— Kto przy nim stoi? — spytał Khalor.

— Argan — odpowiedziała Dweia.

— Ten były kapłan? — upewnił się Eliar.

— Tak. Ghend zresztą też za nim nie przepada. Argan jest zbyt cywilizowany, a Ghend, jeśli się dobrze zastanowić, to barbarzyńca. Argan ma pewne ambicje i wierzy, że jego jasne włosy są oznaką wyższości rasowej. Dlatego pozbawiono go godności kapłańskiej.

— Pani, muszę posłuchać, o czym mówią — naglił Khalor.

Dweia skinęła głową i głos Ghenda stał się słyszalny.

— Nie wiem, jak ich znajdziesz, Arganie — warknął sługa Daevy — ale masz do nich dotrzeć. Niech nakażą swoim żołnierzom, by przestali palić pola, bo inaczej zagłodzą armię.

— Czy Gelcie i innym najemnikom w ogóle przyszło do głowy, że powinni mieć z sobą zapasy żywności? — spytał Argan.

— Przecież to prymitywy, tacy jak oni golą ziemię do spodu niczym bydło.

— Gelta naprawdę jest podobna do krowy, no nie? Nawet tak samo śmierdzi. Każę Smeugorowi i Tauriemu, żeby skończyli z wypalaniem, ale niewiele to da.

— O czym ty mówisz?

— Naprawdę, stary, powinieneś zwracać większą uwagę na płatnych sojuszników. Na tych dwóch marnujesz sporo złota, a tymczasem oni mają tytuły, ale żadnej władzy. Wszystkie decyzje podejmuje dowódca wojskowi.

— Więc każ im ruszyć tyłki i przejąć dowodzenie. Pożary mają się skończyć.

— Dobrze, przekażę im, co tylko sobie życzysz, chociaż powtarzam: niewiele to da. Popełniasz błąd, stary, ale to rzecz między tobą a Mistrzem, prawda?

— Jesteś w kontakcie z Yakhagiem?

— Jasne, stary. Nieźle go wyszkoliłem. Teraz nawet nie podrapie się w nos bez mojego pozwolenia.

— Powiedz mu, żeby powstrzymał Nekwerosów. Nie chcę, żeby Althalus dowiedział się o nich już teraz.

— Ja naprawdę wiem, co robię.

— Czy w Osthosie widać jakieś postępy?

— Kilka. Nasza religia cieszy się pewnym odzewem wśród doborowej arystokracji. Słowo „pokora” nie pasuje do wysoko urodzonych, a to działa na naszą korzyść.

— Stań na czele tych głupków, Arganie, ale najpierw obudź Smeugora i Tauriego.

— Już się robi, wielki wodzu — odrzekł Argan, kłaniając się szyderczo.

— Czy da się jakoś sprzątać Argana, zanim dotrze do Smeugora i Tauriego? — zapytał Khalor Dwień.

— Nie, sierżancie. Argan ma przed sobą jeszcze inne zadania, więc utrzymamy go przy życiu.

— Ależ nie wolno nam dopuścić do tego spotkania — naciskał Khalor. — Jeśli ci zdrajcy obejmą komendę, to pożary wygasną, a właśnie brak żywności wstrzymuje pochód napastników.

— Mogę coś powiedzieć? — odezwał się Gher nieśmiało.

— Mów, chłopcze.

— A jakby tak zamknąć Smeugora i tego drugiego w którymś z pokojów Domu? Wtedy ten niby-kapłan nie dostałby się do nich...

— To jest myśl! — zapalił się Althalus.

— Rzeczywiście — zgodził się Khalor — tylko nie wiem, jak wytłumaczyć to Wendanowi i Gelunowi.

— Można wszystkim powiedzieć, że Argan to płatny zabójca — zasugerował Gher. — Że spalenie całej pszenicy na polach doprowadziło Geltę do szału, więc wynajęła Argana i kazała mu poderżnąć gardła Smeugorowi i temu... jak mu tam. Oni się spietrali i zaczęli szukać kryjówki. Wtedy my wynajdujemy im naprawdę solidny fort... o tam, widzicie, na szczycie wzgórza. Zapowiemy, że będą tam bezpieczni, bo wokół jest pełno straży. I będą myśleli, że są w forcie, chociaż naprawdę będą w Domu. Strażnicy pomyślą, że Argan próbuje wtargnąć, żeby zabić wodzów, więc będą mieli na niego oko, a Argan będzie myślał, że wodzowie ukrywają się w forcie, żeby Ghend ich nie zabił za te pożary. Może tak być?

— Nie chcesz mi sprzedać tego chłopca, Althalusie, więc może pozwolisz mi go zaadoptować? — spytał błagalnie Khalor.

— Nie, sierzancie — odpowiedziała Dweia, przygarniając Ghera do siebie zaborczym gestem. — On jest mój i pozostanie mój.

— Dobrze to wymyśliłem, Emmy? — dopytywał się chłopiec.

— Po prostu na medal, Gherze — zapewniła go Dweia, przytulając policzek do jego kędzierzawej głowy.

— Puść go — powiedział stanowczo Gelun. — Pożyczę mu nawet swój nóż, jeśli aż tak rwie się do zabijania.

— Nie w samym środku wojny, Gelunie — protestował kapitan Wendan. — Brakuje nam tylko kłótni na temat sukcesji! Przyznaję, że nasz klan byłby znacznie szczęśliwszy bez Smeugora i Tauriego, ale tym zajmiemy się po wojnie.

— Czyżbym słyszał pierwsze pomruki buntu? — spytał chytrze Althalus.

— Wrrr... wrrr... Zadowolony? — odparł cierpko Gelun. — Ale Wendan ma rację. Chętnie wziąłbym udział w dwóch państwowych pogrzebach, jednak nie czas i nie miejsce po temu.

— Khalor ma dla waszych wodzów bezpieczną kryjówkę — oznajmił Althalus. — To stara, opuszczona forteca sprzed paru setek lat. Na tej granicy zawsze były kłopoty, toteż zostało sporo ufortyfikowanych ruin. Ta akurat wygląda dość groźnie, więc wystarczy jedna kompania straży, by zniechęcić wynajętego zabójcę. Może trzeba będzie naprawić dach, ale i bez tego jest niezłe.

— Grube mury i pełno straży to niemal jak więzienie — rozmarzył się Wendan. — Zabójca nie wejdzie, a wodzowie nie wyjdą...

— A jak już będziemy wracać do domu, możemy zapomnieć, gdzieśmy ich umieścili... — podchwycił Gelun.

— Ostatnio rzeczywiście zdarza mi się nie pamiętać szczegółów — wyznał Wendan ze złośliwym uśmiechem.

— To całkiem naturalne, kapitanie — rzekł Althalus. — Tyle masz teraz spraw na głowie... Nie dopuście do wygaszenia tych pożarów pól. Jak już nasi wrogowie zjedzą wszystkie konie, zaczną zreć buty, a bosa armia nie posuwa się zbyt szybko. Roześlijcie też rysunek zabójcy, niech wszyscy dowiedzą się, jak wygląda. Jeśli się wam poszczęści i zdołacie go zabić, nie ma potrzeby zawiadamiać Smeugora i Tauriego.

— Jakżebyśmy śmieli? To przecież dostojnicy, nie wolno zawracać im głowy takimi głupstwami!

— Jesteś wcieloną kurtuazją, kapitanie! — zawołał Althalus z przesadnie niskim ukłonem. — Będę z wami w kontakcie, panowie. Życzę miłego wojowania.

— Zaczynają powoli wpadać w desperację — zauważył sierżant Khalor ze swego stanowiska przy południowym oknie wieży. — W wiejskich okolicach nie

ma już nic do jedzenia. Jeśli szybko nie zdobędą jakiegoś miasta, zagłodzą się na śmierć. Trzeba będzie umieścić klan Laiwona wewnątrz murów Kadonu. Dopilnuj tego, Eliarze.

— Tak jest, sierżancie!

— Pójdę z nim — zaofiarował się Althalus. — Wódz Laiwon i diuk Olkar to zupełnie różni ludzie, mogą wyniknąć jakieś małe tarcia.

— Małe? — prychnęła Andina. — Przecież Laiwon nie ma bladego pojęcia, co znaczy słowo „dyplomacja”!

— No, owszem — przyznał Khalor — jest nieco bezpośredni.

— Dopilnuję, żeby się nie wychylał — obiecał Althalus. — Chodźmy po niego, Eliarze.

— Dobra. Jego klan jest w południowo-zachodnim skrzydle.

— Jak ci się układa z Andina? — spytał po drodze Althalus.

Eliar wzniosł oczy w górę.

— Pamiętasz, jak dawniej byłem ciągle głodny?

— O tak — roześmiał się Althalus. — Niemal bałem się zabrać cię do lasu, żebyś nie pozjadał wszystkich drzew, gdy się zdrzemnę.

— No, aż tak źle nie było.

— Ale prawie.

— Andina mnie z tego wyleczyła. Czasem na sam widok jedzenia robi mi się niedobrze. Niech tylko zacznę się rozglądać, a już stoi przy mnie z jakimś kąskiem, gotowa wetknąć mi go do ust.

— Bo cię kocha. A dla kobiet i ptaków pokarm to miłość.

— Może, ale wolałbym, żeby znalazła inny sposób okazywania uczuć.

— I tak się stanie, tylko że Dweia na razie do tego nie dopuszcza. Kiedy nadejdzie pora, lepiej miej się na baczności.

Eliar poczerwieniał.

— A może porozmawiamy o czymś innym?

— Jasne. Na przykład o pogodzie...

Przeszli mrocznym korytarzem do południowo-zachodniego skrzydła, gdzie klan Laiwona posuwał się mozolnie z nieobecny wyrazem twarzy.

— Myślę, że są u podnóża wzgórz w południowym Kagwherze — szepnął Althalus. — Jeszcze na początku Emmy mówiła mi, jak przygotowuje się umysły ludzi do gwałtownej zmiany miejsca. Nie wiem dokładnie, jak ona to robi, ale kiedy im mówię, że coś już się stało, Emmy sprawia, że pamiętają to tak, jakby to przeżyli. Przywiązuje dużą wagę do nazw. Zawsze każe mi je wypowiadać, a wtedy ludzie widzą owo miejsce i wydaje im się, że szli tam przez miesiąc albo dłużej.

— Miałem wrażenie, że tak to się odbywa. Więc powiadasz, że trzeba wymawiać nazwy?

— W kółko mi to powtarza. Domyślam się, że gdybym jej nie posłuchał, ci ludzie nie zobaczyliby miejsc, do których ich przenoszę.

— Słowa są bardzo ważne dla bogów... Czy to nie klan Laiwona, tam przed nami?

Eliar zerknął na korytarz.

— Tak, widzę na kiltach ich wzór. Musisz na to uważać; wzór Laiwona jest bardzo podobny do wzoru Twengora, a przecież nie chcemy umieścić Twengora za murami Kadonu.

— Racja. Sierżant Khalor by na ciebie naskoczył, a mnie Dweia wypominałaby wpadkę przez całe miesiące.

Wmieszali się między żołnierzy w kiltach i po krótkiej wymianie zdań zaprowadzono ich do wodza Laiwona.

— Co tu robisz, szambelanie? — zdziwił się Laiwon na widok Althalusa.

— Szukam cię — odparł tamten lakonicznie.

— Ale jużemy cię znaleźli — wtrącił szybko Eliar. — Macie znacznie lepszy czas, niż oczekiwaliśmy. Miasto Kadon jest tuż za tym wzgórzem, a ponieważ znaleźliście się najbliżej, sierżant Khalor chce, żebyście zasilili tamtejszy garnizon. Napastnicy są w odległości dwóch dni marszu i z pewnością rozpoczną oblężenie. Mieliście jakieś kłopoty w drodze z Kagwhereu?

— Nic poważnego. Kanthończycy są skoncentrowani na inwazji. Przemknęliśmy cichaczem przez ich terytorium. A co słyhać na wojnie? Trochę wypadłem z obiegu.

— Napastnicy są wycieńczeni — powiedział Althalus. — Klany Smeugora i Tauriego podpaliły pola, więc nie zostało nic do jedzenia.

— Nie wierzę, że wpadli na taki pomysł.

— I masz rację. Dopilnowali tego dowódcy ich wojsk.

— Powiniennem się domyślić. A ten Kadon ma dobre mury?

— Lepsze niż przed wizytą sierżanta Khalora, który wysunął kilka propozycji — odrzekł Eliar.

— Ach, ten Khalor! — skrzywił się Laiwon. — Rozumiem, że mam po prostu przesiedzieć oblężenie?

— Właśnie — przyznał Althalus. — Dopóki utrzymasz Kadon, jedna trzecia nieprzyjacielskich wojsk będzie uwiązana.

— To dość nudne.

— Płacę ci za tę przykrość.

— Gdzie zamierzacie umieścić mego wuja?

— W mieście Poma, daleko na wschodzie. Mury Pomy to czysta kpina, więc najeżdźcy bez trudu tam wejdą. Sierżant Khalor myśli, że wódz Twengor z przyjemnością weźmie udział w walkach ulicznych.

Laiwon westchnął.

— Ten to się zabawi... — zauważył z żalem.

Althalus oddalił się, by uprzedzić diuka Olkara o nadejściu oddziałów Laiwona. Trzeźwy człowiek interesu lekko się wystraszył.

— Ale nie rozwalą mi miasta?

— Raczej nie — uspokoił go Althalus. — Najwyżej stłuką kilka szyb i połamią jakieś meble w oberżach, ale przypuszczalnie nie spalą zbyt wielu budynków.

Diuk Olkar patrzył na niego ze zgrozą.

— Żartowałem, wasza miłość — zachichotał Althalus. — Wódz Laiwon trzyma swych żołnierzy żelazną ręką. Proszę spisać ewentualne szkody i po wojnie przysłać mi rachunek.

W oczach diuka błysnęła chytrłość.

— Uczciwy rachunek — uściślił Althalus. — I proszę nie rozwijać radosnej twórczości, bo nie ze mną takie numery. Uprzedzam, że zażądam okazania każdego stłuczonego półmiska. A teraz wyjdźmy przed główną bramę i powitajmy dzielnych obrońców twego wspaniałego miasta.

Diuk Olkar z wodzem Laiwonem nie przypadli sobie specjalnie do gustu. Althalus musiał przyznać, że w pewnym stopniu sam temu zawinił. Przede wszystkim nie powiedział Olkarowi ani słowa o kiltach i diuk zbyt gwałtownie zareagował na tradycyjny arumski strój.

— Ależ oni noszą spódnice! — zakrzyknął tak gromko, że aż rozległo się echo.

W ten sposób przekreślił szansę na przełamanie pierwszych lodów i kiedy wódz Laiwon stanął u bram, jego twarz przypominała chmurę gradową. Althalus musiał bardzo szybko coś powiedzieć, by zapobiec rozlewowi krwi.

Potem wynikła sprawa dymu. Od kilku tygodni wiatr dał głównie z zachodu, naganiając na miasto dym znad wypalonych pól. W nocy jednak wiatr uciął i kiedy wojska Laiwona podeszły do Kadonu, słup gęstego dymu na ich tyłach wznosił się aż pod niebo.

— Co tam się pali? — spytał podejrzliwie diuk.

— Pola pszenicy — odrzekł spokojnie Laiwon.

— Powariowaliście?!

— Możliwe. Gdybym był przy zdrowych zmysłach, nigdy w życiu nie przyjąłbym tej roboty. Na tym między innymi polega wojna, zdawało mi się, że każdy o tym wie. Zostaliście napadnięci, mój mieszczychu, i nasze dwa klany usiłują opóźnić marsz wrogich wojsk. Podpalanie zbóż to zwykła praktyka w takich sytuacjach. Większość armii woli nie przedzierać się przez ogień, ale w gruncie rzeczy nie dlatego to robimy.

— Przecież puszczacie z dymem miliony!

— Co za różnica? — obruszył się Laiwon. — Teraz to terytorium wroga, więc i tak nie zebralibyście ani kłosa. Pola należą do nich i prawdopodobnie zamierzali użyć tych zbiorów do wykarmienia wojska. Ale nic z tego nie wyszło, więc będą

musieli mocno okroić racje. Każdy zagłodzony na śmierć żołnierz oznacza o jednego wroga mniej podczas ataku na miasto. Czy naprawdę myślałeś, że pozwolą ci na żniwa?

— To zboże jest moje! Zapłaciłem za nie!

— Zawsze możesz oddać sprawę do sądu — zasugerował Laiwon z rozbawieniem. — Będziesz jednak potrzebował paruset tysięcy pomocników, aby zaciągnąć oskarżonych przed trybunał. Ale mamy teraz inne sprawy na głowie. Gdzie są kwatery moich ludzi?

— Na drugim końcu miasta. Koło jeziora jest kilka pustych magazynów, powinny się nadać. Nie życzę sobie naruszania porządku w centrum, więc przejdźcie od razu do tylnej bramy.

— Co takiego?! — wrzasnął Laiwon. — Althalusie, natychmiast się rozliczamy i jesteście kwita. Nie będę nigdzie wchodził przez tylną bramę! — Obrócił się do swych pobratymców. — Koniec wojny, bracia! W tył zwrot, na Arum marsz!

— Nie zrobisz tego! — protestował Olkar.

— Nie podoba mi się twoja postawa, konusie. Sam se broń tego zafajdanego miasta!

Althalus stracił dobrą godzinę na wyjaśnianiu tego drobnego nieporozumienia, przy czym musiał dość poważnie obciążyć winą diuka Olkara. Kiedy ten ostatni oddalił się wreszcie w gniewie, wódz Laiwon splunął.

— Trzymaj z dala ode mnie tego nadętego głupka, Althalusie, bo inaczej go zabije! Możesz go nawet zamknąć w pałacu. A teraz chodźmy obejrzeć mury, prawdopodobnie będę musiał dodać to i owo.

— Wedle rozkazu, wodzu Laiwonie!

— Och, dajże spokój!

— Panowie — mówił Althalus do Smeugora i Tauriego — szpiegdy waszych dowódców donieśli, że najeźdźcy planują zamach na wasze życie. W tym forcie będziecie bezpieczni.

— Chcą nas zamordować? — przeraził się Smeugor.

— Podczas wojny zdarzają się takie rzeczy. Możecie nawet potraktować to jako komplement. Skoro nieprzyjaciel nienawidzi was aż tak bardzo, to znaczy, że postępujecie słusznie.

— Nic wielkiego nie zrobiliśmy — protestował Tauri.

— Zgadza się, nic, co by odbiegało od normy. Ale za to wasi ludzie świetnie wykonują swą robotę.

— A co właściwie robią Wendan i Gelun? — spytał Smeugor.

Althalus wzruszył ramionami.

— Inwazja rozpoczęła się pod koniec lata i bynajmniej nie był to przypadek. W tym czasie dojrzewają zboża i najemnicy arya Kanthonu zamierzali żywić się

nimi podczas marszu. Wendan i Gelun tak pograli, że na polach nie zostało nic do jedzenia... oprócz samej ziemi. Po prostu podpalili zboże i pastwiska. Teraz w promieniu pięćdziesięciu mil ani ludzie, ani konie nie mają co jeść i powoli umierają z głodu.

— Nie wydaliśmy takiego rozkazu! — wykrzyknął Tauri z pobladłą twarzą.

— Nie musieliście. To normalna praktyka. Słowo „zwłoka” zwykle oznacza „podpalenie”, myślałem, że o tym wiecie.

— Nigdy o czymś takim nie słyszałem! Każ im natychmiast przestać!

— Tak? A niby dlaczego? To odnosi skutek, Tauri. Armia nieprzyjacielska posuwa się znacznie wolniej, a nasze siły zyskują czas, by się przygotować. Wasi ludzie robią dokładnie to, za co wam płacę.

— Ale...

Nagle Smeugor szturchnął Tauriego łokciem w żebro.

— Cieszymy się, że tak dobrze sobie radzą — rzekł trochę bez przekonania.

— Na waszym miejscu trzymałbym się z dala od tego okna — ostrzegł ich Althalus. — Jakiś łucznik mógłby przypadkiem trafić do celu... — Sięgnął pod tunikę i wyjął kawałek papieru. — Jeden z naszych szpiegów jest dość utalentowany. Narysował człowieka, którego opłacono, aby was zabił. Strażnicy tego fortu otrzymali kopie, więc wiedzą, kogo szukać. Nic wam tu nie grozi, ale nie radzę zapuszczać się na zewnątrz. Ja już was przepraszę, mam mnóstwo spraw do załatwienia.

— I co, mistrzu, podziałało? — dopytywał się ciekawie Gher, kiedy Althalus wrócił do wieży.

— Wiją się niczym piskorze, mój chłopcze. Obydwaj rozpoznali na rysunku Argana i doskonale wiedzą, że ma dla nich wiadomość od Ghenda. Nasza bajeczka o rzekomym zabójcy w pełni usprawiedliwia trzymanie ich pod kluczem, więc nie mogą protestować bez wzbudzenia podejrzeń. Co gorsza, wiedzą też, że nie wytłumaczą się przed Ghendem z tych pożarów. Ghend w życiu nie uwierzy, że to nie był ich pomysł, i przypuszczalnie naśle na nich mordercę. Myślę, że zupełnie nie widzą wyjścia.

— Założę się, że są bliscy obłędu — uśmiechnął się złośliwie Gher.

— Postawiliśmy ich pod ścianą. Może powinniśmy powiedzieć prosto z mostu, że wiemy o ich zdradzie i dlatego zostali zamknięci.

— To by wszystko popsuło, mistrzu Althalusie! Czy nie śmieszniej jest trzymać ich w nieświadomości?

— Śmieszniej... no tak. Znacznie śmieszniej. — Althalus spojrzął w drugi koniec pokoju. — Co nasze panie tam kombinują?

— Emmy uczy Andinę udawać. To ma coś wspólnego z tym koszmarem, który przyśnił się nam wszystkim. O tej złej kobiecie, co stanęła na szyi Andiny. Andina

strasznie się wściekła, kiedy Leitha powiedziała, że dwóch jej generałów pracuje dla Ghenda. Chce ich żywcem oberżnąć. . .

— Jak to? Oberżnąć?

— No, chyba pościagać z nich skórę. Ale Emmy powiedziała, że nie, Andina ma udawać słodką idiotkę, nieśmiałą i wystraszoną. . .

— Andina? Wystraszona?

— Nie bardzo jej to wychodzi — przyznał Gher. — Ma straszne kłopoty z głosem. Emmy chce, żeby brzmiał płacząco i żałośnie, ale tego Andina nie potrafi. Ciągłe próbuje głosem tłuc szyby. Jest taka słodka, kiedy się wkurzy, no nie?

— Zależy, z którego miejsca spojrzeć. Gdybyś stał wtedy tuż przed nią, słowo „słodka” raczej nie przyszłoby ci do głowy.

— Może i masz rację. Nawrzeszczała na mnie kilka razy i wcale nie było mi przyjemnie.

— Gdzie jest wódz Albron?

— Na dole, z tą od konia. Ona uczy go różnych sztuczek, które konni żołnierze wyprawiają podczas walki. Nie sądzę jednak, by wiele się nauczył. Lubi na nią patrzeć. . . nie rozgryzłem jeszcze dlaczego, no i tak patrzy i patrzy, że chyba wcale nie słucha.

— Chyba nie.

— Bo znów chodzi o chłopacko-dziewczyńskie sprawy? Naprawdę wolałbym, żeby nie robili tego przy mnie. Zawsze mnie to wnerwia, bo nigdy nie wiem, co będzie dalej.

Althalus poskrobał się w policzek z namysłem.

— Niedługo będziemy musieli uciąć sobie poważną rozmówkę, mój chłopcze.

ROZDZIAŁ 32

Po prostu nie mogę! — milczący głos Andiny odbijał się echem w ich umysłach. — *Nie będę się kłaniać tej krostowatej wiedźmie, niech robi ze mną, co chce!*

Nic z tego, Em — mruknął Althalus w głębszej, niedostępnej dla innych warstwie świadomości. — *Czemu nie pozwalasz, abym się tym zajął?*

A dlaczego ona zwyczajnie nie usłucha? — zdenerwowała się Dweia.

Załatwię to, kiciuniu. Idź, umyj sobie pyszczek czy coś. Potrafisz znakomicie się czaić, ale to jest znacznie bardziej skomplikowane. — Nagle urwał. — *Nie podstuchuj, Leitho.*

Leitha, która siedziała przy marmurowym stole i przewracała karty Księgi, spojrzała na niego niewinnie.

Mówię serio — strofował ją Althalus. — *Nie wchodź tu, jeśli cię nikt nie prosił.* — Następnie przeniósł wzrok na Andinę, która nadal dąsała się przy północnym oknie. — Porozmawiajmy — zwrócił się do niej na głos.

— Nic ci z tego nie przyjdzie, Althalusie. Nie zrobię tego i już.

— Dlaczego?

— Bo jestem aryą Osthosu, a Gelta to zwykłe bydło.

— Czy to nie znaczy, że jesteś od niej sprytniejsza?

— Oczywiście.

— Na razie jakoś tego nie widać.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Chcąc zwabić zwierzę do pułapki, mała księżniczko, musisz zastawić przynętę. Jeśli polujesz na ptaka, sypiesz ziarno. Na wilka albo niedźwiedzia najlepiej nada się mięso. A my chcemy mieć na kolację pieczeń z Gelty, prawda?

— Co za obrzydliwość!

— Mówię metaforycznie. Trzeba by użyć mnóstwo przypraw, żeby nadawała się do jedzenia. Ale jeśli chcemy zwabić ją w pułapkę, musimy zastawić tak kuszącą przynętę, żeby Gelta nie mogła się jej oprzeć. I to jest twoje zadanie. Bądź nie do odparcia. Bądź słodka, delikatna i rozkoszna... dopóki cię nie dotknie. Wtedy zatrzaskniemy pułapkę i pošlemy babsko do pieca.

Andina długo rozważała propozycję.

— Pod jednym warunkiem, Althalusie — rzekła w końcu.
— Tak?
— Dostanę jej serce.
— Andino! — wykrzyknęła z oburzeniem Leitha. — Jesteś jeszcze gorsza od Gelty!

— Mówiąc metaforycznie, oczywiście — dodała Andina.
Będzie doskonała, Althalusie — zamruczała Dweia. — *Niczego nie zmieniaj.*

— Dlaczego? — spytał Salkan Bheida, kontynuując dyskusję, która wyraźnie trwała przez cały ranek; Althalus właśnie wszedł do jadalni w poszukiwaniu Eliara.

— Bo zawsze tak było — odparł Bheid.

— Ale to nie znaczy, że tak jest słusznie, bracie Bheidzie — oświadczył Salkan. — Jeśli ktoś chce porozmawiać z bogiem, powinien móc to zrobić, kiedy i gdzie zechce. Nie trzeba go zmuszać, by chodził do świątyni i płacił chciwemu kapłanowi za pośrednictwo. Nie próbuję cię obrazić, bracie Bheidzie, ale ja widzę, że kapłanom bardziej zależy na pieniądzach niż na bogu czy dobrym samopoczuciu ludzi.

— I tu cię ma! — wtrącił Eliar. — Kapłani zawsze mieli lepkie ręce.

— Nie ci prawdziwi — zaprotestował Bheid.

— Może masz rację — ustąpił Salkan — ale jak ich odróżnić od fałszywych? Przecież wszyscy ubierają się tak samo. Ja tam wolę trzymać się owiec. Nie byłby ze mnie dobry kapłan, nigdy nie umiałem oszukiwać.

Nie naciskałbym więcej, Bheidzie — zasugerował milcząco Althalus. — *On nie jest jeszcze gotowy, ty zresztą także.*

Co to ma znaczyć? — nastroszył się Bheid.

Twoje teologiczne poglądy zmieniły się nieco w ciągu ostatniego lata, prawda? Chyba powinieneś odbyć dłuższą rozmowę z Emmy, zanim wystartujesz do nawracania pogan. — Nagle Althalus spojrział przez stół na Eliara. — Twój sierżant nas potrzebuje — rzekł głośno.

— W porządku — zgodził się ochoczo Eliar, podnosząc się z krzesła i obchodząc stół.

— O co chodziło Bheidowi? — spytał Althalus, kiedy już wyszli.

— Nie jestem pewien. On ma teraz mętlik w głowie. Najpierw Emmy zrobiła spory wyłom, przekonując go, że astrologia to bzdura, a kiedy Leitha wciągnęła go do „rodziny”, jeszcze mu się pogorszyło.

— Ten pomysł z „rodziną” mógł być błędem — przyznał Althalus.

— A jednak jest w nim sporo racji. Z początku niezbyt mi się podobał, ale kiedy wróciłem do Domu z Leitha i Andina, zaczęło mi to pasować.

— Zmieniłeś się trochę, odkąd dałeś się wchłonąć.

— A ty się zmieniłeś, kiedy Emmy cię wchłonęła?

— Chyba tak. Ale zanim człowiek przywyknie, musi minąć trochę czasu, prawda?

— O tak! — wykrzyknął z przekonaniem Eliar. — Tobie poszło łatwiej, bo od początku miałeś do czynienia tylko z Emmy, a po mojej głowie krążą aż trzy osoby. — Nagle zmienił temat. — Właściwie do czego potrzebuje mnie sierżant?

— Chce pogadać z Kreuterem i Dreigonem, tylko nie jest pewien, w jakiej części Domu snują się ci dwaj. Nie musisz o tym trąbić, lecz moim zdaniem sierżant nadal czuje się w Domu trochę niezręcznie. Drzwi akceptuje, póki ty je otwierasz, ale nie podejmie żadnego ryzyka. Kiedy Gelta rąbnęła cię toporem, miał okazję rzucić okiem na Nahgharash i od tej pory obawia się, że mógłby przypadkiem otworzyć te akurat drzwi.

— Myślą, że obozują na zachodnim brzegu jeziora Daso w Equero — powiedział Althalus Khalorowi, kiedy Eliar prowadził ich wschodnim korytarzem ku rozległemu obozowisku. — Lepiej uważać, co się mówi, żeby ich nie niepokoić.

— Ja sam jestem zaniepokojony — odparł sierżant. — Czemu oni mają mieć lepiej? — Nagle się uśmiechnął. — Przepraszam, Althalusie, nie mogłem się powstrzymać.

Z Kreuterem i Dreigonem spotkali się w płóciennym namiocie pośrodku korytarza. Khalor wręczył im starannie przygotowaną mapę.

— Dobrze rysujesz mapy, Khalorze — zauważył siwy Dreigon. — Czy odległości są bliskie prawdy?

Khalor skinął głową.

— Staralem się je odtworzyć jak najwierniej, ale mapa, na której się wzorowałem, nie była zbyt dokładna, więc wprowadziłem kilka poprawek.

— Myślisz, że te trzy miasta wytrzymają? — spytał Kreuter.

— Kadon wytrzyma i trzy miesiące. Broni go Laiwon, a on wie, jak uprzykrzyć życie oblegającym.

— Rzeczywiście — zgodził się Dreigon.

— Do Maworu zamierzam dać Koleikę Żelazną Szczękę — ciągnął Khalor. — Tamtejszy diuk wziął sobie wyraźnie za punkt honoru, by uczynić Mawor najlepiej ufortyfikowanym miastem na świecie. Budynek są nieco zaniedbane, ale żebyście widzieli te mury! Jeśli dodamy do nich uparciucha Koleikę, napastnicy nie wyjdą stamtąd żywi.

— A co z tym drugim miastem, Pomą? — spytał Kreuter.

— Tam będzie kłopot — przyznał Khalor. — Wystarczy lekki wiaterek i mury Pomy legną w gruzach. Chcę tam wysłać Twengora. Na pewno skończy się na walkach ulicznych, a on jest w tym naprawdę dobry.

— Jeśli jest trzeźwy — dodał Dreigon.

— Ma problemy z piciem? — zaniepokoił się Kreuter.

— W zasadzie nie — odparł Dreigon. — Zwykle przed obiadem wlewa w siebie beczkę dobrego piwa. Oczywiście potem nie może ustać na nogach, ale nie widzi w tym nic zdrożnego. Jest wielki jak dom i wpada po drodze na różne przedmioty, które niestety się przewracają.

— Nie znoszę pracować z pijakami!

— Już ja go otrzeźwię — obiecał Althalus.

— No nie wiem... — wahał się Kreuter. — Jeszcze nie widziałem zdeklarowanego pijaka, który potrafiłby przestać pić.

— Ten jeden raz mi zaufaj, generale.

— A jak się miewa Astorell? — spytał Kreuter sierżanta.

— Ach, świetnie. Mój wódz jest jak rażony piorunem.

— Naprawdę? Trzeba by się nad tym zastanowić. Mógłbym oczywiście zabić jej parszywego braciszka i tego starego pryka, który próbował ją kupić, ale rozpętałbym wojnę w całym Plakandzie. Może powinienem z nią porozmawiać i wypytać, co ona na to. Wasz wódz jest chłop na schwał, może i Astorell coś do niego czuje. Miejmy to na uwadze, Khalorze, rozwiązalibyśmy wiele problemów.

— Z ust mi to wyjąłeś, Kreuterze. Gdyby udało mi się wyswatać wodza, siedziałby w domu i miałbym go z głowy.

Kiedy następnego ranka Althalus z Khalorem zjawili się na północnym korytarzu, wódz Twengor miał już mocno w czubie. Siedział w samym środku obozowiska, rozwalony na masywnym krześle u szczytu długiego stołu, przed otwartą beczką piwa i śpiewał... no, przynajmniej tak mu się wydawało.

— Minie cały dzień, zanim go otrzeźwimy — mruknął Khalor do Althalusa, kiedy doprowadzono ich przed oblicze wodza.

— Może uda się prędzej — odrzekł Althalus, szperając na gwałt w pamięci.

— Hej, Khalorze! — ryknął Twengor, wymachując rogiem, z którego popijał.

— Siadaj tu zaraz i do roboty! Masz zaległości!

— A ty, wodzu, potężny start!

— Ja myślę — zarechotał Twengor. — W końcu pracuję nad tym już trzeci dzień!

To była ważna wiadomość. Jeśli Twengor potrzebował aż trzech dni, by doprowadzić się do takiego stanu, może szybciej będzie zabrać go na drugi koniec, niż zawrócić do początku. Althalus zerknął na czerwoną jak burak twarz wodza i mruknął pod nosem:

— *Egwrio.*

Twengorowi oczy uciekły w tył głowy. Wódz osunął się bezwładnie na ziemię i po chwili spod stołu rozległo się donośne chrapanie.

— Widzę, Khalorze, że nasz wódz całkiem cię przegonił! — Jeden z zastępców Twengora zaczął ryczeć ze śmiechu.

Althalus poszedł za ciosem. . . oraz starożytnym słowem, które dopiero co powaliło olbrzyma. Nad obozem w północnym korytarzu nagle zapanowała cisza, przerywana tylko chrapaniem.

— Coś ty zrobić? — zaniepokoił się Khalor.

Althalus wzruszył ramionami.

— Chyba można to nazwać przyśpieszeniem. I tak wędrowali w tym kierunku, ale żeby dojść tam, gdzie są teraz, straciliby cały dzień.

— Stracą go i tak na sen — zauważył Khalor.

— Wcale nie. — Althalus obejrzał się na korytarz. — Możesz już wejść, Eliarze!

Jasnowłosy Arumczyk dołączył do nich i od razu machnął ręką przed nosem.

— Ale śmierz! —

— Oddychaj płytko — poradził mu Althalus. — Które drzwi wyprowadzą nas na drogę przed samą Pomą?

— Te! — Eliar wskazał najbliższe.

— Idź naprzód i otwórz je. Zaraz ich tam skieruję.

— Przecież oni śpią!

— Tylko my o tym wiemy. Im się zdaje, że wciąż maszerują.

— To w ogóle nie ma sensu — zauważył Khalor.

— Zaraz nabierze. — Althalus zerknął na Eliara. — Potrzebuję drzwi do ostatniego tygodnia, a zarazem na drogę do Pomy.

— Do ostatniego tygodnia? — zdziwił się Eliar.

— Otrzeźwić pijanego może tylko czas, więc będę potrzebował co najmniej tygodnia. Naszym brudasom każę zaraz maszerować we śnie, ty zaś przeprowadzisz ich do poprzedniego tygodnia i z powrotem. Dopiero potem puścimy ich na drogę do Pomy.

— A nie prościej będzie użyć do tego jednych drzwi?

— Potrafisz to zrobić? — zdumiał się tym razem Althalus.

— Myślę, że tak. — Eliar położył dłoń na rękojęści Noża i koncentrował się przez chwilę. — Tak — powiedział zdecydowanie. — Już pamiętam: framuga! Zawsze muszę sobie o tym przypominać. Miejsce jest w drzwiach, a czas we framudze.

— Czy ty w ogóle masz pojęcie, o czym on gada? — spytał Khalor Althalusa.

— Tak jakby. Twengor i jego ludzie pójda do zeszłego tygodnia i wróca, przechodząc przez próg. Będą ciężko zalani tam, a trzeźwi jak dzieci tutaj. Dostaną na wytrzeźwienie dwa tygodnie, wykonując tylko ten jeden krok. A że będą szli we śnie, nie dowiedzą się, co się stało.

— No to na co czekacie? Nie gadać, tylko wykonać! Czasem jesteście tak samo niezdolni jak Gher!

— Oni są niepoważni! — wybuchnął wódz Twengor na widok murów Pomy.

— Diukowi Bherdorowi brakuje kręgosłupa — przyznał sierżant Khalor. — Tutejsi kupcy nie chcą płacić podatków, a Bherdor jest zbyt miękki, by nalegać.

— Chcę mieć tu wolną rękę, Althalusie — zażądał Twengor, który zdążył już wytrzeźwieć. — Macie się do mnie nie wtrącać.

— Co ci chodzi po głowie, wodzu?

— Zamierzam zmusić tych kupców do płacenia podatków, i to w podskokach. Tylko oni są w stanie wzmocnić te mury.

— Raczej się na to nie zgodzą.

— Mam na nich bat. Zgodzą się, Althalusie. Jak ja mówię, że się zgodzą, to tak będzie. Chodźmy teraz pogadać z tą galaretą, która mieni się diukiem.

Weszli do miasta. Irytacja Twengora jeszcze bardziej wzrosła na widok dzielnicy handlowej, gdzie sklepy przypominały pałacyki, a nie miejsca do prowadzenia interesów. Kiedy dotarli do zrujnowanego pałacu diuka, twarz Twengora była twarda jak stal.

— Oto wódz Twengor, wasza miłość — przedstawił go Khalor wymoczkowatemu diukowi. — To on będzie bronił miasta.

— Chwała bogom! — wykrzyknął diuk drżącym głosem.

— Potrzebuję kilku rzeczy, wasza miłość — rzekł bez wstępów Twengor. — Bo chyba mogę liczyć na współpracę?

— Oczywiście, wodzu, oczywiście.

— To dobrze. Niech za pół godziny wszyscy obywatele Pomy zbiorą się przed pałacem. Muszę z nimi porozmawiać.

— Nie wiem, czy przyjdą, wodzu. Kupcy nie lubią, gdy się im zakłóca ruch w interesie.

— Przyjdą, przyjdą. Wasza miłość ogłosi, że każdego, kto odmówi, moi ludzie powieszą na tych znakach, które sterczą nad drzwiami ich cacanych sklepów.

— Nie odważycie się!

— Zobaczymy.

— Na trzeźwo to zupełnie inny człowiek — szepnął Eliar do Khalora.

— O tak! Zawsze był taki, nim zaczął nurkować do dna każdej beczki piwa, jaką napotkał na swej drodze. Nie ma już tak jasnego umysłu jak przed dziesięcioma laty.

Twengor wysłał kilku swoich ludzi, aby wraz ze strażą pałacową ściągnęli mieszkańców Pomy na plac. Do południa zebrali się niemal wszyscy. Bogato odziani kupcy nie kryli oburzenia i wymieniali między sobą gniewne uwagi.

— Ehm... Za pozwoleniem... — zaczął słabym głosem diuk z balkonu.

Tłum nie zareagował.

— Wasza miłość pozwoli — przerwał mu Twengor i wystąpił naprzód z toporem w ręku. — Cisza!!! — ryknął.

Gwar ustał w jednej chwili.

— Ziemie aryi Osthosu zaatakowali Kanthończycy — obwieścił krótko wódcz. — Może niektórzy z was o tym słyszeli, zresztą mniejsza o to. Jestem Twengor Arumczyk. Najęto mnie do obrony waszego miasta, a to oznacza, że ja tu wydaję rozkazy i powieszę każdego, kto nie będzie słuchał.

— Nie możesz! — wykrzyknął jeden z kupców.

— Poczekaj, to się przekonasz. Rozejrzyj no się, mieszczechu. Ci z toporami i mieczami to moi pobratymcy. Są gotowi na każdy mój rozkaz, czyli że ja tu rządę. Przede wszystkim musimy się zająć murami.

— To sprawa diuka Bherdora, nie nasza — zaprotestował inny kupiec.

— W jakim wy mieście żyjecie? Jeśli Kanthończycy rozwalą mury, spalą Pomę do gołej ziemi i wybiją wszystkich mieszkańców. Czy to nie znaczy, że mury są także waszą sprawą? — Twengor zawiesił na chwilę głos. — Bardzo sprytnie wmówiliście swemu diukowi, że nie jesteście w stanie płacić dziesięcioprocentowego podatku. Kanthończycy wymuszą na was sto procent, bo kiedy złupią miasto, nic wam nie zostanie. No, ale martwi ludzie niczego nie potrzebują, mam rację? A teraz bierzmy się za mury.

— Skąd mamy wziąć kamienie? — spytał ktoś z tłumu.

Twengor powiódł wzrokiem wokoło.

— Widzę tu mnóstwo kamienia budowlanego: są domy, sklepy, magazyny i tak dalej. Może po wojnie będziecie mieszkać w namiotach, ale będziecie żywi, więc nie traćmy czasu.

— Dobra mowa! — pochwalił go Khalor.

— Słowa zawsze gładko mi szły — odrzekł skromnie Twengor.

— Musisz to zobaczyć, mistrzu Althalusie — chichotał Gher od okna, kiedy we trzech wrócili do wieży. — Argan próbuje wśliznąć się do fortu, żeby dostać Smeugora i tego drugiego. Szczeka mu opadnie, jak się przekona, że ich tam wcale nie ma...

— A co w Pomie? — zapytała Andina.

— Twengor był dość agresywny — odparł Khalor. — Ale udało mu się postawić jasno sprawę. Teraz obywatele Pomy uczą się nowego rzemiosła. Nie są zbyt dobrymi murarzami, ale nadrabiają to entuzjazmem.

— Czy mury wytrzymają?

— Nie ma mowy. Zgarnąłem paru pasterzy od Dreigona i Gebhela, więc oprócz łuczników Twengor będzie miał też procarzy. Teraz stara się otworzyć aleje, żeby chłopcy mieli pole do strzału, kiedy nieprzyjaciel wtargnie do miasta. Przygotowuje też miejsce do walk. Niewiele zostanie z Pomy, kiedy to się skończy.

Althalus i Gher patrzyli z okna na fort, w którym kryli się Smeugor i Tauri.

— Gdzie jest Argan? — spytał Althalus. — Jakoś nie mogę go dostrzec.

— Chowa się w tych krzakach po zachodniej stronie. On naprawdę umie się podkładać. Czekaj, aż zrobi się ciemno i będzie mógł wejść do środka. Ma powiedzieć Smeugorowi i temu drugiemu, żeby przestali podkładać ogień na polach, ale oczywiście ich nie zastanie. Za to znajdzie kartkę, którą zostawiliśmy mu z Eliarem.

— Jaką kartkę?

— To Eliar ci nie powiedział?

— Musiał zapomnieć. Czemu sam mi nie powiesz?

— No więc któregoś dnia gadaliśmy o Smeugorze i tym drugim. Zapytałem Eliara, czemu generałowie po prostu nie utłuką swoich wodzów, skoro tak ich nie lubią. Eliar mi wytłumaczył, że gdyby to zrobili, byłaby straszna wojna. Ci Arumczycy mają mnóstwo śmiesznych pomysłów, co?

— Mają. I co z tą kartką?

— Ach, racja. No więc zacząłem się zastanawiać, jak zawiadomić Smeugora i tego drugiego, że Ghend jest na nich wściekły za te pożary, i jeszcze dołożyć to i owo, tak żeby pasowało. Gdyby tak to załatwić, że niby Ghend uwierzył w te dzikie historie o Smeugorze i tym drugim, to może rzeczywiście chciałby ich za to zabić, a gdyby zamiast generałów zabił ich Ghend, wtedy Arumczycy nie pobiliby się między sobą i wszystko spadłoby na Ghenda. Ma to jakiś sens?

— Kartka, Gherze — przypomniał Althalus stanowczo. — Nie odbiegaj od tematu.

— Tylko próbuję ci wyjaśnić, mistrzu Althalusie, dlaczego tak zrobiliśmy — bronił się Gher. — Zresztą ten Argan jest taki przebiegły, że i tak dostałby się do fortu na przekór wszystkim strażnikom. No więc razem z Eliarem ułożyliśmy list, który niby to zostawił sierżant Khalor. Eliar wszystko wypisał, bo ja nie bardzo umiem. Musieliśmy przerabiać go kilka razy, by wszystko grało. W tym liście stoi, żeby Smeugor i ten drugi dalej udawali, że służą Ghendowi, a całą winę za podpalanie pól zwalili na swych generałów. I jeszcze żeby świsnęli plany wojenne innym cwaniakom Ghenda i przekazali je nam, to będziemy wiedzieli naprzód, co nowego szykują. Potem wcisnęliśmy trochę kitu, ile to złota im za to wszystko damy, i dodaliśmy parę pięknych słówek, jak bardzo nasza strona martwi się tą wojną i tak dalej, a zakończyliśmy kilkoma naprawdę wrednymi uwagami na temat brata Emmy. Myślisz, że to podziała, mistrzu Althalusie?

— Jeśli wywoła u Ghenda taki mętlik w głowie jak u mnie, to kto wie.

— Ach, jeszcze jedno. Bo tak się spietrałem, kiedy naskoczyłeś na mnie o ten list...

— Odgryzę sobie język. Co to za sprawa?

— No... kiedy wygramy już wojnę, nie będzie sensu trzymać Smeugora i tego drugiego w Domu, racja?

— Racja.

— Więc razem z Eliarem wymyśliliśmy, żeby wypchnąć ich przez jakieś drzwi tam, gdzie Ghend ich szybko dorwie. Będzie zły, że przegrał wojnę, i na pewno zrobi im coś naprawdę paskudnego, zanim ich zabije. W ten sposób zapłacimy im za to, że próbowali nas wykiwać, a ponieważ to Ghend odwali robotę, nasi generałowie nie pobrudzą sobie rąk i w Arum będzie spokój. Pasuje?

— Nie widzę żadnych luk — przyznał Althalus.

— Dlatego zawołałem cię do okna. Chciałem, żebyś zobaczył, jak Arganowi opadnie szczęka, kiedy przeczyta list. A później, jeśli znajdziemy czas, możemy popatrzeć, jak Ghendowi opadnie szczęka, kiedy Argan pokaże mu list. Dobrze zrobiłem?

— Bardzo dobrze, mój chłopcze. — Althalus wybuchnął śmiechem.

Następnego dnia, tuż po śniadaniu, Eliar, Althalus i Khalor przeszli korytarzami do obozowiska Koleiki i wyprowadzili go na drogę do miasta Mawor.

— Dobrzy bogowie! — wyrwało się milkliwemu zazwyczaj Koleice. — Wdzieliście te mury?

— Imponujące — przyznał Khalor.

— Musiały kosztować majątek!

— Ponoć diuk Nitral przez wiele lat studiował architekturę — wyjaśnił Althalus. — Odbył specjalne podróże do Deiki, Awes i innych miast, żeby porobić rysunki gmachów publicznych i zewnętrznych murów. Mawor siedzi okrakiem na rzece Osthos i jest bardzo zamożnym miastem. Kiedy diuk Nitral wstąpił na tron, postanowił oddać się doszczętnie swej pasji i uczynić Mawor najwspanialszym miastem w całej Treborei.

— Niemal mu się udało — przyznał Żelazna Szczęka. — Cieszę się, że jesteśmy po jego stronie. Nie chciałbym atakować tych murów.

— I nie musisz — rzekł Khalor. — Jak długo możesz się tu utrzymać?

— Rzeka jest tuż przy murze, więc wody nie zabraknie. Jeśli starczy żywności, mogę siedzieć i dziesięć lat.

— Miejmy nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby — pocieszył go Althalus.

— Ale masz też inne, ważniejsze zadanie: nie dopuścić, by nieprzyjaciel odstąpił od oblężenia i ruszył na Osthos.

— Niech tylko zaczną atak, to już ich nie wypuszczę — obiecał Koleika, wysuwając jeszcze bardziej szczękę. — To miejsce jest idealną pułapką. Pozwolę im podejść pod mury i rozpocząć oblężenie. Jeśli spróbują się cofnąć, to ich wykończę. Będą musieli trzymać tu całą armię, bo gdy tylko ogłoszą odwrót, wyskoczę z tej fortecy niczym bicz boży i zetrę ich na miazgę. Nie wywiną mi się, gwarantuję ci, Althalusie.

— To chyba twoje najdłuższe przemówienie, wodzu Koleiko — zauważył Khalor.

— Przepraszam — zmieszał się Koleika. — Trochę mnie poniosło.

— Chodźmy do miasta — zaproponował Althalus. — Przedstawimy cię diukowi, a potem przejdziecie do konkretów.

Diuka Nitrala nie zastali jednak w pałacu.

— Jego miłość jest nad rzeką — poinformował ich jeden z gwardzistów. — Nadzoruje jakąś budowę, chyba gdzieś w okolicy doków.

— To dość niezwykle — zauważył Khalor. — Większość szlachetnie urodzonych nie miesza się do takich rzeczy.

Gwardzista się zaśmiał.

— Nie znacie naszego diuka. Kiedy nabije sobie głowę jakimś projektem, zdejmuje płaszcz i układa cegły razem ze zwykłymi murarzami. Podobno radzi sobie tak samo dobrze jak ci, którzy z tego żyją. Zniszczył w ten sposób wiele kosztownych strojów, ale się tym nie przejmuje.

— Oto ktoś, kogo chciałbym poznać — rzekł z uznaniem Koleika. — Jeśli tak chętnie brudzi sobie ręce, musi być artystą. Zresztą te mury są naprawdę piękne.

Zeszli do nadrzecznej bramy, minęli ją i znaleźli się na szerokiej brukowanej drodze pod wznoszonym murem. W stronę rzeki sterczały pomosty, a hordy robotników pilnie stawiały nad nimi stropy.

— Nitral? — powtórzył brygadzysta, kiedy Khalor powiedział, że szukają diuka. — Jest na górnym pomoście. Ekipa ma kłopot z osadzeniem podpór.

Dotarłszy na miejsce, zobaczyli, że ludzie pilnie wypatrują czegoś w błotnistej wodzie.

Nagle ktoś wynurzył się z pluskiem na powierzchnię, gwałtownie łapiąc powietrze. Althalus rozpoznał Nitrala.

— Trafiliśmy w skałę! — krzyknął diuk do ludzi na pomoście. — Niestety, trzeba będzie wiercić. Musimy osadzić te podpory.

— Jacyś obcy chcą z tobą rozmawiać, milordzie! — zawołał jeden z robotników.

— Powiedz, że jestem zajęty.

— Ale... oni są tutaj!

Tymczasem Koleika ściągał już ubranie.

— Uwaga, skacze! — krzyknął i pięknym, długim łukiem runął do wody.

Althalus odruchowo wstrzymał oddech. Wydało mu się, że Koleika już nie wypłynie.

Wódz Żelazna Szczęka wynurzył się nagle około dwudziestu stóp od pomostu.

— Tu możecie wbić podstawę, wasza miłość — zawołał, kiedy już złapał oddech. — Tuż pode mną jest spora szczelina w skale.

Diuk Nitral brodził po wodzie koło pomostu.

— Zaznaczcie to miejsce! — krzyknął do robotników.

— Tak jest, milordzie — potwierdził brygadzysta i przekazał rozkaz podwładnym.

Żelazna Szczęka płynął do pomostu.

— Rozumiem, że te trzy stropy mają chronić statki z dostawami podczas rozładunku?

— Właśnie — odrzekł Nitral. — Mój przyjaciel z drugiego brzegu zamierza kupować pszenicę od Perquaińczyków, a potem będzie ją wysyłał do mnie statkami podczas oblężenia. Nie dopuszczę, żeby nieprzyjacielskie statki przeszkodziły w dostawie żywności. Ty, jak się zdaje, nieźle znasz się na budowie fortyfikacji.

— Sam je w potrzebie wznoszę, ale jeśli już są, mam ułatwione zadanie. Nazywam się Koleika i wynajęto mnie po to, abym dał twoim wrogom tęgiego łupnia.

— Miło mi cię poznać, wodzu Koleiko — rzekł diuk, wyciągając prawicę.

— Może byśmy odłożyli ściskanie dłoni na później? Nie pływam zbyt dobrze, więc moje ręce mają co innego do roboty. Czy tutaj to już mniej więcej wszystko?

— Raczej tak.

— Więc wyjdźmy na brzeg, dobra? Woda jest bardzo zimna i zaczynam zamarzać.

ROZDZIAŁ 33

To się musi wiązać z kształtem jej ramienia, uznał Althalus, przyglądając się bacznie Dwei, która siedziała przy stole, zadumana, z ręką opartą na Księdze. Subtelna linia jej ramion przyprawiała go o drżenie kolan.

— Znów się gapisz, Althalusie — powiedziała, nie podnosząc nawet głowy.

— Tak, ale mi wolno. Masz bardzo ładne ramiona, wiedziałas o tym?

— Tak.

— Cała reszta też jest niebrzydka, ale ramiona zawsze przyciągają mój wzrok.

— Miło mi, że ci to sprawia przyjemność. Proszę, Althie, pomyśl o czym innym, bo nie mogę się skupić. Zresztą zawołaj dzieci, muszę z nimi pogadać. Aha, na wszelki wypadek uspij Albrona, Astorell i Salkana.

— Jak sobie życzysz. — Althalus wysłał myśl do wciąż jeszcze mu obcej zbiorowej świadomości: — *Emmy was wzywa do wieży.*

— Znowu się wydzierasz — mruknęła Dweia.

— Wciąż nie mogę się przyzwyczaić. Z sięganiem do innych nie jest tak samo jak tylko z nami.

— Bo my schodzimy głębiej, skarbie.

— Zauważyłem. . . i nadal możemy rozmawiać bez świadków, prawda?

— Naturalnie.

— Czemu „naturalnie”? Myślałem, że gdy ktoś raz wejdzie, już tam zostaje.

— Och, na litość, nie! Ta szczególna więź jest czysto osobista. Jak dotąd nikt nie może zejść tak głęboko, poza tobą i mną. Ale spodziewam się, że niedługo powstaną dwa następne powiązania tego typu.

— Eliar z Andiną i Leitha z Bheidem?

— Tak, ale im tego nie mów. Niech odkryją to sami. Jestem ciekawa, ile czasu im to zajmie.

— Skoro tak chcesz. . . — Nagle coś mu przyszło do głowy. — A co zrobimy z Salkanem? Bheid poświęca mnóstwo czasu i wysiłku na nawracanie chłopca, a ja nie jestem pewien, czy to czemuś służy. Nie sądzę, aby z Salkana mógł być dobry kapłan. Jest zbyt niezależny i ma kiepską opinię o kapłaństwie.

— Na razie dajmy temu spokój, skarbie. Bheid przechodzi osobisty kryzys.

— Ach tak?

— Razem z Eliarem odarliście go z tradycyjnego kapłaństwa Czarnych i teraz ma poczucie winy. Myślę, że jego próby nawracania Salkana są formą ekspiacji.

— Trochę się pośpieszyliśmy.

— Bheid czuje, że opuścił swój zakon i złamał śluby. Teraz próbuje podstawić na swoje miejsce kogoś innego.

— Chce się wykupić z kapłaństwa Salkanem?

— To dość brutalne, ale bliskie prawdy. Po prostu zostaw ich w spokoju, Althalusie. Bheid nie krzywdzi Salkana, a musi jakoś rozwiązać swoje problemy. Niedługo wyjdzie na prostą, a jeśli prawienie kazań Salkanowi mu pomaga, to niech sobie gada. A teraz namów Albrona, Astorell i Salkana do drzemki, bo musimy popracować.

— Już dawno chciałam z tobą o czymś porozmawiać — wyznała Andina Dwei, kiedy wszyscy zebrali się w wieży. — Czy nie moglibyśmy się przenieść do mojego pałacu w Osthosie? Naprawdę powinnam tam być... na wypadek gdyby Dhakan mnie pilnie potrzebował.

— Będę wiedziała, jeśli coś się stanie — zapewniła ją Dweia. — Są powody, dla których powinniśmy być tutaj, a nie w pałacu. Przede wszystkim nie ma tu żadnych szpiegów.

— Gdybyś pozwoliła Leicie powiedzieć mi, kto tam szpieguje, zaraz bym ich sprzątnęła.

— Właśnie o tym za chwilę porozmawiamy. — Dweia przyjrzała się im po kolei. — Każdy z was wyskakiwał ostatnio z przeróżnymi projektami. Niektóre są całkiem sprytnie, inne zaś wręcz głupie, ale to tak na marginesie. Chcę, żebyście wszyscy jasno zrozumieli: nie wolno wam żadnego z tych projektów wprowadzać w życie, dopóki Gelta nie wkroczy do osthoskiego pałacu. — Tu wbiła surowy wzrok w Bheida. — Słuchasz mnie, bracie Bheidzie?

— Oczywiście, boska.

— Więc odwołaj swoich morderców.

Althalus spojrział z niejakim zdumieniem na młodego kapłana.

— Coś ty wykombinował? — spytał ciekawie.

Bheid zaczerwienił się lekko.

— Nie wolno mi o tym mówić.

— Masz moje pozwolenie, bracie Bheidzie — powiedziała sucho Dweia.

Bheid zamrugnął oczami.

— No dobrze — wykrztusił w końcu. — Kościelna polityka bywa dość niejasna. Czasem... niezbyt często, rozumiecie... ktoś wypada z szeregu i staje się niewygodny. Istnieją wprawdzie legalne procedury, ale niekiedy publiczne procesy mogą być kłopotliwe dla hierarchii. Kościół w takich sytuacjach staje wobec ostatecznej alternatywy i...

- ...i wynajmuje zabójców — dokończył Althalus.
- To dość brutalne określenie — zaprotestował Bheid.
- Kogo chcieliście zamordować?
- Wolałbym, żebyś nie używał tego słowa. . .
- To techniczny termin, używany przez profesjonalistów. No gadaj, bracie.

Kto jest twoim celem?

— Aryo Pelghat z Kanthonu. Dopóki siedzi na tronie, nie ustaną zamieszki w Treborei, a Ghend tylko na tym żeruje.

— Co za wspaniały pomysł! — zachwyciła się Andina.

— Ustalmy kilka zasad, tu i teraz — powiedziała surowo Dweia. — Dopóki Gelta nie przekroczy progu sali tronowej w Osthosie, nie będzie żadnych morderstw, żadnych armii znikąd, żadnego rekrutowania szpiegów ani żadnych bijatyk między klanami Arum. Nie zrobicie nic, co mogłoby zakłócić wizję z tamtego snu. A jeśli ktokolwiek z was obrazi mnie jakimś absurdem, to będę naprawdę bardzo zła.

— Skoro te senne. . . coś tam są takie ważne, to czemu nie zrobimy sobie kilku własnych? — spytał Gher.

Dweia spojrzała na niego z rozbawieniem.

— Jak myślisz, dlaczego tu wszyscy jesteśmy?

— No bo. . . przecież mistrz Althalus nam kazał.

— A dlaczego to zrobił?

— Nie wiem. Może ty go zmusiłaś.

— A dlaczego Althalus słucha moich rozkazów?

— Wszyscy ich słuchamy, Emmy.

— Ale dlaczego?

— Bo musimy. Nie wiem dokładnie dlaczego, po prostu musimy.

— No właśnie. Sny Daevy są bardzo jaskrawe, moje zaś znacznie bardziej subtelne. Niewiele trzeba, żeby zmienić rzeczywistość. Czasem coś tak prostego jak słowo może dokonać ogromnych zmian. Zresztą już się tak stało. — Dweia spojrzała na Andinę. — Jakie słowo wyczytałaś na Nożu?

— „Posłuszeństwo”.

— A co się stanie z Geltą, kiedy usłuchasz jej rozkazu i uklęknie przed nią?

— Zgnije w moim lochu.

— Masz jeszcze jakieś pytania, chłopcze?

— Ani jednego — odrzekł Gher z szerokim uśmiechem. — Teraz już wszystko rozumiem.

— To miło.

Inwazja z Kanthonu utknęła w miejscu, dopóki długie sznury wozów z dostawami żywności nie ruszyły na pomoc wygłodzonej armii. Od tej chwili Gelun

i Wendan przestali wypalać pola, natomiast zaczęli zastawiać pułapki na konwoje z zaopatrzeniem. Jednakże pewna liczba wozów ich uniknęła i napastnicy — choć w minimalnym stopniu — mogli zaspokoić głód, dzięki czemu podjęli znów pochód na Kadon i niebawem otoczyli miasto.

W miarę jak się zbliżali, Eliar i sierżant Khalor wpadali w coraz gorszy humor.

— Czemu nie ustalicie wart? — zapytała Leitha. — Przecież nie możecie czuwać dzień i noc.

— Ona ma rację, Eliarze — przyznał Khalor, patrząc z okna na Kadon. — Idź no się trochę zdrzemnąć.

— Dlaczego ja, a nie ty? Oni na razie tylko rozbijają obóz i zwożą maszyny oblężnicze.

— A obudzisz mnie, jak zaczniesz się dziać coś niezwykłego?

— Często stałem na warcie, więc mam pojęcie, co powinienem robić.

— Rzeczywiście jestem trochę zmęczony — ustąpił Khalor.

— To idź się położyć.

— Tak jest! — odparł sierżant, uśmiechając się słabo.

— Troska o zdrowie przełożonego to mój obowiązek.

— Dobra, dobra.

— Miłych snów, sierżancie — powiedziała Leitha.

— Wolałbym, żeby obeszło się bez snów — odparł Khalor, idąc w stronę schodów. — Na myśl, że Gelta miałyby wleźć mi do łóżka, krew mi zastyga w żyłach.

I ziewnąwszy potężnie, poszedł na dół.

— Chcę tylko zobaczyć, czy się udało — prosił Gher. — To przecież długo nie potrwa.

— Niestety, chłopcze — odmówił Eliar. — Sierżant obedrze mnie ze skóry, jeśli zejdziesz z posterunku.

— O co się sprzeczacie? — spytała Dweia.

— Gher chce, żebym zszedł z posterunku i śledził z nim Argana.

— To ważne, Emmy — upierał się Gher. — Zostawiliśmy w forcie list, więc chyba powinniśmy sprawdzić, co z tego wyszło.

— Ma rację, Em — poparł go Althalus. — Jeśli po przeczytaniu listu Ghend uwierzy, że Smeugor i Tauri przeszli na naszą stronę, to sam się nimi zaopiekuje, a Gelun i Wendan nie będą musieli nawet ruszyć palcem. Bunt podczas wojny naprawdę nie jest dobrym pomysłem, tym bardziej że w arumskich klanach w grę wchodzi związek krwi. Gdy paru dalszych kuzynów zaczniesz kierować się rodzinnymi względami, skończy się na tym, że zostawia nieprzyjaciela, a zaczną się tłuc między sobą. Chyba lepiej tego uniknąć, prawda?

— Okno musi pozostać tam, gdzie jest — upierał się Eliar.

Dweia westchnęła.

— Mężczyźni! — szepnęła do Leithy.

— Można się zniechęcić, co? — Leitha uśmiechnęła się wyzywająco do Althalusa. — W tej wieży są jeszcze trzy inne okna, tatusiu. Czyżbyś ich nie zauważył?

— Dweio, niech ona przestanie!

— Przecież wiesz, o co jej chodzi, prawda?

— Czy rzeczywiście możesz to zrobić?

— Jasne, nie wiedziałeś?

— Czasem tatuś nie uważa zbyt pilnie — wtrąciła Leitha.

— Zaczynam mieć dość tego tatusiowania, wiesz?

— Ach, co za hańba!

— Możemy przejść tutaj — ucięła dyskusję Dweia, nie dopuszczając do repliki Althalusa. — Eliar zostanie na posterunku, a my popatrzemy, jak Ghendowi opada szczeka. — I pierwsza poszła do północnego okna.

— Nie mogę rozpoznać miejsca — powiedział Bheid, patrząc na pogrążone w mroku obozowisko. — Gdzie to jest, Dweio?

— Nie mam pewności. Koncentrowałam się na osobie, nie na miejscu, więc okno wychodzi na Ghenda, mniejsza o geografę.

— Jakie czyściutkie okno! — wykrzyknął Gher.

— Bardzo je lubię.

— Czy to czasem nie Argan? — spytała Leitha, wskazując samotnego jeźdźca, który zbliżał się do obozu.

— Prawdopodobnie — przyznała Dweia.

— Czy to tylko przypadek, że zaczęliśmy patrzeć akurat, kiedy nadjeżdża? — spytała podejrzliwie Andina.

— Nie, nie przypadek. To, co widzimy, wydarzyło się dwa dni temu. — Dweia uśmiechnęła się leciutko. — Mam spore doświadczenie w tej procedurze. To znacznie ciekawszy sposób studiowania historii niż wertowanie starych, zakurzonych ksiąg.

Argan skierował wyczerpanego konia do środka obozu, ściągnął wodze i zeskokczył na ziemię.

— Prowadź mnie do Ghenda! — warknął do żołnierza w czarnej zbroi, w którym Dweia rozpoznała Nekwerosą.

— Tak jest, czcigodny! — odrzekł głucho tamten.

Ghend już wychodził z jaskrawo pomalowanego namiotu.

— Gdzie byłeś? — spytał ochryple.

— Szukałem Smeugora i Tauriego, jak mi poleciłeś.

— Przekazałeś im moje rozkazy?

— Przekazałbym, chłopie, ale ich nie znalazłem. Okazało się, że nie ma ich w tym forcie.

— O czym ty mówisz?

— Przeszukałem cały fort od góry do dołu, potężny wodzu, i ni — gdzie ani śladu... z wyjątkiem tego. — Argan wyciągnął kartkę.

— Co to jest?

— Przeczytaj. Moim zdaniem mówi samo za siebie.

Ghend podszedł do sypiącej iskrami pochodni i przeczytał list podpisany „sierżant Khalor”.

— To niemożliwe! — wybuchnął.

— Wyceluj palec w Komana, chłopie — zaproponował Argan z niejakim zadowoleniem. — To on pokpił sprawę, nie ja.

— Ci dwaj durnie nie mają tyle sprytu, żeby wykiwać Komana!

— Mogli w tym pomóc — zauważył bardzo poważnie Argan. — Koman, jak wiesz, nie jest jedyną mentalną pijawką na świecie. O ile dobrze pamiętam, ta czarownica z Kweronu zablokowała go już kiedyś.

— Zapłacą mi za to! — fuknął Ghend.

— Najpierw będziesz musiał ich znaleźć. W forcie absolutnie ich nie ma. Może zechcesz sprawdzać sznurze nory, ale zabierze ci to mnóstwo czasu. Mam wrażenie, że pozostawanie poza twoim zasięgiem stanie się teraz ich głównym życiowym celem. Wzięli od ciebie pieniądze, a potem wykręcili się na pięcie i wzięli jeszcze raz od Khalora za nastawanie na ciebie. Podprowadzili ci sporo złota, kłaniali się, uśmiechali, a potem nagle zagłodzili ci wojsko prawie na śmierć. Wiedzą, co teraz czujesz, i nie sądzę, by łatwo było ich znaleźć.

— Znajdę ich, Arganie — odparł Ghend, błyskając płonącymi oczami. — Znajdę.

— Yakhag by ci ich zlokalizował — podsunął Argan.

— Nie, on jest poza zasięgiem. Sam się zajmę Smeugorem i Taurim.

— Jak sobie życzysz, stary.

Południowe okno wieży wychodziło na Kanthon. Bheid dał Eliarowi namiary na dość przeciętną oberżę w dzielnicy handlowej.

— Nie zostawię otwartych drzwi, póki będziecie w środku — zapowiedział im Eliar — więc gwizdnij, jak zechcecie wracać.

— Naprawdę nie musisz tam iść — przekonywał Althalusa nieco zdenerwowany kapłan.

— Co cię trapi, bracie Bheidzie?

— Bo... naprawdę nie mam prawa mówić o tych ludziach. To jeden z najpilniej strzeżonych kościelnych sekretów.

— Chciałbym, żebyś wreszcie uporządkował problem swojej lojalności — powiedział bez ogródek Althalus. — Dweia jest nieco poirytowana twoim projektem, a ja zamierzam przyglądać jej nastroszone piórka. Osobiście nie przejmuję

się tak bardzo jak ona, ale chcę rzucić okiem na tych zabójców. Jestem ciekaw, czy są profesjonalistami, czy tylko entuzjastami religijnymi.

— W porządku. — Bheid podniósł obie ręce. — Jak sobie chcesz.

— No to chodźmy.

Po przejściu przez drzwi znaleźli się na tyłach oberży. Obaj mieli na sobie zwykłe, nierzucające się w oczy ubrania. Szybko przeszli na ulicę i wmieszali się między nielicznych przechodniów.

Oberża z zewnątrz wydawała się spokojna, wręcz nudna. W progu stało dwóch mężczyzn, sądząc z wyglądu — zwykłych kupców, i rozmawiało o pogodzie. Bheid wysunął się nieco przed Althalusa, poruszył dziwnie palcami. . . i rzekomi kupcy natychmiast ich przepuścili.

— To tylko środki ostrożności — wyjaśnił Bheid. — Właściciel niezbyt przychylnie odnosi się do przypadkowych gości z ulicy. — Nagle uśmiechnął się słabo. — Muszę cię ostrzec. Na twoim miejscu nie piłbym zbyt wiele tutejszego piwa.

— Ach tak?

— Jest wyłącznie na pokaz i nie smakuje dobrze. Ludzie, którzy nie mają tu żadnych interesów, wstępują niekiedy do tej oberży, ale nigdy nie wracają.

— Takie niedobre?

— Okropne. Ten budynek ma wyglądać na oberżę, ale nią nie jest. — Bheid poprowadził towarzysza do stolika w pobliżu zaplecza. — Przyniosę dwa kufelki i pogadam z właścicielem. Potem on pośle po Sarwina i Mengha.

— To ci mordercy?

Bheid skinął głową.

Althalus usiadł i rozglądał się ciekawie po fałszywej oberży. Siedziało tam kilku porządnie ubranych gości, pograżonych w cichej rozmowie nad nietkniętymi kufelkami piwa. Na Althalusie wywarło to spore wrażenie. Cały lokal, łącznie z większością klientów, był jednym wielkim oszustwem; jeśli nawet trafiał tu ktoś niepożądany, z pewnością zaraz ktoś inny wciągał go w kłótnię, potem wybuchała burda — i gość wylatywał na ulicę.

Bheid wrócił do stolika z dwoma kufelkami piwa. Althalusowi wystarczyło powąchać napój, by stracić ochotę na degustację.

— Ohyda co? — spytał Bheid.

— Nadaje się do prania skarpet. Jak długo ten lokal istnieje?

— Co najmniej kilka stuleci. Treboreański kler to przeważnie Czarni, co oznacza, że czczą słusznego boga. . . ale nie uznają władzy naszego świętego egzarchy. Od tysięcy lat perswadujemy im, że stoją na granicy herezji, ale oni nadal tkwią w błogiej ignorancji i. . . — Bheid urwał, widząc szczególny uśmiezek na twarzy Althalusa. — No co?

— Pomyśl, bracie. Czy twoje teologiczne poglądy nie uległy ostatnio zmianie?

— Ja tylko próbowałem. . . — Bheid wybuchnął ponurym śmiechem. — To te stare nawyki. Może jestem przemęczony, bo odpowiadam niemal automatycznie.

Jeśli sięgnąć do istoty rzeczy, teologia treboreańska niewiele różni się od tej z Medyo. Nie zgadzamy się w kwestiach polityki kościelnej, ale to niemal wszystko. W każdym razie ta oberża jest ukrytą placówką prawdziwej religii. . . jeśli w ogóle coś takiego istnieje. Dzięki niej mamy miejsce, gdzie możemy wspierać politykę Czarnych.

— Co niekiedy wiąże się z morderstwem?

— Od czasu do czasu. Nie robimy tego często, ale istnieje taka możliwość.

— Przede mną nie musisz się tłumaczyć. Jestem bardzo tolerancyjny w tych sprawach. Rozumiem, że wasi mordercy są na stałej pensji?

— Roczna zaliczka plus premia za każde zlecenie.

— Więc nie są to jacyś fanatycy, którzy zabijają w imię boga?

— Ależ skąd. Fanatycy wręcz marzą o tym, by ich złapano i skazano. Wtedy stają się męczennikami, a męczennicy odbierają nagrodę w niebie. Nasi mordercy to solidni profesjonaliści, którzy nigdy nie dają się złapać.

— Dobra polityka. Nigdy nie wynajmuj amatorów, jeśli możesz mieć zawodowców.

— O, są już — zauważył Bheid, patrząc w stronę zaplecza.

Mężczyźni, którzy przed chwilą weszli do oberży, wymykali się wszelkim opisom do tego stopnia, że niemal nie dało się ich zauważyć. Każdy szczegół ich wyglądu najlepiej oddawało słowo „średni”. Nie byli ani wysocy, ani niscy, ich włosy nie były ani jasne, ani ciemne, a ich pospolite ubrania — ani znoszone, ani zbyt eleganckie.

— Nie wiem, Menghu, co ostatnio wstąpiło w Engenę — mówił jeden z nich, kierując się do stolika. — Wszystko jej już przeszkadza, dom, sąsiedzi, nawet przestała lubić naszego psa.

— Kobiety czasem zachowują się dziwnie — odrzekł smętnie Mengh. — One, mój Sarwinie, myślą inaczej niż my. Kup jej parę prezentów i zrób trochę zamieszania. Ja zawsze tak postępuję, kiedy Pelaquella zaczyna stroić fochy. Nie sam prezent się liczy, tylko troska, jaką jej okazujesz. Wystarczy, że przestaniesz zwracać uwagę na żonę i kłopot gotowy. . . O, dzień dobry, panie Bheidzie. Dawnośmy się nie widzieli.

— Byłem trochę zajęty. Prosimy do nas.

— Z przyjemnością — odrzekł Sarwin.

Mordercy usadowili się przy stoliku i skinęli na właściciela, żeby podał im piwo.

— Cieszę się, że panowie akurat wpadli — powiedział Bheid. — Chciałbym o czymś pogadać.

— Tak? — zdziwił się Mengh. — A o czym?

— Pamiętacie? Ostatnim razem dyskutowaliśmy o interesie.

Obaj mordercy spojrzeli znacząco na Althalusa.

— To mój wspólnik Althalus... cichy wspólnik, oczywiście. Chce porozmawiać z wami osobiście. Nasze plany uległy lekkiej... modyfikacji.

— Jakiej modyfikacji? — warknął Sarwin. — Chcesz powiedzieć, że nie potrzebujesz już naszych usług?

— Bynajmniej — wtrącił Althalus. — Zmienił się tylko termin. Wynagrodzenie i sama robota pozostają takie same, lecz chcemy niewielkiej zwłoki... rozumiecie, sytuacja rynkowa. Zanim pchniemy sprawę naprzód, musi się jeszcze to i owo wydarzyć. Gdybyście przypadkiem zadziałali przedwcześnie, nasza konkurencja mogłaby nabrać podejrzeń. Szykujemy coś w rodzaju wielkiego skoku na rynek i zależy nam na pełnej tajemnicy. Dopracowuję teraz szczegóły w kilku innych miastach, natomiast pan Bheid pilnuje spraw tutaj. Zgranie terminów decyduje o sukcesie.

— Ta cecha nie jest obca i naszej profesji — zauważył Mengh bez zmrużenia oka. — Ale w fazie początkowej czas nie jest taki ważny. Możemy się wstrzymać z robotą, skoro wam na tym zależy, a kiedy nadejdzie pora, wystarczy, że pan Bheid da nam znać. Panowie to piją? — spytał, podnosząc kufel.

— Raczej nie — skrzywił się Althalus.

— Miałem nadzieję, że to usłyszę — odrzekł Sarwin, odsuwając kufel jak najdalej.

— Jesteś zajęty, Althalusie? — spytał Khalor następnego ranka.

— W zasadzie nie, a bo co?

— Mógłbyś rzucić okiem na Twengora w Pomie? Nie, wcale się nie martwię, ale lubię trzymać rękę na pulsie. Jeśli napastnicy nie popełnią błędu, powinni przeznaczyć na Pomę jedną trzecią armii, z walkami ulicznymi różnie bywa. Gdyby pobili Twengora lub gdyby udało im się wymknąć, Gelta zyska sto tysięcy żołnierzy, a wtedy przetruci ich pod Mawor. Poszedłbym sam, ale mam sporo roboty. Jeśli Twengor uzna, że zdołają mu uciec, muszę o tym wiedzieć. — Zawahał się. — Tak między nami, Althalusie, chodzi mi o to, czy Twengor jest trzeźwy, bo jeśli się zapił, też powinienem o tym wiedzieć. Nie rozgłaszałbym tego na twoim miejscu, ale teraz będziesz wiedział, na co zwracać uwagę.

— Idę po Eliara — zdecydował Althalus, skręcając na schody.

— Dopiero co zasnąłem — narzekał obudzony Eliar.

— To nie potrwa długo.

— Wszystko powiem Dwei. Każdy pilnuje, żeby sierżant się wyspał, tylko o mnie nikt nie pomyśli!

— Jesteś odźwiernym, Eliarze, przestań marudzić. Pójdziemy przez normalne drzwi do Pomy.

— Czemu nie przez specjalne, te w wieży?

— W Pomie trwają walki na ulicach. Wolałbym nie znaleźć się w niewłaściwym domu. Poza tym sierżant Khalor używa okna przy tamtych drzwiach.

— Rozumiem. Normalne drzwi są we wschodnim korytarzu.

— Zabierz miecz.

— Racja.

Przeszli przez cichy Dom do wschodniego korytarza i wyjrzawszy przez parę drzwi, odnaleźli te, które wyprowadziły ich prosto na punkt dowodzenia Twengora. Większa część miasta leżała już w gruzach, wiele sklepów i domów płonęło.

— Co jest, Althalusie? — spytał stary wódz, kiedy eskorta wprowadziła gości do pokoju, w którym siedział w kucki przy oknie.

— Nic, nic. Po prostu wpadliśmy, żeby zobaczyć, jak leci.

— Nic specjalnego się nie dzieje... ale trzymajcie głowy niżej, bo w domu naprzeciwko jest dobry łucznik. Ostatnio kilka razy omal nie zrobił mi przedziałka. Postawiłem na trzecim piętrze paru pasterzy z Wekti, przymierzają się, by go ustrzelić.

— Jesteś z nich zadowolony?

— Owszem. Mam kilku łuczników prawie tak samo dobrych, ale łucznikom trzeba ciągle dostarczać strzał, a procarze wszędzie znajdują kamienie.

— Jaką część miasta opanowali napastnicy?

— Kontrolują mniej lub więcej dzielnicę północną.

— Mniej lub więcej? Jak to?

— Bo wszystko jest płynne. Zbierają oddział i szturmują jakiś dom albo sklep. Dzięki moim łucznikom i procarzom sporo ich to kosztuje. Przejmujemy budynek, utrzymujemy go przez jakiś czas, a potem się wycofujemy. — Brodaty wódz zachichotał. — Nasi wrogowie już się oduczylili świętowania zwycięstw.

— Naprawdę?

— Opanowanie domu, który w każdej chwili może zawalić się na głowę, to wątpliwe zwycięstwo, czyż nie? Gdy nieprzyjaciel zajmował się burzeniem murów, moi ludzie mieli dość czasu, by nadwerżyć ściany i dachy w niemal każdym budynku w mieście. Kiedy sami siedzimy w takim domu, wzmacniamy go deskami, które przed opuszczeniem zabieramy z sobą. Jak dobrze policzyć, te domy zabiły więcej napastników niż żołnierze. Najpierw wrogowie muszą się do nich przebić, a gdy wreszcie są w środku, wszystko się wali. Powiedziałem swoim ludziom, że mogą się śmiać tak głośno, by tamci ich słyszeli.

— Złośliwiec z ciebie, Twengorze.

— Wiem, i bardzo mnie to cieszy.

— Skoro żaden budynek nie jest bezpieczny, mieszkańcy nie odważą się do nich wrócić po wojnie — zauważył Eliar.

— Tym gorzej dla nich — odparł obojętnie Twengor. — Gdyby te sknery płaciły podatki, mury wytrzymałyby szturm i nie musielibyśmy uciekać się do takich środków. Rzeczywiście niewiele z Pomy zostanie, ale to nie moje zmartwienie.

— A czy istnieje taka możliwość, że nieprzyjaciel po prostu zostawi Pomę i ruszy dalej? — spytał Althalus. — Khalor trochę się tym niepokoi. Nie chce, żeby wrogowie poszli na Mawor albo nawet go ominęli i pomaszrowali wprost na Osthos.

— Sporo ich zamknąłem na miejscu. Oddałem im część budynków zgrupowanych w pobliżu wyłomu w północnym murze. Chciałem ich zwabić tak daleko, żeby nie mogli już się wycofać, zwłaszcza że na każdym dachu czekał łucznik albo procarz. No i tu wpadli w pułapkę. — Twengor wyjrzał przez okno i zaśmiał się złośliwie. — Zobaczcie sami.

Althalus i Eliar podeszli do okna.

— Właśnie odebrałem sygnał. Ten dom naprzeciwko od trzech dni mnie denerwował, ale jeden z chłopaków już się tym zajął.

Bzyknęła strzała i sypiąc iskrami, trafiła w okno.

— To właśnie tak mnie irytowało — ciągnął Twengor. — Nikt nie dawał rady temu facetowi. Uważajcie.

Z okien na pół zrujnowanego budynku naprzeciwko zaczęły się wydobywać chmury oleistego dymu.

— Ten dom jest z kamienia — zauważył Althalus. — Jak twoim ludziom udało się go podpalić?

— To wcale nie dom się pali, mój przyjacielu. Tak się składa, że jeden z największych w Pomie cwaniaków, którzy migają się od podatków, handluje wełną. Opróżniliśmy jego magazyn i załadowaliśmy piwnice kilku najbliższych domów wełną, którą następnie nasączymy olejem do lamp, stopionym sadłem i naftą. Jeden z moich łuczników wypuścił przed chwilą płonąca strzałę prosto w piwniczne okno. Podobno wdychanie dymu jest bardzo niezdrowe, ale szczytem wszystkiego jest to, że dom, który właśnie zmienił się w komin, należy do owego handlarza wełną.

— Można powiedzieć, że podatki owego kupca poszły w górę — zachichotał Althalus.

— O, to, to. W rzeczy samej. Powiedz Khalorowi, że panuję nad sytuacją. Przymykam oko na sprawiedliwość i cisnę nieprzyjaciela.

— Przekażę. Czy w razie potrzeby potrafisz wyciągnąć nieprzyjaciela z miasta?

— To żaden problem, ale po co? Myślałem, że Khalorowi zależy, by trzymać napastników tutaj.

— Tylko do czasu, wodzu. Mamy w rezerwie trochę konnicy, żeby oczyścić teren, kiedy liście poczerwienieją. Dam ci znać w stosownym czasie, a wówczas powiesz gościom, żeby już sobie poszli i na otwartej przestrzeni dostarczyli rozrywki naszej kawalerii.

— Więc przed zimą powinniśmy wrócić do domu.

— Takie są nasze zamierzenia. Wojny w zimie są okropnie nudne.

— Też to zauważyłem. Powiedz tylko słowo, Althalusie, a wykopię nieproszonych gości z Pomy i zacznę pakować łupy przed podróżą do domu.

— Żadnego świętowania zwycięstwa?

— Nie tym razem. Ranna pobudka bez oślepiającego bólu głowy to swego rodzaju nowość, ale może polubię ją na jakiś czas. Powiedz Khalorowi, że ciągle jestem trzeźwy i na dany sygnał potrafię wyprowadzić nieprzyjaciela z miasta. Czy nie o to właśnie mu chodziło?

— Wiedziałeś z góry, co?

— Jasne. Teraz, kiedy nie widzę podwójnie, wzrok mi się bardzo wyostrzył. Wynoście się stąd, jestem zajęty.

ROZDZIAŁ 34

— Jakżeście się przedarli przez tę armię na zewnątrz? — dziwił się Koleika, kiedy Althalusa, Eliara i Khalora wpuszczono do pałacu diuka Nitrala w Maworze.

— Przy płynęliśmy na statku dostawczym z drugiego brzegu rzeki — skłamał gładko Althalus. — Było trochę gadania, ale w końcu przekonaliśmy kapitana, że jesteśmy przyjaciółmi.

— Jak się trzymają Kadon i Poma? — spytał diuk.

— W Kadonie znacznie się poprawiło, odkąd Laiwon uwięził diuka Olkara w jego własnym pałacu.

— Co takiego?!

— Olkar do wszystkiego się wtrącał — wyjaśnił Althalus. — Wściekał się o każdą zbitą szybę i o to, że zabierają mu siłę roboczą. On chyba nie rozumie, co to jest wojna.

— W końcu Laiwon miał tego dość i odesłał diuka do jego pokoju — dodał Khalor. — Mury Kadonu się trzymają, więc miastu nic nie zagraża.

— A Poma?

— To inna historia. Tam trwają walki uliczne. Niewiele zostanie z miasta, zanim Twengor z tego wybrnie.

— Biedny Bhergor! — westchnął diuk.

— Sam jest temu winien, wasza miłość. Gdyby okazał więcej stanowczości, mógłby wzmocnić mury. Jednakże ze strategicznego punktu widzenia te marne mury są darem bogów. Oblegający weszli wprawdzie do miasta, ale Twengor dopilnuje, aby stamtąd nie wyszli... przynajmniej dopóki ja im nie każe.

Drzwi się otworzyły i wszedł Treboreańczyk w ciężkiej zbroi.

— Szykuje się szturm koło głównej bramy, wasza miłość — zameldował, salutując zgrabnie.

— Trzeba iść do roboty — westchnął diuk i sięgnął na stolik po misternie zdobiony hełm.

Wyszli wszyscy razem.

— Często powtarzają się szturmy? — spytał Eliar Koleikę, kiedy znaleźli się na ulicy.

— Trzy, cztery razy dziennie — rzucił obojętnie Żelazna Szczęka. — Tak naprawdę nie wiedzą, co robią, więc tracą dużo ludzi.

— Głupi wróg to dar od bogów — rzekł sentencjonalnie Khalor.

— Ten akurat wróg ma przeciwko sobie coś więcej niż czystą głupotę — dodał Koleika. — Jeden z ich generałów jest kobietą.

— Taka duża, paskudna baba z gromkim głosem?

— Właśnie.

— Nie lekceważ Gelty, Koleiko — ostrzegł wodza Althalus. — To nie jest zwyczajna kobieta.

— Zetknąłeś się już z nią?

— Tak, w Wekti. Życie żołnierzy nic dla niej nie znaczy. Potrafi wytracić całą armię, żeby osiągnąć swój cel.

— Co za absurd!

— Taka właśnie jest Gelta. Pekhal potrafił ją poskromić, ale chyba go już przy niej nie ma.

Kiedy dotarli do umocnień po wschodniej stronie miasta, Królowa Nocy przemawiała właśnie pełnym głosem, któremu towarzyszył monotony łoskot wielkich kamieni miotanych przez katapulty.

— Żołądek mi się przewraca — burczał diuk Nitral. — Wydałem majątek na tę marmurową okładzinę, a ona tłucze ją na kawałki swoimi przeklętymi machinami. Wybaczcie, panowie, ale muszę natychmiast temu zaradzić. — I ruszył parapetem w stronę zgrupowanych razem osobliwych urządzeń.

— Co to jest? — spytał z ciekawością Eliar.

— Nitral nazywa je kuszami. To coś w rodzaju wielkich łuków. Potrafią miotać kopie na odległość pół mili. Razem z Nitralem dołożyliśmy wszelkich starań, aby urozmaicić życie załogom tych katapult.

Diuk Nitral rzucił krótką komendę obsłudze kusz i z murów Maoru wystrzelił las ognistych kopii.

— Ładny widok — zauważył Khalor — ale nie bardzo rozumiem. . .

— Uważaj — przerwał mu radośnie Koleika, zacierając ręce.

Płonące kopie zaczęły niemal z wdziękiem opadać, po czym runęły na nieprzyjacielskie maszyny oblężnicze. Ściana ognia buchnęła na wszystkie strony, pochłaniając katapulty.

— Co się stało?! — wykrzyknął zdumiony Eliar.

Koleika uśmiechnął się skromnie.

— Zaobserwowałem, że jedna kopia zabija tylko jednego człowieka, i to tylko wtedy, gdy go trafi. Zaproponowałem Nitralowi, żeby zastąpił żelazne szpikulce glinianymi pojemnikami z wrzącą smołą. Ale — zrobił chytrą minę — z Nitralem trzeba uważać. Podsuwasz mu dobry, rozsądny pomysł, a on natychmiast zaczyna go rozwijać i zamiast jednego masz trzy jeszcze lepsze. Pomysł ze smołą spodobał mu się tak bardzo, że dodał jeszcze naftę, siarkę i coś, co jego piwowarzy

produkują z mocnego piwa. Wystarczy jedna iskierka i cała mikstura się pali, a zauważyliście chyba, że każda kopia miała drzewce owinięte płonąca szmata.

Z ognisk, w jakie zamieniły się katapulty, wybiegali płonący żywcem ludzie, krzycząc z bólu.

— To przez smołę — tłumaczył dalej Koleika. — Wrząca smoła lepi się do wszystkiego, a kiedy pojemnik pęka, mikstura rozpryskuje się na wszystkie strony. Płonąca szmata dokonuje reszty. — Zerknął na koszmarny widok w dole. — Te kopie wyglądają jak komety na nocnym niebie. Niebrzydkie, co?

— Raczej się tego nie spodziewali — zauważył Khalor.

— Jasne. To pierwsza taka próba.

— A jak osiągnęliście taką celność?

— Nitral — odrzekł krótko Koleika. — On jest architektem, a to się wiąże z różnymi obliczeniami. Przez dwa dni opowiadał mi o kątach odchylenia, łukach, triangulacji, a liczbami sypał jak z rękawa. Niewiele z tego pojąłem, ale zapewniał mnie, że wszystko gra.

— No i wygląda na to, że miał rację — przyznał Khalor, wskazując ogniska wokół machin oblężniczych. — Słuchaj, czy w ramach przystąpienia nie mógłbyś wydebić od niego przepisu na tę miksturę? Mam niejasne przeczucie, że miotaniem ognia na ludzi dałoby się szybko rozstrzygnąć niejeden spór. A zastanawiałeś się już, jak powstrzymać oblegających od wycofania się stąd i marszu na Osthos?

— Stracą ponad połowę armii, jeśli podejmą taką próbę. Mamy przecież rzekę, a do Osthosu płynie się z prądem. Zawsze mogę wysłać łodziami ludzi, żeby zastawiali pułapki na każdą kolumnę marszową. Poza tym gdy tylko kordon wokół Maworu osłabnie, otworzę główną bramę i wciągnę ich w bitwę. Ognie Nitrala będą miłym końcowym akcentem. Nie dam im ani chwili wytchnienia, więc nie będą mieli kiedy się cofać, zresztą zima zacznie im deptać po piętach.

— I to wystarczy, Koleiko — powiedział Althalus. — Jeśli przed pierwszym śniegiem nie dotrą do Osthosu, wygraną mamy w kieszeni.

Kiedy wrócili do Domu, Dweia siedziała sama w pokoju na wieży. Była pogrążona w zadumie, a nawet melancholii.

— Myślę, sierżancie, że czas wezwać Kreutera i Dreigona — powiedziała z rezygnacją. — Pewnie zechcesz sam ich wyprawić. Musimy tylko mieć absolutną pewność, że Gelcie nie uda się zebrać porządnej armii przed wymarszem na Osthos. Jeśli Leitha dobrze odczytała tamten sen, Gelta powinna mieć najwyżej dwa regimenty na tyłach i chciałabym, żeby tak zostało.

— Nadal nie rozumiem, jak ona chce wejść do miasta tylko z dwoma regimentami — rzekł Khalor.

— Zbadamy to z Althalusem, kiedy ty będziesz z Kreuterem i Dreigonem na rekonesansie. Liście zaczynają zmieniać kolor, więc Gelta lada chwila ruszy.

Musimy się upewnić, że nie szykuje nam żadnej niespodzianki.

— Dobrze kombinujesz — zgodził się Khalor. — Eliarze, chodźmy pogadać z Kreuterem i Dreigonem.

— Tak jest, sierżancie.

— Wydajesz się smutna, Em — zauważył Althalus po wyjściu Arumczyków. Dweia westchnęła.

— Jesień zawsze mnie przygnębia, skarbie. Świat się wtedy starzeje, a zima czyha za progiem. — Przeciągnęła się i ziewnęła. — Poza tym, kiedy jeszcze nie było ludzi, zwykłam całą zimę przesypiać.

— Jak niedźwiedź? — zdumiał się Althalus.

— Niedźwiedzie są sprytniejsze, niżby się zdawało. Tak naprawdę zimą nie ma nic do roboty, więc jest to dobra pora na sen. Kiedy to wszystko się skończy, możemy wrócić do tego zwyczaju. — Nagle jej spojrzenie stało się bardziej rzeczowe. — Chodź do okna, Althalusie, pospieszujemy trochę.

— Jak sobie życzysz.

W nieprzyjacielskim obozie pod murami Maworu wybuchły zamieszki, koncentrowały się głównie wokół Królowej Nocy. Gelta była w takiej furii, jakby zaraz miała urządzić rzeź; miotała wyzwiska i wymachiwała toporem. Dobrze uzbrojony kanthoński generał starał się ją uspokoić, ale nawet go nie słuchała.

Nagle z namiotu wyszedł Argan w towarzystwie Nekwersa w czarnej zbroi.

— Co w nią wstąpiło, generale Chóru? — spytał Kanthończyka.

— Sprawy potoczyły się niezupełnie tak, jak się spodziewała, a to zawsze rzuca się jej na mózg.

— Ty to powiedziałaś — odrzekł sucho Argan. — Jest jakiś sposób, żeby się stąd ewakuować?

— Nie ma szans. Nie mogę wziąć miasta, a jeśli spróbuję odciągnąć wojsko od murów, tamci ruszą za nami i zniszczą całą armię. Powiedz Ghendowi, że dał mi za mało ludzi, abym mógł się tu utrzymać.

Gelta nie przestawała miotać przekleństw.

— Ucisz ją, Yakhag — warknął ze złością Argan do swego towarzysza.

Nekweros podniósł przyłbicę swego czarnego hełmu i podszedł do Królowej Nocy, nie bacząc na jej kamienny topór.

— Myślałem, że wszyscy Nekwersi to demony — zdziwił się Althalus. — Ten jednak wygląda na człowieka.

— Przypatrz się dobrze — odrzekła Dweia. — To Yakhag, on jest gorszy od wszystkich demonów w Nahgharashu.

Althalus spojrzał uważniej na rycerza w czarnej zbroi. Yakhag miał trupio bladą twarz i zapadnięte policzki, pozbawione wyrazu oczy miały w sobie śmiertelny chłód. Powiedział coś bardzo cicho do Królowej Nocy, która zadrzała i odskoczyła, kuląc ramiona.

— Boi się go! — wykrzyknął Althalus. — Nie przypuszczałem, że jest do tego zdolna!

— Wszyscy w Nahgharashu boją się Yakhaga. Nawet Ghend robi się przy nim nieco nerwowy.

— Więc czemu ten Yakhag nie należy do ścisłego kręgu?

— Pewnie dlatego, że Ghend nie umie go opanować. Yakhag odpowiada tylko przed Daewą. To monstrum.

— A jednak rozkazów Argana słucha.

— Nie sądzę, żebyś chciał się zagłębiać w politykę Nahgharashu. To istny dom wariatów.

— Słuchaj, Chóru — mówił Argan. — Za trzy dni Gelta bezwzględnie musi być w Osthosie. W związku z tym potrzebuje czegoś w rodzaju armii. Ilu żołnierzy zdołasz zebrać?

— Dwa regimenty, nie więcej. To na Osthos za mało.

— Zobaczymy. Dwa regimenty wystarczą. Mam dostęp do pewnych iluzji, które powinny przyciągnąć obrońców Osthosu do stołu negocjacyjnego.

— Iluzje? — skrzywił się Ghoru. — Nie wygrywa się wojen iluzorycznymi żołnierzami, Arganie.

— Nie bądź taki pewny. Wypraw te regimenty na Osthos. Muszę pogadać z Ghendem, potem razem z Gelta i Yakhagiem przyłączymy się do marszu.

Ghoru rozłożył ręce.

— Jak sobie życzysz, Arganie.

— Lordzie Dhakanie! — zawołał bogato odziany dworzanin, wpadając do gabinetu szambelana. — Nadciąga nieprzyjaciół!

— Uspokój się, człowieku. Zamiast stać jak kolek i wrzeszczeć, podaj mi jakieś szczegóły. Ilu ich jest i jak daleko?

— Miliony, milordzie!

— Weiko, przecież ty nie doliczyłybyś do miliona, nawet gdyby twoje życie od tego zależało!

— Ta armia ciągnie się od horyzontu po horyzont! Jesteśmy zgubieni!

— Możesz odejść, Weiko.

— Ale...

— Natychmiast, Weiko, i nie trzaskaj drzwiami.

Dworzanin wyglądał, jakby mimo wszystko chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie zmienił zdanie i wyszedł.

— To jeszcze jeden! — mruknęła Leitha do Andiny.

— Doprawdy? — zdziwiła się arya. — Znaczący, że Ghend już skrobie dno beczki. Nikt na całym dworze nie bierze Weika poważnie.

— Jest jednak trochę sprytniejszy, niż się wydaje. Należy do jednej z tych sekt, które Argan powołał w nizinnych krajach. Weikowi obiecano wysokie stanowisko w nowym rządzie Osthosu, a teraz Argan kazał mu wzniecać panikę. Plan zakłada, że poddasz się bez walki.

— Ciągłe słyszy się słowo „sekta” — zauważył Bheid. — O co właściwie chodzi w tych tajnych związkach religijnych?

— Na pewno chcesz wiedzieć? — spytała Leitha.

— Chyba powinienem, prawda? Wcześniej czy później będę musiał się z nimi zmierzyć.

— Po prostu, bracie Bheidzie, weź wszystko, czego cię uczono, i wywróc do góry nogami, a będziesz bliski odpowiedzi. Argan świetnie potrafi podejść swych wyznawców. Wszyscy oni czegoś pożądamy: pieniędzy, władzy, seksu... słowem, różnego rodzaju paskudztw, on zaś obiecuje zaspokoić te pragnienia. Po prostu wszystko, co uważasz za grzech, w nowej religii Argana jest cnotą. Chcesz więcej szczegółów?

— Ach... nie, raczej nie. — Bheid zaczerwienił się lekko. — Chyba mi wystarczy.

— Nie jesteś zabawny.

Daj mu spokój, Leitho — upomniał ją milcząco Althalus.

Andina wstała i podeszła do okna.

— Liście nabierają kolorów — zauważyła. — Noce też robią się coraz zimniejsze. Althalusie, jak długo powinniśmy przeciągać negocjacje?

— Dziś jeszcze bym się wstrzymał. Wszystko powinno wydarzyć się jutro, poza tym musimy dostosować nasz plan do Gelty. Gdybyś poddała się dziś albo pojutrze, Emmy pewnie zawiązałyby ogon na supeł.

— Lepiej wyślij emisariusza do tej wiedzmy, Dhakanie.

— Nigdy dotąd nie poddawaliśmy się, moja aryo. Może przypadkiem wiesz, gdzie znajdę białą flagę?

— Pożycz mu swoją halkę, Andino — powiedziała zjadliwie Leitha. — To będzie taki miły, osobisty akcent.

— Bardzo śmieszne — fuknęła arya. Następnie zwróciła się do szambelana: — Zabraniam ci tam iść, Dhakanie.

— Wcale nie zamierzaliśmy go wysłać — odezwał się Althalus.

— Więc kto zostanie naszym emisariuszem? To musi być ktoś dobrze poinformowany.

— Wiem — odparł Althalus. — Dlatego sam się tym zajmę.

Cwałując na czele kolumny, Królowa Nocy zobaczyła, że Althalus z Eliarem wyjeżdżają z głównej bramy w asyście plutonu żołnierzy Andiny pod osłoną białej flagi. Ściągnęła wodze, warknęła kilka rozkazów, po czym jej ludzie czym

prędzej ustawili jaskrawo ubarwiony namiot do układów. Althalus dość pobieżnie przyjrzał się iluzorycznej armii w tyle. Z murów Osthosu wyglądała wprawdzie dość imponująco, ale teraz, z bliska, od razu zauważył, że wojsko nie posuwa się nawet na krok i jest statyczne niczym obraz.

Ghend musi jeszcze poćwiczyć — mruknął milcząco do Eliara.

Nie bardzo rozumiem, Althalusie.

Kiedy podejdziesz bliżej do jego iluzji, zobaczysz, że zaczyna się rozpadać. Niektóre konie, na przykład, mają nogi zawieszane w powietrzu, a chorągiewki przy lancach wyglądają jak zrobione z drewna. To tylko obraz armii, Eliarze. Prawdziwa składa się raptem z dwóch regimentów skupionych wokół tamtego pasiastego namiotu. Trzymaj rękę tak, żebyś mógł w każdej chwili sięgnąć po Nóż, kiedy tam podejmiemy. Gelta nie jest całkowicie przy zdrowych zmysłach, ale widok Noża może ją otrzeźwić.

Będę uważał — obiecał chłopak.

Przed namiotem pozsiadali z koni. Althalus narzucił na jedno ramię białą togę, którą pożyczycił od lorda Dhakana, i przybrał wyniosły wyraz twarzy.

— Hej, ty! — zawołał arogancko do jednego z generałów Gelty. — Prowadź mnie do waszego dowódcy, tylko migiem.

Generał wybałuszył oczy z oburzenia, ale powściągnął język i podniósł klapę namiotu.

— Sam się o to prosiłeś, człowieku — mruknął, patrząc na niego z góry.

— Czy nie za mocno? — szepnął Eliar.

— Po prostu wchodzę w rolę — wyjaśnił mu Althalus.

Gelta siedziała na prostym obozowym krześle i wyraźnie starała się wyglądać jak królowa.

Althalus skłonił się niedbale.

— Nazywam się Trag i reprezentuję jej wysokość Andinę, arzę Osthosu. Jakie są wasze żądania?

— Macie otworzyć bramy.

— Najpierw przedyskutujemy warunki, pani — odparł, rzucając jej wyniosłe spojrzenie.

— Zrób, co ci każe, to może zachowasz głowę.

Dopiero z bliska Althalus przekonał się, jak bardzo była brzydka. W twarzy usianej głębokimi dołami po krostach były osadzone małe świńskie oczka, nad ustami czerniły się bynajmniej nie śladowe wąsiki, a wielki nochał wyglądał na złamany w kilku miejscach. Obrazu dopełniały istic bycze bary i paskudny, stęchły odór.

— Pani — rzekł zimno Althalus — to nie jest pora ani miejsce na groźby. Tak się składa, że macie nad nami nieznaczną przewagę, dlatego też moja arza kazała

mi poznać twoje warunki.

— Nie ma żadnych warunków, ty głupi gogusiu! Otwierajcie bramy albo zburzę miasto!

— Spróbuj, pani, zachować właściwe proporcje. Jeśli zechcesz wyjść na chwilę na zewnątrz i spojrzeć na mury Osthosu, to się przekonasz, że miasto się utrzyma bez względu na to, czym będziesz miotać. Jednakże dłuższe oblężenie mogłoby być uciążliwe dla mieszkańców, dlatego pytam wprost: ile chcesz, żeby stąd odejść?

— Jesteś bardzo bystry... i bardzo odważny, milordzie — zamruczała niemal jak kotka. — Nie prowokuj mnie jednak. Twoje miasto nie oprze się moim wojskom. Jutro do południa zasiądę w pałacu waszej ary.

Althalus utrzymał na twarzy wyraz znudzonej wyższości, chociaż miał chęć zatańczyć na stole. Gelta bowiem zdradziła mu nieopatrznie dokładny czas sennej wizji Ghenda.

— Na razie nie zostało to ustalone — odpowiedział wyniośle. — Zbliża się zima, a mury Osthosu na pewno wytrzymają do wiosny, ale do wiosny którego roku to jeszcze otwarta kwestia. Żeby jednak uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi, moja arya zgodziła się skapitulować i pozwolić ci plądrować Osthos przez jeden tydzień, nie dłużej. W zamian za tę wspaniałomyślną ofertę odstąpisz od oblężenia do jutrzejszego południa, aby obywatele mogli bez przeszkód opuścić miasto.

Gelcie twarz pociemniała, ale trzeźwo patrzący Yakhag, który stał za zaimprovizowanym tronem, zacisnął jej na ramieniu opancerzoną dłoń i szepnął coś do ucha.

Królowa Nocy z początku skuliła się pod jego chwytem, ale zaraz odzyskała kontenans i w jej oczach pojawił się błysk chytryści.

— Ludność i tak by mi przeszkadzała — powiedziała szorstko. — Ale arya i jej dostojnicy pozostaną w pałacu i poddadzą mi się do południa jutrzejszego dnia.

— Całkiem rozsądna prośba — przyznał Althalus.

— Żadna prośba — warknęła Gelta.

— To taka formuła grzecznościowa. Twój akcent, pani, sugeruje ansuskie pochodzenie, a język, jakiego używa się w Treborei, bardzo się rozwinął w ciągu ostatnich kilku wieków. Przekażę ary twoje żądania i przed zachodem słońca wrócę z odpowiedzią. Aha, jeszcze jedno: żadnego palenia. Jeśli nie zgodzisz się na to zastrzeżenie, rozmowy natychmiast zostaną zerwane.

— Po co miałabym palić coś, co do mnie należy?

— Dobrze pytanie. Pobyt w pałacu ary z pewnością uznasz za nadzwyczaj przyjemny. Jest tam wiele udogodnień, do których może nie przywykłaś. Szczególnie gorąco polecam korzystanie z kąpieli.

Na wargach Yakhaga pojawił się cień uśmiechu. Althalus zdrzął, ale zaraz wyzbył się uczucia nagłego chłodu i raz jeszcze złożył ukłon Królowej Nocy.

— A zatem do jutra, pani — pożegnał się i razem z Eliarem opuścili namiot, zanim znaczenie ostatniej uwagi, która tak rozbawiła ponurego Yakhaga, dotarło do gospodyni.

— Wymknęło jej się, Em! — oznajmił Althalus, kiedy razem z Eliarem wrócili do wieży. — Chyba nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Ale Yakhag na pewno się zorientował i to jedno zmroziło mi krew. Nie sądzę, aby cokolwiek umknęło jego uwagi. Tak czy owak triumf Gelty jest wyznaczony na jutro.

— Damy radę wszystko ustawić na miejscach? — spytała Khalora Dweia.

— Eliar nie pości dziś długo, ale myślę, że będziemy gotowi.

— Będzie mi potrzebny na jakieś pół godziny — powiedział Bheid. — Muszę przekazać wieść moim mordercom w Kanthonie.

Dweia skinęła głową.

— My zaś pewnie zechcemy odesłać Smeugora i Tauriego z powrotem do fortu. Skoro Ghend chce nas wyręczyć w opiece nad nimi, ułatwimy mu zadanie. Leitho, czy dopatrzyłaś się jakiegoś sensu w tym, co planuje Yakhag?

— Zablokował mnie, Dweio. Nie wiem, w jaki sposób, ale teraz jest tak, jakbyśmy byli martwi.

— W pewnym sensie on sam jest martwy. Nie sądzę, byś zdołała przebić się przez jego barierę. Jest jeszcze starszy niż Ghend.

— Gelta się go boi — rzekł Eliar. — Widziałem to z jej twarzy, ilekroć do niej mówił.

— Oni wszyscy boją się Yakhaga, nawet Ghend — przyznała z powagą Dweia. — Daeva trzyma tego potwora w Nahgharashu i traktuje jako rezerwę w nagłych sytuacjach.

— Czyż nie napawa cię dumą, że i tobie wyznaczono taką rolę? — spytała figlarnie Leitha Andinę.

— Bynajmniej — burknęła arya i zwróciła się do Dwei: — Kiedy powinnam kazać Dhakanowi, by wyłapał wszystkich szpiegów i sekciarzy w moim pałacu?

— Jeszcze dziś wieczorem. Gdy już będą siedzieli pod kluczem w twoim lochu, sierżant Khalor sprowadzi posiłki, które zgarną żołnierzy Gelty, gdy tylko ona przekroczy próg pałacu.

— Wszystko się dobrze składa, co? — zawołał entuzjastycznie Gher. — Żli sobie myślą, że jutro do południa złapią świat za ogon, a to wszystko okaże się kubłem robali!

— To najwyższa nagroda za dobre oszustwo — powiedział Althalus. — Bo tu chodzi nie tyle o pieniądze czy majątek, ile o satysfakcję, że się przechytryło przeciwnika, i o to, jak on się poczuje, kiedy wreszcie zrozumie, co mu zrobiłeś.

Jutro o tej porze Ghend będzie gryzł własną wątrobę.

— Jesteś okropny, Althalusie — syknęła Dweia.

— Przyznaj szczerze, Em! Czy wizja Ghenda gryzącego własną wątrobę nie działa na twoje serce niczym balsam?

— To całkiem co innego — prychnęła.

— Nie drażyłabym dalej, Althalusie — poradziła mu Leitha.

W nocy urządzili coś w rodzaju demonstracyjnej ewakuacji Osthosu. Długie kolumny cywilów z pochodniami wylewały się przez południową bramę ku ucie-sze Gelty, a gdy ulice opustoszały, urzędnicy lorda Dhakana ściągnęli chyłkiem do pałacu tych, których Leitha wskazała im jako agentów nieprzyjaciela. Dwie godziny przed świtem Eliar z Khalorem wprowadzili do miasta łysego sierżanta Gebhela oraz sześć regimentów piechoty Gwetiego.

— Coś mi się zdaje, Gebhelu, że większość przeciwników rzuci broń na sam twój widok — powiedział Khalor. — Może jednak znajdzie się kilku zapaleńców. Ukarz ich przykładnie, to innym odechce się podskakiwać.

— Sam wiem, nie musisz mnie pouczać — warknął Gebhel. — A co mam z nimi zrobić, jak już ich pobiję?

— Nic mnie to nie obchodzi. Będziesz miał w rękach około dziesięciu tysięcy jeńców. Może ci się poszczęści w handlu niewolnikami.

Gebhelowi rozbłyły oczy.

— To jest myśl!

— Dwadzieścia procent dla mnie.

— Nie rozśmieszaj mnie. Najwyżej pięć.

— Piętnaście.

— Wiedziałeś z góry, że skończy się na dziesięciu — zauważył Gebhel z rezygnacją. — Po co zacząłeś od tak absurdalnej liczby?

— Zawsze warto spróbować — obruszył się Khalor.

— Idź już sobie, Khalorze, muszę rozstawić ludzi na pozycjach.

— Tylko upewnij się, że ich nie widać, póki nie dam sygnału.

— Może każesz mi jeszcze przypilnować, żeby włożyli buty, mój militarny geniuszu?

— Aleś ty napastliwy!

— Więc przestań mnie ciągle pouczać, jak mam wykonywać swoją robotę!

Kiedy wrócili z Althalusem do pałacu, Khalor jeszcze się śmiał.

— Lubię go — wyznał.

— Nigdy bym na to nie wpadł — mruknął Althalus.

Dzień wstał pogodny i jasny. Jesień napełniła już świat kolorami.

— Nie obgryzaj paznokci, Andino — upomniła Leitha przyjaciółkę.
— Jestem trochę zdenerwowana.
— Kochanie, Dweia nie pozwoli, żeby coś ci się stało.
— Nie tego się obawiam. Może powinniśmy jeszcze raz wszystko przeciw-
czyć?
— Przecież odbyliśmy już kilkanaście prób. Jeśli dotąd nie zapamiętałaś roli,
to już nie zapamiętasz.
— Zawsze tak się denerwuję przed publicznym wystąpieniem. Kiedy już za-
cznę, zaraz się uspokajam, ale to czekanie jest straszne. Sama zobacz. — Wycią-
gnęła przed siebie drżącą rękę. — Tak jest za każdym razem.
— Na pewno pójdzie ci świetnie — pocieszała Leitha arzę, biorąc ją ramio-
na.

Eliar wszedł do gabinetu Dhakana.

— Rozpalają już ogniska — zameldował Althalusowi. — Jak tylko skończą
śniadanie, będą gotowi do drogi.

— Może, ale przypuszczam, że Gelta zechce ich jeszcze powstrzymać. Noge
na karku Andiny ma postawić w samo południe. Jeśli zrobi to wcześniej albo
później, wszystko się rozpadnie.

— Szkoda, że nie ma tu Emmy.

— Ależ jest, Eliarze. Wprawdzie nie możemy jej zobaczyć, ale jest.

Ranek zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Nagle — gdy do południa bra-
kowało tylko dwóch godzin — z namiotu wynurzyła się Królowa Nocy, wywrza-
skując rozkazy. Żołnierze rzucili się do koni, wskoczyli na siodła i uformowali
szyk. Wtedy wsiadła też sama Gelta i najwyraźniej na coś czekała.

Z jaskrawo ubarwionego namiotu wyszli Argan i posępny Yakhag. Argan po-
wiedział do Gelty kilka słów, po czym wywiązała się krótka kłótnia.

Dopiero kiedy Yakhag uderzył pięścią w rękawicy o swą opancerzoną pierś,
tamci ucichli, nieco wystraszeni. Przemawiał do nich dłuższą chwilę z twarzą
pozbawioną wyrazu i pustymi oczami.

Gelta raz jeszcze spróbowała się sprzeciwić, ale Yakhag ponownie rąbnął pię-
ścią o pancerz.

— Oto nowatorski sposób na zatykanie ludziom gęby — zauważył sierżant
Khalor z uznaniem. — Musi z tym się wiązać jakaś groźba.

— Chyba tak — zgodził się Althalus. — Emmy nie chce gadać o Yakhagu,
ale dwukrotnie widziałem, jak zgasił Geltę. Ona naprawdę się go boi.

— Czemu ty, Eliar i Gher nazywacie swoją żonę Emmy?

— Małżonkowie nadają sobie czasem takie pieszczotliwe imiona — odpowie-
dział Althalus. — Po pewnym czasie Eliar i Gher też zaczęli tak mówić. Miej oko

na Yakhaga, Khalorze. Ghend z Arganem coś knują, ale klucz do zagadki stanowi Yakhag. Dzieje się coś, czego nie rozumiem, a to zawsze mnie wnerwia.

Bramy Osthosu stały otworem, przez nikogo niestrzeżone, co miało sugerować nieprzyjacielowi, że miasto opustoszało. Gelta i Yakhag wjechali triumfalnie do środka i zmierzali szeroką aleją do pałacu w asyście dwóch kanthońskich regimentów.

— Nie zostawiła przy bramie żadnej straży! — wykrzyknął z niedowierzaniem Khalor.

— Gelta to wsiowa dziewczucha — wyjaśnił mu Althalus. — Nie jest obeznana z miastami. Ale buty włożyła.

— Bardzo śmieszne.

Dotarłszy do pałacu, Królowa Nocy rzuciła kilka komend, po czym jej regimenty natychmiast otoczyły budynek.

— A jakby tak wezwać Gebhela? — zaproponował Khalor. — Zaraz zrobiłby koniec z tymi wygłupami, zanim sprawy zaszłyby dalej.

— Popsulibyśmy Andinie cały dzień, a ona szykuje się na to od tygodni.

— Słusznie. Ta dziewczyna ma ładny głos, ale wolę, żeby nie krzyczała na mnie.

Kiedy weszli do sali tronowej, Andina właśnie ze wszystkich sił ćwiczyła czołobitność.

— Czy ona lekko nie przesadza? — szepnął Khalor.

— Widownia nie jest specjalnie wyrafinowana — zauważył Althalus. — Teraz, sierżancie, słuchaj uważnie. Andina zaraz ukleknie przed Gelta i to będzie dla ciebie sygnał rozpoczęcia balu. W chwili gdy kolana Andiny dotkną podłogi, oddziały Gebhela mają uderzyć na kordon wokół pałacu, ci zaś, którzy siedzą w ukryciu, rzucają się na ochroniarzy Gelty. Usłyszysz kilka dziwnych odgłosów, ale nie zwracaj na nie uwagi.

— Twoja żona już mi to wyjaśniła.

— Naprawdę? Nic o tym nie wspomniała.

— Może próbuje cię zaskoczyć. Wiem, gdzie mam być i co robić, więc idź dalej i pozwól, że zajmę się wszystkim tutaj.

Althalus poszedł w głąb sali, burcząc coś pod nosem.

Mógł to być czysty — choć mało prawdopodobny — przypadek, że znajomy skowyt rozległ się w pałacowych komnatach akurat w momencie, gdy Althalus wkroczył do sali tronowej, i zaledwie chwilę po tym, jak Królowa Nocy stanęła w progu z Arganem i pustookim Yakhagiem za plecami.

— Co za dziwka plugawi mój tron? — warknęła.

— Ja... ja jestem Andina, arya Osthosu.

— Zakuć tę dziewczę w łańcuchy! I niech tego dokona jej własna służba, aby ci, którzy są mi wierni, nie musieli się kalać, dotykając takiego ścierwa!

— Lordzie Tragu, czy podejmiesz się tego zaszczytu? — zwrócił się do Althalusa nieco ubawiony Argan.

— Jak sobie życzysz, wielebny — odrzekł z lekkim ukłonem Althalus.

Coś tu było nie w porządku. W oryginalnym śnie nie występował ani Argan, ani Yakhag... Mimo to Althalus podszedł szybko do tronu. Andina była dobrze przygotowana, ale...

Trzymaj buzię na kłódkę i wbij oczy w ziemię — doradził milcząco Andinie. — *Gelta próbuje cię sprowokować do jakiejś awantury.*

Zabiję ją! — usłyszał w odpowiedzi.

Althalus rozsądnie zasłonił komplet kajdanków, identycznych z tymi, które widzieli we śnie, i szybko zatrzasnął je na przegubach i kostkach Andiny. Nie kręć się! — upomniął ją milcząco. — Nie są zamknięte na klucz. Potem złapał ją brutalnie za ramię i ściągnął z tronu.

— Twoje usługi nie pozostaną bez nagrody, lordzie Tragu - rzekła Gelta uroczyście. — Doradź też innym tu obecnym, że uległość wobec mnie jest ścieżką do życia.

— Stanie się wedle twojej woli, Królowo Nocy — odpowiedział z niskim ukłonem Althalus.

Wycie nasiliło się tak, że niemal mury się zatrzęśły.

Wtedy Gelta, Królowa Nocy, z ponurą satysfakcją wstąpiła na podium i zasiadła na złotym tronie Osthosu, przybierając imperatorską pozę.

— Teraz uklęknieś przede mną i poddasz się mej woli, o kruche dziecię. A jeśli twa uległość mnie zadowoli, może zachowam cię przy życiu.

Althalus ponownie chwycił Andinę za ramię i wepchnął ją na podium.

Wiesz, co masz robić — szepnął. — Wykonaj to.

Andina opadła na kolana.

— Postąp ze mną wedle twojej woli, o potężna królowo — odezwała się drżącym głosem. — Ale błagam cię na wszystko, oszczędź moje ukochane miasto!

Mów dalej! Każde twoje słowo zakłóca oryginalną wersję Ghenda.

— Litości, straszliwa królowo! — głos Andiny wzniósł się ponad inny dźwięk, który zaczął przebijać się przez skowyt, zwykle towarzyszący wizjom Ghenda.

Althalus spojrział ostro na Eliara stojącego wraz z Bheidem i Salkanem wśród przerażonych dworzan. Młody Arumczyk miał na twarzy zacięty wyraz i trzymał rękę na wyciągniętym do połowy Nożu. Dwieja najwyraźniej przekazała innym jakieś wskazówki, ale jakby zapomniała o Althalusie.

— Na twarz! — rozkazała Gelta klęczącej Andinie. — Padnij przede mną na twarz, żebym wiedziała, iż twoja uległość jest absolutna!

Nagle z zewnątrz pałacu zaczęły dobiegać jakieś stłumione krzyki, zagłuszone

nieustannym skowytem i pieśnią Noża. Widocznie sierżant Gebheł przybył zgodnie z planem.

W głowie Althalusa rozległ się przeraźliwy głos Leithy.

Althalusie! Oni są realni! To nie jest żadna iluzja!

Co nie jest iluzją?

To wojsko za murami! Jest prawdziwe! Tysiące żołnierzy maszeruje prosto na bramy!

Althalus skłął się w duchu za niewagę. Przecież Ghend miał własne drzwi i własnego odźwiernego. Yakhag także odgrywał tu jakąś rolę, ale teraz wypadki nabrały takiego tempa, że nie było czasu, by się tym martwić. Wizja Ghenda rozkręciła się już na dobre.

Płacząc gorzko, arya Andina pochyliła twarz aż do kamiennej posadzki, a skowyt w tym momencie wznosił się do przeraźliwego pisku.

I wezbrało szczęściem serce Gelty, a smak zwycięstwa na jej języku był słodki, bardzo słodki.

I postawiła swą ciężko obutą stopę na delikatnym karku Andiny, oznajmiając w radosnym triumfie:

— Wszystko, co było twoje, jest teraz moje. Zaprawdę, Andino, nawet twoje życie i twoja krew.

Echo triumfalnego okrzyku Królowej Nocy rozeszło się po marmurowym pałacu upadłej aryi Osthosu.

W tym momencie powinni wkroczyć żołnierze Khalora i usunąć Geltę z tronu, ale Nekwerosi w czarnych zbrojach nadal stali we wszystkich drzwiach sali tronowej, a odgłosy dobiegające z korytarzy świadczyły, że siły sierżanta napotkały niespodziewany opór.

Co się dzieje? — milczący głos Bheida aż świdrował mózg Althalusa. — *Czemu nieprzyjaciół nadal pilnuje drzwi?*

To Yakhag! Wykorzystał chwilę naszej nieuwagi i przemycił do Osthosu całą armię!

Skowyt przeszedł w triumfalne wycie, natomiast pieśń Noża osłabła.

— Ale cię przyłapałem, stary! — rzekł Argan do Althalusa, nie kryjąc radości. — Wiesz, powinieneś bardziej uważać. Byłbyś godnym przeciwnikiem Ghenda, lecz straciłeś klasę, występując przeciwko mnie. — Następnie zwrócił się do Bheida: — No cóż, bracie, spotkaliśmy się w końcu. Bardzo mi miło, że wylazłeś z ukrycia. Zaoszczędziłeś mi mnóstwo czasu i fatygi; przynajmniej nie muszę już na ciebie polować. To naprawdę wstyd, że nie znaleźliśmy czasu na pogawędkę, ale ostatnio byłem okropnie zajęty. — Spojrzał na swego opancerzonego kompana. — Yakhagu, bądź fajnym kumplem i zabij za mnie tego kapłana, dobra?

Yakhag skinął obojętnie głową i ruszył na Bheida z podniesionym mieczem.

Wtem Salkan wyszarpnął Eliarowi miecz z pochwy i zastawił swego nauczyciela własnym ciałem.

— Po moim trupie! — wrzasnął, wymachując mieczem.

Yakhag wzruszył ramionami i lekko stuknął swym mieczem broń przeciwnika, odsuwając ją na bok. Następnie przebił Salkana na wylot.

Pasterz zgiął się wpół, a miecz Eliara poleciał ślizgiem przez całą podłogę aż na drugi koniec sali tronowej.

— Z drogi, Bheidzie! — wrzasnął Eliar, kiedy obaj rzucili się w pogoń.

Bheid jednak zdążył już dopaść broni przyjaciela. Odpychając Eliara, rzucił się na Yakhaga, który daremnie starał się wyciągnąć swój miecz z bezwładnego ciała Salkana.

Althalus natychmiast się zorientował, że Bheid prawdopodobnie nigdy przedtem nie miał miecza w ręku. Machał nim jak toporem i trzymając rękojeść oburącz, rąbał Yakhaga po hełmie. Jednakże trzeci cios wyrzucił przyłbicę w powietrze i Yakhag podniósł obie ręce, osłaniając głowę.

— Przebij go, Bheidzie! — krzyknął Eliar. — Przebij!

Bheid niezgrabnie odwrócił chwyt i uderzył czubkiem ostrza w napierśnik Yakhaga. Miecz zagłębił się tylko trochę, ale Bheid kręcił nim w obie strony, bardziej zgrzytając, niż tnąc, aż wreszcie udało mu się poszerzyć otwór. Wtedy gwałtownie pchnął, całym ciężarem napierając na rękojeść. Kiedy ponowił cios, z ust przeciwnika trysnęła jasnoczerwona krew.

Yakhag krzyknął i desperackim ruchem złapał za ostrze, które Bheid metodycznie pchał w jego ciało.

Twarz kapłana wykrzywiła się nienawiścią. Zadał kolejne pchnięcie.

Yakhag wrzasnął i ręce odpadły mu od ostrza.

Bheid naparł ostatni raz. Althalus wyraźnie słyszał zgrzyt stali o tylną część pancerza. Przez ułamek sekundy widział w oczach Yakhaga coś na kształt uznania. Potem potwór w czarnej zbroi padł obok nieruchomego ciała Salkana.

Bheid przez dłuższą chwilę patrzył z przerażeniem na mężczyznę, którego dopiero co zabił, i na chłopca, który oddał życie za swego nauczyciela. Potem zapłakał, szlochając głośno jak skrzywdzone dziecko.

Znów rozległ się dziwny trzask. Z nicości wynurzył się Khnom, chwycił Argana za ramię i przeciągnął go przez drzwi, zza których buchały płomienie.

Nagle przejście zniknęło. Sprzed drzwi sali tronowej poznikali też wszyscy nekweroscy strażnicy w czarnych zbrojach.

— Zabieraj nogę z mojego karku, ty śmierdząca wiedźmo! — rozległ się wysoki głos Andiny. Jednocześnie osłabł dziki skowyt, a pieśń Noża wzniosła się pod sufit.

Gelta wybałuszyła oczy ze zdumienia, sięgnęła do rękojeści miecza.

— Odradzam, pani — rzekł sierżant Khalor. — W tej chwili dziesięć strzał celuje prosto w twoje serce. Jeden nierozważny ruch i jesteś mięsem.

Gelta zastygła w bezruchu.

— Precz z mojego tronu! — zakomenderowała Andina, uwalniając się z kajdan.

Królowa Nocy patrzyła na nią z niedowierzaniem.

— To nie mogło się zdarzyć! — wykrzyknęła.

— Ale się zdarzyło! Dalej, bo ci pomogę toporem!

— Mam za sobą wojsko! Zburzę całe miasto!

— Czyżbyś nie zauważyła? — spytał Althalus. — Twoje wojsko zniknęło wraz ze śmiercią Yakhaga. Zostałaś sama, Gelto.

— Zakuć tę śmierdzącą krowę w kajdany! — rozkazała Andina. — I do lochu z nią!

Straż pałacowa otoczyła wyrywającą się Królową Nocy, a Althalus osobiście skuł jej ręce i nogi kajdankami.

Strażnicy powlekli Geltę do drzwi, ale pieśń Noża nie milkła.

— Jeszcze chwileczkę — poprosił Eliar, wyciągając miecz z ciała Yakhaga. — Muszę jej coś pokazać. — Schował miecz i wyciągnął Nóż. — Powinnaś to zobaczyć, zanim cię wyprowadzą — rzekł lodowatym tonem i podsunął Gelcie ostrze Noża pod oczy.

Królowa Nocy wydała wrzask bólu, daremnie próbując osłonić oczy skutymi rękami. Cofnęła się do drzwi, które nagle się otworzyły. Jeszcze krok i zniknęła.

— Coś ty zrobił!? — spytała Andina głosem, od którego zdrząły szyby.

— Emmy mi kazała — tłumaczył się Eliar. — To nie moja wina.

— Chciałam zamknąć to krówsko w lochu!

— Kochanie — odezwała się Leitha. — Emmy właśnie zwędziła ci słomiankę. Teraz będziesz musiała wycierać buty o coś innego.

— Gdzie ona jest, Eliarze? Czemu drzwi ją zabrały?

— Jest teraz w Domu. Emmy przygotowała jej specjalny pokój. Bardzo przyjemny... ale bez drzwi. Emmy mówiła, że Gelta już kilka razy uciekała z więzienia. Tym razem jej się nie uda.

— Jak długo Emmy chce ją tam trzymać?

— Nie powiedziała. Ale na twarzy miała wypisane „na zawsze”.

— Na zawsze? — powtórzyła Andina ze zgrozą.

— Co najmniej na zawsze. A może nieco dłużej.

W sali tronowej zaległa cisza przerywana tylko rozpaczliwym łkaniem Bheida.

CZEŚĆ VI
LEITHA

ROZDZIAŁ 35

— Żadnych szans, Althalusie — oznajmił ponuro sierżant Khalor. — Nie żyje.

Sierżant ma rację — zamruczała Dweia. — *Straciliśmy Salkana.*

I nic nie da się zrobić?

Niestety, nie.

Althalus zaklął.

— Wyrażasz moje uczucia — rzekł Khalor. — Naprawdę lubię tego chłopaka, zresztą wszyscyśmy go lubili.

— Bheid jakoś dziwnie to przyjął. Nie mogę go rozszyfrować.

— A jednak postąpił właściwie. — Khalor trącił nogą opancerzone ciało Yakhaga. — Właściwie co to za facet?

— Nie jestem pewien — przyznał Althalus. — Zdaje się, że to ktoś z zewnątrz, kto słuchał tylko Argana. Nawet Ghend nie miał nad nim władzy. Zresztą działa się tu coś dziwnego i nie wszystko rozumiem.

— W każdym razie wygraliśmy i tylko to się liczy. — Nagle Khalor zmarszczył brwi. — Myślałem, że kapłanom nie wolno zabijać.

— Nie znam się na prawie kościelnym, ale kiedy Yakhag zabił Salkana, bratu Bheidowi jakby odebrało rozum.

— To się zdarza — przyznał Khalor, wzruszając ramionami. — Dobrze by było, gdybyś miał go przez jakiś czas na oku. Nie jest Arumczykiem i brak mu doświadczenia. Arumczyk nie przejmuje się tak, gdy musi zabić wroga, natomiast kapłan... i to z nizinnego kraju... Na pewno rozumiesz, o co chodzi.

— Nie musisz mi wbijać do głowy takich rzeczy — obruszył się Althalus. — Zresztą on wcale nie jest taki załamany.

— I właśnie o tym mówię, Althalusie. Bheid powinien być załamany. Stracił bliskiego przyjaciela, a potem złamał surowy zakaz. Niepokoi mnie ta obojętność na jego twarzy. Uważam, że przez jakiś czas nie powinien zbliżać się do żadnego ostrego narzędzia.

— Nie zrobiłby czegoś takiego — oburzył się Althalus.

— W normalnym stanie umysłu nie. Ale teraz nie jest przy zdrowych zmysłach.

— Będę na niego uważał — obiecał Althalus. — Na razie usuńmy te dwa ciała z jego oczu. Potem może Eliar zabierze go do Domu i przekaże Emmy.

— Tak będzie najlepiej — zgodził się Khalor.

— To zajmie trochę czasu, moja aryo — mówił znużonym głosem lord Dhakan, kiedy dwa dni później zebrali się wszyscy w sali tronowej. — Nie wyjaśniliśmy zbyt wiele naszym dworzanom, zanim ta barbarzyńska kobieta wtargnęła do Osthosu.

— Owszem — przyznała Andina z wysokości swego tronu. — A to dlatego, że w pałacu aż się roi od szpiegów.

— Teraz już nie — mruknęła Leitha.

— Niestety, to także przyczyniło się do wybuchu paniki — dowodził Dhakan. — Jestem pewien, że oni wszyscy byli opłacani przez wroga, ale wtrącanie lokajów i chłopców stajennych do lochu na równi z wysokimi dygnitarzami nadaje całej procedurze posmak arbitralnego kaprysu. Zresztą kilku z tych aresztowań nie da się wytłumaczyć w racjonalny sposób. — Dhakan przesunął ręką po wymizowanej twarzy i westchnął głęboko. — Oczywiście Leitha na pewno prawidłowo zidentyfikowała agentów, ale taki argument nie utrzyma się w żadnym sądzie.

— Jesteś wyczerpany, prawda, Dhakanie? — powiedziała współczująco Andina.

— Rzeczywiście trochę się zmęczyłem. Ostatnio było tu gorąco.

— Więc idź coś zjeść, a potem się połóż.

— Jest jeszcze sporo spraw do załatwienia.

— Poczekają. Idź do łóżka, Dhakanie.

— Ale...

Andina wyprostowała się na tronie.

— Do sypialni! W tej chwili! — rozkazała, wskazując drzwi.

— Dobrze, mamusiu — ustąpił szambelan, uśmiechając się lekko, po czym powłókł się do drzwi.

— Kocham tego staruszka — mruknęła z czułością Andina.

— Nigdy bym się nie domyśliła — zauważyła ironicznie Leitha.

W tym momencie do sali wszedł Eliar z Gherem.

— W Pomie już wszystko skończone — oznajmił. — Twengor przepędził nieprzyjacielskie siły z miasta, a potem przejechali się po nich Kreuter i Dreigon.

— Gdzie jest Khalor? — spytał Althalus.

— Przykleił się do tamtego okna — rzekł Gher. — Chyba nawet końmi nie da się stamtąd odciągnąć.

— Kazał mi zaraz wracać — dodał Eliar. — Na wypadek gdyby potrzebował drzwi. Mam ci powiedzieć, że Twengor idzie tu po zapłatę. Sierżant uważa, że kiedy Kreuter z Dreigonem zakończą sprawy w Kadonie i Maworze, powinniśmy zwołać naradę.

— Może to niezły pomysł — zgodził się Althalus. — A co z Bheidem?

— On teraz przeważnie śpi — odrzekł Gher. — Emmy mówi, że to najlepszy sposób na uspokojenie.

— Ale nic mu nie będzie, prawda? — zaniepokoiła się Leitha.

— Trochę dziwnie się zachowuje, kiedy Emmy pozwala mu się obudzić. Mówi o rzeczach, których nie rozumiem. Emmy zachęca go do tego przy posiłkach i on tak mówi i mówi, a potem znowu zasypia. Nie martw się, Leitho, Emmy nie zostawi Bheida w tym stanie, choćby miała rozłożyć go na kawałki i poskładać na nowo.

Leitha aż się zatrzęsała.

— Co za makabryczny pomysł!

— Przecież znasz naszą Emmy — przypomniał jej Gher.

Mieszkańcy, którzy uciekli z miasta przed wejściem Gelty, zaczęli napływać z powrotem. Życie w Osthosie niemal wróciło do normy, kiedy u bram stanął wódz Twengor w towarzystwie diuka Bherdora. Althalus z pewnym zaskoczeniem zauważył, że Twengor nadal stroni od mocnego piwa.

— Gdzie jest Khalor? — spytał brodac, kiedy rozliczył się już z Althalusem.

— Wyjechał... w interesach — odparł enigmatycznie Althalus.

— Zrobił się bardzo ruchliwy.

— Ma na głowie dość dużą wojnę.

— Właśnie o tym chciałem z nim pogadać. Głośno rozpowiadał, że chce wprowadzić w Kanthonie coś w rodzaju stabilizacji, kiedy już natłuczemy ich armię. A ponieważ i tak mam tamtędy wracać do domu, pomyślałem, że warto by porozmawiać.

— To nigdy nie zawadzi. Widzę, że przywiozłeś diuka Bherdora.

Twengor pokiwał głową.

— Dobry z niego chłopak, ale taki naiwny, że kupcy wciąż robią go w konia z podatkami. Teraz, kiedy Poma leży w gruzach, będzie musiał zaczynać wszystko od nowa. Poradziłem mu, żeby na razie niektóre rozkazy wydawał z Osthosu, kupcy łatwiej je przełkną. Jeśli chce odbudować miasto, będzie potrzebował pieniędzy, a to oznacza podatki. Bherdorowi zależy, aby mieszkańcy Pomy go lubili, więc gdybym go tam zostawił, kupcy by go opadli jak stado wilków. Powinien nauczyć się stanowczości, a Osthos to najlepsze miejsce do takiej praktyki.

— Zmieniłeś się, wodzu Twengorze.

— Bo jestem trzeźwy, tak?

— To może się z tym wiązać.

— Bardzo mi przykro z powodu tego rudego pasterza. Moi wektijscy chłopcy ogromnie się zmartwili. Czy ktoś coś zdziałał w tej sprawie?

— Brat Bheid już się tym zajął.

— Ja nie mówię o pogrzebie, Althalusie!

- Ja także. Zabójcę Salkana Bheid przebił na wylot mieczem.
- Kapłan?! — wykrzyknął z niedowierzaniem Twengor. — Myślałem, że im nie wolno zabijać.
- To była wyjątkowa sytuacja.
- Nigdy nie zrozumieję tych z nizin.

Kiedy jesienne chłody ogołociły drzewa z liści, wrogie wojska zostały ostatecznie przepędzone z ziem należących do Andiny. Diukowie wraz z wodzami arumskich klanów zebrali się w Osthosie, by zastanowić się nad dalszymi działaniami.

— Najgorsza sytuacja panuje na odcinku dostaw żywności — zauważył diuk Nitral pewnego ponurego dnia, kiedy siedzieli w sali konferencyjnej. — Palenie pól w Treborei miało sens, kiedy trwała inwazja, ale teraz, gdy zima za pasem, inaczej się o tym myśli.

— Może znajdzie jakieś wyjście — powiedział diuk Olkar z Kadonu. — Mam kontakty z paroma kupcami zbożowymi z Maghu. Na pewno podbiją trochę ceny, ale w Perquaine jest mnóstwo pszenicy.

— Najpierw trzeba nakarmić wieś — oznajmiła Andina. — Nie pozwolę zgłodzić moich dzieci.

— Jakich dzieci? — zdziwił się Eliar.

— Emmy z nią rozmawiała — szepnął mu Gher. — Wiesz, jaka ona jest w tych sprawach.

— Ogołocisz skarbiec, aryo — ostrzegł ją lord Dhakan.

— Trudno. To gardłowa sprawa.

— Oto przemówiła matka Treborei — powiedziała uroczystym tonem Leitha. — Szanujcie jej słowa, bo pójdziecie spać bez kolacji.

— Leitho, to nie jest śmieszne — obruszyła się Andina.

— Mnie tam się podoba — odezwał się Gher, patrząc z beczelnym uśmiechem na arzę.

— W Perquaine jest teraz chaos — ostrzegł diuk Nitral Olkara. — Większość najeźdźców na zachód od rzeki Osthos uciekła przed oblężeniem Maworu właśnie do Perquaine, poza tym trwają tam jakieś zamieszki na tle religijnym.

— Naprawdę kłóć się o religię? — zdumiał się Twengor. — Czy to nie tak samo, jakby spierali się o pogodę?

— Perquaińczykom czasem odbija — zauważył Nitral. — Jeśli ktoś tylko siedzi z uchem przy ziemi i słucha, jak zboże rośnie, to ma za dużo czasu na rozmyślania.

— Kupcy zbożowi w Maghu czczą pieniądze — rzekł Olkar. — Ja mówię tym samym językiem, więc się dogadujemy.

— Myślę, że sytuacja zmierza do ograniczenia racji żywnościowych — odezwał się Khalor. — Wiem, że to przeczy wszystkiemu, czego nas uczono, ale najlepiej będzie, jeśli natychmiast osiodłamy konie i ruszymy na Kanthon.

— Wojna w zimie? — skrzywił się Koleika. — To niedobra pora.

— Nie zanosi się tam na wielką wojnę, Koleiko — rzekł pojednawczo Twengor. — Po starciu z Kreuterem i Dreigonem wszyscy ich najemnicy puciekali, a samego arya znaleziono w zeszłym tygodniu martwego we własnym łóżku. Tak naprawdę musimy tylko w drodze do domu zboczyć do Kanthonu i poprosić mieszkańców, by się poddali. Raczej nie powinni z nami dyskutować, prawda?

— Twengor ma rację, panowie — poparł go wódz Albron. — Wynośmy się z tego kraju jak najszybciej. — Uśmiechnął się lekko. — Na pewno matka Treborrei będzie strasznie za nami tęsknić, ale gdybyśmy zaczęli plądrować jej spiżarnię, mogłaby się zdenerwować.

Astarell, która siedziała obok Albrona, szturchnęła go nagle łokciem.

— Co powiesz? — spytał wódz, uśmiechając się czule.

— Zapytaj stryja. No już!

— Kochanie, to nie jest odpowiedni moment.

— Zrób to, Albronie, bo inaczej zapomnisz.

— A nie lepiej na osobności?

— Chcesz to trzymać w sekrecie?

— No... nie, ale...

— Mów!

— Dobrze, kochanie. — Albron odchrząknął i zaczął uroczystym tonem: — Wodzu Kreuterze...

— Słucham cię, wodzu Albronie. Co mogę dla ciebie zrobić? — odpowiedział jasnowłosy Plakandczyk, na którego ustach pojawił się lekki uśmiezek.

— To poważna sprawa, stryju — fuknęła Astarell.

— Przepraszam cię, moja droga. Rozumiem, wodzu Albronie, że chcesz mnie o coś prosić?

— Potężny wodzu, proszę, byś uczynił mi zaszczyt i oddał za żonę twą bratanicę Astarell.

— Co za zabawny pomysł! I przez tysiąc lat bym na to nie wpadł!

— Przestań, stryju!

— Tylko żartowałem, moje dziecko — uśmiechnął się Kreuter szeroko. — A co ty sama o tym sądzisz? Mogłaś gorzej trafić, rozumiesz. Wprawdzie wódz Albron nie zna się zbyt dobrze na koniach, ale jest całkiem niezły.

— Ach — bąknęła z psotną minką Astarell — chyba się nada.

— Jak możesz, Astarell! — wykrzyknął Albron.

— No dobrze — uciął Kreuter. — Skoro naprawdę chcesz, to cała przyjemność po mojej stronie. Wodzu Albronie, niniejszym ogłaszam, że zezwalam ci na poślubienie mojej bratanicy. Wszyscy zadowoleni?

— Myślę, że tysiąc koni. . . — rzekła z wahaniem Astorell.
— Co proszę? Chyba się przestyszałem. . .
— Mój posag, stryju. Tysiąc koni będzie w sam raz. . . no i ślubna suknia, oczywiście.
— Tysiąc?! — zdenerwował się Kreuter. — Straciłaś rozum?
— Przecież kochasz mnie, stryju, prawda? Nie chcesz się tylko mnie pozbyć?
— Jasne, że cię kocham, Astorell, ale tysiąc koni?
— Przynajmniej wszyscy w Plakandzie dowiedzą się, jak mnie cenisz, drogi stryju.
— Ty ją podpuściłeś? — spytał Kreuter Albrona.
— Pierwszy raz o tym słyszę — odrzekł młody wódz, patrząc w osłupieniu na narzeczoną. — Co ja, u licha, pocznę z tysiącem koni?
— Nic mnie to nie obchodzi, Albronie. Ta liczba daje mi poczucie wartości. Nie jestem żebraczką.
Albron i Kreuter wymienili bezradne spojrzenia.
— Zgoda, Astorell — powiedzieli niemal idealnym unisono.

Kiedy grupa szlachetnie urodzonych jeźdźców wyjechała z Osthosu, podążając na północ, nad środkową Treboreą panowała już zima. Bure chmury sunęły nad spustoszonej krajem, niosąc z sobą chłód i smutek.

Podróżni zatrzymali się na krótko w Maworze, potem okrążyli jezioro, zmierzając do Kadonu.

— Zostawię cię tu, aryo — powiedział diuk Olkar. — Wycisnę, co się da z kupców zbożowych w Maghu, ale i tak z pewnością obedną mnie ze skóry.

— Nic na to nie poradzimy — westchnęła Andina. — Muszę mieć chleb dla mojego ludu.

— Chyba oboje coś przeoczyliście — odezwał się Althalus. — Przecież w Kanthonie są spichlerze, natomiast nie ma wojny. . . jak dotąd. Kiedy opanujemy miasto, spichlerze staną się naszą własnością. Może diuk Olkar powinien wspomnieć o tym podczas negocjacji z pijawkami z Maghu. Nie rzucałbym natomiast pochopnie słowami „kryzys” czy „głód”, lepiej spróbować takich jak „kontyngent” czy „możliwe braki”.

— Musisz mieć doświadczenie w takich sprawach, lordzie Althalusie — domyślił się Olkar.

— Przypadkiem udało mi się kilka skomplikowanych sztuczek — przyznał skromnie Althalus. — Ale w gruncie rzeczy nie ma wielkiej różnicy między tym, co robi wasza miłość, a moją profesją, prawda?

Olkar uśmiechnął się niespodziewanie.

— To sekret, milordzie.

Świetnie sobie poradzi, Andino — zapewnił Althalus arye. Potem znów zwrócił się do Olkara: — Może wasza miłość zechce przeciągnąć trochę negocjacje. Kiedy weźmiemy Kanthon, sprawdzę zawartość spichlerzy i dołączę do ciebie w Maghu. Lepiej wiedzieć, na czym naprawdę stoimy, nim zaczniemy rozrzucać pieniądze na prawo i lewo.

— Z ust mi to wyjąłeś, lordzie Althalusie — zgodził się Olkar.

W pałacu Olkara czekali na nich kapitanowie Gelun i Wendan.

— Z żalem informujemy, że wodzowie naszych potężnych klanów ponieśli w ostatniej wojnie bohaterską śmierć — oznajmił wysoki kapitan Wendan bez cienia uśmiechu.

— Całe Arum boleje wraz z wami, szlachetny kapitanie — odrzekł uroczystym tonem Albron.

— Czy można uznać, że formalnościom stało się zadość? — spytał kapitan Gelun.

— Według mnie, tak — podchwycił Twengor. — Przecież nie możemy się załamywać.

— Ja znoszę to całkiem nieźle — mruknął Gelun.

— Kto ich zastąpi? — spytał bez skrupułów Koleika.

— Na razie nie wiadomo — odpowiedział Wendan. — Nie ma jasno określonej linii sukcesji. W grę wchodzi dalsi kuzyni i paru bratanków.

— Kto tu najlepiej wygłasza mowy? — spytał Koleika, rozglądając się po zebranych.

— Chyba Albron — zasugerował Laiwon. — On przynajmniej umie czytać, więc może zacytować jakiś wiersz.

— Czyżbym coś przeoczyła? — spytała ze zdziwieniem Andina. — U nas w Treborei sukcesja związana jest z linią krwi... czyli z tym, co nazywamy pokrewieństwem.

— W Arum nie podchodzimy do tego tak sztywno, mateczko — wyjaśnił z lekkim uśmiechem Twengor. — W takich sytuacjach jak ta wodzowie innych klanów służą jako uprawnieni doradcy. Ponieważ będziemy musieli żyć w zgodzie z nowymi wodzami, do naszych sugestii przywiązuje się pewną wagę. Czy naruszę jakieś zasady, jeśli uznam Geluna i Wendana za najlepszych kandydatów?

— Jak dla mnie mogą być — zgodził się Laiwon.

Inni wodzowie kiwnęli tylko głowami.

— Zaczynam przygotowywać mowę — oznajmił Albron i zerknął na kapitana Wendana. — Właściwie jak oni zginęli? Może powinienem wspomnieć o tym w oracji.

— Lepiej nie — poradził mu Wendan. — Nie było to przyjemne. Ogień, długie szpikulce... Panie wołałyby chyba unikać szczegółów.

— Ach... no tak. Wobec tego podkoloruję nieco fakty i określę ich śmierć jako heroiczną.

— O, to, to — przyklasnął Gelun.
— Gdzie są teraz ludzie z waszych klanów? — spytał Twengor.
— Blisko granicy — odparł Wendan. — Wątpię, czy Kanthończycy spróbują stawić opór, ale nie zaszkodzi trzymać się bezpiecznej strony.
— Dobrze rozumowanie — pochwalił go Twengor. — Więc może od razu tam ruszymy i zajmiemy się formalnościami? Potem pomaszerowalibyśmy na Kanthon, żebyśmy przed powrotem do domu mieli koronację z głowy.
— Czyją koronację, wodzu? — spytała ze zdumieniem Andina.
— Twoją, mamusku! — rozpromienił się Twengor. — Pomyślałem, że zaraz po złupieniu i spaleniu Kanthonu miło będzie ukoronować cię na cesarzową Treborei.
— Na cesarzową? — zrobiła wielkie oczy Andina.
— Miło brzmi, co?
— Cały naród czci jej cesarską mość Andinę z Treborei — podjęła Leitha.
— No cóż... Całkiem ciekawy pomysł — zgodziła się Andina.
— Nie ogryzaj paznokci, kochanie — upomniała ją Leitha. — Potem paskudnie wyglądają.

Oracja pogrzebowa wodza Albrona była dostatecznie smutna i kwiecista, przy czym mówca pominął milczeniem defekty charakteru Smeugora i Tauriego. Następnie każdy wódz klanu i każdy sierżant arumskiej armii zarekomendował Geluna i Wendana na tymczasowych wodzów, dopóki sytuacja się nie ustabilizuje.

— Tylko na tymczasowych? — szepnęła Leitha do Althalusa.

— Coś około kilku stuleci — wyjaśnił jej Althalus. — To w Arum zwykła rzecz. Dalsi krewni nie zgłaszają pretensji, jeśli do tytułu nowego wodza dodane jest słówko „tymczasowy”. Kiedy minie kilka pokoleń, po prostu przestaje się go używać.

— Czy wy, mężczyźni, kiedyś dorastacie?

— Staramy się tego unikać.

Osieroceni członkowie południowych klanów odbyli między sobą kilka narad, podczas których szczególnie zawzięcie dyskutowano kwestię terminologii. Ostatecznie określenie „tymczasowy” wzięło górę nad „okresowy”, po czym rzecz została przypieczętowana, i to prawie bez rozlewu krwi.

Następnie wódz Albron ponownie przemówił do zgromadzonych klanów.

— Panowie, nasza łaskawa chlebobawczyni pragnie powiedzieć wam kilka słów.

— Co to ma znaczyć? — spytał Althalus Leithę.

— Że Andina chce wygłosić mowę, tatuśku. Czy nie przenika cię dreszcz?

— Zawsze musisz być taka?

— Od czasu do czasu. Czasem nie mogę się powstrzymać.

Malutka arya wślzała na porzucony chłopski wóz, żeby wszyscy rośli Arumczycy dobrze ją widzieli.

— Drodzy przyjaciele! Nikt w całym świecie nie może się równać z wojownikami z pięknych arumskich gór. Jestem wprost porażona ogromem waszego wspaniałego zwycięstwa. Moi wrogowie zostali rozbici, teraz zaś maszerujemy na Kanthon. Z początku moim zamiarem było spustoszenie tego miasta, ale wasza dzisiejsza demonstracja zdrowego rozsądku sprawiła, że zmieniłam zdanie. Mój wróg, aryo Kanthonu, nie żyje, kamienie zaś niczym mnie nie obrażyły, zresztą czy warto dawać lanie kamieniom?

Buchnął śmiech.

— Mając za sobą wszystkich Arumczyków, mogłabym najechać Kanthon i narzucić mą wolę jego mieszkańcom, ale co to da poza wieczną wrogością? Ze zdumieniem obserwowałam dziś, jak najwaleczniejsi wojownicy świata skłonili głowy przed zdrowym rozsądkiem i zapobiegli powrotowi klanowych wojen z zamierzchłej przeszłości. Jestem wprawdzie niemądrą dziewczyną, ale lekcja, jakiej udzieliliście mi dzisiaj, wywarła na mnie niezatarte wrażenie. Dlatego do Kanthonu udam się nie jako zdobywczyni, tylko jako wyzwolicielka. Nie spalicie miasta, nie złupicie go ani nie wyrzniecie ludności. Rozum będzie nam przewodnikiem, tak samo jak kierował wami w waszych dzisiejszych dyskusjach. Pójdę za waszym przykładem, moi dzielni rycerze, tym dzielniejsi, że postanowiliście dziś nie walczyć.

Śmiechy tymczasem ucichły i kiedy Andina schodziła z zaimprovizowanej platformy, panowała cisza jak makiem siął.

Wtedy podniósł się wódz Twengor.

— Ona nam płaci — przypomniał — więc postąpimy tak, jak sobie życzy. Jeśli ktoś ma jakieś wątpliwości, niech przyjdzie do mnie, to mu wytłumaczę... na specjalne życzenie ze szczegółami.

— Dobra mowa — zauważyła Leitha.

— Która? — spytał Althalus.

— Do twego uznania, tatuśku. Jak znam Andinę, a naprawdę ją znam, to ona napisała obydwie. Epilog Twengora tak świetnie pasował do zakończenia jej mowy, że trudno to uznać za przypadek.

Późnym wieczorem Althalus wysłał sygnał do Dwei.

Musimy pogadać, Em.

Jakieś problemy?

Leitha zaczyna mi się wymykać. Robi się coraz bardziej kapryśna. Próbuje to ukryć, ale strasznie martwi się o Bheida. Jak on się miewa?

Bez zmian. Pozwalam mu spać, właściwie zmuszam go do snu, ale gdy tylko się budzi, zaczyna od nowa.

Jak długo to trwa?

Co najmniej miesiąc.

I nadal nie może przyjść do siebie?

W każdym razie tego nie widać. Jest przytłoczony poczuciem winy. Oskarża się o śmierć Salkana i przeraża go to, co zrobił Yakhagowi. Mam kłopoty z przewyższeniem tego, do czego go wcześniej wdrożono.

On musi znów funkcjonować, Em. Perguaine jest niemal w stanie wrzenia, a przecież niedługo tam idziemy, prawda?

Prawdopodobnie.

Perquainczycy wdają się w religijne spory i dla mnie jest jasne, że stoi za tym Argon. A przecież ma się nim zająć Bheid, tak?

Prawdopodobnie.

Więc musi wyjść z tego stanu, i to szybko. Jeśli stracimy Bheida, stracimy także Leithę. Ona jest najbardziej krucha z całej grupy, a bez Bheida po prostu rozpadnie się na kawałki.

Jesteś bardziej spostrzegawczy, niż myślałam, skarbie.

To nic wielkiego, Em. Dawniej zarabiałem na życie, podpatrując ludzi, pamiętasz? Jeszcze parę dni, a Leitha roztrzaska się jak szyba. Wystarczy głośniejszy dźwięk.

Pracuję nad tym, skarbie. Przy następnym spotkaniu Bheid może ci się wydać nieco starszy, ale póki jest tutaj, to nie ma znaczenia. Jeśli będzie potrzebował nawet całych lat, to mu je zapewnię.

Bramy Kanthonu stały otworem, przez nikogo niestrzeżone. Opustoszałymi ulicami Andina ze świtą jechała do pałacu. Sierżant Gebhel potarł dłonią łyse czoło i westchnął z żalem.

— Mogliśmy zbić tu fortunę...

— I kontynuować wojnę, której wszyscy mamy po dziurki w nosie — przypomniał mu Khalor.

— Wodza Gwetiego raczej nie ucieszy ten nagły pokój w Treborei.

— W każdym życiu bywają deszczowe dni — rzekła sentencjonalnie Leitha.

— Zauważyłem — odparł Gebhel. — Niebo nad Gwetim zachmurzy się na dobre, kiedy mu powiem, że koniec z treboreańskimi wojnami.

Sierżant Khalor wysłał kilka plutonów do przeszukania pałacu, w razie gdyby w jakiejś niszy kryli się uzbrojeni ludzie. Kazał też wezwać wszystkich pozostałych dostojników do sali tronowej „na konferencję z wyzwolicielką”.

— Ach, lord Aidhru! — ucieszył się Dhakan na widok starszego urzędnika, który stał z boku, patrząc z lękiem, jak Andina ze świtą wchodzi do sali. — Widzę, że udało ci się przetrwać ten nieprzyjemny okres.

— Z trudem — odrzekł Kanthończyk. — A ty co tu robisz, Dhakanie? Myślałem, że już dawno dziecięniłeś.

— Jesteś co najmniej w moim wieku — przypomniał mu szambelan Andiny. — Po co, u licha, pozwoliłeś Pelghatowi ciągnąć tę głupią wojnę?

Stary Kanthończyk rozłożył bezradnie ręce.

— Wymknął mi się spod kontroli, Dhakanie. — Zamrugął gwałtownie. — To ty, sierżancie Khalorze? Byłem pewien, że zginąłeś w ostatniej wojnie.

— Dość trudno mnie zabić, milordzie.

— Widzę, że przeszedłeś na drugą stronę.

— Lepsza płaca, milordzie.

— Poznałeś już naszą boską aryę, Aidhru? — spytał Dhakan.

— Przecież to dziecko! — zdziwił się Kanthończyk, zerknąwszy na Andinę.

— A mówiono, że ma trzydzieści stóp wzrostu!

— To z powodu jej głosu, przyjacielu. Andina jest wprawdzie malutka, ale słysząc ją z daleka.

— Przestań — syknęła arya.

— Dobrze, mamusiu — odparł Dhakan z ukłonem.

— Mógłbyś dać temu spokój!

— Przepraszam, wasza wysokość, ale to wszystko przez Leitę — tłumaczył się Dhakan. Przybierając oficjalny ton, zwrócił się do Aidhru: — Milordzie, mam zaszczyt przedstawić ci jej wysokość aryę Andinę z Osthosu.

Aidhru skłonił się głęboko.

— To zaś, aryo, jest szambelan Aidhru z Kanthonu, główny doradca arya Pelghata aż do jego ustąpienia.

— Może zechcesz zaznaczyć, że ignorowany doradca. Pod koniec panowania Pelghat nie chciał mnie nawet widywać. Znalazło się paru cudzoziemców, którzy rozbili obóz w sali tronowej, i nasz aryo nikogo więcej nie słuchał.

— Zdawaliśmy sobie z tego sprawę — wtrącił Althalus. — Prawdę rzekłszy, w tej ostatniej wojnie wcale nie chodziło o Kanthończyków. To jeden z ubocznych skutków bardzo starych niesnasek pomiędzy mną a pewnym człowiekiem imieniem Ghend.

— Ach, ten! — wykrzyknął Aidhru. — Mróz po kościach chodzi od samego przebywania z nim w tym samym pokoju. — Następnie zwrócił się do Andiny: — Zechcesz zasiąść na swoim nowym tronie, aryo Andino?

— Nie, lordzie Aidhru, nie sądzę — padła natychmiastowa odpowiedź. — Jest zbyt przepastny jak na mój gust, a poza tym nie przybyłam do Kanthonu jako zdobywczyni. Lord Althalus wyjaśnił już, że prawdziwa wojna toczy się między nim a Ghendem. — Andina uśmiechnęła się ujmująco. — Tak naprawdę, milordzie, Kanthon i Osthos były w niej tylko niewinnymi świadkami. W tej chwili mamy na głowie ważniejsze sprawy niż rozdrapywanie starych waśni. Głównym polem bitwy w niedawnych przykrych wypadkach stała się środkowa Treborea i z tego

powodu straciliśmy tegoroczne zbiory pszenicy. Teraz, u progu długiej zimy, zagłada nam w oczy głód, ale nawet gdyby i Kanthon, i Osthos miały zbankrutować, nie dopuszczę, by mój lud umierał z głodu.

— W pełni się z tym zgadzamy, aryo Andino.

— Jest tu jakiś pokój do narad? — wtrącił Dhakan. — Nogi mnie rozboleły, a zresztą i tak mamy sporo do omówienia, więc czemu nie zapewnić sobie nieco wygody?

— Czy mogę wezwać kilku doradców, aryo Andino? — spytał Aidhru.

— Oczywiście, milordzie. Możemy we trójkę snuć rozważania przez cały dzień i do niczego konkretnego nie dojść. Dlatego właśnie na pierwszym miejscu stawiamy ekspertów.

— Ale z ciebie szczęściarz — rzekł Aidhru do Dhakana. — Ta twoja arya jest nie tylko przyjemna dla oka, ale jeszcze ma głowę na karku. Nie uwierzyłbyś, co działo się w Kanthonie, kiedy Pelghat wstąpił na tron. Gdybym odkrył, kto wyprawił tego szaleńca na tamten świat, padłbym przed nim na twarz i lizał mu stopy.

Aidina podniosła drobną stopkę i przyjrzała się jej krytycznie.

— Nie są teraz specjalnie czyste, milordzie — powiedziała, uśmiechając się skromnie. — Ale kiedy już się wykąpię, możemy o tym pogadać.

Aidhru zamrugał zdumiony i nagle wybuchnął śmiechem.

— Powinienem się domyślić! Może byśmy poszukali jakiegoś przytulnego pokoju z wygodnym fotelem dla naszego zramolałego przyjaciela? Wtedy porozmawiamy sobie o skrytobójcach, formach rządzenia krajem oraz o tym, jak, u licha, wyżywić lud Treborei do następnej wiosny.

Pokój narad, do którego szambelan Aidhru ich wprowadził, był duży i dobrze wyposażony.

— Może posłać po piwo? — zaproponował Kanthończyk, zerkając na zwalających Arumczyków.

— Ja dziękuję — odmówił krótko Twengor. — Ale coś bym zjadł.

— Źle się czujesz, stryju? — zaniepokoił się Laiwon.

— Przeciwnie, Laiwonie, czuję się świetnie i chcę, żeby tak już zostało. Nie wiem, jak Althalusowi udało się usunąć z mojej krwi pozostałości po dziesięciu latach picia, ale od dzieciństwa nie czułem się tak dobrze i nie zamierzam z tego rezygnować.

— A pozwolisz, jeśli ja się napiję?

— To twój brzuch i twoja głowa. Jeśli chcesz je od siebie oddzielić, rób, jak uważasz.

Zasiedli przy długim konferencyjnym stole. Dyskusję otworzył Althalus.

— Myślę, że przyda nam się parę liczb. Musimy wiedzieć, ile dokładnie gąb mamy do wykarmienia oraz ile ziarna znajduje się w spichrzach Kanthonu, Osthosu i innych miast w Treborei. Kiedy zestawimy te liczby ze sobą, dowiemy się, ile

nam brakuje. — Zerknął na Aidhru. — Nasza mateczka podjęła już pewne kroki.

— W tej chwili przestań! — rozległ się donośny głos Andiny. — Nie jestem niczyją mateczką!

— Uważaj, bo spuści ci lanie — syknęła Leitha. — Ale niebył dotkliwie.

— Wracając do tematu — ciągnął Althalus — arya Andina wysłała niejakiego diuka Olkara do Maghu w Perquaine. Olkar sam jest kupcem i zna większość tamtejszych handlarzy zbożem. Gdy tylko będę wiedział, jak wielki deficyt nam grozi, sam się udam do Maghu i powiem Olkarowi, ilu ton pszenicy będziemy potrzebować. Nie sądzę jednak, byśmy musieli wykupywać cały tegoroczny zbiór.

— Ależ skąd! — przeraził się Aidhru. — To by wyczyściło do dna każdy skarbiec. — Zerknął nerwowo na Andinę. — Zanim jednak przejdę do dalszych oficjalnych oświadczeń, chciałbym wiedzieć, jaki mam tu status: czy jestem jeńcem wojennym, zakładnikiem przetrzymywanym dla okupu, potencjalnym niewolnikiem czy kim?

— Znajdziemy ci jakiś tytuł, milordzie — obiecała Andina.

— Może cesarski doradca? — zaproponowała Leitha. — Naszej Andinie przypadło do gustu określenie „cesarzowa Treborei”, prawda, moja droga?

— Już mi przeszło — rzekła pośpiesznie Andina. — Takie iluzje mijają dość szybko. Może na razie uznajmy Kanthon za protektorat. To odpowiedni termin, na tyle poważny, że nie uraziłby nikogo. Musimy przeżyć zimę i usunąć wszystkich sługusów Ghenda, a budowanie trwałego ustroju odłożymy do czasu, aż sytuacja wróci do normy. Możemy przyjąć protektorat jako stan tymczasowy.

— Który nie przetrwa dłużej niż dwa stulecia — mruknął Twengor do bratanka.

— No może trzy — sprostował Laiwon. — Góra pięć.

ROZDZIAŁ 36

— Nie jest tak źle, jak myślała Andina — mówił Althalus do Dwei, kiedy razem z Eliarem zatrzymali się na krótko w wieży po drodze do Maghu. — Dhakan wyraźnie ma w głowie cały inwentarz z każdego roku. Kiedy dodaliśmy do tego pszenicę ze spichlerzy Kanthonu, okazało się, że deficyt jest znacznie mniejszy od spodziewanego. Czy mogę zatrzymać się przy naszej kopalni złota, żeby do zakupu dołożyć coś od siebie?

— Dlaczego chcesz to zrobić, skarbie?

— Bo inaczej spora liczba poddanych Andiny umrze z głodu, ona zaś będzie ich potem opłakiwać przez całe lata.

— I...?

— O co pytasz?

— Przecież nie przemawia przez ciebie wyłącznie troska o Andinę, prawda, skarbie?

— W tym dołku jest złoto, Em, i nie ma z niego żadnego pożytku. Ale oczywiście mnie nic do tego.

— Więc to twoja ostateczna odpowiedź? Nie zamierzasz się przyznać?

— Do czego?

— Do tego, że los zwykłych ludzi z Treborei obchodzi cię tak samo jak Andinę. Współczucie nie jest grzechem, Althalusie, nie musisz się go wstydzić.

— Za dużo tej słodyczy, Em.

Podniosła obie ręce.

— Poddaję się! To miał być komplement, ty ośle!

— Byłbym ci wdzięczny, gdybyś nie trąbiła o tym na wszystkie strony, W końcu mam jakąś reputację, a jak ludzie dowiedzą się o moim miękkim sercu, to będzie kompletnie zszargana.

— Czy Bheid zaczyna wracać do siebie? — spytał Eliar.

— Różnie z tym bywa — odrzekła Dweia. — Czasem wydaje się całkiem normalny i nagle ni stąd, ni zowąd znów się rozsypuje.

— A gdzie on jest? — spytał Althalus.

— W odosobnieniu... czyli w pustym pokoju. Pewnie mogłabym jakoś do niego dotrzeć, ale wolę tego uniknąć. Jeśli sam zdoła znaleźć drogę wyjścia, to

na dłuższą metę będzie znacznie lepiej. Wcześniej czy później musi stawić czoło temu, co wydarzyło się w Osthosie, a jeśli zacznę mu to ułatwiać, problemy znikną pod powierzchnią i wyjdą na wierzch w jakiejś nagłej sytuacji.

— Jak długo potrwa, zanim wydobrzeje? — drażył Eliar. — Leitha okropnie za nim tęskni i nawet już nie wyczuwa jego myśli.

— On to robi specjalnie, Eliarze — wyjaśniła Dweia. — Przechodzi teraz naprawdę paskudny okres i nie chce wciągać w to Leithy. Do pewnego stopnia zatrzymałam dla niego czas. Skoro do odzyskania zdrowia potrzeba mu tylko czasu, postanowiłam, że mu go podaruję. — Nagle się wyprostowała i spojrzała na Althalusa. — Miej oczy i uszy otwarte, kiedy znajdziesz się w Maghu. W Perquaine dzieje się coś nienaturalnego, może ci się uda dostrzec jakieś szczegóły.

— Diuk Nitral napomknął o religijnych sporach — przypomniał sobie Eliar. — Czy dlatego wszyscy są tacy wzburzeni?

— Możliwe. Gdzie reszta dzieci, Althalusie?

— Pewnie pojechały z wodzami klanów do Arum na wesele Albrona i Astarell.

— To miło — ucieszyła się Dweia.

— Wesela są dla ciebie bardzo ważne, prawda?

— Chyba nie zapomniałeś, kim jestem, Althie?

— Nie, najdroższa. Eliarze, chodźmy do Maghu. Potrzebuję około dziesięciu tysięcy ton pszenicy, więc lepiej dobijmy targu, nim ceny pójdą w górę.

— To się da zrobić, Althalusie — zgodził się diuk Olkar. — Jeśli przeciągnę trochę zakupy i dostawę, uda mi się nie spowodować nagłego wzrostu cen, a ponieważ kupuję tysiące ton, to powinienem nawet otrzymać upust.

— Olkarze, jesteś jeszcze większym złodziejem niż ja!

— Dziękuję — odrzekł diuk Kadonu z krzywym uśmiechem.

— Czy w Perquaine dzieje się coś niezwykłego? Diuk Nitral powiada, że wykryły jakieś religijne kontrowersje.

— Nie słyszałem, żeby chodziło o religię, ale owszem, ludność wiejska się burzy. Podobno to wybucha mniej więcej co dziesięć lat, a wina leży po stronie właścicieli nieruchomości. Perquainczycy mają skłonności do egoizmu, wydają miliony na budowę pałaców, a że wieśniacy żyją w ruderach i ziemiankach, różnice rzucają się w oczy. Hasło „wygoda, ale nie demonstracja” jakoś do nikogo nie dociera. Bogacze się popisują, a biedota ich za to nie cierpi. Nie ma w tym nic nowego.

— Rozejrzę się trochę — powiedział Althalus. — Jeśli rzeczywiście zanosi się na totalną rebelię chłopską, to lepiej pośpieszmy się z zakupem pszenicy, żebyśmy zdążyli przewieźć ją bezpiecznie przez granicę.

Olkar się skrzywił.

— To nigdy aż tak daleko nie zaszło.
— Nie ryzykujemy jednak. Jeśli nawalimy, arya Andina pogada sobie z nami... Jestem pewien, że usłyszymy ją, nawet gdyby nie ruszyła się z tronu w Osthosie.
— Może masz rację — przyznał Olkar. — Chyba wynajmę parę setek wozów.
— Na twoim miejscu tak właśnie bym postąpił. Eliar ci pomoże, a ja tymczasem pójde powęszyć. Muszę wiedzieć, co tu naprawdę jest grane.

— Mój prapradziadek był przypuszczalnie najlepszym włamywaczem na świecie — przechwalał się Althalus gościom podupadłej nadrzecznej tawerny — ale pochodził z wysokogórskiej wioski i nigdy w życiu nie widział papierowych pieniędzy. W jego stronach pieniądze były okrągłe, żółte i brzęczały. Nie miał bladego pojęcia, że trzyma w rękach miliony, więc je po prostu wyrzucił.

— Co za tragedia! — westchnął jeden z zawodowców, kręcąc ze smutkiem głową.

— W rzeczy samej — zgodził się Althalus. — Według mego ojca, w naszej rodzinie od dziesięciu pokoleń nikt nie przepracował uczciwie ani jednego dnia... oprócz jednej czarnej owcy, pewnego wujecznego dziadka, stolarza. I ten incydent tu, w Maghu, był jedynym w ciągu całych stuleci, kiedy ktoś z nas miał szansę dojść do prawdziwych pieniędzy. To plama na honorze rodziny, dlatego też przybyłem do Perquaine, żeby ją zmasać.

— A w jakiej działasz branży? — spytał kieszonkowiec o giętkich palcach.

— Och, trochę tego, trochę tamtego. Jestem pod tym względem dość elastyczny. Wiem, że większość przedsiębiorców stosuje zasadę jednej branży, ale jeśli władze poszukują zuchwałego rozbójnika drogowego i chcą go koniecznie powiesić, to każdy rozbójnik powinien sprzedać konia i kapelusz z piórkiem, przenieść się do miasta i zacząć obrabiać kieszenie.

— Jest w tym jakiś sens — przyznał żylasty włamywacz o długim nosie. — Ale chyba wybrałaś złą porę na wizytę w Perquaine. Mamy tu teraz trochę zamieszania.

— To samo ktoś mi powiedział, kiedy trafiłem tu po raz pierwszy. Facet nie był zbyt trzeźwy, więc nie bardzo mogłem się połapać. Wciąż bredził coś o religii. Czy ktokolwiek bierze religię na serio?

— Nikt, kto ma głowę na karku, ale na południu powstał ostatnio jakiś nowy zakon. Widzieliśmy tu już Białych, Czarnych i Brunatnych, ale ci nowi noszą się na czerwono i głoszą kazania o „sprawiedliwości społecznej”, „ciemniących właścicielach ziemskich” oraz „głodujących wieśniakach”. Oczywiście wszystko to są wierutne bzdury, ale chłopci je chłoną. Z drugiej strony oni i tak nie mają wiele rozumu, bo gdyby mieli, przestaliby być chłopami, no nie?

— Z pewnością — zgodził się Althalus. — Prawdopodobnie w Perquaine dzieje się to samo co wszędzie. Właściciele ziemscy gnębią wieśniaków, kupcy

gnębią właściciele ziemskich, a my kupców, co stawia nas na szczycie drabiny społecznej.

— Podobą mi się to rozumowanie — rzekł długonosy włamywacz do swych kompanów. — Jeśli spojrzeć w ten sposób, moglibyśmy nawet uznać się za... prawdziwą szlachtę?

— Nie wobec cudzoziemców — odrzekł kieszonkowiec.

— Czy zanoszą się, że z tych chłopskich niepokojów wyniknie coś niezwykłego?

— Pewnie spalą część tych wymyślnych domów, a kilku właścicielom podejrzną gardła — powiedział włamywacz, wzruszając ramionami. — Potem zaczną się plądrowanie... ale Czerwoni szybko zabiorą chłopom cały łup. Wszyscy kapłani święcie wierzą, że połowa bogactw tego świata prawnie im się należy, dlatego też w biednych krajach nie znajdziesz wielu duchownych. Te tak zwane bunty chłopskie to pic na wodę. Czerwoni będą głosić płomienne kazania, a chłopci zaczną latać z widłami i łopatami, wrzeszcząc wniebogłosy, i kraść wszystko, co nie jest przybite gwoździami. Na koniec zaś Czerwoni wyłudzą od nich, co tylko się da.

Althalus kręcił ze smutkiem głową.

— Kiedy to się skończy? — westchnął ciężko.

Długonosy włamywacz roześmiał się.

— Szlachta wyniucha, z której strony wiatr wieje, po czym wykupi tych nowych kapłanów. I zaraz kazania się zmieniają: „sprawiedliwość społeczna” wyleci za okno, ostatnim krzykiem mody stanie się „pokój i ład”, a „nagroda w niebie” zastąpi „uczciwy podział dóbr”. To ten sam stary szwindel co zawsze, przyjacielu. Potem kapłani po cichu wydadzą władzom wszystkich przywódców rewolty, traktując to jako „obywatelski obowiązek”, i nim się obejrzymy, na wszystkich drzewach w Perquaine będą dyndać wieśniacy. Rewolucje zawsze się kończą w ten sposób.

— Jesteś bardzo cyniczny — rzekł Althalus.

— Zajrzałem głęboko w serca mych towarzyszy i szczerze mówiąc, wolałbym raczej patrzeć w kloakę.

— Właśnie wymyśliłeś interesującą możliwość — zauważył Althalus. — Gdybyśmy tak wszyscy włożyli zielone czy niebieskie suknie, a potem przekonali ludzi, że mówimy w imieniu jakiegoś nowego... albo właśnie bardzo starego i dawno zapomnianego boga, popełnilibyśmy takie samo oszustwo jak ci Czerwoni. Wydaje się, że w religii da się niezłe zarobić.

— Chyba nawet wiem, jakiego bóstwa ci trzeba — rzekł z szerokim uśmiechem kieszonkowiec.

— Naprawdę?

— Co powiesz o Dwei?

Althalus omal się nie zakrztusił.

— Przecież była boginią Perquaine przed kilkoma tysiącami — ciągnął kieszonkowiec. — A w centrum Maghu nadal stoi jej świątynia... tylko że przywłaszczyli ją sobie Brunatni. Ale jeśli się nie mylę, w zakurzonej kacie z tyłu został jej posąg. Dweia idealnie się nadał do twego pomysłu.

Długonosy włamywacz roześmiał się serdecznie. Potem wyciągnął przed siebie rękę, naśladując gest błogosławieństwa i zaintonował modlitewnie:

— Pójdźcie, o moje dzieci, wnieście głosy w modlitwie do boskiej Dwei, bogini żyznego Perquaine teraz i na wieki! O, moi bracia, błagajcie ją, by wróciła, wygnała niewiernych i doprowadziła znów Perquaine do dawnej chwały!

— Amen — rzekł żarliwie kieszonkowiec, po czym wybuchnął śmiechem. Althalus opuścił tawernę cały rozdygotany.

— Ach, więc to tak! — powiedziała Dweia, kiedy Althalus zrelacjonował jej rozmowę.

— Ale co „tak”, kochanie?

— Ghend zaczyna napierać. To kapłani Daevy noszą czerwone szaty.

— Więc chłopskie bunty mają jednak głębsze podłoże? To nie jest tylko szwindel grupki oportunistów, ale próba nawrócenia wiejskiej ludności na kult twego brata, tak?

— Niewykluczone. Ghendowi nie poszczyli się zbyt w konwencjonalnych wojnach, więc próbuje połączyć rewoltę społeczną z zamieszkami na tle religijnym.

— Skoro tak, to szykuje bardzo dziwny pasztet.

— Owszem. Nie wiem tylko, jak mu się uda zrobić z Daevy przyjaciela ludu. Pod względem arogancji Daeva jest nawet gorszy od Deiwosa. Lepiej szybko uporajmy się z weselem Albrona, żebyśmy zdążyli wrócić do Maghu, nim całe Perquaine stanie w ogniu. Eliarze, wszystkich weselnych gości trzeba będzie przeprowadzić przez drzwi prosto do dworu Albrona.

— Nie sądzę, by pogoda nam sprzyjała — odrzekł z powątpiewaniem Eliar. — Gdybyśmy podróżowali normalnie, a nie przez Dom, dotarlibyśmy na miejsce w samym środku zimy. Może byś tak wywołała jaką zadymkę?

— Wolałabym nie. Lodowce zaczynają się topić i nie chcę w to ingerować. Powiedz innym, aby wspominali raz po raz o niezwyklej pogodzie albo bardzo łagodnej zimie. To powinno zabezpieczyć nam tyły.

— Jak się miewa Bheid? — spytał Eliar.

— Prawie bez zmian. Nadal pławi się w poczuciu winy.

— Myśli, że jak długo tu jest?

— Nie jest pewien. Zaczyna mu się mieszać czas rzeczywisty z czasem Domu.

— To jakiś nowy termin, Em — zauważył Althalus. — Chyba mi się podoba. Trafia w sedno sprawy.

— Cieszę się, że tak sądzisz, skarbie.

— No to zaczynajmy — powiedział Althalus do Eliara. — Im prędzej ożenimy twojego wodza, tym prędzej wrócimy do Perquaine, żeby wsadzić Ghendowi kij w szprychy. — Wyszczrzył zęby w uśmiechu. — To się staje ostatnio moim ulubionym zajęciem.

Eliar i Althalus dołączyli do reszty u podnóża wzgórz Arum. „Lokalny bohater” przeprowadził ich gładko przez drzwi na korytarz północnego skrzydła Domu.

— Nabierasz coraz większej wprawy, Eliarze — zauważył sierżant Khalor. — Wiem przecież, co robisz, ale i tak nie mógłbym dokładnie określić chwili, w której przekraczamy próg.

— Praktyka, sierżancie, praktyka. Jeśli robisz coś dostatecznie często, siłą rzeczy robisz to coraz lepiej.

— Gdzie stąd wyjdziemy, Althalusie?

— Zaledwie kilka mil od dworu Albrona. Emmy chce jak najprędzej mieć to wesele z głowy, żebyśmy mogli skoncentrować się na rewolucji w Perquaine. Ach, byłbym zapomniał. Mamy udawać zaskoczonych „wyjątkowo łagodną zimą”. Znajdziemy się w Arum sześć tygodni wcześniej, niż zajęłoby nam pokonywanie rzeczywistej odległości, więc nie będzie jeszcze ani mrozów, ani wielkich śniegów.

— Zacznę ćwiczyć zdumiony wyraz twarzy — obiecał sucho Khalor.

— Naprawdę chciałbym cię jej przedstawić, Andino — prosił usilnie Eliar aryę, kiedy następnego dnia siedzieli przy śniadaniu na dworze Albrona. — Przecież pewnego dnia, może nie tak odległego, stanie się twoją krewną.

— Polubisz matkę Eliara — poparł go Albron. — To piękna pani.

— A czemu mieszka na wsi? — chciał wiedzieć Gher.

Eliar wzruszył ramionami.

— Domek leży tuż za miastem. Zbudował go mój ojciec, a matce nigdy nie przyszło do głowy, żeby się przeprowadzić. Powiada, że jest jej tam dobrze.

Wódz Albron westchnął ciężko.

— To jedna z wielkich tragedii naszego klanu — rzekł ze smutkiem. — Ojciec Eliara, Agus, był jednym z najmężniejszych rycerzy w naszej historii. On i Khalor byli z sobą związani jak bracia.

— Owszem — potwierdził sierżant dziwnie beznamiętnym tonem. — Rzeczywiście jak bracia.

— Gdybym miał talent, napisałbym romans epicki o pierwszym spotkaniu Agusa z Alaią... tak jej bowiem na imię — dodał Albron.

— Bardzo piękne imię — zauważyła Leitha.

— Owszem. Dla mnie jest całkiem oczywiste, że Agus został ojcem Eliara — ciągnął Albron. — To Khalor ich z sobą zapoznał. Tak się złożyło, że byłem przy tym. Powiadam wam, nigdy w życiu nie widziałem nic podobnego. Ledwie ich oczy się spotkały, stało się jasne, że oboje wpadli po uszy. Nie, Khalorze?

Sierżant tylko skinął głową, wyraźnie nie zamierzając odpowiadać.

— Nie powinniśmy narzucać się Alai. Ona chyba nadal jest w żałobie.

— Niezupełnie, wodzu — odezwał się Eliar. — Zawsze się cieszy, gdy ją odwiedzam, a innych gości też nie odsyła z kwitkiem.

— Chętnie bym ją poznała — powiedziała Astorell. — A może byśmy złożyli jej krótką wizytę i zaprosili na wesele?

— Świetny pomysł! — ucieszył się Albron. — Eliarze, pojedź do niej z sierżantem i uprzedź, że się wybieramy. Byłoby niestosownie zjawiać się bez zapowiedzi, prawda?

— W tej chwili ruszamy, wodzu — odparł z zapałem Eliar.

Sierżant Khalor jednak nie wyglądał na zachwyconego.

Domek Alai był małym, zgrabnym budyneczkiem ze starannie poprzycinanych bali. Stał nieopodal wioski przylegającej do murów fortecy Albrona, otoczony drzewami. Kuchenne drzwi wychodziły na mały ogródek.

Matka Eliara, dość wysoka kobieta zbliżająca się do czterdziestki, miała kasztanowe włosy i oczy w kolorze głębokiego błękitu.

— Olśniewająca! — mruknęła nerwowo Andina do Leithy.

— Owszem, też to zauważyłam.

— Czy dobrze wyglądam?

— Pewnie, że dobrze. Nie denerwuj się tak.

— Leitho, ona jest matką Eliara. Bardzo chcę, żeby mnie polubiła.

— A kto by ciebie nie lubił? Wdzięk wycieka ci z każdego pora.

— Przystaniesz mi wreszcie dokuczać?!

— Raczej nie. Takie już mam hobby.

Alaia powitała przywódcę klanu oficjalnym i bardzo głębokim ukłonem.

— Wodzu Albronie — powiedziała niskim, dźwięcznym głosem — twoja wizyta przynosi zaszczyt mojemu domowi.

— To my czujemy się zaszczytzeni — odparł Albron, oddając jej ukłon.

— Matko, to jest moja Andina — przedstawił Eliar arkę Osthosu.

Uśmiech Alai przypominał wschodzące słońce. Bez namysłu wyciągnęła ramię do drobniutkiej dziewczyny. Andina do niej podbiegła i uściskały się serdecznie.

— Jejku, jakie maleństwo! — wykrzyknęła czule Alaia.. — Eliar mówił mi, że jesteś nieduża, ale nie spodziewałam się, że aż tak.

— To może stanę na palcach? — zaproponowała Andina.

— Nie, nie. Dla mnie jesteś w sam raz. Eliar opowiadał, jak go karmiłaś.

— To teraz moje życiowe zadanie.

— Chyba zbyt ciężkie dla tak małej osóbki.

— Staram się być przewidująca, Alaio. Odkryłam, że jeśli zawsze mam w zasięgu ręki jakiś kasek i zdążę mu go wetknąć na czas, nie zaczyna jeść mebli.

Wybuchnęły śmiechem, patrząc z czułością na młodzieńca.

— Althalusie, musimy porozmawiać — rzekła tymczasem Leitha. — Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć.

— To takie pilne?

— Może i nie, ale wołałabym nie zwlekać, dobrze? To nie potrwa długo, a tu i tak nikt nie będzie za nami tęsknił.

— Znów robisz się tajemnicza — zauważył, kiedy cichaczem wyszli z domku.

— Nie bądź starym zrzędą, tatuśku.

Minęli ogródek i weszli do zagajnika wysokich drzew w pobliżu przełomu rzeki.

— No, Leitho, mów, co cię gnębi.

— Sierżant Khalor czuje się bardzo niezręcznie.

— Chcesz powiedzieć, że nie lubi matki Eliara?

— Wręcz przeciwnie. On i Alaia chodzili — jak to się mówi — ze sobą, zanim na horyzoncie pojawił się Agus.

— Ach tak?

— Słyszałaś, co mówił Albron, prawda? Kiedy Agus i Alaia się poznali, wybuchła miłość od pierwszego wejrzenia. Khalor jest bardzo spostrzegawczy, więc natychmiast zobaczył, co się święci. Kochał Alaie. . . nadal ją zresztą kocha, ale ponieważ Agus był mu jak brat, postanowił ukryć swe uczucia i usunąć się na bok.

— Ponura historia, co?

— Gorzej. Kiedy Agus zginął na jakiejś nieważnej wojnie w nizinym kraju, Khalor pomyślał, że może ma cię szansy, lecz Alaia była tak zdruzgotana, że od tamtej pory żyła w całkowitym odosobnieniu. Potem Eliar zdecydował się zostać żołnierzem i Khalor wziął go pod swoje skrzydła. Przypatrz się im uważnie, to zobaczysz, że odnoszą się do siebie bardziej jak ojciec i syn niż jak sierżant i kapral.

— Khalor rzeczywiście ma na niego oko. Teraz, kiedy o tym wspomniałaś, ja też sobie to uświadomiłem. Czy Alaia w ogóle coś do niego czuje?

— Uważa go za starego przyjaciela, ale zauważyłam kilka oznak, że mogłoby to pójść dalej. . . gdyby tylko Khalor choć trochę się rozluźnił.

— Tego nam teraz trzeba! — warknął Althalus. — Chyba wołałabym, żebyś mi nic nie mówiła.

— Chciałam tylko, żebyś nie nadstawiał tyłka, bo dostaniesz lanie, tatuśku.
— Co to ma znaczyć?!

— Nie sądzisz, że Dweia może uznać tę sytuację za wielce interesującą? A gdybyś „zapomniał” zwrócić jej na to uwagę, mogłaby mieć do ciebie lekką pretensję.

— Przecież w ogóle bym o niczym nie wiedział, gdybyś mnie nie zmusiła do wysłuchania tej smutnej historyjki.

— Ależ tatuśku! Jak możesz mnie posądzać, że mam przed tobą sekrety? Wtedy oczywiście to mnie czekałoby lanie. Kocham cię bardzo, tatuśku, ale nie do tego stopnia. Teraz, kiedy już wiesz, sam musisz się tym zająć. Czyż moja przebiegłość nie napawa cię dumą?

Althalus zrobił zboląłą minę.

— Naprawdę, Leitho, wolałbym, żebyś dała spokój z tym „tatuśkiem”.

Rzuciła mu urażone spojrzenie i nagle się rozplakała, kryjąc twarz w dłoniach.

— Co znowu? — spytał Althalus.

— Och, zostaw mnie! — łkała. — Idź sobie!

— Nie, Leitho, nigdzie nie pójde. Mów, o co chodzi!

— Myślałam, że jesteś inny. No idź!

I znów zaniosła się łkaniem.

Althalus odruchowo objął ją ramieniem. Z początku się wyrywała, ale potem jęknęła i przywarła do niego, szlochając bez opamiętania.

Było oczywiste, że jest zbyt rozkojarzona, by mówić sensownie, więc Althalus niechętnie uciekł się do „innego sposobu”.

Kiedy ostrożnie przeniknął do jej świadomości, zastał tam istny mętlik.

Nie zbliżaj się! Odejdź! — prosiła milcząco.

— Nie, nie odejdę — powiedział głośno, nie przestając szukać.

Spłynęła na niego miriada wspomnień z Peteleyi. Przytłaczający smutek Leithy wbił się w niego niczym nóż. Pomimo swego „daru” dziewczyna dorastała w samotności. Ojca straciła jeszcze przed swym urodzeniem, matka zaś była niespełna rozumu — może nie jakaś furiatka, ale w każdym razie „dziwna”. Inne dzieci z Peteleyi bały się Leithy i jej niesamowitej zdolności odczytywania ich myśli, toteż nie miała żadnych przyjaciół.

I ciągle się bała. Groźny cień kostycznego kapłana, brata Ambho, wciąż unosił się nad wszystkimi jej wspomnieniami, jego przesycona pożądaniem nienawiść narastała z każdym rokiem. Próby schodzenia mu z drogi okazały się bezowocne, ponieważ śledził każdy jej krok. Straszny obraz, który wkradł się w wyobraźnię dziewczyny, napełniał ją zgrozą, co z kolei paraliżowało zdolność do myślenia i działania.

Mimo że znała intencje Ambha, była zupełnie bezradna. W swoim czasie wystąpił z oficjalnym oskarżeniem i rozpoczęła się farsa zwana procesem, po której czekał Leithę nieuchronny wyrok śmierci na stosie.

Ale nagle pojawił się Bheid, a wraz z nim trzęsienie ziemi i kamienne lawiny, dzięki czemu nadeszło wyzwolenie.

— To nie był całkowicie jego pomysł — wyjaśnił jej Althalus. — Właściwie przysłała nas Emmy, Nóż także odegrał swoją rolę.

— Teraz to wiem, tatuśku, ale tamtego dnia czułam się z jakiegoś powodu strasznie skrępowana. Potem, kiedy Eliar pokazał mi Nóż, już nigdy nie byłam samotna. Nagle okazało się, że mam bliską rodzinę, a zawdzięczałam to Bheidowi, przynajmniej tak to wtedy widziałam.

— A teraz go kochasz.

— Zdawało mi się, że to oczywiste, tatuśku.

— Znowu to słowo!

— Chyba nie słuchałeś, co mówiłam, Althalusie. Przecież to słowo wiąże się z pojęciem rodziny, prawda? Wtedy, w Wekti, kiedy Eliar stracił wzrok, długo mówiłeś mi o rodzinie, braciach, siostrach. Powynajdywałeś mnóstwo mądrych przyczyn, które miały obniżyć moją odporność na tyle, bym zgodziła się wpuścić Eliara do mojego umysłu. Czyżbyś nie rozumiał, że postępując w ten sposób, ofiarowałeś mi siebie jako ojca? Ja naprawdę go potrzebowałam, ty zaś zgłosiłeś się na ochotnika. Teraz już za późno, byś miał się wycofać.

Althalus się poddał.

— Jest w tym coś w rodzaju perwersyjnej logiki. Dobrze, Leitho, skoro tego chcesz, mogę być tatuśkiem.

— No i dobrze — odrzekła z wymuszonym entuzjazmem. — A co zrobimy z nieszczęsnym bratem Bheidem?

— Emmy się tym zajmuje.

— Nie, tatuśku, wcale tak nie jest. Ona czeka, aż zrozumiesz, że ty za to odpowiadasz.

— Skąd taki osobliwy pomysł?

— Mam swoje źródła, tatuśku, zaufaj mi. — Błądą twarz Leithy powlokła melancholia. — Nadchodzi dzień, w którym Bheid i ja mamy zrobić pewnym ludziom straszne rzeczy, i oboje potrzebujemy czyjś wsparcia. Chyba właśnie dostałeś tę robotę.

— Nie mogłabyś wyrażać się bardziej konkretnie? „Straszne rzeczy” to dość niejasne określenie.

— Najlepsze, na jakie teraz mnie stać. Dwieia wie i stara się ukryć to przede mną, ale ja i tak wychwytyuję pewne oznaki. Musisz przywrócić Bheida do równowagi, Althalusie, on musi się pozbierać! Sama nie dam rady.

I znów zaczęła płakać. Althalus bez chwili namysłu wziął ją w ramiona i tulił, póki się nie uspokoiła.

— Muszę wrócić do Domu — zakomunikował Althalus Eliarowi, kiedy całe

towarzystwo opuściło domek Alai.

— To takie pilne?

— Raczej tak. Muszę pogadać z Emmy. Znów prowadzi swoje gierki, zaczyna mnie to złościć.

— Pakujesz się w kłopoty, Althalusie.

— Nie po raz pierwszy. Kiedy już tam będziemy, najlepiej zaczekał w jadalni.

— To będzie aż tak...?

— Prawdopodobnie, a wątpię, żebyś chciał przy tym być.

Althalus z Eliarem odłączyli się od reszty i skręcili w uliczkę, gdzie Eliar otworzył niewidoczne dla innych drzwi.

— No to wszystkiego dobrego — pożegnał Althalusa przy schodach na wieżę.

Althalus coś mu odburknął i powędrował na górę.

— Co za uroczą niespodzianka! — wykrzyknęła Dweia, kiedy otworzył z impetem drzwi.

— Przestań, Em — uciął Althalus. — Wiedziałaś, że tu idę, i wiedziałaś też dlaczego.

— Ho, ho, czyżbyśmy wstali dziś lewą nogą?

— Dość! Czemu mi nie powiedziałaś, co mam robić?

— Bheid nie jest jeszcze gotowy, skarbie.

— Tym gorzej. Już ja go przygotowuję. O mały włos nie załatwiliście do spótki Leithy, a ja do tego nie dopuszczę!

— Strasznie serio podchodzisz do tego niby-ojcostwa, co, Althie?

— Jakbyś zgadła. Więc gdzie jest Bheid?

— Ale nie skrzywdzisz go, prawda?

— To zależy od tego, jak bardzo się będzie upierał. Mógłbym nim rzucić kilka razy o ścianę, ale wolę do niego jakoś dotrzeć. Potem ty i ja utniemy sobie dłuższą pogawędkę.

Zielone oczy zmrużyły się lekko.

— Nie podoba mi się ten ton.

— Na pewno jakoś wytrzymasz. Gdzie jest Bheid?

— Za jadalnią, drugie drzwi na lewo. Nie sądzę jednak, żeby cię wpuścił.

— Ciekawe, jak mnie powstrzyma.

Obrócił się na pięcie i zbiegł na dół po dwa stopnie naraz.

— Bo się zabijesz! — krzyknęła za nim Dweia.

Althalus przystanął na krótko przed drzwiami Bheida, by zapanować nad gniewem, po czym zawołał:

— Bheid! To ja, Althalus! Otwieraj!

Nie doczekał się odpowiedzi.

— Bheid, otwieraj, ale już!

Nadal głucha cisza.

Althalus w ostatniej chwili powstrzymał się od użycia jednego z sześciu przydatnych w takiej sytuacji słów Księgi. Zamiast tego rozwalił drzwi kopniakami.

Bheid — nieogolony, z oczami bez wyrazu — siedział skulony w kącie podobnego do celi pomieszczenia i tłukł rytmicznie głową o ścianę.

— Przestań i wstawaj!

— Jestem zgubiony — jęczał kapłan. — Zabiłem człowieka!

— Zauważyłem — obruszył się Althalus. — Nie było to miłe dla oka, ale ważne, że wykonałeś robotę. Gdybyś jednak chciał popaść w nawyk, musiałbyś trochę poćwiczyć.

Bheid zamrugał nieprzytomnie.

— Nie rozumiesz? Jestem kapłanem. Nam nie wolno zabijać.

— Ale nie miałeś skrupułów, kiedy wynajmowałeś morderców arya Kantho-
nu?

— To nie to samo.

— Doprawdy? A co to za różnica?

— Nie zabiłem go własnymi rękami.

— To czysta sofistyka, Bheidzie, i dobrze o tym wiesz. Grzech — skoro tak to nazywasz — tkwi w intencji, nie w tym, kto konkretnie wbił nóż w ofiarę. Yakhag zabił Salkana, toteż zrobiłeś, co do ciebie należało. Trzeba zabijać tych, którzy zabijają twoich przyjaciół.

— Ale ja jestem kapłanem.

— Zauważyłem. Tylko jakiej religii? Możesz omówić to z Emmy, ale wydaje mi się, że ona nieco inaczej patrzy na ten świat niż Deiwos. To tak na marginesie. Jeśli nie otworzysz drzwi do swego umysłu przed Leithą, postąpię z nimi tak samo jak z drzwiami do tego pokoju. Twoje idiotyczne pławienie się w poczuciu winy i uzalanie nad sobą wykańcza Leithę, ty durniu. Nie obchodzi mnie, ilu ludzi zabijesz, ale jeśli jeszcze raz skrzywdzisz Leithę, skoczę ci do gardła i wyrwę serce!

— To przeze mnie Salkan nie żyje.

— Owszem. I co z tego?

Bheid patrzył na niego ze zgrozą.

— Chyba nie sądzisz, że będę cię usprawiedliwiał? — ciągnął Althalus. — Stało się, i już. Nie ma żadnych kar ani nagród, są tylko konsekwencje. Popełniłeś błąd, a teraz musisz z tym żyć... sam, na własny rachunek. Nie pozwolę ci obciążyć winą reszty rodziny. Chcesz gryźć własną wątrobę, to rób to w stosownym czasie i w odosobnieniu.

— Jestem mordercą.

— Ale dość kiepskim. A teraz przestań biadolić i wracaj do pracy. — Althalus rozejrzał się po zaśmieconym pokoju. — Posprzątaj ten bajzel i sam też doprowadź się do porządku. Wracamy na dwór Albrona, masz tam udzielić ślubu.

— Nie mogę!

— Możesz, możesz. I zrobisz to, bracie Bheidzie, choćbym miał stać nad tobą z maczugą. No jazda!

W dzień ślubu Albrona i Astorell ranek wstał pogodny, ale zimny. Z powodu pory roku dekoracje w sali ograniczały się do gałęzi krzewów iglastych i barwnych kokard.

Po tradycyjnym wieczorze kawalerskim wodzowie klanów, sierżanci i inni dostojni goście nie czuli się tego rana najlepiej, co z niejasnych powodów wódz Twengor uznał za niezwykle zabawne.

Alaia przejęła pieczę nad młodymi damami podczas wesela. W ostatnim tygodniu aktywność tych ostatnich znacznie wzrosła, chociaż, jak zauważył Althalus, polegała głównie na chichotaniu i przymiarkach sukien.

Wódz Gweti z wiekowym wodzem Delurem także wybrali się w podróż na dwór Albrona, gdyż tradycja wymagała, aby na weselu wodza byli obecni przywódcy wszystkich arumskich klanów. Gweti podczas uroczystości trzymał się raczej na uboczu; decyzja Andiny, by nie płądrować Kanthonu, mocno go dotknęła i najwyraźniej uznał, że nie ma dostatecznego powodu do świętowania.

Ceremonię wyznaczono na samo południe. Althalus wysnuł stąd wniosek, że jest to stary arumski zwyczaj, dzięki któremu uczestnicy mieli czas ochłonąć po rozrywkach poprzedniego wieczoru, aby bez przeszkód móc korzystać z uciech weselnych. Arumczycy wyraźnie traktowali sprawę przyjęć bardzo serio.

W związku ze ślubem wynikły pewne kontrowersje na tle religijnym, gdyż Arumczycy czcili górskiego boga Bhergosa, natomiast Plakandowie Kherdosa, opiekuna stad.

— Ceremonię będzie odprawiał brat Bheid — oznajmił Althalus tonem niedopuszczającym dyskusji.

I tak oto, kiedy nastąpiło południe, Bheid w czarnej kapłańskiej szacie stał w głównej sali razem z wodzem Albronem, sierżantem Khalorem oraz wodzem Kreuterem, oczekując na wejście panny młodej z druhnami — Andiną i Leithą.

Althalus stał w tłumie innych gości. Gdy drzwi otworzyły się przed Astorell i jej orszakiem, poczuł nagle bardzo znajomy zapach. Zaskoczony, odwrócił się i ujrzał tuż przed sobą twarz Dwei.

— Co ty tu robisz? — wykrztusił przez ściśnięte gardło.

— Nie denerwuj się, kochanie. Zostałam zaproszona.

— Nie o to pytam. Nie sądziłem, że możesz opuścić Dom w swojej prawdziwej postaci.

— Skąd to śmieszne przypuszczenie?

— Bo nigdy tego nie robiłaś. Zawsze zmieniałaś się w kotkę Emmy. Myślałem, że ci nie wolno...

— Głuptasie, nikt mi nie mówi, co mogę, a czego nie mogę. Zdawało mi się,

że już o tym wiesz. — Ściągnęła usta. — Owszem, nie robię tego często, bo wywołuję sensację.

— Ciekawe dlaczego.

— Bądź miły, Althalusie. Już ci wywietrzały tamte fochy?

— Jakie fochy?

— No, podczas ostatniej wizyty w Domu wydawałeś się nieco poirytowany.

— Wyładowałem się na Bheidzie.

— Ale chyba nie walnąłeś nim o ścianę?

— W każdym razie niezbyt mocno. O, wchodzi Astorell.

Panna młoda szła z promiennym uśmiechem. Na twarzy wodza Albrona malował się wyraz niemego uwielbienia.

— Podaj mi chusteczkę, Althalusie — rzekła Dweia, pociągając nosem.

Obrzucił ją baczny spojrzeniem.

— Czyżbyś płakała, Em? — spytał ze zdumieniem.

— Zawsze płaczę na ślubach. A ty nie?

— Nie uczestniczyłem w zbyt wielu...

— To musisz się przyzwyczaić. Z mojego punktu widzenia śluby są szalenie ważne. Teraz bądź cicho i daj mi tę chusteczkę.

— Dobrze, kochanie.

ROZDZIAŁ 37

— Naprawdę musisz już jechać? — spytał Albron dwa dni później.

— Niestety tak — odparł Althalus, wyciągając się wygodnie w fotelu. — W Perquaine zanoszą się na kłopoty. Nie chcę dopuścić, żeby sytuacja wymknęła mi się spod kontroli. Jeśli nie masz nic przeciwko temu... zresztą nawet jeśli masz, zatrzymam sierżanta Khalora. Może mi być potrzebny na pierwszej linii, a obawiam się, że zabraknie mi czasu, by po niego wrócić.

— Jeśli o mnie chodzi, to go bierz. Może w ten sposób choć trochę ci się odwdzięczę.

— Jesteś mi coś winien?

— Nie udawaj głupka. A kto mi pomógł w sprawie małżeństwa z Astartell?

— To rozwiązało sporo problemów — obruszył się Althalus.

— Co naprawdę dzieje się w Perquaine?

— Chłopski bunt... przynajmniej na pozór.

Albron pokręcił smutno głową.

— Ci z nizin po prostu nie rozumieją zwykłych ludzi, prawda?

— Nie mogą do nich dotrzeć. Arystokracja spędza tyle czasu na podziwianiu samych siebie w lustrze, że nie zwraca uwagi na innych. Jak słyszałem, te rebelie wybuchają mniej więcej co dziesięć lat, więc po kilku razach arystokraci mogliby zrozumieć, że popełniają jakiś błąd.

— Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Gdyby mieszkańcy nizin zaczęli zachowywać się rozsądnie, arumskie klany poszłyby z torbami.

— Słuchaj, Albronie, chciałbym cię prosić o jeszcze jedną przysługę.

— Wystarczy powiedzieć.

— Mógłbyś przetrzymać tu przez jakiś czas Andinę i Leithę?

— Oczywiście, ale dlaczego? Przecież w Domu nic im nie grozi.

— Chcę na razie odseparować Leithę od brata Bheida. On przechodzi coś w rodzaju kryzysu i wolałbym, żeby uporał się z tym sam, bez udziału Leithy. Bheid i ja... razem z Eliarem i sierżantem Khalorem będziemy dość często przechodzić przez Dom, więc niech lepiej młode damy przebywają gdzie indziej.

— Gher także?

— Nie, jego zatrzymam przy sobie. On miewa ciekawe pomysły.

— Naprawdę? — uśmiechnął się Albron. — Ach, jeszcze jedno. Jeśli w Perquaine zaczną się jakieś kłopoty, odeślij mi tu Eliara. Zbiorę armię na korytarzach Domu, nim zdążysz dwa razy mrugnąć.

— Zapamiętam to sobie, wodzu. — Althalus wstał. — Niech twoi ludzie już szykują zagrody, bo gdy tylko Kreuter wróci do Plakandu, zajmie się wysyłaniem posagu Astorell. Ani się obejrzysz, jak cię konie stratuja.

— Dzięki za przypomnienie — rzekł bez zachwytu Albron.

— Zawsze do usług, potężny wodzu!

Althalus nie mógł powstrzymać chichotu.

— Perquaińscy wywodzą się w zasadzie od Treboreańczyków — tłumaczyła Dweia Althalusowi i innym, kiedy zebrali się wieczorem w pokoju na wieży. — W ósmym tysiącleciu Osthos wysyłał okręty, by ustanowić nowe kolonie i zagospodarowywać nowe lądy, natomiast Kanthońscy w tym samym celu podróżowali drogą lądową. Niemal ciągłe wojny, toczące się między Kanthonem a Osthosem, nie mają wielkiego znaczenia dla Perquaińczyków, oni trzymają się z daleka, koncentrując się na uprawie ziemi i nabijaniu kabzy. Po zamieszkach w Treborei tamtejszym chłopom złagodzano pewne społeczne ograniczenia, toteż zyskali więcej wolności niż ci z Perquaine, którzy nie byli wprawdzie chłopami pańszczyźnianymi, ale niewiele się od nich różnili.

— Co to jest chłop pańszczyźniany? — spytał Gher.

— Przypisany do ziemi. Kiedy ktoś kupował grunt, przejmował wraz z nim ludzi, którzy tam żyli.

— Czyli niewolników?

— Niezupełnie. Stanowili część ziemi, i tylko tyle. Chłop pańszczyźniany stoi wyżej od niewolnika, ale tylko trochę.

— Nie zniósłbym czegoś takiego! — wykrzyknął Gher. — Zanim ktoś by się zorientował, uciekłbym za góry.

— To się często zdarza — przyznała Dweia.

— Czy to wszystko jest jeden kraj? — spytał sierżant Khalor. — A może są tam różne baronie czy księstwa? Chodzi mi o to, czy istnieje jakiś wspólny rząd.

— Teoretycznie tak. Stolicą jest Maghu, ale nikt nie przywiązuje do tego większej wagi. Władza w Perquaine należy głównie do kleru.

— Tak — dodał Bheid — a perquaiński kler jest najgorszy ze wszystkich. Przeważają Brunatni, czyli zakon zainteresowany znacznie bardziej bogaceniem się i przywilejami niż pomyślnością niższych klas. Są także Czarni, do których ja sam należę, oraz Biali, ale stoją na samym dole drabiny. W ciągu wieków te trzy zakony doszły do czegoś w rodzaju niepisanego porozumienia, by nie wchodzić sobie wzajemnie w drogę.

— Niedawno odwiedziłem złodziejską oberżę w Maghu — oznajmił Altha-

lus. — Dyskutowano tam głównie o sytuacji na południu kraju. Najwyraźniej Ghend stara się wykorzystać ciężkie położenie chłopów, gdyż na wybrzeżu pojawiła się grupa samozwańczych kapłanów, którzy nawołują do rewolucji i sieją zamęt wśród wieśniaków.

— Samozwańczych? Jak to? — zachnął się Bheid.

— Złodzieje zaklinali się, że to nie są prawdziwi kapłani. Noszą czerwone szaty, a w ich kazaniach mówią o sprawiedliwości społecznej, chciwej arystokracji i skorumpowanym klerze. Niestety, przeważnie zgadza się to z prawdą, szczególnie w Perquaine. Rzeczywiście chłopów się tam źle traktuje, a Brunatni wspierają arystokrację w gnębieniu biedoty.

— Nie istnieje żaden zakon Czerwonych — burknął Bheid.

— Ależ istnieje, bracie Bheidzie — sprzeciwiła się Dweia. — Kapłani z Nekerosu noszą czerwone szaty. Mój brat zawsze lubił jaskrawe kolory.

— Chcesz powiedzieć, że wieśniacy z Perquaine są nawracani na kult demona Daevy?

— Raczej nie, przynajmniej na razie. Może taki jest ostateczny cel Czerwonych, ale teraz koncentrują się głównie na zmianach społecznych. W systemie opartym na arystokracji jest wiele niesprawiedliwości, głównie dlatego, że wysoko urodzeni nie uważają wieśniaków za ludzi. W przeszłości wiele razy wybuchały rewolucje, ale nie dały żadnych rezultatów, ponieważ ich przywódcy chcieli po prostu przywłaszczyć sobie pozycje i przywileje tych, przeciwko którym występowali. Jedyne zmiany, jakie się dokonały, dotyczą wyłącznie terminologii.

Althalus rozważał to przez chwilę.

— Bheidzie, kto stoi na czele zakonu Brunatnych? — spytał.

— Egzarcha Aleikon. Główna świątynia znajdowała się dawniej w Deice w Equero, ale po upadku Imperium Deikańskiego Brunatni osiedli w Maghu. Mają tam naprawdę imponującą świątynię.

— Dziękuję — rzekła Dweia z leciutkim uśmiechem.

— Nie rozumiem — zdziwił się Bheid.

— Bo to moja świątynia, Bheidzie. Brunatni przywłaszczyli ją sobie kilka tysięcy lat temu.

— Nigdy o tym nie słyszałem.

— Brunatni nie lubią się do tego przyznawać. Z jakiegoś powodu uwiera ich samo pojęcie bogini.

— Czy naprawdę chłopci mają tak źle? — spytał Khalor. — Zawsze się znajdują niezadowoleni, którzy dużo szemrają, ale zwykle przemawia przez nich chciwość i zazdrość.

— Okno jest tam, sierżancie — powiedziała Dweia. — Idź i sam się przekonaj.

— Chyba rzeczywiście tak zrobię. Lubię wiedzieć, kogo mamy przeciwko

sobie.

Początkowo mętny, widok z południowego okna stopniowo się rozjaśniał, ukazując zimowe pole nad szarym, wzburzonym morzem.

— Południowy Perquaine — zidentyfikowała miejsce Dweia. — Niedaleko od portu w Egni.

— Czemu tam jest dzień, a u nas noc? — spytał ciekawie Gher.

— My jesteśmy dalej na północ — wyjaśniła Dweia.

— A co ma wspólnego jedno z drugim?

— Althalus ci wytłumaczy.

— Mylisz się, Em — odezwał się Althaulus. — Mogę mu powiedzieć, że tak dzieje się co roku, ale ciągle nie wiem dlaczego.

— Przecież już dawno wyjaśniłam ci to, skarbie.

— Tak, ale nadal nie rozumiem.

— Mówiłeś, że rozumiesz.

— Skłamałem — odparł, wzruszając ramionami. — Łatwiej przyszło mi skłamać, niż po raz trzeci słuchać tego samego.

— Wstyd mi za ciebie — syknęła.

— Zbliży się wieczór — zauważył sierżant, zerkając na zachodni horyzont. — Co ci ludzie robią na polach zimą?

— Nic ważnego — odrzekła Dweia. — Szlachta, do której należą pola, lubi, żeby chłopcy mieli zajęcie.

Wieśniacy w powiązanych sznurkiem łańcuchach byli wymizerowani i brudni. Niemrawo ryli zmarzniętą ziemię motykami pod czujnym okiem siedzącego na koniu nadzorcy z batem w ręku.

Po chwili podjechał do niego bogato odziany szlachcic.

— Tylko tyle zrobili dzisiaj?

— Ziemia jest zamrznięta, panie — wyjaśnił nadzorca. — Po prostu tracą tu czas.

— Ja jestem panem ich czasu — warknął szlachcic. — Skoro kazałem kopać, niech kopią. Nie muszą wiedzieć po co.

— Rozumiem, panie. Ale może ja powinienem wiedzieć.

— Chodzą tu różni agitatorzy, Alkosie. Jeśli chłopcy będą mieli zajęcie, nie znajdą czasu na wiece.

— Ach, no tak — zgodził się Alkos. — Ale będziesz musiał, panie, karmić ich trochę lepiej, bo już ponad dziesięciu zemdłało.

— Bzdura! Udają i tyle. Po to właśnie masz bat. Trzymaj ich tutaj aż do zapadnięcia ciemności, a o świcie z powrotem do roboty!

— Ależ panie — sprzeciwił się nadzorca — oni nic jeszcze nie jedli. Większość żywi się trawą.

— To pokarm w sam raz dla tego bydła. Przyciśnij ich porządnie, ja muszę już wracać. Zbliża się pora kolacji, wprost konam z głodu.

Em, sama to wymyśliłaś, co? — spytał milcząco Althalus.

Nie, skarbie — odrzekła ze smutkiem. — *To się dzieje naprawdę, a będzie jeszcze gorzej.*

Obraz za oknem znów zmętniał. Po chwili Althalus wraz z innymi patrzyli na bogato urządzone pokój, w którym na wyściełanej ławie spoczywał szlachcic o opuchniętych oczach i bawił się od niechcienia sztyletem z połączoną rękojeścią.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł krzepki żołnierz.

— Powiedział „nie”, milordzie — zameldował.

— Co to znaczy „nie”?

— Jest bardzo uparty, milordzie, i chyba bardzo przywiązany do swej córki.

— Więc go zabij! Nim noc zapadnie, chcę mieć dziewczynę w komnacie.

— Wielki szeryf mówi, że nie wolno nam już zabijać wieśniaków, milordzie. Ci intrygancy kapłani czepiają się każdego takiego wypadku i wykorzystują go do podburzania chłopstwa.

— W życiu nie słyszałem nic śmiesznieszego!

— Wiem, milordzie, ale jeśli zabiję tego starego głupca, to jeszcze przed świtem do twoich drzwi będzie się dobijał wielki szeryf. — Żołnierz nagle zmrużył oczy. — Jest jednak inny sposób. . . Ojciec dziewczyny to kaleka. W zeszłym roku koń go kopnął podczas orki i złamał mu nogę. Teraz ten człowiek nie może pracować, a oprócz pięknej córki ma do wykarmienia jeszcze ośmioro dzieci. . .

— Więc. . . ?

— Więc można mu zapowiedzieć, że jeśli nie odda córki, to go wyrzucisz z tej lepianki, którą zajmuje. Jest zima, bez dachu nad głową i jedzenia cała rodzina zamarznie albo umrze z głodu. Myślę, że kmiotek szybko zmięknie.

— Genialne! — wykrzyknął szlachcic, uśmiechając się złośliwie. — Ruszaj do niego, sierzancie, i każ mu zbierać manatki. Jeśli dziewczyny nie będzie u mnie przed nocą, o świcie wszyscy mają się wynieść.

— Możesz znaleźć drzwi do tego miejsca? — spytał głucho sierżant Khalor.

— W jednej chwili, sierzancie — rzekł Eliar twardym jak stal głosem. — Mam zabrać miecz?

— Tak, raczej tak.

— Nie teraz, panowie — wtrąciła się Dweia. — Jeszcze nie skończyliśmy.

Okno przesunęło się znowu i teraz mieli przed sobą inny dom. Chudy szlachcic o surowej twarzy siedział przy pokrytym dokumentami stole i konferował z kapłanem w brązowym stroju.

— Przewertowałem to kilkanaście razy, bracie Sawelu — oświadczył — i nie widzę żadnego sposobu obejścia problemu. Tradycja tutejsza jest jak głaz. Chcę mieć tę studnię, ale ona od tysiąca lat jest w posiadaniu ludzi z owej wsi. Gdybym miał dostęp do wody, mógłbym uprawiać wielki szmat ziemi.

— Uspokój się, baronie — odparł kapłan. — Jeśli nie znajdujesz dokumentu, który posłużyłby twemu celowi, to go po prostu spreparujemy.

— I utrzyma się w sądzie?

— Oczywiście. Rozprawę będzie prowadził mój skopas, a jest mi winien kilka przysług. Kiedy przedstawię mu „nowe, zadziwiające odkrycie”, dobrze odegra swą rolę. Wioska razem ze studnią przejdzie w twoje ręce, a mieszkańcom władze każą się wynosić. Wtedy będziesz mógł wyburzyć ich chaty albo — jeśli wola — przeznaczyć je na obory dla bydła.

— Bracie Sawelu, myślisz, że to naprawdę przejdzie?

— Kto nam przeszkodzi? Arystokracja dysponuje ziemią, a sądy kontroluje Kościół. We własnym kręgu możemy zrobić wszystko, co chcemy!

— I co, sierzancie? — spytała Dweia Arumczyka o zaciętej twarzy. — Masz odpowiedź na swoje pytanie?

— W zasadzie tak, pani, ale wynika z niej następne: po co się w to mieszamy? Jak widziałem, na tę rebelię zanosilo się od dawna. Czemu nie zamkniemy granicy z Perquaine i nie pozwolimy chłopom wsiąść na karki szlachcie i duchowieństwu?

— Bo tą rebelią dowodzą źli ludzie.

— A my mamy po prostu tam wejść i wykraść ją spod ich kontroli?

— Mniej więcej.

— Skoro mamy wykraść im rewoltę, może warto byłoby przyjrzeć się ludziom, którzy ją wywołali? — zaproponował Khalor. — Teraz, kiedy wyeliminowaliśmy Pehala i Geltę, dowództwo wyraźnie przejął ktoś inny, a rozpoznanie wroga ma ogromne znaczenie.

— Słusznie, sierzancie — zgodziła się Dweia. — No to może trochę powęszymy?

Althalus cofnął się nieco i wysłał do Bheida sondującą myśl. W umyśle młodego kapłana kłębiły się sprzeczne emocje. Oczywiście nadal był tam żal i poczucie winy, ale tuż pod powierzchnią zaczynała wzbierać furia. Jawna niesprawiedliwość społeczna w Perquaine dokuczala mu teraz znacznie bardziej niż nienawiść do samego siebie.

To dopiero początek, skarbie — zamruczała Dweia. — Nie naciskaj go jeszcze. Myślę, że zaczyna sam się z tego wydobywać.

Przesadziłaś z paroma rzeczami, co?

Troszeczkę. Myśli większości obserwowanych przez nas ludzi nie były aż tak rażące, jak by wynikało z tego, cośmy widzieli i słyszeli, dlatego pewnie nie wypowiedzą ich wprost.

Znów oszukujesz, Em.

Wiem, ale jeśli w ten sposób doprowadzimy Bheida do normalnego stanu, można się na to zgodzić.

Widzę, że twoje poczucie moralności jest bardzo elastyczne.

Jak możesz tak mówić! Obserwuj pilnie Bheida. Lada chwila zobaczy i usłyszy coś, co sprowadzi go znów na ziemię.

Obraz za południowym oknem nabrał ostrości. Patrzyli teraz na ruiny dawno opuszczonego domu na szczycie nadmorskiego wzgórza. Między zburzonymi murami widać było namiot i małe, dobrze ukryte ognisko. Stał przy nim żółtowołosy Argan, dawny kapłan, i kopał ze złością stertę gruzu.

Z ciemności rozległ się ochryply głos.

— Zniszczysz sobie buty!

— Gdzie się podziewałeś? — spytał Argan, kiedy w kręgu światła ukazał się posiwiały Koman.

— Rozglądałem się po okolicy. Czy nie tego po mnie oczekiwałeś?

— Znalazłeś coś?

— Nie zauważyłem inwazji, jeśli to cię niepokoi. Chyba nie w pełni rozumieją, co robisz. Nie mogę odnaleźć Althalusa, ale nie ma w tym nic niezwykłego. Prawdopodobnie ukrywa się w tym zamku na Końcu Świata, a to miejsce jest poza moim zasięgiem. Miałeś jakieś wieści od Ghenda?

— Nie. Jest w Nahgharashu, próbuje ułagodzić Mistrza.

Na porytej zmarszczkami twarzy Komana pojawił się słaby uśmiezek.

— Muszę przyznać, że niezły z ciebie cwaniak, Arganie. Przecież to ty ściągnąłeś Yakhaga z Nahgharashu i wystawiłeś go zabójcy, ale wina spadła na Ghenda.

— Bo przywłaszczył sobie mój pomysł — odparł hardo Argan. — Ghend jest łasy na pochwały Mistrza.

— Zauważyłem.

— Ten plan by wypalił. Yakhag był idealną odpowiedzią na misterny spisek, jaki uknuł Althalus, by wciągnąć Geltę w pułapkę. Ale ten dureń Bheid stracił głowę i zarznął Yakhaga, zanim któryś z nas go powstrzymał.

— Próbowałem cię ostrzec przed nim, Arganie, ale nie chciałeś słuchać.

— Nie sądziłem, że się do tego posunie — odrzekł niemal żałośnie Argan. — Przecież pogwałcił jedną z kardynalnych zasad! Mnie usunięto z zakonu za znacznie drobniejsze wykroczenie.

— Za Yakhagiem nie będę tęsknił. Już sam jego widok ścinał mi krew w żyłach. Nawet Ghend się go bał. Tylko Mistrz czuł się przy nim swobodnie.

— Wiem, ale przy wsparciu Yakhaga mogłem odstawić Ghenda na bok i zająć jego miejsce. Wszystko szło jak po maśle, a nagle ten szaleniec w czarnej kiece wyciągnął miecz i posiekał mój klucz do władzy!

Koman wzruszył ramionami.

— Skoro masz do niego takie pretensje, idź i go zabij. Klinom chyba mógłby cię przemycić do Domu Dwei.

— Nie rozśmieszaj mnie, Komanie. Nie przekroczyłbym progu tego Domu tak samo jak ty.

— To tylko sugestia, wielobny — rzekł sarkastycznie Koman. — Ponieważ tak bardzo się skłaniasz do zabicia tego Czarnego, sądziłem, że nie masz nic przeciw temu, by dać się wyeliminować w trakcie zadania.

— Zemsta jest słodka, stary, ale żeby to poczuć, trzeba przeżyć. Z Bheidem policzę się w swoim czasie, teraz będę potrzebował więcej Czerwonych, żeby podtrzymać rebelię. Idź do Nahgharashu i sprowadź ich tylu, ilu Mistrz zgodzi się wypuścić. Jeszcze przed końcem zimy chcę być w świątyni w Maghu. Jeśli zamarudzimy, to zanim dotrzemy na miejsce, Althalus ściągnie tam armię.

— Stanie się wedle twego rozkazu, wielobny wodzu. — Koman skłonił się drwiąco.

— Właściwie kim naprawdę był Yakhag? — spytał Khalor Dweię. — Wiem, że Gelta się go bała, ale żeby i Ghend?

— To był stwór pozbawiony wszelkich uczuć — wyjaśniła Dweia, otrząsając się lekko. — Nie umiał kochać, nienawidzić, bać się, nie wiedział, co to ambicja... nic. Kompletna pustka.

— Człowiek z lodu? — podsunął Gher.

— Tak, to bliskie prawdy. Gdyby przeżył, bardzo możliwe, że Arganowi powiódłby się plan odsunięcia Ghenda.

— Żli nie umieją z sobą żyć w zgodzie tak jak my, no nie? My sobie nawzajem pomagamy, a oni tylko patrzą, jak by tu drugiemu wbić nóż w plecy.

— Daevie to odpowiada. W oczach mojego brata Yakhag był ideałem.

— Yakhag nie widział tego w ten sposób — zauważył Althalus. — Tak naprawdę on chciał tylko umrzeć.

— I to jest właśnie cały Nahgharash — podsumowała Dweia.

— Wcześniej czy później trzeba będzie coś z tym zrobić — rzekł sucho Khalor.

— Co masz na myśli, sierżancie? — zapytała Dweia.

— Sam nie wiem. Moglibyśmy na przykład tam wejść i podłożyć ogień... Chyba powinnaś wiedzieć, pani, że nie odnoszę się z wielkim entuzjazmem do tej akurat wojny. Jeśli nic się nie zmieni, staniemy w niej po złej stronie. Ta rewolta już dawno powinna wybuchnąć, bez względu na to, kto ją wywołał.

— Właśnie nad tym pracuję — zapewnił go Althalus. — Myślę, że naszym pierwszym krokiem powinno być uzyskanie dostępu do egzarchy Brunatnych...

mówiłeś, Bheidzie, że nazywa się Aleikon, tak?

Bheid przytaknął.

— Mój egzarcha ma dla niego jeszcze inne imiona, ale nie będę ich wymawiał w obecności pań.

— Skoro Aleikon pochwała to, co widzieliśmy przed chwilą, twój egzarcha i tak jest zbyt łagodny — zauważył Khalor. — Dokąd zamierzasz z tym pójść, Althalusie?

Althalus wzruszył ramionami.

— Brunatni są chciwi, a ja mam dużą wprawę w nabieraniu takich ludzi. Najpierw muszę ściągnąć na siebie uwagę egzarchy Aleikona. Przypuśćmy, że pewien bajecznie bogaty szlachcic z bliżej nieokreślonego miejsca w Equero... czy może Medyo przybył do Maghu z pielgrzymką. Czy trudno mu będzie uzyskać audiencję u egzarchy Brunatnych, bracie Bheidzie?

— Raczej nie, zwłaszcza jeśli pielgrzymka ma na celu pokutę za grzechy. Słowo „pokuta” w uszach wysokich dostojników Brunatnych dźwięczy jak samo złoto.

— Tak mi się właśnie zdawało. Ubiore się w paradne szaty, na wszystkich będę patrzył z góry, kupię albo wynajmę jakiś bajerancki dom. Potem mój osobisty kapelan wpadnie do świątyni i załatwi mi audiencję u egzarchy Aleikona.

— Rozumiem, że to ja mam być tym kapelanem?

— Genialne! Jak też ty wpadasz na takie sprytne pomysły?

— Mam taki dar — rzekł Bheid oschle.

— A co powiesz, mistrzu Althalusie, kiedy cię spytają, skąd jesteś? — chciał wiedzieć Gher.

— To przecież nie ma znaczenia — obruszył się Althalus. — Wybiorę jakieś odległe miejsce.

— Może Kenthaigne? — podsunęła mu Dweia.

Althalus zmarszczył brwi.

— Chyba już słyszałem tę nazwę. Gdzie to może być?

— To starodawna nazwa regionu położonego między jeziorami Apsa i Meida w Equero. Nie używa się jej od kilku eonów.

— Przyjemnie brzmi... No dobrze, jestem diukiem Kenthaigne, do tronu doszedłem przez morderstwo, a teraz sumienie nie daje mi spokoju, więc potrzebuję boskiego przebaczenia. Czy ktoś widzi w tym jakieś luki? — spytał, rozglądając się dokoła.

— On tak zawsze, co? — zauważył Khalor. — Dlaczego po prostu nie powiesz prawdy?

— Khalorze, jeśli ogłoszę w Maghu, że jestem wysłannikiem bogini Dwei, to mnie uznają za szaleńca i zamkną. Prawda nie zawsze popłaca.

Chyba czas już sprowadzić do Domu Leithę i Andinę — zasugerowała milcząco Dweia.

A Bheid? Jest już gotowy? Bo jeśli nadal rozłazi się w szwach, wolę Leithę trzymać z daleka.

Dochodzi do siebie, skarbie. Zaczyna do niego docierać, kim był Yakhag, więc najgorsze już za nami. Niech Leitha wróci, zanim Bheid znów nam ucieknie.

— Pieniądze będą mi potrzebne natychmiast, wasza miłość — mówił gorąco hrabia Baskoi. — Moi wierzyciele są dość niecierpliwi.

— Rozumiem, że szczęście w kościach ostatnio nie dopisało? — uśmiechnął się Althalus.

— Nie masz pojęcia, łaskawco, jacy oni potrafią być nieprzyjemni — narzekał Baskoi.

— Twój dom całkiem mi odpowiada — przyznał Althalus, rozglądając się po okazałym salonie. — Zostanę na jakiś czas w Maghu i nie zamierzam mieszkać w jakiejś obskurnej gospodzie, gdzie pod poduszkami kryją się pchły i karaluchy. Jeśli kapłani ze świątyni uznają, że moja pokuta potrwa dłużej, możemy pomyśleć o stałej umowie.

— Jak sobie życzysz, wasza miłość. Czy mam przenieść moje rzeczy na strych?

— Oczywiście, hrabio Baskoi. Gdy tylko skończysz, porozmawiaj z moim kapłanem, bratem Bheidem. On ci zapłaci za wynajem.

— Czy naprawdę nie mógłbym tu zostać... na strychu albo w piwnicy? — spytał błagalnie hrabia.

— To nie najlepszy pomysł. Mam kilku wrogów, przy których twoi wierzyciele to bezbronne kocięta. Nie sądzę, abyś chciał być świadkiem ich ewentualnej wizyty.

— Może znajdę pokój w gospodzie — ustąpił Baskoi.

— Na twoim miejscu, hrabio, unikałbym takich, gdzie się gra w kości — doradził mu Althalus. — Skoro cię kości nie lubią, lepiej trzymać się od nich z daleka.

— Racja — przyznał hrabia ze smutkiem.

— Diuk czego? — spytał z niedowierzaniem diuk Olkar z Kadonu.

— Kenthaigne — odparł Althalus.

— Wymyśliłeś to przed chwilą?

— Prawie. Jak tam rynek zbożowy?

— Całkiem nieźle. Ostatnie lato okazało się najlepsze w ciągu ostatnich dwunastu lat. W Perquaine mieli rekordowe zbiory, dzięki czemu ceny spadły. Już wysłałem cztery tysiące ton do Kanthonu i zapłaciłem za następne trzy. Mam tylko kłopot z wozami. Jeśli chłopska rebelia utrzyma się jeszcze przez miesiąc, będę

miał tyle pszenicy, że wystarczy dla całej Treborei.

— Andina się ucieszy.

— Althalusie, co to za historia z tym diukiem Kenthaigne?

— To przynęta, jakiej używam podczas wyprawy na ryby. Zależy mi, żeby z kręgów kapłańskich wyszła pewna informacja. Może byś wspomniał przy jakiejś okazji, że diuk Kenthaigne, który jest tak bogaty, że nawet smarcze w złote chustki, ma ogromne wyrzuty sumienia z powodu kilku ciężkich grzechów i właśnie przybył do Maghu, aby kupić sobie przebaczenie.

— Jeśli to się rozniesie, wszyscy kapłani z Perquaine rozbiją do rana obóz pod twoimi drzwiami.

— I o to mniej więcej mi chodzi, wasza miłość — odparł z chytrym uśmiechem Althalus. — W ten sposób nie będę musiał ich szukać. Sami przyjdą.

— Będzie cię to kosztowało.

— Pieniądze nic nie znaczą, Olkarze.

— Ugryź się w język!

— Wiadomość o twoim kryzysie duchowym dotarła do uszu naszego świętobliwego egzarchy Aleikona — mówił kapłan w brunatnej szacie, który zapukał do drzwi bladym świtem.

— Modliłem się o to — przyznał Althalus, wznosząc pobożnie oczy ku niebu.

— Świętobliwy Aleikon jest bardzo poruszony twą sytuacją. Trzeba ci wiedzieć, wasza miłość, że nasz egzarcha to prawdopodobnie najbardziej miłosierny człowiek na świecie. Dlatego postanowił udzielić ci natychmiastowej audiencji w swej prywatnej kaplicy w głównej świątyni.

— Czuję się przytłoczony tak wielkim zaszczytem, wasza wielebność. Proszę, abys jak najprędzej powiadomił świętobliwego egzarchę, że wraz z mym orszakiem już ruszam do świątyni.

— Uczynię to bezzwłocznie, wasza miłość. Proszę mi tylko powiedzieć, kiedy egzarcha ma was oczekiwać.

— Zaraz wyruszamy, więc jeśli się nie pośpieszysz, dotrzemy tam przed tobą. Brzemień moich grzechów jest tak ciężkie, że muszę je zrzucić, gdyż inaczej złamię mi kark.

— Już biegnę, wasza miłość.

Kiedy Brunatny odwrócił się do wyjścia, sierżant Khalor usiłował stłumić śmiech, ale bez większego sukcesu.

— Jakież problemy, sierżancie? — zainteresowała się Leitha.

— Jego miłość Althalus użył chyba zbyt grubych nici — śmiał się Khalor.

— To jedna z tatusiowych słabości. On nigdy nie zawraca sobie głowy jedwa-

biem, jeśli ma dratwę pod ręką.

Antyczna świątynia Dwei była najwspanialszym budynkiem w Maghu. Brunatni z pewnym wysiłkiem przemilczali co bezczelniejsze sugestie, że wzniesiono ją ku czci bogini płodności, a posąg o wyjątkowo bujnym łonie po prostu usunęli z ołtarza.

Z drzwi za ołtarzem wybiegł w lansadach ów kapłan, który odwiedził ich rano. Wyraźnie zmieszał się na widok osób towarzyszących diukowi Kenthaigne.

— Moje grzechy przysporzyły mi wrogów — wyjaśnił Althalus. — Byłoby nierozważnie z mojej strony, gdybym zostawił córki bez opieki, zresztą nie chcę tracić ich z oczu także z innych powodów... których jednak przez skromność nie wymienię przy kapłanie związanym ślubem czystości.

Brunatny zamrugał oczami i lekko się zaczerwienił. Nie podjął tematu. Odwrócił się i poprowadził ich przez mroczny korytarz do ciężkich drzwi z wiśniowego drewna.

— Oto prywatna kaplica naszego świątobliwego egzarchy — oznajmił, po czym zapukał.

— Wejść! — odpowiedział głos zza drzwi.

Kapłan wprowadził Althalusa i resztę kompanii do kaplicy.

— Świątobliwy Aleikonie — rzekł, przyklękając — mam zaszczyt przedstawić jego miłość diuka Althalusa z Kenthaigne. — Wycofał się tyłem z kaplicy, kłaniając się za każdym krokiem.

Egzarcha Aleikon był korpulentnym mężczyzną o krótko przystrzyżonych jasnych włosach. Z jego całej postawy biła powaga.

— Czuję się zaszczycony, wasza miłość — powiedział dość zdawkowo — ale sądziłem, że pragniesz prywatnej audiencji, która pozwoliłaby nam zbadać w pełni ciężar twych grzechów.

— Prywatność jest luksusem, na który nie mogę sobie pozwolić — odparł wykrętnie Althalus. — To, co świątobliwi mężowie nazywają grzechami, świat uważa za zbrodnie. Do tronu doprowadziła mnie ambicja, a metody, jakimi się posłużyłem, przysporzyły mi wielu wrogów. Te dwie śliczne panienki to moje córki, Leitha i Andina, chłopiec jest moim paziem, a kapłan w czarnej szacie, brat Bheid, pełni funkcję osobistego kapelana. Cała nasza gromadka żyje w ustawicznym zagrożeniu i musi korzystać z ochrony najwaleczniejszych rycerzy w Kenthaigne, Khalora i Eliara.

— Księstwo Kenthaigne, wasza eminencjo — mówił Althalus nieco później w gabinecie egzarchy — liczy tysiące lat. W ciągu wielu stuleci wynieśliśmy korupcję na wyżyny prawdziwej sztuki. Mam w kieszeni każdego sędziego, a du-

chowni tańczą, jak im zagram. To wszystko wymaga sporych sum i dlatego kontrolę nad skarbcem sprawuję osobiście. Poddani nauczyli się nie wchodzić mi w drogę. Jeśli czegoś chcę, to sobie biorę, a gdy ktoś się sprzeciwia, niebawem dyskretnie znika. I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie te koszmary, które ostatnio mnie dręczą.

— Koszmary? — zdziwił się egzarcha Brunatnych.

— Czy słyszałeś kiedy, eminencjo, o miejscu zwanym Nahgharash?

Twarz Aleikona stężała.

— Ach, widzę, że słyszałeś — ciągnął Althalus. — No cóż, ja je widziałem, dlatego nie sądzę, byś chciał je kiedykolwiek odwiedzić. Tam budynki są z ognia, a ludzie tańczą na ulicach jako małe, migoczące płomyki, wijąc się i krzyżąc z bólu. I właśnie te straszne krzyki doprowadzają mnie do szału, rozsadzają mi uszy cały czas... nawet kiedy nie śpię. Mam wszystko, czego mógłby pragnąć człowiek, z wyjątkiem spokojnego snu. Dlatego przybyłem do Maghu, wasza eminencjo. Jeśli zdołasz przegnać te koszmary, zapłacę każdą cenę.

— Czy czujesz prawdziwą skruchę, mój synu?

— Skruchę? Co za bzdura! Zrobiłem, co musiałem, aby dostać, czego chciałem. Po prostu powiedz swemu bogu, że zapłacę, ile zechce, byle dał mi spokojny sen.

On się waha, tatuśku — zamruczał głos Leithy. — *Chce twoich pieniędzy, ale wie, że nic nie poradzi na „koszmary”.*

To dobrze. Wszystko idzie zgodnie z planem.

A właściwie jaki jest twój plan? — zainteresował się Bheid.

Patrz uważnie, bracie Bheidzie. Patrz i ucz się.

— Będę się modlił o radę, diuku Althalusie — rzekł egzarcha Aleikon ze smutkiem. — Proszę wrócić tu jutro, wówczas porozmawiamy o stosownej pokucie.

— Jestem do twojej dyspozycji, eminencjo — oświadczył Althalus z uniożonym ukłonem. — Jutro o świcie przyjdę tu z taką ilością złota, jaką zdołam unieść... jeśli dziś się dobrze wyśpię.

Jesteś okropny, tatuśku — zamruczała Leitha.

Też mi się to podoba — odrzekł z satysfakcją Althalus.

ROZDZIAŁ 38

— Jego eminencja jest... hm... niedysponowany — tłumaczył rano ten sam kapłan, który odwiedził wcześniej Althalusa w domu hrabiego Baskoia.

— Ach tak?

— Pewnie coś zjadł... — dodał pośpiesznie Brunatny.

— Ostatnio sporo tu takich przypadków — zauważył Althalus. — Jak myślisz, kiedy się pozbiera? Mam przyjść później?

— Raczej nie, wasza miłość. Może jutro...

Jest bardzo przygnębiony, tatuśku — meldowała milcząco Leitha. — *Egzarcha Aleikon obudził się w nocy z krzykiem i krzyczy tak do tej pory. Brunatni obawiają się, że oszalał.*

Althalus skontaktował się z Dweią.

Co ty knujesz, Em?

Wykradłam ci pomysł, skarbie — usłyszał w odpowiedzi. — *Był za dobry, bym miała z niego zrezygnować. Naprawdę sam wymyśliłeś tę historię z koszmarami?*

Musiąłem jakoś przyciągnąć uwagę Aleikona. Nasz wyimaginowany diuk Ken-thaigne był zbyt wielkim łajdakiem, by miał się zapłakiwać z powodu kilku dawnych nieostrożności. Żeby usprawiedliwić moją pielgrzymkę do Maghu, potrzebowalem czegoś naprawdę okropnego. Po namyśle zdecydowałem, że wszystko zwałę na koszmarne sny o Nahgharashu.

Ach, rozumiem. Zwyczajnie wpadło ci to do głowy.

Coś w tym rodzaju. Wiedziałem, że znaczna część edukacji nowicjuszy we wszystkich trzech zakonach polega na opisach potworności Nahgharashu, więc wspominałem o tym, by zwrócić uwagę Aleikona. Po prostu nasunęła mi się taka myśl... a może to boskie natchnienie.

Nazwijmy to iskrą czystego geniuszu.

Nie posuwałbym się aż tak daleko.

A ja tak. Ty ten pomysł rzuciłeś, ja go podjęłam i poprowadziłam dalej. Zdarzało ci się widywać migawki z Nahgharashu przez drzwi Khnoma, ale tylko z zewnątrz. Natomiast koszmary Aleikona przeniosły go w sam środek miasta, a jest to miejsce absolutnej rozpacz. Dlatego Yakhag chętnie dał się zabić. Śmierć bowiem to wyzwolenie od Nahgharashu.

Czy Aleikon ocknie się w końcu ze swego koszmaru? Będzie mi jeszcze potrzebny.

Potrzymajmy go jeszcze trochę na wolnym ogniu, niech zmięknie. Po tygodniu takich snów zgodzi się na wszystko. A teraz przyprowadź dzieci do Domu, musimy porozmawiać.

Kiedy Althalus z towarzyszami wracali do domu hrabiego, na ulicach Maghu dosłownie roiło się od uzbrojonych żołnierzy. Wszyscy wydawali się zniecierpliwieni i zbijali się w ciasne grupki. Althalus zatrzymał ulicznego sprzedawcę, który pchał po bruku wózek z rzepą.

— Co tu się dzieje, kolego? — spytał.

Sprzedawca wzruszył ramionami.

— Chyba księżę Marwain przeży muskuły. Pewnie słyszałeś o zamieszkach chłopskich?

— Dopiero co przyjechałem.

— Tak? A skąd?

— Z Equero. Prowadzę tu interesy. O co tym chłopom chodzi?

— Normalka. Co jakiś czas mają pretensje, że świat ich podle traktuje. Księżę Maghu ściąga wtedy żołnierzy na ulice, żeby wszyscy w mieście widzieli, kto tu rządzi.

— Mieszczuchy nie dają się chyba wciągać w sprawy buraków?

— Jasne że nie — prychnął sprzedawca rzepy. — Ale zawsze znajdzie się kilku niezadowolonych z gorszych dzielnic, a szlachetny księżę chce mieć pewność, że rozumieją, jaka naprawdę jest sytuacja. Póki nie będziesz się mieszał do naszych spraw, żołnierze nic ci nie zrobią. Nie kupiłbyś trochę rzepy?

— Przykro mi, kolego, ale rzepa mi nie służy. Nie uwierzysz, jak mnie boli brzuch nawet po małym kawałku.

— Ach... Mam to samo po cebuli.

— Dobrze wiedzieć, że nie jestem jednym facetem o wrażliwym żołądku. No to miłego dnia.

— Słyszałam o tym księciu Marwainie — powiedziała Andina, gdy przyszli do domu Baskoia. — To bezwzględny tyran z wyolbrzymionym poczuciem własnej ważności.

— Z tego akurat złudzenia możemy go wyleczyć — zapewnił sierżant Khalor.

— Mamy trochę czasu — powiedziała Dweia, kiedy zebrali się w wieży. — Argan jest ostrożny i umacnia swą władzę w każdym mieście, zanim przeniesie

się do następnego. Rewolucja wewnętrzna to coś innego niż atak z zewnątrz. Bheidzie, jaka jest zwyczajowa procedura, kiedy egzarcha nie może sprawować swej funkcji?

Bheid odchylił się do tyłu i spojrzał w sufit.

— W normalnych okolicznościach hierarchia podtrzymuje fikcję o niedyspozycji egzarchy. Bieżące decyzje podejmują zwykle urzędnicy kościelni, więc egzarcha i tak jest tylko figurantem. Ale obecnie mamy nieco inną sytuację. Rebelia chłopska na południu to poważny kryzys, dlatego gdy tylko stanie się oczywiste, że egzarcha Aleikon nie wróci do zdrowych zmysłów, jakiś skopas wysokiej rangi wystosuje apel do egzarchów Emdahla i Yeudona z prośbą o zwołanie wysokiej rady do spraw wiary.

— Coś w rodzaju narady przywódców klanów? — domyślił się sierżant.

— Właśnie. Jeśli ogłosi się kryzys wiary, wysoka rada może odstąpić od zwykłej procedury. Wtedy Emdahl i Yeudon zajmą miejsce Aleikona, a może nawet posuną się do tego, że wcielą Brunatnych do swoich zakonów. Nie sądzę, by do tego doszło, ale prawdopodobnie rozpęta się wojna religijna, która wywróci cywilizowany świat do góry nogami.

— I na tym koniu Argan dojedzie prosto na cesarski tron.

— Zapewne taki ma zamiar — uściśliła Dweia. — Znajdą się jednak sposoby. Wyeliminowaliśmy Pekhala za pomocą góry sierżanta Khalora oraz dwukierunkowej rzeki, a dzięki pozornej uległości Andiny zwabiliśmy do Osthosu Geltę. Fortele są niekiedy wręcz nieocenione.

— Wiedziałem, że w końcu zaczniesz myśleć moimi kategoriami! — ucieszył się Althalus.

— Nie rozumiem, o co wam chodzi — powiedziała Andina.

— To taki nasz stary spór, mała księżniczko — wyjaśnił Althalus. — Emmy uparła się nauczyć mnie życia w prawdzie, sprawiedliwości i moralności; ja zaoferowałem w zamian naukę kłamstwa, oszukiwania i kradzieży. I coś mi się zdaje, że jestem trochę do przodu.

Dweia wzruszyła ramionami.

— Mniejsza o skutki, teraz nam zależy, żeby egzarcha Aleikon nadal śnił o Nahgharashu. Wracaj do świątyni, bracie Bheidzie. Muszę wiedzieć, kto podejmuje decyzje u Brunatnych, kiedy Aleikon nie jest w stanie sprawować funkcji. Dowiedz się o nim możliwie jak najwięcej, żebym mogła podsunąć mu pomysł wysłania apelu do Emdahla i Yeudona. Chcę tych dwóch jak najszybciej mieć w Maghu.

— On się nazywa Eyosra — raportował wieczorem Bheid w domu Baskoia. — Jest skopasem w zakonie Brunatnych, a specjalizuje się w szczegółach i liczbach. Reszta hierarchii go nie znosi, przypuszczalnie dlatego, że wciąż wynajduje

sprzeczności w księgach rachunkowych. Jest wysoki, bardzo chudy i blady jak duch.

— Nie brzmi to zbyt zachęcająco — zasepił się Althalus. — Taki liczykrupa nie ma na ogół prawdziwej władzy.

— Skopas Eyosra ma pod kontrolą skarbiec Brunatnych. A w zakonach opanowanych przez chciwość ten ciągnie za sznurki, kto trzyma sakiewkę.

— Racja. Jak myślisz, co skłoniłoby go do krzyku o pomoc?

— Chyba jakaś ekstrawagancja. Gdyby Dweia pchnęła Aleikona do wydania ogromnych sum, Eyosra przypuszczalnie stanąłby w płomieniach.

— Pomówię o tym z Em — obiecał Althalus. — Ona coś wymyśli.

— Bheid już dochodzi do siebie, Em — mówił Althalus, kiedy razem z Eliarem wrócili do Domu. — Trzeba pilnować, żeby miał dużo zajęć, to dla niego najlepsze lekarstwo.

— Z pewnością lepsze niż walenie nim o ścianę.

— Naprawdę waliłeś nim o ścianę? — spytał Eliar.

— Nie za mocno, po prostu chciałem przyciągnąć jego uwagę. No więc brat Bheid powiada, że musimy szturchnąć niejakiego skopasa Eyosrę, który zarządza skarbcem Brunatnych i jest strasznym liczykrupą. Zdaniem Bheida, przejaw jakiejś wielkiej rozrzutności ze strony egzarchy Aleikona mógłby sprawić, że skopas Eyosra w te pędy ściągnąłby na pomoc obu innych egzarchów.

— Może jakieś renowacje w świątyni? — zasugerowała Dweia.

— Może — odrzekł z powątpiewaniem Althalus. — To by zależało od tego, co ci chodzi po głowie.

— Na przykład rekonstrukcja głównego ołtarza. Za dawnych dobrych czasów mój ołtarz był pokryty złotem. Kiedy Brunatni przywłaszczyli sobie świątynię, zerwali złotą blachę, więc gdybym tak zasiała w głowie Aleikona odpowiednią myśl...

— Pamiętam, ołtarz był dość duży — podchwycił Althalus. — Żeby go przywrócić do poprzedniego stanu, trzeba mieć sporo złota, prawda?

— O tak, co najmniej kilka ton.

— Zobaczę, co powie Bheid, ale myślę, że wyjdzie z tego niezły kawał. Wyciągnięcie takiej ilości złota ze skarbcza Brunatnych sprawi, że skopas Eyosra wyleci w powietrze i prawdopodobnie szybciotko spadnie na dół.

— Argan z grubsza utrwalił swą władzę w nadmorskich miastach, w Egni, Athalu, Pelli i Bhago — meldował sierżant Khalor, kiedy po tygodniu spotkali się znów na wieży. — Rozesłał agitatorów w górę rzeki od Athalu do Leidy i łądem od Bhago do Dail, żeby podburzali chłopów.

— Jak myślisz, kiedy rozpocznie marsz na Maghu? — spytał Bheid.

— Co najmniej za dwa miesiące. On działa nadzwyczaj ostrożnie, jest zupełnie inny niż Pekhal i Gelta. Ale mimo to powinniśmy przyspieszyć podróż obu egzarchów. Duchowni zwykle dużo gadają, zanim podejmą decyzję... bez urazy, bracie Bheidzie.

— W porządku, sierżancie — rzekł kapłan. — My rzeczywiście dużo mieliemy językiem, może właśnie po to, żeby uniknąć decyzji. — Zerknął na Dweię. — Ale sierżant ma rację. Naprawdę powinniśmy jak najprędzej ściągnąć Emdahla i Yeudona. Mają do podjęcia ważne decyzje, a Argan nie śpi.

Dweia zesnurowała wargi.

— Podłubię w umysłach kilku ludzi. Potem Eliar może przeprowadzić egzarchów przez Dom i zostawić ich w Maghu. Dopóki nie dotrą na miejsce, nie ma mowy o żadnych decyzjach, możemy tylko dalej odliczać czas.

— Motłoch Argana postępuje w górę rzeki od Egni ku Leidzie — meldował sierżant następnego ranka. — Nie idą zbyt szybko, ale trzymają się tego kierunku.

— A co opóźnia ich marsz? — spytał Eliar.

— Przede wszystkim plądrowanie. Niezdyscyplinowana armia, która na swej drodze ma miasta i wsie, to najlepszy sposób, jaki znam, żeby do celu nie dotarł ani jeden oddział.

— Czy nie mówiłeś kiedyś, że głupi nieprzyjaciel jest darem bogów?

— Może i mówiłem, Eliarze, ale mimo to czuję się, jakby mnie ktoś głąkał pod włos. To nieprofesjonalne.

— Czy wyszli już z Bhago i maszerują na Dail? — spytał Althalus.

— Nie, dalej tam plądrują. Powinno się podpalić to miasto, zanim chłopcy nawet pomyślą o wyjściu.

Bheid rzucił mu spłoszone spojrzenie.

— Więc dlatego splądrowane miasta są zawsze spalone?

— Oczywiście, bracie Bheidzie, myślałem, że każdy to wie. Żołnierz, który ma nadzieję na łup, nie ruszy się z miasta, póki płomienie nie dobiorą mu się do tyłka. Ogień to jedyny sposób, by zmusić wojsko do dalszego marszu.

— Nie przejmuj się tym, Althalusie — powiedziała Dweia.

— Te liczby się nie zgadzają, Em. Wysłannik Eynosy potrzebuje kilku tygodni, aby dotrzeć do świątyni Czarnych w Deice, a do Keiwonu ma jeszcze dalej. Jeśli Emdahl i Yeudon staną w Maghu już jutro, Eynosra nabierze podejrzeń.

Dweia westchnęła, wznosząc w górę oczy.

— Wolalbym, żebyś tego nie robiła.

— To przestań mówić truizmy. Wiem wszystko o problemie upływu czasu

i już podjęłam pewne kroki. Od dawna manipulujemy czasem i przestrzenią, więc powinieneś wiedzieć, że mile i minuty znaczą tyle, ile mnie się podoba. Nikt niczego nie zauważy, Althalusie, nie masz się czym przejmować.

— No dobrze, Em, jak sobie życzysz — dał za wygraną Althalus. — Czy Aleikonowi nadal śnią się koszmary?

— Od czasu do czasu. Powinien być miły i skłonny do ustępstw, kiedy Emdahl z Yeudonem zaczną podejmować decyzje.

— Jakiego rodzaju decyzje?

— Miej oczy szeroko otwarte. Patrz i ucz się.

Egzarcha Emdahl był tęgim mężczyzną o pomarszczonej twarzy i chrapliwym głósie. Przybył do Maghu razem z egzarchą Yeudonem pewnego zimnego dnia pod wieczór i zaraz obydwaj udali się na konferencję ze skopasem oraz kilkoma wysokiej rangi przedstawicielami Brunatnych.

— On jest jak rozpędzony byk — ostrzegła Leitha. — Zmiecie z drogi każdego w tej świątyni, poza tym wie dużo za dużo.

— Nasz zakon specjalizuje się w gromadzeniu informacji — wyjaśnił Bheid. — Na świecie nie dzieje się niemal nic, o czym by nie doniesiono naszemu egzarsze. Podobno w kryzysowych sytuacjach potrafi być dość nieprzyjemny. Lepiej obchodzić się z nim jak z jajkiem.

— Może tak — rzekł Althalus — a może i nie. Skoro życzy sobie prawdy, jestem w stanie przekazać mu więcej, niż zdoła udźwignąć. Egzarcha Emdahl może sobie być bykiem, ale ja na pewno mam większe rogi.

Następnego ranka do domu hrabiego Baskoia przybył posłaniec z dokumentem „wzywającym” diuka Kenthaigne do stawienia się w świątyni.

— Bądź tak dobry i przekaz egzarchom, że przybędziemy w dogodnym dla nas czasie — oświadczył Althalus nieco zbyt wyniosłym tonem.

Bheid zamrugął z niedowierzaniem.

Popelniasz błąd już na wstępie — ostrzegł go milcząco.

Nieprawda. Chcę tylko szarpnąć odrobinę tańcuchem Emdahla. Poczekajmy półgodziny, a potem wpadniemy do świątyni. Chyba powinieneś trzymać się nieco w tyle, bracie Bheidzie. Zamierzam chwycić twego egzarchę krótko przy pysku, a nie chcę, żeby przelał swe niezadowolenie na ciebie.

Odczekali jakiś czas w wygodnym salonie Baskoia.

— No, starczy — orzekł wreszcie Althalus. — Chodźmy do świątyni i poedukujmy trochę duchownych.

— Czy nie jesteś zbyt obcesowy? — zaniepokoiła się Andina.

— Oczywiście, że jestem — odrzekł wesoło. — Chcę Emdahlowi utrzcę nosa.

Żeby dotrzeć do świątyni, musieli przejść przez całe miasto. Gdy tylko wkroczyli, do środka, spotkali się z kilkoma niechętnymi spojrzeniami. Althalus zlekceważył tę jawną wrogość i udał się prosto do prywatnej kaplicy Aleikona.

— Są tam? — spytał kapłana, który odwiedził go wcześniej w domu Baskoia.

— Ach... nie, wasza miłość. Egzarcha Aleikon nadal jest niedysponowany, a egzarchowie Emdahl i Yendon jeszcze konferują w bibliotece.

— Więc mnie tam zaprowadź.

Kapłan posłusznie ruszył przodem. Althalus oblekł twarz w lodowaty chłód.

— Jeszcze najwyżej parę minut — zapewnił go nerwowo kapłan, kiedy dotarli do łukowatych drzwi.

— Młody człowieku, bardzo mi pomogłeś w ciągu ostatnich tygodni, więc nie chcę, żebyś wpadł przeze mnie w kłopoty. Może masz jakiś niecierpiący zwłoki obowiązek w innej części świątyni?

— Chyba... chyba o czymś sobie przypomniałem, wasza miłość — bąknął kapłan i czym prędzej uciekł.

Co ci chodzi po głowie? — odezwał się głos Dwei.

Chcę zdobyć ich uwagę, Em. Zamierzam zlekceważyć kilka dobrych obyczajów i po prostu wtargnąć do środka. Nie będę tańczył, jak mi — według wszelkiego prawdopodobieństwa — zagrają.

I otworzywszy z hukiem drzwi, wpadł do biblioteki.

— Nie wstawajcie, panowie — zwrócił się do oszołomionych egzarchów. — Mówiono mi, że chcecie mnie widzieć, no to jestem. O co chodzi?

— Co cię zatrzymało? — spytał surowo Emdahl.

— Uprzejmość, eminencjo — odparł z dwornym ukłonem Althalus. — Ponieważ zwyczaj nakazuje trzymać gości w korytarzu, póki nie ostygną im pięty, zastosowałem się do niego w bardziej komfortowych warunkach. Mamy sporo do omówienia, więc może od razu przejdziemy do rzeczy? Co chcecie wiedzieć?

— Zacznijmy od wszystkiego — odpowiedział poważnie Emdahl — a potem ruszymy dalej. Kim jesteś? Na świecie działo się ostatnio wiele zamieszania, a ty i twoi ludzie dziwnym trafem zawsze tkwiliście w samym centrum wypadków. Gdziekolwiek się pojawiłeś, uprzykrzałeś życie wyższym od siebie rangą, a to zakłóca naturalny porządek rzeczy. Kościół chce poznać twoje intencje.

Althalus usadowił się przy drugim końcu stołu, dał gestem znać, by również usiedli, i odchylił się wygodnie na oparcie krzesła.

— Na jak wiele prawdy jesteś przygotowany, egzarcho?

— Na tyle, ile zechcesz mi przekazać... albo i więcej.

— Tylko tyle? Więc nie powinno to trwać zbyt długo. Nazywam się Althalus, ale to już wicie. Jestem złodziejem i szarlatanem, a gdy w grę wchodzi duże pieniądze, także mordercą. Urodziłem się dawno, bardzo dawno temu i zanim to wszystko się zaczęło, przez długi czas prześladował mnie pech. Wtedy człowiek imieniem Ghend, uczeń demona Daevy, zaproponował mi, bym za stosownym

wynagrodzeniem udał się do Kagwheru i ukradł stamtąd coś, co nazywał Księgą. Dotarłem do Domu na Końcu Świata, gdzie znajdowała się owa Księga, i zastałem tam kotkę, ale tak naprawdę nie była to kotka, tylko bogini Dweia, siostra Deiwosa i Daevy. — Umilkł na chwilę. — Wiedziałeś, Emdahlu, że Deiwos i Daeva są braćmi? No więc kotka, którą nazwałem Emmy, nauczyła mnie czytać Księgę Deiwosa, potem zaś, mniej więcej dwa lata temu, opuściliśmy razem Dom, by odnaleźć pewnych ludzi: młodego Arumczyka Eliara, Andinę, arkę Osthosu, kapłana Czarnych Bheida, małego złodziejaska Ghera oraz wioskową czarownicę Leithę. Wróciliśmy wszyscy do Domu i wtedy poznaliśmy prawdziwą postać bogini Dwei. Wyjaśniła nam kilka spraw, po czym wyruszyliśmy rozprawić się z Ghendem i jego sługami podczas nieuniknionej wojny dobra ze złem. Właśnie to robimy cały czas. Wyeliminowaliśmy już dwoje sług Ghenda, Pekhala i Gelte, a teraz przybyliśmy do Perquaine, by zająć się Arganem, usuniętym z zakonu duchownym, oraz Komanem, mentalną pijawką Ghenda. Postąpicie wedle własnej woli, ale zapowiadam, że jeśli w jakikolwiek sposób mi przeszkodzicie, to zniszczę i was, i wszystko, co przeciwko mnie zgromadzicie. Potrafię robić rzeczy, o których się wam nie śniło, więc usuńcie mi się z drogi i pozwólcie dokończyć moje zadanie. — Po krótkiej przerwie dodał: — Czy to dla ciebie dostatecznie jasne, Emdahlu?

Oczy egzarchy omal nie wyszły z orbit.

— Ach, jeszcze jedno — przypomniał sobie Althalus. — Dweia pomanipulowała trochę przy egzarsze Aleikonie, chodziło jej o przyciągnięcie waszej uwagi. Tak naprawdę ten biedak wcale nie zwariował. Dweia napełniła jego sny wizjami Nahgharashu, to wszystko. Wystarczy odrobina Nahgharashu, by pozyskać czyjąś całkowitą uwagę.

— Nahgharash to tylko metafora, Althalusie — sprostował Yeudon. — To sposób objaśnienia czyjegoś stanu ducha.

— Masz całkiem opaczny pogląd, Yeudonie. Nahgharash jest znacznie bardziej realny niż wasza, czasem niejasna definicja grzechu. To nie jest tylko stan umysłu. Widziałem kilka migawek z tego miejsca... zwykle wtedy, gdy Ghend próbował mnie zaskoczyć.

— Gdzie to właściwie jest?

— Mówi się, że w przepastnej, wypełnionej ogniem pieczarze pod górami Nerkwerosu. Ale w gruncie rzeczy Nahgharash jest tam, gdzie Ghend chce go mieć. Podobnie jak z Domem na Końcu Świata, który może być jednocześnie w każdym punkcie wszechprzestrzeni i wszechczasu. — Althalus uśmiechnął się słabo. — Istnieje przeciwieństwo wszechprzestrzeni i wszechczasu, ale nie wolno nam o tym nawet myśleć. Kiedyś Gher zaczął się bawić pojęciami „nigdzie” i „nigdy” i o mały włos nie doprowadził Dwei do szaleństwa. Według mnie poza granicami dobra i zła ziele tak żarłoczny chaos, że jest w stanie połknąć cały wszechświat. Wróćmy jednak do problemu rzeczywistości. Jeśli sięgnąć do istoty rzeczy, Dom

i Nahgharash to podstawy rzeczywistości, natomiast tak zwany realny świat stanowi tylko ich odbicie. Stąd można wysnuć wniosek, że to my jesteśmy metaforami, czy jeśli wolicie — pojęciami, desygnowanymi do przedstawienia rzeczywistych walk między Dweia i Daewą. — Zaśmiał się. — Moglibyśmy tak dyskutować przez całe wieki, co? Ale na razie mamy na głowie tę wojenkę, więc na niej się skoncentrujemy. W innych rzeczywistościach czas i przestrzeń nie są tak stałymi wartościami jak w naszym świecie. Skopas Eyosra przesłał wam prośbę o pilne przybycie do Maghu, gdyż egzarsze Aleikonowi zaczął się mącić rozum. W naszym świecie taka wiadomość dotarłaby do was po sześciu tygodniach, a zanim dojechalibyście na miejsce, minęłoby drugie tyle. Gdybyście jednak zechcieli zbadać tę sprawę dokładniej, przekonalibyście się, że wiadomość Eyosry wyszła stąd zaledwie w zeszłym tygodniu. Emmy potrafiłaby dostarczyć ją jeszcze szybciej, ale wolała nie wywoływać sensacji. — Spojrzał badawczo na obu egzarchów. — Chyba jednak nie zrozumieliście — zauważył.

— Jesteś bardziej pomyłony niż Aleikon — warknął Emdahl.

— Aleikon nie jest pomyłony — sprzeciwiła się Leitha. — On ma tylko koszarne sny o Nahgharashu, ale one nie pochodzą z jego umysłu. To Dweia mu je zsyła. Cały pomysł polegał na tym, żeby Aleikon sprawiał wrażenie szaleńca, bo wtedy skopas mógł was tu wezwać. No i udało się, jak widać. Przypuszczam, że teraz Aleikon wyzdrowieje niemal natychmiast.

— Jesteś czarownicą, co? — spytał Emdahl.

— Zaczyna mnie to już męczyć — burknęła w odpowiedzi Leitha.

— Radziłbym bardzo uważać, panie arcykapłanie — odezwał się Gher. — Leitha nie boi się niczego i nikogo, a jak się na pana wścieknie, to rozpuści panu mózg i zostanie tylko mokra plama.

— Co za brednie! — wybuchnął Emdahl. — Wszyscy powinniście trafić do domu wariatów. To my jesteśmy przywódcami duchowymi i my określamy, w co się powinno wierzyć, a w co nie.

— Leitho, lepiej mu pokaż, jak bardzo się myli — rzekł Althalus.

— Dobrze, tatuśku, chyba powinnam. — Spojrzała w surową twarz egzarchy Czarnych i westchnęła. — Jakie to smutne! Eminencjo, Deiwos istnieje, naprawdę istnieje. Nie jest jakąś fikcją wymyśloną przez kapłanów, aby mogli narzucać swą wolę naiwnym. Niepotrzebnie wahasz się i dręczysz. Przestań się karać za swe wątpliwości.

Emdahl zmienił się gwałtownie na twarzy i zadygotał.

— Skąd...? — zaczął i nie dokończył.

— Leitha ma dar, mój egzarcho — wyjaśnił łagodnie Bheid. — Potrafi słyszeć najgłębsze myśli.

— Przestalibyście wreszcie nazywać to darem — zaprotestowała Leitha. — To raczej przekleństwo. Wcale nie mam ochoty wysłuchiwać tego wszystkiego, co dzieje się w głowach innych ludzi.

Althalus usłyszał głos Dwei:

To jest i nudne, i denerwujące. Odsuń się, Althalusie, sama się tym zajmę.

Nagle jedna ze ścian wysoko sklepionej biblioteki Aleikona zniknęła, a na jej miejscu ukazała się doskonała twarz Dwei — chłodna, piękna i tak olbrzymia, że Althalus w pierwszej chwili aż się cofnął. W miejscu podłogi leżały skrzyżowane ramiona, na których bogini oparła w zamyśleniu podbródek.

— Czasem zapominam, jacy wy, ludzie, jesteście maleńcy — mruknęła. — Tacy słabi, tacy niedoskonali... — Wyciągnęła ogromną rękę, ostrożnie podniosła sztywnego egzarchę Emdahla i ułożyła go sobie w zagłębieniu dłoni. Potem postąpiła tak samo z Yeudonem. — Czy teraz nabraliście odpowiedniej perspektywy?

Obaj duchowni przywarli do siebie, piszcząc jak przerażone myszy.

— Och, bądźcie cicho — ofuknęła ich głosem, który brzmiał dziwnie łagodnie. — Nie zamierzam was skrzywdzić. Althalus nie jest może najbardziej wiarygodnym człowiekiem na świecie, ale tym razem powiedział wam prawdę. Rzeczywiście jestem tą, o której wam mówił, i to nie jest żadna iluzja czy inna sztuczka tego rodzaju. Macie się grzecznie zachowywać i ściśle wypełniać jego polecenia. Nie będziemy się o to kłócić, prawda?

Emdahl i Yeudon, nadal wczepieni w siebie, pokręcili energicznie głowami.

— Wiedziałam, że dobre z was chłopaki. — Dotknęła ich kolejno ogromnym palcem, gestem niemal czułym. — Tacy maleńcy... — szepnęła, po czym delikatnie posadziła ich z powrotem na krzesłach. — Przyrowadź ich tu, Althalusie, razem z Aleikonem. Muszą podjąć pewne decyzje i chyba zabierze im to sporo czasu, ale gdy tylko znajdą się w Domu, będą go mieli pod dostatkiem.

Egzarcha Aleikon dygotał na całym ciele, kiedy Althalus z Eliarem wprowadzili go przez drzwi na wieżę.

Chyba posunęłaś się z nim trochę za daleko, Em — powiedział milcząco Althalus. — *Te koszmary niemal przekraczały jego wytrzymałość, a jeszcze do tego Dom...*

Przyrowadź go do mnie, skarbie. Zaraz przywrócę mu równowagę.

Althalus ujął Aleikona pod ramię i skierował do marmurowego stołu, przy którym siedziała Dweia z Emdahlem i Yeudonem. Zauważył, że Księga przykryta była ciężką narzutą.

— Nie za dobrze wyglądasz, Aleikonie — odezwał się zgrzytliwie Emdahl.

— Gdzie my jesteśmy? — spytał egzarcha Brunatnych, rozglądając się trwożnie.

— Nie wiemy tego na pewno — odparł srebrnowłosy Yeudon. — Rzeczywistość wydaje nam się w tej chwili dość odległa.

— To zależy od tego, co rozumiesz przez rzeczywistość — rzekł Emdahl. —

Czy wasza boskość może przywrócić mu rozum? Mamy podjąć we trzech pewne decyzje, a jego głowa nie funkcjonuje najlepiej.

— Chyba już podjęliśmy pierwsze kroki. — Dweia spojrzała na zbolaną twarz Aleikona. — Odtąd koszmary cię opuszczą. Spełniły już swoje zadanie, więc nie musisz ich dłużej znosić. — Odstłoniła Księgę. — Podaj mi rękę, Aleikonie.

Egzarcha wyciągnął drżącą dłoń. Dweia ujęła ją łagodnie i położyła na oparunku w białą skórę Księdze.

— Uspokój się i odpręż. Księga mojego brata wymaże z twojej pamięci wszystkie złe sny.

— Czyżby to była...? — odezwał się z nabożnym lękiem Yeudon.

— Tak, to Księga Deiwosa — odpowiedział Althalus. — Jak się w nią dobrze wczytać, jest nawet dość ciekawa, chociaż Deiwos popada czasem w dygresje.

— Przestań! — upomniała go Dweia.

— Wybacz.

Na twarzy egzarchy Aleikona ukazał się wyraz podziwu.

— Wystarczy na razie — oznajmiła Dweia. — Zbyt ni pośpiech nie jest nam tu potrzebny. Musicie przedyskutować konkrety, a ekstaza religijna temu nie sprzyja.

— Czy mógłbym...? — spytał błagalnie Yeudon, wyciągając rękę ku Księdze z wyrazem tęsknoty w oczach.

— Pozwól im dotknąć Księgi, Em — wstawił się za duchownymi Althalus. — Inaczej nie przestaną o niej myśleć, a robota czeka.

Dweia utkwiała w egzarchach surowy wzrok.

— No, jeśli naprawdę musicie, to zgoda. Ale bez żadnego zaglądanía.

Althalus parsknął śmiechem.

— Co cię tak śmieszy? — spytała Dweia.

— Nic, nic — odrzekł z niewinną miną. — Taki tam drobiazg.

Na pooranej zmarszczkami twarzy Emdahla malował się głęboki namysł.

— Nie ulega wątpliwości, że Kościół odszedł od swego pierwotnego celu — mówił ze smutkiem egzarcha Czarnych do Aleikona i Yeudona. — Staraliśmy się wyrzucić wrażenie na możnych i bogatych, naśladowując ich, a w rezultacie staliśmy się jeszcze bardziej niż oni aroganccy i pełni pychy. Kompletnie straciliśmy kontakt z ludem i to otworzyło drogę nieprzyjacielowi.

— Spójrz prawdzie w oczy, Emdahlu — upomniał go Aleikon. — Kościół musi żyć w realnym świecie, bez względu na jego niedoskonałość. Bez pomocy arystokracji nigdy nie moglibyśmy pełnić swej misji.

— A ta misja się powiodła? Bo mnie się wydaje, że wszystko dookoła się wali.

— Chyba odbiegamy trochę od tematu — zauważył Althalus. — Kiedy dom płonie, nie pora na kłótnie, jakimi wiadrami nosić wodę. Czy zamiast tego nie lepiej przyjrzeć się twarzom podpalaczy? Mógłby być z tego pewien pożytek.

— Nie mamy na to czasu, Althalusie — sprzeciwił się Yeudon.

— W Domu Emmy czas nic nie znaczy — wtrącił Gher. — Podobnie jak odległość, ale to zupełnie oczywiste, gdyż czas i odległość są tym samym. Na świecie, odkąd został oddzielony od nieba, wszystko jest w nieustannym ruchu, niebo także ciągle się przesuwa. Kiedy mówimy o milach, tak naprawdę mamy na myśli godziny, to znaczy, jak długo jedzie się odtąd dotąd. Może właśnie dlatego nikt nie dostrzega Domu Emmy, bo chociaż on zawsze jest tutaj, Emmy potrafi tak zrobić, żeby był tutaj, ale kiedy indziej.

— Ten chłopak ma dobrze w głowie? — spytał Emdahl.

— Po prostu myśli szybciej od innych — odparł Althalus — i wybiega z pomysłami dalej niż my. Jeśli porozmawiasz z nim dłużej, egzarcho, oczy wypadną ci z orbit.

— Albo mózg stanie — dodał sierżant Khalor. — Nie sądzę, żeby Gher żył na tym samym świecie co reszta nas, tu obecnych. Jego mózg pracuje w takim tempie, że nawet Dweia nie może za nim nadążyć.

Trzej egzarchowie popatrzyli na chłopca w zamyśleniu.

— Mniejsza z tym. — Dweia przerwała stanowczo ich rozważania. — Niech wam się nic nie roi, ten chłopiec jest mój i pozostanie mój. Gherze, opowiedz im o oknach.

— Dobrze, Emmy — zgodził się chłopiec ochoczo. — Ponieważ Dom jest Wszędzie, okna wychodzą na to, co Emmy chce zobaczyć, możemy więc sprawdzić, co robią źli i jakie mają zamiary. Wspaniałe w tych oknach jest to, że możemy widzieć i słyszeć złych, a oni nawet nie wiedzą, że stoimy tuż za ich plecami... tylko że to nieprawda. — Gher marszczył brwi. — Trudno to wytłumaczyć... Wiem, co się dzieje, ale nie znam właściwych słów, żeby inni także wszystko zrozumieli. Jeśli Dom jest Wszędzie, to czy to czasem nie jest także Nigdzie? To znaczy... nie w prawdziwym Nigdzie, tylko czymś, co uchodzi za Nigdzie, przynajmniej na tyle, że źli nie mogą nas widzieć, kiedy ich podglądamy.

— Myślę, mój chłopcze, że słowem, którego szukasz, jest „wszech — obecność” — pośpieszył z pomocą Emdahl. — To część standardowej definicji boga. Skoro bóg jest Wszędzie, człowiek nie może się przed nim ukryć.

— O, teraz jest znacznie lepiej — ucieszył się Gher. — Dotąd mi się zdawało, że tylko mnie przychodzą do głowy takie myśli, a wtedy człowiek czuje się dość samotny.

— Będziesz musiał do tego przywyknąć — rzekł Emdahl. — Chwytasz instynktownie pojęcia, których inni zaledwie dotykają, choć studiują je przez całe życie. — Westchnął z żalem. — Co za teologa zrobilibyśmy z tego chłopca, gdybyśmy pierwsi dostali go w ręce!

— On świetnie sam sobie radzi — ucięła Dweia. — Nie próbuj nim manipulować.

— Nieukierunkowana myśl może być bardzo niebezpieczna.

— Obaj moi bracia także są tego zdania. Na szczęście Gher trafił w moje ręce.
— Czy rzeczywiście są twoimi braćmi, Dweio? — spytał dziwnie potulnie Emdahl.
— To nieco bardziej skomplikowana sprawa, ale słowo „brat” jest dość bliskie prawdy. A teraz może podejźmy do okien i popatrzymy, co kombinują „źli”?

Światło za oknem zmętniało i pociemniało.
— Co się dzieje? — wystraszył się Yeudon.
— Okno się przesuwa, eminencjo — wyjaśnił Bheid. — Porusza się „odtąd dotąd” . . . i według mnie także „od wtedy do wtedy”, zważywszy na zmianę w natężeniu światła. — Zerknął na Dweię. — Właściwie na co patrzymy, wasza boskość?
— Na miasto Leida w południowym Perquaine. Oglądamy wczorajszy wieczór.
— To Koman skrada się tamtą uliczką, prawda, Emmy? — spytał Althalus, wpatrując się w słabnące światło.
— Chyba tak. Szukałam Argana, ale Dom ma swój rozum. Czasem Deiws się leni i Dom dla ułatwienia zbacza nieco z drogi.
— Oto problem dla ciebie, bracie Bheidzie — odezwała się chytrze Leitha. — Zastanów się nad pojęciem leniwego boga.
— Proszę cię, Leitho. . . — rzekł błagalnie Bheid. — Mam i tak dość kłopotów. Trzymaj się teraz z dala od mojej głowy, nie chciałabyś zobaczyć, co się tam dzieje.
Egzarcha Emdahl obrzucił ich oboje uważnym spojrzeniem, ale nic nie powiedział.
W zaśmieconej uliczce Koman nagle otworzył sfatygowane drzwi i wszedł do budynku.
Światło zmętniało znowu, gdyż okno podążyło śladem mentalnej pijawki Ghenda do obskurnej izby, gdzie czekał Argan.
— Znalazłeś coś pożytecznego? — spytał.
— Miejscowy władca każe się tytułować diukiem — odparł siwobrody Koman, siadając. — Nazywa się Arekad i jest tak samo głupi, jak wszyscy poprzedni.
— Niczego innego nie oczekiwałem — oświadczył jasnowłosy kapłan w czerwonej szacie. — A co z lokalnym skopasem?
— To typowy Brunatny. Podlizuje się diukowi i wyciska z wiernych każdy grosz. Ten kociołek już bulgocze, Arganie. Wystarczy jedno dobre kazanie i znacznie wrzeć.
Argan uśmiechnął się słabo.

— Nie musisz wspominać o tym Ghendowi, ale nigdy nie miałem wielkiego zaufania do jawnych kampanii wojskowych. Zawsze łatwiej uderzyć od środka. Pekhal i Gelta powinni pozostać w ciemnych wiekach, tam gdzie ich miejsce. Gdyby Ghend mnie posłuchał, mielibyśmy Wekti i Treboreę w garści, a reszta krain już by na nas czekała.

— Możliwe, ale dla ciebie i dla mnie nie ma to większego znaczenia. To Ghend musi tłumaczyć się z tego przed Mistrzem. Myślę, że Mistrz coraz bardziej traci cierpliwość. Naprawdę nie musimy zawsze wszystkiego kończyć. Kampanie w Wekti i w Treborei były czystą stratą czasu. To wina Ghenda, a nie nasza.

— Zgadzam się z tobą co do joty, stary. Potrzebujemy ludzkich serc i umysłów, nie ciał, a kluczem do tego jest świątynia Dwei w Maghu. Jeśli złożymy Mistrzowi to miejsce w darze, może pošle naszego „chwalebego przywódcę” z torbami.

— My to mamy ambicje, co? — zauważył Koman.

— Ja lepiej nadaję się do tej roboty niż Ghend, wiesz, że mam rację. Kiedy się z tym uporamy, ja zasiądę po prawicy Daevy w Nahgharashu, ty po lewicy i cały świat będzie nam bił pokłony.

— To ładny obrazek, Arganie, ale musisz najpierw uporać się z Ghendem, a to nie pójdzie ci tak łatwo.

— Althalus go podchodzi bez większego kłopotu.

— Jesteś dobry, Arganie, ale nie aż tak.

— Pożyjemy, zobaczymy. Wchodzisz w to?

— Do pewnego punktu. Jeśli Ghend wykryje, co robisz, będziesz zdany na siebie.

— I bardzo dobrze, o nic innego nie zabiegam. Chodźmy teraz do Ghenda zameldować o naszych postępach. I skoro już znasz mój cel, wołałbym nie przyznawać, że tak łatwo nam poszło.

Althalus przewrócił się na drugi bok i uderzył kilka razy pięścią w poduszkę. Potem, mamrocząc coś pod nosem, umościł się znowu i zasnął.

Ogromna świątynia w Maghu zdawała się opuszczona, ale nagle pojawiły się dwie sprzątaczkę z miotłami i ścierkami do kurzu. Miały na sobie fartuchy, włosy schowały pod chustkami. A kiedy weszły, Nóż rozśpiewał się serenadą.

Jedną z nich była jasnowłosa Leitha, drugą — doskonała Dweia. Usiadła bladolica dziewczyna na kamiennej posadzce i płacząc, podniosła szatę z najprzedniejszej tkaniny. Nie przestając szlochać, oddarła jeden rękaw i rzuciła go w narzmiąle ciszą powietrze, a gdy rękaw zniknął, zapłakał także Nóż.

A twarz Dwei była smutna.

Nie ustając w płaczu, oderwała bladolica Leitha drugi rękaw szaty z najprzedniejszej tkaniny i tak jak poprzednio rzuciła go w powietrze. I rękaw zniknął, a Nóż i tym razem płakał.

Wtedy zaś Leitha, po której twarzy nadal ciekły łzy, podarła szatę z najprzedniejszej tkaniny na małe kawałeczki i każdy z nich rzucała kolejno w powietrze, w ślad za rękawami. A kiedy skończyła swe dzieło, szata z najprzedniejszej tkaniny przestała istnieć. I rzuciła się bladolica Leitha na twarz przed ołtarzem, i płakała długo niczym skrzywdzone dziecko.

A doskonała Dweia jej nie pocieszyła, tylko podążyła w stronę ołtarza. Tam zatrzymała się i wyczyściła wierzchnią płytę z wielką starannością, chwytając śmieci w swą perfekcyjną dłoń.

I rzuciła to, co zmiotła, w powietrze, a było to niczym pył.

Potem sprawiła, że człowiek zwany Bheidem otworzył okno. I nagle z owego okna zerwał się wielki wiatr. I zaśpiewał Nóż, a pyłu już więcej nie było.

Wtedy bogini rozejrzała się wokół siebie z chłodną satysfakcją i rzekła:

— Teraz moja świątynia znowu jest czysta i nieskalana.

ROZDZIAŁ 39

— Jak wam się spało, panowie? — spytał chytrze Althalus egzarchów, kiedy zebrali się rano w jadalni.

— Całkiem nieźle — odparł srebrnowłosy Yeudon — tylko jeśli o mnie chodzi, to miałem dość osobliwy sen i jakoś nie mogę o nim zapomnieć.

— Niech zgadnę. Dwie kobiety sprzątały świątynię. Jedna darła koszulę, a druga czyściła ołtarz. Tak to mniej więcej wyglądało?

— Skąd wiesz? — spłoszył się Yeudon.

— Bo nie tylko tobie się to śniło. Takie rzeczy zdarzały się już przedtem, ale tym razem sen pochodził od Dwei. Miewaliśmy już dziwne sny, tamte jednak zsyłał nam Daeva. Nie sądzę, by się wam podobały.

— Yeudonie, ty powinieneś wiedzieć wszystko o snach — zauważył Emdahl. — Wy, Biali, zbijacie więcej kasy na interpretacji snów niż na horoskopach. Althalusie, nie wiesz, co to był za dziwny odgłos w tym naszym śnie?

— Pieśń Noża. W snach Daevy słyszy się zupełnie inne dźwięki. Większość snów nie ma specjalnego znaczenia, ale kiedy słysząc śpiew, trzeba mieć się na baczności. Wizje senne są zwykle alternatywą rzeczywistości. Te, z którymi zetknęliśmy się wcześniej, ukazywały, jak Ghend próbuje zmodyfikować pewne wypadki z przeszłości po to, aby wpłynąć na przyszłe wydarzenia. Czasem zdarzają się sny dość drastyczne, ale ten z ubiegłej nocy był niemal tak pogmatwany jak one wszystkie. Oczywiście Emmy jest znacznie subtelniejsza od swych braci. Jeśli dobrze zrozumiałem, chodziło o oczyszczenie świątyni w Maghu.

— To nasza świątynia — najeżył się Aleikon.

— Może teraz, ale przed paroma tysiącami lat należała do Dwei. Jeśli ona zechce ją odzyskać, znajdziecie się na bruku. Zresztą mówiliśmy wczoraj o metaforach, a to może być najlepsza droga do wyjaśnienia snu z ostatniej nocy. Dweia i Leitha rzeczywiście zamierzają porządnie wysprzątać świątynię, ale nie chodzi o ścieranie kurzu i mycie podłogi. Na przestrzeni lat wasz zakon coraz bardziej popadał w korupcję. Trochę za bardzo interesujecie się pieniędzmi i władzą, a wasz sposób traktowania zwykłych ludzi otworzył drogę słudze Ghenda, Arganowi. To dawny kapłan, więc umie głosić kazania. Demaskuje w nich niesprawiedliwości, jakich dopuszcza się wasz zakon, i zdobywa sobie coraz więcej słuchaczy. Ghend

próbował zbrojnie zająć Wekti i Treboreę, teraz zaś planuje społeczną rewoltę, co jest znacznie groźniejsze. Dweia najwyraźniej postanowiła tym razem wkroczyć w to osobiście, a kiedy ona sprząta dom, jest bezlitosna. Wymiata wszystko, co ją obraża, więc wy, Brunatni, możecie szybko znaleźć się na śmietniku razem z Arganem i Komanem.

— Deiwos nigdy do tego nie dopuści! — wykrzyknął Aleikon.

— Nie byłbym taki pewny, eminencjo. Dweia często kłóci się z bratem, ale w gruncie rzeczy bardzo się kochają. Deiwos trzyma się na dystans, ale Dweia jest osobiście zainteresowana naszymi sprawami. Jeśli ją obrazicie, to podejmie odpowiednie kroki, a Deiwos nie będzie się wtrącał.

Trzej egzarchowie popatrzyli z niepokojem na boginię, lecz ona uśmiechnęła się nieznacznie i nic nie powiedziała.

— Emmy wybiegła znacznie do przodu w tym swoim śnie, prawda? — spytał Gher Althalusa. — Znaczy, to się jeszcze nie wydarzyło. Czy to nie tak jak w tamtym śnie o złej pani, która nadepnęła na kark Andinie?

— Pewnie masz rację, chłopcze. Emmy często przeskakuje czas i nie zawsze możemy się zorientować, gdzie się akurat znajduje. Tym razem rzeczywiście wydaje się to jakimś „jeszcze nie” i mam nieprzeparłe wrażenie, że brat Bheid odegra w tym pewną rolę.

Jeszcze nie, skarbie — zamruczał głos Dwei. — *Przedtem musi się wydarzyć kilka rzeczy. Zaraz po śniadaniu pójdziemy na wieżę i sprawdzimy, co porabia Argan.*

Jak chcesz, Em.

— Co to za miasto, sierżancie? — spytał Bheid, kiedy stanęli obok niezmodernowanego Arumczyka przy zachodnim oknie wieży.

— Dail. Kiedy ktoś wreszcie się ocknął i podpalił Bhago, chłopci spakowali łupy i pomaszerowali na północny wschód. Umocnienia Dail to czysta kpina, więc nie sądzę, by długo się bronili. Są tam Argan i Koman, myślę, że pierwszy z nich szykuje już płomienną mowę.

— To się nazywa kazanie, sierżancie — poprawił go z lekko zboląłą miną Bheid.

— Jak zwał, tak zwał — obruszył się Khalor. — Jestem Arumczykiem i nie znam się na terminologii religijnej. Kiedy jakiś dureń zaczyna skakać i wrzeszczeć: „Mój bóg jest lepszy od twojego”, nie zwracam na to większej uwagi, ale chowam sakiewkę.

— Bardzo przewidująco — mruknął Althalus. — Ciekawi mnie, jak dobry jest Argan. Skoro udało mu się tak namieszać w Perquaine, musi być dość elokwentny.

— Już idą! — zameldował Eliar od okna.

— Może chcecie posłuchać konkurencji — zaproponował Althalus egzarchom.

chom. — Na pewno dołoży wszelkich starań, żeby poruszyć każdy drażliwy temat.

Na skutych lodem polach północnego Perquaine falowało nieprzebrane morwie rozwścieczonego chłopstwa, sięgając aż pod ponure mury Dail. Gdzieś widać było lepiej ubranych osobników, co stanowiło wyraźny dowód, że łupem płaudowników padły też wybrane sztuki odzieży szlachty z nadmorskich miast.

Egzarcha Aleikon pobladł.

— Nie wiedziałem, że tylu ich jest — mruknął z niesmakiem. — Oni się nigdy nie cofną.

— Jest zima, Aleikonie — zauważył Emdahl. — Nie mają nic lepszego do roboty.

Sierżant Khalor patrzył na morze chłopów posuwające się ku Dail.

— Chyba mamy kłopoty — rzekł beznamyślnie. — Oni nie umieją walczyć, a tak naprawdę interesują ich tylko łupy. Wygląda, że nie ma w Perquaine wieśniaka, który nie przyłączył się do tej rebelii. Walka z tym motłochem nie wchodzi w rachubę. W całym Arum nie ma wystarczającej liczby zawodowych żołnierzy zdolnych stawić im czoło, a żaden wódz klanu nie jest na tyle głupi, by chociaż próbować. Arystokracja zawsze zapomina, jak liczną grupę stanowią chłopci. Kiedy raz się ich podburzy i pokaże choćby namiastkę celu, to nie ma sposobu, żeby ich powstrzymać.

— Coś mi się zdaje, Aleikonie, że wybrałaś niewłaściwą stronę w tym konflikcie — zauważył Yeudon z satysfakcją. — W Perquaine wszystkie pieniądze należą do szlachty, ale za to chłopów jest dużo. Na twoim miejscu starałbym się to wykorzystać.

— Widzę Komana i Argana! — oznajmiła Leitha.

— Gdzie? — zainteresował się Bheid.

— Tam, blisko czoła tłumy. O, jadą na tym wozie.

— Moglibyśmy dostać się trochę bliżej, żeby posłuchać, co mówią? — spytał Khalor Dweię.

— Oczywiście, sierżancie — odparła i wykonała nieznaczny gest przy oknie.

Sceneria w dole zasnuła się mgłą, ale zaraz nabrała wyrazistości. Znaleźli się tuż nad rozklekotaną furmanką, która turkotała i podskakiwała na zmrożonej grudzie, ciągnięta przez parę wycieńczonych wołów.

— Czy twoi ludzie wiedzą, co mają robić? — spytał Argan Komana. Dawny kapłan ubrany był w artystycznie połataną czerwoną szatę i wyraźnie się nie golił od kilku tygodni.

— Za bardzo się przejmujesz. Wszystko zostało uzgodnione tak, jak sobie życzyłeś — odrzekł Koman, który miał na sobie konopny łachman powiązany tu i ówdzie sznurkiem. — Po prostu pytaj, a otrzymasz odpowiedź. Myślę, że powinieneś dać trochę popalić tym brudasom; entuzjazm słabnie, a niekontrolowane

łupienie miast na wybrzeżu zaczyna psuć ci szyki. Chłop, który nie ma nic do stracenia, pójdzie za byle kim, ale taki, co przed chwilą napełnił kabzę złotem, chce żyć dostatecznie długo, by zdążyć je wydać.

— Potrafię znów ich rozpalić — odparł hardo Argan. — Potrafię głosić kazania nawet do ptaków, jeśli tylko zechcę. Czy gdzieś w pobliżu jest Ghend?

Koman pokręcił głową.

— Nie na tyle blisko, bym mógł go odnaleźć. Według mnie nadal siedzi w Nahgharashu i próbuje wygładzić sprawę śmierci Yakhaga. Mistrz jest bardzo niezadowolony.

— To straszne! — rzekł sarkastycznie Argan. — Ale to woda na nasz młyn, co? Kiedy подарujemy Mistrzowi świątynię Dwei w Maghu, może uzna, że nie potrzebuje już Ghenda.

— Poczekajmy ze świętowaniem, póki nie zdobędziemy Maghu. Althalus nadal tam jest, a jak wiesz, dotąd zawsze udawało mu się przechytryć Ghenda. Żeby wziąć świątynię, będziesz musiał najpierw usunąć go z drogi, a wcale nie jestem pewien, czy dasz radę.

— Zdaje się, że masz niezłą reputację w obozie wroga — rzekł chrapliwie Emdahl.

— Jestem dobry — prychnął Althalus. — Wszyscy o tym wiedzą.

— Skręć w bok, Komanie — zarządził Argan, kiedy ich wóz dojeżdżał do bram Dail. — Wdrapiemy się na ten pagórek, żeby mnie wszyscy widzieli.

— Słusznie.

— Sprawdź, czy mnie wszędzie słychać.

— Nie ma sprawy — odparł Koman, kierując wymęczone woły naokoło wzniesienia.

— Nie rozumiem — wyznał Emdahl. — Ten tłum ciągnie się przez kilka mil, nikt nie jest w stanie słyszeć z tak daleka.

— Koman się tym zajmie, eminencjo — powiedziała Leitha.

— Jak?

Wzruszyła ramionami.

— Nie jestem całkowicie pewna.

— To taka sztuczka, Emdahlu — wyręczył ją Althalus.

— A ty to potrafisz?

— Prawdopodobnie, jeśli naprawdę zechcę. Muszę tylko poprosić Emmy o odpowiednie słowo. To się wiąże z Księgą i zawsze jest nieco skomplikowane.

— Coś w rodzaju cudu?

— Cóż... w pewnym sensie. Ale pomówimy o tym kiedy indziej. Teraz sprawdzimy, co Argan ma do powiedzenia.

Kiedy rozklekotana fura dotarła na szczyt pagórka, Argan naciągnął sfatygowany kaptur na twarz i wstał. Ludzie Komana starali się tymczasem uciszyć niesforną cizbę. Wreszcie zapanował jaki taki porządek. Argan zsunął kaptur i podniósł głowę z wyrazem szlachetnego cierpienia na twarzy.

— Bracia i siostry! — odezwał się głosem pełnym uczucia.

Tłum ucichł.

— Bracia i siostry! — powtórzył Argan. — Wiele wycierpieliśmy już w walce o sprawiedliwość. Teraz północny wiatr kąsa nasze ciała, a zmroźona ziemia kałeczy nam stopy. Bez dachu nad głową, w nędznym przyodziewku przebijamy się przez Perquaine, kiedy wokół nas szaleje sroga zima. Jesteśmy głodni i spragnieni, ale nie chleba i wody. Nasz głód i pragnienie sięgają znacznie głębiej. A jaki jest ten nasz nieosiągalny cel?

— Sprawiedliwość! — ryknął jakiś gruby wieśniak głosem przypominającym huk gromu.

— Dobre słowo, mój bracie. Tak jest, sprawiedliwość. A kto stoi nam na drodze do zwykłej sprawiedliwości?

— Szlachta! — krzyknął inny głos.

— Tak, ci, którzy zowią się szlachetnymi. Tak naprawdę niewiele szlachetności widzę w tym, co znosimy od nich przez całe wieki. Ziemia Perquaine jest żyzna, dostarcza aż nadto żywności. Ile jej plonów przeznaczone jest dla nas?

— Nic! — pisnęła kobieta o dziko rozkudłanych włosach.

— Prawdę mówisz, siostrze. Dla nas nie przeznacza się nic. Nie dla nas śniadanie ani kolacja. Musimy obywać się smakiem. Całe życie wyrrywamy jedzenie z bogatej ziemi Perquaine, a naszą jedyną nagrodą jest wielkie nic. Ci, którzy mienią się szlachetnymi, zabrali nam dosłownie wszystko i ciągle stawiają nowe żądania. A gdy nie możemy ich spełnić, w ruch idzie bat albo maczuga, i to nie dla zadośćuczynienia ich chciwości, ale z czystej żądzy okrucieństwa. Czy to ma być szlachetność?

— Nie!!! — wrzasnęły setki gardeł.

— Czy powinniśmy respektować ten jawny bandytyzm?

— Nie!!!

— Bracia i siostry! Przymieramy głodem pośród obfitości! Ci, którzy nazywają się szlachtą, uciskają nas bez powodu, gdyż wierzą, że ich bóg dał im do tego prawo. Zaprawdę, lepiej w Perquaine być koniem albo psem niż szarym człowiekiem. Ale posuńmy się jeszcze dalej w naszych rozważaniach. Spędziliśmy życie pod butem wyzyskiwaczy i dobrze ich znamy. Czy ktoś z obecnych widział kiedy szlachcica, który potrafi odróżnić prawą rękę od lewej?

Tłum ryknął śmiechem.

— Albo zawiązać sobie but? — pytał dalej Argan.

Kolejny wybuch śmiechu.

— Albo podrapać się w zadek, gdy go swędzi?

— To już lekka przesada — burknął Emdahl.

— Dostosowuje się do słuchaczy, eminencjo — wyjaśnił Althalus. — Wieśniacy bywają dosadni.

— Skoro więc nasza szlachetna szlachta jest za głupia, by odróżnić dzień od nocy — ciągnął Argan — to widać jasno, że ktoś albo coś prowadzi ją po tej ścieżce ucisku i niesprawiedliwości. Kto lub co to może być, bracia i siostry?

— Kościół! — odezwał się basowy głos spośród tłumu.

— Dobrze przemówienie — zauważył egzarcha Yeudon.

— Chyba nie zgadzasz się z tym odszczepieńcem? — zgorszył się Aleikon.

— Mówię o jego zdolnościach, nie o treści przesłania. Jest dobry, to nie ulega kwestii.

— Czyżby więc ucisk i okrucieństwo stanowiły część natury prawdziwego boga? — spytał Argan.

— Nie!!!

— A więc perquaiński Kościół zoczył ze ścieżki wytkniętej przez samego boga. Zakon Brunatnych znany jest z przekręcania bożych słów i zamiarów w swym pędzie do bogactw i władzy. Domagają się od nas uległości, od szlachty zaś dalszego ucisku. Ubieramy się w łachmany, mieszkamy w ruderach, nie mamy gdzie się schronić przed zimnem, podczas gdy szlachta nosi aksamity i futra, a ich domy to pałace. Kto ciągle wmawia tym pasibrzuchom i kretynom, że racja jest po ich stronie?

— Brunatni! — zagrział głos z tłumu.

— Nasze kobiety zmuszane są do uległości wobec wysoko urodzonych krwio-pijców, a kto wmawia arystokracji, że gwałt na wieśniacze nie jest grzechem?

— Brunatni! — zawył tłum.

— Co zatem musimy zrobić, żeby pójść za głosem prawdziwego boga całego rodzaju ludzkiego?

— Zabić! — warknął pojedynczy głos.

— Kogo musimy zabić?

— Szlachtę!

— A kto dzieli winę ze szlachtą?

— Brunatni!

— Więc trzeba zabić także Brunatnych?

— Tak!!!

— Ale człowiek musi mieć kapłana, jeśli nie chce zoczyć ze ścieżki prawdy. Powiedzcie, obywatele Perquaine, komu powierzylibyście swoje dusze?

— Czerwonym! — odpowiedział ukryty w tłumie człowiek Komana.

W tym momencie wystąpił do przodu krępy chłop o grzmącym głosie.

— Prowadź nas, bracie Arganie! Powiedz, co mamy robić, żeby nie zginąć w szponach oprawców!

Argan oblókł twarz w wyraz przesadnej pokory.

— Jestem niegodny, mój bracie — wyznał z pokorą.
— Nie tak jak egzarcha Aleikon — obstawał grubas. — Uwolnij nas z rąk ciemiężycieli! Daj nam sprawiedliwość!
— Czy taka jest wola wszystkich tu obecnych?
— Tak!!! — wielki wrzask rozniósł się echem po zmrożonym polu.
— A zatem pójdźcie za mną na bramy Dail! Kiedy zaś oczyścimy to miasto, dokąd się udamy?
— Do Maghu!
I wielki tłum ruszył naprzód, a bramy Dail go nie powstrzymały.

— Wszystko poprzekręcał — protestował słabo egzarcha Aleikon. — W Perquaine aż tak źle się nie działo.

— Och, doprawdy? — słowa egzarchy Yeudona aż ociekały sarkazmem. — Wy, Brunatni, jesteście znani z chciwości. Bardzo mi przykro, ale ten facet w czerwonej szacie mówił absolutną prawdę. Gdyby nas było stać na odrobinę szczerości, musielibyśmy przyznać, że ta chłopska rebelia jest w pełni usprawiedliwiona.

— Nie tutaj, Yeudonie — upomniał go Emdahl. — Myślę, że czas, abyśmy we trzech przedyskutowali tę sytuację... dogłębnie i we własnym gronie. — Zerknął na Althalusa. — Potrzebujemy jakiegoś pomieszczenia... w pewnej odległości od tego miejsca.

— Proponuję wieżę w drugim końcu zachodniego korytarza — powiedziała Dweia. — Eliarze, wskaż im drogę.

Eliar skinął głową.

— Panowie pozwolą za mną.

Emdahl utkwiał w Leicie znaczące spojrzenie i mrugnął chytrze.

— Co to miało znaczyć? — spytał zaniepokojony Bheid po wyjściu egzarchów.

— Twój egzarcha właśnie mnie zaprosił do podstuchiwania obrad. Wiedział, że i tak to zrobię, ale pokazał, że mu na tym zależy. Planuje jakiś przekręt, jak by to określił Althalus, i chce, żebyśmy z nim współdziałali.

— Mogłabyś wyrażać się ściślej? — poprosiła Andina.

— Emdahl uważa obecne niepokoje w Perquaine za idealną okazję. Zakon Brunatnych jest przeżarty korupcją, więc Emdahl snuje wielkie plany wyszarpania władzy Aleikonowi. Bez wsparcia perquaińskiej szlachty Brunatni zostaliby szybko zredukowani i zmuszeni do żebrania o chleb na gościńcach.

— Co za wspaniały pomysł! — zachichotała Andina. — Jak Emdahl zamierza go przeprowadzić?

— Ciągle jeszcze pracuje nad szczegółami, ale zasadniczo chce wykorzystać kazania Argana do takiego zastraszenia Aleikona, by egzarcha wyprowadził z Perquaine wszystkich swoich kapłanów. Będzie rzucał słowa w rodzaju „czasowo”

i „przejściowo”, żeby Aleikon nie zorientował się, że nie ma mowy o powrocie.

— Mój egzarcha to szczwany lis — rzekł z dumą Bheid. — Kiedy jednak sytuacja w Perquaine wróci do normy, Aleikon szybko zrozumie, że Czarni zajęli jego miejsce.

— Niezupełnie — odparła Leitha z chytrym uśmieszkiem. — Emdahl wciąż jeszcze dopracowuje szczegóły, ale bezpośrednia konfrontacja obu zakonów doprowadziłaby przypuszczalnie do wojny, przy której ta chłopska rebelia wyglądałaby jak przechadzka po parku.

— Leitho, ty coś przede mną ukrywasz — powiedział z pretensją Bheid.

— Jaaa? — spojrzała na niego z miną urażonej niewinności. — Co ty powiesz?!

Bheid wyrzucił obie ręce w górę.

— Kobiety!

Konferencja w wieży na końcu zachodniego korytarza ciągnęła się kilka dni. Eliar, który nosił posiłki trzem egzarchom, twierdził, że obrady były burzliwe.

Nagle, pewnego śnieżnego popołudnia, duchowni pojawili się z powrotem u Dwei. Egzarcha Aleikon był nieco naburmuszony, ale Emdahl i Yeudon nie kryli satysfakcji.

— Doszliśmy do porozumienia — oznajmił Emdahl. — Kryzys w Perquaine jest bezpośrednim skutkiem naszej polityki. Oczywiście największa odpowiedzialność spada na Aleikona, ale wszyscy jesteśmy dostatecznie winni. Skoncentrowaliśmy nasze starania na możliwych, a zaniedbaliśmy szaraczków. Uważaliśmy, że rządzący potrafią narzucić swym poddanym nasze doktryny, i na tym polegał nasz błąd. Władcy bowiem mogą nakazać odpowiednie działania, ale nie myśli czy wierzenia. Zakon Czerwonych wykorzystał nasz błąd i zajedzie na nim aż do świątyni w Maghu, chyba że natychmiast podejmiemy odpowiednie kroki.

— Natychmiast może okazać się niedostatecznie szybko, o egzaltowany — zauważyła nie bez racji Andina. — Arystokraci Perquaine słyną ze swego stosunku do biednych, a Brunatni są ulepieni z tej samej gliny. Jestem tylko niemądrą dziewczyną, ale nawet ja wiem, że dobro każdego społeczeństwa zależy bardziej od chłopstwa i robotników niż od szlachty. Wasze trzy zakony tak często zdradzały szarych ludzi, że plebs już nigdy wam nie zaufa.

— Jestem tego samego zdania — przyklasnął Emdahl i uśmiechnął się złośliwie do egzarchów. — Zauważcie, drodzy przyjaciele, że nawet ta panienka utrafiła w samą istotę rzeczy.

— Już dobrze, Emdahlu — odezwał się cierpko Aleikon. — Nie musisz ciągle wykluwać nam oczu. Trzymaj się tematu i miejmy to już za sobą.

— Świetny pomysł, Aleikonie. Potrzebujemy kogoś, kto pokrzyżowałby plany tego Argana, a żaden prosty, lecz zdrowo myślący człowiek za skarby nie uwierzy w ani jedno słowo duchownego z dotychczasowych zakonów.

— To by się zgadzało — przyznał Althalus. — Więc co proponujecie?

— Potrzebny nam nowy głos, to wszystko — odrzekł Emdahl, wzruszając ramionami. — Głos nieobciążony błędami przeszłości.

— Co to za niespodzianka, którą kryjecie w zanadrzu? — zapytała Dweia.

— Założyliśmy nowy zakon. Jego członkowie będą nosić inne niż my szaty, więc nie będą skażeni naszymi dawnymi uczynkami. Zaopiekują się biednymi i uciskanymi, nie będą mieszkać w pałacach ani bratać się z arystokracją.

— Może to dobre na początek — zauważył Bheid z powątpiewaniem. — Ale za pozwoleniem eminencji, czy ten nowy zakon będzie miał dość czasu, by skutecznie przeciwdziałać kazaniom Argana? On już ma całe rzesze wiernych i przed końcem tygodnia poprowadzi ich na Maghu.

— Spodziewam się, że będzie to wymagało wielu natchnionych kazań, ale jestem przekonany, bracie Bheidzie, że temu podołasz.

Bheid zbladł jak ściana.

— Ja?!

— To jedna z kilku spraw, które uzgodniliśmy, egzarcho Bheidzie — dodał Yeudon. — Twój zakon będzie nosił szare suknie i złoży ślub ubóstwa. Kwestia czystości wynikała wprawdzie podczas naszej dyskusji, ale uznaliśmy, że nasze naciski mogłyby urazić Dweię.

— Mądra decyzja — wtrąciła Leitha.

— To absolutnie wykluczone — oznajmił twardo Bheid. — Ja już nawet nie jestem kapłanem.

— Ślub obowiązuje na zawsze — rzekł Emdahl. — Nie możesz go złożyć, a potem odwołać.

— Zabiłem człowieka, egzarcho.

— Co takiego?!

— W sali tronowej aryi Andiny przebiłem mieczem człowieka. Jestem przeklęty.

— No tak — odezwał się Aleikon, na którego pyzatej twarzy pojawił się nagle szeroki uśmiech. — To wszystko zmienia, prawda, Emdahlu? Coś mi się widzi, że jednak nie wyjedziemy z Maghu.

— Rzeczywiście, to jest problem — zasępił się Yeudon. — Morderstwo dyskwalifikuje każdego kapłana.

— Bądź poważny, Yeudonie — sapnął Emdahl. — Wszyscy maczaliśmy palce w tajnych morderstwach.

— Ale nie zabijaliśmy własnymi rękami. Może to szczegół techniczny, lecz chodzi o jedną z twardych zasad. Dopóki grzechu się nie odkupi — pewnie potrzebna będzie jakaś pokuta — brat Bheid nie może być wywyższony.

— Kogo zabiłeś? — zainteresował się Emdahl.

— Nazywał się Yakhag — wtrąciła szybko Andina. — Nie był człowiekiem w ścisłym znaczeniu tego słowa, raczej demonem. Nawet Ghend się go bał. Poza

tym tuż przed swą śmiercią Yakhag przebił mieczem młodzieńca, w którym Bheid widział przyszłego kapłana. Egzarcha Yeudon go znał, to był Salkan, pasterz z Wekti.

— Salkan nie żyje?! — wykrzyknął z przerażeniem Yeudon.

— Niestety, eminencjo. Argan kazał Yakhagowi zabić brata Bheida, ale Salkan wyrwał Eliarowi miecz i własnym ciałem zastawił Bheida, więc to jego Yakhag zabił. Wtedy Bheid przebił Yakhaga. Ponieważ incydent miał miejsce w Treborei, podlega naszemu prawu, a w jego świetle nie jest przestępstwem. Postępek brata Bheida był w pełni usprawiedliwiony.

— Brat Bheid podlega kościelnemu prawu — upierał się Aleikon. — Dopóki nie odprawi pokuty, nie może pełnić żadnego urzędu w żadnym zakonie. — Uśmiechnął się złośliwie do Emdahla. — Twój sprytny plan właśnie wyfrunął za okno, co?

Emdahl łypnął na niego gniewnie.

— Może nie — zauważył Yeudon. — Aleikonie, co rozumiesz przez pokutę?

— Modlitwę, post, odosobnienie, ciężką pracę. . . to wszystko, co jego egzarcha uzna za właściwą karę. Nie próbuj kluczyć, Yeudonie.

— Rozpatrzmy tę ciężką pracę, dobrze? Obecna sytuacja w Perquaine sugeruje, że egzarcha Szarych będzie musiał pracować ciężiej niż ktokolwiek na świecie. Brat Bheid odkupi swą winę, podejmując najtrudniejsze z możliwych zadań.

— Ekspiacja przez służbę — podchwycił Emdahl. — Genialne!

— To czysta sofistyka! — zaprotestował Aleikon.

— Oczywiście, że sofistyka, ale słuszna. Brat Bheid praktycznie nadal jest kapłanem Czarnych, więc podlega mojej władzy i ja ostatecznie decyduję, prawda?

— W zasadzie tak — przyznał niechętnie Aleikon.

— No i bardzo dobrze. Zanim posuniemy się dalej, dopełnijmy pewnych formalności. Mogę użyć twojego stołu, wasza boskość?

— Proszę bardzo, egzarcho — zgodziła się Dweia.

Emdahl zasiadł przy marmurowym stole i naciągnął kaptur.

— Yeudonie, bądź łaskaw przedstawić oskarżenie sądowi.

— To nie tak. . . — sprzeciwił się Aleikon.

— To zależy wyłącznie od tego, kto prowadzi sprawę. Brat Bheid jako kapłan Czarnych podlega mojej jurysdykcji. Proces i wyrok są w moich rękach. Sąd wysłucha oskarżenia, egzarcho Yeudonie.

Yeudon wstał i także naciągnął kaptur.

— Więzień oskarżony jest o morderstwo, świątobliwy Emdahlu, i dobrowolnie przyznaje się do winy.

— Co na to sam oskarżony? Tylko szybko, Bheidzie, bo czas nagli.

— Jestem winien, egzarcho — wyznał łamiącym się głosem Bheid — gdyż z premedytacją zabiłem człowieka, Yakhaga.

— Czy poddajesz się wyrokowi tego sądu?

— Pod każdym względem, egzarcho.

— Niech oskarżony uklęknie i wysłucha wyroku — obwieścił surowo Emdahl.

Drżąc na całym ciele, Bheid osunął się na kolana. Emdahl z roztargnieniem położył dłoń na Księdze.

— Oskarżony jesteś o morderstwo. Czy masz sądowi coś do powiedzenia, zanim zapadnie wyrok?

— Ja... ja...

Emdahl przerwał Bheidowi, nim ten zdołał coś wykrztusić:

— Tak myślałem. Wyrokiem sądu zostajesz niniejszym skazany na ciężkie roboty do końca życia. Praca, którą podejmiesz, będzie polegała na służbie w charakterze egzarchy zakonu Szarych. Niech bóg się zlituje nad twą nieszczęsną duszą.

— Ale...

— Zamilknij, Bheidzie — warknął Emdahl. — Wstawaj i bierz się do roboty.

— Aleś ty cwany, Emdahlu — skomplementował Althalus egzarchę Czarnych, kiedy schodzili na kolację.

— Miło mi, że ci się podobało. Nie mogę jednak przypisywać sobie całej zasługi. Ekspiacja przez ciężką pracę była pomysłem Yeudona. Zdumiewa mnie, że sam na to nie wpadłeś.

— Patrzę na świat z nieco innej perspektywy niż wy, kapłani. Jestem zawodowym przestępcą, więc moje liczne grzechy mnie nie gnębią. Yakhaga trzeba było zabić, ale nie ukarałbym za to Bheida. Odniosłem jednak pewien sukces w waleniu nim o ścianę.

— Ciekawy wariant — zauważył Emdahl. — Bheid cierpiał z powodu wyrzutów sumienia. Potrzebowaliśmy go na określonym stanowisku, więc wystarczyło tylko wyznaczyć mu to stanowisko za karę. A ponieważ pragnął być ukarany, każdy z nas dostał to, czego chciał.

— Ja zresztą także.

— Jakoś mi to umknęło.

— Wyrzuty sumienia odsunęły Bheida od Leithy, a ostatnio zaczęło ją to doprowadzać do szału.

— Mówisz o tej czarownicy? Nie sądziłem, że cokolwiek może wyprowadzić ją z równowagi. Ona jest jak stal.

— Wcale nie, Emdahlu. Jest bardzo krucha i potrzebuje miłości. Wybrała sobie mnie na ojca. Pomyśl sobie, mnie!

— Mogła trafić gorzej. Przekroczyłeś wprawdzie swój przydział błędów, ale naprawdę kochasz tę swoją czeladkę. Po małym treningu byłby z ciebie niezły kapłan... bo przecież w gruncie rzeczy nim jesteś, prawda? Czyż nie jesteś egzarcha

w Kościele Dwei?

— Nie odnosimy się do siebie tak sztywno. Dweia jest znacznie bardziej na luzie od swoich braci, a póki ją kochamy, czuje się idealnie szczęśliwa. Nawet mruczy.

— Mruczy?

— Za długo bym musiał wyjaśniać.

— To prawdopodobnie najlepsze, co możemy zrobić w tak krótkim czasie — mówił Emdahl, kiedy po paru dniach wrócili do świątyni w Maghu. — Aleikon nie był specjalnie zachwycony, lecz ostatecznie wszyscy się zgodziliśmy, że nasze zakony dadzą Szarym wolną rękę. Twój zakon nie będzie zbyt liczny. Ślub ubóstwa dla wielu kapłanów może okazać się nie do przełknięcia, więc nie znajdziesz wielu ochotników.

— Trzeba będzie tego i owego przymusić — rzekł sucho Yeudon.

— Nie — zaprotestował stanowczo Bheid. — Nie zrobicie z Szarych zbiorowiska odpadów.

— Chwileczkę, egzarcho Bheidzie — wtrącił Aleikon. — Twój zakon istnieje raptem od tygodnia. Jesteś absolutnie podporządkowany nam trzem.

— W takim razie zapomnijmy o całym pomysle — rzekł Bheid twardo. — Skoro próbujecie rzucić mnie na pastwę ludu, by uśmierzyć bunt, oświadczam, że nie chcę mieć z tym nic wspólnego. W ten sposób utrwalicie tylko błędy, które otworzyły drogę Arganowi, czyżbyście tego nie widzieli?

— I tu ma rację — zgodził się niechętnie Emdahl. Potrząsnął głową i zrobił chytrą minę. — Chyba mogę dać się wymknąć jednemu dobremu. Gdybym dopilnował wszystkiego, tak jak powinienem, wyznaczyłbym Bheida na mojego następcę.

— Chyba że ja wypatryłbym go pierwszy — sprzeciwił się Yeudon.

— Althalusie, Emmy chce z tobą pogadać — rzekł po cichu Eliar, kiedy wychodzili z eleganckiego gabinetu Aleikona.

— Tak? A co, znów mam jakieś kłopoty?

— Tego nie powiedziała, zresztą nie sądzę. Przejdźmy przez drzwi do twojego pokoju, dobrze? Mogę stanąć na warcie.

— W porządku.

Poszli świątynnym korytarzem do kwater przydzielonych im przez egzarchę. Eliar otworzył drzwi pokoju Althalusa. Tuż za nimi były znajome schody.

Dweia czekała na wieży. Wyciągnęła ramiona i uściskali się w milczeniu.

— Coś się nie udało, Em?

— Nie, na razie wszystko idzie gładko. Bheid okazał się jeszcze lepszy, niż się spodziewałam. Ale muszę ci coś wyjaśnić. To ważne, żebyś wiedział, co się naprawdę dzieje.

- Chyba to oczywiste.
- Niezupełnie, skarbie. Słowa na Nożu są nieco bardziej skomplikowane, niż się wydaje na pozór. Jaki odebrałeś rozkaz?
- „Poszukiwanie”. Czy to nie znaczyło, że mam ruszyć na poszukiwanie pozostałych?
- Chodzi o coś więcej, skarbie. Miałeś także odnaleźć mnie.
- Przecież już to zrobiłem!
- Nie do końca. Znalazłeś kotkę Emmy, ale kiedy po raz pierwszy zobaczyłeś Nóż, nie widziałeś jeszcze mnie.
- Chyba rzeczywiście. A do czego teraz zmierzamy?
- Dojdziemy do tego, Althalusie. Kiedy Eliar zobaczył słowo „prowadzenie”, myślał, że ma stanąć na czele armii, a tymczasem chodziło o coś całkiem innego. Andina przeczytała „posłuszeństwo” i dzięki temu pokonała Geltę.
- W porządku, na razie wszystko jasne. Leicie wyznaczono „nasłuchiwanie”, ale nie za pomocą uszu. Posłużyliśmy się już kilka razy tą jej wyjątkową zdolnością.
- Będzie jej znacznie trudniej, kiedy się spotka z Komanem.
- To także jest dość oczywiste. Leitha wie, co będzie musiała zrobić, i jest daleka od zachwyty. Zmoczyła mi łzami cały przód tuniki, kiedy uznała mnie za tatuśka. Ale co właściwie ma zrobić Komanowi?
- Będzie słuchać, Althalusie, a kiedy ona będzie słuchać, Koman nie będzie w stanie usłyszeć już niczego. To bardzo delikatna procedura.
- Ale obrzydliwa?
- Tak, obrzydliwa. Dlatego właśnie Leitha tak rozpaczliwie cię potrzebuje. Nie złość się, kiedy nazywa cię tatuśkiem, to jest wołanie o pomoc. Poczieszaj ją, ile tylko możesz.
- A ten sen, który zesłałaś nam wszystkim? Co, u licha, znaczyła ta rozdarta koszula?
- To Koman, skarbie.
- Leitha ma go rozedrzeć na strzępy? Czy to nie nazbyt makabryczne?
- Gorzej niż makabryczne, skarbie — rzekła ze smutkiem Dweia — ale tak trzeba. I teraz dochodzimy do Bheida. „Oświecanie” może się okazać najbardziej skomplikowanym ze wszystkich rozkazów Noża. Ostatecznym zadaniem Bheida będzie zdemaskowanie Argana i jego zakonu Czerwonych jako kapłanów Daevy.
- Nic takiego nie widziałem w tym śnie.
- Widocznie nie patrzyłeś. Co ja robiłam?
- Zgarniałaś sobie na dłoń pył z ołtarza. Potem rzuciłaś pył w powietrze i wiatr od okna go porwał. — Altahalus zmarszczył brwi. — Ale to okno w jakiś dziwny sposób było Bheidem. . . To mnie już zupełnie zdezorientowało.
- Zadanie Bheida polega na „oświecaniu”, a po to właśnie są okna. Wpuszczają światło. . . i wiatr. We śnie Argan zmienił się w pył, ja rzuciłam go w po-

wietrze, a wiatr, który wpadł przez okno zwane Bheidem, wywiał ów pył, czyli Argana, na zewnątrz. Potraktuj tę wizję jak metaforę. — Umilkła na chwilę. — To najbardziej użyteczne ze słów, za pomocą metafory da się wyjaśnić niemal wszystko.

— A tak bez metafory, co naprawdę stanie się z Arganem?

— Jego ciało straci spójność i drobinki, które dawniej je tworzyły, wyfruną w powietrze. Potem okno, czyli Bheid, wpuści dobry, świeży wiatr, który przeczyszczy atmosferę i nawieje prawdę. To też będzie „oświecanie”, czyż nie?

— Czy Argan kiedyś powróci?

— Nie sądzę.

— Więc Bheid ponownie zabije, tak? Zabójstwo Yakhaga to miała być tylko wprawka, bo prawdziwym celem jest Argan. Po co to całe kręcenie, Em? Czemu od razu nie przyznasz, że Bheid ma zabić Argana?

Zielone oczy zwęziły się i z ust Dwei wydobył się gniewny syk.

Althalus roześmiał się z zachwytem.

— Ach, jak ja cię kocham!

Wziął ją w ramiona i z czułością ukrył twarz w zagłębieniu jej szyi.

Zachichotała jak mała dziewczynka i próbowała się wyrwać, podnosząc jednocześnie ramię, by osłonić szyję.

— Proszę, nie rób tego!

— Czemu?

— Bo mnie łaskoczesz.

— To ty masz łaskotki?

— Pomówimy o tym kiedy indziej.

— Już się nie mogę doczekać — odparł, szczerząc zęby w uśmiechu.

ROZDZIAŁ 40

Brat Bheid wyglądał wyjątkowo niezręcznie w wytwornym fotelu egzarchy Aleikona.

— Althalusie, czy naprawdę muszę używać tego gabinetu? — spytał żałośnie, chociaż przebywali w Maghu już od tygodnia.

Althalus wzruszył ramionami.

— Jeśli źle się tu czujesz, to nie, ale właściwie co ci się nie podoba?

— Jest zbyt luksusowy. Próbuję werbować kapłanów do zakonu, w którym składa się ślub ubóstwa. To nie jest odpowiednie miejsce po temu.

— Więc wybierz inny pokój. A jak idzie rekrutacja?

— Nie za dobrze. Większość kandydatów nadal uważa, że wstąpienie do stanu duchownego jest prostą drogą do bogactwa i władzy. Kiedy im uświadamiam, czego się od nich będzie oczekiwać, tracą zainteresowanie. Ci, którzy się uśmiechają i potakują, to przeważnie przebrani Brunatni. Aleikon wychodzi ze skóry, żeby wprowadzić w nasze szeregi swoich ludzi, ale Leitha ich natychmiast demaskuje. W gruncie rzeczy, jeśli trafi mi się trzech odpowiednich kandydatów, uważam, że miałem dobry dzień.

— Może powinieneś zacząć odwiedzać seminaria. Łap ich, póki jeszcze są młodzi i mają jakieś ideały.

Drzwi się otworzyły i w progu niepewnie przystanęła Leitha.

— Jesteś zajęty?

— Nie w widoczny sposób — odrzekł Bheid. — Krąży już pogłoska, że kiedy mówię „ubóstwo”, to właśnie to mam na myśli. Wejdz.

Leitha przeszła przez obszerny pokój.

— Tatuśku, czy masz jakiś sposób na podsłuchiaczy? — szepnęła do Althalusa. — Aleikon ukrył za ścianami kilku swoich ludzi. Powtarzają mu każde słowo.

— Powinniśmy się tego spodziewać — zauważył Althalus i ze zmarszczonymi brwiami zaczął przewracać w myśli karty Księgi. — To powinno podzielać — mruknął.

— Czemu nie zapytasz Dwei?

— Chcę sprawdzić, czy sam sobie poradzę — odparł i rzekł, machając dłonią:

— *Kadhleu!*

Coś ty powiedział? Kadhleu? — rozległ się w jego głowie zdziwiony głos Dwei.

Mam kłopoty z negacjami, Em. Zwykle znajduję odpowiednie słowo, kiedy chcę, żeby ktoś coś zrobił. Gorzej odwrotnie, kiedy chcę czegoś zakazać. Czy tym razem podziałało?

W pewnym sensie. Szpieczy Aleikona nadał was słyszą, ale nie zwracają uwagi na to, co mówicie... i w ogóle na to, co ktoś mówi. Od tej chwili będą nieco dziwni.

Wszyscy kapłani są dziwni. Bheidzie, to nie do ciebie.

— Jeszcze jedno — ciągnęła Leitha. — Aleikon nie jest zachwycony tym, co Emdahl i Yeudon powtarzali mu do znudzenia w Domu, więc wielu Brunatnych ukrył między ludnością Maghu. Oczywiście w przebraniu. Nie poinformował jeszcze księcia Marwaina, że brat Bheid przejmuje Perquaine, chociaż myślę, że niedługo to uczyni. Marwain nie jest specjalnie bystry, a Aleikon zrobił karierę dzięki temu, że nim manipulował. Teraz jest przekonany, że potrafi go namówić, aby udawał tylko, że akceptuje Szarych. Kiedy jednak Bheid wyeliminuje Argana i położy kres rewolcie, Aleikon zmusi Marwaina do odbicia Maghu i spróbuje odzyskać dawną pozycję. Zamierza się energicznie rozprawić z zakonem Szarych i z powrotem przekazać Maghu Brunatnym.

— Więc chcą wyciągnąć kasztany z ognia moimi rękami, żeby potem się mnie pozbyć, tak? — podsumował spokojnie Bheid.

— Czemu zatem to my się ich nie pozbędziemy, zanim przyjdzie co do czego? — zasugerował Althalus.

— Nie zależy mi na zbiorowej rzezi.

— Nie to miałem na myśli, bracie Bheidzie — wyjaśnił z przebiegłym uśmiechem Althalus. — Może już czas wysłać egzarchę Aleikona i księcia Marwaina w podróż.

— Tak? A dokąd?

— Znacznie dalej niż do zachodniej Treborei. Może aż tak daleko, że kiedy powrócą do Maghu, będą już bardzo starzy? No, zbierzmy resztę dzieci i chodźmy do Domu. Może Emmy za pomocą okien znajdzie nam nową rezydencję dla Aleikona i Marwaina... na przykład po drugiej stronie księżycy?

— Czemu po prostu ich nie zabijecie? — spytał Gher, kiedy wrócili do Domu. — To przecież najprostszy sposób na usunięcie z drogi złych ludzi.

— Althalusie, znowu z nim rozmawiałeś? — W głosie Dwei brzmiała wyraźna nagana.

— Ostatnio nie. Pomysły Ghera nie na wiele mi się teraz przydadzą. Zależy mi tylko na tym, aby umieścić tych dwóch na tyle daleko, żeby nie pojawili się tu przed upływem pięćdziesięciu lat.

— Może na Dhwerii? To bardzo odpowiednie miejsce.

- Gdzie jest Dhweria?
- Za wschodnim wybrzeżem Plakandu.
- Plakand ma wybrzeże? — zdziwił się Eliar. — Myślałem, że ich stepy ciągną się bez końca.
- Nic nie ciągnie się bez końca — zauważyła Dweia. — Ziemia jest kulą, a wschodnie wybrzeże Plakandu znajduje się około tysiąca mil od Kherdonu. Dhweria zaś to wyspa, ogromna wyspa położona o parę tysięcy mil od owego wybrzeża.
- Jak tam jest? — spytał Bheid.
- Prawie jak w Hule. Dziewicze lasy z olbrzymimi drzewami i pełno dzikich zwierząt.
- A ludzi nie ma? — spytał Gher.
- Ależ są, tylko Aleikon i Marwain nie będą mogli z nimi rozmawiać, bo tamci ich nie rozumieją.
- Są głupi czy co?
- Nie, po prostu mówią innym językiem.
- Ludzka mowa to ludzka mowa, Emmy. Psy mówią „hau, hau”, ptaki „ćwir, ćwir”, a ludzie słowami. Każde dziecko to wie.
- Nie, Gherze. Istnieją dziesiątki ludzkich języków, a może nawet setki.
- To głupie!
- Słowo „głupi” należy do definicji człowieka. Zresztą owa wyspa jest znacznie większa od Treborei i całą porastają lasy. Tamtejsi mieszkańcy są bardzo prymitywni, używają kamiennych narzędzi, zamiast ubrań noszą zwierzęce skóry i prawie nie znają rolnictwa.
- A mają łodzie? — spytał Althalus.
- Najwyżej tratwy.
- No tak, dwóm ludziom może być trudno wiosłować tysiące mil po otwartych wodach — zauważyła Andina.
- To prawie niemożliwe — potwierdziła Dweia. — Dlatego zaproponowałam Dhwerię. Aleikon jest duchownym, a Marwain szlachcicem, żaden z nich nie zna się na narzędziach, więc nie potrafią zbudować tratwy. Jeśli ich wyślemy na Dhwerię, zostaną tam już na zawsze.
- Będziemy strasznie tęsknić, prawda? — rzekł ironicznie Gher.
- No cóż, musimy być dzielni — wpadła mu w ton Leitha.
- Ja jestem bardzo dzielny. Jeśli zacisnę zęby, na pewno wytrzymam.
- Uwielbiam tego malca — rozczuliła się Leitha.

- O czym ty mówisz, Bheidzie? — spytał Aleikon następnego ranka, kiedy wraz z pozostałymi egzarchami stawiał się na wezwanie.

— Próbuję uratować wam życie. Słyszałeś kazanie Argana w Dail. Chłopi zarzynają każdego napotkanego kapłana. Muszę was przenieść w bezpieczne miejsce.

— Mamy gdzie się ukryć — warknął Aleikon.

— Czyżby? — spytał Althalus. — Chłopi i miejscy robotnicy są wszędzie. Żeby wypatrzeć ciebie i twoich Brunatnych, wystarczy jedna para ciekawskich oczu. Bheid ma rację. Jeśli chcesz zachować życie, to zabieraj księcia Marwaina i wyjeżdżajcie.

— Chyba warto go posłuchać, Aleikonie — poparł go Emdahl. — I my także, Yeudonie, powinniśmy pójść za tą radą. Skoro wybraliśmy Bheida do ratowania Perquaine, zostawmy go tutaj, żeby mógł wypełnić swoje zadanie, a sami wyjeźdźmy.

— Może tak będzie najlepiej — zgodził się Yeudon.

Do gabinetu wszedł wymizerowany kapłan i zwrócił się do Aleikona:

— Przybył książę Marwain. Domaga się, by go natychmiast przyjąć.

— Jeszcze nie skończyliśmy, bracie — odpowiedział Bheid. — Powiedz księciu, żeby zaczekał.

Aleikonowi oczy omal nie wypadły z orbit.

— Nie wolno ci tego robić! Marwain jest władcą Maghu, nikt nie ma prawa trzymać go w przedpokoju!

— Nic nie pozostaje na zawsze takie samo — rzekł filozoficznie Althalus. — Marwainowi wyjdzie na dobre, jeśli się o tym przekona.

— Nikt nie potraktuje Bheida i Szarych poważnie, jeśli będziemy wyzierać z każdego kąta — zauważył Emdahl. — Wyzaczyliśmy mu zadanie, więc pozwólmymy działać w spokoju.

— Ale... — zaczął Aleikon.

— Aleikonie, twój dom się pali — wtrącił Yeudon. — Opuść go, póki jeszcze możesz, i zabierz swoich Brunatnych ze sobą. Nie mamy tu do czynienia ze zwykłymi ludźmi. Sam musiałem przez to przejść podczas inwazji Ansu na Wekti. To, co dzieje się w Perquaine, jest dalszym ciągiem tamtej wojny, a nasz wróg składa się nie tylko z ludzi. Wrota Nahgharashu zostały otwarte. Sam wiesz, co to oznacza.

Aleikon pobladł silnie na sam dźwięk tej nazwy. Najwyraźniej koszmary wciąż jeszcze go prześladowały.

— Jeszcze jedno, Aleikonie — dodała przymilnie Leitha. — Możesz dać sobie spokój z próbami ukrycia Brunatnych wśród ludności. Tak naprawdę nie mogą się schować, Koman ich wywęszy, a Argan przeznaczy na opał. Tylko brat Bheid może się zmierzyć z Arganem, więc uciekaj ze swymi Brunatnymi, póki masz taką możliwość.

— Chyba wyczerpaliśmy już wszystkie tematy — zauważył Emdahl. — Może zatem wezwiemy Marwaina, zanim wykipi. Dajmy mu rozkaz wymarszu i miejmy

to już za sobą.

Książę Marwain wpadł jak burza do gabinetu w stanie bliskim apopleksji.

— Jak śmiesz?! Wiesz, kim jestem? Nigdy w życiu nikt mnie tak nie obraził!

Aleikon próbował go ułagodzić:

— Mieliśmy do rozwiązania pewien problem, wasza wysokość. Chodzi o ten kryzys i...

— Ta chłopska rebelia? — prychnął z pogardą książę. — Zbyt łatwo wpadasz w panikę, Aleikonie. Niech tylko podejda pod Maghu, a rozgniotę ich jak robaki. Wystarczy jedno moje słowo i będzie po nich!

— Nie tak prędko, książę — rzekł bez ogródek Emdahl. — Ci chłopcy są tysiąc razy liczniejsi niż twoje siły.

— Aleikonie, kim jest ten człowiek?

— To egzarcha Emdahl z zakonu Czarnych.

— Postawmy sprawę jasno — wycedził przez zęby Emdahl. — Właśnie zakończyliśmy posiedzenie Wysokiej Rady Kościelnej, a kwestie natury czysto religijnej nie podlegają władzy świeckiej. W związku z obecnym kryzysem Kościół dokonał zmian organizacyjnych. Zakon Brunatnych się rozwiąże, a na jego miejsce powstanie zakon Szarych.

— Dlaczego nikt mnie nie zapytał?! — wrzasnął Marwain. — Nie macie prawa bez mojej zgody...

— Podjęliśmy już decyzję.

— Zabraniam wam!

— Możesz zabraniać, ile chcesz, książę — wtrącił się Yeudon. — Brunatni nie mają już w Perquaine żadnej władzy. Jeśli masz jakieś problemy natury religijnej, będziesz je musiał przedstawić egzarsze Bheidowi z zakonu Szarych.

— Zawołam straż! Wszyscy pójdziecie do lochu! Nikt nie będzie podejmował decyzji bez mojej zgody!

— No, Bheidzie, jak zamierzasz z tego wybrnąć? — spytał chytrze Emdahl.

— Stanowczością — odparł nowy egzarcha głosem niemal tak chrapliwym jak Emdahl. Spojrzał wyniośle na rozwścieczonego dostojnika i oświadczył: — Książę, Wysoka Rada Kościelna podjęła decyzję i jest to decyzja ostateczna. Dotychczas działające zakony opuszczają Perquaine i zostaną zastąpione przez zakon Szarych. To my stanowimy teraz Kościół, ja zaś przemawiam w jego imieniu. Tobie pozostaje słuchać.

Egzarcha Aleikon zamrugnął gwałtownie.

— Nie czas na dyplomację — ciągnął Bheid — więc powiem prosto z mostu. Ty, książę, wraz z resztą arystokracji od dłuższego czasu uciskaliście poddanych, a zakon Brunatnych przymykał na to oko. Teraz nadszedł czas zemsty. Wasza arogancja i okrucieństwo otworzyły drogę pewnym ludziom, których zapewne nie chcielibyście spotkać oko w oko. To oni podburzyli lud Perquaine do tego stopnia, że nie zadowolili go już nic poza rozlewem krwi, i to waszej krwi.

Książę zbladł.

— Zdaje się, że wreszcie pojąłeś — mówił dalej Bheid. — To nie regularne wojsko maszeruje na Maghu, tylko rozpasana tłuszcza, która pokona każdą przeszkodę, jaką wzniesiesz na jej drodze. Wtargną do miasta niczym rój pszczół, zabijając każdego napotkanego człowieka. Nie zdziwiłbym się, gdyby zaczęli od zatknięcia nad bramą miasta pała z twoją głową. Potem zapewne złupią całe Maghu do gołych kamieni, a na zakończenie je podpalą.

— Bóg nigdy do tego nie dopuści!

— Raczej bym się o to nie zakładał. Dobrze znam boga i wiem, że zwykle nie miesza się do spraw ludzkich.

— To się robi męczące — mruknął Althalus. — Eliarze, wiesz, gdzie są drzwi na tę wyspę, o której mówiła Emmy?

— Przypuszczalnie tak — odparł Arumczyk — ale w tej chwili nie będziemy ich chyba używać?

— Nie widzę powodu, by odwlekać sprawę. Szepnę Marwainowi do ucha, że w piwnicy jest tajny tunel. Zabierzemy ich obu na dół, wybierzesz sobie jakieś drzwi i wprowadzisz nas do Domu. Potem przeniesiesz ich na nowe miejsce. Tylko uważaj na to, co będę opowiadał Marwainowi, żeby się wszystko zgadzało, dobra?

— Jak sobie życzysz.

Althalus wstał i przeszedł przez pokój do bogato odzianego księcia.

— Przepraszam, wasza wysokość — powiedział grzecznie. — Jestem Althalus, ale nazywają mnie też diukiem Kenthaigne.

— Słyszałem o tobie, wasza miłość. — Marwain skłonił się lekko.

Althalus oddał mu ukłon.

— Wasza wysokość, musiałem odłożyć na bok moje osobiste sprawy, żeby pomóc egzarsze Bheidowi w pewnych sprawach dotyczących ogłady i praktyki. Duchowni mają z tym czasem kłopoty... może zauważyłeś?

Marwain się roześmiał.

— Wiele razy, wasza miłość, wiele razy.

— Tak też myślałem. — Althalus zerknął szybko na Aleikona. Pozbawiona wyrazu twarz egzarchy świadczyła, że Dweia zamknęła mu już umysł. — Kiedy więc usłyszałem o tym ludzkim mrowiu maszerującym na Maghu, zacząłem rozglądać się za drogą ucieczki. Egzarcha Bheid może wierzyć, że wymodli sobie wyjście z tego zamieszania, ale ja wolę sam o siebie zadbać. Obejrzałem dokładnie tutejszą świątynię i znalazłem idealny sposób dyskretnego opuszczenia Maghu. Ponieważ obaj jesteśmy szlachcicami, grzeczność nakazuje mi podzielić się z tobą tą informacją. — Westchnął dramatycznie. — Czasem jestem tak uprzejmy, że sam siebie nie mogę znieść!

Marwain uśmiechnął się szeroko.

— Chyba świetnie się dogadamy, diuku Althalusie.

— Jestem o tym przekonany. Na razie nie ma pośpiechu, gdyż rebelianci jeszcze tu nie dotarli, ale kiedy się zacznie robić gorąco, możemy zostać rozdzieleni. Myślę więc, że już teraz pokażę tobie i egzarsze Aleikonowi tę drogę, żebyście w razie czego mogli z niej skorzystać.

— Świetny pomysł, diuku Althalusie. Gdzie to jest?

— W piwnicy, rzecz jasna. Podziemne przejścia niemal zawsze zaczynają się w piwnicy. Tego nie używano od wieków, o czym świadczą znaczne ilości pajęczyn. Tunel prowadzi pod ulicami Maghu, a jego wylot znajduje się w lesie, za murami miasta. Nikt nie zauważy, że wychodzimy, i nikt nas nie zobaczy po wyjściu z tunelu.

— Może nie będziemy musieli z tego korzystać, ale chyba nieźle byłoby rzucić okiem, prawda, Aleikonie?

— Jak wasza wysokość rozkaże — rzekł głucho Aleikon.

— Zaprowadź więc nas, Eliarze.

— W tej chwili.

Althalus wysłał szybką myśl do Eliara:

Co oni widzą?

Pajęczyny, światło pochodni, kilka myszy... Jeśli byłeś choć raz w jakimś tunelu, powinieneś wiedzieć.

Masz rację. Jak daleko jeszcze?

Tylko kawałek. Drzwi otwierają się na leśną polankę. Kiedy tam dojdziemy, daj mi chwilę na umocowanie framugi. W Maghu jest teraz ranek, ale na Dhwerii noc. Muszę tak to rozegrać, żebyśmy wyszli o tej samej porze dnia, inaczej Marwain nabierze podejrzeń.

Dobra myśl.

Eliar wystąpił szybko naprzód, odczekał kilka sekund i obejrzał się do tyłu.

— Jest wyjście! — krzyknął.

— No, nareszcie — odetchnął Marwain. — Już myślałem, że ten tunel nie ma końca, diuku Althalusie.

— Maghu to duże miasto, wasza wysokość. Kiedy już będziemy w lesie, musimy sprawdzić, czy nikt nas nie widzi. Może wasza wysokość z egzarchą pójdą na koniec zagajnika, a my z Eliarem sprawdzimy stronę, która wychodzi na mury miasta. Nie chcemy chyba, by jakiś kmiotek z długim językiem rozpowiadał po całym mieście, że nas widział, co?

— Absolutnie — zgodził się Marwain. — Staranny rekonesans jest jak najbardziej wskazany. Rozejrzemy się po okolicy, a potem spotkamy się przy wlocie tunelu, dobrze?

— Bardzo dobrze. Kiedy dotrzecie do granicy drzew, sprawdźcie, czy do wybrzeża prowadzi wąwóz lub zarośnięta ścieżka. Jeśli będziemy musieli wykradać

się z miasta chyłkiem, lepiej zaplanować wszystko z góry.

— Jesteś naprawdę świetny, diuku Althalusie.

— Miałem bardzo ekscytujące dzieciństwo. W księstwie Kenthaigne niełatwo dorastać. Więc widzimy się mniej więcej za pół godziny.

— Doskonale. Chodź, Aleikonie.

Obaj egzarchowie przeszli przez polanę i zagłębili się w las.

Em! — zawołał milcząco Althalus i natychmiast usłyszał odpowiedź:

Tak, kochanie?

Może byś wyłączyła Aleikonowi rozum na jakiś czas. Niech pospacerują trochę po lesie, zanim Marwain odkryje złą nowinę.

Dla ciebie wszystko.

Althalus wyciągnął rękę i ostrożnie poklepał otwarte drzwi.

— Zapamiętaj dobrze ich położenie, Eliarze, mogą się nam jeszcze bardzo przydać. Emmy zawsze stoszy ogon, kiedy zabijam ludzi, a to daje mi jakieś wyjście. Wracajmy do Maghu i zbierzmy pozostałych, muszę urządzić małą naradę.

— Proszę bardzo — rzekł Eliar i wprowadziwszy Althalusa z powrotem na wschodni korytarz Domu, zamknął cicho drzwi.

Sierżant Khalor spędził cały dzień przy oknie w wieży Dwei. Powracających kompanów przywitał z ponurą twarzą.

— To mój najtrafniejszy domysł od dwóch tygodni. Umacniają pozycje na północy, ale to nie jest regularna armia, tylko rozwydrzony motłoch. Większość z nich nie interesuje się wcale religią czy zmianami społecznymi, zależy im wyłącznie na łupach.

— Rewolucje zwykle przybierają taki obrót — rzekła ze smutkiem Dweia. — Teoretycy wygłaszają szumne mowy, słuchacze biją brawa i wiwatują, ale krótko. Potem każdy patrzy swego nosa i zgarnia wszystko, co cenne.

— Jesteś dziś w cynicznym nastroju, Em — zauważył Althalus.

— Bo widziałam to już wiele, wiele razy. Ideały rodzą się w blasku chwały, lecz niemal natychmiast matowieją. — Westchnęła, ale już po chwili się rozchmurzyła i zmieniła ton. — Jest kilka spraw, o których powinniście wiedzieć. W tamtym śnie ustaliłam, co i gdzie.

— Wiem tyle — zaczęła Andina — że byłaś z Leithą w świątyni w Maghu. Ale właściwie coście robiły?

— Sprzątałyśmy dom. Leithą przepędziła Komana, a Bheid i ja zajęliśmy się Arganem.

— To by było „co” i „gdzie” — zauważył Gher — a co z „kiedy”? Ghend zawsze zabawia się tym, co dotyczy „kiedy” w sennych wizjach. Czy ten twój sen dzieje się teraz? A może w jakimś innym „kiedy”?

— Nie rozgrywał się w terażniejszości, Gherze. Żeby sen mógł naprawdę spełnić swoje zadanie, musi ukazywać przeszłość albo przyszłość. Jego celem

są zmiany. Istnieje wprawdzie słaba możliwość dokonywania zmian w teraźniejszości, ale łatwiej jest się cofnąć... albo wybiec naprzód.

— Jakoś mi to umknęło — przyznała Andina.

— Pewnie dlatego, że Emmy jeszcze się nie zdecydowała — powiedział Gher. — Na moje rozeznanie jeszcze kilka rzeczy musi się wydarzyć, zanim Emmy nabierze pewności co do „kiedy”. Wie już „co” i „gdzie”, ale z „kiedy” czeka, aż źli ludzie wkroczą do tego miasta o śmiesznej nazwie.

— Maghu — podpowiedziała mu Leitha.

— Tak, Maghu. No więc myślę, że Emmy czeka, aż Argan i ten drugi wejdą do świątyni. I pewnie będzie tak, jak wtedy w Wekti, gdy wszyscy śniliśmy o takim „kiedy”, w którym topór złej pani miał ostrze z kamienia.

— Kocham tego chłopca — powiedziała z czułością Leitha. — Mogłabym medytować całymi tygodniami nad znaczeniem słowa „kiedy”. Powinieneś nauczyć się pisać, Gherze. Masz duszę poety.

Gher poczerwieniał.

— Tak naprawdę to nie. Ja po prostu nie znam właściwych słów na to, co siedzi mi w głowie, więc muszę je wymyślać. No więc, Argan i jego przyjaciel (choć oni wcale nie są prawdziwymi przyjaciółmi) chcą wparować do świątyni, ale kiedy przejdą przez drzwi, to się okaże, że wcale nie są w środku. Zwykli ludzie, którzy wejdą za nimi, będą mieli prawdziwą niespodziankę, bo to będzie wyglądało, jakby ich przywódcy nagle zmienili się w nicłość. Założę się, że tłum oszaleje ze strachu i pewnie uzna, że rewolucja przestała być zabawna. Wezmą nogi za pas i nie będziemy już musieli nikogo zabijać. To chyba najlepszy sposób wygrywania wojny, no nie?

— Powinieneś czasem zrobić sobie przerwę na złapanie oddechu — zatroszczyła się Andina. — Za bardzo cię ponosi.

— Czy już wiesz, Emmy, jakiego czasu użyjesz? — spytał Eliar.

— Tego, w którym świątynia należy do mnie.

— To znaczy w zamierzczłej przeszłości?

— Może — odrzekła z tajemniczym uśmiechem — ale może to być także przyszłość.

— Zamierzasz wrócić do swojej świątyni? — zaniepokoił się Bheid.

— Nigdy jej nie opuściłam. Ta świątynia nadal jest moja i zawsze będzie. Po prostu użyczam jej wam na jakiś czas. — Uśmiechnęła się chytrze. — Może pewnego dnia, kiedy nie będziesz taki zajęty, podejmiemy temat zaległego czynszu, który Kościół jest mi winien za korzystanie z budynku. Narosła tego spora sumka.

— Emmy, jak oni zmieniają twarze? — spytał ciekawie Gher, kiedy szesnaście dni później obserwowali z okna kilku kapłanów Czerwonych, przepychających się przez tłum chłopów i robotników pod bramami Maghu. — W Equero mieli

te stalowe urządzenia, które zwisały im z hełmów, ale tutaj ich twarze są całkiem odsłonięte.

— To tylko złudzenie. Daeva świetnie to potrafi i nauczył swoich kapłanów, jak to się robi.

— Więc jak ich zmusimy, żeby pokazali, jacy naprawdę są, kiedy przyjdzie czas?

— Wcale nie będziemy musieli. Nóż rozwieje wszelkie iluzje, gdy tylko Eliar im go pokaże.

— Też chciałbym mieć taki nóż. . .

— Nie jest ci potrzebny. Widzisz i rozumiesz rzeczywistość lepiej niż wszyscy inni.

— Cóż, może jeszcze nie teraz, ale pracuję nad tym.

— Bracie Bheidzie, czy udało ci się już usunąć ludzi z miasta? — spytał sierżant Khalor.

— Mniej więcej, sierżancie. Kilku ukrywa się jeszcze w piwnicach i na strychach w najbardziej niebezpiecznej dzielnicy. — Bheid uśmiechnął się słabo. — To ci, którzy przyłączą się do Argana, gdy tylko jego ludzie przekroczą bramy. Pewnie chcą jak najszybciej dorwać się do łupów.

— Czemu zawsze muszą podpalać? — spytał Bheid Althalusa, kiedy czekali razem w portalu świątyni, patrząc na słupy dymu nad różnymi dzielnicami.

— Nie jestem pewien. To może być przypadek. Płądrownicy są zwykle bardzo podekscytowani i bezmyślni. Ale mnie się wydaje, że pożary są wzniecane umyślnie, jako kara dla szlachetnie urodzonych za ich nieczne czyny.

— To czysta głupota!

— Oczywiście, ale taka jest natura motłochu. Tłum ma w sobie tylko tyle rozsądku, co jego najgłupszy uczestnik.

Bheid wyciągnął ostrożnie rękę, jakby chciał dotknąć czegoś tuż przed sobą.

— Przestań się martwić, Bheidzie — rzekł Althalus. — Tarcza jest nadal na swoim miejscu i nic jej nie przebije. . . oczywiście z wyjątkiem twojego głosu.

— Jesteś pewien?

— Zaufaj mi. Nikt nie naszpikuje cię strzałami ani nie rozpląta ci czaszki toporem. Leitha podpaliłaby mi mózg, gdybym dopuścił, by cokolwiek ci się stało. Twoi ludzie są na miejscach?

Bheid skinął głową.

— Wmieszają się w tłum lokalnych rebeliantów. — Westchnął żałośnie. — Szkoda, że musimy tak zrobić. To nieuczciwe. . .

— Tak? A czy nie lepiej opanować tłum po mojemu niż na sposób księcia Marwaina?

— To rzecz poza dyskusją.

— Nadchodzą! — Althalus wskazał na drugą stronę placu, gdzie właśnie pojawiło się kilku mężczyzn uzbrojonych w narzędzia rolnicze. — Chyba powinienem teraz zniknąć im z oczu. Będę przy oknie, jest tuż za twoimi plecami, cztery stopy nad głową, więc w razie czego cię wyciągnę. Powtórzmy wszystko jeszcze raz, to dość skomplikowany taniec, lepiej nie pomylić kroku.

— Przerabialiśmy to już z dziesięć razy.

— Zrób to dla mnie, bracie. No więc kiedy Argan z Komanem dotrą do schodów, ty wychodzisz z portyku, aby ich powitać. Eliar stanie przy drzwiach świątyni. Argan i Koman przejdą przez plac i będą ci się odgrażać.

— A Koman przechwyci każdą moją myśl — dodał Bheid.

— Wcale nie. Leitha go zablokuje. Napełni mu drugą parę uszu hałasem. Teraz zacznie się prawdziwy cyrk. Argan zażąda, aby go wpuścić do świątyni, a ty zaprosisz go do środka. Potem odsuniesz się na prawo i zostawisz im wolną drogę.

— Tak, wiem, a wtedy Eliar otworzy drzwi świątyni i przejdzie na lewą stronę portyku.

— Faktycznie zapamiętałeś — rzekł sucho Althalus. — Zadziwiające. Cała istota tego tańca polega na tym, by ustawić Eliara między tamtymi dwoma a napierającym za nimi tłumem. Kiedy Eliar podniesie Nóż, Argan z Komanem pobiegną w jedną stronę, a tłum w drugą. Emmy nie życzy sobie motłochu w świątyni, gdy będzie pracować. Potem wygłosisz krótkie kazanie do tłumu, powiesz „amen” i dołączysz do pań w świątyni. Tylko nie zwlekaj zanadto, bo Emmy nie zacznie zmieniać Argana w proszek, póki nie będziesz na miejscu. Wszystko jasne?

— Po tylu powtórkach zrobiłbym to wszystko nawet przez sen.

— Nie radziłbym, bracie Bheidzie. Miej oczy i uszy otwarte, bo jeśli wyniknie coś nieprzewidzianego, możemy dokonać pewnych modyfikacji. Dlatego jeśli każe ci skakać, to nie wdawaj się w dyskusje, tylko po prostu skacz.

Czy to przypadkiem nie są truizmy? — zamruczał słodziutki głos Dwei.

Bheida trzeba czasem brać w karby, Em. Zbyt często miewa napady kreatywności. Jak się trzyma Leitha?

Wie, że to, co ma zrobić, jest absolutnie konieczne. Wspieraj ją, jak tylko możesz.

Althalus skinął głową i zajął miejsce przy oknie.

Motłoch prowadzony przez popiecznika Argana w czerwonym stroju zbliżał się już do placu przed schodami, gdzie oczekiwali licznie zebrani entuzjaści. Nagle na czoło wysforowali się Argan z Komanem.

— Naprzód! Na świątynię! — krzyknął były kapłan.

— Spokojnie, Bheidzie — szepnął Althalus. — Nie dostaną się do ciebie, choćby wychodzili ze skóry.

— W porządku.

Wtem Althalus obrócił się do Eliara.

— Zejdź tam i staraj się nie rzucać w oczy.

— Wiem, co mam robić, Althalusie — odparł Arumczyk, naciągając kaptur szarej kapłańskiej szaty. Otworzył drzwi obok okna i zajął miejsce przy wejściu do świątyni.

Tymczasem Argan i Koman dotarli do podnóża schodów.

— Na bok, jeśli ci życie miłe! — wrzasnął Argan do Bheida.

— Czego chcesz? — spytał tamten dziwnie oficjalnym tonem.

— To chyba jasne, stary. Zajmujemy świątynię. Teraz odsuń się z drogi, póki jeszcze możesz. Kościołem Perquaine jest teraz zakon Czerwonych!

Rozjuszony tłum ryknął i zaczął przeć naprzód.

— Czy naprawdę tego właśnie chcesz, Arganie? — spytał Bheid.

— Nie tylko chcę, ja to zrobię! Maghu jest teraz moje, będę ze świątyni rządził całym Perquaine!

Bheid skłonił się lekko i stanął po prawej stronie, zostawiając wolne przejście do drzwi.

— Jestem tu tylko sługą. Świątynia na ciebie czeka.

Argan i Koman weszli na schody. Tuż za nimi ciągnęli ich zwolennicy i Czerwoni.

Bheid obrócił się nieznacznie i skinął głową Eliarowi, który oburącz pchnął masywne drzwi, otwierając je na oścież. Potem odstał na lewo i pochylił się nisko na znak uległości.

Argan i Koman nagle odskoczyli w tył. Za otwartymi drzwiami szalał ogień, a rozpaczliwe krzyki niósł się echem aż na plac. Ludzie cofnęli się ze zgrozą.

— Wchodzicie? — zwrócił się Bheid do przerażonego tłumu.

— To oszustwo! — rozległ się piskliwy głos Argana. — To tylko iluzja!

— Byłeś już kiedyś w Nahgharashu, bracie Arganie — powiedział Bheid. — Doskonale wiesz, że to nie żadna iluzja, tylko rzeczywistość.

Eliar przesuwiał się bez przeszkód między kolumnami po lewej stronie portyku. Kiedy dotarł do miejsca, które Althalus oznaczył wcześniej farbą na marmurowej nawierzchni, zerknął w stronę okna i kiwnął głową.

— Kazanie, Bheidzie! — nakazał Althalus.

Bheid wrócił na poprzednią pozycję i ustawił się między tłumem a dwoma popiecznikami Ghenda. Potem zwrócił się mocnym głosem do wystraszonych ludzi na placu:

— Baczcie pilnie na to objawienie, moje dzieci, bo oto piekło na was czeka, a jego demony już są pośród nas! — Przywołał gestem Eliara. — Rozglądajcie się wokół, moje dzieci, i strzeżcie się prawdziwego oblicza Czerwonych!

Eliar wyjął Nóż i wyciągnął go przed siebie, obracając powoli tak, aby tłum go widział.

Argan i Koman wydali przeraźliwy wrzask i zakryli twarze drżącymi dłońmi.

W tłumie rozległy się także inne krzyki i ubrani na czerwono słudzy Argana skulili się z bólu, a ich pospolite rysy rozpląły się niczym wosk.

Althalus zamrugał z niedowierzaniem.

Oni naprawdę tak wyglądają? — spytał Dwei.

Nawet jeszcze gorzej, skarbie — odpowiedziała zimno. — *To tylko wierzchnia warstwa ich rzeczywistej postaci.*

Stwory w czerwonych szatach były ohydne. Miały łuskowatą, pokrytą szlaczem skórę, z ust wystawały im kły, a ciała rozrosły się do gigantycznych rozmiarów.

— Oto obietnica Argana, moje dzieci! — grzmiał Bheid. — Idźcie za nim, jeśli wola, albo posłuchajcie głosu zakonu Szarych. My was poprowadzimy i ochronimy przed demonami Nahgharashu oraz przed niesprawiedliwością tych, którzy nazywają się panami. Wybierajcie, moje dzieci! Wybierajcie!

— To egzarcha Bheid — oświadczył ktoś pośród ciżby. — Najbardziej świętobliwy z żyjących!

— Posłuchajcie go! — krzyknął ktoś inny. — Szarzy to nasi jedyni przyjaciele!

Ich słowa szybko rozeszły się wśród przerażonego tłumu, a demony jeden po drugim zaczęły znikać.

Eliar — wciąż z Nożem w ręku — szedł w stronę drzwi świątyni, gdzie kuliło się ze strachu dwóch ludzi.

Koman odwrócił się i osłaniając oczy, z rozpaczliwym jękiem wbiegł do świątyni. Argan rzucił się w jego ślady.

Ale gdy tylko przekroczyli próg, zniknęli.

Nóż rozspiewał się w radosnym spełnieniu, bo oto znów wrócił do swego domu, a dzięki owej pieśni świątynia Dwei ponownie została uświęcona. Murzy świątyni okryły się kwiatami, na ołtarzu, przed gigantycznym marmurowym posągami bogini płonów i wszelkiej płodności spoczyły dary w postaci chleba, owoców i złocistej pszenicy.

Althalus, który nadal stał w oknie Domu na Końcu Świata, starał się nie popadać w nadmierny liryzm i patrzeć na świątynię trzeźwym okiem. *To tylko budynek* — powtarzał sobie. — *Zwykłe kamienie, nie żadna poezja.*

Przestań, Althalusie! — głos Dwei w jego głowie był dziwnie rozdrażniony i zdawał się wydobywać z marmurowego posągu za ołtarzem.

Przynajmniej jedno z nas musi się trzymać rzeczywistości — tłumaczył się Althalus.

Skarbie, to właśnie jest rzeczywistość. Nie próbuj jej kalać.

A bladolica Leitha, której łagodne oczy były pełne łez, rzuciła w stronę okna błagalne spojrzenie.

— Pomóż mi, ojcze! — krzyknęła do Althalusa. — Pomóż mi, bo inaczej umrę!

— Nie umrzesz, córko, chyba że najpierw przestanę oddychać! Otwórz przede mną swój umysł, abym mógł ci towarzyszyć w tym ciężkim zadaniu.

No, znacznie lepiej! — głos Dwei wionął niczym ciepły, wiosenny wiatr.

Rozumiem, że zamierzasz nalegać? — wykrztusił Althalus.

Daj mi się poprowadzić, ukochany. Lepsze to niż zostać zmuszonym siłą.

Coś mi się zdaje, Esmeraldo, że w twym głosie czai się groźba — zauważył jadowicie Althalus. Skoro Dweia chce się bawić, to proszę bardzo, w końcu nic go to nie kosztuje.

Pomówimy o tym niebawem. Teraz skup wszystkie myśli i całą uwagę na naszej bladolicej córce, gdyż zaprawdę bardzo cię potrzebuje przy swym koszmarnym zadaniu.

I stało się, że umysł Althalusa połączył się płynnie z umysłem jego łagodnej, acz upartej córki. I odtąd ich myśli były jednym.

A pieśń Noża rozbrzmiała radością.

I połączywszy swe myśli z myślami córki, Althalus wziął na siebie część jej bólu i cofnął się na krótko do czasu, kiedy bladolica Leitha po raz pierwszy zetknęła się z ową pustką, która wprawdzie otacza wszystkich innych, ale której sama dotąd nie знаła.

I wtedy nareszcie spłynęło nań zrozumienie: dostrzegł prawdziwą zgrozę zadania swej córki.

— Chodź do mnie, umiłowane dziecko, ja się tobą zaopiekuję.

I wybiegła ku niemu jej myśl, a była napełniona wdzięcznością i miłością.

I pochylili swe splecione myśli nad nieszczęsnym Komanem. A umysł Komana był skąpany w dźwięku, który nie był dźwiękiem, gdyż Komanowy umysł nigdy nie zaznał ciszy.

Szmerząc, wciąż szmerząc, myśli tych, którzy byli poza świątynią, otoczyły Komana i zapadły w otchłań jego umysłu, tak samo jak myśli innych, od chwili gdy po raz pierwszy wciągnął do płuc powietrze.

Natenczas bladolica Leitha podeszła do sługi Ghenda, on zaś przezornie pochylał nad nią swą myśl, odrzucając tę przypadkową, która pochodziła spoza świątyni.

A zasmucona Leitha zamknęła łagodnie drzwi za przezornym Komanem.

A Koman, zaskoczony, sięgnął przed siebie po dźwięk, który zawsze mu towarzyszył.

Ale ten nie był już dlań uchwytny, więc umysł Komana skurczył się i cofnął z kosmaru ciszy. I uczeplił się Koman myślą umysłu Argana, chociaż miał byłego kapłana w wielkiej pogardzie.

Lecz bladolica Leitha, ze łzami ciekącymi po policzkach, wysłała naprzód swą łagodną myśl — i oto otwarte dotąd drzwi między myślami Komana i Argana także się cicho zamknęły.

I krzyknął przeraźliwie Koman, gdyż osaczyła go jeszcze większa pustka niż dotąd.

I padł na posadzkę świątyni bogini Dwei, i przywarł w rozpacz i strachu do myśli tej, która nawet teraz zamykała przed nim każde drzwi, stojące dotąd otworem.

A dusza Althalusa skręcała się z litości.

Szukam cię, ukochany ojcze! — krzyczały z bólu myśli bladolicej Leithy. — *Nie obciążaj mnie swą pogardą. Nie chcę być okrutna, ale konieczność mnie do tego zmusza.*

I uodpornił Althalus swe serce na nieszczęsnego Komana, a kiedy bladolica Leitha odgrywała ostatni akt, wymuszony na niej przez surową konieczność, trzymał się z boku.

— Żegnaj, mój niefortunny bracie — łkała Leitha, wycofując delikatnie a ostatecznie swą myśl ze służgi Ghenda.

A oto bezkresna pustka, jako też wieczna cisza zstąpiły na umysł nieszczęsnego Komana, leżącego na gładkiej posadzce świątyni. A jego krzyk był krzykiem absolutnej rozpacz, gdyż zrozumiał Koman, że jest sam, a nigdy dotąd tego nie doświadczył. Zwinął ciasno swe ciało i członki, jak gdyby się jeszcze nie urodził, po czym głos jego ucichł i ucichł też umysł.

A Leitha płakała i jęczała, ogarnięta zgrozą, aż Althalus otulił ją swym pocieszeniem, aby odgrodzić nieszczęsną od okropnego finału, jakiego dokonała.

Na twarzy Argana odbiło się głębokie niezrozumienie, a w tym momencie umysł jego kompana oddzielił się odeń na wieki.

A wtem od ołtarza rozległ się surowy głos bogini Dwei:

— Bezczęścisz mą świątynię samą swą obecnością, Arganie, służgo Ghenda!

I nagle to, co dotąd było zimnym marmurem, stało się żywym ciałem, a gigantyczna bogini zstąpiła do tego, który już nie nazywał się kapłanem.

I zaprawdę przeklętym był Argan. I nie mógł poruszyć nawet jednym palcem.

I ozwała się bogini w te słowa:

— Wyzuto cię z kapłaństwa, Arganie, i zakazano wstępu do wszystkich świątyń, ponieważ jesteś nieczysty. Teraz muszę oczyścić to święte miejsce, bo tyś je skałał.

Potem boska Dweia patrzyła przez chwilę w zamyśleniu na ludzki wrak, który stał przed nią drżący.

— Chyba nie będzie to trudne — zauważyła, sznurując wargi. — Albowiem jesteś tylko prochem, kapłanie odstępco, a proch łatwo usunąć. — I wyciągnęła przed siebie toczone ramię, i podniosła dłoń tak, jakby podnosiła coś, co jednak już nie istniało.

I oto jasnowłosy Argan apostata stał samotnie w powietrzu przed boginią, która go osądziła i uznała za winnego. I zmienił się służga Ghenda w połyskliwe drobinki prochu, które nadal tworzyły kształt tego, co dawniej nazywano Arganem.

— Podejź do okna, Bheidzie — zaproponował Althalus. — Teraz całe należy do ciebie... albo też jest tobą. Sen Emmy był nieco zbyt skomplikowany.

Błady i drżący Bheid stanął w oknie koło Althalusa.

— Co mam robić, wasza boskość? — zwrócił się pokornie do Dwei.

— Po prostu otwórz okno. Świątynię trzeba przewietrzyć. Bheid spełnił polecenie. Nagle zza jego pleców zerwał się wielki wicher i wyjął dziko, wtargnął przez okno do świątyni.

A połyskliwe drobinki, które kiedyś były Arganem, zostały przez ów wicher zmiecione i uleciały w powietrze, zostawiając po sobie tylko echo rozpaczliwego krzyku.

Twarz boskiej Dwei jaśniała satysfakcją. I ozwała się bogini w te słowa:

— Teraz moja świątynia znowu jest nieskalana.

A pieśń Noża, w swej nieopisanej piękności, poszybowała w powietrze, głosząc świętemu miejscu swe błogosławieństwo.

CZEŚĆ VII
CHER

ROZDZIAŁ 41

Althalus siedział samotnie w wieży Dwei, obserwując z niejakim roztargnieniem migotliwy boży ogień, który to wznosił się, to opadał za Krawędzią Świata. Wiedział już, że owo zjawisko nie służy żadnemu celowi, ale miło na nie popatrzeć. Śledzenie rozedrganej poświaty na północnym horyzoncie działało dziwnie odprężające, a Althalus bardzo teraz potrzebował odrobiny relaksu.

Rebelia chłopska w Perquaine upadła wraz ze zniknięciem Arganowego zakonu Czerwonych, ale Bheid z niezwykłą u niego szybkością instalował swoich Szarych na kluczowych stanowiskach. Nie rodził już w bólach każdej decyzji, do czego przedtem miał skłonność, ale twardo parł do przodu, nie zważając na opozycję, niczym młodsze wcielenie Emdahla. Z początku wysoko urodzeni widzieli w nim swego orędownika, ale Bheid szybko wyprowadził ich z błędu. Arystokraci przeżyli prawdziwy szok, kiedy się przekonali, że egzarcha Szarych nie jest zainteresowany łapówkami ani nie boi się grózb.

W miarę ustępowania zimy do perquaińskich wyższych sfer zaczęło z wolna docierać, że egzarcha Bheid jest górami. Czas siewów zbliżał się szybkimi krokami, a tymczasem chłopcy ogłosili wszem wobec, że ani jedno ziarenko nie padnie w ziemię bez pozwolenia Bheida. Egzarcha jednak nie miał głowy do udzielania zezwoleń i szlachta zaczęła się odgrażać.

Bheid w ogóle się tym nie przejął.

Do południowej części kraju zawitała wiosna i tamtejsza szlachta, patrząc na swe niezorane i nieobsiane pola, zaczęła popadać w coraz większą desperację. Apele do egzarchy przybrały jeszcze bardziej na sile.

Bheid odpowiedział serią propozycji.

Szlachtę te propozycje doprowadziły do furii.

Bheid wzruszył tylko ramionami i wrócił do Maghu, żeby poczekać, aż im przejdzie. Leitha określiła ten proces jako „bheidowanie”, Althalus jednak uważał jej poczucie humoru za nieco wypaczone.

Czas płynął, wiosna rozwijała się w najlepsze, a początkowe propozycje Bheida stopniowo zmieniały się w żądania. Właściciele ziemscy, jeden po drugim, zaczęli kapitulować. Wspomagany piękną pogodą egzarcha wymuszał na spanikowanych arystokratkach z południa coraz to nowe ustępstwa. Potem nieodwołał-

nie przeniósł się na północ, czyniąc z wiosennej pory swego rumaka bojowego i pokonując wszystkich, którzy stali mu na drodze. Kilku bardziej aroganckich notabli odmówiło spełnienia żądań Bheida jako „obraźliwych”. On uśmiechnął się tylko i potraktował ich jako przykład dla innych. Szybko stało się jasne, że kiedy egzarcha składa ostateczną ofertę, należy brać go na serio. Znaczna liczba wielkich posiadłości w środkowym Perquaine leżała tego roku odłogiem.

Po paru tygodniach Bheid przestał bawić się w wyjaśnianie swej rzekomej zdolności do przebywania w trzech czy czterech miejscach jednocześnie oraz niesamowitych historii o rozprzestrzenianiu się nowego egzarchy na cały kraj. U progu lata niemal wszyscy w Perquaine wymawiali imię świątobliwego Bheida z nabożnym lękiem. Wyższe sfery — chociaż bynajmniej niezachwycone sposobem, w jaki Bheid obalał dotychczasowy porządek rzeczy — pilnowały się, by nie wyrażać głośno swego niezadowolenia.

— Cóż, jakoś to działa. . . — mruknął do siebie Althalus.

— Mówisz do siebie, tatuśku? — spytała od progu Leitha.

— Po prostu głośno myślałem.

— Doprawdy? Gdyby każdy tak robił, zostałabym bez pracy. Dweia mówi, że czas na kolację — powiedziała zupełnie opanowanym głosem.

Althalus wstał i przyjrzał się uważnie jasnowłosej dziewczynie.

— Czy ciągle jeszcze martwisz się tym, co wydarzyło się w Maghu?

Leitha wzruszyła ramionami.

— Trzeba było to zrobić — odparła. — Żałuję tylko, że padło na mnie.

— Przejdzie ci z czasem — zapewnił ją Althalus.

— Świadomość tego nie poprawi mi w tej chwili nastroju. Lepiej chodźmy na kolację, wiesz, że Dweia nie znosi, kiedy się spóźniamy.

— O tak — zgodził się, idąc w stronę schodów. — Czy Bheid pospał trochę? Kiedy wrócił dziś rano z Maghu, wyglądał, jakby zaczynał się rozpadać.

— Położył się, ale nie wiem, jak długo spał. Dużo ma teraz na głowie.

— Niewątpliwie. Wcześniej czy później będzie musiał nauczyć się rządzić za pomocą pełnomocników. Nie może wszystkiego robić sam.

— Jeszcze to do niego nie dotarło.

— Niedobrze, że nie ma tu sierżanta Khalora. On wyjaśniłby ten proces lepiej niż ktokolwiek z nas.

— Nie mówiłabym tego Dwei, tatuśku. Kiedy odsyłała sierżanta do domu, dała mu pewne specyficzne wskazówki dotyczące matki Eliara. Lepiej nie proś, by sprowadziła go z powrotem.

— Właśnie się zastanawiałem, czemu tak szybko odjechał.

— No to już wiesz. Na twoim miejscu nie wtykałabym nosa w te sprawy.

— Usłucham twej świątłej rady.

— Och, przestań! — burknęła.

Na kolację Dweia przygotowała pieczoną szynkę, jak zwykle znakomitą. Z tego, co Althalus zdołał ustalić, w Domu nie było kuchni. Z oczywistych względów Dweia jej nie potrzebowała.

Egzarcha Bheid wciąż wyglądał na wyczerpanego wypadkami w Perquaine, lecz Althalus uznał, że nie będzie występował z radami. Bheid wyraźnie zamierzał sam się ze wszystkim uporać.

Gher jak zwykle pochłonał kolację niczym wygłodniały wilk, po czym wiercił się niespokojnie na krześle, gdyż zgodnie z żelazną zasadą Dwei nikt nie miał prawa odejść od stołu, póki wszyscy nie skończyli.

Althalus też nie miał już nic do roboty, więc odsunął talerz i sięgnął pamięcią wstecz, usiłując odnaleźć we wspomnieniach coś, co uchroniłoby Ghera od gafy.

— Czy opowiadałem ci kiedyś o mojej tunice z wilczymi uszami? — spytał znudzonego chłopca.

— Nie. A to dobra historia?

— Wszystkie moje historie są dobre. Powinieneś to już dawno wiedzieć.

— A jest prawdziwa? Czy po prostu wymyśliłeś ją na poczekaniu? Wolę prawdziwe historie, ale te wymyślone też są niezłe.

— A jak je odróżniasz? — spytała Leitha. — Kiedy Althalus wystartuje, historie biegną razem z nim.

— Opowiadaj! — poprosił ochoczo Gher.

Althalus odchylił się na oparcie krzesła.

— To się zdarzyło dawno, dawno temu. . . zanim jeszcze usłyszałem o Domu na Końcu Świata, Księgach i wszystkich innych sprawach, z którymi zetknęliśmy się ostatnio. Wybrałem się do nizinnych krain, aby rzucić okiem na cywilizowany świat, a także, co jeszcze ważniejsze, na tamtejszych bogaczy. W owych czasach bogaci ludzie naprawdę mnie fascynowali.

— Czy to wtedy goniły cię psy i odkryłeś papierowe pieniądze?

— Tak, to się stało podczas tej podróży. Czułem się dość przygnębiony, kiedy zostawiłem cywilizowany świat i ruszyłem z powrotem do Hule, skąd pochodziłem. Żaden z moich pomysłów nie wypalił, toteż nie byłem zbyt przychylnie nastawiony do ludzi, a i to mało powiedziane. . . — Althalus rozejrzał się mimochodem wokół stołu i zauważył, że nie tylko Gher go słucha. Miło wiedzieć, że nadal potrafi wzbudzić zainteresowanie. — Do Hule musiałem wędrować przez Arum, ale nie przejmowałem się tym specjalnie, gdyż z Arumczykami zawsze miałem dobre stosunki. Kiedy pod koniec lata dotarłem do podnóża tamtejszych południowych wzgórz i przypadkiem natknąłem się na przydrożną oberżę, postanowiłem zatrzymać się na kubek dobrego, mocnego miodu. Ludzie z nizin zupełnie nie umieją warzyć miodu, można u nich dostać wyłącznie wino, a ja po winie mam cierpki smak w gębie. . . niemal tak cierpki, jak po wszystkim, co mnie tam spotkało.

— Dojdiesz wkrótce do sedna sprawy? — przerwała mu Dweia.

— To moja historia, Em — odrzekł z satysfakcją — i opowiem ją tak, jak powinno się opowiadać. Nie musisz słuchać, jeśli nie chcesz.

— Mów dalej, Althalusie — powiedziała, wyraźnie tracąc cierpliwość.

— Jak sobie życzysz, Em. No więc, mój chłopcze, jak postanowiłem, tak zrobiłem. W oberży siedział trochę pijany facet i mamrotał coś o pewnym klanowym wodzu, który miał być najbogatszym człowiekiem w Arum. Nie zwracałem specjalnie uwagi na te rewelacje, gdyż w dowolnym czasie krążyło tam wiele opowieści o kilkudziesięciu rzekomych krezusach.

— Rzeczywiście ten temat często się powtarza — poparł go Eliar.

— Pierwszy przyznam, że temat pieniędzy uważam za nadzwyczaj ciekawy, ale wtedy akurat bardziej interesowała mnie tunika z wilczej skóry, jaką ów gość miał na sobie. W tamtych czasach widok ludzi w ubraniach ze skór dzikich zwierząt nie był niczym nadzwyczajnym, lecz tamta tunika różniła się nieco od innych. Ten, kto ją sporządził, zostawił przy kapturze wilcze uszy, które sterczały zaważadacko do góry. Wyglądało to nawet dość elegancko, ale właściciel tuniki był typowym arumskim wałkonem, zapijaczonym, tępym i brudnym. Cały przód tuniki miał zachlapany tłustym sosem i najwyraźniej ani razu porządnie jej nie wyczyścił. Stanowczo nie zasługiwał na tak wytworne odzienie, toteż postanowiłem coś z tym zrobić.

— Założę się, że wiem co — zachichotał Gher.

— Nie wyprzedzaj opowieści — zganił go Althalus. — No więc, jak już wspominałem, facet w tunice był już lekko zawiany. Wlałem w niego potem dostateczną ilość dobrego, mocnego miodu, by ululać go na amen, i kiedy zrobiło się ciemno, był gotów. Powiedziałem, że moglibyśmy poczynić dalsze postępy, ale najpierw trzeba zaczerpnąć świeżego powietrza, aby nieco wytrzeźwieć. Mój kompan uznał to za wspaniały pomysł i wyszliśmy na dwór, gdzie zataczając się, skęciliśmy w bok. Szybko się rozejrzałem i upewniwszy się, że nikt nas nie widzi, walnąłem go kilka razy po łbie ręką miecza. Padł od razu, jakby mu kto grunt usunął spod nóg.

Gher śmiał się do rozpuku.

— Co za świetna historia! I co było dalej?

— To, co wśród profesjonalistów określa się jako „transfer własności”. Najpierw zdjąłem z niego ową piękną tunikę, a potem zabrałem sakiewkę. Sakiewka nie była zbyt ciężka, ale jednak cięższa od mojej. Na koniec przyjrzałem się uważnie butom. Absolutnie nie można ich było nazwać nowymi, jednak moje świeciły już dziurami, zwłaszcza przy dziennym świetle. Kiedy zebrałem wszystkie łupy, cierpki smak cywilizacji nie dokuczał mi już tak bardzo.

— Co się stało z tą tuniką? — spytał Gher.

Althalus westchnął.

— Musiałem ją wyrzucić — wyznał ze smutkiem. — W miarę jak zbliżałem się do Arum, spotkałem jeszcze innych ludzi, którzy opowiadali różne historie

o tym samym bogatym wodzu.

— Ale to jeszcze nie koniec opowieści? — dopytywał się podekscytowany chłopiec. — Lubię takie, które ciągną się i ciągną... tak jak ta.

— Większość młodych je lubi... zresztą nie tylko młodych. Jedne historie mają początek, środek i koniec, inne zaś nigdy się nie kończą, może dlatego, że są żywe.

— I te właśnie mi się podobają. Co działo się dalej?

— No cóż... To, co się działo, można by nazwać zbiegiem okoliczności, ale w obecności Emmy to określenie nie oddaje istoty rzeczy. Okazało się, że ów bogaty wódz, o którym opowiadał dawny właściciel tuniki, czystym przypadkiem był głową obecnego klanu wodza Albrona. Nazywał się Gosti Pasibrzuch i miał prawdziwą żyłę złota — tak przynajmniej opowiadano w oberży — w postaci prywatnego mostu, przy którym pobierał myto.

— Eliarze, słyszałeś kiedy o tym Gostim? — spytał ciekawie Gher. — Skoro był wodzem twojego klanu, pewnie opowiadano ci o nim jakieś historie.

— O tak! A najczęściej powtarzają u nas tę, którą właśnie opowiada Althalus. I we wszystkich tych historiach nazywa się Althalusa skończonym łotrem. Ale jego wersja może się nieco różnić od naszej.

— No więc — ciągnął Althalus — gdziekolwiek się obróciłem, ciągle słyszałem, jak bajecznie bogaty jest ów Gosti. Wreszcie w pewnej małej wiejskiej gospodzie podjąłem ostateczną decyzję, żeby złożyć Gostiemu wizytę i przekonać się osobiście, czy jest w tym coś z prawdy.

— A potem go obrabować? — podchwycił ochoczo Gher.

— Przy sprzyjających okolicznościach. Udałem się do fortu Gostiego i wprosiłem do środka. W tamtych bardzo dawnych czasach było tam dość prymitywne. Dwór Albrona ze swymi kamiennymi murami i posadzkami z marmuru przypomina bardziej zamek, ale Gosti mieszkał w domu z bali, na podłodze miał klepisko, a w jadalni trzymał świnię.

Andina się zakrztusiła.

— Była w tym pewna praktyczna myśl — wyjaśnił Althalus. — Jeśli świnię są na miejscu, nie trzeba nigdzie wynosić resztek ze stołu.

— Przestań, dobrze? — fuknęła arya Osthosu.

— Przepraszam. Tak czy owak spędziłem tam całą zimę. Zabawiałem Gostiego przy stole różnymi anegdotkami i żartami, ale udało mi się także zlokalizować jego skarbiec i obejrzeć zamki.

— Jasne — mruknął Gher z domyślnym uśmieszkiem.

— A kiedy nadeszła wiosna i śnieg na przełęczach stopniał, uznałem, że czas już pożegnać Gostiego i jego kwiczące pieszczoszki. Pewnej nocy wybrałem się więc do skarbcza i wtedy doznałem największego wstrząsu w moim życiu. Okazało się, że wszystkie gadki o nieprzebranych bogactwach Gostiego są wysane z palca. W skarbcu nie było żadnych złotych monet... tylko miedziane z odrobiną

mosiężnych. Po prostu cała zima poszła na marne. Zabrałem jednak tyle monet, ile zdołałem unieść, i przed świtem się wyniosłem.

— A co to ma wspólnego z wyrzuceniem tuniki?

— Właśnie do tego zmierzam. Gosti w gruncie rzeczy nie był nikim ważnym. Ot, przeciętny tłuszczoch, dowodził pomniejszym klanem i rozpaczliwie marzył o uznaniu i sławie. I to akurat mu dałem. Oznajmił wszem wobec, że oto mistrz złodziei obrabował mu skarbiec i uciekł z tuzinem worków złota. Wyznaczył nagrodę za ujęcie mnie i odtąd po całym Arum krążył opis mojej pięknej tuniki co do ostatniego włoska. Nie miałem wyjścia, musiałem się jej pozbyć.

— Prawdziwa tragedia — mruknęła Leitha.

— Coś nie za dobrze kończy się ta historia — sprzeciwił się Gher.

— Nie każda opowieść ma szczęśliwe zakończenie — odrzekł filozoficznie Althalus. — I to jest jedna z nich.

— Więc czemu jej nie poprawimy?

— Może zmienię coś, kiedy będę opowiadał następnym razem — ustąpił Althalus.

— Wcale nie o to mi chodzi. Nie mówię, żebyś zmieniał samą historię, tylko wypadki, o których opowiada. Wtedy wszystko potoczy się tak, jak tego chcemy. . . — Gher zmarszczył lekko brwi. — Jeszcze nie znałeś wtedy Ghenda?

— Nie. Ghenda poznałem, kiedy na dobre opuściłem Arum i dotarłem do obozu Nabjora w Hule. Przedtem nawet nie wiedziałem o jego istnieniu. Kiedy przyjechał do obozu Nabjora, powiedział, że mnie śledził od miesiący. A co on ma z tym wspólnego?

— Śledził cię, powiadasz?

— Tak w każdym razie mówił.

— Więc jednak mój pomysł ma szansę. Dopóki Ghend tam jest i cię śledzi, możemy go wykorzystać, żeby poprawić tę historię.

— Gherze — wtrącił Bheid z bolesnym wysiłkiem na twarzy. — Może byś się zdecydował: mówisz o opowieści czy o rzeczywistości?

— A to nie to samo? Naprawdę dobry opowiadacz zawsze zmienia historie, żeby je ulepszyć, a ponieważ mamy w Domu te drzwi, możemy to samo zrobić z rzeczywistością, no nie?

— Nie możesz cofnąć się w przeszłość i dokonać tam zmian! — zaprotestowała Andina.

— Dlaczego? Przecież Ghend robi to od samego początku, no nie? Dlaczego tylko on ma mieć przyjemność? — Gher skrobał się z namysłem po kudłatej głowie. — Althalusie, daj mi się chwilę zastanowić. Coś mi się widzi, że możemy tak zakombinować, byś jednak zachował tę swoją tunikę. A jeśli porządnie pogłównujemy, Ghendowi w tym samym czasie przydarzy się coś wyjątkowo paskudnego.

— Nie wiem jak wy — rzekł Eliar, ziewając potężnie — ale ja idę spać.

— Lepiej chodźmy wszyscy — podchwyciła Dweia — bo inaczej Althalus zacznie następną historię.

Althalus spał tej nocy jak kamień, ale Gher zjawił się przy śniadaniu rozziwiany i z zapuchniętymi oczami.

— Dobrze się czujesz? — zaniepokoiła się Dweia.

— Nie wyspałem się, Emmy. Naprawdę trudno zasnąć, kiedy ma się tyle na głowie.

— Ale ty potrzebujesz snu.

— Wyśpię się, jak rozplączę kilka supełków.

— Co cię tak bardzo zajmuje? — spytała Andina.

— No... Wszystko się zaczęło od tej tuniki. Althalus musiał ją wyrzucić, kiedy obrabował grubasa, bo ten grubas opisał ją każdemu, kto się nawinął. Jeśli chcemy tak załatwić, żeby Althalus nie musiał jej wyrzucać, to trzeba znaleźć jakiś sposób na grubasa, aby tyle o niej nie gadał.

— To może wymagać sporego wysiłku — rzekł z powątpiewaniem Althalus. — Gostiemu w ogóle nie zależało na pieniądzach, bo nie miały prawie żadnej wartości. On się tylko przechwalał, bo zadałem sobie trud obrabowania go.

— Ach, wreszcie doznałem do końca! I wiem już, jak to obejść. Potrzebny nam tylko ktoś do pomocy przy kradzieży.

— Nie znałem wtedy nikogo w Arum, a przecież nie wybiera się cudzoziemca na współnika.

— Ale jest ktoś, kogo poznałeś później. I on doskonale pasuje. Althalusie, ty wciąż zapominasz o drzwiach.

— No dobra, kto to taki?

— Pomyślałem o Ghendzie. Znał cię już, chociaż ty go nie znałeś. Chciał się z tobą zakumplować, żeby cię namówić do kradzieży Księgi, więc gdybyś zaproponował mu współpracę przy skoku na grubasa, chyba powinien się zgodzić?

— Może i tak, ale ja go wtedy ledwie raz widziałem.

— A nie da się tego załatwić z pomocą tych snów? To właśnie była moja pierwsza myśl. On pewnie skradał się za tobą, gdziekolwiek się ruszyłeś, więc moglibyśmy użyć okna Emmy, by zgrać wszystko w czasie. Powiedzmy, że wszedłeś do jakiejś oberży, kiedy ludzie gadali o grubasie, a Ghend akurat podsłuchiwał na zewnątrz. Wtedy Emmy zrobi tę sztuczkę ze snem i Ghend, zamiast na zewnątrz, będzie w środku. Każdy złodziej na świecie pozna drugiego złodzieja od pierwszego rzutu oka, no nie?

— Nigdy nie miałem problemu z rozpoznaniem człowieka z branży.

— No widzisz! Kiedy obaj usłyszycie o tym dzianym grubasie, weźmiesz Ghenda na bok i zaproponujesz wspólną wizytę. Ghend świetnie do tego pasuje. Nie ośmieli się odmówić, bo wtedy ty mógłbyś się nie zgodzić na kradzież Księgi.

— Uwielbiam sposób myślenia tego chłopca — powiedziała Leitha z zachwytem. — Idealnie to rozpracował. Ghend nie będzie miał wyboru, musi zgodzić się na współpracę.

— Ale ja nie potrzebowałem żadnej pomocy — sprzeciwił się Althalus.

— Przy samej kradzieży nie. Dopiero przy ucieczce musiałeś porzucić tunikę, prawda?

— A co Ghend mi pomoże? Przecież niczego nie zmieni.

— Jeśli zrobisz to dobrze, nawet nie będziesz musiał uciekać. Powiedzmy, że razem z Ghendem ukradliście z tego skarbca trochę złota. . .

— Gherze, tam nie było złota!

— Z tym poradzimy sobie w minutę. Nadal mamy w wieży Emmy te beczki, z których czerpaliśmy, by wynająć Arumczyków, no nie? Przemycimy jedną do tamtego magazynu, a potem ty i Ghend włamiecie się i ukradniecie ją. Tłuscioch nie musi nawet wiedzieć, że tam była, ale to i tak bez różnicy, bo przecież nie jego chcesz wykiwać, tylko Ghenda. Kiedy już ukradniecie beczkę, podzielicie się złotem, a ty powiesz Ghendowi, że dla zmylenia pogoni lepiej będzie, jeśli każdy z was ucieknie w innym kierunku. Ty wskoczysz na konia i pojedziesz w jedną stronę, a Ghend w drugą. Gdy tylko znikniesz mu z oczu, przekażesz swój łup Eliarowi, żeby go odniósł tutaj, a sam wrócisz do Gostiego i będziesz się zachowywał, jak gdybyś w ogóle się stamtąd nie ruszał. Budzisz Gostiego i mówisz, że widziałeś, jak Ghend włamywał się do skarbca. Ale Gosti nie wie o złocie, więc myśli, że stracił tylko miedziaki. Zależy mu jednak, by ludzie uważali go za bogacza, dlatego podnosi wielki krzyk, że go obrabowano, i dokładnie opisuje wszystkim, jak wygląda Ghend. Ghend, a nie ty, rozumiesz? I to Ghend musi teraz uciekać co sił w nogach, ty zaś siedzisz spokojnie u Gostiego przy kominku, zajadasz pieczone kurczaki, opowiadasz kawały jak przez całą zimę i w ogóle. A tymczasem kto żyw w Arum rusza w pogoń za Ghendem, żeby odebrać mu złoto, które według nich ukradł. Mniej więcej po tygodniu mówisz Gostiemu, że masz jakieś sprawy do załatwienia, żegnasz się ze wszystkimi i odjeżdżasz do Hule na zaplanowane od początku spotkanie z Ghendem. Tym razem jednak nadal masz na sobie swoją ulubioną tunikę. Na miejscu opowiadasz Ghendowi, jak łatwo ci poszła ucieczka, a on narzeka na swoje ciężkie przeżycia. Ty robisz smutną minę i cmokasz ze współczuciem. On wcale nie wie, że go oszukałeś, i nadal uważa cię za przyjaciela. Proponuje ci kradzież Księgi, a wtedy ty każesz sobie zapłacić całym złotem, jakie przypadło mu w udziale po waszej wspólnej kradzieży, tylko że ty niczego nie ukradłeś, bo to myśmy podrzucili złoto do skarbca. Czy to gra?

— Rozumiesz coś z tego? — spytała Andina, patrząc ogłupiałym wzrokiem na Althalusa.

— W głównym zarysie tak, chociaż jest jeszcze parę niejasności. — Zerknął na Dwieię. — Czy to się da zrobić, Em? Od samej myśli, że można by tak otumanić

Ghenda, robi mi się ciepło na sercu.

— Niewykluczone. Nie ma to wielkiego sensu, ale jest do zrobienia.

— Ależ Dweio! — wykrzyknął Bheid. — Przecież to manipulowanie rzeczywistością. Jeśli można zmienić przeszłość, co się stanie z teraźniejszością?

— Widzieliśmy już, jak wygląda to „teraz” — powiedział Gher — i dużo rzeczy wcale się nam nie podoba. Czy nie śmieszniej byłoby zrobić sobie inne? Jeśli nadal będziemy majstrować przy „przedtem”, wcześniej czy później natrafimy na nowe „teraz”, które będzie — nam pasować aż do spodu, a jednocześnie utrzymy nosa Ghendowi. No i jak zrobimy to w ten sposób, Althalus zachowa tunikę.

— Ale jeśli wciąż będziemy majstrować przy przeszłości, to już nic nie będzie stałe.

— Gdzie twoja żyłka awanturnicza, Bheidzie? — odezwała się Leitha. — Niezmiennność jest czasem strasznie nudna, prawda? Czy nie zabawniej żyć w świecie, który Gher potrafi zmieniać, gdy tylko mu przyjdzie ochota?

— Zabawniej? — zgorszył się Bheid.

— To przecież logiczne, że język zmienia się stosownie do okoliczności. Witaj w świecie Ghera, egzarcho!

— Myślę, że już dość tego, Leitho — rzekła z roztargnieniem Dweia.

Althalus zauważył, że przyglądała się Gherowi w jakiś dziwny sposób.

Następnego dnia po kolacji Dweia odsunęła talerz i rozejrzała się wokół stołu.

— Przez niemal cały dzień zastanawiałam się nad czymś i myślę, że może wszyscy powinniśmy się temu przyjrzeć.

— Czy Ghend znów coś knuje? — spytał Eliar.

— O ile wiem, nie. Oczywiście z Ghendem nigdy nic nie wiadomo. To, o czym mówię, ma związek z wariacjami. Kiedy słuchaliśmy rozmowy Althalusa z Gherem o manipulowaniu rzeczywistością, wpadł mi do głowy osobliwy pomysł.

— Myśmy się tylko wygłupiali, Em — tłumaczył Althalus. — Żaden z nas nie mówił na serio.

— Jak to nie?! — wykrzyknął Gher. — To był naprawdę dobry pomysł!

— Owszem, Gherze, dobry — przyznała Dweia. — Ale nie posunąłeś się dostatecznie daleko.

— A czego nie dopatrzyłem?

— Za dużo uwagi poświęciłeś tej śmiesznej tunice.

— Zaraz, chwileczkę! — zaprotestował Althalus.

— Posłuchaj, skarbie. Jeśli naprawdę zależy ci na tunice z uszami, to ją dostaniesz. A co powiedziałbyś na osłe uszy?

— Nie zrobisz mi tego!

— Nie zrobię, ale ty przestaniesz mi przerywać — rzekła słodziutko Dweia.

— No więc tak. Kiedy ktoś opowiada Gherowi jakąś historię, on od razu zaczyna myśleć, jak ją ulepszyć. Tym razem wyszła mu bardzo interesująca możliwość.

Jeśli wykreowalibyśmy senną wizję w miejscu i czasie, gdy Althalus był pospolitym złodziejem, może udałoby się podpuścić nieszczęsnego Ghenda, by został jego współnikiem podczas słynnej kradzieży u Gostiego Pasibrzucha. Głównym celem pierwotnego planu Ghera było takie pokierowanie sprawami, żeby Althalus zachował tunikę, ale w gruncie rzeczy co to za cel? To prawie tak, jak budować cały zamek po to, żeby wbić w jednym z pokoi hak do powieszenia kapelusza. Plan Ghera jest za dobry, by marnować go na taki drobiazg, nie sądzicie?

— To miała być zabawa — bronił się Gher.

— Chyba wiem, jak sprawić, by było jeszcze zabawniej — powiedziała Dweia, patrząc na niego z czułością. — Spodobała mi się ta część, w której Althalus werbuje Ghenda na współnika, a wręcz zachwyciła ta, gdzie go wydaje Gostiemu, tak że Ghend musi ratować się ucieczką. Ale potem to wszystko zmierza donikąd. Tymczasem taki wielki plan powinien dążyć do większego celu niż do odzyskania wilczej skóry, prawda?

— Althalus w moim planie dostałby całe złoto.

— Ale przecież to i tak jego złoto.

— No... tak, ale pomysł był taki, żeby pozwolić Ghendowi zatrzymać je na trochę, a potem go wykiwać.

— A czemu nie wykorzystać tego samego schematu, żeby wykraść Ghendowi coś znacznie ważniejszego niż złoto?

— A co jest ważniejsze od złota? — spytał zbity z tropu Gher.

— Za chwilę do tego dojdziemy. Zauważyłam, że często zaczynasz swoje plany od słów: „A co by było, gdyby...”. Ja wpadłam na inne „gdyby”. Co by było, gdyby Althalus użył twojego planu nie do zachowania tuniki czy wyłudzenia od Ghenda jego przydziału złota, które i tak zresztą należało do Althalusa, ale do wykradzenia Ghendowi jego Księgi?

— Dobry boże! — wykrzyknął Bheid.

— Jestem teraz trochę zajęta, egzarcho Bheidzie. Czy to coś ważnego?

— Kiepsko będzie z Ghendem, jeśli Althalus ukradnie mu Księgę i wrzuci ją do ognia — zauważył Eliar.

— Nie to miałam na myśli — odparła Dweia. — Przede wszystkim Księga Ghenda wcale by nie spłonęła. Cała procedura jest nieco bardziej złożona. Plan Ghenda polegał prawdopodobnie na sprowadzeniu Księgi Deiwosa do Nahgharashu. Ale nic by to nie dało, bo chociaż Ghend miałby dwie Księgi, nadal nie miałby trzeciej.

— Są tylko dwie Księgi — rzekł Bheid.

— Mylisz się, bracie Bheidzie. Jest ich trzy: Deiwosa, Daevy i moja!

— Twoja? — Oczy Bheida rozszerzyły się ze zdumienia. — Nigdy nawet nie słyszałem, że masz własną Księgę! Gdzie ona jest?

— Tutaj. Eliar ma ją za pasem.

— To Nóż, a nie Księga.

Dwieia westchnęła.

— Czym właściwie jest Księga, bracie Bheidzie?

— Dokumentem. . . Zbiorem zapisanych stron.

— Nóż ma napisy na ostrzu, prawda?

— Ale tylko jedno słowo!

— Jedno, które możesz odczytać. Althalus przeczytał jedno, Eliar drugie, Andina i Leitha jeszcze inne. Księgi moich braci dotyczą spraw ogólnych, moja jest bardzo specyficzna. Dla każdego z was ma tylko jedno słowo i przez całe życie będziecie próbowali je zgłębiać. Księga Deiwosa pozostaje tutaj, gdzie absolutnie nic jej nie grozi, moja musi wychodzić w świat, więc ukryłam ją pod postacią Noża. Jak myślisz, dlaczego Pekhal i inni nie byli w stanie na nią patrzeć? Widywali przedtem inne noże, a ten jeden nie różnił się tak bardzo od tysięcy innych. Otóż oni widzieli nie Nóż, tylko Księgę, i to ona tak strasznie ich przerażała. Nie mogli na nią patrzeć, bo ta Księga ich osądzała.

Eliar wyciągnął Nóż z za pasa i przyjrzał mu się uważnie.

— Dalej wygląda jak Nóż.

— Bo tak ma być.

— Jakiego jest koloru? — spytał Gher. — To znaczy, kiedy jeszcze był Księgą. Ta, którą nosił Ghend, była czarna, ta na stole jest biała, a ta twoja?

— Złota, oczywiście. W końcu jest najważniejsza ze wszystkich trzech.

— Możemy ją zobaczyć? W jej prawdziwym kształcie? — dopytywał się Bheid z pożądlivym błyskiem w oku.

— Nie, Bheidzie, jeszcze nie czas. Przedtem musi się wydarzyć kilka rzeczy i o tym właśnie mamy pomówić. Jeśli postąpimy zgodnie z planem Ghera i za pomocą wizji sennej skłonimy Ghenda, by wspólnie z Althalusem obrabował Gostiego, to Ghend będzie musiał udać się do fortu. A Ghend zawsze podróżuje z Księgą Daevy.

— Ach, teraz widzę, dokąd zmierzasz, Emmy! — wykrzyknął Gher.

— Kiedy obaj będą w forcie Gostiego, Althalus poczeka, aż Ghend zaśnie, i wykradnie mu Księgę.

Dwieia pokręciła głową.

— Nie. Althalus nie ukradnie tej Księgi, póki nie spotka się z Ghendem w obozie Nabjora w Hule.

— Więc po co nam ten cały cyrk w forcie Gostiego? — spytał Bheid.

— Czy nie lepiej zostawić tamte wypadki bez zmian i skoncentrować się na wykradzeniu Czarnej Księgi w Hule?

— Nie. Bo kiedy Ghend się obudzi i zobaczy, że Księga zniknęła, ruszy tropem Althalusa, zanim ten zdąży odetchnąć. Musimy znaleźć sposób, by odwlec pościg, i sądzę, że tej sztuczki dokona imitacja Księgi. Mogę ją wykonać, ale najpierw muszę zobaczyć oryginał i go dotknąć.

— Skoro już sprowadzisz Księgę tutaj, po co w ogóle zadawać sobie trud z podrzucaniem jej z powrotem do juków Ghenda? — spytał Althalus. — Po prostu daj mi tę imitację, włożę mu ją do torby i nawet nie pozna różnicy.

— Nie, mój drogi. Wcześniej czy później Ghend otworzy Księgę, a kiedy zacznie ją czytać, natychmiast się zorientuje, że nie jest prawdziwa. Nie chcę do tego dopuścić, póki nie zaproponuje ci kradzieży Białej Księgi. Kilka wyrywkowych przeróbek w przeszłości nie wpłynie mocno na teraźniejszość, ale jeśli Ghend wezwie z Nahgharashu Daewę, by odzyskał Czarną Księgę, teraźniejszość zmieni się nie do poznania. Dlatego na miejsce skradzionej Księgi musisz podłożyć wiarygodny duplikat, a tylko ja potrafię go wykonać. Poza tym uważam, że tak będzie zabawniej.

— Zabawniej? — oburzył się Bheid. — A co zabawa ma z tym wspólnego?

— Althalusowi wszystko idzie znacznie lepiej, kiedy się dobrze bawi — odparła Dweia z przebiegłym uśmiechem. — A kiedy się głębiej zastanowić, większość ludzi jest taka sama. — Tu rzuciła Althalusowi wyniosłe spojrzenie. — Jeśli dobrze pamiętam, na samym początku zawarliśmy pewną umowę. Ja miałam cię nauczyć korzystania z Księgi, a ty mnie kłamstwa, oszukiwania i kradzieży. Zdaje się, że była nawet mowa o zakładzie?

— Teraz, kiedy o tym wspomniałaś, rzeczywiście przypominam sobie taką rozmowę.

— No więc, co o tym sądzisz, skarbie? Czy mój plan jest dla ciebie dostatecznie przewrotny?

— Jest tak przewrotny, że nawet ja się pogubiłem.

— To znaczy, że dobrze zrobiłam? — zadała ulubione pytanie Ghera, imitując jego głos.

— Pewnie, Emmy — zaśmiał się Althalus. — Powiedziałbym nawet, że doskonale.

— Oczywiście. — Odrzuciła w tył głowę. — Zawsze jestem perfekcyjna, nie wiedziałaś?

— Nie rozumiem celu tego wszystkiego — wyznała z zakłopotaniem Andina. — Co zrobimy z Księgą Ghenda, kiedy Althalus ją ukradnie? Skoro nie można jej spalić, to jak ją zniszczymy?

Dweia spoważniała.

— Sprowadzimy ją tutaj i o to właśnie chodzi. Kiedy wszystkie trzy Księgi znajdą się jednocześnie w tym samym miejscu, wydarzy się coś bardzo ważnego.

— Ach tak? — spytał Bheid. — A co?

— Nie mam całkowitej pewności, bo to się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Moi bracia i ja mieliśmy już drobne utarczki, ale nigdy nie wiązało się to z Księgami. Te Księgi to żywiołowe siły i absolutnie nie można przewidzieć, co wyniknie, gdy zbiorą się razem. Gdyby chodziło tylko o dwie, to jeszcze, ale trzy... — Rozłożyła ręce. — Kto wie?

— Może więc lepiej nie ryzykować? — spytał Bheid, wyraźnie zmartwiony.

— Ta opcja już nie istnieje. Nie wiem, dlaczego Daeva uznał, że tym razem wciągnie w to Księgi, ale tak się stało. Możliwość wyboru wyfrunęła przez okno w chwili, gdy kazał Ghendowi zatrudnić Althalusa do wykradzenia Księgi Dewosa. Teraz musimy to rozegrać i przekonać się, co z tego wyniknie.

ROZDZIAŁ 42

Otóż zdarzyło się, że dnia owego na początku jesieni wjeżdżał Althalus złodziej ze swym młodym towarzyszem między strome, lesiste góry krainy Arum, a Nóż przez całą drogę wtórował im swą subtelną pieśnią. I kontent był Althalus w swym sercu, gdyż znowu okrywała go wspaniała szata z wilczej skóry.

A kiedy tak wędrowali przez góry, pewnego złocistego ranka przybyli do przydrożnej oberży, gdzie zatrzymali się dla pokrzepienia ciał po trudach podróży. I wkroczyli do nisko sklepionej izby skąpanej w złotych promieniach słońca, i usadowili się przy stole misternej roboty, i kazali sobie podać jasnego, pienistego miodu. A Nóż pieścił ich uszy swym śpiewem.

A kiedy zawsze czujny Althalus obrzucił wzrokiem wnętrze, wypatrzył w drugim końcu izby znajomą twarz. I zaintrygowało to Althalusa złodzieja, gdyż nie mógł przypomnieć sobie, gdzie by się z owym człowiekiem spotkał. A miał ów znajomy cudzoziemiec czarne włosy, proste, świecące od tłuszczu, i głęboko osadzone, płonące żarem oczy. Towarzysz zaś jego był odeń niższy, o chytrym wyrazie twarzy i przypochlebnym obejściu.

A oto inni, którzy przebywali w onym miejscu, weselili się wielce, opowiadając o wodzu jednego z arumskich klanów, znanym wszędzie pod wysoce nieprzyzwojnym imieniem Gostiego Pasibrzucha.

— Wprawdzie słyszałem już o nim tego dnia — przemówił Althalus — ale nie chciało mi się wierzyć, że wódz, choćby najbardziej pośledni, pozwala zwracać się do siebie w ten sposób, gdyż imię to bynajmniej nie budzi szacunku.

— To jedna z osobliwości Gostiego, wędrowcze — odpowiedział jeden z tych, którzy bawili tam w ów słoneczny poranek. — Masz rację, że taki przydomek obrażałby wszystkich wodzów z całego Arum, z wyjątkiem tego jednego. Gosti bowiem dumnie obnosi się ze swym brzuszyskiem i ze śmiechem mawia, że od lat nie udało mu się dostrzec swych stóp.

Sam mówca również wyglądał na ubawionego, a w jego oczach błyszczały iskierki wesołości.

— Ludzie mówią, że jest bogaty ponad wszelkie wyobrażenie — ciągnął Althalus złodziej, zawsze czujny, by nie stracić swej życiowej szansy.

— Zaprawdę wielkie nie do opisania są bogactwa Gostiego — potwierdził

inny bywalec oberży.

— Czyżby poszczyło mu się do tego stopnia, że odkrył nieznaną dotąd żyłę złota? — wypytywał Althalus z nadzieją w głosie.

Wtedy zaśmiał się inny z przebywających tam gości, a jednocześnie pieśń Noża zmieniła ton na minorowy.

— Nie, wędrowcze — rzekł ów człowiek. — To nie do pobratymców Gostiego uśmiechnęła się fortuna, choć według mnie, drobny promyczek z samego kącika jej ust spłynął także i na nich. Kilka lat temu pewien wędrowiec przemierzał góry tuż nad ziemią klanu Gostiego i przypadkiem natrafił na odkrywkę najprzedniejszego złota. A że miał mało rozumu, przeto rozpowiadał szeroko o swym szczęściu w miejscach, gdzie podają dobry, mocny miód, a wieść owa rozniosła się lotem błyskawicy po całym Arum. I rychło znalazło się wielu chętnych do szukania fortuny ponad ziemiami Gostiego.

Na twarzy Althalusa złodzieja odmalowało się zaciekawienie.

— To jeszcze nic, wędrowcze — podjął opowieść następny z zebranych. — Kilka lat wcześniej ocięzali ojciec Gostiego był usieczon w klanowej wojnie, dowództwo zaś objął sam Gosti. Znaleźli się jednak tacy, którzy powątpiewali w jego zdolności, a wtedy Galbak, kuzyn Gostiego ze strony ojca — człek potężnej postury, o temperamencie rozjuszonego niedźwiedzia — stanął za nim murem i odtąd żaden członek klanu nie poruszał tematu kwalifikacji nowego wodza. Wprawdzie powszechnie panuje opinia, że ludzie wielkiej tuszy mają małe mózgi, ale w przypadku Gostiego ów pogląd się nie sprawdza. Siedziba jego przodków stoi na brzegu rwącej rzeki, tak bystrej, że niektórzy wierzą, iż może porwać nawet ludzki cień, toteż nikt nie jest tak śmiały albo głupi, by ryzykować życie w jej wodach, chociaż do najbliższej przeprawy jest pięć dni uciążliwej drogi w obu kierunkach. Dlatego spryciarz Gosti wraz z olbrzymem Galbakiem powzięli plan wzniesienia mostu na owej dzikiej rzece, potem zaś bezwzględnie żądali zapłaty od każdego, kto chciał przejść na drugą stronę. Z początku ich zyski były dość mizerne, gdyż dawano im głównie miedziaki, ale kiedy w pobliskich górach odkryto żyłę złota, pozbawiony skrupułów klan Gostiego zaczął żądać złota. Otóż na arumskie góry miło jest patrzeć, ale kiedy człowiek dopiero co spędził rok na mizernym drażeniu twardej skały, nie w głowie mu podziwianie widoków. Marzy przede wszystkim o dobrym, mocnym miodzie i łaknie towarzystwa smukłych pań, którym ani trochę nie przeszkadza, że mężczyzna jest brudny i zaniedbany, jeśli tylko ma wypełnioną złotem sakiewkę. Jak zapewne się domyślasz, tacy mężczyźni chętnie uiszczą żądaną zapłatę, byle tylko jak najszybciej dobrać się do rozrywek na drugim brzegu, toteż do skarbcza spryciarza Gostiego zaczęło płynąć złoto, a poszukiwacze tym chętniej wyrywali je ze skał na jego pożytek.

— Wyteż wzrok, o mój mistrzu — odezwał się przyciszonym głosem młody Gher — i skieruj go na oblicze Ghenda, albowiem mi się zdaje, że jego myśl podąża tuż za twoją.

Zdumiał się wielce Althalus złodziej, iż jego towarzysz przemawia w tak niezwykły sposób, gdyż młody Gher był nieuczony i brakowało mu ogłady. Lecz sprytny Althalus nie zastanawiał się nad tą osobliwością, tylko utkwiał oczy w twarzy Ghenda i rozpoznał w niej jawną chciwość, tak znamiennej dla tych, którzy uprawiali drogą jego sercu profesję.

— Może dobrze byłoby porozmawiać z Ghendem — szeptał chytrze młody Gher. — Bo gdyby przypadkiem jego myśl okazała się tak perfidna, jak mi się wydaje, to czy nie wejdziecie jeden drugiemu w drogę, zmierzając do tego samego celu?

I pojął Althalus złodziej, że mądre są słowa młodego Ghera. I postanowił pójść za radą sprytnego dziecka.

— To wcale nie było tak — mruknął Althalus, budząc się w swym łóżku.

— Cicho! — usłyszał rozkazujący głos Dwei. — Postaraj się jeszcze zasnąć, bo nigdy nie skończymy.

— Tak, kochanie — odparł z długim westchnieniem i znowu zapadł w sen.

I stało się, że kiedy złocisty ranek przeszedł w równie złociste południe, gładkowłosa Ghend i jego mały chytry kompan Khnom dopili łąpczywie swój miód i wstali, by udać się w swoją drogę.

Wówczas przebiegły Althalus z młodym Gherem również opuścili obozowisko.

A dziwnym zrzędzeniem losu konie obu wędrowców uwiązane były blisko siebie. I przemówił chytry Althalus z wielką ostrożnością do Ghenda o płonących oczach:

— Coś mi się widzi, że zamyślasz to samo co ja, gdyż pogłoski o owym złocie wykrzesaly z twych oczu takie same iskry jak z moich.

— Prawdę rzekłeś, zaiste złoto pięknie błyszczy w moich oczach i rozkosznie dźwięczy w moich uszach.

— Ze mną jest podobnie — wyznał chytry Althalus — ale rozsądek mi podpowiada, że powinniśmy wspólnie rozważyć tę sprawę, bo gdybyśmy w pojedynkę zmierzali do tego samego celu, natykałibyśmy się na siebie na każdym kroku, a to mogłoby zaszkodzić naszym planom.

— Myśl twoja jest całkiem słuszna — odrzekł Ghend. — Oddalmy się zatem z tego miejsca i porozmawiajmy o szczegółach. Mam wrażenie, że proponujesz mi sojusz w tym przedsięwzięciu, i muszę przyznać, iż twa propozycja mile łechcze mą wyobraźnię.

— No? — spytała Dweia przy śniadaniu. — Czy masz teraz dość materiału do pracy?

— Coś ty zrobiła z moimi ustami, Emmy? — spytał z niezadowoleniem Gher.
— Przecież ja nawet nie wiem, co znaczą niektóre z tych słów!

— To było po prostu piękne! — oświadczyła Andina. — Przemawiałeś jak poeta!

— Ale to nie ja mówiłem, Andino! Chyba Emmy wsadziła mi łapkę do gęby i wykręciła język!

— To się nazywa styl górnołotny, Gherze — wyjaśnił Bheid. — Wątpię, by ktoś kiedykolwiek przemawiał w ten sposób.

— W dawnych czasach na ogół tak się mówiło — powiedziała Dweia. — Ale odłóżmy na bok sprawy językowe i trzymajmy się właściwego tematu. Czy jesteś w stanie zbudować coś z tego materiału? Może trzeba ci więcej?

— Chyba nie. Wystarczy, że Ghend tam był i zainteresował się sprawą.

— Póki zamierzamy się w to bawić, nie ma chyba znaczenia, że rzucałem tymi wszystkimi „albowiem” i „perfidna”? — spytał Gher.

— Mnie zaś się widzi, iż chłopię zwane Gherem zaiste utrafiło w samo sedno — odezwała się Leitha.

— Emmy, niech ona przestanie!

— Ale tak naprawdę nic z tego snu nie wydarzyło się naprawdę — zaprotestował Eliar. — Nie znaleziono w tym czasie żadnej żyły złota.

— To dzieje się albo działa teraz — rzekła Dweia. — I nie jest to specjalnie duża zmiana. Złoto wydobyto w całości po kilkunastu latach i nic ważnego z tego nie wynikło. Jediną zmianą, która naprawdę ma znaczenie, jest wciągnięcie do rabunku Ghenda. Słońce kontynuuje swą wędrówkę po niebie, ziemia i księżyc także podążają po dotychczasowych orbitach. Drobne przesunięcie w historii ludzi nie odmieni wszechświata. Powinieneś jednak, Althalusie, wbić sobie do głowy jedno: nasz sen wydarzył się teraz. Ty i Gher zapamiętacie go, bo ostatnią noc spędziliście tu, w Domu. Kiedy obaj cofniecie się w przeszłość, Ghend nic nie będzie pamiętał, bo dla niego to się jeszcze nie zdarzyło.

Althalus zachichotał złośliwie.

— To wszystko, czego mi trzeba, Em. Po prostu zjem go w kaszy. Kiedy zaczynamy?

— Czy masz na dziś w planie coś ważnego?

— Nic a nic.

— Więc zaraz po śniadaniu.

Przygotowania nie były zbyt intensywne. Althalus musiał oczywiście pozbyć się stalowego miecza, ale uczynił to bez żalu. Brązowy miecz, który nosił, kiedy po raz pierwszy wkroczył do Domu, to przecież stary przyjaciel. Dweia zmodyfikowała jemu i Gherowi odzież, między innymi usuwając guziki, Eliar zaś odbył szybką podróż do dworu Albrona, skąd sprowadził parę koni. Wrócił stamtąd, uśmiechając się od ucha do ucha.

— Sierżant Khalor przesyła ci ukłony, Em. Mam ci też przekazać, że wszystko układa się tak, jak chciałaś.

— To miło — odrzekła z lekkim uśmiechem. — Althalusie, masz dość pieniędzy?

— Tak sędzę. W razie czego obrobię komuś kieszeń.

— Wolalabym nie.

— To należy do twojej edukacji — przypomniał jej Althalus. — Skoro już zdecydowałaś się kłamać, oszukiwać i kraść, zamierzam pokazać ci kilka przykładów. Patrz i ucz się, Em.

— Idźcie już, dobrze? W tej chwili!

Eliar wyprowadził Althalusa i Ghera przez specjalne drzwi na szlak prowadzący w góry południowego Arum.

— Konie uwiązałem wam w tamtych zaroślach — powiedział, wskazując pobliski zagajnik.

— Lepiej już wracaj, Eliarze — poradził mu Althalus. — Ghend jest na pewno w pobliżu, nie chcę, żeby cię zobaczył.

Eliar skinął głową.

— Będę stał przy oknie. W razie czego krzycz.

— Dobra.

Eliar zawrócił i zniknął im z oczu.

— Zupełnie jak duch — zauważył Gher, który znów miał na sobie łachmany. — Wiem przecież, co robi, ale i tak ciarki mi chodzą po grzbiecie, jak coś takiego widzę.

Althalus rozejrzał się uważnie dookoła.

— Posłuchaj, co zrobimy. Mniej więcej za pół mili jest krzyżówka. Ja będę szedł tym szlakiem, ty lasem przeprowadzisz konie. Tam się spotkamy i zgodnie z dawnym planem urządzimy przedstawienie.

— Czemu tak? — spytał wyraźnie zaintrygowany Gher.

— Bo w obozie Nabjora Ghend mi powiedział, że od dawna mnie śledzi. Może czai się gdzieś w pobliżu, a może nie, ale nie dam mu żadnej szansy. Kiedy opuszczałem Maghu, szedłem pieszo i sam, więc jeśli Ghend mnie śledził, nie chcę, żeby wydarzyło się coś, czego się nie da logicznie wytłumaczyć. Jeśli po prostu za mną idzie, jest pewnie na wpół śpiący i niech tak zostanie. Gdyby się obudził, mógłby zauważyć coś podejrzanego.

— Dobry jesteś — rzekł z podziwem Gher.

— Jestem najlepszy — odparł skromnie Althalus, wzruszając ramionami. — Ach, jeszcze jedno. Wiem, że Andina i Leitha próbowały uczyć cię poprawnego wystawiania się, ale teraz o tym zapomnij. Chcę, żebyś znów mówił jak chłopiec ze wsi. Wtedy Ghend się nie połapie, jaki jesteś cwany.

Gher wszedł w zarośla, a Althalus ruszył dalej pieszo, przywołując w pamięci każdy szczegół pewnych wypadków, które wydarzyły się przed dwudziestoma

pięcioma wiekami, aby móc je nieznacznie zmienić. Wciąż przy tym powtarzał słowo „nieznacznie”.

Na zwałonym pniu przy krzyżówce czekał na niego Gher z uwiązаныmi nieopodal końmi.

— Widzę, że odebrałeś moją wiadomość! — zawołał z daleka Althalus.

— Tak jakby. Nie wybrałeś sobie zbyt dobrego posłańca. Był tak pijany, że ledwie zrozumiałem, co mam robić.

— Nikogo innego nie mogłem znaleźć w tak krótkim czasie. Ale wygląda, że przekazał ci dostatecznie dużo, skoro tu siedzisz.

— Musiałem strasznie dużo zgadywać. Dokąd teraz idziemy?

— Chcę wrócić do Hule, skąd pochodzę. Mam po dziurki w nosie cywilizacji. Czy przypadkiem po drodze nie napotkałeś jakiej oberży? Dość długo szedłem i męczy mnie straszne pragnienie.

— Parę mil dalej jest wioska — odparł Gher, wstając. — A tam, gdzie jest wioska, musi być i oberża.

— Słusznie. No to na koń i w drogę.

Podeszli razem do wierzchowców i zaczęli się przygotowywać.

— Dobrze wszystko zrobiłem? — spytał szeptem Gher.

— Doskonale. Jeśli Ghend nas słuchał, dowiedział się wszystkiego, co chciałem mu przekazać.

— A jeśli nie?

— Zajmę się tym, kiedy dotrzemy do oberży — zapewnił go Althalus.

Nie będziesz musiał — przemówił milcząco głos Eliara. — *Ghend jest około dwudziestu stóp od ciebie i ma przy sobie Khnoma.*

Więc wszystko idzie według planu — odesłał mu myśl Althalus. — *Dzięki, Eliarze.*

Nie wspominaj o tym — zamruczała Dweia. — *A tak przy okazji, skłoniłam Khnoma, by pomyślał „pić”, więc pewnie obaj z Ghendem będą już siedzieć w oberży, zanim tam dojedziecie.*

Jak „skłoniłaś”?

Kiedyś ci pokażę, skarbie. To nic trudnego.

Dobrze. Gherze, jedziemy — rzekł Althalus, spinając konia.

Oberża wyglądała prawie tak, jak Althalus ją zapamiętał, poza tym, że do poręczy przy drzwiach uwiązany był szary kudłaty koń i wymęczony gniadosz.

— Ten szary należy do Ghenda — szepnął Gherowi Althalus. — Uwiążmy nasze konie do tej samej poręczy.

— Słusznie. Czy ja też dostanę miodu?

Nie — zabrzmiał bardzo stanowczy głos Dwei.

Althalus się zbuntował.

Przykro mi, Em, ale jeśli Gher nie napije się czegoś, Ghend może nabrać podejrzeń. Dopilnuję, żeby chłopak nie przesadził.

Już ja sobie z tobą pogadam — odrzekła złowieszczo.
Cała przyjemność po mojej stronie.
Uwiązali konie i weszli do środka.
— Są tam — szepnął Gher, wysuwając podbródek w stronę stołu pod ścianą.
— Rzeczywiście. Nie siadajmy zbyt blisko.
Zajęli miejsca przy drzwiach i Althalus zażądał miodu.
— Ładna tunika, przyjacielu — zagał oberżysta, stawiając przed nimi dwa gliniane kubki.
— Dobrze chroni od wiatru — odrzekł Althalus, wzruszając ramionami.
Przy sąsiednim stole toczyła się ożywiona rozmowa.
— Że niby ile? — spytał z niedowierzaniem jakiś gość.
— Całą uncję złota — odparł drugi. — Gosti Pasibrzuch postawił tam dwunastu chłopów z toporami, dla pewności, że nikt nie wymiga się od zapłaty.
— To oburzające!
— Ale lepsze od przeprawy wpraw, a do najbliższego brodu trzeba jechać pięć dni. Ten most to licencja Gostiego na okradanie ludzi. Wszystkie odkrywki są na tamtym brzegu, ale nie sposób się tam dostać ani wrócić, jeśli się nie zapłaci, ile każe Gosti.
— Przepraszam — wtrącił się Althalus. — Nie chciałem was podsłuchiwać, ale mój młody towarzysz i ja jesteśmy w drodze do Hule. Myślę, że musimy jednak poszukać innej drogi, skoro tutaj stoi nam na przeszkodzie ów most.
— Jeśli jedziecie do Hule, to nie ma problemu. Wasza droga prowadzi po tej stronie rzeki i nikomu nie musicie płacić. Ale na przeprawę na drugą stronę trzeba się mocno szarpnąć. Tam bowiem jest złoto, a Gosti Pasibrzuch nie życzy sobie, by ktokolwiek je darmo oglądał.
— A cóż to za imię dla klanowego wodza? — udał zdumienie Althalus.
— Musiałbyś znać Gostiego, cudzoziemcze, żeby to pojąć. Masz rację, takie imię to obraza dla większości arumskich wodzów, ale Gosti jest bardzo dumny ze swego brzuszyska. Śmieje się nawet głośno, że od lat nie widział własnych stóp.
— Skoro liczy sobie całą uncję złota za przeprawę, to musi być bliski zbicia prawdziwej fortuny.
— O tak, jest bogaty — potwierdził ten, który wymienił cenę. — Powiedziałbym nawet, że więcej niż bogaty.
— Czy kazał budować ten most, gdy tylko odkryto ową żyłę złota?
— Nie, most był gotów, zanim jeszcze przeciekła wieść o złocie. Wszystko zaczęło się kilka lat temu. Trwała klanowa wojna, rozumiesz, i ojciec Gostiego — ówczesny wódz — zginął, dzięki czemu Gosti został wodzem, czy się to komu podobało, czy nie. Niestety, większości się nie podobało, u nas bowiem wódz musi mieć cechy bohatera, a taki tłuścioch bynajmniej go nie przypomina. Ale Gosti miał po swojej stronie kuzyna, Galbaka, który liczy sobie ze siedem stóp wzrostu

i jest groźniejszy niż wąż. Nikt przy zdrowych zmysłach nie waży się mu sprzeciwić. No więc Gosti nie należy do najbardziej energicznych, gdyż rzeczywiście jest okropnie gruby i jak większość grubasów leniwy. Jako wódz klanu musi od czasu do czasu składać wizyty innym wodzom, a pięciodniowa podróż do najbliższej przeprawy przez rzekę bynajmniej go nie zachwycała, dlatego kazał zbudować most. Potem, już po zakończeniu robót, wpadł na pomysł, żeby wszyscy, którzy nie należą do jego klanu, płacili za przejście. Z początku pobierał tylko drobną monetę, ale kiedy w górach odkryto złoto, cena odpowiednio wzrosła.

— Cała uncja złota, mój przyjacielu, to znacznie więcej niż „odpowiednio” — zauważył sucho Althalus. — Czemu zdrowi na umyśle ludzie godzą się na takie zdzierstwo?

— Płacą z ochotą. Kiedy człowiek dopiero co spędził pół roku, przekopując się przez twardą skałę, to ma potężne pragnienie i nade wszystko tęskni do towarzystwa ładnych kobiet, którym nie przeszkadza, że gość śmierdzi, jeśli tylko kieszeń ma wypchaną złotem. Gosti ustawił się przy jedynym szlaku prowadzącym z gór, więc zbiera dolę za każdą grudkę złota i nawet nie musi sobie przy tym brudzić rąk. Nie sądzę, by ktoś wynalazł już słowo zdolne opisać bogactwo Gostiego Pasibrzucha.

Gher szturchnął Althalusa łokciem.

— Spójrz na Ghenda. Już mu ślinka cieknie!

Althalus od niechcienia omiół wzrokiem twarz gościa, rzucając Ghendowi zaledwie przelotne spojrzenie. Gładkowłosa mężczyzna o płonących oczach pobladł mocno, a na jego twarzy odmalowała się nieskrywana, niemal groteskowa chciwość.

— Chyba właśnie połknął haczyk — powiedział z satysfakcją Gher. — Teraz wystarczy tylko pociągnąć.

— Gdzie właściwie jest ten most? — spytał Ghend chrapliwie. — Jadę właśnie z kompanem na północ, chyba w tym samym kierunku co ci dwaj podróżni. Jeśli ten wasz Gosti jest tak pazerny, jak powiadacie, to może zacznie pobierać myto na gościńcu do Hule tak samo jak na moście?

— Nie sądzę, by posunął się aż tak daleko — odrzekł ten, który opowiadał przed chwilą historię Gostiego. — Inni wodzowie nie znieśli tego i wybuchłaby wojna.

— Możliwe, ale wolelibyśmy przejechać jak najszybciej przez terytorium tego dusigrosza, zanim pomyśli o rozszerzeniu granic. — Ghend wysączył do końca miód, odstawił kubek i wstał. — Było mi bardzo miło — rzekł z ironicznym uśmiechem. — Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

I razem z Khnomem opuścili obozowisko.

— Idziemy — szepnął Althalus do Ghera.

— Jeszcze nie skończyłem — zaprotestował chłopiec.

— Skończyłeś. Wychodzimy.

Ghenda i Khnoma spotkali przy koniach.
— Masz chwilę, przyjacielu? — zapytał Althalus.
— Śpieszymy się — burknął Khnom.
— To potrwa najwyżej minutę — zapewnił go Althalus i spojrzał Ghendowi w twarz. — Jeśli dobrze zrozumiałem, a jestem z natury dość bystry, uznałeś historię o Gostim Pasibrzuchu i jego złości za bardzo interesującą.
— Owszem, zaciekała mnie..
— Tak pomyślałem. Wyglądasz mi na człowieka interesu.
— O jakim interesie mówisz? Nie zajmuję się sprzedażą garnków, patelni ani owiec.
— Ja także, przyjacielu. Mam na myśli ten rodzaj interesów, który zmierza do transferu prawa własności... tego i owego.
— Ach tak? Owszem, od czasu do czasu i tym się zajmujemy.
— Tak mi się właśnie zdawało. Widziałem, jak zaświeciły ci się oczy, kiedy kmiotki gadały o grubasie i jego moście. Powiem ci bez ogródek, że te opowieści rozpały ogień także w moim brzuchu.
— I co z tego?
— Gdyby tak się złożyło, że obaj wpadlibyśmy na pomysł odwiedzenia grubasa w zamiarze transferu prawa własności do części jego złota, to pewnie deptalibyśmy sobie po piętach, czyż nie?
— Możliwe.
— No więc przyznaję, rzeczywiście powziąłem taki zamiar. Jeśli ty także, to czy nie lepiej połączyć siły, niż wchodzić sobie w drogę? Jeśli spróbujemy przechytrzać się nawzajem, z pewnością grubas przechytry nas obu i obaj pójdziemy na stryczek.
— Jest w tym jakiś sens — przyznał Ghend. — A znasz się na tej robocie?
— Jest najlepszy ze wszystkich! — wykrzyknął z dumą Gher. — Nie uwierzyłbyś, ile wziął za moją edukację. Althalus potrafiłby okraść samego boga.
— Chciałbym to widzieć — zachichotał Khnom.
— To pokaż mu kierunek i usuń się z drogi.
— Może porozmawiamy bardziej szczegółowo — zaproponował Ghend. — Odjedźmy jednak kawałek, bo to nie najlepsze miejsce do takich dyskusji.
— Sam chciałem to zasugerować — ucieszył się Althalus. — Masz dobry instynkt.
Wsiadli na konie i zaraz za wioską wjechali w las.
— Znajdź jakieś zaciszne miejsce, chłopcze.
— Już się robi!
Gher wbił pięty w końskie boki i pojechał przodem.
— Wygląda na bystrego ten malec — zauważył Khnom.
— Jest taki cwany, że aż zęby bolą — odrzekł cierpko Althalus. — Gdy tylko wymyślę jakiś prosty plan, zaraz zaczyna mnożyć komplikacje.

— O, byłbym zapomniał — powiedział Ghend, zsuwając hełm. — Nazywam się Ghend, a to jest Khnom.

— Dobrze wiedzieć. Ja mam na imię Althalus, a chłopak Gher.

— Miło mi was poznać.

— Chyba znalazłem! — krzyknął z przodu Gher. — Jest tu łąka z kępą drzew pośrodku. Nikt nas tam nie wypatrzy ani nie podkradnie się, by podsłuchiwać.

— Prowadź.

— Tam, na lewo.

Łąka usytuowana była na stromym zboczu. Mały zagajnik zaledwie kilkaset kroków dzieliło od pierścienia lasu.

— Zrobimy tak jak zawsze? — spytał Gher, kiedy posiadali z koni. — No wiesz, będziemy dawać, że się nie znamy?

— Jak to „dawać”? — spytał Khnom.

— Gher czasem przekręca słowa — wyjaśnił Althalus. — Chciał powiedzieć „udawać” i chyba miał rację. Gosti nie powinien wiedzieć, że stanowimy jedną grupę. Zachowujmy się jak obcy i raczej unikajmy swego towarzystwa. Musimy zdobyć zaufanie naszego gospodarza, a to zajmie nam trochę czasu. Trzeba wymyślić jakieś przekonujące łągarstwa, ale dla profesjonalistów to żaden problem.

— Rzeczywiście — przyznał Ghend. — Więc może rozdzielmy się od razu.

— Słusznie. Może ty z Khnomem pojedziesz na północ, a my odczekamy godzinę i ruszymy na wschód. Jeśli ktoś nas obserwuje, nie pozna, że jesteśmy razem.

— Naprawdę jesteś dobry — rzekł z podziwem Ghend. — Masz świetne oko do szczegółów. Kiedy to wszystko się skończy, musimy jeszcze pogadać. Może będę miał dla ciebie pewną propozycję... no, ale najpierw załatwimy Gostiego.

— Pewnie, wszystko po kolei. No dobrze, masz dość złota, żeby zapłacić za przejazd mostem?

— Mam mnóstwo złota — stwierdził Ghend i dodał chytrze: — Potrzebujesz trochę?

— A gdybym odpowiedział, że tak? Czy byłby to koniec naszego partnerstwa?

— Prawdopodobnie.

— Szybki jest, co? — powiedział Gher do Khnoma.

— Nie zdążylibyśmy mrugnąć okiem. Mamy tu do czynienia z parą mistrzów, mój chłopcze. Możemy „dawać”, że o tym nie wiemy, ale lepiej mieć oczy otwarte.

— Masz rację.

— Gher i ja przeprawimy się przez most dzień po was — ciągnął Althalus. — W domu Gostiego będziemy trzymać się od was z daleka. Zauważyłeś moją tunikę?

— Jak mógłbym nie zauważyć?

— Na ogół mam zsunięty kaptur. Jeśli go naciągnę tak, że uszy będą sterczeć, będzie to znaczyło, że musimy pogadać, dobrze?

Ghend pokiwał głową.

— Ja zrobię to samo z hełmem. Przeważnie zwisa mi u pasa, ale gdy włożę go na głowę, będzie to znak, że ja chcę z tobą porozmawiać.

— Pasuje. To tyle na razie. Mamy przed sobą kawał drogi, więc dalsze szczegóły odłożmy na później. Najpierw musimy się dowiedzieć, gdzie znajduje się skarbiec grubasa i jak pilnie jest strzeżony.

— Zgoda.

— Mamy coś jeszcze do omówienia?

— Chyba nie.

— No to ruszajcie już. Spotkamy się na dworze Gostiego.

— Ale będziemy „dawać”, żeśmy się nigdy w życiu nie widzieli — przypomniał Khnom, szczerząc zęby do Ghera.

— Szybko się uczy, co? — szepnął Gher. — Jak ukradniemy dość złota, to może go sobie kupić i nauczę fachu.

Zadziwił tym nawet Althalusa.

— Ale nie bój nic — dodał zaraz z łobuzerskim uśmiechem. — I tak jesteś najlepszy. Nie prześcignę cię przez dobre dwa miesiące. . . a może i trzy.

Ghend śmiał się głośno, kiedy razem z Khnomem wsiadali na konie i odjeżdżali na północ.

ROZDZIAŁ 43

— To mi zdecydowanie nie w smak — narzekał Khnom do swego kompana, kiedy Althalus z innymi obserwowali z okna ich odjazd na północ, ku ziemi klanu Gostiego. — Czy naprawdę mamy pozwolić, by ten parszywy złodziej umknął z połową złota?

— Potrzebujemy go, Khnomie. Chyba że sam chcesz pójść do Domu Deiwosa i wykraść jego Księgę.

— Wykluczone — odrzekł Khnom i aż się zatrzęsł. — Słyszałem kilka historii o tym, co Dweia robi z tymi, którzy ją zdenerwują. Podobno pływanie we wrzącej smole to przy tym czysta przyjemność. — Zerknął z ukosa na Ghenda. — Ale jak już ukradnie tę Księgę? Wtedy już się nam na nic nie przyda, więc można poderżnąć mu gardło i odebrać złoto, no nie?

Ghend roześmiał się ironicznie.

— Nie ma w tobie ani cienia lojalności, co?

— Nie lubię, jak mi kto wchodzi w drogę. Natomiast lubię złoto i nie spocznę, póki go w całości nie odbiorę.

— Z wyjątkiem mojej działki — przypomniał mu Ghend. — Chyba nie planowałaś jej ukraść, co?

— Skądże znowu — odparł Khnom odrobinę za szybko. — Althalus i ten mały cwaniak to zupełnie co innego. Ty i ja jesteśmy jak bracia, natomiast tamtych traktuję użytkowo. Jedynym powodem ich istnienia jest to, że mają nam pomóc przy kradzieży Księgi. Kiedy spełnią swoje zadanie, możemy się ich pozbyć.

— Przypomnij mi, żeby nigdy nie odwracał się do ciebie tyłem.

— O to nie musisz się martwić, drogi bracie — zapewnił Khnom z prześmiewczą szczerością.

— Przynajmniej na razie.

— Nie są zbyt zaprzyjaźnieni, prawda? — spytał Gher.

— Niespecjalnie — przyznała Dweia. — Khnom kiedyś został wykluczony z Ledanu i zawdzięcza Ghendowi życie, ale wdzięczność to dla niego zupełnie obce pojęcie. Obserwuj go pilnie, Gherze. Jest nieszczerzy, przebiegły i kompletnie pozbawiony skrupułów, a ty za niego odpowiadasz.

— Ja?

— Oczywiście. Eliar załatwił Pekhala w Wekti, Andina przechytrzyła Gelte w Treborei, Leitha i Bheid wyeliminowali Argana i Komana w Perquaine. Teraz twoja kolej.

— Nie sądzę, żebym miał z nim dużo kłopotu. Nóż nakazał mi „oszukiwanie”. Czy to znaczy, że mam Khnoma wykiwać? Nic trudnego. Przecież już to zrobiłem, kiedy wpadłem na pomysł tego snu, który zmusił jego i Ghenda do pomocy nam w obrabowaniu Gostiego. Jestem tak daleko przed Khnomem, że on nawet nie wie, jaką drogę wybiorę.

— Nie bądź taki pewny — syknęła Dweia. — Khnom jest sprytniejszy, niż się wydaje. Staraj się postępować prosto. Jeśli spróbujesz czegoś niezwykłego, Khnom zacznie wyczuwać, że coś jest nie w porządku, i będzie się miał na baczności. Już wie, że jesteś sprytny. Musisz sprawić, by wierzył, że całą uwagę poświęcasz Gostiemu, a nie Ghendowi.

— Będę o tym pamiętał — obiecał Gher.

Rano dwa dni później Ghend i Khnom dotarli do mostu Gostiego. Musieli zaczekać, aż potężnie zbudowany poborca zakończy gorącą dyskusję z przyszłym poszukiwaczem złota ubranym w łachmany.

— A mógłbym zapłacić w drodze powrotnej, kiedy już znajdę złoto? — pytał błagalnie ów biedak.

— Nie bądź głupi! — pogardliwie odparł wytatuowany poborca. — Płacisz zaraz albo zostajesz po tej stronie.

— To nieuczciwe! Przecież całe złoto jest tam, a ty mnie nie puszczasz po moją działkę!

— Nie masz żadnych pieniędzy?

— Jeszcze nie, ale jak znajdę złoto, to się wzbogacę.

— Marnujesz tylko mój czas. Stań z boku i przepuść następnych.

— Mam takie samo prawo stać tutaj jak oni!

— Straż! — wrzasnął poborca przez ramię do dwóch mężczyzn ubranych w futra i uzbrojonych w brązowe topory. — Ten głupek blokuje most. Chce się przeprawić przez rzekę, więc może sprawdzimy, czy dobrze pływa?

Dwóch potężnych gwardzistów ruszyło naprzód.

— Poskarżę się wodzowi klanu! — zagroził poszukiwacz złota, ale się cofnął i puścił biegiem z powrotem, miotając przekleństwa.

— Często się zdarzają takie sceny? — spytał Ghend wytatuowanego poborcy.

— Cały czas. Nie uwierzyłybyś, jakie obietnice już słyszałem. Tylko jednego na dziesięciu stać na opłatę.

— Ile?

— Jedna uncja złota.

Ghend niedbałym ruchem otworzył sakiewkę i wyjął dwie złote monety.

— Jak mamy jechać, żeby spotkać się z twoim wodzem? Muszę z nim pomówić o interesach.

— Jest w tym forcie po drugiej stronie rzeki. Prawdopodobnie w jadalni.

— Nie chciałbym mu przeszkadzać przy posiłku.

— To musiałbyś długo czekać, bo Gosti je od rana do wieczora. Nie przejmowałbym się tym, on potrafi jeść i słuchać jednocześnie.

Jeden z gwardzistów się zaśmiał.

— A przy tym pluje i robi wokół siebie straszny chlew.

— Zapamiętam to sobie i stanę w bezpiecznej odległości.

I obaj z Khnomem wjechali na most.

— Nie wyglądają ani trochę na Arumczyków — zaprotestował Eliar. — Cemu nie noszą kiltów?

— Szlaki handlowe między Wekti i Arum nie są jeszcze przetarte — wyjaśniła Dweia.

— A co ma do tego ubranie?

— Kilty robi się z wełny, a Arumczycy nie hodują owiec. Pamiętaj, że to się dzieje przed dwudziestoma pięcioma wiekami. Wtedy ludzie gór nosili odzież ze skór zwierzęcych, a broń wykonywano z brązu.

— Co za dziwny sposób życia! — westchnął Eliar.

— Ten most jest lepszy od poprzedniego — zauważył Althalus. — Stary zawaliłby się od zwykłego kichnięcia.

— Czy człowiek z rysunkami na skórze jest tym, którego spotkałeś tu poprzednio? — spytał Gher.

— Tak, ale teraz, kiedy cena poszła w górę, poczyną sobie bezczelniej. — Zerknął na fort po drugiej stronie. — Jest większy niż ten, który widziałem. Możemy podejść trochę bliżej, Em? Chcę sprawdzić, co tu zmieniono.

— Oczywiście, skarbie.

Widok za oknem zmętniał i po chwili Althalus patrzył na fort Gostiego z góry.

— O tak, zaszły pewne zmiany. Ostatnio ta szopa w północnym końcu stała na zewnątrz murów, a świnie kręciły się po całym dziedzińcu. Teraz widzę, że zamknięto je w zagrodzie.

W forcie Gostiego panował teraz znacznie większy porządek. Główna konstrukcja, wykonana z okazałych bali, z oknami na rzekę i most, w niczym nie przypominała skleconego byle jak budynku, jaki pamiętał Althalus. Dziedziniec w obrębie murów otaczały przeróżne warsztaty i zagrody dla zwierząt. Stajnie z przylegającym składem siana stały po północnej stronie, a stolarz, kowal i garbarz mieli swe warsztaty wzdłuż wschodniej strony muru.

— Gherze, kiedy będziemy już na miejscu, musimy wszystko dokładnie obejrzeć i zapamiętać wszystkie zmiany — zapowiedział Althalus.

— Powęszę dookoła — obiecał Gher. — Nikt nie zwróci uwagi na wścibskiego chłopca.

— Dobra myśl.

— Prowadzą Ghenda do Gostiego — ostrzegła Althalusa Leitha. — Może chcesz posłuchać, o czym będą mówić?

— Chętnie. Nie chcę, żeby Ghend nagle z czymś wyskoczył. Obraz znów się zatarł, po czym Althalus zobaczył z góry Gostiego przy stole.

— Jest wprost groteskowy! — wykrzyknęła Andina.

— Na pewno nie bez powodu nazywają go Pasibrzuchem — zauważył Eliar.

— Jak ktoś tak gruby może się w ogóle poruszać? — dziwiła się Andina.

— Toteż on się nie rusza — wyjaśnił Althalus. — Śpi na tym krześle i nawet kiedy drzemie, nie przestaje jeść.

Człowiek z kopią o ostrzu z brązu, ubrany w skóry, prowadził Ghenda i Khnoma przed oblicze wodza.

— Ci cudzoziemcy chcą z tobą mówić, Gosti — zaanonsował. — Podobno chodzi o interesy.

— Niech wejdą — zarządził Gosti, wycierając zatłuszczone ręce w przód szaty. — Zawsze chętnie rozmawiam o interesach.

— Ten tutaj nazywa się Ghend. To on będzie gadał.

— Miło mi cię powitać, Ghendzie — czknął Gosti. — Jakiż to interes masz na myśli?

— Nic wielkiego, wodzu. Mam pewne sprawy w Equero. Zwykle jeżdżę tam przez Perquaine i Treboreę, ale nie wszyscy mnie tam lubią, dlatego tym razem postanowiliśmy z moim sługą wybrać północny szlak. Wyruszyliśmy późno i nie zdążymy przejść przez góry, zanim spadną śniegi. Zastanawiam się, czy byłbyś skłonny nas przezimować.

— Skłonny? Co przez to rozumiesz?

— Czyli za opłatą — przetłumaczył Khnom.

— To najmiłsze ze słów, jakie znam — zachichotał Gosti, plując na stół tłuszczem. — Pogadaj z moim kuzynem Galbakiem, on zadba o waszą wygodę. — Obrócił się z trudem i wskazał olbrzymia o krótko przyciętej brodzie i twardych jak agaty oczach. — Dopilnuj wszystkiego, Galbaku, dobrze?

— Tak jest, kuzynie — huknął olbrzym grzmiącym głosem.

— Ale jest wielki — zauważył Eliar.

— Większy niż dom — dodał Gher. — Raczej nie chcemy być po jego złej stronie... chociaż nie wiem, czy w ogóle ma dobrą.

— Robisz błędy, Gherze — upomniała go Andina. — Przecież uczyłam cię mówić poprawnie.

— I na tym polega przekręt. Althalus kazał mi mówić jak chłopak ze wsi, żeby Ghend i Khnom nie połapali się, jaki jestem bystry. Mam być sprytny i tylko

udawać tępaka. Nie wiem dokładnie, jak mam udawać, ale skoro on tak chce... Niech mu będzie.

— To po prostu taka gra — powiedziała Leitha.

— Kiedy wchodzimy? — spytał Gher.

— Poczekamy kilka dni. Niech Ghend i Khnom się dobrze zdomowią, a wszyscy w forcie przywykną do ich obecności. Gdybyśmy się zanadto pośpieszyli, ktoś mógłby dopatrzeć się jakichś powiązań między nami, a mnie zależy, by wszyscy byli przekonani, że nigdy nie widzieliśmy Ghenda na oczy.

Przez następne dwa dni Althalus i Gher pilnie obserwowali narastającą zażyłość między Ghendem i Khnomem a Gostim.

— Dość już tego — powiedział Althalus po południu następnego dnia. — Jutro rano wchodzimy.

Kiedy zebrali się na śniadaniu w jadalni u podnóża schodów, Dweia udzieliła im ostatnich rad, z których większość Althalus postanowił zlekceważyć.

— Dużo tego, co? — zauważył Gher, kiedy szli za Eliarem do południowego skrzydła Domu, gdzie czekały na nich konie.

— Nic nas nie kosztuje posiedzieć i posłuchać. Skoro ją to cieszy...

— Ale i tak nigdy nie robisz dokładnie tego, co ci każe.

— Nie za często, to prawda — przyznał Althalus. — Eliarze, chcemy wyjść na szlak około dziesięciu mil na południe przed mostem... na wypadek gdyby Gosti miał obserwatorów rozstawionych przed fortem.

— Słusznie — zgodził się Eliar.

W drodze do fortu zauważyli, że liście wierzb rosnących nad rwącą rzeką zmieniły już kolor na rudy.

— Przy moście ja będę mówił — uprzedził Ghera Althalus. — Muszę najpierw coś ustalić.

— Dobrze.

Na miejsce dotarli w południe. Wytatuowany poborca myta zatrzymał ich i zażądał dwóch uncji złota.

— Ładną masz tunikę, przyjacielu — zauważył po zainkasowaniu opłaty.

— Dobrze trzyma ciepło — odparł obojętnie Althalus.

— Gdzieżeś ją znalazł?

— W Hule — padła ta sama co poprzednim razem odpowiedź. — Tak się złożyło, że natknąłem się na wilka. Już się szykował, by skoczyć mi do gardła i zjeść mnie na kolację, ale widzisz, ja zawsze lubiłem wilki... one tak pięknie śpiewają... chociaż nie do tego stopnia, bym chciał być ich kolacją, a zwłaszcza głównym daniem. Otóż przypadkiem miałem przy sobie tę oto parę kości i przekonałem wilka, że zamiast tarzać się po ziemi i próbować rozedrzeć się nawzajem, znacznie ciekawiej będzie rozegrać partyjkę.

Podobnie jak przed wiekami, poborca dał się porwać niesamowitej opowieści o grze w kości z wilkiem. Gher zresztą także. Althalus, zadowolony, że nie stracił swego daru, rozszerzył jeszcze historię, dodając nowe, makabryczne szczegóły.

— Ach, cóż za niezwykła opowieść! — zachwycił się poborca, rechocząc i klepiąc Althalusa mięsistą łapą po plecach. — Gosti koniecznie musi ją usłyszeć. — Obejrzał się na roześmianych od ucha do ucha strażników i skinął na jednego z nich. — Zastąp mnie tutaj, chcę przedstawić naszego przyjaciela Gostiemu.

— Okropnie dobra historia, Althalusie — rzekł z podziwem Gher, kiedy szli za poborcą.

— Cieszę się, że ci się spodobała.

— Czy tę samą opowiedziałeś mu poprzednim razem?

— Mniej więcej. Trochę ją tylko ulepszyłem.

Człowiek w futrze poprowadził ich przez wieś do fortu, a potem dalej aż do sali jadalnej, gdzie Gosti odrywał palcami kawały mięsa z pieczonej wieprzowej nogi.

— Hej, Gosti! — krzyknął poborca. — To jest Althalus. Niech ci opowie historię tej pięknej wilczej tuniki.

— Chętnie posłucham — odparł grubas, pociągając łyk miodu z rogu. — Nie masz nic przeciwko temu, że będę się pożywiał, słuchając?

— Ani trochę. Za żadne skarby nie chciałbym, byś osłabł z głodu na moich oczach.

Gosti zamrugał, a potem ryknął śmiechem, rozpryskując po stole tłuszcz.

Althalus rozejrzał się szybko po zadymionej sali. Tuż przy palenisku dostrzegł Ghenda z Khnomem. Ghend skinął mu nieznacznie głową i włożył hełm.

Althalus rozpoczął rozszerzoną wersję swej historii o grze w kości z wilkiem. Jeszcze późnym popołudniem siedzieli jak przyrośnięci obok olbrzymiego grubasa.

Wreszcie po zachodzie słońca Gosti usnął, a wysoki, brodaty Galbak wychylił się przez stół i rzekł:

— Jeśli skończyliście, zaprowadzę was tam, gdzie będziecie mogli się prześpać. Kiedy Gosti chrapie, nikt nie zmruży oka.

— Rzeczywiście trochę mnie zmoгло — przyznał Althalus. — Opowiadanie historii bywa czasem męczące.

Galbak zaśmiał się krótko.

— Nie zgrywaj się, Althalusie. Cieszyłeś się każdą chwilą.

Althalus uśmiechnął się szeroko i obaj z Gherem wstali.

— Zdaje się, że jesteś prawą ręką Gostiego? — zagadnął wielkiego Arumczyka, kiedy szli do drzwi.

— Raczej lewą. Bo prawą ręką jada. — Tu Galbak westchnął ciężko. — Obawiam się, że to go w końcu zabije. Dobrze jest być przy kości, ale Gosti posuwa się za daleko. Nie może spać na leżąco, a czasem ledwie łapie oddech.

— Pewnie ty po nim dziedziczysz?

— Prawdopodobnie, ale nie tęsknię do tego. Jesteśmy jak bracia, a ja muszę stać i patrzeć, jak Gosti obżera się na śmierć.

Ghend podniósł się z ławy, na której siedział wraz z Khnomem.

— Niezła historia, cudzoziemcze — skomplementował Althalusa.

— To jest Ghend, a to jego sługa Khnom — przedstawił ich Galbak. — Pochodzą z Regwosu i będą tutaj zimować.

— Miło cię poznać, Ghendzie — mruknął Althalus. — Może będzie czas pogłębić naszą znajomość.

— Może — zgodził się Ghend i usiadł.

Galbak prowadził Althalusa i Ghera do drzwi.

— Nie stawiałbym na to — rzekł. — Ghend jest bardzo zamknięty w sobie. Możesz mu opowiedzieć najprzedniejszy dowcip, a on się nawet nie uśmiechnie. Odkąd tu jest, ani razu się nie zaśmiał.

Althalus wzruszył ramionami.

— Niektórzy ludzie już tacy są.

Obejrzał się przez ramię i zobaczył, że Khnom układa usta w słowo „stajnia”. Skinął nieznacznie głową i ruszył za Galbakiem.

Pokój, do którego wprowadził ich kuzyn Gostiego, nie miał drzwi ani żadnego umeblowania. W kącie leżała wiązka siana, wyraźnie przeznaczona na legowisko.

— Mizernie tu — tłumaczył się Galbak — ale Gosti skąpi pieniędzy na meble. Woli wydawać je na jedzenie.

— Damy sobie radę — zapewnił go Althalus. — Skoczmy tylko z chłopakiem do koni i zabierzemy nasze koce, a potem się ułożymy do snu.

— Zatem do zobaczenia rano — pożegnał ich Galbak i udał się z powrotem do jadalni.

— Wszystko idzie dobrze, co? — dopytywał się Gher w drodze do stajen. — Masz jakieś plany w związku z tym naprawdę wysokim facetem, no nie?

— Mam przeczucie, że później nam się do czegoś przyda. Gosti koncentruje się na jedzeniu, a wszystko inne załatwia ten kuzyn. To może się okazać bardzo ważne.

Opuścili główny budynek, minęli szereg otwartych od frontu budek rzemieślniczych, skład siana przy północno-zachodnim rogu zabudowy, po czym weszli do ciemnej stajni. Ghend i Khnom już tam na nich czekali.

— Długo jakoś jechałeś — warknął Ghend.

— Bo i nie ma pośpiechu. Na przełęczach leży już śnieg, więc i tak nie ruszymy się stąd do wiosny.

— Wiem, Althalusie, ale już się zastanawiałem, czy nie zmieniłeś zdania.

— I zostawiłem całe złoto dla ciebie? Nie bądź głupi. Wiesz już, gdzie jest skarbiec?

Ghend skinął głową.

— Trzeba minąć jadalnię i pokonać kilka schodków. Nie miałem okazji zajrzeć do środka, ale domyślam się, że podłoga jest z drewna... chyba z rozłupanych bali. Nikt przy zdrowych zmysłach nie trzyma złota na gołej ziemi.

— To prawda — przyznał Althalus. — Zwłaszcza tam, gdzie każdy nosi przy sobie narzędzia górnicze. A straż jest?

— Cały czas, ale obejdzie się bez większych kłopotów. Nocni strażnicy zabierają zwykle na dyżur parę dzbanów miodu. Jeśli zjawimy się po północy, na pewno będą spali. Możemy zabić ich bez hałasu.

Althalus pokiwał głową.

— A oglądałeś zamek? — spytał.

— To żaden problem — zapewnił go Khnom. — Takie zamki otwieram nawet przez sen. Moglibyśmy to zrobić jeszcze dziś.

— Zbyt niebezpieczne — wtrącił się Gher. — Wy jesteście tu zaledwie od kilku dni, a my dopiero co przyjechalśmy. Na pewno pilnie nas obserwują, w końcu jesteście tu obcy, a ten wielki facet, znaczy Galbak, musiał zapowiedzieć strażnikom, że obedrze ich żywcem ze skóry, jeśli się dziś popiją. Powinniśmy poczekać, aż trochę do nas przywykną... a wtedy śnieg będzie już sięgał koniom do brzucha.

— Dzieciak ma rację — zgodził się Althalus. — Chcę zdążyć uciec jak najdalej, kiedy już ukradniemy to złoto. Galbak ma długie nogi i prawdopodobnie biega rącho jak jelen, więc nie spocznie przez co najmniej półtora dnia, dopóki czegoś nie zwęszy. Żadna kradzież nie jest dokonana, jeśli się nie ma zapewnionej ucieczki.

— Świetny w tym jesteś, Althalusie — zauważył Ghend.

— Już dawno się nauczyłem, że porządne planowanie wychodzi tylko na dobre. Czeka nas długa zima, ale i mnóstwo roboty. Musimy sprawdzić każdy zakamarek tego fortu, żebyśmy umieli odnaleźć drogę w ciemności. Nasz główny problem polega na tym, że jesteśmy wewnątrz zwartej zabudowy. Łatwo tu wejść, ale trudniej wydostać się ze złotem.

— Poszczyściło mi się kiedyś z ogniem — rzekł Khnom. — Fort zbudowany jest z drewna, a w czasie pożaru ludzie mają głowę tylko do gaszenia.

— To jest jakaś możliwość, ale zobaczymy, czy nie da się znaleźć innego sposobu. Ogień da nam raptem dwie godziny wyprzedzenia, a to trochę za mało. Mogę się jakoś wyłgać przy głównej bramie, ale nie chcę zabijać strażników. Krew przyciąga niemal tyle samo uwagi co ogień, zresztą nie chcę także zniszczyć zamku do skarbcza. Jeśli się dobrze sprawimy, przez co najmniej cały dzień nie zorientują się, żeśmy ich okradli, a wtedy spokojnie dotrzemy do domu. Natomiast gdyby podnieśli alarm po kilku minutach, będziemy w opałach.

— I cały czas powinniśmy dawać, że się nie znamy — dodał Gher. — Żeby nie widzieli, jak z sobą gadamy i w ogóle.

— Mamy całą zimę na dopracowanie szczegółów — uciął dyskusję Althalus. — Nie będę mógł wiele wam pomóc, bo muszę zabawić Gostiego i jego domow-

ników dowcipami i śmiesznymi historyjkami. Lepiej wracajmy już do głównego budynku. Jesteśmy obserwowani i jeśli znikniemy na dłuższy czas, zaczną nas szukać.

Ghend świdrował go płonącymi w mroku oczami.

— Kiedy to wszystko się skończy, nie traćmy z sobą kontaktu — powiedział chrapliwie. — Moglibyśmy wrócić do tej propozycji, o której przedtem wspomniałem.

— Zawsze cię chętnie wysłucham, przyjacielu — zapewnił go Althalus. — Teraz jednak wracajmy do dworu, zanim ktoś zacznie się za nami rozglądać.

Althalus i Gher zabrali derki i przeszli przez dziedziniec do fortu.

— Ale się musisz dziwnie czuć — zauważył Gher, kiedy rozkładali koce na kupie siana w rogu izby. — To znaczy... przecież już raz to przeżyłeś, nie?

— A jednak teraz też jest ciekawie, bo trochę inaczej. Na dobrą sprawę szykujemy tu podwójny przekręt. Z jednej strony oszukujemy Ghenda, a z drugiej Gostiego, więc muszę się dobrze pilnować.

Pogoda załamała się mniej więcej tydzień później. Nastął okres gwałtownych burz, podczas których rozszalały wicher miotał śniegiem, sypiąc wysokie zasy. Wewnątrz zabudowań było jednak ciepło i sucho, a w sali jadalnej Althalus zabaśniał wszystkich anegdotkami. Odstąpił też nieco od swych zwyczajów i zaznajomił się bliżej z Galbakiem. Olbrzym o twardym niczym agaty spojrzeniu wydawał się ciągle smutny i nietrudno było odgadnąć dlaczego. Wiadomo, że wszyscy Arumczycy są niesłychanie lojalni, Galbaka zaś dodatkowo łączyło z Gostim bliskie pokrewieństwo. Tymczasem dla każdego, kto miał oczy, było oczywiste, że zdrowie wodza się pogarsza. Grubas mówił z wysiłkiem, sapał i nie mógł się podnieść z krzesła o własnych siłach.

— Daję mu jeszcze dwa lata, Althalusie — wyznał Galbak pewnego śnieżnego popołudnia, kiedy obaj szli do stajen. — No, może trzy... Gosti nigdy nie należał do chudych, ale dziesięć lat ustawicznego obżerania się zmieniło go w górę mięsa. Łatwiej przez niego przeskoczyć, niż obejść go w kółko.

— Karłem na pewno nie jest — zgodził się Althalus.

— Ale nie zawsze tak wyglądał. W dzieciństwie biegał i dokazywał razem z innymi chłopcami. Dopiero po śmierci swego starszego brata, kiedy zrozumiał, że zostanie następnym wodzem, zaczął sobie folgować. Im więcej jadł, tym miał większy apetyt, a teraz nie potrafi już przestać, musi bez przerwy coś żuć.

— To smutne, Galbaku, ale co na to poradzisz?

— Niewiele. On w gruncie rzeczy nie zwraca uwagi na to, co się wokół niego dzieje, więc czuję się zobowiązany czuwać nad wszystkim. Prowadzę na bieżąco bilans złota zgromadzonego w skarbcu, bo on już nawet nie rzuci na nie okiem. Co tydzień składam mu raport i zawsze stanowi to powód do kolejnego świętowania. — Galbak wzruszył ramionami. — A zresztą... Jest zapasiony, ale szczęśliwy.

W tym momencie Althalus zmienił nieco plany. To jasne, że Gosti jest tylko figurantem, a prawdziwe dowództwo sprawuje Galbak i on będzie wydawał rozkazy po wykryciu kradzieży. Pod pewnymi względami ułatwiało to sprawę. Wyrwanie Gostiego ze snu w środku nocy mogło się okazać niemożliwe, a zanim uświadomiono by mu, że został okradziony, minęłyby ze dwie godziny. Natomiast Galbak będzie zdolny do natychmiastowej akcji.

Zima wlokła się nieznośnie. Althalus prawie całą uwagę poświęcał utrzymywaniu Gostiego w dobrym humorze, wspólnikom pozostawiając większość roboty. Pewnej nocy, kiedy ogień przed stołem Gostiego ledwie się żarzył w palenisku, Althalus podsłuchiwał przypadkiem rozmowę dwóch siwowłosych Arumczyków.

— Głupi jesteś, Egnisie — mówił jeden z wiekowych rycerzy. — W stodole z sianem nie ma żadnych drugich drzwi.

— Ależ są — zaperzył się tamten — tylko ty, Mergu, nie masz o tym pojęcia, bo w życiu nie splamiłeś się uczciwą pracą. Siedzisz tu tylko na tyłku od czterdziestu lat, natomiast ja jako młody chłopak każdego lata wrzucałem siano przez tamte drzwi.

— Nie możesz tego pamiętać — zrzędził Merg. — Przecież nie pamiętasz nawet dzisiejszego ranka!

— Tam są drzwi.

— Nie ma.

— Są.

— Nie ma.

Gosti chrapał donośnie, ale dwaj starcy nadal powtarzali swoje „są” i „nie ma”.

Oczywiście można było ich uciszyć, lecz Althalus postanowił się nie wtrącać. Po co psuć starym ramolom przyjemność? Wstał po cichu z krzesła i poszedł sprawdzić rzecz osobiście.

Przy ścianie stodoły zobaczył stertę siana. Wlaź na samą górę i zaczął grzebać w środku. W chwilę później znalazł to, czego szukał. Najwyraźniej Egnis miał rację. Pod powierzchnią siana Althalus wymacał okrągły kołek przechodzący przez spory otwór w wystającej desce. Poszperał jeszcze trochę i znalazł następny. Chwycił kołek i pchnął go najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. Okazało się, że chodzi całkiem lekko.

— No, no... — mruknął do siebie. — Czyż to nie interesujące?

Zsunął się na dół i ruszył na poszukiwanie Ghera.

Chłopiec buszował po kuchni.

— Zostaw to teraz — polecił mu Althalus. — Poszukaj Ghenda i powiedz mu, że musimy pogadać.

— W stajniach?

— Nie, tym razem w stodole z sianem. Znalazłem coś, co może ułatwić nam

sprawę. — Althalus odruchowo wziął kawałek chleba i umoczył go w garnku z jeszcze ciepłym sosem.

Nim minął kwadrans, Gher wprowadził do stodoły Ghenda i Khnoma.

— Co jest, Althalusie? — spytał Ghend. — Coś nie tak?

— Nie, po prostu nam się poszczęściło. Niechcący podслуchałem kłótnię dwóch staruchów.

— Osobliwy sposób spędzania czasu — prychnął Khnom. — I o cóż to im poszło?

— O tę stodołę.

— Jak można się kłócić o stodołę? — spytał nieco drwiąco Ghend.

— Pewnie nie mieli nic lepszego do roboty. Tak czy owak, wspominali sobie dawne dobre czasy, jak to zwykle stare ramole, i nagle wynikła sprawa drzwi. Jeden dowodził, że są tylko jedne, a drugi upierał się, że są też dodatkowe. I chyba ten drugi miał rację. Widzicie tę kopę pod ścianą?

Ghend spojrzął na majaczącą w mroku ścianę.

— Słabo. Powinieneś przynieść latarnię.

— Do składu siana? Chłopie, to najszybszy sposób, by zwrócić na siebie uwagę. Zresztą wdrapałem się na górę i wsunąłem rękę pod siano. Przez ścianę przechodzi sztaba, a kto mocuje sztaby na zwykłej ścianie? Skoro jest sztaba, to są i drzwi, a jeśli mamy radę je otworzyć, nie będziemy musieli przenosić naszej zdobyczy przez główną bramę.

— To rzeczywiście jest łut szczęścia — zgodził się Khnom. — Przyznam, że trochę się tym martwiłem.

— Sądząc ze stanu bali, z których zbudowano ściany, ta stodoła powstała kilka pokoleń przed palisadą wokół fortu. To tylko moje domysły, ale przypuszczani, że Gosti kazał wznieść palisadę już po odkryciu złota w górach i podniesieniu opłaty za przeprawę. Przedtem nie miał takiej potrzeby, bo też nie było tu co kraść. Teraz jest. Siano w kopie jest stare, nowsze, z tegorocznego zbioru leży wyżej, na górcie. Domyślam się, że ta kopa ma ładnych parę lat i pochodzi z czasów, kiedy budowano palisadę. A ponieważ stodoła już wtedy stała, po prostu potraktowano ją jako część ogrodzenia, bo przecież nie miałyby sensu budować nowej ściany. Jutro Gher może wyjść na zewnątrz, niby to pobawić się na śniegu, i wszystko obejrzy. Jeśli rzeczywiście są drzwi, a my potrafimy je otworzyć, możemy tedy wyprowadzić konie i ujechać szmat drogi, zanim ktoś się zorientuje, że nas nie ma.

— To jeszcze jeden powód, by poczekać z wizytą w skarbcu, póki śnieg nie stopnieje — zauważył Khnom. — Inaczej zasy na drodze uniemożliwią ucieczkę. Ale teraz nasze szansę zwiększyły się w dwójnasób.

— Mam się bawić śniegiem? — spytał niepewnie Gher.

— Ulep sobie bałwana czy coś... — zasugerował Khnom. — Przecież chłopcy wciąż jeszcze tak się bawią?

— Tylko jeśli nie mają nic lepszego do roboty. Ja tam wolę uczyć się kraść. Chyba nawet nie umiem lepić bałwana.

— Weź z sobą Khnoma, chłopcze — poradził mu Althalus. — On ci pokaże.

— Wielkie dzięki — mruknął niezycliwie Khnom.

— Nie ma o czym mówić. Chcę, żebyście naprawdę dokładnie obejrzeni ścianę od zewnątrz. Przecież nie możemy czekać z łupem w środku, musimy wcześniej wiedzieć, czy te drzwi dadzą się otworzyć.

— No niby tak — westchnął Khnom.

Althalus szedł za ciosem.

— A kiedy już skończymy i wymkniemy się przez tylne drzwi, najlepiej będzie się rozdzielić. Ja z Gherem udam się na południe... Postaramy się zostawić mnóstwo śladów. Ziemia na wiosnę jest miękka, więc nie będzie kłopotów z wydeptaniem ścieżki po tej stronie rzeki. Ty, Ghendzie, ruszysz z Khnomem na północ, ale trzymajcie się z daleka od szlaku. Jedźcie przez zarośla i uważajcie, żeby nie zostawić po sobie śladów, my zaś pomkniemy galopem i będziemy bardzo hałasować.

— Złapią was i powieszą — ostrzegął Khnom.

— Nie ma mowy. Znam kamienisty odcinek na tym szlaku, gdzie żadnych śladów nie będzie. Tam zawrócimy i ruszymy w góry. Ludzie Gostiego nawet się nie zorientują, że zeszliliśmy z głównego szlaku. Pojadą dalej na południe, a kiedy się połapią, my już będziemy daleko.

— Czemu bierzesz całe ryzyko na siebie? — spytał podejrzliwie Ghend.

— Bo jestem w tym lepszy od was. Wiem, że potrafię się wymknąć, wam może się to nie udać. Kierujcie się na północ, do Hule, a potem zapytajcie o drogę do obozowiska niejakiego Nabjora. Tam się spotkamy. Wspominałeś coś o jakiejś propozycji, chętnie jej wysłucham, kiedy skończymy z tą sprawą.

— Jedna kradzież naraz, co? — rzekł Khnom.

— Właśnie.

ROZDZIAŁ 44

Zima długo nie dawała za wygraną, ale w końcu nadeszła wiosna. Do tego czasu złodzieje zdążyli poznać dogłębnie każdy kąt dworu Pasibrzucha. Teraz pozostało tylko czekać, aż śniegi stopnieją.

Althalus zaczął wyszukiwać preteksty do częstych wypraw na dziedziniec. Wciąż sprawdzał, czy czapa na pobliskiej górze zniknęła, gdyż ten właśnie moment wybrał sobie jako sygnał do działania.

Zapewne czystym przypadkiem — chociaż Althalus niechętnie używał tego słowa — Galbak uprzedził gości, że klan tradycyjnie obchodzi wczesną wiosną pewne święto.

— Gosti urodził się na wiosnę. My, Arumczycy, nie trzymamy się tak ściśle rachunku dni i miesięcy, jak wy na nizinach, toteż urodziny wodza obchodzimy wtedy, gdy stopi się śnieg na tych wzgórzach za rzeką. Może nie jest to zbyt dokładne, ale dość bliskie prawdy.

— No cóż, liczy się pomysł — przyznał miłosiernie Althalus, naciągając kaptur z wilczymi uszami.

— Zimno ci? — zdziwił się Galbak.

— Wieje mi w kark.

Pół godziny później czterech złodziei zebrało się w stajniach.

— Coś złego? — zaniepokoił się Ghend.

— Przeciwnie. Właśnie rozmawiałem z Galbakiem. Powiedział mi, że w dniu, kiedy na wzgórzach za rzeką stopi się śnieg, Arumczycy tradycyjnie obchodzą urodziny wodza. A przez obchody rozumie się tu przede wszystkim ostre picie. Nie moglibyśmy wymarzyć sobie lepszej pory. Nim zajdzie słońce, w całym forcie nie znajdzie się ani jeden trzeźwy Arumczyk, a o północy wszyscy będą już chrapać. Choćby fort się zawalił, nikt nic nie zauważy.

— Jak na zamówienie, co? — Khnom uśmiechnął się szeroko. — Oni skończą świętować, a my zaczniemy!

— A rano będą mieli takiego kaca, że nie będą w stanie nas ścigać — cieszył się Gher.

— To wprawdzie dość osobliwy prezent — zauważył Ghend ze złośliwym uśmiechem — ale dzięki niemu Gosti do końca życia nie zapomni tych urodzin.

— Był przecież dla nas dobry — powiedział Althalus — więc coś jesteście mu winni. Przygotowania zajmą im około tygodnia, toteż i my będziemy mieli dość czasu. Tylne drzwi szopy nie mają już takiego znaczenia, ale i tak się nimi posłużymy. Nie ma sensu przejeżdżać przez całą wioskę na zewnątrz palisady, skoro nie musimy. Chcemy zostawić ślady na drodze, a nie w pamięci mieszkańców. Aha, jeszcze jedno. Po zimie spędzonej w stajni nasze konie mogą być nieco niesforne, więc dobrze byłoby trochę je przegonić, zanim nadejdzie wielki dzień. Przypuszczam, że zabraknie nam wtedy czasu na wyjaśnianie koniom, co jest grane.

— O wszystkim myślisz, co? — zauważył Ghend.

— Przynajmniej się staram. To najlepszy znany mi sposób na uniknięcie stryczka.

— A może dekoracje? — spytał nagle Gher.

— Jakie dekoracje? Nie rozumiem cię, chłopcze — rzekł Khnom.

— No bo... jeśli udamy, że idziemy po gałęzie czy inne takie do dekoracji tej wielkiej izby, gdzie wszyscy jedzą i piją, to będzie świetna okazja do przewietrzenia koni, nie? Pomożemy w szykowaniu uczyty i nikomu nie przyjdzie do głowy, że chodzi nam o coś innego niż o dobrą zabawę.

— Sprytnie! Bardzo sprytnie — przyznał Ghend. — Dzięki temu będziemy mogli przyjrzeć się drogom ucieczki w świetle dnia.

— Podsunę to Galbakowi — powiedział Althalus. — Ale teraz wracajmy, nim ktoś za nami zateškni. Niech wszyscy mają oczy i uszy otwarte. Jesteśmy blisko celu, więc zwracajmy baczną uwagę na to, co się dzieje. Nie trzeba nam niespodzianek w dniu urodzin Gostiego.

Althalus i Gher zaczęli, aż Ghend z Khnomem przejdą przez dziedziniec, a potem wolnym krokiem podążyli do szopy.

— Skakałeś kiedy z poddasza na siano? — spytał Althalus chłopca.

— A po co? — zdziwił się Gher.

— Dla zabawy. Ale jak chcesz mieć miękkie siano do lądowania, to najpierw musisz przenieść tę kopę spod tylnych drzwi pod krawędź stryżku.

— To mnóstwo siana, Althalusie — narzekał chłopiec.

— Nikt cię nie pogania. Właściwie nie musisz tego robić przed ucztą, a gdyby ktoś cię nakrył, powiesz, że chciałeś tylko poskakać z góry.

— Będzie z tym koszmarnie dużo roboty!

— Ale za godziwą zapłatę. Wytłumaczę Galbakowi, że małym chłopcom zawsze nudzi się pod koniec zimy. Gdyby się domyślił, dlaczego naprawdę to robisz, pewnie nie byłby zachwycony.

— Czemu tylko ja mam za wszystkich tyrać?

— To należy do twojej edukacji. Poza tym przyda ci się trochę ruchu.

— Srogi jesteś, Althalusie.

— Taki mam zawód. Ktoś musi usunąć to siano sprzed drzwi. Gdybym wziął się do tego ja albo Ghend, Arumczycy mogliby nabrać podejrzeń, a na ciebie nikt nie zwróci uwagi. Pomyślą, że się bawisz.

Około południa następnego dnia Galbak wyszedł na dziedziniec i zerknął z ukosa na strome wzgórze za rzeką.

— No, prawie, prawie... — powiedział. — Urodziny Gostiego odbędą się za pięć dni.

Członkowie klanu zaczęli wiwatować.

— Zdążymy ze wszystkim na czas? — spytał niespokojnie Khnom.

— Prawdopodobnie — odrzekł Althalus. — Musimy tylko mocno poganiać konie. Ale nie rozjeżdżajmy się całą grupą. Teraz, kiedy wielki dzień się zbliża, nie powinni nas widzieć razem nawet przez kilka minut. Jak tam twoje siano, Gherze?

— Wciąż jest go cała kupa. To naprawdę straszna harówka.

— Zobaczymy, może zorganizuję ci jakąś pomoc.

— Jak chcesz to zrobić?

— Obserwuj mnie, chłopcze — rzekł Althalus ze złośliwym uśmieszkiem. — Patrz i ucz się!

Kiedy wrócili do dworu, Althalus chichotał w kułak.

— Co cię tak rozśmieszyło? — spytał Galbak ciekawie.

— Mój młody przyjaciel. Czy zauważyłeś, że kiedy każesz małemu chłopcu wykonać jakąkolwiek pracę, ten zaraz zaczyna dąsać się i narzekać?

— Nigdy nie zwracałem na to uwagi, ale teraz, kiedy o tym wspomniałeś... faktycznie myśl o pracy jakoś dziwnie uwiera młodych ludzi.

— Ale wystarczy całą rzecz przedstawić jako dobrą zabawę i zaraz zdolni są przenosić góry. Opowiedziałem Gherowi, co wyprawiałem w dzieciństwie razem z braćmi, i zdaje się, że rozpałiłem mu wyobraźnię. Mieliśmy na naszej farmie starą szopę i przez całą zimę skakaliśmy z góry na sterty siana. Spadanie to dobra zabawa, pod warunkiem że ląduje się na czymś miękkim, więc Gher uznał, że warto popróbować, no i właśnie przenosi tę wielką kopę pod krawędź stryszku.

— A to czort! — zaśmiał się Galbak.

— Powiadam ci, siano aż fruwa!

— A co robiliście po zeskoczeniu? — spytał jakiś Arumczyk.

— Właziliśmy z powrotem po drabinie i skakaliśmy znowu. Bawiliśmy się tak całymi tygodniami. Jeśli się nie ma skrzydeł, nie można bardziej przybliżyć się do latania.

— No, no...

Kiedy Gher następnego dnia zjawił się w stodole, zobaczył, że cała armia pomocników usuwa siano spod zapomnianych drzwi. Potem rozpoczęły się skoki i w krótkim czasie stara stodoła stała się najpopularniejszym miejscem w całym obejściu. Gherowi bynajmniej się to nie podobało.

— W ogóle nie mogę dostać się na górkę, bo Arumczycy cały czas okupują drabinę i nie dają mi skakać!

— Nie marudź — upomniął go Althalus. — Przecież wykonali za ciebie robotę, prawda? Chodź, rozpętały konie. I tak muszę pogadać z Emmy.

Wyjechali z fortu „poszukać dekoracji” i gdy tylko znaleźli się wśród drzew, Althalus spojrzął w górę.

— Em, muszę się z tobą zobaczyć — rzucił w powietrze.

— Zabierz ich do Domu, Eliarze — usłyszał tuż nad głową i po chwili zobaczył Arumczyka na ścieżce.

Obaj z Gherem uwiązali konie i pośpieszyli za Eliarem do pokoju na wieży.

— Czy coś się stało? — spytała figlarnie Dweia.

— Na jak długo potrzebujesz Księgi Ghenda? Bo jeśli na dłużej niż parę minut, to musimy się zastanowić, jak Gher ma odwrócić uwagę Khnoma.

— Za bardzo się przejmujesz, skarbie. Przecież wiesz, że czas inaczej tu płynie niż tam, ale wciąż o tym zapominasz.

— Więc daj mi klapsa. Po prostu muszę mieć pewność, że żaden sznurek nie dynda luzem. Pozwól, że wszystko posprawdzam, a ty mi powiesz, czy o czymś nie zapomniałem.

— No dobrze.

— Kradzieży dokonamy o północy, podczas urodzin Gostiego. Do tego czasu wszyscy w forcie będą jak nieżywi, osobiście tego dopilnuję.

— Właśnie chciałem cię o coś zapytać — wtrącił Bheid. — Natknąłem się już na takich, co to przez okrągły tydzień żłopia mocne piwo, a jednak trzymają się na nogach. Co będzie, jeśli któryś z ludzi Gostiego odznacza się tą samą krzepą?

— Pracuję nad tym, bracie Bheidzie. Pamiętaj Nitralla?

— Oczywiście, to diuk Maworu. Ten, który miota płynnym ogniem na oblegających jego miasto.

— Ten sam. Otóż ów „płynny ogień” jest mieszanką wrzącej smoły, siarki, nafty i pewnego płynu, który piwowarzy wygotowują ze zwykłego piwa. To właśnie jemu piwo, wino czy miód zawdzięczają swą moc i z jego powodu ludziom kręci się w głowie i mięką kolana. Miód na urodzinowej uczcie Gostiego będzie na tyle mocny, by ustać bez pomocy kubka. Po takim poczęstunku do północy wszyscy będą spali, mogę ci to zagwarantować.

— Typowe! — syknęła Leitha.

— Przecież nikogo nie będę zmuszał — tłumaczył się Althalus z niewinnym spojrzeniem szeroko otwartych oczu. — Zechcą, to wypiją, ich sprawa. Idźmy jednak dalej. Chcę zaproponować Ghendowi, żebyśmy samego rabunku dokonali tylko we dwóch, a Gher z Khnomem niech w tym czasie osiodłają konie i otworzą tylne drzwi stodoły. Muszę być pewny, że kradzież potrwa dostatecznie długo, by Gherowi udało się zmylić Khnoma, przekazać Księgę Ghenda Eliarowi, a potem, kiedy Emmy ją odda, podrzucić z powrotem do juków Ghenda. Wtedy razem

z Ghendem przeniesiemy złoto do stajni, przytroczymy je do siodła i wszyscy wyjedziemy przez tylne drzwi. Na zewnątrz fortu się rozdzielimy. Ghend z Khnomem ruszą w kierunku Hule, a Gher i ja „damy”, że jedziemy na południe, do Treborei. Kiedy tamci znikną nam z oczu, przekażemy naszą część złota Eliarowi, żeby przeniósł je tutaj, a potem wślijniemy się z powrotem do fortu i położymy spać. — Umilkł na chwilę. — Czy ktoś widzi w tym jakieś luki?

Nikt się nie odezwał.

— No to w porządku. Rano udam, że jestem niedysponowany i „przypadkiem” zauważę, że Ghend i Khnom zniknęli. Potem „przypomnę sobie”, że widziałem, jak Ghend koło północy przemykał się przez dziedziniec, ugięty pod jakimś ciężarem.

— I to wystarczy? — spytała Andina. — Jeśli zamierzasz wszystkich zatruć, będą znacznie bardziej niedysponowani niż ty.

— To w zasadzie nie jest trucizna — zaprotestował Althalus.

— Czyżby? Chodziło mi o to, że jeśli okażesz się zbyt subtelny, wcale nie rozumieją, co do nich mówisz.

— Więc będę musiał wyrażać się jaśniej. Potrafię osiągnąć cel, Andino, możesz mi wierzyć. Zanim słońce na dobre wstanie, wszyscy ludzie Gostiego rzucają się w pogoń za Ghendem.

— A jednak jest w tym pewna luka, tatuśku — odezwała się Leitha. — Czy nie kazałeś Ghendowi trzymać się z dala od północnego traktu?

— Oczywiście, tak kazałem. Inaczej zobaczyłby ślady, które zamierzam wydeptać po to, żeby ludzie Gostiego je odnaleźli... albo te, które zostawię od tylnych drzwi stodoły do północnego traktu. Będą na tyle wyraźne, że nawet ślepiec trafi za Ghendem. I na tym kończy się moja rola. Reszta to sprawa Ghera.

— Jakie masz plany, Gherze? — spytała Leitha.

— Jeszcze nie jestem pewien, ale coś wymyślę. — Rzucił jej chytre spojrzenie spod nastroszonej czupryny. — Zaufaj mi — dodał, do złudzenia małpując ton Althalusa.

— No nie! — westchnęła Leitha. — Ty także?

— To należy do mojej edukacji — odrzekł Gher ze złośliwym uśmiechem.

Dzień poprzedzający urodziny Gostiego był pogodny i słoneczny, ale na twarzy Galbaka malował się smutek.

— Co cię trapi, przyjacielu? — zagadnął go Althalus.

— Zaplanowałem na jutro niespodziankę dla Gostiego, ale chyba nie wypali.

— Jaką niespodziankę?

— Pomyślałem sobie, że byłoby śmiesznie, gdybyśmy obudzili go rano, zanieśli do stodoły i zrzucili z góry na siano...

— To dobra rozrywka dla ciebie, ale nie sądzę, by spodobała się Gostiemu. A czemu zmieniłeś zdanie?

— Podłoga stodoły mogłaby nie wytrzymać jego ciężaru. Takie skoki to świetna zabawa, ale gdyby przeleciał przez podłogę i spadł na kupę gnoju, nie byłoby mu miło.

— Masz rację — zgodził się Althalus. — Ale wyobrażasz sobie jego minę?

Kiedy wrócili już z Gherem do swej pozbawionej sprzętów izby, przemówił do niego milcząco Eliar:

Właśnie dodałem do miodu twój wywar.

Ale chyba nie do całego miodu?!

Nie. Zaprawiłem tylko dziesięć baryłek na samym końcu magazynu. W tych z przodu jest zwykły miód, który wypiją najdalej do wieczora. Do specjalnego nie dobiorą się wcześniej niż po kolacji.

Doskonale. — Althalus zatarł ręce. — *Nie chcę, żeby wcześniej upili się w trupa, bo jak ktoś zasypia w południe z nadmiaru trunku, to przed północą może się obudzić. A spróbowałeś tego specjału?*

Emmy mi nie pozwoliła — wyznał Eliar z lekkim zawodem w głosie.

Chyba wpadnę do kuchni i sprawdzę, czy rzeczywiście jest dostatecznie mocny.

— Althalus zawahał się nieco. — *Nie musisz wspominać o tym Emmy.*

Ona stoi tuż obok, Althalusie.

Tak? Cześć, Em! Jak mija dzionek?

Mój całkiem niezłe — odpowiedziała — *ale twój może zejść na psy, jeśli nie zaniechasz degustacji.*

Czy to groźba, Em?

Nie, Althalusie, to obietnica.

Althalus z nieodstępującym go na krok Gherem poszedł do kuchni. Zaczerpnął miodu najpierw z baryłki z pierwszego rzędu, a potem z ostatniego. Pierwszy róg smakował znakomicie, po drugim zabrakło mu tchu i łyzy stanęły w oczach.

— Czy Eliar zrobił dobrze? — wyszeptał Gher.

— O tak — sapnął Althalus, z trudem łapiąc powietrze.

— A ludzie Gostiego nie zauważą różnicy?

— Raczej nie. Zanim dotrą do tych dziesięciu baryłek, będą mieli już niezłe w czubie i nawet nie zorientują się, co piją. — Zerknął w stronę drzwi. — Pod koniec dnia możesz zanieść kilka rogów miodu strażnikom skarbcu. Zaczynij od zwykłego, a potem zmień go na mocny. Ghend czasem zanadto śpieszy się do noża, więc niech dobrze zasną, nim zaczniemy robotę. Nie sądzę, żeby ktoś we dworze był na tyle trzeźwy, by skontrolować strażników, ale nigdy nic nie wiadomo. Gdyby Ghend poderzwał im gardła, nawet najbardziej zalany Arumczyk podniesie alarm.

— Zawsze przy kradzieży trzeba myśleć o tylu rzeczach? Wydaje się, że ostatnio policzyłeś nawet liście na tym drzewie przed bramą.

— Aż tak daleko się nie posunąłem, ale kiedy planujesz skok, musisz zawsze rozważyć wszystkie możliwości. Złodziej, który myśli naprzód, pozostaje w przedzie.

— Zapamiętam to.

— No i dobrze. Chodźmy teraz do ludzi z klanu. Gosti powinien niebawem się obudzić. Od sześciu godzin nic nie jadł i zwykle dłużej nie wytrzyma.

— Dlatego sypia na krześle, nie?

— Owszem, między innymi dlatego, ale co gorsza, on nie może już chodzić. Prawie się nie rusza, a waży tyle co koń. Wątpię, czy nogi go jeszcze utrzymają.

Obchody urodzinowe z początku były dość formalne. Galbak wygłosił napuszoną mowę, którą zakończył toastem za zdrowie wielkiego wodza.

Słowo „toast” przyjęto wybuchem entuzjazmu.

Gosti rozpromienił się na krótko, po czym rzucił się łapczywie na śniadanie.

Althalus odczekał, aż tłścioch zaspokoi pierwszy głód połową szynki, po czym rozparł się wygodnie na krześle i zaczął:

— Hej, Gosti, czy opowiadałem ci już historyjkę o wariacie, którego spotkałem w północnym Kagwherze?

— Nie, chyba nie — odparł Gosti z namysłem, nie przestając żuć. — Zresztą skąd wiesz, że to wariat? Nigdy nie widziałem Kagwherczyka, który by nie był lekko stuknięty.

— Ten okazał się bardziej stuknięty od innych. Błąkał się w pobliżu Krawędzi Świata i cały czas rozmawiał z bogiem. Wiem, że mnóstwo ludzi robi to samo, ale tamten gość wierzył, że bóg mu odpowiada.

— Rzeczywiście, wariat.

— Opowiedz nam o nim, Althalusie — poprosił jeden z zebranych przy stole.

— Dobrze. Działo się to dość dawno temu, kiedy wybrałem się z Hule do Kagwheru w interesach. Pewnego ranka w pobliżu Krawędzi Świata obudził mnie czyjś głos...

Rozwodził się przez jakiś czas na temat owego starca, po czym zaczął snuć czyste fantazje, z grubsza tylko powiązane z prawdą.

W miarę upływu czasu biesiadnicy zachowywali się coraz bardziej hałaśliwie, raz po raz wybuchały awantury, a wreszcie i bójki. Dobry humor powrócił dopiero w porze kolacji, kiedy wniesiono pierwsze baryłki doprawionego miodu.

Po godzinie zaczęły się śpiewy, a wkrótce potem dało się słyszeć chrapanie.

— Zanieś więcej tego mocnego miodu strażnikom — polecił szeptem Althalus Gherowi. — A potem idź osiodłać konie.

— Dobra.

— Wiesz, co masz robić, prawda? Musisz odwracać uwagę Khnoma, dopóki Księga nie trafi do Emmy.

— Zajmę się tym, Althalusie.

Zaraz po wyjściu Ghera z sali wymknął się Khnom. Po paru minutach Althalus nieznacznie skinął na Ghenda.

Człowiek o płonących oczach nasunął hełm i chyłkiem opuścił towarzystwo.

Althalus policzył wolno do stu, po czym wstał, przyjrzał się pijanym Arumczykowi i także ruszył do drzwi.

— Co tak zwlekałeś? — szepnął Ghend.

— Musiałem mieć pewność, że nikt nie jest przytomny. Bierzmy się do roboty.

Podążyli korytarzem do trzech schodków wiodących do drzwi skarbcza. Tuż przed wejściem leżeli strażnicy, chrapiąc donośnie.

— Zabijemy ich? — spytał Ghend.

— Wykluczone — odparł stanowczo Althalus. — Trupy ściągają uwagę, a to ostatnia rzecz, jakiej nam trzeba. Po kradzieży zamknę skarbiec z powrotem i zostawię wszystko tak, jak było. Przy odrobinie szczęścia miną ze trzy dni, zanim ktoś zajrzy do środka, więc zyskamy spore wyprzedzenie.

— Sprytnie — rzekł Ghend z podziwem.

— Miło, że ci się podoba.

Althalus wszedł na schodki i przyjrzał się prymitywnemu zatraskowi.

— Jakież kłopoty? — zaniepokoił się Ghend, lecz Althalus tylko prychnął.

— Nawet Gher otworzyłby ten zamek. — Wyciągnął z buta długą igłę z brązu, pogrzebał nią w zamku i już po chwili rozległ się cichy trzask. — Gotowe! — rzucił krótko, uchylając ciężkie drzwi. — Wchodź, wolę zostawić tylko szparkę.

Ghend skinął głową i wśliznął się do środka.

Althalus wyjął z kółka na ścianie płonącą latarnię i wszedł za nim, zamykając za sobą drzwi. Podniósł wysoko pochodnię i po raz pierwszy rozejrzał się po skarbcu.

Pod ścianą piętrzyły się skórzane worki — było ich sporo.

— Dosyć długo to potrwa — zmartwił się Ghend.

— Wątpię — sprzeciwił się Althalus. — Nawet taki bałaganiarz jak Gosti nie trzyma miedzi i złota na tym samym stosie. — Zatknął latarnię w sterzącym ze ściany uchwycie i potrząsnął jednym z worków. — Miedź!

— Skąd wiesz?

— Poznaje po dźwięku. Złote monety brzmią dźwięczniej niż miedziaki. — Althalus potrząsał workami. — O, proszę! — wykrzyknął triumfalnie. — Ten wygląda jak wypełniony piaskiem, ale jest znacznie cięższy.

— Piaskiem?

— Poszukiwacze złota nie mają sprzętu do topienia kruszcu i lania sztab, więc płacą myto złotymi płatkami. Tylko ci, którzy idą w drugą stronę, dają monety. — Althalus rozwiązał worek, wsunął dłoń do środka i wyciągnął garść żółtych płatków. Potem wsypał je z powrotem, puszczając z góry niczym złoty deszcz. — Ładne, co?

Ghend zastygł w miejscu jak porażony, tylko oczy rozbłyły mu jeszcze mocniej.

— Pomóż mi posortować, bo jeszcze zabierzemy przez pomyłkę worki miedzianków.

— Jasne.

Sortowanie zajęło im około kwadransa. Worki ze złotem ułożyli na stole pośrodku skarbcza.

— To chyba wszystko — orzekł w końcu Althalus. Podniósł z namysłem wór złotego piasku. — Około pięćdziesięciu funtów!

— Co z tego?

— To, mój współniku, że mamy cztery konie, a jeśli przypadkiem ludzie Gostiego zbudzą się wcześniej i zaczną nas ścigać, nasze rumaki powinny mknąć raczej niczym spłoszone jelenie. Możemy im wsadzić na grzbiety najwyżej po dwa worki. . . ewentualnie cztery na konia Ghera, ale z tego w przyszłości mogą wyniknąć kłótnie. Weźmy osiem worków i odpuśćmy sobie resztę.

— Ale jest ich prawie dwadzieścia!

— Bierz, ile chcesz, Ghendzie, ale dodatkowy ciężar sprawi, że będziesz wolniej jechał i mogą cię złapać. Wtedy i tak nigdy nie wydasz swego złota.

— W stajniach są jeszcze inne konie.

— Ale ich zniknięcie zwróci jeszcze więcej uwagi niż ewentualne trupy strażników. Mamy szansę wyprzedzić pogoń o trzy dni. Jeśli zaczniemy zabijać ludzi i kraść konie, możemy pożegnać się z życiem. Ja tam wolę podróżować bez większych ciężarów, ale zachować głowę, a ty rób, jak chcesz.

Ghend westchnął ciężko.

— Chyba masz rację — rzekł z żalem.

— Złote monety są w oddzielnych workach — mówił Althalus. — Zabierzmy raczej te niż tamte z piaskiem. Monety można od razu wydać, natomiast piasek trzeba topić, a nigdy mi to dobrze nie szło. — Podeszedł do drzwi i wyjrzał na korytarz. — Nadal czysto. Zaczynajmy. Zaciągniemy worki na koniec korytarza i złożymy w kuchni. Gdy tylko je stąd wydostaniemy, zamknę drzwi. Potem przeniesiemy cały łup pod osłoną szop aż do stodoły z sianem. Nie sądzę, by w całym forcie znalazł się choć jeden przytomny człowiek, ale na wszelki wypadek trzymajmy się w cieniu.

— Dobra, chodźmy już.

Wzięli każdy po dwa worki, szybko zaciągnęli je korytarzem do kuchni i wrócili po następne. Kiedy wychodzili, Althalus postawił swoje na najwyższym schodku.

— Idź pierwszy — polecił Ghendowi. — Zaraz cię dogonię.

— Co chcesz zrobić?

— Chcę doprowadzić ten pokój do takiego stanu, w jakim go zastaliśmy. Jeśli Galbak przypadkiem tu zajrzy, wszystko powinno być na swoim miejscu. Przy

odrobinie szczęścia może minąć i tydzień, nim Gosti się zorientuje.

— Ale chytrze! — zachwycił się Ghend. — Tylko nie zwlekaj długo.

Odwrócił się i zaniósł swoje worki do kuchni, Althalus zaś wrócił do skarbcza i zamknął za sobą drzwi. Szybko rozwiązał kilka worków z monetami, wysypał zawartość na podłogę, dorzucił jeszcze worek płatków i wszystko wymieszał. Na koniec przewrócił stół.

— No, wystarczy — mruknął i opuścił skarbiec. Osadził latarnię w kółku z brązu i starannie zamknął drzwi na zatrzask.

— Szybko ci poszło — zauważył Ghend, kiedy Althalus wszedł do kuchni.

— Umiem się prędko poruszać, gdy muszę. Jeśli Galbak otworzy jutro skarbiec, zobaczy dokładnie to, na czym mi zależy. No, zabierajmy nasze łupy do stodoły. Nim słońce wzejdzie, będziemy już daleko stąd.

— Nie mam nic przeciwko temu.

Dźwignęli worki, wyszli przez kuchenne drzwi i ruszyli dalej w gęstym cieniu rzędu warsztatów.

— Co tak długo? — dobiegł ich nerwowy, niemal piskliwy szept Ghera. — Ja tu już wariuję!

— Uspokój się — rzekł Althalus. — Coś taki zły?

— Mamy kłopot!

— Ciszej! — syknął Ghend. — Co się stało?

— To się stało! — odparł zdenerwowany chłopak, wskazując nieruchomą postać leżącą przy wejściu do stajni. — To Khnom, na wypadek gdybyście go nie rozpoznali. Mieliśmy już wszystkie konie osiodłane i gotowe, kiedy napatoczył się ten pijany Arumczyk, mamrocząc coś o skakaniu na siano. Khnom próbował opowiedzieć mu jakąś bajeczkę o tym, co tu robimy, ale tamten był za bardzo pijany, żeby chciało mu się słuchać. Chyba myślał, że chcemy skakać pierwsi, więc rąbnął Khnoma drewnianym kubłem w łeb, no i Khnom poleciał na dół jak ktoś, kto stracił grunt pod nogami. Potem ten pijak wlaź na drabinę i sam zeskoczył ze stryszku, ale źle trafił i chyba złamał sobie kark, bo przestał oddychać. Nie wiedziałem, co robić, więc przykryłem go sianem. Khnom jeszcze dyszy, tylko nie mogę go ocucić. I co teraz będzie?

— Otwórz tylne drzwi — polecił Althalus. — My z Ghendem idziemy po resztę złota. Kiedy wrócimy, zdecydujemy, co dalej.

Ghend przez całą drogę do kuchennych drzwi kłął pod nosem.

— Że też musiało się zdarzyć coś tak głupiego!

— Może Khnom się ocknie, kiedy polejemy go wodą? — zasugerował Althalus. — Jeśli nie, to przywiążemy go do siodła i chyba będziesz musiał prowadzić jego konia. Nie możemy go zostawić, bo Galbak w ciągu minuty wycisnie z niego całą prawdę. Ale najpierw przeniesmy złoto, potem będziemy się martwić.

Zabrali pozostałe cztery worki i wrócili do stodoły.

— Poruszył się? — spytał Ghend chłopca.

— Nawet nie drgnął. Oblałem go zimną wodą, ale nic nie pomogło. Naprawdę zdrowo go walnął ten Arumczyk.

Ghend ukląkł przy nieprzytomnym towarzyszczu, zaczął szczypać go w nos i klepać po policzkach.

— Co się naprawdę stało, Gherze? — szepnął Althalus.

— To ja walnąłem Khnoma wiadrem — wyznał chłopiec. — On naprawdę jest podstępny i przyszło mi do głowy, że o mnie myśli tak samo. Że na przykład mógłbym podkraść się z tyłu i zakłuć go nożem czy coś... No więc szedłem właśnie do niego i nie pamiętałem, że trzymam w ręku to wiadro. Patrzył mi prosto w twarz i nawet się uśmiechał. Nie mrugnąłem okiem ani nic, tylko zakręciłem wiadrem młynka i rąbnąłem go z całej siły. Wyglądał na strasznie zdziwionego, kiedy padał na ziemię. Przyłożyłem mu jeszcze kilka razy, aż Emmy kazała mi przestać. Chyba ją to ubawiło, bo cały czas się śmiała. Potem powiedziała, że tak wszystko urządzi, żeby Khnom nie pamiętał uderzenia. — Gher wyglądał na lekko zawstydzonego. — To nie było zbyt wymyślne oszustwo, Althalusie, bo się nie skradałem na palcach ani nic takiego, tylko normalnie go rąbnąłem i już.

Althalus ze wszystkich sił powstrzymywał się od śmiechu.

— Dobrze zrobiłeś, Gherze — rzekł, kiedy już się opanował. — Naprawdę bardzo dobrze.

— Eliar zabrał Księżę Ghenda do Emmy, ale w mgnieniu oka był z powrotem. Chyba zrobiła to, co chciała, a Księża była na miejscu, jeszcze zanim walnąłem Khnoma.

— Zrobiliśmy więc, co do nas należało, i tylko to się liczy. Teraz przytroczyliśmy złoto do siodeł i przygotowujemy się do drogi.

ROZDZIAŁ 45

Gher wściekał się przy ładowaniu worków, mamrocząc przekleństwa w języku, którego Althalus nie potrafił rozpoznać.

— Mogło być gorzej, Ghendzie — pocieszał współnika. — Wprawdzie możesz wyglądać nieco dziwnie, prowadząc konia, ale jeśli Khnoma przywiążesz, to przynajmniej nie spadnie. My z Gherem dopilnujemy, by nikt za tobą nie jechał, więc nie będziesz musiał galopować.

— Może — warknął Ghend. — Wszystko szło tak gładko i nagle. . .

Althalus wzruszył ramionami.

— Takie rzeczy się zdarzają. Nie można wszystkiego przewidzieć. Zresztą naprawdę mogło być gorzej. A gdyby Arumczycy zabili Khnoma i wszczęli alarm?

— Pewnie masz rację. — Ghend podszedł do otwartych drzwi i zerknął w wygwieżdżone niebo. — Ile jeszcze godzin do rana?

— Co najmniej cztery. Wciąż mamy mnóstwo czasu.

— I na pewno przyjedziecie potem do Hule? Pamiętaj, że musimy pogadać o tej drugiej sprawie.

— Na pewno. Ty z Khnomem pojedziesz przodem i spotkamy się w obozie Nabjora. Dobrze nam się razem układa i pomysł współpracy coraz bardziej mi się podoba.

— Jak myślisz, kiedy tam dotrzecie?

— Dużo zależy od tego, kiedy biesiadnicy się ockną po pijaństwie. Gdybym zyskał ze dwa dni na starcie, wyprzedziłbyś nas tylko o jeden dzień, ale jeśli zrobi się gorąco, może to trwać i dwa tygodnie. U Nabjora znajdziesz dość rozrywek, więc czas ci szybko minie.

Podnieśli nieprzytomnego Khnoma i przywiązali do siodła.

— Jedź już — powiedział Althalus. — My uporządkujemy stodołę i spotkamy się z wami na skraju lasu.

— A co tu jest do porządkowania? — spytał podejrzliwie Ghend.

— Trzeba zostawić wszystko tak, jak było przed uczną. Wystarczy jedna rzecz nie na miejscu i ktoś się może zainteresować.

— A co zrobicie z trupem?

— Narzucimy na niego więcej siana. Jest jeszcze zimno, więc kilka dni wy-

trzyma, a kiedy Galbak wykryje, że odwiedziliśmy skarbiec, nie będzie to już miało większego znaczenia. Masz może sznurek?

— Sznupek?

— Muszę wymyślić jakiś sposób, żeby zasunąć od zewnątrz tę sztabę. Nie mogę zostawić za sobą otwartych drzwi, bo będą się ruszać na wietrze.

— Słusznie. — Ghend zaczął szperać przy jukach, wyciągając przy okazji Księgę.

Althalus wstrzymał oddech.

— Może być? — spytał Ghend, pokazując mu długi, cienki rzemyk.

— Powinien się nadać. Dzięki.

— Nie ma za co. — Ghend wsunął Księgę do worka i mocno go związał. — Tylko nie marudź tu zbyt długo, do rana chcę być daleko stąd.

I wyjechał przez tylne drzwi, prowadząc za sobą konia Khnoma.

— Coś tak drgnął przed chwilą? — spytał Gher Althalusa.

— Nie byłem pewien, czy nie zauważy jakiejś drobnej różnicy przy Księdze. Mogła się zmienić pod dotykiem Emmy.

— Chyba nie zamierzasz zamykać tych drzwi?

— Jasne. Po prostu chciałem podsunąć Ghendowi pomysł, zanim sam by na to wpadł.

Zaczął demonstracyjnie majstrować przy sztabie. Gwiazdy nie świeciły zbyt jasno, ale Ghend miał bardzo szczególne oczy i Althalus nie wiedział, jak jego wróg widzi w ciemności. Potem obaj z Gherem dosiedli koni i szybko pokonali krótki odcinek między fortem a pobliskim lasem, gdzie czekał na nich Ghend z nadal nieprzytomnym kompanem.

— No, to już wszystko — rzekł Althalus. — Jedź teraz wolniej, bo w czasie galopu Khnom może się zsuwać na boki. Musiałbyś się wciąż zatrzymywać, żeby go na nowo przywiązać, poza tym koń gotów się potknąć. Nadrobisz straty, kiedy twój przyjaciel się ocknie. Trzymaj się z dala od głównego szlaku i zachowuj się cicho podczas przejazdu przez wsie. My z Gherem zostawimy tu mnóstwo różnych śladów i narobimy dostatecznie dużo hałasu, aby przekonać Galbaka, że wszyscy pojechaliśmy na południe. Nie powinienes mieć żadnych kłopotów, ale mimo to uważaj.

— Dobrze. No to do zobaczenia w obozowisku Nabjora.

— Miłej podróży — pożegnał go Althalus i zawrócił konia. — Teraz na południe, Gherze.

— Tak jest!

Gdy tylko tamci zniknęli im z oczu, Althalus ściągnął wodze.

— Jesteś tam, Eliarze? — rzucił przez ramię.

— A gdzie mam być? — dobiegł go z tyłu głos przyjaciela.

— Mógł cię ktoś odwołać, Andina albo Bheid... Zaraz przekażę ci złoto, umieść je w bezpiecznym miejscu.

Althalusie... — zamruczał głos Dwei.

Tak, Em?

Wiesz, że mógłbyś zwrócić to złoto do skarbcza, prawda?

Nie pleć głupstw.

Przecież wcale go nie potrzebujesz. Masz własną kopalnię.

Ciężko na nie zapracowałem i nie zamierzam oddawać.

Cóż... Wiedziałam, że tak powiesz.

Althalus dźwignął kolejno worki nad głową i przekazał je w ręce Eliara, które nagle wyłoniły się znikąd. Potem obaj z Gherem wrócili do stodoły.

— Zaprowadzimy konie do stajni i rozsiodłamy — mówił Althalus, zakładając sztabę. — Potem pójdziemy do dworu i obudzimy Galbaka. Nie chcę, żeby Ghend zdążył zbyt daleko odjechać.

— A zostały na drodze jakieś ślady kopyt, żeby ludzie Galbaka nie musieli szukać?

— Są wyraźne ślady dwóch koni prowadzące na północ od tylnych drzwi stodoły do granic gruntów Gostiego. Nawet dziecko je zauważy.

— Jesteś pewien, że uda ci się Galbaka dobudzić? — pytał Gher, zdejmując koniowi siodło. — Wyglądał na ciężko zalanego, kiedy wychodziliśmy z sali.

— Eliar już się tym zajął. Będzie tak jak z Twengorem: Galbak odbędzie szybką podróż do pojutra, a kiedy Eliar sprowadzi go z powrotem, najgorsze skutki przepicia już miną. Wprawdzie Galbak nadal będzie się źle czuł, ale pojmie, co do niego mówię. — Althalus poklepał koński zad i zwierzę posłusznie zajęło miejsce w boksie. — No, zrozumiał. Chodźmy rzucić parę kłód pod nogi Ghenda.

— Już myślałem, że się nie doczekam.

— Kiedy będziemy we dworze, wślizniesz się do środka i położysz w pobliżu Galbaka.

— Mam dawać, że śpię?

— Właśnie. Wymyślę na poczekaniu jakąś historyjkę, ale bez związku z tobą. Ty masz tylko leżeć z zamkniętymi oczami, dopóki Galbak nie zacznie się drzeć, co niewątpliwie nastąpi, kiedy usłyszysz moją bajeczkę.

Gosti chrapał donośnie w swym masywnym krześle u szczytu stołu, a jego pobratymcy leżeli pokotem na podłodze. Althalus zauważył, że wśród powszechnego chrapania słychać też kilka jęków.

— Zaczynają przytomnieć — szepnął do chłopca. — Kładź się i ani mrumru!

— Dobra! — rzekł Gher, układając się w pobliżu Galbaka, który wiercił się niespokojnie przez sen.

Althalus dowlóknął się ciężko do stołu, przywołując na twarz zboląły wyraz. Ukłęknał przy kuzynie Gostiego i lekko nim potrząsnął.

— Hej, ty! — Czknął. — Chyba powinienes się obudzić.

Galbak zachrapał tylko w odpowiedzi.

Althalus szarpnął go mocniej.

— Obudź się! Coś złego się stało.
Galbak jęknął i przyłożył drżącą dłoń do czoła.
— O bogowie!
— Galbaku!!!
— To ty, Althalusie? Co... co się stało? — wykrztusił Galbak, tocząc mętным wzrokiem.
— Chyba trafiliśmy na jakąś kiepską partię miodu. Przez ostatnie pół godziny rzygałem jak kot. Ale na dziedzińcu zauważyłem coś dziwnego i powinienes o tym wiedzieć.
— Łeb mi pęka... — poskarżył się Galbak. — Daj jeszcze pospać, co? Rano mi wszystko opowiesz.
— Rano może być za późno — przekonywał go ze smutkiem w głosie Althalus. — Coś tu jest grubo nie w porządku i musisz sam zobaczyć. Obym się mylił, ale chyba zostaliście obrabowani...
— Co?! — Galbak usiadł i złapał oburącz za głowę. — Jasny piorun! — jęknął. — O czym ty mówisz?
— Obudziłem się niedawno ze strasznym bólem brzucha, więc wyczołgałem się na dziedzińiec i wywróciłem żołądek na drugą stronę. Zdarzało mi się czasem chorować, ale nigdy tak jak teraz. No i kiedy byłem już zarzygany po pas, zauważyłem, że nieopodal przemyka się dwóch ludzi z workami... chyba dość ciężkimi. Kiedy mijali pochodnię, poznałem Ghenda i jego sługę Khnoma. Rozglądali się trwożnie i najwyraźniej nie chcieli rzucać się w oczy. Nagle Khnom upuścił jeden z worków i usłyszałem brzęk... Mógłbym przysiąc, że zabrzmiało to tak, jakby worek był pełen monet.
Galbak oderwał ręce od głowy i słuchał z niedowierzaniem.
— No a potem — ciągnął pośpiesznie Althalus — weszli do stajni. Po paru minutach od strony stodoły z sianem rozległo się jakby skrzypienie drzwi i wreszcie tętent galopujących koni. Chyba powinienes zajrzeć do skarbcza Gostiego, bo chociaż w głowie ciągle mi się kręci i mogłem sobie to wszystko wyobrazić, zawsze lepiej się upewnić...
Galbak z trudem dźwignął się na nogi, ale zaraz zgiął się wpół i dostał gwałtownych torsji.
— Chodź ze mną — warknął, gdy już doszedł do siebie.
Ruszyli korytarzem do schodków przed skarbcem. Strażnicy dalej chrapali w najlepsze; Galbak przestąpił nad nimi, szarpnął drzwiami i nagle się zaśmiał.
— Aleś mnie przestraszył! Omal mi dusza w pięty nie uciekła. Drzwi nadal są zamknięte, więc nic się nie stało. Musiał ci się jakiś koszmar przyśnić.
— A jednak radziłbym ci sprawdzić. Miewałem już złe sny, ale jeszcze żaden nie wiązał się z rzyganiem. Poczujęm się znacznie lepiej, gdybyś choć rzucił okiem.

— Może i masz rację — ustąpił Galbak. — W końcu to nic nie kosztuje. — Z woreczka przy pasie wyciągnął duży brązowy klucz, przekreślił go w zamku i zdjął ze ściany pochodnię. Potem pchnął drzwi i wszedł do środka.

Althalus pozostał na zewnątrz, kryjąc chytry uśmieszek. Stos monet na podłodze i przewrócony stół powinny przemówić same za siebie.

Galbak wypadł ze skarbcza, klnąc ile wlezie.

— Miałeś rację! Chodź ze mną!

Althalus podążył za rosnącym Arumczykiem z powrotem do sali.

— Wstawać! — ryknął Galbak, bezceremonialnie kopiąc współbiedniaków. — Okradzione nas!

— Co mówisz, Galbaku? — spytał sennie Gosti.

— Włamali się do skarbcza! Ktoś otworzył zamek i dostał się do środka! Na podłodze pełno monet, a kilka worków zniknęło!

— Upiłeś się i tyle — burczał Gosti. — Przecież główna brama jest zamknięta, nikt nie mógł wejść do fortu.

— Oni już w nim byli, durniu! To Ghend i ten drugi! Althalus widział, jak przemykali się z workami na plecach! — Znów zaczął rozdawać kopniaki. — Do stajen, siodłać konie! Nie mogli daleko ujechać! No, ruszcie się!

— Czy ktoś mi powie, co tu się dzieje? — spytał Gosti.

— Powiedz mu, Althalusie — rzekł Galbak.

— Obudziły mnie mdłości. Dowlokłem się na dziedziniec, gdzie pozbyłem się mnóstwa znakomitego miodu, i tam zobaczyłem tego... Ghenda, co to niby pochodzi z Regwosu. Skradał się ze swoim sługą przez dziedziniec, a wyglądali jak para kurczaków, które wymknęły się z kurnika. Ludzie nie skradają się w ten sposób, chyba że mają coś do ukrycia, więc zacząłem ich obserwować. Tuż przed wejściem do stajni Khnom upuścił na ziemię coś, co wyraźnie zabrzęczało. Potem obaj weszli do stajni, a po kilku minutach usłyszałem galop koni oddalających się na północ.

— Widziałeś, jak przejeżdżali przez główną bramę? — spytał Gosti.

— Nie... Tylko słyszałem tętent koni.

— Więc musiał to być ktoś inny. Nie ma z fortu innej drogi jak przez główną bramę.

— Mylisz się, Gosti — odezwał się siwowłosy Arumczyk, Egnis, jak przypomniał sobie Althalus. — W stodole z sianem są tylne drzwi. Nikt ich nie używał od lat, jednak nadal istnieją. Pewnie zostały zabite deskami, ale Ghend miał dość czasu, by sobie z nimi poradzić.

— Galbak! — wrzasnął Gosti. — Idź do skarbcza i sprawdź!

— Przecież już to zrobiłem! Obrabowali cię, kuzynie!

— Ścigajcie tych łajdaków! — ryczał Gosti. — Odbierzcie im moje złoto!

— Właśnie się staram, ty tłusty kretynie!

— Czysta robota — mruknął Gher.

— Miło mi to słyszeć — szepnął Althalus.

— Co teraz zrobimy?

— Ty zostajesz tutaj. Gdyby kto o mnie pytał, powiesz, że wyszedłem na dwór, bo znów chwyciły mnie torsje. Nie przyłączymy się do pogoni, nie chcę, żeby Ghend widział nas wśród ścigających.

Galbak postawił towarzystwo na nogi, nie szcędząc przy tym przekleństw i kopniaków. Nie minął kwadrans, jak wszyscy siedzieli na koniach i okrążali dziedziniec. Zwiadowcy Galbaka odnaleźli ślady, które Althalus wydeptał pracowicie między drzwiami stodoły a traktem prowadzącym wzdłuż koryta rzeki. Otwarto główną bramę i pogoń z Galbakiem na czele ruszyła za złodziejami.

Chociaż wszystko szło dokładnie według planu, Althalus, wchodząc z powrotem do sali, czuł się dziwnie nieswojo. Naprawdę polubił Galbaka i wcale nie był dumny, że wykręcił mu taki numer. Prawda, że postępował zgodnie z założeniami chwalebego celu, ale mimo wszystko...

— Galbak ma wszelkie szansę, by ich złapać — powiedział Gostiemu. — Złodzieje wyprzedzają ich raptem o godzinę i nie znają okolicy. — Tu posłał tłusciochowi przebiegły uśmieszek. — Może cię zdziwi to, co powiem, ale chciwość Ghenda działa właściwie na naszą korzyść.

— Jak to?

— Złoto jest bardzo ciężkie, a Galbak mówił, że brakuje około ośmiu worków.

— Osiem worków! — jęknął Gosti.

— Lepiej by było, gdyby Ghend okazał się jeszcze bardziej chciwy, ale osiem zupełnie wystarczy. Złodzieje mają tylko dwa konie, które pod takim obciążeniem będą szły dość wolno. Galbak ze swymi ludźmi dogoni ich jeszcze dziś po południu.

— To ma jakiś sens — przyznał z wyraźną ulgą Gosti i jego tłustą twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

— Złoto cię musi lubić. Zauważ, jak współpracuje z tobą i Galbakiem w pogoni za złodziejami.

— Prawda? Wcześniej nie przyszło mi to do głowy.

— Widocznie złoto jest ci przeznaczone, skoro do ciebie wraca.

— Podoba mi się twój sposób myślenia, Althalusie.

— Nigdy nie zawadzi patrzeć z jaśniejszej strony.

Althalus i Gher pozostali na dworze Gostiego jeszcze przez dwa dni po rabunku. Tłuscioch był coraz bardziej zbolały, gdyż wysłannicy Galbaka jakoś nie przynosili dobrych nowin.

— No, chyba czas nam się zbierać — rzekł na trzeci dzień Althalus do Ghera.

— Przeprowimy się przez most i spotkamy z Eliarem na drugim brzegu. Potem wrócimy do Domu.

— Myślałem, że mamy jechać do Hule i czekać na Ghenda.

— Pogadam o tym z Emmy. Pomajstrowaliśmy trochę przy rzeczywistości i może trzeba przywrócić ją do poprzedniego porządku, nim zapanuje pełny bałagan. Na razie można powiedzieć, że otworzyliśmy jedną nową możliwość. Jeśli posuniemy się żdziebko dalej, wyniknie tuzin następnych. Z dwiema sobie poradzę, ale kilkanaście może się okazać ponad moje siły.

— Ale tak byłoby śmieszniej! — Gherowi rozbłyły oczy.

— Nic mnie to nie obchodzi — odparł twardo Althalus.

Zebrali swoje rzeczy i poszli do Gostiego.

— Naprawdę chętnie byśmy zostali — tłumaczył się Althalus — ale na wiosnę mam się spotkać z kimś w Maghu. Mój znajomy bardzo by się zdenerwował, gdybym przetrzymał go do lata, tym bardziej że to straszny zrzęda i nie znosi opóźnień, a mamy na uwadze pewien interes.

— Rozumiem, Althalusie.

— Chcielibyśmy przejechać przez twój most, ale u mnie krucho z pieniędzmi, więc...

— Dam znać poborcom, w końcu wiele ci zawdzięczam. Twoje historyjki rozjaśniły mi całą paskudną zimę, no i to ty wykryłeś kradzież. Gdybyś wtedy nie wypatrzył Ghenda na dziedzińcu, moglibyśmy żyć w nieświadomości jeszcze dobry tydzień.

— Spodziewałem się, że spojrzysz na to od tej strony. Kiedy następnym razem będziemy tędy przejeżdżać, na pewno do ciebie wpadniemy i wówczas ty mi opowiesz, jak Galbak złapał Ghenda i przybił go do drzewa wilkom na pożarcie.

— Nie sądzę, by to zrobił.

— Mógłbyś podsunąć mu pomysł przez następnego posłańca.

Gosti uśmiechnął się złośliwie.

— To by była historia, co?

— Owszem, i gdyby nabrała rozgłosu, to dużo wody upłynęłoby w rzece, nim ktokolwiek dokonałby podobnego rabunku.

Althalus z Gherem poszli do stajen, osiodłali konie i opuścili fort. Poborca przy moście machnął im tylko ręką.

— Całkiem niezłe nam poszło, no nie? — zagadnął Gher już na drugim brzegu rzeki.

— Prawie idealnie — przyznał Althalus. — Tylko wolałbym nie wpuszczać Galbaka w maliny.

— Czemu się tym przejmujesz?

Althalus wzruszył ramionami.

— Polubiłem faceta i po tym, jak go potraktowałem, czuję niesmak.

— Eliar na nas czeka! — pokazał palcem Gher. — Jeśli się pośpieszymy, Emmy może zrobi nam coś do jedzenia. Brakowało mi w zimie jej kuchni.

— Mnie także.

Eliar dał im znak, by jechali za nim do lasu.

— Emmy była pod wrażeniem — rzekł. — Naprawdę ucieszyła się z waszych sukcesów. Cały czas się śmiała, kiedy wodziliście Ghenda za nos.

— Ona ma artystyczny temperament, Eliarze, a to było prawdziwe dzieło sztuki. Jeszcze trochę, a zrobię z niej najlepszego złodzieja wszech czasów.

Wprowadzili konie przez drzwi do południowego skrzydła Domu i zaraz poszli na wieżę.

— Chwała zwycięskiemu bohaterowi! — powitała ich Leitha.

— Czemu tak mówisz? — spytał Althalus.

— Wyrażam swoje uczucie, tatuśku. — Uśmiechała się promiennie.

— Mogę zerknąć na twoją imitację Księgi, Em?

— Leży na tamtej marmurowej ławie, skarbie.

Althalus podniósł Czarną Księgę.

— Okładka jest dokładnie taka sama jak w prawdziwej.

— Naturalnie.

Otworzył wieko pudła, wyjął pierwszą stronę pergaminu i przyjrzał się jej uważnie.

— A jednak wydaje się nieco inna.

— Prawdopodobnie dlatego, że teraz umiesz ją odczytać.

— Może... Wtedy, gdy Ghend pokazał mi prawdziwą Księgę, nic z tego nie miało dla mnie sensu. Widzę, że niektóre słowa nadal są napisane na czerwono.

— Zmarszczył brwi. — Myślałem, że umiem przeczytać każde pismo, a jednak nie rozumiem znaczenia tych czerwonych słów.

— Bo tak naprawdę nie chcesz. Odłóż tę stronę na miejsce.

— Moglibyśmy sprawdzić, co porabia Ghend? — spytał Gher z nadzieją w głosie. — Założę się, że jest strasznie nieszczęśliwy.

— Dość nieszczęśliwy — skorygowała go Andina, uśmiechając się złośliwie.

— Czy nie postąpiłeś zbyt brutalnie z Khnomem? — zagadnął chłopca Bheid. — Nóż nakazał ci „oszukiwanie”, a nie „walenie po łbie”.

— Muszę się bardziej postarać — przyznał Gher, kiedy przeszli do południowego okna. — Nie chciałem zawieść Noża, ale musiałem usunąć Khnoma z drogi na dość długo, żeby zwinąć Księgę. I nagle przyszło mi na myśl, że „oszukuj” może znaczyć: „zrób coś, czego Khnom się nie spodziewa”, a przecież to, że dostanie w łeb, było ostatnią rzeczą, jakiej oczekiwał.

— Jest w tym jakaś nieubłagana logika — ustąpił Bheid.

— Sprawy biednego Ghenda mocno się pokomplikowały — oznajmiła Leitha od okna. — Galbak go pędzi w łachmanach, o, tam...

— Co za hańba — mruknął z roztargnieniem Althalus.

— Coś cię trapi, Althalusie? — spytała Dweia. — Myślałam, że się ucieszysz z takiego obrotu rzeczy.

— Bo tak jest... do pewnego stopnia. Wolałbym jednak przeprowadzić to nieco inaczej.

— Althalus przeżywa, że musiał wykołować Galbaka — wyjaśnił Gher. — Oni naprawdę się zakumplowali, a Althalus nie lubi kiwać przyjaciół.

— Moralność? — spytała Dweia.

— Raczej etyka — odrzekł Althalus. — Moralność i etyka różnią się od siebie, chyba to rozumiesz?

— Moje proporcje są nieco inne, skarbie. Może kiedy to wszystko się skończy, rozpatrzmy ten problem na przestrzeni wieków.

— Czy Khnom robi to samo co Eliar? — spytał Gher. — To znaczy, czy jest otwieraczem drzwi?

— Tak jakby — odparła Dweia.

— Więc dlaczego mają tam tyle kłopotów? Nam, gdybyśmy próbowali uciekać, wystarczyłoby tylko krzyknąć na Eliara, a on zaraz otworzyłby przed nami drzwi i znaleźlibyśmy się o setki mil dalej.

— To niezupełnie ich wina, chłopcze. Daeva trzyma swych agentów na bardzo krótkiej smyczy. Nie zależy mu na twórczym myśleniu, a na drzwi w Nahgharashu jest wyjątkowo uczulony. Nie chce, aby używano ich bez jego zezwolenia, a dla nieposłusznych ma bardzo surowe kary.

— Przecież to głupie!

— Tak rzeczywiście można z grubsza określić mojego brata. A właściwie ich obu.

— Dweio! — zgorszył się Bheid.

— Są głupi każdy na swój sposób, ale głupota to głupota, bez względu na to, jak próbujemy ją upiększać. I Deiwos, i Daeva większość czasu spędzają na manipulowaniu rzeczami... i ludźmi. Ja jestem nieco bardziej na luzie. Przekonałam się, że póki ludzie mnie kochają, wszystko układa się raczej po mojej myśli. — Spojrzała na Althalusa. — Czy w najbliższym czasie wybierasz się do Hule?

— Powinniśmy o tym pogadać. Em — odpowiedział poważnie Althalus. — Chyba już dość narozrabialiśmy.

— Jak to?

— Kiedy ostatnim razem Ghend odwiedził Nabjora, była wczesna jesień. Co będzie, jeśli teraz przyjedzie tam u progu lata? Czy jeśli zamówi u mnie kradzież Księgi, nie pojawię się w Domu o trzy miesiące za wcześnie? A wtedy co jeszcze się zmieni?

Zmarszczyła lekko brwi.

— Może masz rację. Parę faktów powinno pozostać bez zmian.

— To nie musi być specjalnie trudne — wtrącił Gher. — Trzeba tylko tak wszystko ustawić, żeby Ghend i Khnom nie wymknęli się tak łatwo Galbakowi. Możemy obserwować Ghenda z okna i za każdym razem, kiedy będzie próbował zatrzeć ślady kopyt, Eliar pojawi się z tyłu i porobi nowe, żeby Galbak mógł trafić. W ten sposób Ghend będzie miał naprawdę nerwowe lato i do obozu Nabjora dotrze w samą porę.

— Warto spróbować, Em — zgodził się Althalus. — Jeśli zrobimy to w ten sposób, nie musimy się śpieszyć do obozu Nabjora. Będę miał czas, żeby się wreszcie wykapać i włożyć na grzbiet coś czystego.

— Chyba zaraz zemdleje.

— Po co ten ton? Po paru wiekach człowiek przyzwyczaja się do kąpieli.

— I pozbędziesz się tej śmiesznej tuniki?

— Nigdy w życiu. Dość się nagimnastykowałem przez całą zimę, żeby tylko ją zachować.

— Zdawało mi się, że to, co robiłeś w zimie, miało na celu kradzież Księgi Ghenda.

— No, to także, ale głównie chodziło mi o tunikę.

Dwie westchnęła.

— Więc czeka nas dłuższa droga, niż sądziłam.

ROZDZIAŁ 46

— Jak dobrze znowu być w swoich stronach — cieszył się Gher, jadąc z Althalusem wczesną jesienią przez gęste lasy Hule. — Trochę mi brakowało drzew... ale to nie są już te same drzewa, co?

— Może te mniejsze jeszcze się zachowały.

— Czy drzewa naprawdę tak długo żyją?

— Niektóre tak.

— Tylko robią się coraz większe i większe?

— No, chyba jest jakaś granica.

— Gdzie właściwie jest to miejsce, do którego jedziemy?

— Na pewno je rozpoznasz, Gherze. Tam właśnie przyłączyłeś się do nas... tuż po tym, jak Eliar przyłapał cię na kradzieży naszych koni. To jedno z tych „niezwykłych miejsc”, na jakie czasem natrafiamy.

— Chcesz powiedzieć: „nawiedzonych”?

— Będziesz musiał pogadać o tym z Emmy. — Althalus podniósł wzrok na otaczające ich masywne drzewa. — Tyleśmy pozmieniali przez ten czas, ale drzewa wciąż są takie same i obóz Nabjora pewnie także. — Uśmiechnął się szeroko. — Naprawdę lepiej się teraz czuję. Wtedy miałem za sobą rok niewiarygodnego pecha. — Przekrzywił lekko głowę, nasłuchując dźwięku, który towarzyszył im, odkąd wjechali przez drzwi w granice Hule. — Tu także widzę zdecydowaną różnicę: poprzednio na każdym kroku prześladowały nas żalosne jęki, teraz to pieśń Eliarowego Noża...

— To znaczy, że jedziemy po zwycięstwo, tak?

— Trudno powiedzieć z całą pewnością, ale chyba tym razem jesteśmy do przodu. — Althalus spojrział na ścieżkę. — Obóz Nabjora jest tuż przed nami. Lepiej, żebyś nadal mówił bełkotliwie, tak jak u Gostiego. Ghenda tylko patrzeć, a on to na pewno pamięta. Dobry złodziej musi postępować logicznie. Zdolność wcielania się w kogoś innego należy do naszego zawodu.

— Mam dawać, że jestem nim, a nie sobą?

— Właśnie. Dobry złodziej musi mieć na podorędziu cały worek „dawanych” postaci. Stopniowo się z nimi zapoznajesz i w razie potrzeby wyciągasz tę, która ci najlepiej pasuje. — Althalus poskrobał się z namysłem w policzek. — Tym

razem posłużę się „Althalusem szczęściarzem”. Ostatnio potrafiłem gadać tylko o moim pechu, ale teraz z tym koniec.

— Znaczy, że przejmiesz dowództwo?

— Na tym właśnie polega cały pomysł. Poprzednim razem Ghend wszystkim sterował, teraz będzie tak, jak ja zechcę. Mniejsza o historyjkę, jaką zamierzam wymyślić dla Nabjora, i tak nie będzie w niej wiele prawdy.

— Chyba się mylisz, Althalusie. Zmieniamy różne rzeczy, więc każda historyjka, jaką komuś opowiadasz, jest wtedy prawdziwa. Tak naprawdę wcale nie udajesz?

Althalus zamrugnął gwałtownie.

— Na twoim miejscu — ciągnął Gher — przede wszystkim pozbyłbym się tych psów w domu bogacza w Deice. Gdyby nie było psów, wszystko potoczyłoby się inaczej, nie? Przyjemną stroną jest to, że możesz zmienić wszystko, co zdarzyło się w przeszłości, a co ci się nie podobało. To twój sen, więc możesz sprawić, że wyjdzie tak, jak ty chcesz. Nieważne, jaką historyjkę opowiesz, i tak okaże się prawdziwa.

— Znów przyprowadzasz mnie o ból głowy.

— To wcale nie takie trudne, Althalusie. Musisz tylko zapamiętać, że wszystko, co mówisz, jest prawdą. Wolno ci nawet kłamać, jeśli zechcesz.

— Tylko pogarszasz sprawę. Lepiej uprzedzę Nabjora, że jedziemy. On nie lubi takich, którzy wpadają do obozu bez ostrzeżenia. — Hej ho, Nabjorze! — zawołał. — To ja, Althalus! Nie denerwuj się, jadę do ciebie!

— Hej ho, Althalusie! — ryknął Nabjor. — Witaj! Już myślałem, że cię Equerosi albo Treboreańczycy złapali i powiesili.

— Skądże znowu! Jeszcze nie wiesz, że mnie nikt nigdy nie złapał? Czy miód już nabrał odpowiedniej mocy? Ta partia, z której mnie napiłeś ostatnio, była ździebko nieustała.

— Chodź i sam się przekonaj. Tym razem na pewno będzie ci smakował.

Althalus wjechał na polanę. Patrzył na starego przyjaciela z dziwnym uczuciem smutku, gdyż w jego głowie zderzyły się „wtedy” i „teraz”. Wiedział, że w świecie, z którego przybywali, Nabjor od dawna nie żyje, a jednak wydawał się taki sam jak zawsze: wielki, patrzący zezem, odziany w tunikę z kudłatej owczej skóry.

Uścisnęli sobie serdecznie dłonie.

— Co to za chłopak? — spytał ciekawie Nabjor.

— Nazywa się Gher. Wziąłem go pod swoje skrzydła jako... hm... ucznia. Wydaje się dość obiecujący.

— Witaj, Gherze. Siadajcie, zaraz przyniosę miód, a potem chętnie posłucham o cudach cywilizacji.

— Chłopak nie pije. Ma starszą siostrę, która nie znosi pijaństwa. Można przy niej kłamać, oszukiwać, kraść, ale na temat prostszych przyjemności życiowych

będzie rozwodzić się tygodniami. Gdyby przypadkiem się dowiedziała, że sprowadziłem Ghera na manowce, gotowa zagnać go z powrotem do domu.

— Widziałem już kilka takich — rzekł Nabjor. — Kobiety czasem są dziwne... Mam trochę jabłecznika, jeszcze nie zdążył sfermentować. Może nada się dla chłopca?

— Chyba nie będzie miała nic przeciwko temu.

— Dobra! Zatem miód dla nas, jabłecznik dla Ghera. Tam przy ogniu piecze się udziec bizona, możecie się poczęstować. Przyniosę też bochen chleba.

Althalus i Gher usiedli na ściętym pniu przy ognisku i odkroili sobie kilka kawałków skwierczącego mięsiwa z udźca. Tymczasem Nabjor napełnił dwa kubki spienionym miodem, a trzeci złocistym jabłecznikiem.

— Co słytać w cywilizowanych krajach? — zagaił.

Althalus zrozumiał wagę tej chwili. Teraz można by dokonać zmian.

— Sprawy przeszły moje najśmielsze oczekiwania. Szczęście uśmiechało się do mnie na każdym kroku, po prostu mnie uwielbiało. — Pociągnął spory łyk. — Rzeczywiście udała ci się ta partia, przyjacielu.

— Wiedziałem, że będzie ci smakowało.

— Dobrze jest wypić dobrego miodku po powrocie w rodzinne strony. W cywilizowanym świecie zupełnie nie umieją go sycić. W tamtejszych gospodach można dostać tylko kwaśne wińsko. Jak tam interesy?

— Nie narzekam. Wieść o tym obozie rozeszła się szeroko i teraz niemal każdy w Hule wie, że jeśli chce się napić dobrego miodu po rozsądnej cenie, to nie ma jak u Nabjora. Jeśli życzy sobie towarzystwa pięknej pani — proszę bardzo! No i jeśli przypadkiem natknął się na jakiś cenny przedmiot i chce go sprzedać, to dobrze wie, że chętnie o tym podyskutuję.

— Będiesz się całe życie wałkoniał i umrzesz bogaty.

— Jeśli ci nie robi różnicy, to wolę raczej bogato żyć. No dobrze, teraz opowiedz, co ci się przydarzyło w dalekich krajach. Nie widziałem cię ponad rok, więc mamy spore zaległości.

— Nie uwierzysz, jak świetnie mi poszło, Nabjorze — rzekł z szerokim uśmiechem Althalus. — Wszystko, czego dotknąłem, obracało się w złoto. — Położył z czułością dłoń na ramieniu Ghera. — Ten chłopak ma co najmniej tyle samo szczęścia co ja, więc jeśli wlać wszystko do jednego garnka, po prostu nie możemy przegrać... przekonaliśmy się o tym w Deice. Kiedy gapiliśmy się na te wymyślne kamienne domy, „przypadkiem” podsłuchaliśmy rozmowę o pewnym kupcu solnym imieniem Kweso. Tak naprawdę to nie mógł być przypadek. Moje szczęście popychało nas z jednego końca, a Ghera z drugiego. Tak czy owak, jeśli kupowałeś ostatnio sól, na pewno rozumiesz, dlaczego ci, którzy nią handlują, zbijają fortuny większe niż poszukiwacze złota.

— O tak — zgodził się Nabjor. — To najgorsi oszuści ze wszystkich.

— No więc — ciągnął Althalus — kiedy już namierzyliśmy dom tego Kwesa, posłałem tam Ghera, żeby zapytał o jednego z sąsiadów, a przy okazji dokładnie obejrzał zatrzask.

— Wielki mi zatrzask, panie Nabjorze — wtrącił się Gher. — Wyglądał tylko na mocny, ale mógłbym go otworzyć jednym palcem.

— Ten mały naprawdę jest taki dobry? — spytał Nabjor.

— A myślisz, że dlaczego przyjąłem go na ucznia? Krótko mówiąc, dwa dni później wybraliśmy się tam w nocy i uporawszy się z zatrzaskiem, weszliśmy do środka. Cała służba spała, a sam Kweso chrapał tak, że było go słychać w całym domu. Przestał dopiero, kiedy mu przystawiłem do gardła czubek noża. Od razu dał się namówić do współpracy. Nie ma to jak czubek noża na przyciągnięcie czyjejś uwagi. Kilka minut później Gher i ja doszliśmy do naprawdę wielkich pieniędzy. Podziękowaliśmy Kwesowi za gościnę, potem związaliśmy go, wcisnęliśmy mu szmatę do gęby, żeby nie zakłócał snu służbie, i opuściliśmy wspaniałe miasto Deika, kupując nawet parę koni. Skoro jesteśmy bogaci, nie musimy już chodzić piechotą.

— I dokąd pojechaliście stamtąd? — dopytywał się Nabjor niecierpliwie.

— Następny postój wypadł nam w Kanthonie. To miasto na północy Treborei. Jest tam nowy władca, który ma dość osobliwe poglądy na podatki.

— Co to są podatki?

— Nie jestem pewien. Zdaje się, chodzi o to, że ludzie muszą płacić za prawo do mieszkania we własnych domach i oddychania drogocennym powietrzem, dostarczonym wspaniałomyślnie przez władcę. Szczególnie kosztowne jest oddychanie powietrzem Kanthonu — wynosi niemal połowę wszystkiego, co człowiek posiada. Lokalni bogacze uważają, że nie opłaca się wyglądać na majątnego. Zniszczone, połamane meble są tam bardzo drogie, a zamożni ludzie uczą się od kamieniarzy sztuki takiego układania brukowych kamieni, żeby poborcy podatkowi nie wykryli skrytek na złoto. Moje i Ghera szczęście przygnało nas do gospody odwiedzanej przez kanthońskich kamieniarzy. Przypadkiem rozmawiali o facecie, który dopiero co odziedziczył po swym wuju znaczny majątek. Trzymali się za brzuchy ze śmiechu, opowiadając, jak sfuszerował układanie tej niezwykle ważnej posadzki. Z tego, co mówili, wynikało, że facet należał do nicponiów, którzy spędzali wszystkie noce na hulankach w obskurnych spelunkach nad rzeką. Podejrzewam, że ręce mu się trochę trzęsły, kiedy układał kamienie. Sprawy przybrały jeszcze lepszy dla nas obrót, kiedy się okazało, że służący owego człowieka mieli podobne plany na wieczór jak ich chlebowawca. Z całą życzliwością obiecali mu dopilnować wszystkiego, kiedy on będzie się zabawiał poza domem, ale już w kwadrans po jego wyjściu dom świecił pustkami.

— A to dopiero! — zachichotał Nabjor.

— No i tak wyszło, że Gher i ja wzbogaciliśmy się tego wieczoru w dwójnasób. Mieliliśmy już tyle pieniędzy, że wożenie ich stało się uciążliwym obowiąz-

kiem, dlatego natychmiast po opuszczeniu Kanthonu wszystko zakopaliśmy pod pewnym drzewem. I nie był to bynajmniej ostatni raz. Mamy pieniądze zakopane w ładnych kilku miejscach, gdyż inaczej nie dalibyśmy rady ich dźwigać. Tym bardziej że na każdym kroku sypie się na nas prawdziwy deszcz złota.

Nabjor parsknął śmiechem.

— Wiecie co? Nie potrafię sobie przypomnieć, kiedy ostatnio miałem taki kłopot. . .

Althalus pominął milczeniem swoją wpadkę z papierowymi pieniędzmi, gdyż Nabjorowi mogłaby się wydać zbyt nieprawdopodobna.

— Mógłbym tak opowiadać całymi dniami o różnych szwindlach i rabunkach, ale największy sukces ze wszystkich odnieśliśmy w Arum.

— Słyszałem, że odkryto tam żyłę złota — rzekł Nabjor. — Nie powiesz mi chyba, żeście się skusili i zaczęli kopać na własną rękę?

— Skądże znowu. Zleciłem to komu innemu. Opuściwszy Perquaine, posuwaliśmy się z Gherem z powrotem w stronę Hule. Zatrzymaliśmy się na chwilę w przydrożnej oberży i nagle zobaczyliśmy człowieka, który miał na sobie wspinałą tunikę z wilczej skóry z uszami na kapturze. . .

— I jak widzę, dokonaliście transferu prawa własności — zauważył Nabjor, zerkając na strój Althalusa. — Wyłudziłeś ją od niego, czy zdecydowałeś się na kupno?

— Ugryzłbyś się w język! Ja złoto kradnę, a nie wydaję. . . No więc goście w oberży gadali o pewnym bogaczu imieniem Gosti Pasibrzuch, który ma most i pobiera myto za przejazd. Tak się przy tym składa, że jest to jedyna droga na drugi brzeg rzeki, gdzie znajdują się dopiero co odkryte złotodajne grunty. Cena, jaką ów Gosti wyznaczył, jest skandaliczna, ale ludzie chętnie ją płacą, on zaś bogaci się z godziny na godzinę. Cóż, nie mogłem przepuścić takiej okazji, więc postanowiłem przyjrzeć się temu z bliska.

— Ale najpierw dokonałeś transferu własności? — uśmiechnął się Nabjor.

Gher zrobił chytrą minę.

— To trwało tyle co nic. Gość w tunice wyszedł na chwilę na dwór, Althalus podążył za nim, walnął go w łeb ręką miecza, a potem po prostu zabrał i tunikę, i buty.

Nabjor uniósł brew.

— Przyznaję, że posunąłem się nieco za daleko — tłumaczył się Althalus — ale moje buty już się niemal rozpadały, a ów gość tak naprawdę nie potrzebował swoich. Raczej nie uszedłby daleko od tej oberży. . . Tak czy owak wsiedliśmy z Gherem na konie i następnego dnia dotarliśmy do innej oberży. Tam też wszyscy gadali tylko o Gostim Pasibrzuchu. Udało się nam wyłowić kilka dalszych szczegółów. Zacząłem pojmować, że obrabowanie Gostiego nie sprowadzi się raczej do prostego „w łeb i w nogi”, więc będziemy potrzebowali pomocy. I tu doszło do głosu nasze szczęście. Moje zawsze było dość podstępne, a Ghera chyba jesz-

cze bardziej. W oberży siedziało jeszcze dwóch innych gości, zauważyłem ich od razu, bo już po twarzach poznałem, że nie są Arumczykami. Na sam dźwięk słowa „złoto” oczy płonęły im jak pochodnie, więc byłem pewien, że kręcą w tym samym interesie co my. Kiedy już wyszliśmy z oberży, ucieliśmy sobie z nimi pogawędkę. Postanowiliśmy połączyć swe siły, zamiast z sobą rywalizować.

— Ale do siedziby Gostiego pojechaliśmy oddzielnie — dodał Gher. — Chcieliśmy udawać, że się nie znamy. Tamci nazywali się Ghend i Khnom. U Gostiego nawet nie podchodziliśmy do nich, chyba że nikt nas nie widział. Spotykaliśmy się nocą w stajni albo w stodole z sianem i tam robiliśmy dalsze plany. Spędziliśmy u Gostiego całą zimę i pod koniec byliśmy po imieniu z każdym Arumczykiem w forcie. Pewnego razu Althalus podsłuchał rozmowę dwóch starych ramoli. Kłócili się o tylne drzwi w stodole: jeden mówił, że są, drugi zaprzeczał. Przecież wystarczyłoby pójść i sprawdzić, ale oni mieli radochę z samej kłótni i nie chcieli jej sobie psuć. My z Althalusem nie traciliśmy czasu, tylko zaraz poszliśmy do stodoły. No i okazało się, że pierwszy ramol miał rację. Drzwi były, tyle że przywalone kopą siana, i to ja musiałem wszystko przenieść gdzie indziej, bo Althalus kazał mi udawać, że niby chcę sobie poskakać z góry na siano. Wcale nie byłem zadowolony, że czeka mnie taka harówka, ale i tak wyszło inaczej, bo kiedy Arumczycy się dowiedzieli, co robię, to także zachciało im się skakać, zamiast siedzieć i patrzeć, jak Gosti obrasta w tłuszcz. No i przyszli mi pomóc, ale chociaż to ja odwalilem najgorszą robotę, pozwolili mi skoczyć nie więcej niż trzy razy, bo na podwórzu stała już cała kolejka Arumczyków. To chyba niesprawiedliwe, co?

Nabjor przyglądał mu się z dziwnym wyrazem twarzy.

— Czy on kiedy robi przerwę na oddech? — spytał Althalusa.

— Wprawdzie nie sprawdzałem dokładnie, ale chyba ma pod kołnierzem coś w rodzaju skrzel. Potrafi tak gadać równo dwie godziny bez żadnej przerwy. Jak raz zacznie, to lepiej rozsiaść się wygodnie, bo będzie nawijał bez końca... — Althalus zawiesił na chwilę głos. — Wracając do tematu, kiedy wreszcie nadeszła wiosna, kuzyn Gostiego zapowiedział, że zawsze w dniu, w którym topnieje ostatni śnieg, obchodzi się urodziny wodza. To świetnie pasowało do naszych planów, bo na rozmięklej ziemi łatwo zostawić ślady, a przy tym wszyscy w forcie byliby tak pijani, że nie poruszyłyby ich nawet wybuch wulkanu.

— Pięknie! — zachichotał Nabjor.

— Nam też się to spodobało. Gher i Khnom poszli do stajni siodłać konie, a tymczasem ja z Ghendem przestąpiliśmy przez śpiących strażników, którzy mieli pilnować skarbcza. Zatrzaskowi, choć wyglądał groźnie, dałoby radę nawet czteroletnie dziecko, więc z łatwością dostaliśmy się do środka i zaczęliśmy się rozglądać.

— Dużo było tego złota?

— Na pewno więcej, niż mogliśmy unieść.

— Ja mogę nosić naprawdę spore ciężary.

— Ale tam i ty nie dałbyś rady. Musiałem przez dłuższą chwilę tłumaczyć Ghendowi, że kradzież się nie zakończy sukcesem, dopóki nie uciekniesz z łupem. On wpadł na dziki pomysł, żeby zabrać dodatkowe konie i załadować na nie resztę, plótno też inne bzdury, ale ostatecznie udało mi się go przekonać, że wyniesienie całej głowy jest ważniejsze od kilku dodatkowych worków, a najlepsza droga do osiągnięcia tego celu polega na tym, by nie zwracać na siebie uwagi.

— Co się stało z tym Ghendem i jego kompanem?

— Nie wiem dokładnie. Po opuszczeniu fortu rozdzieliliśmy się, chcąc w ten sposób zmylić pogoń. Gdyby udało się im wymknąć, mieli spotkać się z nami tutaj. Jeszcze u Gostiego Ghend wspominał, że ma dla mnie jakąś propozycję, a ja zawsze jestem chętny, gdy chodzi o dobry interes.

— Chyba zdobyłeś w ostatnim roku dość pieniędzy, by się wycofać.

Althalus się roześmiał.

— Nie wiedziałbym, co z sobą zrobić. Obrastanie tłuszczem nie jest w moim stylu, Nabjorze.

— Może jeszcze miodu?

— Już myślałem, że nigdy na to nie wpadniesz — odparł Althalus, podnosząc pusty kubek.

Nabjor zabrał oba kubki do wąskiej szczeliny między dwoma głazami, gdzie przechowywał swoje zapasy.

Dobra robota, skarbie — zamruczał z aprobatą głos Emmy. — *Udało ci się tak świetnie zatrzeć różnice między tym czasem a poprzednim, że teraz nie sposób je rozdzielić.*

To taki dar, Em. Pamiętaj, żeby do kłamstwa zawsze domieszać trochę prawdy. Oczywiście dla Ghera prawdziwa jest historia, którą teraz opowiedziałem, a nie ta poprzednia.

Przestań się popisywać.

Nabjor przyniósł pełne kubki i dalej gawędzili przy ogniu, nie zważając na gęstniejący mrok. Althalus zauważył w obozie nową dziewczkę o figlarnych oczach i prowokacyjnych ruchach. Pomyślał sobie, że w zmienionych okolicznościach miło by było zawrzeć z nią bliższą znajomość, chociaż Emmy z pewnością by tego nie pochwaliła.

Gher szybko zapadł w drzemkę, lecz Althalus z Nabjorem gwarzyli niemal do północy. Potem Althalus przyniósł koce, które mieli zrolowane przy siodłach, okrył chłopca, umościł sobie legowisko przy gasnącym żarze i niemal natychmiast zasnął.

Spał do późna. Wiedział, że nic go nie pili, a chciał mieć w pełni jasny umysł, kiedy pojawią się Ghend i Khnom. Niewyspany człowiek może z łatwością przegapić jakiś ważny moment.

Kiedy na dobre otworzył oczy, zbliżało się południe. Idąc do strumyka, żeby ochlapać twarz, zobaczył, że Gher siedzi na pniu obok dziewczyny o figlarnym spojrzeniu, ona zaś ceruje mu skarpetkę. Althalus pokręcił głową ze zdumienia. Chłopiec miał w sobie coś takiego, że każda napotkana kobieta zaczynała mu matkować. Tak było z Andiną, a także — w mniejszym stopniu — z Leithą. Emmy oczywiście się nie liczy, bo Emmy matkuje wszystkim.

Althalus i Gher leniuchowali u Nabjora przez cały tydzień. Pewnego wietrznego dnia, kiedy pędzące po niebie chmury wciąż przesłaniały słońce, do obozu wjechali Ghend i Khnom.

— No, nareszcie — powitał ich Althalus. — Co tak długo?

— Miałeś dopilnować, by Galbak nie deptał nam po piętach — rzekł Ghend, zsuwając się ostatkiem sił z wycieńczonego konia. — Tymczasem był na naszym tropie, jeszcze zanim słońce na dobre wstało.

— A to skubaniec! Na pewno trzymałeś się z daleka od traktu do Hule?

— Postępowaliśmy ściśle według twoich wskazówek — odparł Khnom — ale nic nam nie wychodziło. Przeklęty Galbak musi mieć w sobie krew psa gończego. Ilekroć wjeżdżaliśmy na miękki grunt, zacieraliśmy starannie ślady, a on i tak nas nie odstępował. To chyba najgorsze lato w moim życiu. Próbowaliśmy nawet przez dwadzieścia mil brodzić po rzece, ale nie udało się Galbaka zgubić. A jak wyście się wymknęli?

Althalus wzruszył ramionami.

— Bardzo łatwo. Pojechaliśmy kawałek na południe, zostawiając mnóstwo śladów, a potem, na skalistym gruncie zboczyliśmy z drogi. Przeprawiliśmy się przez góry do Kagwheru i od tamtej strony dotarliśmy do Hule. Byliśmy pewni, że i wy wydostaniecie się bez kłopotu. Po co Galbak miałby jechać drogą bez śladów, jeśli inna była nimi dosłownie usiana?

— Przypuszczam, że nas przechytrzył — wyznał ponuro Ghend. — Okazał się na tyle cwany, że nie uwierzył w ślady, które wręcz rzucają się w oczy.

— W życiu nie zrozumiałem, dlaczego tak szybko za wami trafił. Kiedy opuszczałem fort, wydawał się kompletnie nieprzytomny. Nie powinien się ocknąć co najmniej do południa, a jeśli nawet, to dręczyłby go kac. Kto w takim stanie myśli o złocie?

— Chyba obaj nie wzięliśmy pod uwagę, jak potężnie Galbak jest zbudowany. Taki olbrzym może wchłonać znacznie więcej mocnych trunków niż ktoś drobniejszej postury.

— No cóż, w końcu jakoś udało wam się wyrwać, a to najważniejsze. Tu jesteście bezpieczni, więc możecie spokojnie wypocząć. Miodu, Nabjorze! I niech go nie zabraknie, bo moi przyjaciele mają za sobą wyjątkowo parszywe lato!

Ghend opadł ciężko na jeden z pni przy ogniu i potarł sobie twarz.

— Mógłbym spać przez tydzień. . .

— To bardzo odpowiednie miejsce. A jak ostatecznie zgubiliście Galbaka?

— Właściwie przez czysty przypadek — odparł Khnom. — Arumczycy dużo polują w swoich górach. Mają tam jelenie, niedźwiedzie i te wielkie zwierzęta z potężnymi rogami, więc są znakomitymi tropicielami. Próbowaliśmy wielu sztuczek, ale i tak nie przestawali deptać nam po piętach. Tydzień przesiedzieliśmy w jaskini za wodospadem, a potem rozpetęła się burza. Lało jak z cebra, więc kiedy opuściliśmy jaskinię, deszcz rozmywał wszelkie ślady, jeszcze zanim zdążyliśmy je zostawić. Jakoś dotarliśmy do grani, a potem już było łatwo.

Nabjor przyniósł miód i przybysze zaczęli się rozluźniać.

— Odkrójcie sobie po kawałku udźca z rożna — zachęcał ich gospodarz.

— Ile to będzie kosztowało? — spytał Khnom.

— Nie martwcie się, Althalus już to załatwił.

— Dzięki, współniku, to bardzo uprzejmie z twojej strony.

— W końcu można powiedzieć, że was tu zaprosiłem — wyjaśnił Althalus. — Poza tym... skoro jesteśmy tak obrzydliwie bogaci, pieniądze nie mają większego znaczenia.

— Ugryź się w język — zdenerwował się Khnom. — Czy rzeczywiście przywiozłeś tu swój udział?

— Masz mnie za głupka? Wzięliśmy trochę grosza na bieżące wydatki, a reszta jest w bezpiecznym miejscu.

— Tak? A gdzie?

— Nie byłoby takie bezpieczne, gdybyśmy trąbili o tym naokoło, prawda?

Khnom nie zdołał ukryć gorzkiego zawodu. Althalus na ten widok uśmiechnął się w duchu. Świadomość, że gdzieś w pobliżu ukryte są cztery worki złota, sprawiała Khnomowi więcej bólu niż wspomnienie o ciosie kubłem.

Wychylili jeszcze trochę miodu, zjedli kilka plastrów pieczystego, a gdy przybysze nieco wypoczęli, Althalus uznał, że czas na interesy.

— Wspominałeś zimą, że masz dla mnie jakąś propozycję — zagadnął Ghenda. — Czy czasem nie wypadło ci to po drodze z głowy?

— Nie, nie, sprawa nadal jest aktualna. Tak się składa, że mam zobowiązania wobec pewnego gościa z Nekwersu, a nie jest to człowiek, którego ktoś przy zdrowych zmysłach chciałby rozczarować... jeśli mnie dobrze rozumiesz.

— Aha, jeden z tych...

— To on wynalazł tych, mój przyjacielu. Ludzie, którzy weszli mu w drogę, żyją jedynie na tyle długo, żeby tego pożałować. W każdym razie istnieje coś, co koniecznie chce mieć, i upiera się, że ja mam mu to zdobyć. Niestety, ów przedmiot znajduje się w pewnym domu w Kagwherze, co stawia mnie w bardzo niezręcznej sytuacji, gdyż nie cieszę się tam ostatnio popularnością. Dwa lata temu Khnomowi i mnie przydarzył się w Kagwherze dość pomyślny sezon, a tamtejsi ludzie długo chowają urazy. Jest tam paru facetów, przy których Galbak wygląda łagodnie jak baranek, a którym bardzo zależy, by znów się ze mną spotkać.

— Rozumiem. Sam też wolę unikać kilku miejsc.

— No właśnie. Świetny z ciebie złodziej, mój Althalusie, i wiem, że mogę na tobie polegać. Jesteś dokładnie takim człowiekiem, jakiego szukam.

— Jestem najlepszy — przyznał Althalus krótko.

— On ma rację, Ghendzie — wtrącił się Nabjor, który akurat przyniósł następne kubki miodu. — Potrafi ukraść wszystko, co ma dwa końce.

— To już lekka przesada — zaprotestował Althalus. — Na przykład nigdy jeszcze nie ukradłem rzeki. Czego właściwie chce ten krwiożerca z Nekwersu? Może jakiegoś klejnotu?

— Nie, nie klejnotu — odparł Ghend z błyskiem pożądliwości w oczach. — On chce... pewnej księgi, za którą jest gotów zapłacić.

— Podoba mi się słowo „zapłacić”, ale widzę tu niejaką trudność. Co to, do pioruna, jest księga?

Ghend rzucił mu ostre spojrzenie.

— Nie umiesz czytać, co?

— Czytanie jest dobre dla kapłanów, a ja wolę nie mieć z nimi do czynienia.

— To może oznaczać pewne komplikacje — mruknął Ghend, marszcząc brwi.

— Drogi przyjacielu, o cięciu drogich kamieni także nie mam pojęcia, a przecież ukradłem niejednego klejnot. Nie znam się też na wydobywaniu złota ze skał, a jednak od czasu do czasu zbieram go trochę. Powiedz mi, jak ta księga wygląda i gdzie się znajduje, a na pewno ją ukradnę, jeśli tylko cena będzie godziwa.

— Może masz rację. Tak się składa, że mam przy sobie jedną księgę i chętnie ci ją pokażę, żebyś wiedział, czego szukać.

— No świetnie. Wyciągnij ją zatem, to sobie z Gherem obejrzymy. Chyba nie musimy wiedzieć, co tam jest napisane, żeby ją ukraść?

— Nie, nie musicie. — Ghend podszedł do swego konia i ze skórzanego worka przytroczonego do siodła wyciągnął Czarną Księgę.

— To po prostu skórzane pudło — zauważył Gher.

— Ważne jest to, co w środku — powiedział Ghend, uchylając wieko. Wyjął kartę pergaminu i wręczył ją Althalusowi. — Tak wygląda pismo. Kiedy znajdziesz takie pudło, to zanim je ukradniesz, zajrzyj do środka i sprawdź, czy przypadkiem nie ma tam guzików albo drutów do włóczki.

Althalus patrzył tępych wzrokiem na kartę, udając, że nic nie rozumie.

— To ma być pismo? Wygląda na zwykłe bazgroły...

— Trzymasz do góry nogami — zauważył Khnom.

— Ach... — Althalus odwrócił stronę. — Nadal widzę bazgroły. — Z trudem się powstrzymywał, żeby nie wrzucić przerażającej strony do ognia. Księga Daevy z pewnością nie nadawała się dla kogoś o słabym sercu, a od niektórych wyrazów niemal były płomienie. — Nic z tego nie rozumiem, ale mniejsza z tym. Dość wiedzieć, że mam szukać czarnego pudła z kartami ze skóry.

— Tamto pudło jest białe — sprostował Ghend, ostrożnie układając arkusz na miejscu. — No więc, czy jesteś zainteresowany propozycją?

— Potrzebuję jeszcze kilku szczegółów. Gdzie dokładnie znajduje się ta księga i jak pilnie jest strzeżona?

— Jest w Kagwherze, w Domu na Końcu Świata.

— Wiem, gdzie leży Kagwher, ale jak znaleźć ten dom?

— Musisz jechać na północ, do tej części, gdzie zimą nie widać słońca, a latem nie ma nocy.

— Dziwne miejsce wybrał sobie ten ktoś do mieszkania.

— To prawda, ale właściciel domu już w nim nie mieszka, więc nikt ci nie przeszkodzi w kradzieży.

— Nawet wygodnie. Mógłbyś mi podać jakieś punkty orientacyjne? Wtedy szybciej dotrę na miejsce.

— Po prostu idź wzdłuż Krawędzi Świata. Kiedy zobaczysz dom, będziesz wiedział, że jesteś na miejscu, bo to jedyny budynek w okolicy.

Althalus wysączył do końca miód.

— Sprawa wygląda na prostą. Ale kiedy już ukradnę Księgę, gdzie mam cię szukać, żeby dostać zapłatę?

— Sam cię odnajdę, Althalusie. — Płonące oczy Ghenda rozzarzyły się jeszcze mocniej. — Możesz mi wierzyć, znajdę cię.

— Przemyślę to sobie.

— Więc się decydujesz?

— Powiedziałem, że muszę pomyśleć. A teraz napijmy się jeszcze miodu. Sporo ostatnio zarobiłem, więc stać mnie na odrobinę uciechy.

Gwarzyli tak, popijając, póki słońce na dobre nie zaszło. Nabjor zaczął ostentacyjnie ziewać.

— Czemu nie pójdziesz się położyć, Nabjorze? — zagadnął go Althalus.

— Muszę pilnować zapasów.

— Wystarczy zaznaczyć kreską na baryłce obecny poziom miodu, a rano sprawdzić, ile ubyło — zaproponował Gher. — Wtedy będzie wiadomo, ile wypili, a ja mogę przynosić im kubki.

Nabjor rzucił spojrzenie Althalusowi, który skinął głową, przymrużając oko.

— Rzeczywiście trochę mnie zmogło — wyznał Nabjor. — Panowie nie będą mieli nic przeciwko temu, że ich zostawię samych?

— Ani trochę — odparł Khnom. — Wszyscy jesteśmy starymi przyjaciółmi, więc nie zaczniemy rozrabiać ani łamać mebli.

Nabjor parsknął śmiechem.

— Trudno nazwać tych parę zwalonych pni meblami. Zatem dobranoc panom.

Ruszył przez polanę do prymitywnego szałas, gdzie sypiał.

Gher coraz to donosił kubki miodu. Althalus odkrył niebawem, że jego trunek jest mocno rozwodniony; podejrzewał, że Ghend z Khnomem także piją miód z dodatkiem, ale bynajmniej nie wody.

Pierwsze skutki nie dały na siebie długo czekać. Obaj słudzy Daevy i tak byli wycieńczeni po trudach podróży, więc miód podany przez Ghera szybko zwalił ich z nóg. Ogień w oczach Ghenda przygasł, a Khnom zaczął się kiwać z boku na bok. Po dwóch następnych kubkach pospadali z pniaków na ziemię i zachrapali.

— Skąd wzięłeś ten specjalny miód? — spytał Althalus Ghera.

— Pani, która cerowała mi skarpetki, powiedziała mi o nim. Nabjor czasem podaje go takim klientom, co to mają forsę jak lodu, ale nie chcą wydawać.

— Właściwie co ty kombinujesz, Althalusie? — zapytał Nabjor ochryłym szeptem, wychodząc z szałas. — Czy ci dwaj nie są twoimi przyjaciółmi?

— Stanowczo bym ich tak nie nazwał. Wspólnicy w interesach, owszem, ale nie przyjaciele. Ghend próbuje mnie zrobić. Chce, żebym ukradł coś znacznie cenniejszego, niż się przyznaje, a w dodatku ów przedmiot znajduje się w tak niebezpiecznym miejscu, że boi się pójść po niego sam. Przyjaciel by tak nie postąpił, prawda?

— Raczej nie — zgodził się Nabjor. — Ale jeśli chcesz ich ukatrupić, to nie tutaj.

— Wcale nie mam takich zamiarów — odrzekł Althalus z przebiegłym uśmiechem. — Staram się tylko udowodnić Ghendowi, że jestem od niego znacznie chytrzejszy. Gherze! Przynies imitację Księgi.

— Robi się!

— Myślałem, że nie wiesz, co to jest księga — zdziwił się Nabjor. — Dałeś tu niezłe przedstawienie.

— To się nazywa „rznąć głupa” — powiedział Gher. — Zawsze łatwo wykiwać kogoś, kto uważa się za większego cwaniaka niż my. — Poszedł do siodła i wyciągnął księgę, którą dała im Dweia. — Mam je teraz zamienić, Althalusie?

— To twoje zadanie, chłopcze. Dopilnuj tylko, żeby juki Ghenda wyglądały tak samo jak przedtem.

— A może jeszcze powiesz, jak mam stawiać nogi?

— Ależ ten chłopak ma niewyparzoną gębę! — rzekł Nabjor.

— Wiem, ale jest naprawdę dobry, więc jakoś to znoszę. — Althalus wyjął z sakiewki złotą monetę i podsunął ją Nabjorowi pod oczy. — Wyświadczyć mi przysługę, dobrze? Ghend i Khnom łyknęli trochę twojego specjalnego miodu przed snem, więc po przebudzeniu będą się kiepsko czuli. Przyda się im lekarstwo... Daj im tyle tego przyprawionego miodu, ile zdołają wypić, a jeśli pojutrze znów im będzie niedobrze, zastosuj tę samą kurację.

— Skąd się dowiedziałeś o specjalnym miodzie?

— Sam od czasu do czasu piłem taki miód, więc umiem rozpoznać skutki.

— Zamierzasz ukraść ich złoto, tak?

— Nie, nie chcę ich denerwować, bo jeszcze zaczęliby przyglądać się zbyt dokładnie Księdze. To całkiem dobra kopia, jednak są pewne różnice. Niech sobie

piją na zdrowie, a gdyby pytali o nas, powiedz, że udałem się do Kagheru po księgę.

— Kiedy to się skończy, musisz wrócić i opowiedzieć mi, jak tam było.

— Na pewno — obiecał Althalus, choć wiedział, że widzi swego przyjaciela po raz ostatni. — Bądź dalej takim dobrym gospodarzem, a Ghenda i Khnoma wylecz z odruchu śledzenia mnie w drodze. Nie znoszę, kiedy ktoś za mną łązi podczas pracy, więc lepiej niech tu piją i mają się dobrze, niż gdybym był zmuszony dać im po łbie gdzieś w górach.

— Możesz na mnie polegać, stary druhu — przyrzekł Nabjor, skwapliwie chowając monetę.

ROZDZIAŁ 47

Kiedy u schyłku nocy jechali z obozu Nabjora na wschód, Althalus miał dziwne uczucie, że coś jest nie w porządku. Starannie przemyślana modyfikacja przeszłości poszła nadspodziewanie dobrze... może nawet za dobrze. Zmiany nie były wprawdzie zbyt rozległe, ale dały impuls do uruchomienia kilku spraw, niezpełnie dla Althalusa zrozumiałych.

— Jesteś dziwnie milczący — zauważył Gher, kiedy jechali przez las.

— Po prostu nieco rozdrażniony. Chyba otworzyliśmy niechcący jakieś drzwi.

— Emmy się tym zajmie.

— Nie wiem, czy to jej sprawa. Coś mi się zdaje, że ja mam się z tym uporać.

— Jak długo jeszcze będziemy się tu grzebać? Wystarczy przecież krzyknąć na Eliara, żeby w gnieniu oka znaleźć się w Domu.

— Raczej nie powinniśmy tego robić. To tylko moje domysły, ale przypuszczam, że pewnych spraw, które ostatnio się wydarzyły, lepiej nie powstrzymywać.

— Jakich spraw?

— Sam nie wiem. To właśnie tak mnie denerwuje. Chyba lepiej będzie trzymać się ziemi.

— Przekazałeś to Emmy?

— Jeszcze nie. Sam do tego dojdę... pewnego dnia.

— Zobaczysz, jak na ciebie nakrzyczy.

Althalus wzruszył ramionami.

— A bo to pierwszy raz? Myślę, że dość już pozmienialiśmy przeszłość. Wykiwaliśmy Ghenda, odzyskaliśmy moją tunikę i ukradliśmy Księgę Daevy. To zupełnie wystarczy. A jednak ostatnim razem wydarzyło się coś jeszcze i to samo musi wydarzyć się także teraz, bo inaczej wszystko się rozleci.

— Czy ty aby na pewno nie napiłeś się przez pomyłkę z kubka Ghenda? W tym, co mówisz, nie ma zbyt wiele sensu.

— Zobaczymy.

Świt nad lasami Hule wstał ciemny i ponury. Althalus i Gher jechali na wschód wśród olbrzymich drzew.

— Musimy uważać na wilki — ostrzegł chłopca Althalus.

— Wilki? To w Hule są jakieś wilki?

— Były... są. Jesteśmy teraz w innym, nieznanym ci Hule. Jest o wiele dziksze niż w późniejszych czasach. Z wilkami nie powinno być kłopotów, bo mamy konie i z łatwością możemy uciec, ale warto mieć oczy i uszy otwarte.

— To musiały być fajne czasy, nie?

— Miały swoje zalety. Jedźmy prędzej. Jeśli Nabjor spełni moją prośbę, to upłynie wprawdzie jakiś czas, zanim Ghend zorientuje się we wszystkim, ale na wszelki wypadek wolałbym go znacznie wyprzedzić.

— A co mógłby nam zrobić?

— Na przykład wysłać nam na spotkanie wojsko. W tym okresie ma przecież do pomocy Pekhala i Gelte.

— Nie pomyślałem o tym.

— No właśnie.

— Może puścimy się galopem?

— Znakomity pomysł.

Ponieważ jechali konno, dystans między obozem Nabjora a skrajem przepastnego lasu pokonali w dwa razy krótszym czasie niż Althalus poprzednim razem, kiedy szedł pieszo. W miarę jak pieli się w górę i skręcali na północ, podążając tym samym szlakiem, co samotny złodziej dwadzieścia pięć wieków temu, napotykali coraz cieńsze drzewa.

Powietrze tu było znacznie chłodniejsze, a pewnej mroźnej nocy, kiedy siedzieli przy ognisku, Althalus zauważył na horyzoncie zorzę polarną.

— Myślę, że jesteśmy już blisko — powiedział Gherowi. — To boży ogień. Nie przysięgłbym wprawdzie, ale chyba zbliżamy się do jednej z tych rzeczy, które muszą się wydarzyć mniej więcej tak samo jak poprzednim razem.

— Wolałbym, żebyś dał mi jakieś wskazówki, za czym mamy się rozglądać.

— Też chciałbym to wiedzieć. Mam nadzieję, że rozpoznam to, kiedy nadejdzie.

— No cóż, mnie też pozostaje tylko nadzieja. Jesteśmy coraz bliżej okropnej zimy, a do domu wciąż daleka droga...

— Pokonamy ją na czas, Gherze. Tego akurat jestem zupełnie pewien. Rozumiesz, już raz przez to przeszedłem.

Następnego dnia, tuż przed wschodem słońca, obudził ich ludzki głos. Althalus od razu go rozpoznał.

— Nie przestrasz się — powiedział cicho do chłopca. — To ten zwariowany staruszek, o którym opowiadałem Gostiemu.

I rzeczywiście był to ów stary, zgarbiony człowiek odziany w zwierzęce skóry. Idąc, powłóczył nogami i podpierał się kijem. Miał srebrnosiwe włosy i brodę, porytą zmarszczkami twarz i chytre, czujne oczy. Mówił donośnym, dźwięcznym głosem w języku, którego Althalus nie rozpoznawał.

— Hej, ty! — zawołał do szaleńca. — Nie mamy złych zamiarów, nie obawiaj się nas!

— Kto tu? — spytał starzec, wymachując kijem.

— Podróżni. Chyba zgubiliśmy drogę.

Starzec opuścił kij.

— Nie widuję tu wielu podróżnych. Nie podoba im się nasze niebo.

— Zauważyliśmy w nocy ogień na niebie. Skąd się wziął?

— Ludzie powiadają, że to przestroga. Niektórzy myślą, że świat kończy się parę mil stąd na północ, a bóg podpala niebo, żeby nikt nie szedł dalej.

Althalus zmarszczył brwi. Starzec wydał mu się wcale nie tak szalony jak poprzednim razem, w dodatku wyglądał także jakoś inaczej.

— Coś mi się zdaje, że niezupełnie podzielasz zdanie tych, co sądzą, że świat się tam kończy.

— Ludzie wierzą, w co im się podoba — odburknął starzec. — Jasne, że nie mają racji, ale w końcu to nie mój interes.

— Do kogo przed chwilą mówiłeś? — spytał Althalus, starając się skierować rozmowę na zapamiętane tory.

— Do siebie, oczywiście. A widzisz tu kogoś innego? — Nagle starzec wyprostował się i odrzucił obojętnie kij. — Nic z tego, Althalusie. Za dużo pozmieniałeś, ta rozmowa nie może już przebiegać tak jak przedtem. — Zrobił chytrą minę. — Oczywiście, wtedy wyglądało to bardzo głupio, o ile dobrze pamiętam, a teraz mamy do omówienia więcej ważnych spraw. Kiedy dotrzesz do Domu i zobaczysz moją siostrę, powiedz jej, że ją kocham. — Uśmiechnął się słabo. — Nie zgadzaliśmy się z Dweią pod zbyt wieloma względami, ale i tak ją kocham. Powiedz jej, żeby tym razem była bardzo ostrożna. Plan, jaki opracowaliście wspólnie, jest na pewno sprytny, ale skrajnie niebezpieczny. Nasz brat ma dość rozumu, by odgadnąć, co knujecie, i nie ustąpi Dwei bez walki.

— Czy jesteś tym, kogo mam na myśli? — wykrztusił Althalus.

— A nie potrafisz przyjąć tego, co oczywiste, bez głupich pytań? Myślałem, że Dweia już dawno cię tego oduczyła.

— Czy poprzednim razem to także byłeś ty?

— Jasne. Dweia czekała na ciebie w Domu, a ona nie cierpi czekania... może to zauważyłeś? Potrzebowałeś wskazówek, więc się zjawiłem i ci je dałem, taki już mój zawód. A ponieważ teraz znasz drogę, zamiast wskazówek dam ci radę.

— Radę? Chcesz powiedzieć: rozkazy?

— To nie tak, Althalusie. Sam musisz podjąć decyzję... i oczywiście zgodzić się na konsekwencje.

— Dweia cały czas nam rozkazuje.

— Wiem. Mną także próbuje rządzić, ale zwykle nie zwracam na to uwagi.

— Czy nie podnosi wtedy strasznego hałasu? — wtrącił się Gher.

— Potworny, ale to należy do zabawy. Jest absolutnie rozkoszna, kiedy się tak wścieka, więc często ją prowokuję. To taka gra, która toczy się między nami od dawna... cóż, nie chcę cię wciągać w rodzinne sprawy. — Nagle na jego twarzy odmalowała się głęboka powaga. — Nie rozstałeś się z Ghendem na dobre. Zobaczysz go jeszcze raz, więc się do tego przygotuj.

— Co mam zrobić?

— Sam o tym zdecydujesz. Kiedy postanowiłeś wrócić do przeszłości i dokonać tam zmian, zmieniłeś także inne rzeczy. Twój plan jest bardzo dobry, przyznaję, ale bardzo niebezpieczny. Gdy Ghend się przy tobie pojawi, będzie tak zdesperowany, że zacznie otwierać różne drzwi... także takie, których otwierać nie ma prawa. Będziesz musiał odpłacić mu tym samym. Jeśli chwilę się nad tym zastanowisz, będziesz wiedział, co trzeba zrobić, ale proszę, uważaj. Ten świat kosztował mnie wiele czasu i wysiłku, wolałbym, żebyś go nie unicestwił.

— Jak to? Unicestwił?!

— Może to niezbyt odpowiednie słowo, ale żadne nie opisze tego, co się stanie, jeśli nie zachowasz ostrożności. Teraz na twoim miejscu trzymałbym się z daleka od tych drzwi. Posługiwałeś się nimi, żeby zmienić rzeczywistość, a teraz zaczynasz przestawiać rzeczy, które lepiej zostawić w spokoju. Przesuwanie w tej chwili pół roku to nie za dobry pomysł.

— Sam się nad tym zastanawiałem... jeszcze zanim opuściliśmy Hule.

— I wreszcie udało ci się dojść do czegoś słusznego. Ostatnim razem przybyłeś do Domu na samym początku zimy. Lepiej niech i teraz tak zostanie. Wszystko ma swój właściwy czas i porę roku, a im coś jest ważniejsze, tym większe ma to znaczenie. Nie powinieneś oczywiście zjawić się w Domu za późno, ale za wcześnie byłoby wręcz niebezpiecznie.

— Miałem takie przeczucie. Dopilnuję, żebyśmy tam dotarli we właściwym czasie.

— To dobrze. — W oczach starca pojawił się nagle figlarny błysk. — Nie rozumiem, czemu Dweia tak się uczepliła twojej tuniki. Dla mnie wygląda wręcz wspaniale!

— Mnie też się zawsze podobała.

— Pewnie nie zechcesz jej sprzedać?

Althalus zachwiał się na nogach.

— Nic, nic, Althalusie, nie ma sprawy. A raczej jest, ale inna.

— Tak?

— Bądź dobry dla mojej siostry. Jeśli sprawisz jej zawód albo ją skrzywdzisz, odpowiesz za to przede mną osobiście. Czy wyraziłem się jasno?

Althalus przełknął z wysiłkiem ślinę i skinął głową.

— No, tośmy się zrozumieli. Miło mi się z tobą rozmawiało. Czeka cię przyjemny dzień, wiesz?

I starzec oddalił się z wolna, pogwizdując po drodze.

— O rany, coś takiego nie zdarza się codziennie — odezwał się drżącym głosem Gher. — Powiedziałaś, że w drodze do Domu przytrafi nam się coś ważnego. To właśnie to, prawda?

— Nie sędzę, by coś mogło to przewyższyć.

— Może powinniśmy krzyknąć na Eliara i kazać mu powiedzieć Emmy, że się trochę spóźnimy?

— Nie, ten numer nie przejdzie. Wprawdzie starzec wciąż używał słowa „rada”, ale dobrze go zrozumiałem. Kazał nam trzymać się z daleka od drzwi... i pewnie miał na myśli także okna. Nie zamierzam ryzykować.

— Emmy i tak na pewno nas obserwuje, no nie?

— O tak, ona lubi mieć mnie na oku. Zbierajmy się do drogi. Wciąż jeszcze mamy daleko, a nie możemy się spóźnić.

Szybko zjedli śniadanie i ruszyli na północ, ku przepaści, którą Althalus ciągle nazywał w myśli Krawędzią Świata.

— Myślałem, że to drzewo jest suche — rzekł Gher, marszcząc brwi. — A jakoś nie wygląda na martwe...

Althalus szybko spojrzął na Krawędź Świata. Drzewo wciąż było sęcate, powykręcane i białe jak naga kość, ale miało teraz liście... jesienne liście, które mieniły się złotem i czerwienią, tworząc pełną blasku koronę.

— Nie tak wyglądało przedtem, prawda?

— Nie — odparł zaintrygowany Althalus.

— Jak myślisz, dlaczego ożyło?

— Nie mam bladego pojęcia.

— Czy to może coś znaczyć?

— Nie wiem, mam teraz inne zmartwienia.

— Może powinniśmy się zatrzymać i zobaczyć, czy coś się stanie?

— Nie mamy czasu. Jedziemy dalej.

Althalus zwrócił konia bardziej na wschód, trzymając się skraju przepaści.

— To też wygląda inaczej — zauważył po chwili Gher, wskazując na północ. — Różni się od tego, co widać z Domu Emmy.

— Bo nie ma lodu.

— Właśnie. Co się stało z tą masą lodu, którą widzieliśmy na północy?

— Jeszcze tu nie dotarła. My ciągle jesteśmy „wtedy”. „Teraz” nadejdzie dopiero za dwa tysiące lat. — Nagle Althalus urwał. — No i proszę, do czego mnie doprowadziłeś! Te wygłupy z czasem naprawdę mogą człowieka skołować!

Gher wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Dlatego to takie przyjemne!

— Na razie wystarczy mi przyjemności. — Althalus rozglądał się wokoło. — Wypatruj królików i świstaków. Nie zabraliśmy z sobą wiele zapasów, więc przez resztę podróży musimy żyć z tego, co daje ziemia.

Nad daleką północą zapadał już wieczór. Wędrowcy właśnie okrążyli wystającą odnogę skalną, kiedy w niewielkim sosnowym zagajniku zauważyli ognisko.

— Uważaj, chłopcze — ostrzegł Althalus. — Ten ogień to coś nowego. Poprzednio go tu nie widziałem.

Podkradli się bliżej, ale nikogo nie zobaczyli.

— Kto rozpalił ognisko? — spytał Gher. — Przecież samo z siebie nie zapłonęło!

Znajomy zapach, który niebawem dotarł do ich nozdrzy, stanowił wystarczającą wskazówkę.

— Kolacja, Gherze! — zawołał Althalus. — Jedzmy, zanim wystygnie. Wiesz, że Emmy nie znosi, jak spóźniamy się na posiłki.

Gher rzucił mu zdumione spojrzenie, ale nagle oczy mu się rozszerzyły.

— Emmy czasem jest tak sprytna, że aż się flaki przewracają. . . Chciała dać nam do zrozumienia, że wie o naszej rozmowie z jej bratem, ale zamiast przyjść tu i jasno powiedzieć, wołała zrobić kolację.

Althalus pociągał raz po raz nosem.

— No i udało się jej przyciągnąć moją uwagę — zauważył. — Bierzmy się do jedzenia!

— Jestem gotów! Znacznie więcej niż gotów.

Nie było kwestii, kto przygotował ucztę na odludnym biwaku, gdyż każdy kęs miał znajomy smak kuchni Dwei. Przy ogniu leżało też kilka wielkich toreb z zapasami. Obaj wędrowcy objedli się wprost nieprzyzwoicie, ale ponieważ od dawna nie mieli w ustach porządnego jedzenia, ich zapał wydawał się całkiem naturalny.

Jeszcze przez tydzień z okładem podążali wzdłuż Krawędzi Świata, a tymczasem jesień nieuchronnie zmierzała ku zimie. Nagle pewnego wieczoru, już po posiłku, Gher, spoglądając ku północy, powiedział:

— Ten ogień wydaje się dziś okropnie jasny, no nie?

— Może pójdziemy zobaczyć? — zaproponował Althalus, wstając.

— Czemu nie?

Tuż po wschodzie księżyca opuścili obóz i podeszli do Krawędzi Świata.

Księżyc delikatnie pieścił zamglone wierzchołki chmur, rozświecając je swym blaskiem. Althalus widział to już, oczywiście, ale tym razem było inaczej. Księżyc w swej nocnej wędrowce wyssał wszystkie kolory z ziemi, morza i nieba, ale nie mógł wchłonąć koloru bożego ognia. Kipiące na północnym niebie fale tęczowego światła oblewały połyskiem także górną warstwę obłoków. Zdawało się, że tęczyowy ogień igra z bladym księżycowym światłem między wierzchołkami chmur, prowokując go do miłosnych awansów. Althalus i Gher, zafascynowani migotliwą grą barwnego światła, leżeli w miękkiej, brunatnej trawie, obserwując zaloty bożego ognia i księżycowej poświaty.

Nagle daleko w górach Kagwheru rozległ się wdzięczny głos pieśni Noża. Althalus uśmiechnął się do siebie; tym razem dosłownie wszystko toczyło się inaczej.

Tej nocy z łatwością zapadł w sen. Boży ogień na niebie i pieśń Noża, wznosząca się z lasu, idealnie do siebie pasowały. W ogóle wszystko do siebie pasowało, tak jak powinno. Miało się ku świtaniu, kiedy wspomnienia migotliwego ognia i melodyjnej pieśni odpłynęły, zatarte przez inny sen. . .

Miała włosy koloru jesieni, a widok jej perfekcyjnie toczonych ramion i łudek wywoływał w jego sercu bolesny skurcz. Odziana była w krótką antyczną tunikę. Jej głowę zdobiły kunsztowne sploty, a twarz tchnęła idealnym spokojem jak nie z tego świata. Podczas swej ostatniej wyprawy do cywilizowanych krain Althalus oglądał starożytne posągi i to z nimi, a nie ze współczesnymi kobietami kojarzyła mu się owa zjawia ze snu. Jej wysokie czoło tak samo łączyło się bez żadnego załamania z linią nosa, zmysłowe wargi były pięknie wykrojone i pełne niczym dojrzale wiśnie. Duże oczy o barwie czystej zieleni przenikały do głębi jego duszy.

Kiedy wyciągnęła do niego rękę, na jej ustach igrał leciutki uśmiech.

— Pójdź — powiedziała łagodnie. — Pójdź ze mną. Będę się tobą opiekować.

— Gdybym tylko mógł — usłyszał swój głos Althalus i natychmiast skłął się w duchu. — Poszedłbym, czemu nie, ale tak trudno mi się wyrwać. . .

— Jeśli pójdziesz ze mną, nigdy już nie wrócisz. Będziemy się przechadzać wśród gwiazd i szczęście już cię nie opuści. Twoje dni będą wypełnione słońcem, a noce miłością. Pójdź ze mną, ukochany, a ja się tobą zaopiekuję.

To rzekłszy, skinęła dłonią i odwróciła się, by go poprowadzić.

Althalus, całkiem oszołomiony, podążył jej śladem. I wstąpili między chmury, a księżyc i boży ogień witały ich z radością, błogosławiąc ich miłość.

Rano obudził się szczęśliwy.

Dnie stawały się coraz krótsze, a noce coraz mroźniejsze. Jeszcze przez tydzień Althalus z Gherem wędrowali na północny wschód wzdłuż Krawędzi Świata, zanim wkroczyli na znajomy teren.

— Jesteśmy już blisko Domu, no nie? — spytał Gher pewnego wieczoru po kolacji.

Althalus przytaknął.

— Prawdopodobnie jutro w południe będziemy na miejscu. Ale zanim wejdziemy do środka, będziemy musieli trochę poczekać.

— Po co?

— Poprzednim razem wkroczyłem na most dopiero przed wieczorem i lepiej się tego trzymać. Ghend od samego początku wykorzystywał wizje senne i każda kończyła się niepowodzeniem. Mam wrażenie, jak gdyby coś nie lubiło, kiedy majstrujemy przy sprawach, które są raz na zawsze zakończone. Dlatego staram się postępować dokładnie tak, jak poprzednio — stawiać nogi w te same miejsca, drapać się w nos o tej samej porze i tak dalej. Wolałbym przenieść się

w przeszłość po dobrej stronie tego czegoś, co nie lubi manipulowania przeszłością, czymkolwiek to coś jest. Kiedy już znajdziemy się z powrotem w Domu, będziemy bezpieczni, ale na razie musimy bardzo uważać.

Do Domu rzeczywiście dotarli późnym rankiem. Althalus uświadomił sobie, że od dawna nie oglądał go z zewnątrz. Wiedział, że budynek jest jeszcze większy, niż na to wygląda, ale i tak robił imponujące wrażenie. Usytuowany na cyplu, oddzielony od wąskiej przestrzeni fosą ze zwodzonym mostem, milcząco sugerował, że nie ma nic wspólnego z resztą świata. Althalus był przekonany, że nawet gdyby cały świat zniknął, Dom i tak pozostałby na swoim miejscu.

Zsiedli z koni i postanowili odpocząć na skale, za którą Althalus ukrywał się przed dwudziestoma pięcioma wiekami.

W samo południe na moście ukazały się Andina i Leitha z wielkim koszem.

— Drugie śniadanie! — oznajmiła Leitha.

— Czy Emmy jest na nas zła? — spytał lekliwie Gher.

— Nie — odparła Andina. — Nawet się cieszy, że sprawy przybrały taki obrót.

— Dwiea prosi, żebyście jeszcze nie wchodzili na most — powiedział Leitha. Althalus skinął głową.

— Wiem.

— I nie spuszczaaj z oka okna wieży. Bheid w odpowiednim czasie da wam znak latarnią, wtedy przeprawicie się do Domu. — I z lekkim uśmiechem dodała: — W końcu to jego obowiązek.

— Jak to? — spytał Gher.

— Nóż nakazał mu „oświecanie”.

— Próbujesz nas rozśmieszyć?

— Jak bym mogła! Biedny Bheid siedzi ze wzrokiem wbitym w ziemię, bo widział, jak rozmawiacie z bratem Dwei. Absolutnie się tego nie spodziewał.

— Ja także — odparł Althalus. — I zamierzam odbyć na ten temat długą rozmowę z Emmy. Jestem pewien, że rozpoznała go poprzednim razem, ale nie pofatygowała się, by mnie poinformować, kim ten „szaleniec” był. Wracajcie do Domu. Tu jest trochę zimno.

Althalus i Gher zjedli posiłek, a potem czekali, zerkając od czasu do czasu na wieżę.

Słońce chyliło się już nad zachodni horyzont, kiedy zobaczyli w oknie błysk światła. Althalus wstał.

— Idziemy.

— Jestem gotów — odparł Gher.

Poprowadzili konie przez most na dziedziniec, gdzie czekał Eliar.

— Zajmę się końmi — powiedział. — Emmy chce was widzieć na wieży. Zabierzcie Księżę Ghenda.

— Słusznie. Przynieś Księżę, Gherze. Weszli do Domu i skierowali się na górę.

Dweia czekała na szczycie schodów. Althalus poczuł w środku dziwny skurcz. Nie zdawał sobie dotąd sprawy, jak bardzo tęsknił.

— Macie Księgę? — spytała.

— Ach, tak mi przykro, Em! Zużyliśmy ją w drodze na podpałkę. . .

— Bardzo śmieszne.

— Księga jest tutaj, Emmy. — Gher poklepał torbę.

— Dobrze. Zanieś ją do pokoju, ale jeszcze nie wyjmuj.

Kiedy weszli na górę, Dweia gorąco uściskała Althalusa.

— Nie odchodź więcej — rzekła z wielką stanowczością.

— Jeśli tylko będę mógł.

— Możemy obejrzeć Księgę? — spytał niecierpliwie Bheid, gdy tylko znaleźli się w pokoju na wieży.

— Nie — odpowiedziała Dweia. — To nie jest konieczne.

— Dweio!

— Macie jej nie dotykać, a już absolutnie zabraniam wam ją czytać, nawet jednej strony. Sprowadziliśmy tę Księgę, aby ją zniszczyć, nie studiować.

— Więc co mam z nią zrobić? — dopytywał się Gher.

— Na razie wrzuc pod łóżko.

— Czemu nie pozbyć się od razu tego paskudztwa? — zdziwiła się Andina.

— Dopiero rano, moja droga. Żeby złożyć obie Księgi, trzeba nam jak najwięcej dziennego światła. Nie zaczniemy, dopóki noc się nie skończy.

— Jesteś okrutna, Dweio — powiedział z wyrzutem Bheid.

— Ona cię tylko chroni — wtrąciła się Leitha. — Wie, jak bardzo pociągają cię księgi. . . nawet ta. A są w niej rzeczy, o których wcale nie chciałbyś się dowiedzieć.

— To znaczy, że wiesz, co w niej jest?

— Tylko ogólnie. Staram się trzymać jak najdalej od tej Księgi.

— Ta dyskusja jest bez sensu — rzekła Dweia. — Lepiej chodźcie na kolację.

— Mam tu zostać i pilnować Księgi? — spytał Eliar.

— Po co?

— No. . . ktoś powinien mieć na nią oko, w razie gdyby Ghend się tu zakradł i próbował odzyskać swoją własność.

— Ghend nie może wejść do Domu, Eliarze. Chyba że ktoś go zaprosi.

Kilka elementów w głowie Althalusa ułożyło się nagle w całość. Już wiedział, co ma robić.

— Eliarze, muszę z tobą pomówić. Może później. . .

— Zawsze do usług.

— Na pewno wiesz, co robisz, skarbie? — spytała Dweia Althalusa, kiedy zostali sami.

— Mniej więcej. Twój brat dał mi to i owo do zrozumienia, poza tym znam Ghenda na tyle, by wiedzieć, do czego zmierza. Proszę, Emmy, nie wtrącaj się do tej sprawy. Ja odpowiadam za Ghenda i zajmę się nim po swoim.

— Tylko nie życzę sobie żadnych trupów w Domu.

— Nie chcę go zabijać. Właściwie planuję coś gorszego.

— To będzie niebezpieczne, prawda?

— No cóż, nie chodzi o przechadzkę po parku. Najważniejszy w tym będzie czas, więc mi nie przeszkadzaj. I pilnuj, żeby inni nie plątali mi się pod nogami. Wiem, co trzeba zrobić, i nie potrzebuję żadnych interwencji.

— Jesteś pewien, że sobie poradzisz?

— Tak uważa twój brat. Nawiasem mówiąc, przesyła ci wyrazy miłości.

— To miało być zabawne?

— A nie słyszałaś go?

— Niezbyt wyraźnie.

— Więc straciłaś najciekawszą część rozmowy. Na dobrą sprawę owinęłaś go sobie wokół małego palca, wiesz? On cię po prostu uwielbia.

Zaczęła mruzczyć.

— Powiedz mi coś więcej...

— No, możemy zaczynać — orzekła Dweia po śniadaniu. — Jest biały dzień, więc chodźmy na górę i bierzmy się do roboty.

Wstali od stołu i ruszyli do drzwi. Althalus jednak zatrzymał Eliara nieco z tyłu.

— Teraz pilnie uważaj, Eliarze — ostrzegł młodego człowieka. — To kluczowa sprawa.

— Co mam zrobić?

— Kiedy wejdziemy do pokoju na wieży, stań przy oknie obok tych specjalnych drzwi. Zachowuj się swobodnie, a kiedy nikt nie będzie patrzył, odemknij je i zostaw lekko uchylone.

— Czy to dobry pomysł? Przecież Ghend tylko patrzy, jak by tu się wśliznąć do Domu, a jeśli zostawię otwarte drzwi...

— Właśnie ma zobaczyć, że są otwarte. Kiedy mnie namierzy, chcę, żeby wszedł tymi drzwiami, a nie podkradł się od tyłu.

— Ach, teraz rozumiem. A kiedy mam zrobić tę drugą rzecz?

— Czekaj na mój sygnał i bądź gotów. Będziemy mieli tylko parę sekund, więc naprawdę uważaj. Jeśli Emmy zacznie na ciebie krzyczeć, nie zwracaj na nią uwagi i rób, co ja ci każę.

— Będę miał przez ciebie kłopoty.

— Wytlumaczę jej, kiedy już będzie po wszystkim. To bardzo istotne, żebyś tylko mnie słuchał. Jeśli nie zrobimy tego dokładnie tak, jak trzeba, nikt z nas

nie zobaczy już zachodu słońca. . . przyjąwszy, że zostanie jakieś słońce i będzie miało na czym zajść.

— Zaczynam się denerwować.

— I dobrze. Przynajmniej nie jestem sam.

— Co tak marudzicie?! — zawołała Dweia z góry.

— Już idziemy, Em! — odkrzyknął Althalus. — Nie złość się.

— Słuchajcie — zaczęła Dweia, gdy zebrali się już wszyscy — kiedy to się zacznie, macie wszyscy się cofnąć. Może być niebezpiecznie. Gherze, daj Księgę.

Chłopiec podszedł do łóżka, ukląkł i po chwili wyciągnął skórzany worek. Podał go Dwei.

— Proszę!

— Wyjmij ją z worka — poleciła, chowając za siebie ręce.

— Ona nie robi ci krzywdy — zapewnił ją Gher. — Jest trochę dziwna w dotyku, ale nie parzy ani nic. . .

— To zależy od tego, kim jesteś — wyjaśniła mu Dweia. — Wyjmij Księgę z worka i połóż ją na stole obok naszej, ale niech się z sobą nie stykają.

— Jak sobie życzysz. — Gher rozwiązał rzemyk i wyjął wielkie czarne pudło. — Wydaje się nieco cięższa — zauważył. Położył pudło na błyszczącym marmurowym stole. — Tutaj?

— Przysuń ją trochę bardziej do białej.

— Teraz dobrze?

Zerknęła z ukosa na oba pudła.

— Wystarczy.

— Nic się nie dzieje — zauważył Bheid.

— Jeszcze nie. To dlatego, że nie jest kompletna. Proszę cię o Nóż, Eliarze.

— Proszę bardzo — odrzekł Arumczyk.

Althalus rzucił okiem na południowe okno i zobaczył, że drzwi są lekko uchylone.

Eliar podał Dwei Nóż rękojeścią do przodu.

— Nie tak — odrzekła, wyciągając obie ręce. — Po prostu połóż mi go w poprzek dłoni.

Eliar spełnił prośbę, a Dweia odwróciła się do stołu i stała tak, trzymając Nóż nad obydwojma Księgami.

— Czekamy — oznajmiła.

— Na co? — spytał Gher.

— Na właściwy moment.

— Ma zabrzmieć jakiś dzwon czy coś w tym rodzaju?

— Niezupełnie, ale z pewnością wszyscy to zauważycie. I ci po drugiej stronie świata także.

— Ach, więc to jedna z tych rzeczy!

— „Te rzeczy”, jak je nazywasz, należą do rodzinnej tradycji. Często je praktykujemy w naszej rodzinie.

Nagle Dom zadrżał w posadach, jakby wskutek odległego grzmotu, i niebo raptownie pociemniało.

Nóż na dłoniach Dwei zdawał się przesuwac i mętnieć, a jednocześnie buchnęła triumfalnie jego tęskna pieśń. Potem się rozplynął w bezkształtny kłęb mgły.

— Co się dzieje? — przeraził się Bheid.

Dweia nie odpowiadała. Mgła na jej dłoniach zgęstniała i na miejscu Noża pojawiło się podłużne złote pudełko.

Ciemność, która nadciągnęła nad Dom, została nagle odepchnięta przez złocistą poświatę bijącą z Księgi Dwei. Atramentowoczarne chmury, jakie chwilowo przesłoniły światło, kłębiły się wściekle wzdłuż horyzontu, póki nie wchłonął ich złoty blask księgi oraz tęczne światło bożego ognia.

— Brakowało mi ciebie — powiedziała czule Dweia, patrząc na swą Księgę. — Wreszcie nadszedł czas, kiedy możesz spełnić to, do czego od początku cie przeznaczyłam.

Ostrożnie ułożyła Złotą Księgę na pozostałych dwóch, tworząc z niej rodzaj mostu nad szczeliną między Księgami Deiwosa i Daevy.

Drżenie Domu nasiliło się i z głębi ziemi dobiegł dźwięk tak niski, że bardziej się go wyczuwało, niż słyszało. W tej samej chwili z nieba i pobliskich gór rozległ się znajomy skowyt rozpaczy.

— Cicho bądźcie! — powiedziała z roztargnieniem Dweia. — Obaj! Próbuje się skoncentrować.

Złote światło stało się jeszcze silniejsze i wkrótce zalało cały stół oślepiającym blaskiem.

— Cofnijcie się — ostrzegła Dweia zebranych. — Już się zaczyna.

Z migoczącego światła nad stołem wzniosła się smuga dymu.

— Czy to Księgi się palą? — spytał z przejęciem Bheid.

— Tylko Księga Ghenda. Taki był od początku cel tego wszystkiego.

— A mówiłaś, że nie może się spalić — przypomniała wystraszona Andina.

— Bo w zwykłym ogniu nie może. Ten na stole nie jest prawdziwym ogniem.

— To prawda, Andino — poparła Dweię Leitha.

— Ale...

— Cicho, kochanie — powiedziała bladolica dziewczyna. — I odsuń się stąd. — Nagle zerknęła na Althusa. — Idzie!

— Wiem — odparł Althalus posepnie. — Czekałem na niego.

Drzwi Eliara skrzypnęły i ukazał się Ghend, cały w ogniu. Tuż za nim postępował płonący Khnom. Obaj mieli na sobie ogniste zbroje, a w rękach trzymali miecze z płomieni.

— Przyszedłem po moją własność — oznajmił grzmiącym głosem Ghend, z którego płonących oczu wyzierało szaleństwo.

Dwie ogniste sylwetki stały w progu, ale tuż za nimi inne drzwi otwierały się na absolutny koszmar — całe miasto ognia, w którym budynki były słupami płomieni, a ulice rzekami płynnej lawy. Na owych ulicach wyły tłumy płonącego spóśtwa, wokół szalały błyskawice.

Ghend wznosił ognisty miecz.

— Oto narzędzie twego losu, złodzieju! — ryknął.

Przed jego twarzą krążyła błyskawica, płonące włosy tworzyły wokół głowy ognisty wieniec. Ruszył prosto na Althalusa i skąpany w złocistym blasku stół, odciskając za każdym krokiem ogniste ślady na marmurowej posadzce.

Althalus uniósł dłoń i powiedział:

— Leoht!

I nagle ściana najczystszej światła odgrodziła Ghenda od celu. Ghend zawył, a wraz z nim zawyli wszyscy gospodarze Nahgharashu.

Ogarnięty desperackim szałem, runął na świetlisty mur. Migwały błyskawice, ognisty miecz walił głucho o barierę.

— Połamiesz tylko miecz, Ghendzie — ostrzegł Althalus, pilnując się, by nie używać żadnych językowych archaizmów. — Nie przejdiesz przez to, póki cię nie przepuszczę. Czy jesteś gotów mnie wysłuchać?

Ghend, nadal cały w ogniu, chwycił oburącz za miecz i wymierzył kilka potężnych ciosów w ścianę światła.

— Tracisz czas — powiedział Althalus. — A nie masz go już za wiele.

— Co ty wyprawiasz?! — krzyknęła Dweia.

— Nie wtrącaj się, Em. To sprawa między Ghendem a mną.

Ghend opuścił miecz, ale oczy rozgorzały mu jeszcze mocniej.

Wokół niego wyły hordy z Nahgharashu.

— Masz wybór — ciągnął Althalus — i musisz go dokonać w tej chwili. Albo uprzesz się przy tym idiotyzmie i poniesiesz konsekwencje, albo się odwrócisz i zamkniesz tamte drzwi.

— Zwariowałeś?! — wrzasnął Ghend. Płomienie wokół niego buchnęły jeszcze większym żarem.

— Zamknij drzwi, Ghendzie, a ogień zgaśnie. Zbierz rozum do kupy i zamknij drzwi. Odetnij się od Nahgharashu i Daevy. To jedyna szansa ucieczki.

— Ucieczki? Mam świat w garści, ty głupcze! Mogę mieć to wszystko... na zawsze!

— Nie możesz... Chyba żebyś miał Księgę, a nie uda ci się jej odzyskać na czas. Przegrałeś, pobiłem cię, ale jeśli to przyznasz, możesz żyć. Jeśli odmówisz, nie dostaniesz tej szansy. Wybieraj, ale zaraz, bo czas ucieka! Miejmy to już za sobą!

— Odzyskam moją Księgę!

— Czyżby?

Ghend ponowił atak na ścianę światła. Althalus poczuł ulgę, bo pewne ograniczenia zostały z niego zdjęte.

— Ktoś tu dzisiaj usłyszy parę słów... — mruknął do siebie. — Ghes!

Ghend, nadal w płomieniach, zatoczył się do przodu. Świetlista bariera zamigotała i znikła. Skowyt motłochu Nahgharashu zmienił się w triumfalne wrzaski.

Althalus odsunął się na bok, a jego zdesperowany wróg ruszył w stronę stołu. Zawahał się na chwilę, po czym nagle odrzucił ognisty miecz i wyciągnął ręce, sięgając po wszystkie trzy Księgi. Ale gdy tylko zanurzył dłonie w złotym blasku, zabrzmiała pieśń Noża. Ghend odskoczył.

— Chyba nie myślałeś na serio, że do tego dopuszczę? — odezwał się Althalus. — Możesz zabrać swą Księgę, skoro uważasz, że musisz, ale nasze zostaną tam, gdzie są. Szybko, Ghendzie, czas nagli!

Ghend chwycił tłącą się Czarną Księgę, warcząc jak dziki zwierz.

— Jeszcze nie wiesz wszystkiego, Althalusie! — wrzasnął, zawracając ku drzwiom.

— Ależ wiemy, bracie. — Głos, brzmiący niczym huk gromu, nie należał do Althalusa, chociaż wyszedł z jego ust. — Teraz, Eliarze!

Rozległ się głuchy łoskot i drzwi przy oknie Dwei zniknęły. Zamiast wieńczącego je łuku ziała bezkształtna dziura wypełniona ciemną pustką, której na imię Nigdzie i Nigdy.

Dalej, za ową dziurą, Althalus dostrzegł budynki z płomieni i jęczące stwoiry z ognia — owej kwintesencji Nahgharashu — które nurzały się i rozplływały w ognistej lawie na ulicach przeklętego miasta. Rzeki lawy rwały naprzód, przelewając się przez jakieś niewyobrażalne brzegi, po czym spadały kaskadami w otchłań absolutnej nicości. I oto wszystko się wymieszało — ulice i budynki, ci zaś, którzy tam mieszkali, uświadomiwszy to sobie, krzyczeli rozpaczliwie, ale ich krzyki stopniowo słabły, opadały coraz niżej i niżej, by wreszcie utonąć w głuchej ciszy.

Khnom, cały w płomieniach, mamrocząc coś w panice, próbował uchwycić się boków bezkształtnej dziury, żeby nie dać się wessać nieubłaganej próżni za drzwiami, ale jego wysiłki spełzły na niczym. Minąwszy próg tego świata, przepadł w nicości.

Ghend w ognistej zbroi, ściskający kurczowo swą płonąca Księgę, wolną ręką rozpaczliwie starał się czegoś uczepić, ale i jego próżnia ciągnęła przez marmurową posadzkę. Krzycząc i przeklinając, ześlizgiwał się nieuchronnie ku swemu przeznaczeniu. Wreszcie w ostatniej chwili spojrział błagalnie w oczy swego wroga i wyciągnął rękę.

— Althalusie! — zawołał. — Pomóż... — I nagle zniknął za straszliwym progiem, wciąż przyciskając do piersi swą Księgę. Opadał na zawsze w nicość, która go w końcu dosięgła, a wraz z nim ginął też jego krzyk.

— Zamknij drzwi, Eliarze — rzekł z głębokim smutkiem Althalus. — Teraz to już naprawdę koniec.

EPILOG

— To była jedna z tych rzeczy, Twengorze, którą trzeba zobaczyć na własne oczy, żeby uwierzyć — powiedział łysy Gebhel do brodatego wodza klanu, kiedy wraz z Althalusem i jego przyjaciółmi siedzieli we dworze Albrona, snując wspomnienia. Działo się to wczesnym latem następnego roku, w wieczór poprzedzający wesele Khalora i Alai. — Sterczało toto idiotycznie pośrodku równiny północnego Wekti niczym ogromny pień, z tym że na ogół rzadko widuje się pień wysoki na tysiąc stóp.

— Nadal nie rozumiem, Gebhelu, co cię opętało, że opuściłeś okopy — rzekł nowo wybrany wódz Wendan. — Przecież dopiero co rozniosłeś w pył ansuską jazdę i odparłeś ten niesamowity atak na tyły. Dlaczego po prostu nie zostałeś na miejscu? Twoje okopy świetnie spełniły swoje zadanie.

— Zwiadowcy Khalora donieśli, że do Anusów nadchodzą posiłki. Było oczywiste, że dotrą do naszych okopów na długo przed Kreuterem i Dreugonem. Okopy są dobre, ale tylko wtedy, gdy nieprzyjaciel nie ma dużej przewagi. Kiedy zaczyna przypadać więcej niż pięciu ich żołnierzy na twojego jednego, czas brać nogi za pas.

— Wszystko skończyło się tak, że lepiej nie można — odezwał się sierżant Khalor. — Szczerze mówiąc, sam miałem kilka wątpliwości co do tej skalistej wieży, ale źródło i zapasy żywności w jaskini przeważały szalę.

— O tak — przyznał Gebhel z szerokim uśmiechem. — Gdyby mnie kto pytał, nie radziłbym nikomu siadać do gry w kości z Khalorem, jeśli da się tego uniknąć. Miał ostatnio niewiarygodny ciąg szczęścia. Nawet siły natury są po jego stronie.

— Doprawdy? — zdziwił się Koleika Żelazna Szczęka.

— W samym środku absolutnie spokojnego ranka zerwał się potworny wiatr, i to akurat w chwili, kiedy Khalorowi zależało na rozszerzeniu pożaru łąk. A potem nastąpiło trzęsienie ziemi, od którego powstał rów tuż przed nosem szaleńca szarżującego na nasze pozycje. Ale szczyt wszystkiego to ta rzeka. Płynęła w obie strony, zmywając doszczętnie całą nieprzyjacielską armię. — Gebhel machinalnie pocierał dłonią łysą głowę. — Tak, tak, wydarzyło się wiele rzeczy, których do dziś nie rozumiem.

— A rozważałeś kiedy możliwość boskiej interwencji? — spytał podstępnie

Bheid.

— Jestem Arumczykiem, bracie Bheidzie. My wolimy nie zagłębiać się w takie sprawy. Nie wiem, skąd się wzięły te wszystkie pomyslnie zrządzienia, ale się cieszę, że w tej akurat wojnie Khalor był po tej stronie co ja.

— Właściwie ta jego szczęśliwa passa trwa nadal — zauważył Twengor. — Widziałem panią, którą zamierza jutro poślubić, i naprawdę trudno o większe szczęście dla mężczyzny.

Althalus rozparł się wygodnie na krześle, uśmiechając się leciutko. Gdy tylko zbierze się więcej niż trzech Arumczyków, zaraz zaczynają się wojenne opowieści, tym lepsze, im częściej powtarzane. Po kilku latach historii przekraczają granice legendy, a w legendach to, co wydaje się rażąco nieprawdopodobne, zazwyczaj się koloryzuje. Minie jeszcze trochę czasu i Arumczycy będą wzruszać ramionami, gdy ktoś zacznie opowiadać o dwukierunkowej rzece, o śpiewającym Nożu, o jasnowłosej dziewczynie, która słyszała myśli otaczających ją ludzi... Wypadki ostatnich dwóch lat staną się elementem folkloru, a Emmy oddali się na swych miękkich kocich łapkach i nikt się nigdy nie dowie, jak bardzo wpłynęła na rzeczywistość.

Ty jednak zawsze będziesz pamiętał, prawda, skarbie? — zamruczał mu w głowie cichy głos.

Tak naprawdę ja się wcale nie liczę, Em. Gdzieś po drodze przestawiło mi się pojęcie niemożliwości. Teraz już nic mnie nie zadziwi.

A jednak potrafię sprawić, że zmienisz zdanie, mój miły...

Obrzęd zaślubin Khalora i Alai sprawował brat Bheid, w obecności tylko pobieżnie przebranej Dwei, która po ceremonii dołączyła do grona weselników na dworze Albrona.

Chyba właśnie wymyśliłam rozwiązanie pewnego problemu, skarbie — zamruczała milcząco do Althalusa.

Naprawdę? A jaki to problem?

Dojdziemy do tego. Najpierw musimy odprawić jeszcze dwa wesela.

— Nie jestem ich ojcem, Em — protestował Althalus kilka dni później, kiedy siedzieli sami na wieży.

— Nie kłóć się ze mną. Po prostu siedź z ojcowską miną i wyraż zgodę. To starożytny rytuał, a rytuały są bardzo ważne dla pań. Tylko ostrzegam, nie waz się obracać tego w żart.

— W porządku, Em. Nie wiąż ogona na supeł.

— Te metafory o supłach na ogonie nieco już zwietrzały, Althie — zauważyła cierpko. — Od początku nie uważałam ich za specjalnie śmieszne, a za każdym

razem, kiedy znajdujesz sobie kiepski pretekst do ich użycia, coraz mniej mnie bawią.

— Jesteś dziś w wyjątkowo kaśliwym humorze. Co cię gnębi?

— Dzieci nas opuszczają, Althalusie — odrzekła w zadumie. — Eliar i Andina wrócą do Osthosu, a Bheid i Leitha zamieszkają w Maghu.

— Zostanie nam jeszcze Gher. Minie trochę czasu, zanim dorośnie.

— O tym właśnie musimy pomówić, skarbie. Gher nigdy nie miał tego, co choćby w przybliżeniu przypominałoby normalne dzieciństwo. Chyba powinniśmy coś z tym zrobić... po weselu.

— Czekają nas dwa wesela.

— Wyprawmy je za jednym zamachem, mój miły. Separacja to przykra rzecz, nie ma co jej przeciągać.

— Kto powinien dawać ślub? Może Emdahl?

— W mojej świątyni? Nie ma mowy.

Althalus zamrugął z niedowierzaniem.

— Sama chcesz sprawować ceremonię?

— Oczywiście, głuptasie. W końcu to moje dzieci, chcę, żeby wszystko odbyło się, jak należy.

— Jak sobie życzysz.

W letni złocisty poranek Althalus siedział na wieży, udając, że studiuje Księgę, podczas gdy Dweia w pełnej chwale zajmowała miejsce na tronie przy południowym oknie.

Otworzyły się drzwi i wszedł Gher ubrany w strój pazia.

— Althalusie, mam powiedzieć, że chcą się z tobą widzieć. Andina przygotowała mi całą mowę, ale chyba nie chcesz tego słuchać?

— Przejdziemy przez całą procedurę — powiedziała Dweia. — Wygłoś oficjalną mowę.

— Naprawdę muszę, Emmy? — skrzywił się chłopiec.

— Panie to lubią.

— No dobrze, Emmy, niech ci będzie. — Odchrząknął i zaczął: — Wszechpotężny ojcie! Twoje dzieci upraszają cię, byś udzielił im posłuchania w sprawie najwyższej wagi.

— Althalusie, zachowaj się właściwie — powiedziała surowo Dweia.

— Skoro sobie życzysz... — Althalus się wyprostował. — Synu, powiadam moje szlachetne latorośle, że wysłucham ich petycji i pominąwszy nieprzewidziane żądania, z przyjemnością spełnię każdą prośbę, gdyż nasza ukochana bogini daje mi taką moc.

— Jakie nieprzewidziane żądania? — zaniepokoiła się Dweia.

— To tylko środki ostrożności, Em. Utrzymajmy posagi na rozsądnym poziomie.

Andina z Eliarem, oboje w uroczystych szatach, ramię w ramię wkroczyli do pokoju. Tuż za nimi postępowali Leitha i Bheid.

Ukłony i dygi były lekko przesadne.

Pierwsza przemówiła Andina:

— Przybyliśmy tutaj, aby przedłożyć ci, o szlachetny i umiłowany ojcze, naszą petycję, zważywszy, iż jesteśmy — i musimy być — powolni ci we wszystkich sprawach. Szlachetny Eliar i świątobliwy Bheid przemówią w rzeczonyj sprawie, ale wiedz, że moja umiłowana siostra i ja dołączamy nasze prośby do ich próśb. Po długich i wnikliwych rozważaniach wydało się nam jasne, że jeśli przychylił się do naszego pokornego życzenia, będzie to z wielką korzyścią dla wszystkich narodów.

— Czy jest twym zamiarem, dostojna aryo, rozwodzić się nad tym w nieskończoność? — spytał Althalus, umyślnie wpadając w ten sam przesadnie oficjalny ton. — Albowiem jeśli twa oracja miałyby trwać dłużej, czyż nie byłoby bardziej humanitarnie pozwolić walecznemu Eliarowi i cnotliwemu Bheidowi na zajęcie miejsc siedzących?

— Nie to miałeś powiedzieć! — wściekła się Andina. — Dweio, niech on przestanie!

— Bądź miły, Althalusie — syknęła bogini. — Andino, mów dalej!

Filigranowa dziewczyna brnęła dzielnie dalej. Althalus tłumił ziewanie.

— Nie odważyłabym się iść o lepsze z naszą najdroższą arya — oznajmiła Leitha — dlatego powiem prościej. Najdroższy tatuśku, wpadł mi w oko egzarcha Szarych. Chcę go mieć, więc mi go daj.

— Leitho! — zgorszyła się Andina. — Nie tak to miało wyglądać!

— No, panowie? — zwrócił się Althalus do Eliara i Bheida. — Co wy na to?

— Andina i ja chcemy się pobrać — powiedział po prostu Eliar. — Masz coś przeciwko temu?

— Ja nie. A ty, Em?

— Przeżyję to jakoś — odrzekła ze słabym uśmiechem Dweia.

— A zatem postanowione. Bheidzie, chcesz może coś dodać?

— Niewiele zostało do dodania. Pragnę Leithy tak samo, jak ona mnie... a nawet trochę bardziej. Formalny ślub to może i niezły pomysł, bo pewne sprawy i tak zaczną się dziać... z ceremonią czy bez.

— Zrobiliśmy postępy, co? — mruknęła Leitha z chytrym uśmieszkiem.

— Co powie dostojny Althalus na nasze uniżone prośby? — spytała Andina, starając się ocalić resztki etykiety.

— Czy odpowiedź „tak” sprawi komuś przykrość?

— Tylko tyle? — oburzyła się Andina. — Zwyczajne „tak” i nic więcej?

— Jest w tym pewna doza surowego wdzięku — zauważyła Leitha. — A teraz, skoro nie słyszę zbyt wielu sprzeciwów, uważam, że brat Bheid i ja powinniśmy zbadać bardziej dogłębnie kwestię „z ceremonią czy bez”.

Bheid poczerwieniał gwałtownie.

I stało się, iż pewnego słonecznego dnia, gdy złota jesień roztaczała swe uroki nad ziemią, ludzie ze wszystkich krain nadciągnęli z bliska i z daleka do wielkiej świątyni Dwei w dumnym mieście Maghu. I wonne były kwiaty, zdobiące ołtarz, i radość wielka zstąpiła na tych, którzy zebrali się tam w owym szczęsnym dniu, by stać się świadkami ceremonii.

A kiedy na ustach bogini Dwei, matki i sprawczyni wszelkiego życia, zagościł uśmiech, zniknęły wszystkie troski, ci zaś, którzy tam byli, popadli w zachwyty.

Ta, która matkuje wszystkim, promieniała miłością. Jej łagodna twarz urosła do nadnaturalnych rozmiarów, gdyż żaden ludzki kształt nie mógłby objąć takiego ogromu miłości. I przemówiła bogini w starożytnym języku, gdyż tak jak Dweia jest matką miłości, tak ów język jest ojcem wszelkiej ludzkiej mowy bez względu na miejsce i czas. A chociaż brzmiał dziwnie i obco, wszyscy zgromadzeni jasno rozumieli znaczenie każdego słowa. Dweia przemawiała bowiem nie do ich uszu, lecz do serc i umysłów.

Matka miłości mówiła o miłości do tych, którzy do niej przyszli, aby pobłogosławiła ich związek. I oto otworzyła między nimi drzwi, które nigdy dotąd nie były otwarte, i umysł Eliara na zawsze złączył się z umysłem Andiny. Umysły obojga zanurzyły się w starożytnym języku, by nigdy się już nie rozdzielić, i tak zostali sobie poślubieni.

Następnie boska Dweia zwróciła się do świątobliwego Bheida i bladolicy Leithy. A umysł i serce Bheida pogrążone były w smutku, gdyż odkąd w chwili gniewu powalił śmiertelnym ciosem bliźniego, zalegało mu na duszy brzemię winy. Lecz oto bogini Dweia z bezgraniczną miłością uwolniła upadłego kapłana od jego grzechu i dusza Bheida została oczyszczona. Następnie w podobny sposób obdarzyła boska Dweia swym przebaczeniem bladolicą Leithę. Wielki — bowiem był żal Leithy z racji czynów, których musiała dokonać, a od cierpienia Romana nadal ścisnęło się jej serce. Przeto boska Dweia usunęła z umysłu bladolicy wszelką pamięć o losie Komana i od tej pory udęczona para wolna była od bólu, a ich umysły i serca połączyły się z sobą i w ten to sposób oni również zostali sobie zaślubieni.

I każdy kamień starożytnej świątyni wybuchnął pieśnią, odrzucając surowość i smutek kapłanów, którzy zawładnęli owym świętym miejscem i zбочyli z drogi do wyznaczonego mu celu, jakim były i są miłość i radość.

A radość, jaka zapanowała w świątyni Dwei, odbiła się echem w całym Ma-

ghu.

— Cały problem w tym, mój Gherze, że nie możemy mieć całkowitej pewności, czy wszystkie te awantury i kłopoty z ostatnich kilku lat były robotą Ghenda, czy może wyrosły z naturalnego obstawania wielu innych ludzi przy tym, co nazywają realnym światem. Myślę, że będziemy im się teraz bacznie przyglądać, mam już dość wojen.

— A może ja bym się tym zajął? — zaproponował Althalusowi Gher. — Jeśli to ty opuścisz Dom, aby kręcić się po świecie w poszukiwaniu podżegaczy, Emmy będzie wściekła. Chce cię mieć tu, na miejscu.

— Jeszcze bardziej się wścieknie, jeśli wyślę cię samego.

Gher siedział przez chwilę ze zmarszczonym czołem. Nagle pstryknął palcami.

— Chyba mam rozwiązanie!

— Tylko na to czekałem. Jakoś nie mogę wymyślić nic, co nie wkurzyłoby Emmy. No więc, co ci przyszło do głowy?

— Po tym, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwóch lat, każdy głupol, który zechce wywołać wojnę, przede wszystkim poszuka sierżanta Khalora, no nie? Znaczący, kiedy my prowadziliśmy wojnę, Khalor rozpirzał wszystkich, którzy stali mu na drodze. Jeśli ktoś zechce wszcząć wojnę, to po to, żeby wygrać, a skoro tak, to rozejrzy się za Khalorem.

— Ale i my pomogliśmy trochę, czyż nie?

— Jasne, ale te głupki o tym nie wiedzą, bo w pewnym sensie trzymaliśmy się z boku. Założę się, że teraz oni wszyscy wierzą, że Khalor ma ze sto stóp wzrostu, umie chodzić po wodzie i rozwała góry uderzeniem pięści.

— I co z tego?

— No, pomyślałem sobie, że gdybym miał wywęszyć rozróbę, zanim się jeszcze zaczęła, to uczepliłbym się Khalora mocniej niż jego własny cień.

— Więc gotów jesteś opuścić Dom i zamieszkać z Khalorem i jego żoną?

— Zawsze byłem z nim w dobrych stosunkach, a jego żonę w jednej chwili owinę sobie wokół palca. Wszystkie baby na świecie zaczynają mi matkować, gdy tylko zrobię minę biednej sierotki. Ciągną do mnie jak kaczki do wody. W mgnieniu oka zadomowię się w dawnym pokoju Eliara i wcale nie będę się chwalił, że umiem szybko myśleć. Przeciwnie, będę siedział jak trusia i wodził dookoła tępym wzrokiem, jakbym miał kompletną pustkę w głowie. Ale moje uszy pozostaną otwarte i jeśli ktokolwiek zjawi się u Khalora albo wodza Albrona, żeby wynająć Arumczyków na kolejną wojnę, to będę na miejscu i nim zdążyś mruknąć okiem, przekażę ci wiadomość. Potem odwiedzimy tego głupola i powiemy mu, że jeśli nie wybije sobie wojny z głowy, wyrwiemy mu wątrobę i każemy zjeść.

— A... nie będzie ci trochę brakowało Emmy i mnie?

— Emmy ma teraz taką minę... no, jakby myślała o sprawach chłopców i dziewczynek. Nie musisz jej tego powtarzać, ale chyba powinienem się na jakiś czas usunąć. Jeśli zamieszkać w Arum, przynajmniej będę miał z kim pogadać. Tu mógłbym się czuć trochę osamotniony, a poza tym będę przecież robił coś ważnego, no nie?

— To rozwiązanie rzeczywiście ma wiele zalet — zgodził się Althalus, udając wahanie. — Daj mi trochę czasu do namysłu, a potem zobaczymy, co powie Emmy.

— Ale ci gładko poszło — rzekła z podziwem Dweia.

— Jasne — odparł Althalus. — Zawsze kiedy chcę, żeby ktoś postąpił zgodnie z moim życzeniem, to tak manewruję, by uznał to za własny pomysł. Chcieliśmy wysłać Ghera do Khalora, bo tak będzie najlepiej dla chłopca, więc wystarczyło go podpuścić. Gdybym mu to nakazał, pomyślałby, że go wyrzucamy, bo nie jest nam już potrzebny. Nigdy bym mu tego nie zrobił, ty zresztą także. A tak — Gher zyskuje normalny dom i rodzinę, której nigdy nie miał, natomiast Khalor i Alaia dostają „gotowego” syna. Wszystko ułożyło się dokładnie po twojej myśli. Dlatego mnie wynajęłaś, prawda?

— Dobrze zrobiłaś, Althie — powiedziała z promiennym uśmiechem, naśladowując głos Ghera.

— Nie zrozum mnie źle, Em — ciągnął Althalus, rozpierając się w krześle. — Bardzo lubię dzieci, ale miło mieć znowu cały Dom dla siebie. Czym zajmiemy się teraz, skoro już uratowaliśmy świat i doprowadziliśmy dzieci do bezpiecznej przystani?

— Coś wymyślę — odpowiedziała tonem, który nie pozostawiał cienia wątpliwości.

I tak jak w tamtym śnie, przyszła do niego nocą, kiedy księżyc i boży ogień oddawali się zalotom na rozmigotanym niebie, a Nóż śpiewał im serenadę.

Miała włosy koloru jesieni, a widok jej perfekcyjnie toczonych ramion i łydek wywoływał w jego sercu bolesny skurcz. Z jej twarzy tchnął idealny spokój jak nie z tego świata. Wyciągnęła do niego rękę, mówiąc:

— Pójdź! Pójdź ze mną. Będę się tobą opiekować.

— Z miłą chęcią — odpowiedział Althalus. — Świat mnie męczy i mam go już dosyć. A dokąd pójdziemy, moja miła? I kiedy wrócimy?

— Jeśli pójdiesz ze mną, nigdy już nie wrócisz. Będziemy się przechadzać wśród gwiazd i szczęście nigdy cię nie opuści. Twoje dni wypełnione będą słońcem, a noce miłością. Pójdź ze mną, ukochany, a ja się tobą zaopiekuję.

I ujęła go za rękę, i powiodła pośród znajomych gwiazd ku wieży światła, w której przedtem mieszkali.

A kiedy znaleźli się w środku, drzwi, przez które weszli, wtopiły się w zaokrągloną ścianę wieży i zniknęły, podobnie jak wszystkie inne.

I radosne było serce Althalusa, gdyż powrócił do Domu i nie musiał się więcej błąkać.

Kilka miesięcy — a może stuleci — później, kiedy do Domu na Końcu Świata zawitała wiosna, Althalus siedział przy stole, przewracając leniwie karty Księgi.

Z okrytego futrem łoża dobiegł go znajomy odgłos. Althalus podniósł głowę i zerknął na żonę.

— O co chodzi, Em? — spytał z ciekawością. — Myślałem, że etap kotki mamy już za sobą?

— O czym ty mówisz? — zdziwiła się jesiennowłosa Dweia.

— Mruczysz.

Parsknęła śmiechem.

— Może i mruczę. Trudno wyzbyć się starych nawyków.

— To miły dźwięk, Em, i nawet mi specjalnie nie przeszkadza.

Usiadła i przeciągnęła się rozkosznie.

— Wszystko dlatego, że jestem szczęśliwa, a nic lepiej od mruczenia nie wyraża tego stanu.

— Mnie też niczego nie brakuje do szczęścia, ale jakoś nie muszę mruczeć.

— Chodź tu, skarbie. Mam dla ciebie nowinę.

Althalus starannie poukładał karty Księgi w białym pudle.

— Wiosna wcześniej nadciągnęła w tym roku — zauważył, zerkając przez południowe okno na góry.

— I prawdopodobnie potrwa dłużej niż zwykle.

— Tak? Dlaczego?

— Bo świat ma okazję do świętowania.

— Szykuje się coś szczególnego? — spytał, siadając przy niej.

— Baaardzo szczególnego.

— To ma być sekret?

— Tego się nie da utrzymać w sekrecie zbyt długo. — Uśmiechnęła się tajemniczo i ostrożnie położyła dłoń na brzuchu.

— Za dużo zjadłaś? — domyślił się Althalus.

— Nie. — Zerknęła na niego chytrze. — Jesteś dziś mało pojętny. Jak sądzisz, od czego, poza jedzeniem, kobietom rośnie brzuch?

— Mówisz poważnie?

Pogładziła się znowu po brzuchu.

— Jeśli nawet nie, to chyba widać. Althalusie, będziemy mieli dziecko.

Patrzył na nią kompletnie oszołomiony. Nagle oczy napęłniły mu się łzami.

— Ty płaczesz? — zdziwiła się Dweia. — Nie wiedziałam, że potrafisz.

Wziął ją w ramiona i tulił mocno, czując, jak łzy ciekną mu po twarzy.

— Ach, jak cię kocham, Em! — Tylko tyle zdołał wykrztusić.